

AUTOR POLOWANIA NA «CZERWONY PAŹDZIERNIK»

# Tom Clancy



# Dkug honorowy

Tom pierwszy

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

**Tom Clancy**

Dług honorowy

Tom pierwszy

Tłumaczenie: Krzysztof Wawrzyniak

Data wydania: 1999

Data wydania oryginalnego: 1994

Tytuł oryginału: Debt of Honor

*Charakter wyznacza los człowieka*

*Heraklit*

Dla Mamy i Taty

Z wyrazami wdzięczności dla:

Cartera i Woxa za opisanie mi szczegółów,

Russa, po raz kolejny, za wykłady z fizyki,

Toma, Paula i Bruce'a za najlepszy zestaw map na świecie,

Keitha, za wytłumaczenie mi, co z tych map wynika dla pilota,

Tony'ego, za to, że odpowiednio nastawił mnie do tematu,

chłopaków z Saipanu, za opisanie mi życia na ich wyspie,

a także dla Sandy, za szatańską przejażdżkę na grzbiecie węża.



# Przeprosiny

W pierwszym wydaniu „Bez skrupułów” znalazł się fragment wiersza, który trafił do mnie przypadkiem, i którego tytułu ani nazwiska autora nie byłem w stanie ustalić. Wiersz ten wydał mi się idealny jako epitafium dla mojego przyjaciela Kyle’a Haydocka, który zmarł na raka w wieku 8 lat i 26

dni — dla mnie zawsze będzie z nami.

Później dowiedziałem się, że tytuł tego wiersza brzmi „Ascension”, a autorką tych wspaniałych strof jest Colleen Hitchcock, niezwykle utalentowana poetka z Minnesoty. Chciałbym skorzystać z okazji i polecić jej wiersz wszystkim studentom literatury. Mam nadzieję, że jej poezja wywrze na nich równie wielkie wrażenie, tak jak to się stało w moim przypadku.

## Spis treści

### Prolog. Zachód słońca, wschód słońca

### Absolwenci

### Bractwo

### Kolegium

### Pierwszy ruch

# **Teoria chaosu**

**Z zewnątrz i z wewnątrz**

# **Katalizator**

**Przyśpieszenie**

**Gry na całość**

**Uwodziciele**

**Potop**

# Ceremonie

Wiatr i prąd morski

# Odbicia

**Cholernie głupia sprawa**

**Głowice**

**Pierwsze uderzenie**

**Jajko Wielkanocne**

**Drugie uderzenie**



# Trzecie uderzenie

Błękit

# Globalny wymiar

## Prolog. Zachód słońca, wschód słońca

Z perspektywy czasu, taki a nie inny początek wojny mógł wydać się co najmniej dziwny. Tylko jeden spośród wszystkich jej uczestników zdawał sobie sprawę, co się dzieje, a i to było sprawą przypadku. Finałową rozprawę w kwestii spornego obszaru przeniesiono na wcześniejszą datę, dlatego mianowicie, że umarł ktoś z rodziny adwokata. Za dwie godziny, o świcie, tenże adwokat, już wbity w żałobny garnitur, miał odlecieć na Hawaje.

Dla pana Yamaty była to pierwsza transakcja, w której osobiście uczestniczył, dzięki niej stawał się właścicielem skrawka terytorium Ameryki. Owszem, posiadał już całe mnóstwo nieruchomości, nie tylko na wyspach Pacyfiku, ale i na terenie kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych, lecz dotychczas wszystkie te transakcje pozostawiał w rękach podstawionych przez siebie prawników, nieodmiennie Amerykanów, którzy robili dokładnie to, za co im Yamata płacił, na wszelki wypadek zwykle pod nadzorem któregoś z japońskich podwładnych Yamaty. Tym razem rzecz wyglądała inaczej. Powodów znalazłoby się aż kilka. Po pierwsze, nieruchomość nabywała osoba prywatna, a nie firma. Po drugie, Saipan leżał o dwa kroki od domu, a dokładniej, dwie godziny lotu prywatnym odrzutowcem od Japonii.

Adwokatowi prowadzącemu sprawę Yamata wyjaśnił, że chce nabyć tę posiadłość w celach wypoczynkowych, na sobotnio-niedzielne wypady. Biorąc pod uwagę astronomiczne ceny nieruchomości w Tokio, za cenę niedużego luksusowego apartamentu na najwyższym piętrze tokijskiego wieżowca można było na Saipanie nabyć kilkaset hektarów terenu. A widok z okien domu, jaki Yamata zamierzał

wybudować nad urwiskami, zapierał dech w piersiach: z wyniosłości widać było ogromne połączenie Oceanu Spokojnego, a w oddali inne wyspy archipelagu Marianów. Powietrze musiało tu być najczystsze na całej kuli ziemskiej. Nic dziwnego, że pan Yamata zaproponował prawnikowi iście królewskie honorarium, i to nie krzywiąc się wcale, przeciwnie — z czarującym uśmiechem.

Istniał jeszcze jeden powód takiej decyzji.

Wokół okrągłego stołu przesuвано kolejne dokumenty, od fotela do fotela, tak aby każda ze stron uczestniczących w transakcji mogła złożyć podpis na odnośnych dokumentach, w miejscach zaznaczonych w tym celu żółtymi samoprzylepnymi karteczkami Post-It. Gdy się tak stało, pan Yamata sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobyl z niej kopertę. Wyjęty z niej czek podał następnie prawnikowi, który podziękował unizonym głosem. Jakże typowym dla Amerykanów, którzy widzą przed sobą pieniądze. Zadziwiające, na jakie ustępstwa skłonni byli iść na widok gotówki! Trzy lata wcześniej żaden japoński obywatel nie mógłby legalnie wejść w posiadanie terenów na tych wyspach, ale od czego są dobrzy prawnicy, dobre argumenty i odpowiednia gotówka?

— Jeszcze dziś po południu dokonamy wpisu do ksiąg wieczystych.

Yamata obdarzył sprzedającego teren uprzejmym uśmiechem i skinieniem głowy, wstał z fotela i wyszedł z budynku, gdzie czekał już samochód. Yamata usiadł z przodu, obok kierowcy i skinieniem podbródka nakazał mu aby ruszył. Skoro dobito targu, nie trzeba się już było bawić w dobre maniery.

Jak większość wysp na Pacyfiku, Saipan jest pochodzenia wulkanicznego. Na wschód od wyspy opada ku głębinom słynny Rów Mariański, dziesięciokilometrowa otchłań powstała w miejscu, gdzie jedna fałda tektoniczna zanurza się pod drugą, młodszą. Wynikiem działalności tej formacji geologicznej jest między innymi sznur stożków wulkanicznych, których wierzchołki to właśnie wyspy archipelagu Marianów.

Terenowa Toyota Land Cruiser ruszyła niezbyt gładką szosą na północ, biorąc kolejne zakręty trasy wcinające się w zbocza góry Achugao, w kierunku wydzielonych terenów „Mariana Country Club” i Przylądka Marpi. Niedaleko przylądka Yamata kazał kierowcy zatrzymać samochód. Wsiadł i przelotnym spojrzeniem obrzucił resztki wiejskich zabudowań, którymi już wkrótce miała się zająć brygada rozbiórkowa. Zamiast jednak obejść teren, na którym stanie jego nowa posiadłość, Yamata ruszył

prosto ku krawędzi skalnego urwiska. Jak na sześćdziesięciolatka, poruszał się sprawnie i energicznie, mimo że w marszu przyszło mu skakać z kamienia na kamień. Jeżeli dawniej stało tu gospodarstwo rolne, to chyba nie za bogate. Jakże wyżyć na takiej ziemi? Yamata pokręcił głową. Znał przecież przeszłość tego miejsca i wiedział, kto tu mieszkał dawniej. Mieszkał, ale do czasu.

Ze zneruchomiałą twarzą stanął na samej krawędzi obrywu, przez miejscowych zwanego Urwiskiem Banzai. Od oceanu wiał porywisty wiatr. Z wysokości urwiska Yamata widział niezliczone rzędy fal, słyszał huk przyboju na skałach u podnóża — a były to te same skały, na których roztrzaskały się ciała jego rodziców i rodzeństwa, uciekających przed pościgiem amerykańskiej Piechoty Morskiej.

Widok zbiorowego samobójstwa zmroził Amerykanom krew w żyłach, o czym jednak nie mógł wiedzieć pan Yamata. A zresztą, nawet gdyby wiedział, co to zmieniało?

Japończyk złożył dłonie i skłonił się głęboko, po to, by przywołać duchy przodków i dlatego, że chciał im okazać należną cześć, uznać ich władzę nad jego własnym losem. Przyszło mu do głowy, że dzisiejsza transakcja była aktem sprawiedliwości. Wraz z nią w japońskich rękach znalazło się 50,016

procenta terytorium Saipanu. Od chwili, kiedy rodzina Yamaty zginęła z rąk Amerykanów, minęło już ponad pół wieku.

Yamata wzdrygnął się. Przypisał ten dreszcz emocjom, jakie czuł w tej chwili, a może także bliskości duchów jego przodków. Choć pływy i prądy morza uniosły ze sobą ciała całej rodziny, ich duchy, ich *kami*, z całą pewnością trwały tutaj, czekając aż Yamata powróci. Japończyk znowu się wzdrygnął i zapiął marynarkę. Rzeczywiście chciał w tym miejscu zbudować dom. Najpierw jednak czekało go inne zadanie.

Aby coś zbudować, trzeba najpierw coś zniszczyć.

Na przeciwnym krańcu kuli ziemskiej świat osiągnął w tejże samej chwili pełną doskonałość. Kij golfowy płynnym ruchem odsunął się od piłeczki i doskonałym łukiem uniósł w górę, na mgnienie zamarł

w miejscu, a potem takim samym łukiem ruszył w dół, z każdym kolejnym centymetrem trajektorii przyspieszając biegu. Człowiek, w którego rękach znajdował się kij, przeniósł ciężar ciała z jednej stopy na drugą i wyczekawszy na właściwą chwilę, odwrócił dłonie. Posłuszna temu ruchowi głowica kija obróciła się wokół osi w taki sposób, że uderzyła w piłkę dokładnie pod kątem prostym względem zamierzonego toru lotu. Że sztuka się udała, zaświadczał dźwięk uderzonej piłki — doskonałe brzdęk (głowica kija była wykonana z metalu). Oprócz dźwięku, o sukcesie świadczyło też drgnienie, jakie przebiegło wzdłuż grafitowego kija. Gracz nie musiał nawet patrzeć w ślad za piłką. Nadal idący tym samym łukiem kij podjechał do góry i zatrzymał się, zanim jeszcze trzymający go mężczyzna sprawdził, co dzieje się z piłką.

Niestety, to nie Jack Ryan był owym graczem.

Ryan mógł tylko z zazdrością pokręcić głową, uśmiechnąć się blado i ustawić własną piłkę do uderzenia.

— Dobrze ją palnąłeś, Robby.

Konradmirał Robert Jefferson Jackson z Marynarki USA trwał bez ruchu, okiem lotnika śledząc lot spadającej piłki. Biały punkcik podskoczył na wystrzyżonej trawie ponad dwieście metrów od miejsca, w którym stali gracze. Impet potoczył piłkę następne dwadzieścia metrów do przodu. Dopiero kiedy piłeczka zatrzymała się niemal pośrodku pola, Jackson zauważył:

— Szkoda, bo chciałem ją trochę podciąć.

— Nie pieści nas to życie, co, Robby? — zapytał sarkastycznie Ryan, skupiony na rytuale przygotowań. Ugiąć kolana, wyprostować plecy, schylić głowę, ale nie za bardzo, o, tak... Kij, trzeba go trochę lepiej złapać, teraz dobrze... Ryan zrobił wszystko to, co przez ostatni tydzień wbijał mu do głowy klubowy instruktor. Przez ostatni tydzień, miesiąc, dwa miesiące... Wziąć zamach... I bęc!

Poszło nawet nieźle. Na oko sto siedemdziesiąt metrów, trochę na prawo od toru, pierwszy udany strzał od dawna... Nieprawda. Pierwszy udany strzał w życiu. Ale żeby posłać piłeczkę na taką odległość, Robby'emu wystarczał sztywny metalowy kijaszek numer siedem. Ryana pocieszał fakt, że była dopiero za kwadrans ósma, a wczesna pora sprawiała, że oprócz Robby'ego nikt nie musiał oglądać jego wątpliwych popisów.

— Dobrze chociaż, że mi nie wpadła do wody.

Ryan nie wypowiedział tej myśli na głos.

— Od dawna grasz w golfa, Jack?

— Pewnie. Gram już całe dwa miesiące.

Jackson uśmiechnął się lekko i idąc ku miejscu, gdzie czekał na nich wózek, zauważył:

— Bo ja zacząłem na drugim roku Akademii w Annapolis. Mam nad tobą parę lat przewagi, więc nic się nie przejmujemy, tylko grajmy.

Słuszna uwaga. Grało się miło, tym bardziej, że Greenbrier leży wśród zielonych wzgórz Zachodniej Wirginii. Pierwsze pensjonaty wzniesiono tu pod koniec osiemnastego stulecia. W

październikowy poranek biały masyw głównego hotelu wyrastał spośród żółtych i szkarłatnych liści.

Drzewa zrzucały szaty w oczekiwaniu zimy.

— Nie myśl sobie, że chciałem ci dołożyć — zaznaczył Ryan, sadowiąc się na wózku.

Jego partner odwrócił się z dziwnym uśmiechem.

— Możesz nawet nie próbować. I dziękuj Bogu, Jack, że nie musisz zaraz gnać do pracy. Bo ja akurat muszę.

Obaj od dawna zapomnieli, czym są wakacje, chociaż dłuższy wypoczynek niewątpliwie dobrze by im zrobił. Obaj marnie się też czuli w obecnych rolach i po cichu marzyli o czymś więcej. Dla Jacksona owym „czymś więcej” był stopień admirała i odpowiedni do tego etat w Pentagonie. Ryan z kolei sam się nie mógł nadziwić, że tak go ciągnie do świata interesów, i że tak mało pociąga go praca na uczelni, coś o czym marzył — czy przynajmniej wyobrażał sobie, że marzy — dwa i pół roku wcześniej w Arabii Saudyjskiej. Domyślał się, że brak mu aktywności, zmian. Czyżby aktywność zaczęła działać na niego jak narkotyk? Zastanawiając się nad tym, Jack wydobył z worka lżejszy kij, trójkę. Uderzając nim, nie miał szans posłać piłki aż do samej chorągiewki, ale tak było bezpieczniej. Nie nauczył się jeszcze nawigować piłeczką wokół drzew na tym odcinku pola. Owszem, wakacje dobra rzecz, ale jeszcze lepiej, kiedy się coś zaczyna wreszcie dziać...

— Nie śpiesz się i nie wal, jakbyś chciał tę piłkę zamordować. Ona już nie żyje, zgoda?

— Tak jest, rozkaz, panie admirale! — odburknął Jack.

— I nie podnoś od razu głowy. Sam ci powiem, dokąd poleciała.

— Nic mi nie mów, Robbie. Sam wiem.

Świadomość, że Robbie nie będzie się z niego śmiał, choćby stał się świadkiem najdzikszych popisów, była jeszcze gorsza niż obawa przed drwiną. W ostatniej chwili Ryan przypomniał sobie, żeby wyprostować plecy. Wynagrodził go upragniony dźwięk.

Pac. Nim podniósł głowę, piłka była już o trzydzieści metrów od niego i nadal leciała w lewo...

Ale nie. Niestety. Już teraz widać było, że znowu niesie ją w prawo.

— Jack?

— No, co? — odezwał się Ryan nie patrząc na partnera.

— Ta twoja trójka. — Jackson parsknął śmiechem i mierząc wzrokiem lot piłeczki dodał: — Nic nie musisz zmieniać. Za każdym razem masz zrobić tak samo.

Ryan z trudem powstrzymał się, żeby nie wygiąć kija numer trzy na czasce partnera. Kiedy wózek ruszył, roześmiał się jednak mimo wszystko. Podjechali do wyższej trawy po prawej stronie dołka, tam, gdzie na zielonym kobiercu majaczyła pojedyncza biała plamka: piłka Robby'ego.

— Nie tęsknisz za lataniem? — zapytał z cicha. Robby posłał mu nieprzyjazne spojrzenie i zauważył:

— Ciebie też nie trzeba uczyć ciosów poniżej pasa.

Ha, trudno, ale tak się właśnie miały sprawy: Jackson rozstał się z karierą pilota, przeszedł przez sito selekcji do kadry admirałkiej i natychmiast zaczął się starać o stanowisko komendanta Centrum Badawczego Marynarki w bazie lotnictwa morskiego w Patuxent River w stanie Maryland. Gdyby mu się to udało, nosiłby tytuł Głównego Pilota-Oblatycza Marynarki USA. Ale nic z tego: Jackson otrzymał

przydział do J-3, czyli wydziału operacyjnego Kolegium Szefów Sztabów. Sekcja Planowania to dziwny przydział dla żołnierza, zwłaszcza w epoce, w której samo zjawisko wojny zaczynało się stawać zamierzchłą przeszłością. W sztabie łatwiej było o dalszy awans, lecz Jacksonowi najbardziej zależało na lataniu. Usiłował się nie przejmować takim obrotem spraw i powtarzał sobie, że nalatał się już w życiu dosyć. Zaczynał karierę na Phantomach, by z czasem przesiąść się na Tomcaty, otrzymać dowództwo dywizjonu, a potem całej grupy powietrznej na lotniskowcu. Kandydatem na admirała również został

wcześnie, w czym zresztą nie było nic dziwnego, bo miał za sobą długi ciąg sukcesów i nigdy nie zdarzyło mu się strzelić głupstwa. Wiedział, że po kolejnym awansie — jeśli do takiego dojdzie —

zostanie dowódcą lotniskowcowej grupy uderzeniowej, o czym dawniej, za młodu, nie śmiał nawet marzyć. A tu, proszę, lata minęły jak z bicza strzelił, a dawne marzenia stały się rzeczywistością.

— Ciekawe, co nam przyjdzie robić na starość?

— Są tacy, Rób, którzy biorą się za grę w golfa.

— Albo znów zaczynają kręcić akcjami i obligacjami — odparował Jackson, w myślach dobierając tymczasem odpowiedni kij. Najlepsza będzie ósemka, nie za sztywna. Ryan ruszył za Jacksonem ku

piłce.

— Bank inwestycyjny to nie kręcenie — zaprotestował Jack. — Nie narzekaj, nie skrzywdziłem cię chyba?

Słyszając to, pilot — nieważne, że emerytowany, bo w oczach przyjaciół Robby miał na zawsze pozostać pilotem — podniósł wzrok i uśmiechnął się radośnie.

— Nie narzekam. Dałem ci głupie sto tysięcy, sir John, a tyś potrafił je rozmnożyć, że proszę.

Po tych słowach złożył się do kolejnej piłki. Ot, żeby wyrównać rachunki. Piłeczka upadła po długim locie na murawę, podskoczyła i zastygła niecałe siedem metrów od chorągiewki.

— To mówisz, że zarobiłeś dosyć, żeby mi zafundować lekcje golfa?

— Przydałyby ci się, przydały — przytaknął Robby i pozwolił sobie wreszcie na zmianę wyrazu twarzy. — Pomyśl, Jack, taki kawał czasu. Udało się nam zmienić świat.

— No, mniej więcej — zgodził się Jack z wymuszonym uśmiechem. Wiedział, że są tacy, którzy nazywali obecną dobę „końcem historii”, lecz sam, jako posiadacz doktoratu w tejże dziedzinie, pozwalał

sobie na inne zdanie.

— Powiedz, podoba ci się to, jak teraz żyjesz?

— Czemu nie? Codziennie jestem w domu, zwykle jeszcze przed szóstą. Chodzę na wszystkie mecze moich dzieciaków, latem na baseball, jesienią na piłkę nożną, tę europejską. Sally lada chwila zacznie się umawiać na randki, więc wolę czuwać w pobliżu, a nie tłuc się zakichanym VC-20B na posiedzenie, które wszyscy uczestnicy i tak mają głęboko w nosie.

Jack tak się rozbawił własną wizją, że dodał:

— Czego mi więcej trzeba? No, najwyżej żebym się trochę podciągnął w grze w golfa.

— Nie wiem, czy tylko „trochę”, Jack. Tego twojego zamachu nie wyprostuje nawet sam Arnold Palmer. Palmer nie, ale ja spróbuję, nic się nie bój — dodał Robby. — Nie mnie dziękuj, tylko Cathy.

Specjalnie mnie o to prosiła.

Tym razem Jack uderzył za mocno i musiał niezłe się napracować, zanim udało mu się podprowadzić ją wreszcie do dołka, jeszcze trzy uderzenia, i gotowe. W sumie siedem. Robby uderzył wszystkiego cztery razy.

— Taki gracz jak ty powinien się nauczyć kłąć — odezwał się Robby, kiedy szli do początku

kolejnego odcinka. Ryan nie zdążył mu nawet odpowiedzieć. Przy pasku miał oczywiście przytroczony przywoływacz satelitarny, jeden z tych, za pomocą których można przesłać wiadomość w dowolne miejsce. Jedyne głębokie sztolnie i głębiny oceaniczne dawały ochronę przed sygnałem, a i to niewielką.

Jack sięgnął po brzęczące pudełko u pasa, przekonany że wiadomość będzie dotyczyć transakcji z Silicon Alchemy. Po co był im nagle potrzebny? Przed odjazdem zostawił przecież szczegółowe wskazówki.

Może komuś w biurze skończyły się spinacze, i woła ratunku?

Numer na ciekłokrystalicznym ekraniku powiedział mu wszystko.

— Myślałem, że masz biuro w Nowym Jorku — zdziwił się Robby. Pierwsze trzy cyfry na ekraniku wskazywały jednak numer kierunkowy 202, a nie 212, jak się tego spodziewał Jack.

Waszyngton, nie Manhattan.

— Bo mam. Najczęściej nawet tam nie pokazuję nosa, załatwiam wszystko przez telefon z Baltimore. To znaczy, owszem, raz na tydzień wskakuję w ekspres i jadę tam... — Jack zmarszczył czoło.

Numer 757-5000 należał do centrali łączności w Białym Domu. Zaraz, która to godzina? Za pięć ósma rano? Widocznie to coś naprawdę poważnego. Fakt, że sygnał nie stanowił niespodzianki. A może? Jack zastanawiał się nad własną reakcją. Ostatecznie czytał gazety, wiedział więc, że coś wisi w powietrzu.

Zaskoczył go co najwyżej fakt, że tak długo zwlekano. Spodziewał się czegoś takiego od paru tygodni.

Podszedł do wózka golfowego i z worka na kije wysupłał telefon komórkowy. Jedyne element sprzętu, co do którego miał absolutną pewność, jak się nim posługiwać.

Rozmowa potrwała trzy minuty. Ubawiony tym wszystkim Robby cierpliwie czekał na siedzeniu wózka. Owszem, Ryan przebywa w Greenbrier. Tak, wie, że w pobliżu znajduje się lotnisko. Czy znajdzie wolne cztery godziny? Mniej niż godzina tam i z powrotem, godzinka na miejscu. Na obiad będzie z powrotem, a teraz, jeśli mu na tym zależy, może nawet dokończyć partię golfa, wziąć prysznic i przebrać się przed podróżą. Składając telefon i chowając go do bocznej kieszeni worka Jack powtarzał sobie, że nie musi się śpieszyć. Ten, kto do niego dzwonił, dysponował najlepszymi taksówkami na świecie. Jedyne kłopot, że kiedy ów ktoś raz kogoś polubił, nie wypuszczał go z rąk do końca życia. Pracowało się dla tego kogoś wygodnie, lecz wygody jedynie maskowały stan faktyczny, czyli zwykłe niewolnictwo. Jack pokręcił głową i ustawił się nad piłką. Chwilowa przerwa w grze musiała mu dobrze zrobić, bo piłeczka wylądowała w najkrócej przystrzyżonej trawie, około dwustu metrów dalej. Ryan bez słowa ruszył w stronę wózka, zastanawiając się w duchu, jak się wytłumaczy przed Cathy.



Hala produkcyjna lśniła sterylnością i nowością, lecz inżynier nie mógł się oprzeć wrażeniu, że coś jest z całym przedsięwzięciem nie tak. Jego rodacy tradycyjnie najbardziej ze wszystkiego wystrzegali się ognia, a do urządzeń, które miano tu wyrabiać, żywili po prostu wstręt. Inżynier czuł się więc trochę nieswojo, jak gdyby w ciszy pomieszczenia dobiegało go co i rusz bzyczenie muchy — rzecz niemożliwa, jako że każda cząsteczka powietrza w sterylnym wnętrzu przeszła przez najlepszy system filtrów, jaki udało się zaprojektować w tym kraju. Sukcesy kolegów napawały pracownika słuszną dumą, tym bardziej, że sam zaliczał się do grona najzdolniejszych inżynierów. Duma z kolei pomagała wywiązać się z zadania i pozwalała zapomnieć o bzyczeniu i innych majakach. Inżynier skrupulatnie sprawdzał poszczególne części linii produkcyjnej. Skąd te skrupuły? Jeśli to samo wolno było zrobić Amerykanom, Rosjanom, Anglikom, Francuzom, Chińczykom, a po nich nawet Hindusom i Pakistańczykom, cóż stało na przeszkodzie jego krajowi? Kwestia symetrii, i tyle.

W innej części tego samego budynku trwała już wstępna obróbka specjalnego surowca.

Zaopatrzeniowcy natrudzili się solidnie, żeby na czas ściągnąć wszystkie specjalne elementy, bo tych ostatnich zaczynało brakować na rynku. Większość produkowano za granicą, ale część wytwarzano także w kraju, na potrzeby eksportowe. Wynaleziono te elementy z myślą o jednym, konkretnym zastosowaniu, lecz z czasem znaleziono jeszcze inne. Cały czas jednak istniała możliwość — odległa, lecz przecież realna — że powróci się do zastosowania pierwotnego. Pracownicy wielkich firm wytwarzających te części lubili sobie żartować na ten temat. Dotąd kończyło się na żartach.

Koniec z żartami. Inżynier uświadomił to sobie ostatecznie, kiedy gasząc światło dokładnie zasunął za sobą drzwi hali. Harmonogram był napięty i dlatego prace musiał zacząć jeszcze tego samego dnia, o świcie. Trzeba się będzie zadowolić paroma godzinami snu.

Mimo że Ryan zaglądał tu dość często, budynek nieodmiennie przejmował go dziwną czcią. Tym bardziej dotyczyło to dzisiejszej wizyty, tak zaplanowanej, że trudno ją było uznać za rutynową. Najpierw dyskretny telefon do hotelu, żeby zamówić samochód na lotnisko. Samolot oczywiście już czekał: dwusilnikowy, dziesięciomiejscowy turbośmigłowiec. Maszyna stała daleko od budynków lotniska, a od zwykłych cywilnych samolotów odróżniały ją tylko insygnia Sił Powietrznych USA i fakt, że załoga miała na sobie kombinezony z zielonkawego nomeksu. Uśmiech, ukłon, moje uszanowanie. Pani sierżant upewniła się, że Ryan wie, co się robi z pasem bezpieczeństwa i raz -dwa omówiła na użytek pasażera sposoby ewakuacji z samolotu. Pilot obejrzał się na nich niecierpliwie, jako że czas gonił. Ruszyli natychmiast. Ryan dziwił się trochę, że nie dostał do ręki papierów, które by go wtajemniczyły w nową sprawę. Na razie popijał lotniczą Coca-colę i żałował, że nie przebrał się w drugi, mniej wymięty garnitur.

Inna sprawa, że sam postanowił się nie przebierać. Głupie skrupuły. Lot trwał czterdzieści siedem minut, do lądowania w bazie Andrews podchodzili bez kolejki. Wypadałoby właściwie polecieć śmigłowcem z Andrews do Białego Domu, lecz zrezygnowano z tego punktu programu, by nie zwracać uwagi. Major Lotnictwa, znów cały w ukłonach, podprowadził Ryana do tandetnej służbowej limuzyny z milkliwym kierowcą. Ryan rozsiadł się z tyłu i zamknął oczy. Major usadowił się z przodu. Próba drzemki nie powiodła się, choć Ryan znał już do znudzenia widoki wzdłuż drogi szybkiego ruchu Suitland, a drogę mógłby recytować z pamięci. Ze Suitland zjechali na obwodnicę I-295, a z niej prawie natychmiast na dolotową I-395, kierując się ku zjazdowi na Maine Avenue.

Ponieważ było wczesne popołudnie, pokonali trasę dosyć szybko. Niedługo potem samochód zatrzymał się przy wartowni u zachodniego wjazdu do Białego Domu. Rzecz niesłychana, strażnik machnął tylko ręką, nakazując im, aby jechali dalej. Z przodu majaczył już ocieniony markizą zjazd do podziemnego garażu. Pod markizą uśmiechała się znajoma twarz.

— Cześć, Arnie — Ryan podał prawicę szefowi personelu Białego Domu. Arnold Van Damm był

zbyt dobrym fachowcem, żeby rezygnować z jego usług przy zmianie rządzącej ekipy, a poza tym prezydent Robert Durling potrzebował kogoś tak ustawionego jak Arnie. Na początku myślał oczywiście o tym, by go zastąpić którymś z własnych ludzi, lecz van Damm bił ich wszystkich na głowę. Ryan stwierdził w duchu, że Arnie prawie się nie zmienił: te same sportowe koszule firmy L. L. Bean, ta sama szczerłość na obliczu. Nowe były tylko zmarszczki i wyraz wielkiego zmęczenia. Ba, to samo dałoby się powiedzieć nie tylko o nim.

— Przy ostatnim spotkaniu kazałeś mi się stąd zabierać — zaczął konwersacyjnie Jack, próbując się zorientować, o co chodzi.

— Każdemu wolno strzelić byka, Jack.

Oho. Ryan w mgnieniu oka zdwoił czujność, lecz wiedziony mocnym uściskiem dłoni, prędko znalazł się w środku. Agenci Tajnej Służby, którzy strzegli wejścia, bez ceregieli wręczyli mu przepustkę i przepuścili przez bramkę z wykrywaczem metali. Za pierwszym razem wykrywacz zabrzączał, więc Ryan odłożył na tackę klucz do hotelowego pokoju i już spokojnie spróbował znowu. Kolejny brzączyk.

Okazało się, że zapomniał o jeszcze jednym metalowym przedmiocie: miniaturowej łopacie do zaklepywania szram wydartych w darni pola golfowego.

— Kiedyś ty zdążył zabrać się za golfa? — zapytał van Damm z rechem, który harmonizował z wyrazem twarzy najbliższego tajniaka.

— Miło słyszeć, że się za mną nie włączycie, skoro nie wiesz. Gram od dwóch miesięcy. Jeszcze trochę i przechodzę na zawodowstwo.

Szef personelu wskazał Ryanowi ukryte schody po lewej.

— A wiesz, dlaczego na tę grę mówi się „golf”?

— Wiem, słyszałem. Dlatego, że słowo „chujozą” było już zajęte. — Ryan zatrzymał się na półpiętrze i walnął wprost: — A co tu jest grane, Arnie?

— Nie udawaj, że nie wiesz — usłyszał tylko.

— Dzień dobry, doktorze Ryan! — przywitała go starsza agentka Helen D’Agustino, jak zawsze piękna, jak zawsze w osobistej ochronie prezydenta USA. — Poproszę za mną.

Prezydentura to zajęcie, które bynajmniej nie odmładza. Roger Durling był może niegdyś

spadochroniarzem, wspinającym się w Wietnamie na wzgórze Centralnego Płaskowyzu, i nawet teraz lubił biegać dla zdrowia czy grać w squasha, lecz tego popołudnia wyglądał jak cień człowieka. Jack uświadomił sobie prędko coś jeszcze: przed prezydenckim obliczem znalazł się natychmiast, bez postępu w jednej z licznych poczekalni, a uśmiechy na twarzach prezydenckiej świty były aż nadto wymowne.

Durling poderwał się zza biurka nader żywo, jak gdyby chciał okazać, jak bardzo się cieszy na widok gościa.

— Co tam słysząc w papierach wartościowych, Jack?

Uścisk dłoni towarzyszący tym słowom był mocny i pewny. A także niecierpliwy.

— Dużo słysząc. Mam masę roboty, panie prezydencie.

— Bez żartów. A partyjki golfa w Zachodniej Wirginii? — zapytał Durling, wskazując Ryanowi fotel przy kominku, a pod adresem pary agentów, która przyprowadziła Ryana, dodał: — To byłoby wszystko. Państwu już dziękuję.

— Najgorszy z moich obecnych nałogów — przytaknął Ryan, słysząc jak za jego plecami zamykają się drzwi. Nie pamiętał okazji, przy której znajdowałby się tak blisko najważniejszej osoby w państwie bez opieki agentów Tajnej Służby. A jeśli zważyć, od jak dawna był osobą najzupełniej prywatną...

Durling także zasiadł w fotelu i oparł się wygodnie. Emanowała z niego energia, choć raczej ta umysłowa, nie cielesna. Widać było, że rozmowa za chwilę stanie się ciekawa.

— Powiniennem właściwie przeprosić za zakłócenie wakacji, lecz nic z tego — usłyszał Ryan od prezydenta Stanów Zjednoczonych. — Doktorze Ryan, te wakacje trwają już dwa lata. Ale od dziś koniec.

Dwa lata. Przez pierwsze dwa miesiące tego okresu Jack leżał bykiem i w zaciszu gabinetu zastanawiał się, czy nie zacząć szukać posady wykładowcy. Każdego ranka obserwował, jak Cathy wybiega z domu, by zdążyć na czas do kliniki uniwersytetu Johna Hopkinsa, przygotowywał dla malców drugie śniadanie i powtarzał sobie, jakie to cudowne, móc nareszcie odpocząć. Kiedy zaś upłynęły owe dwa miesiące, Jack musiał przyznać w duchu, że nigdy jeszcze tak się w życiu nie namęczył, jak właśnie podczas ostatnich tygodni bezczynności. Wystarczyły trzy rozmowy kwalifikacyjne, by znalazło się dla niego zajęcie w firmie inwestycyjnej, dzięki czemu znów mógł każdego ranka ścigać się z żoną o to, które z nich pierwsze wyjdzie z domu, i oczywiście marudzić, że na nic nie ma teraz czasu. Korzyść miał

natomiast Jack taką, że nie zwidywał mu się już kaftan bezpieczeństwa. Co z tego, że przez ostatnie lata uskładał trochę pieniędzy? Siedzenie na oszczędnościach wcale mu się nie uśmiechało. Poza tym pieniądze interesowały go coraz mniej. Rzecz polegała na tym, że nie zdołał dotąd znaleźć dla siebie miejsca w życiu. Zaczynał się już martwić, czy w ogóle kiedykolwiek to nastąpi.

— Panie prezydencie, pobór do wojska skończył się parędziesiąt lat temu — odparł teraz od niechcenia. Żart był jednak nie na miejscu i Jack pożałował swoich słów już w chwili, gdy je wypowiadał.

— Raz już powiedział pan ojczyźnie „nie, dziękuję” — usłyszał. Cięta odpowiedź położyła kres uśmiechom. Czyżby Durling znajdował się aż pod taką presją? Fakt, że na brak kłopotów prezydent nie mógł ostatnio narzekać, a nadmiar stresu przyprawiał go o wieczne zniecierpliwienie, dość nieoczekiwane u osoby, której głównym zadaniem było chwalenie i uspokajanie szerokich rzesz. Z tym oczywiście, że prezydent zwracał się w tej chwili nie do szerokich rzesz, a do jednej osoby: do Jacka Ryana.

— Odmówiłem wtedy, panie prezydencie, bo miałem naprawdę dosyć. Nie wiem, czy w tamtym stanie w ogóle bym się...

— Pana sprawa. Czytałem pańskie akta. W całości — dodał Durling. — Wiem nawet, że gdyby nie ta pańska akcja w Kolumbii przed paroma laty, mnie też mogłoby nie być w tym gabinecie. Miał pan okazję przysłużyć się krajowi, a potem miał pan sposobność, żeby sobie odpocząć, wrócił pan do świata finansów... Podobno nawet z niezłym skutkiem. No, ale teraz pora wracać między nas.

— W jakim charakterze? — zapytał Jack.

— W charakterze lokatora gabinetu za rogiem, po drugiej stronie korytarza Tamtejsi pańscy poprzednicy niezbyt się popisali — dodał Durling, bo w samej rzeczy, Cutter i Elliot nie sprawdzili się ani trochę, a nowy, osobiście wybrany przez Durlinga doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Tom Loch, nie radził sobie zupełnie. Z porannej prasy Ryan dowiedział się, że Loch lada dzień rozstanie się z fotelem. Wyglądało na to, że przynajmniej tym razem gazety nie kłamią.

— Co tu dużo mówić, doktorze Ryan, jest nam pan potrzebny. Nam i mnie osobiście.

— Bardzo mi to miło słyszeć, panie prezydencie, ale tak w gruncie rzeczy..

— W gruncie rzeczy, Ryan, mam na głowie koszmarne kociokwik w sprawach wewnętrznych, doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, a moi współpracownicy prześcigają się w tym, co by tu jeszcze sknocić. Cierpi na tym cały kraj, choć wcale nie musi. Nie opowiadam takich rzeczy na zewnątrz, poza obrębem tego gabinetu, ale tu, we własnym gronie, chcę je opowiadać i muszę. W Departamencie Stanu mamy burdel. W Obronie jeszcze większy.

— Za to w Departamencie Skarbu Fiedler radzi sobie doskonale — zaproponował Jack, — A jeśli zależy panu, żeby coś zrobić z Departamentem Stanu, mech pan da awans Scottowi Adlerowi. Fakt, że młody, ale doskonale zna się na robocie, a do tego ma wyobraźnię polityczną.

— Żeby go przepchnąć, musiałbym się bawić w ręczne sterowanie zza tego biurka, a na to nie mam czasu. Buzzowi Fiedlerowi przekażę pańskie komplementy — dodał Durling półżartem.

— Fiedler to geniusz, jeśli chodzi o taką dłubaninę, jak po drugiej stronie ulicy. Facet jest dokładnie jak trzeba. Z tym, że jeśli chce pan w ogóle zdusić inflację, trzeba się za to zabrać teraz, zaraz.

— Obsmarują go za to z prawa i z lewa — przerwał Durling. — Nie szkodzi, dokładnie tak mu kazałem Ma bronić dolara przed spadkiem, a inflację zdusić do zera. Moim zdaniem powinno mu się udać. Przynajmniej na razie na to się zanoszą.

— Ja te tak myślę.

Ryan skinął głową na znak, że się zgadza, w myślach błagając rozmówcę, by ten przeszedł wreszcie do rzeczy.

— Proszę to przeczytać. — Durling podał mu skoroszyt z aktami.

— Już czytam — Jack rozchylił okładkę i przerzucił pierwsze, sztywne stroniczki z ostrzeżeniami na temat najwymyślniejszych sankcji prawnych wobec osób, które odważą się rozpowszechnić treść dokumentu. Jak zwykle, cenne informacje, których ochroną tak martwili się autorzy postanowień kodeksu o odpowiedzialności karnej, nie odbiegały aż tak bardzo od wieści, które każdy szary obywatel mógł

wyczytać na łamach „Time”. Co więcej, dziennikarze z „Time” mieli lepsze pióra. Prawą ręką Jack sięgnął po kawę. Filiżanka była irytująco krucha, jakże różna od kubków bez ucha, które tak lubił. Zastawa stołowa w Białym Domu była może elegancka, ale zdecydowanie niepraktyczna. Każda wizyta w tych murach przypominała Ryanowi odwiedziny w rezydencji nieprzyzwoicie nadzianego szefa. Większość szczegółów wystroju wydawała się odrobinę w złym...

— Coś niecoś o tym słyszałem, ale nie spodziewałem się, że sprawa jest aż tak... ciekawa —

mruknął Jack.

— Ciekawa? — W głosie Durlinga dało się słyszeć nieobecne na jego twarzy rozbawienie. —

Oryginalnie pan to ujął, nie powiem.

— Kto jest dyrektorem pionu operacyjnego, nadal Mary Pat? — zapytał Ryan. Odpowiedzią było tylko skinienie głowy.

— Była tu u mnie miesiąc temu, żeby wyszarpnąć fundusze na modernizację swojej połówki Firmy. Owszem, argumenty miała nie do zbitia. Nie dalej jak wczoraj Al Trent dostał w komisji zgodę na poprawkę w budżecie na ten temat.

Jack roześmiał się.

— Pójdzie tym razem przez Rolnictwo czy Sprawy Wewnętrzne? — zapytał, świadomy, że tę część budżetu CIA przekazywano Firmie prawie wyłącznie poprzez inne agendy rządowe.

— Słyszałem, że przez Zdrowie i Opiekę Społeczną.

— No tak, ale zanim coś będzie z tych pieniędzy, miną jeszcze dwa albo trzy lata..

— Wiem, wiem — Durling zakręcił się nerwowo w fotelu — Ale, ale, Jack, jeśli naprawdę tak się pan tym wszystkim przejmuje, to dlaczego...

— Jeżeli czytał pan moje akta, to dobrze wie pan, dlaczego.

Jack miał w rzeczywistości ochotę powiedzieć, że ileż można od niego w końcu chcieć, ale nie zdobył się na to. Nie pora i nie miejsce, a i rozmówca nie ten. Wrócił więc do lektury dokumentów, pośpiesznie przewracając kolejne stronic.

— Sam zdaję sobie sprawę, jakim błędem była rezygnacja z usług żywych agentów na rzecz tych nowinek technicznych. Trent i Fellows są tego samego zdania, co pani Foley. W tym gabinecie, Jack, ma się tyle roboty, że czasem człowieka może rozboleć głowa.

Ryan podniósł wzrok i prawie się uśmiechnął na widok twarzy prezydenta. Durling był

wykończony, o czym najlepiej świadczyły sińce pod oczami. Sam Durling z kolei ujrzał podobne ślady na twarzy Jacka Ryana.

— Kiedy może pan przystąpić do obowiązków? — zapytał prezydent Stanów Zjednoczonych.

Inżynier zdążył już wrócić do swojej hali. Włączył kolejno wszystkie lampy i przyjrzał się automatycznym obrabiarkom. Kierował mmi z oszklonej budki kontrolnej, tak umieszczonej na podwyższeniu, że podnosząc lekko głowę można było mieć na oku wszystkie czynności, jakie się działy w całej hali. Za kilka minut miała się tu zjawić zmiana. To, że szef przybywa najwcześniej — i to w kraju, w którym normą jest zjawianie się w pracy dwie godziny wcześniej niż trzeba — miało odpowiednio nastroić podwładnych. Pierwszy z nich pokazał się w hali niecałe dziesięć minut później, powiesił

marynarkę na haku i pomaszerował do kąta, żeby przygotować kawę. Nie herbatę — obaj z inżynierem uświadomili sobie jednocześnie ten fakt. Zachodnie obyczaje, tak? Reszta pracowników przybyła dużą grupą, złoścąc się po cichu lecz i zazdroszcząc koledze, który tak umiał zapunktować u siedzącego w oświetlonej budce szefa. Jeszcze tylko parę ćwiczeń gimnastycznych, potrzebnych by się rozluźnić i by okazać, jak bardzo załodze zależy na zadaniu, i można było włączać obrabiarki. Dwie godziny przed wyznaczoną porą inżynier wychynął wreszcie z budki i przywołał do siebie całą zmianę, aby omówić z nią szczegóły zadania. Wszyscy wiedzieli doskonale, o co chodzi, lecz instruktaż należał im się tak czy owak. Pogadanka zajęła dziesięć minut, a kiedy się skończyła, wszyscy zabrali się do pracy. Tym razem był to najzupełniej normalny sposób rozpoczęcia wojny.

Kolacja była odświętna, bo siedli do niej w belkowanej, wysokiej jadalni przy dźwiękach fortepianu, skrzypiec i w brzęku kryształowych kieliszków. Rozmowy toczyły się jednak zupełnie zwyczajnie. Tak przynajmniej się wydawało Jackowi, który popijał wino i mozolił się nad głównym daniem. Sally i mały Jack radzili sobie w szkole po prostu świetnie. Kathleen za miesiąc skończy dwa latka. Na razie najmłodsza biegała po całym domostwie na urwisku Peregrine, stanowcza i

wymagająca jak na swój wiek. Ulubienica i pupilka ojca, a do tego postrach żlobka. Robby i Sissy starali się jak umieli, lecz wciąż pozostawali bezdzietni, musieli więc też się zadowolić rolami przyszywanego wujka i cioci Ryanowej trójki. Byli zresztą z tego dumni prawie jak sam Jack i Cathy. Jack wiedział, że musi im być smutno, ale co zrobić? Ciekawe, czy Sissy płacze czasem z tego powodu w zaciszu sypialni, na przykład kiedy Robby musi tkwić daleko od domu? Tak się składało, że Jack nie miał brata. Nie szkodzi — Robby był mu bliższy niż prawdziwy brat. Szkoda, że szczęście nie chce się uśmiechnąć do przyjaciela i jego żony, tym bardziej, że Sissy to naprawdę anioł...

— Ciekawe, jak sobie radzą beze mnie w pracy.

— Na pewno zaczęli planować inwazję na Bangladesz — podsunął Jack, postanawiając znów włączyć się do rozmowy.

— Nie, na ten pomysł wpadli w zeszłym tygodniu — odpowiedział mu rozbawiony Jackson.

— Właśnie, jak sobie tam bez nas radzą? — zmartwiła się Cathy, myśląc zapewne o losie swoich pacjentów.

— Przynajmniej ja mam spokój. Sezon koncertowy zaczyna się dopiero za miesiąc — zauważyła Sissy.

— Mhmm — skwitował to Ryan i znów zapatrzył się w talerz, nie bardzo wiedząc, w jaki sposób przyjdzie mu się podzielić nowiną.

— Jack, ja wszystko wiem — wyręczyła go wreszcie Cathy. — Nie udawaj, że nie masz nic na sumieniu.

— Skąd... Kto ci...?

— Spytała mnie, gdzie się podziewasz — wyjaśnił Robby z drugiego końca stołu.

— Wiesz, że nam, oficerom Marynarki, nie wolno kłamać.

— Myślałeś, że będę wściekła? — zapytała Cathy swego męża.

— Właśnie.

— Nie macie pojęcia, co siedzi w tym facecie — wyjaśniła Cathy pozostałym biesiadnikom. —

Co rano bierze do ręki gazetę i z miejsca marudzi. Wieczorem włącza w telewizji dziennik, to samo. W

niedzielę ogląda wywiady z politykami i marudzi. Jack — dodała już ciszej. — Myślisz może, że sama bym się zgodziła rozstać z chirurgią?

— Pewnie nie, ale to nie to samo, co...

— Może i nie to samo, ale dla ciebie to samo, i kropka. Kiedy zaczynasz? — zapytała męża Caroline Ryan.



# Absolwenci

Jack słyszał kiedyś w radio audycję na temat pewnego uniwersytetu na Środkowym Zachodzie USA. Naukowcy opracowali tam specjalny zestaw urządzeń, mający badać warunki we wnętrzu tornado czyli trąby powietrznej. Odtąd każdej wiosny profesorowie i doktoranci ustawiali maszynę — przezywaną

„Toto” na cześć pieska porwanego przez tornado w bajce o Czarodzieju z Oz — na domniemanej trasie przyszłego kataklizmu. Jednak ich wszystkie dotychczasowe wysiłki spełzały na niczym. Ryan był zdania, że gdyby to od niego zależało, potrafiłby badaczom wskazać odpowiednie miejsce. Inna sprawa, że drzew po drugiej stronie ulicy, w Parku Lafayette, nie muskał dziś ani jeden powiew. Dziwne. Biuro prezydenckiego Doradcy Do Spraw bezpieczeństwa Narodowego było przecież od zawsze autentycznym okiem cyklonu. Co gorsza, mógł się tu dostać praktycznie każdy, kto zechciał.

— Bo wiesz — wrócił do przerwanego wątku Ryan, siadając w fotelu — wszystkim się wydawało, że teraz sprawy potoczą się dużo prościej.

Zręcznie nie ujawnił rozmówcy, że przez „wszystkich” rozumiał głównie siebie.

— Ha! Dawniej w świecie obowiązywały pewne reguły gry, a teraz skąd. Żadnych reguł — przypomniał mu Scott Adler.

— A powiedz mi, Scott, jak sobie z tym radzi prezydent?

— Pytasz serio? — Adler chciał przez to powiedzieć, że są w Białym Domu i nie wiadomo, ile magnetofonów nagrywa treść ich rozmowy. — Dobrze, masz. Sknociliśmy sprawę w Korei, ale się nam upiekło. Bogu dzięki, że nie sknociliśmy niczego na taką skalę w Jugosławii, ale tam znów trudno było coś jeszcze bardziej zepsuć, taka to miła okolica. Z Rosją radzimy sobie o tyle, o ile. Afrykę można spokojnie przedrzeć na pół i wyrzucić do kosza. Jedyne, co nam ostatnio rzeczywiście wyszło, to ten pakt o wymianie handlowej...

— Do którego nie przystąpiły ani Chiny, ani Japonia — dokończył za niego Jack.

— Ale, ale! Przecież nie kto inny jak my dwaj uspokoiiliśmy Bliski Wschód. Już zapomniałeś?

Tam przynajmniej wszystko się jakoś trzyma.

— To gdzie jest teraz najgoręcej, twoim zdaniem? — zapytał Jack, któremu nie zależało na komplementach z okazji misji bliskowschodniej. „Sukces”, jaki wypracowali, przyniósł jak najfatalniejsze skutki uboczne, na tyle poważne, że Jack wycofał się wówczas ze służby rządowej.

— Wybieraj, przebieraj — zachęcił go Adler. Ryan tylko kiwnął głową.

— A szef Departamentu Stanu?

— Hanson? Politykier — orzekł zawodowy dyplomata z dumą całkiem na miejscu u kogoś, kto z pierwszą lokatą ukończył szkołę kadr Fletchera i przeszedł w Departamencie Stanu wszystkie szczeble kariery, nie zważając na nudę i intrygi. Może nie zjadł zębów na dyplomacji, ale na pewno rozwiódł się i wyłysiał. Jack domyślał się, że Adler haruje tak po prostu dlatego, że zależy mu nie na sobie, a na Ameryce, jak by to śmiesznie nie zabrzmiało. Jego ojcu udało się przeżyć Auschwitz i znaleźć w USA bezpieczny dom Dla Adlera miało to znaczenie. Co ważniejsze, nie kochał Ameryki na ślepo — nawet teraz, kiedy obecna posada trafiła mu się z politycznej nominacji. Podobnie jak Jack Ryan, Adler zależał

w stu procentach od gospodarza Białego Domu, lecz mimo to nie bał się uczciwie odpowiadać na wszystkie pytania.

— Gorzej niż politykier — wspomógł go Ryan — To prawnik, zawodowy krętacz. Tacy się zawsze we wszystko wpięprzają.

— Wiecznie te twoje urazy. — Adler uśmiechnął się i nagle spoważniał. — O co ci chodzi, Jack?

Czy dzieje się coś nowego?

— Nowego? Prędzej są to stare porachunki Posłałem dwóch ludzi, żeby załatwili sprawę jak trzeba.

Zasadnicze prace łączyły w sobie elementy górnictwa i wiertnictwa przemysłowego — za to roboty wykończeniowe przypominały kładzenie finezyjnej sztukaterii. Czas zaś bardzo gonił. Wszystkie otwory były już gotowe, choć wcale nie tak prosto jest wykuć idealnie pionową sztolnię w litej bazaltowej skale — a w dolinie było aż dziesięć takich sztolni Każdy z otworów miał dziesięć metrów średnicy i czterdzieści metrów głębokości Dziewięciuset robotników, pracując na trzy zmiany, ukończyło wiercenia dwa tygodnie przed ustalonym terminem, i to mimo obowiązujących środków ostrożności. Od najbliższej linii szybkiej kolei Szin-Kansen doprowadzono sześciokilometrową bocznice. Na całej jej długości zamiast zwykłych kratownic, podtrzymujących przewody zasilania, ustawiono słupy z zaczepami. Do zaczepów z kolei podwiązano sześć kilometrów siatki maskującej.

Dla geologa historia tej japońskiej doliny stanowiła z pewnością pasjonujące zagadnienie. Tak się przynajmniej wydawało kierownikowi budowy. Dolina była tak wąska i wcięta, że rankiem słońce pokazywało się nad jej stromą wschodnią krawędzią dobrą godzinę po czasie. Nic dziwnego, że w przeszłości budowniczości kolei nie chcieli się tutaj pchać Głębokim wąwozem, przy dnie szerokimi miejscami zaledwie na dziesięć metrów, płynęła dawniej górską rzeką, lecz dawno skierowano ją w inne koryto, pozostawiając suchy, skalny okop, jak zapomnianą po wojnie transzeję Zapomnianą? A może przygotowaną z myślą o następnej wojnie? Kierownik doskonale zdawał sobie sprawę, na czym w istocie polega zadanie, choć oficjalnie powiedziano mu tylko, żeby trzymał język za zębami i robił swoje. Z

doliny można się było wydostać jedynie wzdłuż jej biegu, albo prosto w górę Czyli pociągiem lub śmigłowcem Inne możliwości urągałyby prawom balistyki Czyli innych możliwości nie było.

Kierownik obserwował, jak olbrzymia ładowarka firmy Kowa pakuje na wagon kolejną porcję

pokruszonej skały Był to już ostatni ładunek. Za chwilę dieslowska lokomotywa przetokowa pociągnie sznur pełnych wagonów w stronę głównej linii, gdzie przejmie je elektrowóz.

— Gotowe — zameldował brygadzysta, wskazując ku krawędzi sztolni. Robotnik stojący na dnie cylindrycznego leja naciągnął dolny koniec długiej taśmy mierniczej Dokładnie czterdzieści metrów Oczywiście wcześniej obmierzono już dokładnie całą sztolnię za pomocą laserowych teodolitów, lecz tradycja nakazywała sprawdzić te pomiary ręcznie, okiem doświadczonego robotnika Wiertacz, który stał

na dnie sztolni, był już po czterdziestce i znał się na rzeczy Na jego twarzy malował mu się wyraz wielkiej dumy. Oczywiście on także nie miał pojęcia, co właściwie buduje jego brygada.

— *Hai!* — skwitował pokaz kierownik robót i skłonił się leciutko Wiertacz z dna otworu skwapliwie, lecz godnie odwzajemnił ukłon Pozostawało teraz czekać, aż na platformie następnego pociągu przybędzie gigantyczna betoniarka Wokół sztolni leżały złożone w stosy pręty zbrojeniowe i kratownice, w komplecie. Pozostawało tylko opuścić je kolejno na dno skalnej studni Kończąc wiercenia w takim tempie, brygada prześcignęła najbliższych sąsiadów o dobre sześć godzin, a szóstą grupę aż o dwa dni. Brygada mozoląca się nad sztolnią numer sześć natknęła się bowiem na wyjątkowo trudne podłoże skalne i mimo najlepszych wysiłków została w ogniu. Kierownik robot wiedział, że będzie musiał zaraz się tam udać, podziękować ludziom z szóstki za ich herkulesowe wysiłki i pocieszyć, że nie muszą się wstydzić z ostatniego miejsca. Brygada numer sześć stanowiła najlepszy zespół. Szkoda, że miała takiego pecha.

— Jeszcze trzy miesiące. Zdążymy na czas — orzekł tonem fachowca brygadzysta.

— Kiedy szóstka przestanie się wreszcie grzebać, zabawimy się Wasi ludzie zasłużyli sobie na to.

— Coś mało to wszystko zabawne — zauważył Chavez.

— A w dodatku upał — zgodził się z mm Clark. Klimatyzacja w ich Land Roverze albo zwyczajnie wysiadła, albo dała za wygraną. Na szczęście zabrali ze sobą zapas butelkowanej wody.

— Upał, ale na szczęście sucho — pocieszył Clarka Chavez takim tonem, jak gdyby wilgotność powietrza miała jeszcze znaczenie w temperaturze 44 stopni Celsjusza. 114 stopni Fahrenheita! Lepiej już było liczyć w skali Celsjusza zawsze to trochę chłodniej Każdy oddech parzył płuca i gardło, piekące od przegrzanego powietrza. Ding odkręcił korek kolejnej plastikowej butelki z wodą. Źródłana woda, tyle że mało chłodna. 39 stopni. Ciekawe, że smakowała jak z lodówki.

— Na wieczór zapowiedzieli przymrozki. Może spadnie do trzydziestu stopni.

— Co ty powiesz.! Dobrze, że zabrałem ze sobą sweter. — Chavez zamilkł, otarł pot z czoła i znów przyłożył lornetkę do oczu. Szklą były pierwszorzędne, ale pomagały tyle co nic, trochę lepiej było jednak przez nie widać kipiel rozprężonego powietrza, która przelewała się jak fale na wzburzonym, niewidzialnym morzu, W tych okolicach jedynymi żywymi stworzeniami były pustynne sępy, które dawno oczyściły do połysku kości każdego zwierzęcia, które się tu zabłąkało. Chavezowi przyszło na myśl, że dawniej uważał Pustynię Mojave za odludną i ponurą okolicę. Tam przynajmniej można się

było natknąć na kojota, a tu?

Clark zastanawiał się tymczasem, dlaczego zawsze musi to wyglądać tak samo. Podobne zadania wyznaczano mu od... Czyżby już od trzydziestu lat? Może nie od trzydziestu, ale prawie. Rany boskie Przez cały ten czas Clarkowi nie zdarzyło się wypełniać misji tam, gdzie czułby się między swymi, niewidzialny. Niby nieważne, ale miejscowe alibi zaczynało się im powoli wyczerpywać. Cały tył Land Rovera zawalony był sprzętem geodezyjnym i skrzynkami na próbki skalne. Wszystkie te manele miały wmówić tubylcom, że pod ich izolowanym masywem skalnym spoczywa ogromne złożo molibdenu.

Tubylcy wiedzieli zapewne doskonale, jak wygląda złoto, ale złoto pozna każdy. Co innego minerał przez górników zwany pieszczotliwie kurwibdenem: dla niewtajemniczonych był on zagadką, ale za to na rynku płacono za niego niezłe ceny. Clark już niejedną raz udawał poszukiwacza molibdenu. Na widok wyprawy geologicznej w ludziach nieodmiennie odzywała się ta sama żyłka chciwości. Jakże tu nie uwierzyć, że stąpa się po skarbcu, po który tylko sięgnąć? W dodatku ze swoją szeroką, pocziwą twarzą John Clark naprawdę wyglądał na doświadczonego inżyniera-geologa, kogoś komu się ufa.

Clark sprawdził, która godzina. Spotkanie wyznaczili za półtorej godziny, o zachodzie słońca, ale warto było przyjechać wcześniej, choćby po to, żeby sprawdzić teren. Gorąco, w polu widzenia nikogusieńko — rzecz jasna. Wyznaczone miejsce leżało o trzydzieści kilometrów od góry, co do której mieli dziś prowadzić negocjacje. Krótkie negocjacje. Krzyżowały się tu dwie drogi, czy raczej dwa szlaki pustynne, jeden idący z północy na południe, a drugi z grubsza biorąc ze wschodu na zachód. Oba gościńce widać było doskonale, i to pomimo wiatru i piasku zawiewającego ślady. Clarkowi nie mogło się to pomieścić w głowie. Trwająca od kilku lat susza pogorszyła tylko tutejsze warunki, ale nawet jeśli czasem pada deszcz, skąd biorą się ludzie, którzy podróżują tymi szlakami? Przecież nikt tu nie mieszka?

A może mieszka, tam, gdzie znajdzie się trochę trawy dla kóz, jakaś woda? Tam, gdzie nie zjawia się co rusz uzbrojona banda, żeby ukraść kozy i powybić pasterzy? Ale na razie jedynymi ludźmi w okolicy było dwóch agentów CIA, którzy rozwaleni na fotelach otworzyli okna wozu i pili wodę, pocili się i znów pili... Nie rozmawiali już, bo nie było o czym.

Samochody pokazały się na drodze, gdy zaczynało już zmierzchać. Agenci zauważyli najpierw warkocz kurzu, a po nim następne, jak ślady torowe, ciągnące się za grupą motorówek z silnikami strumieniowymi. W słabnącym świetle dnia kurz wydawał się jadowniczo żółty. Jak to możliwe, że w tak zakazanych okolicach są jeszcze ludzie, którzy wiedzą, jak się prowadzi czy naprawia ciężarówkę?

Ciekawe, ciekawe. Oznaczało to bądź co bądź, że cała kraina może jeszcze na coś liczyć. Skoro nawet bandyci umieją naprawiać ciężarówkę, uczciwi ludzie też pewnie to potrafią. A przecież Chavez i Clark przybyli tu właśnie po to, by pomóc tym ostatnim.

Wóz, który wysforował się daleko przed resztą konwoju był stary i zapewne służył kiedyś do potrzeb armii, choć był tak pokiereszowany, że marki i kraju produkcji można się było tylko domyślać.

Jego kierowca zatoczył stumetrowy krąg wokół Land Rovera, a pasażerowie skrupulatnie przyjrzeni się

„geologom”. Za szoferką widać było wyraźnie strzelca przy tyłcach rosyjskiego karabinu maszynowego kalibru 12,7 mm. Pasażerów pierwszego wozu ich szef nazywał „policjantami” choć jeszcze parę lat wcześniej popularna była nazwa „wóz techniczny”. Po dłuższej chwili plemienni policjanci zatrzymali się i wysiedli. Nie spuszczać oka z Land Rovera, stali nieruchomo, ściskając stare karabiny G3, zakurzone wprawdzie, ale na pewno sprawne. Można się było tym nie przejmować, bo zapadał wieczór, a starszy grupy zaczął już rozdzielać porcje *chatu*. Chavez obserwował, jak jeden z policjantów siada w cieniu ciężarówki i zaczyna żuć swój przydział narkotycznego zielska.

— Jaka durna ta dzicz. Nawet im nie przyjdzie do głowy, że można to palić, zamiast żuć —

westchnął Chavez. Miał wrażenie, że westchnienie grzęźnie w rozpalonym powietrzu wewnątrz wozu.

— Dobrze wiesz, Ding, że można sobie tym rozwalić płuca.

Człowiek, z którym mieli się za chwilę spotkać, zbił na zielsku sporą fortunę. Dostarczał *chat* samolotami z sąsiednich krajów — nie on jeden, bo handel *chatem* stanowił 40 procent całej wymiany handlowej kraju. Małe samoloty przywoziły ładunek przeważnie z Somalii, co dotyczyło Clarka i Chaveza do żywego. Trudno, nie chodziło o prywatne porachunki. Prędzej już o stary i pokaźny dług. Generał

Mohamed Abdul Korp — generałem nazwali go dziennikarze, nie bardzo wiedząc, jaki tytuł będzie odpowiedni dla pustynnego watażki — przyczynił się swego czasu do zgładzenia dwudziestu amerykańskich żołnierzy. Swego czasu, czyli przed dwoma laty. Zbyt dawno, by pamiętały to jeszcze światowe środki przekazu. Puszczono rzecz w niepamięć, gdyż po epizodzie z Amerykanami, Korp powrócił do przerwanej zajęcia, jakim było mordowanie własnych ziomków. Clark i Chavez tłukli się po pustyni teoretycznie po to, by zaradzić temu drugiemu złu, ale na szczęście sprawiedliwość miewa różne postacie. Clark mógł prowadzić dwie kampanie na raz: oficjalną i tę prywatną. W dodatku Korp zajmował się handlem narkotykami... Bóg okazał się tym razem niezmiernie łaskawy.

— Może się trochę ogarniemy, zanim tu podjedzie? — zaproponował Ding, nie tak spokojny jak przedtem. Widać było po nim zdenerwowanie. Czwórka żołnierzy z ciężarówki zdążyła już zlegnąć i zająć się żuciem *chatu*. Karabiny położyli sobie na podółkach, a o karabinie maszynowym na ciężarówce zapomnieli do reszty. Czwórka stanowiła straż przednią generalskiego orszaku, co z tego, że niezbyt czujną?

— Szkoda fatygi — zbył Chaveza Clark.

— Kurczę, tłuczemy się po tej pustyni już sześć tygodni!

Sześć tygodni, wszystko z myślą o jednej rozmowie. Trudno, zdaje się, że takie jest życie.

— Muszę z siebie wypocić ze cztery kilo — odezwał się Clark z wymuszoną wesołością. Cztery kilo albo więcej. — Trudno, takich spraw nie załatwia się szast-prast.

— Ciekawe, jak twojej Patsy idzie na studiach? — mruknął Ding Chavez, kiedy następnych kilka obłoków kurzu przybliżyło się znacznie do ich pozycji.

Clark nie odpowiedział nic, bo co miał mówić? Trochę głupio, że jego młodszy kolega tak się interesuje jego córką. Głupio, ale z drugiej strony... Nawet miło. Nie szkodziło nawet, że Ding jest trochę niższy od Patsy, która wzrost i urodę odziedziczyła po matce. Nie szkodziło też, że Ding miał mocno niewyraźną przeszłość, bo Clark pierwszy gotów był przyznać, że Chavez od paru już lat stawał na głowie, by uniknąć marnego losu, jaki mu przeznaczyło życie. Chłopak miał już trzydzieści jeden lat i...

Zaraz, jaki chłopak? Facet jest dziesięć lat starszy od Patsy, czyli od Patrycji Doris Clark. Clark próbowałby może tłumaczyć Chavezowi, żeby ten dał sobie spokój, że w tej robocie nigdy nic nie wiadomo... Ale po co? Ding odwarknąłby, że sam dobrze wie, jak postępować. Sandy, żona Clarka, była zresztą tego samego zdania.

Clark nie mógł jednak przełknąć faktu, że jego ukochana Patsy, jego mała, kto wie, czy nie zaczęła już sypiać z mężczyzną. I to z kim? Z Chavezem! Jako ojciec, Clark bardzo się denerwował na samą myśl o czymś takim, chociaż oczywiście pamiętał własne młode lata i młodzieńcze wysoki. Miał

rację ten, kto powiedział, że kiedy Bóg chce się zemścić na mężczyźnie, obdarza go córką. Skutek jest taki, że żyje się w ciągłym lęku, iż dziecko napotka na swej drodze kogoś... Kogoś, kto dziwnie przypomina jej ojca, gdy był w tym samym wieku. A ponieważ chodziło o Patsy, Clark żołądkował się okropnie, ale po cichu.

— Ty się lepiej skup na tym, co mamy robić, Ding.

— W porządeczku, panie Clark.

Clark bez odwracania głowy wyczuł uśmiech na twarzy partnera. Wyczuł także, iż uśmiech gaśnie jak zdmuchnięty na widok kolejnych obłoków kurzu w rozprężonym powietrzu pustyni.

— Zaraz cię zgarniemy, skurwielu — sapnął Ding, z kamienną twarzą, wracając do poprzedniej roli. Nie chodziło wyłącznie o poległych Amerykanów. Tacy ludzie jak Korp niszczą wszystko, czego się tylko dotkną i nie dają tej części świata żadnej szansy, żadnego widoku na lepszą przyszłość. Pustynny kraj miał taką szansę przed dwoma laty, czy raczej miałby, gdyby prezydent USA posłuchał rad swoich wojskowych, a nie dygnitarzy z ONZ. Trudno, tyle dobrego, że przez ten czas prezydent zdążył się czegoś nauczyć. Jak na prezydenta, całkiem nieźle.

Słońce zniżało się coraz bardziej i zdążyło już prawie zniknąć za horyzontem. Zrobiło się rzeczywiście chłodniej. Ile tych dodatkowych ciężarówek? Obaj agenci mieli nadzieję, że nie za dużo.

Chavez znów zajął się obserwacją czwórki policjantów z pierwszego wozu. Z odległości stu metrów nie było słyhać, o czym rozmawiają tamci, lecz słowa płynęły coraz wolniej, w coraz łagodniejszym tonie.

Nie ulegało wątpliwości, iż *chat* działa. Zwykle rozsądek nakazywał, aby zabierać się stąd, byle dalej od towarzystwa znarkotyzowanych tubylców i ich karabinów maszynowych, ale tego wieczora trzeba było postawić przepisy na głowie i pójść na całość: paradoks chciał, że tak było bezpieczniej. Kolejny samochód był coraz bliżej. Agenci CIA wysiedli z Land Rovera, żeby rozprostować kości, a potem przywitać się z przybyszami. Ostrożnie i bez pośpiechu.

Osobista gwardia przyboczna, czyli obstawa pustynnego generała prezentowała się nie lepiej, niż obdartusy ze szpiczy czołowej. Mężczyźni mieli na sobie rozchełstane koszule, a od tego, który zbliżył się jako pierwszy, na kilometr wionęło alkoholem. Pewnie udało im się dobrać do prywatnych zapasów generała. Islamska religia zakazywała picia alkoholu, ale co z tego? Islam zakazywał też handlu narkotykami. Jedną z niewielu rzeczy, jakie się podobały Clarkowi w Arabii Saudyjskiej był tamtejszy system sprawnego i szybkiego radzenia sobie z tą kategorią przestępców.

— Witam! — Clark uśmiechnął się na widok emisariusza. — Jestem John Clark, a to mój kolega, pan Chavez. Czekamy tu na generała, dokładnie jak było umówione.

— Co tam macie? — zapytał „policjant”. Clark drgnął, zaskoczony, że tubylec mówi po angielsku, ale posłusznie podsunął mu pod nos worek pełen próbek skalnych, a Ding zaprezentował

zawartość skrzyni z aparaturą pomiarową. Policjant przejrzał wnętrze wozu i nawet ich dokładnie nie obszukał. Cóż za miła niespodzianka.

Niewiele później zjawił się Korp, otoczony najwierniejszymi członkami Ochrony. Ochroniarze cisnęli się w łaziku rosyjskiej produkcji, podczas gdy ich generał miał do dyspozycji Mercedesa, własność biurokraty ze stolicy kraju w czasach, gdy kraj miał jeszcze rząd i stolicę. Mercedes przeszedł niejedno, ale i tak musiał być najporządniejszym samochodem w całym kraju. Korp ubrał się jak stróż na bankiet, bo miał na sobie zieloną wojskową koszulę z potężnymi epoletami, sztruksowe spodnie i wysokie buty, ostatni raz pucowane poprzedniego roku. Słońce zdążyło zniknąć za horyzontem, a mrok zapadał bardzo prędko. W przejrzystym powietrzu pustyni już teraz widać było gwiazdy.

Generał wiedział, jak się należy zachować, a przynajmniej wyobrażał sobie, że wie. Zbliżył się energicznym krokiem i wyciągnął dłoń na przywitanie. Ściskając prawicę Korpa, Clark zastanawiał się, gdzie się podziwiał poprzedni właściciel Mercedesa. Pewnie rozstrzelano go razem z resztą gabinetu rządowego. Władza padła ofiarą własnej nieudolności i barbarzyństwa ludzi takich jak Korp, człowieka, z którym tak się teraz przyjaźnie witali.

— Skończyliście te swoje pomiary? — zapytał Korp. Clarka znów zaskoczyła dość poprawna składnia jego angielszczyzny.

— Tak, generale. Wszystko wiemy. Mam pokazać, cośmy tu znaleźli?

— Rozumie się. — Korp ruszył w ślad za Clarkiem ku tylnym drzwiom Land Rovera. Chavez rozłożył mapę topograficzną i zdjęcia satelitarne, oczywiście nie wojskowe.

— Kto wie, czy nie trafiliśmy na większe złoża od tego w Kolorado. Zawartość czystego kruszcu jest po prostu zdumiewająca. O, właśnie tutaj... — Clark postukał w mapę metalowym szpikulcem.

— Trzydzieści kilometrów od miejsca, gdzie teraz siedzimy...

Clark uśmiechnął się marzycielsko.

— Wie pan, tyle już lat się w to bawię, i zawsze mnie tak samo zdumiewa, kiedy się udaje.

Pomyśleć, parę miliardów lat temu wielka bania płynnego metalu ruszyła z jądra planety w kierunku powierzchni... — Clark zdążył nabrać sporej wprawy w podobnych wykładach, tym bardziej, że w wolnych chwilach rzeczywiście czytywał dla rozrywki podręczniki geologiczne i zapamiętywał co bardziej użyteczne zwroty.

— Tak czy siak — przerwał mu po chwili Chavez — Z warstwą wierzchnią nie będzie tu najmniejszego problemu. Tak samo jak z lokalizacją złoża.

— A to jakim cudem? — zdziwił się Korp. Mapy, którymi dysponował, pochodziły z innej epoki, kiedy kartografowie mogli jeszcze puszczać wodze fantazji.

— Mamy takie jedno urządzenie — Ding podał generałowi pudełko.

— Co to?

— Pozycjometr satelitarny — wyjaśnił Chavez. — Pomaga nam się zorientować w terenie. Proszę tylko nacisnąć ten gumowy guziczek, o, właśnie ten.

Korp usłuchał, podniósł do oczu płaskie pudełko z zielonego plastiku i śledził odczyt na ciekłokrystalicznym ekranie. Cyfry wyświetliły dokładną godzinę. Następnie pozycjometr zaczął szukać sygnału, najpierw z jednego, drugiego, a potem jeszcze dwóch następnych satelitów, orbitujących wokół

Ziemi jako część systemu GPS.

— Niesamowite — przyznał generał i wcale się nie mylił, choć nie mógł znać całej prawdy.

Przyciskając guziczek nie tylko dowiedział się, gdzie się znajdują, lecz co więcej przesłał zakodowany sygnał radiowy. Na pustyni łatwo było zapomnieć, że jest się w odległości raptem stu pięćdziesięciu kilometrów od Oceanu Indyjskiego, i że za linią horyzontu może się czaić okręt. Okręt o płaskim pokładzie. To, że pokład był w tej chwili pusty, także dawało się łatwo wytłumaczyć:



wszystkie śmigłowce wystartowały godzinę wcześniej i czekały teraz w punkcie pośrednim, pięćdziesiąt kilometrów na południe od miejsca spotkania.

Korp jeszcze raz się przyjrzał pozycjometrowi i oddał go w ręce Chaveza.

— Co tak w nim grzechocze? — zapytał zdziwiony.

— A, pewnie bateria się obluzowała — wyjaśnił mu Ding. Ich pozycjometr różnił się od typowego urządzenia także tym, że można było z niego strzelać, choć tylko na minimalną odległość. Innej broni palnej nie mieli. Generał wzruszył ramionami i wrócił do dyskusji z Clarkiem.

— To ile? — spytał bez ogródek.

— Hmm, w zależności od tego, ile będzie nas kosztowało zbadanie zasobności tego złoża, trzeba będzie chyba...

— Ile mi dajecie, panie Clark?!

— Anaconda to bogaty koncern, więc proponuje panu pięćdziesiąt milionów dolarów. Płatne w czterech ratach po dwanaście i pół miliona. Do tego oczywiście dojdzie dziesięć procent udziału w zyskach z wydobycia. Zaliczkę i udział będziemy rozliczać w dolarach amerykańskich.

— Mało, za mało. Dobrze wiem, ile teraz płacą za molibden! — Generał wiedział to, bo przed spotkaniem kazał sobie przynieść stary egzemplarz „Financial Times” z notowaniami cen surowców.

— Zgoda, ale miną co najmniej dwa, a może nawet trzy lata, nim rozpoczniemy wydobycie.

Potem będziemy musieli znaleźć sposób przewozu tych rud do portu. Może ciężarówkami, bo ja wiem? A może trzeba będzie pociągnąć linię kolejową. To w wypadku, gdyby złożo okazało się naprawdę aż tak wielkie, jak się nam wydaje. Żeby coś tutaj zarobić, musimy najpierw wpakować ze trzysta milionów dolarów.

Clark nie dodał, że przy cenach miejscowej siły roboczej jest to naprawdę duża suma.

— Mnie też są potrzebne pieniądze. Zrozumcie, muszę coś dać tym ludziom — odezwał się całkiem rozsądnie Korp. Gdyby generał był człowiekiem honoru, Clark byłby nawet skłonny odbyć tę rundę negocjacji do końca. Korp żądał zwiększenia zaliczki na zakup broni, z myślą o przejęciu władzy w kraju, który nie tak dawno stanowił praktycznie jego własność. ONZ wykurzyło go ze stolicy, ale jak widać, nie do końca skutecznie. Generał mieszkał teraz wprawdzie w buszu, lecz przetrwał i nawet zaczął

reperować fundusze, dostarczając do miast — takie tam miasta — narkotyczny *chat*. Na nowo porósł w piórka i znów zaczął zagrażać resztkom państwa. Gdyby udało mu się kupić broń i zagarnąć władzę, postawiłby oczywiście zachodniemu koncernowi nowe, twarde warunki. Chcecie mojego molibdenu, płacie. Bardzo sprytne zagranie, i bardzo oczywiste. Clark również wpadł na ten

pomysł, kiedy się zastanawiał, jak wykurzyć Korpa z kryjówek.

— Owszem, to prawda, zależy nam na stabilizacji politycznej w tym regionie — zapewnił więc Clark generała. Mówił to ze znaczącym uśmiechem, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że zna stawkę.

Korp uwierzył chętnie, bo Amerykanie stosowali podobne zasady na całym świecie. Ustabilizować, i do handlu.

Chavez bawił się od niechcienia przyciskami pozycjometru. Pusty kwadrat w prawym górnym rogu ekranika powlókł się nagle czernią. Ding kaszlnął, bo w suchym powietrzu pełno było pyłu, a potem poskrobał się w nos.

— Zgoda — odezwał się Clark. — Jest pan poważnym partnerem, więc rozumiemy pańskie stanowisko. Pięćdziesiąt milionów z góry. Rachunek w banku szwajcarskim?

— Zaczynamy rozmawiać rozsądnie — pochwalił go Korp, który wcale się nie śpieszył z decyzją.

Zamiast podjąć negocjacje, obszedł Land Rovera i zajrzał przez tylne drzwi do środka. — To są te wasze próbki?

— Tak jest — przytaknął Clark i podał generałowi dwukilogramową bryłę kamienia. Ruda miała bardzo wysoką zawartość molibdenu, tyle że pochodziła nie z Afryki, lecz z Kolorado. — Chce pan to pokazać swoim ludziom?

— A to co takiego? — Korp wskazał dwa dziwne przedmioty.

— Nasz sprzęt oświetleniowy, panie generale — Clark ze szczerym uśmiechem sięgnął po lampę błyskową. Ding poszedł w jego ślady.

— Nie mówiliście, że macie broń! — Ubawiony Korp podniósł ze skrzyni staroświecki karabin z ryglowym zamkiem. Dwaj goryle Korpa natychmiast przyskoczyli bliżej.

— Afryka to Afryka. Bałem się, że się natkniemy na...

— Może na lwa?! — Korp zaśmiewał się do rozpuku. Kiedy się uspokoił, powiedział coś do swoich „policjantów”, którzy zaraz również zaczęli drwić z głupoty Jankesów. Gdy śmiech przycichł, Korp oświadczył z powagą: — Spokojnie, zabijamy tu lwy i wszystko inne, co się rusza. Nic tu nie żyje bez naszego pozwolenia.

Reakcja Clarka nawet mu się spodobała, bo Amerykanin zniósł szyderstwo jak mężczyzna. Nawet nie drgnął, stał tylko, ściskając w dłoni wielką lampę błyskową.

— Do czego to wam potrzebne?

— Normalnie, żeby świecić w nocy. Ja tam nie lubię ciemności. Poza tym jak rozbijamy obóz, robie zdjęcia próbek, więc światło się przydaje.

— No, właśnie — przyświadczył Ding. — Świetne są te lampy, naprawdę.

Gdy to mówił, przesunął wzrokiem po generalskiej świcie, rozbitej teraz na dwie grupy. Tu cztery osoby, tam sześć, dwóch goryli w pobliżu, a do tego sam generał.

— Może też chcecie, żebym wam zrobił zdjęcie? Całą grupą? — zaproponował Clark, nie sięgając jednak wcale po aparat.

Słyszając te słowa, Chavez pstryknął włącznikiem swojej lampy i skierował snop światła na większą grupę ludzi Korpa. Clark oświetlił trójkę, stojącą przy Land Roverze. „Lampy” zadziałały lepiej od magicznego zaklęcia. Po trzech sekundach można je już było wyłączyć i zabrać się za wiązanie rąk jeńców.

— Myślałeś, że zapomnieliśmy o tobie? — zapytał Korpa agent CIA, gdy kwadrans później nad pustynią rozniósł się coraz bliższy wizg śmigłowców. Dwunastka ludzi z konwoju Korpa leżała twarzą w piachu, z rękoma skrupowanymi plastikowymi paskami, z tych, których używają policjanci, gdy skończy im się zapas kajdanek. Generał jęknął z bólu i zaczął się wić po ziemi. Ding zapalił kilka flar i rozstawił je łukiem po zawietrznej stronie samochodu. Pierwszy *UH-60 Blackhawk* zatoczył ostrożny krąg, omiatając teren reflektorami.

— Wyżeł Jeden, tu Tragarz.

— Dobry wieczór, Tragarz. Wyżeł melduje, że wszystko gra. Siadajcie wreszcie! — Clark omal się nie roześmiał.

Pierwszy śmigłowiec wylądował daleko poza oświetlonym spłachetkiem terenu. Zwiadowcy wychynęli z mroku niczym gromada widm. Szli w pięciometrowych odstępach, z bronią gotową do strzału.

— Clark? — zawołał któryś z nich, głośno i nieco nerwowo.

— Tutaj! Chodźcie, chodźcie! — Clark machnął ręką w swoją stronę. — Mamy tego drania.

Kapitan oddziałów dalekiego zwiadu, Ranger, okazał się młodym Latynosem. Miał pustynny, łaciaty mundur, a jego twarz ledwo było widać spod warstwy maskującej farby. Ostatni raz kapitan postawił stopę na afrykańskim lądzie jako podporucznik. Z całej tamtej akcji najbardziej wryło mu się w pamięć nabożeństwo żałobne za poległych z jego plutonu. To Clark wpadł na pomysł, by jeszcze raz sprowadzić tu oddział Rangers. Namówienie na to przełożonych okazało się nadspodziewanie łatwe.

Kapitan przedstawił się jako Diego Checa. W ślad za nim szła jeszcze czwórka zwiadowców. Reszta drużyny rozbiegła się, żeby pilnować „policjantów”.

— A co z tymi dwoma? — zapytał któryś z żołnierzy, wskazując na parę goryli generała Korpa,

— Zostawić, niech sobie leżą — odparł Ding.

— Załatwione! — Młodszy sierżant sięgnął po dwie pary stalowych kajdanek i spiął przeguby rąk obu oprychów. Kapitan Checa nie odmówił sobie przyjemności skucia samego Korpa. Razem z sierżantem dźwignęli pojmanego z ziemi, a Clark i Chavez przenieśli w tym samym czasie swoje bagaże z Land Rovera i wsiedli za żołnierzami do śmigłowca. Któryś ze zwiadowców podał Chavezowi manierkę.

— Pozdrowienia od Oso — odezwał się sierżant sztabowy. Ding aż podskoczył.

— Naprawdę? Co się z nim dzieje?

— Poszedł do szkoły podoficerskiej. Strasznie się wściekał, że przechodzi mu koło nosa ta akcja.

A ja jestem Gomez, z drugiego batalionu 175. pułku. Też tutaj jestem drugi raz.

— Wygląda, że poszło wam jak z płatka — mówił tymczasem Checa.

— Grzebaliśmy się z tym sześć tygodni — odrzekł umyślnie niedbałym tonem Clark. W ich branży nonszalancja była wręcz obowiązkowa. — Najpierw tłukliśmy się cztery tygodnie po wertepach, dwa tygodnie uzgadnialiśmy spotkanie, potem czekaliśmy sześć godzin na klienta... Ale reszta zabrała nam dziesięć sekund.

— Dokładnie jak w regulaminie — przytaknął Checa i podał Clarkowi manierkę z zimną oranżadą. Przyłapał się na tym, że zerka często na starszego agenta. Ciekawe, że w tym wieku komuś chce się jeszcze uganiać po pustyni za zgrają dzikusów. Wyraz w oczach Clarka tłumaczył jednak bardzo wiele.

— Jak wyście, kurwa, wywinęli taką sztukę? — dopytywał się Gomez, kiedy z Chavezem przystanęli u drzwi śmigłowca. Reszta zwiadowców ciekawie nastawiła uszu. Gomez był wręcz zły, kiedy Chavez nie raczył mu odpowiedzieć. — A reszta gości? Zostawiacie ich tutaj?

— Pewnie. Zwyczajne płotki! — Chavez po raz ostatni zlustrował teren. Za jakiś czas któryś z jeńców oswobodzi sobie ręce, znajdzie nóż i uwolni z plastikowych pęt resztę „policjantów”.

Prawdopodobnie. Wtedy będą się mogli zacząć martwić, czym przeciąć stalowe kajdanki na przegubach rąk dwóch kolegów. — Nam chodziło tylko o szefa.

Gomez omiół wzrokiem horyzont.

— Są tu lwy albo hieny?

Ding zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie ma. Wystrzelali.

— Szkoda.

Wsiadający do śmigłowca żołnierze nadal nie mogli się nadziwić całej akcji. Clark wszedł na pokład w ślad za nimi i natychmiast sięgnął po hełm ze słuchawkami. Pilot nastawił radio na umówioną częstotliwość.

— Łowczy, tu Wyżeł — zaczął Clark.

Różnica czasu wynosiła aż osiem godzin, więc w Waszyngtonie było dopiero wczesne popołudnie. Sygnał UHF z pokładu śmigłowca poszedł do centrali łączności na pokładzie USS „Tripoli”, a stamtąd przez łącze satelitarne na drugą półkulę. Łącznościowcy Białego Domu skierowali sygnał prosto do aparatu telefonicznego na biurku Ryana.

— Słucham, Wyżeł, tu Łowczy!

Wskutek szumów Ryan nie miał pewności, że rozmawia z Clarkiem, ale nie oznaczało to, że nie rozumie treści meldunku:

— Kaczka w worku, straty własne zero. Powtarzam, Kaczka w worku, zero strat własnych.

— Wyżeł, zrozumiałem. Dostarczyć tak, jak było umówione.

Jack czuł coraz większą złość, odkładając słuchawkę. Przy tego typu akcjach lepiej załatwić wszystko od razu, na miejscu. Trudno, prezydent życzył sobie wyraźnie, by złamać tę zasadę. Ha! Pora iść do Gabinetu Ovalnego.

— Macie go? — spytała D'Agustino na widok sunącego korytarzem Jacka.

— Nie wolno mi panu powiedzieć.

— Szef bardzo się denerwował — usprawiedliwiła się szeptem Helen.

— Może się już przestać denerwować.

— Przynajmniej jeden rachunek wyrównany. Fajnie, że znów jest pan z nami, panie Ryan.

Cienie przeszłości nękały tego popołudnia jeszcze jedną osobę.

— Śmiało, proszę mówić — zachęciła terapeutka.

— Nie... To było takie straszne... — Kobieta znów wbiła wzrok w podłogę. — Zdarzyło mi się to jeden, jedyny raz w życiu, naprawdę, i to jeszcze...

Pacjentka wypowiadała każde słowo bez emocji, głosem równym i martwym, lecz bardziej od głosu uderzał terapeutkę jej wygląd. Pacjentka miała około trzydziestu pięciu lat i powinna być drobną, szczupłą blondynką. Rysy twarzy miała jednak zmienione otyłością i alkoholem, a farbowane włosy straszyły odrostami. Jej cera była nie tyle jasna, ile trupioślada, kredowa i tak zniszczona, że nie

pomagala żadna ilość makijażu. Tylko sposób wysławiania się zdradzał, że pacjentka nie pochodzi z przeraźliwych nizin. Historia, w którą układały się kolejne słowa, pochodziła sprzed trzech lat, a słuchając jej miało się wrażenie, że umysł pacjentki rozszczepił się na część należącą do ofiary i drugą część, tę należącą do chłodnej obserwatorki, która dziwi się tylko wydarzeniom i nie ma w nich żadnego udziału.

— Proszę zrozumieć, wiemy, kim jest ten człowiek, poza tym pracowałam u niego i nawet, nawet go lubiłam... — Głos pacjentki załamał się po raz kolejny. Kobieta przełknęła ślinę i umilkła, a potem zaczęła: — Lubiłam, nawet podziwiałam, za to wszystko, czego dokonał, za poglądy...

Najdziwniejsze było to, że oczy pacjentki były idealnie suche i odbijały światło jak celofan.

Gładka powierzchnia, bez jednego śladu łez.

— Zawsze był taki serdeczny, taki ludzki...

— Pani Barbaro, spokojnie... — Terapeutka była wytrawnym psychologiem i chociaż siłą się powstrzymywała, by nie objąć pacjentki w geście współczucia i żalu, wiedziała, że nie tędy droga. Trzeba zachować dystans i ukryć własny gniew, choćby się nie wiem jak żałowało krzywdy doznanej przez pacjentkę, osobę tak inteligentną i silną... Krzywdę zadał pacjentce ktoś, kto swoją pozycję i sprawowaną władzę wykorzystywał w tym celu nader często i zwabiał ku sobie kobiety jak lampa zwabia ćmy. Kolejne zaślepione okazy zaczynały krążyć coraz bliżej i gorzko tego później żałowały. W Waszyngtonie tego typu mechanizm wydawał się wręcz naturalny. Od tamtej pory Barbara nie mogła się pozbierać. Zerwała kolejno z dwoma mężczyznami, z którymi miałyby szansę na inne, normalne życie. Nie była głupia, skończyła studia na University of Pennsylvania, miała magisterium z nauk politycznych i doktorat z zarządzania administracją publiczną. Tego typu historia mogła się prędzej przydarzyć naiwnej sekretarce albo młodsiutkiej stażystce, lecz kto wie, czy wykształcenie i fakt, że ona także podejmowała decyzje, nie obróciły się przeciwko Barbarze. W takiej sytuacji dla kariery robi się wiele. Czasem wręcz za wiele.

— Bo wie pani, on nie musiał wcale tak postąpić. Ja sama bym chętnie... Gdyby tylko... —

Barbara zdobyła się na brutalną szczerość.

— A teraz obwinia pani samą siebie za tę gotowość? — zapytała doktor Clarice Golden. Barbara Linders tylko skinęła głową. Doktor Golden stłumiła westchnienie. — I wyobraża sobie pani, że to pani dała mu znak, sygnał?

— O, niejeden. Właśnie. Sam mi to powiedział: „Dałaś mi przecież do zrozumienia, że chcesz”.

Tak mówił, więc pewnie miał rację.

— Wcale nie miał racji, pani Barbaro. Nie dawała mu pani takich znaków. Ale idźmy dalej.

— Tamtego dnia zupełnie nie miałam na to ochoty, to fakt. Kiedy indziej, kto wie, może by mnie

namówił, ale wtedy akurat źle się czułam. Rano, owszem, czułam się normalnie, ale widocznie zaczynała mnie rozbierać jakaś grypa czy coś podobnego. Wyszłam coś zjeść i zaraz poczułam skurcze żołądka, więc pomyślałam, że wyjdę z biura wcześniej. Tyle, że nie mogłam, bo cały dzień pracowaliśmy nad poprawką o prawach obywatelskich. Poprawkę poddawał pod obrady Senatu właśnie on, mój szef, więc mieliśmy masę pracy. Cóż było robić, wzięłam dwie tabletki Tylenolu, żeby zbić gorączkę, i siedziałam do późna. Koło dziewiątej w biurze zostaliśmy tylko my dwoje, ja i on. Byłam u niego najlepszą specjalistką od praw obywatelskich. Siedziałam w jego gabinecie na kanapie, a on nic, tylko chodził

dookoła pokoju i monologował. Zawsze tak robił, kiedy się nad czymś zastanawiał. Przystanął za moimi plecami... Pamiętam jego głos, taki przyjazny, taki ciepły. Powiedział mi: „Barbaro, masz wspaniałe włosy...” Ot, tak, zupełnie zniecka. Wybąkałam coś, że miło mi, że tak myśli. Zapytał mnie, jak się czuję. Powiedziałam mu, że chyba się przeziębiłam, a wtedy zaproponował mi koniak. Najlepsze lekarstwo, tak powiedział.

Pacjentka mówiła coraz szybciej, na podobieństwo kogoś, kto przewija taśmę magnetowidu w poszukiwaniu ważnej sceny.

— Nie wiedziałam, że wsypał mi coś do kieliszka. Zawsze trzymał w biurku butelkę Remy Martin, ale musiał tam też mieć jakieś proszki, nie wiem. Wypiłam wszystko od razu.

— Wypiłam, a on nadal stał tam gdzie przedtem. Nic już nie mówił, patrzył tylko na mnie, jak gdyby wiedział, że nie będzie musiał długo czekać. Czułam, że... To trudno opisać. Wiedziałam, że coś jest nie tak, czułam się jak pijana, straciłam kontrolę nad tym, co się ze mną działo.

Pacjentka zamilkła na długich piętnaście sekund. Doktor Golden patrzyła bez słowa — kto wie, czy nie w ten sam sposób patrzył na swą ofiarę ten, kto był winien temu wszystkiemu. Sytuacja była niezręczna, ale trudno, taka już dola psychologa, poza tym bez obserwacji nie da się nikomu pomóc.

Pomoc zaś była konieczna, bo pacjentka jeszcze raz, od początku, przeżywała całe wydarzenie. Po wyrazie jej oczu można było poznać, że w myślach przewija jej się taśma z zapisem tamtej chwili. Relacja Barbary Linders stanowiła tylko komentarz, ścieżkę dźwiękową do strasznych obrazów, jakie miała przed sobą i które przesłoniły jej całą przeszłość. Doktor Golden przez dziesięć minut słuchała cierpliwie, nie zmieniając tematu i nie pomijając żadnego, najdrobniejszego choćby szczegółu. Pomagał jej w tym zwyczajny profesjonalizm, jej druga natura. Dopiero pod sam koniec opowiadania znowu zabrzmiała w nim nuta prawdziwego dramatu.

— Nie musiał mnie gwałcić. Mógł przecież... Mógł poprosić, zapytać... Ja bym się przecież...

Może nie w tamten dzień, ale kiedy indziej, nie w pracy... Wiedziałam, że jest żonaty, ale go lubiłam, naprawdę lubiłam, i...

— Co z tego, pani Barbaro, kiedy on naprawdę panią zgwałcił. Znarkotyzował i zgwałcił.

Tym razem doktor Golden dotknęła pacjentki uspokajającym gestem. Barbara Linders powiedziała jej wszystko do końca, zapewne po raz pierwszy w życiu. Do tej pory dawała tylko do zrozumienia,

co jej się przytrafiło, czyniła mgliste aluzje, zwłaszcza co do najbardziej tragicznej części relacji. Teraz jednak pierwszy raz pacjentka opowiedziała wszystko po kolei, od początku do końca, a wspomnienia, jakie w niej to obudziło, okazały się tak samo wstrząsające i straszne, jak samo zdarzenie.

— To jeszcze nie wszystko — zauważyła doktor Golden, kiedy Barbara Linders trochę się uspokoiła i przestała łkać.

— Nie wszystko — przytaknęła z miejsca Barbara, zupełnie nie zdumiona faktem, że terapeutka domyśliła się i tego. — To samo zdarzyło się oprócz mnie przynajmniej jeszcze jednej dziewczynie z biura. Nazywała się Lisa Beringer. Mówię w czasie przeszłym, bo Lisa... Lisa się zabiła, rok później.

Uderzyła rozjeżdżonym samochodem w filar wiaduktu na autostradzie. Wyglądało to na zwykły wypadek, ludzie wiedzieli, że Lisa pije, ale było inaczej. Wiem, bo zostawiła w swoim biurku list. A ja ten list znalazłam.

Barbara podała oszołomionej nagle doktor Golden wyciągnięty z torebki list, sześć kartek w błękitnej kopercie. Na urzędowej papeterii widniało nazwisko człowieka, o którym była przedtem mowa.

Kartki zapisane były starannym kobiecym pismem, pismem kogoś, kto postanowił skończyć ze sobą, lecz chce jeszcze wytłumaczyć światu, dlaczego się tak musiało stać.

Doktor Clarice Golden naoglądała się w ciągu długich lat pracy sporo podobnych listów, lecz nie przestawało jej zdumiewać, a zarazem smucić, że ludzie decydują się na podobny krok. Każdy z takich listów mówił, że jego autor nie może już znieść bólu, lecz z bardzo wielu takich spowiedzi wynikało niezbitnie, iż gdyby tylko piszący zwierzył się komuś, zadzwonił, uczynił choćby krok, wszystko dałoby się jeszcze uleczyć i naprawić. W połowie pierwszej kartki doktor Golden poznała w Lisie Beringer kolejną ofiarę niepotrzebnej śmierci, osobę osamotnioną tak bardzo, że nie powiedziała słowa kolegom z pracy, ludziom, którzy natychmiast i chętnie pomogliby jej w kłopotach.

Psychoterapeuci potrafią doskonale ukrywać swe prawdziwe uczucia, tym bardziej, że w oczywisty sposób umiejętność taka jest im niezbędna w pracy. Clarice Golden zajmowała się terapią od blisko trzydziestu lat i zdążyła wrodzony talent uzupełnić imponującą dawką doświadczenia. Umiała w doskonały sposób dostroić się i zyskać zaufanie ofiar przestępstw na tle seksualnym. Zawsze znajdowała dla nich współczucie, zrozumienie, zawsze też i ze wszystkich sił próbowała im pomagać. Łagodne współczucie stanowiło jednak tylko maskę dla jej prawdziwych odczuć: doktor Golden nienawidziła gwałcicieli i podobnych typów z taką samą zajadłością, z jaką nienawidzi ich i tępi policja, może nawet jeszcze gwałtowniej. Policjanci musieli się naoglądać zmasakrowanych ciał, nawysłuchiwać płaczu posiniaczonych ofiar, które przeżyły, lecz psycholog ma przed sobą trudniejsze zadanie. Psycholog przestaje z ofiarą gwałtu przez długie tygodnie sesji, wyciąga z pacjentki kolejne bolesne wspomnienia i próbuje ją leczyć, co także zabiera czas i co także boli. Clarice Golden była osobą delikatną i nigdy by jej nie przyszło do głowy zwalczać gwałt siłą, przemocą. Nie pomniejszało to jednak jej nienawiści wobec sprawców.



Tym razem sprawa nieco się jednak komplikowała. Doktor Golden z racji swego zajęcia współpracowała z wydziałami przestępstw seksualnych wszystkich komend policji w promieniu prawie stu kilometrów od Waszyngtonu, lecz tym razem gwałt miał miejsce na terenie instytucji podległej władzom federalnym, a nie miejscowym. Osobna procedura, osobne przepisy. Jakże? Doktor Golden liczyła, że dowie się tego od swego sąsiada, Dana Murraya, pracownika FBI. Istniała też jeszcze jedna przeszkoda. Przestępcę, o którego chodziło, w dniu gwałtu był jeszcze zwyczajnym amerykańskim senatorem z gabinetem w gmachu Kapitolu. Od tamtej pory zdążył on jednak zmienić pracę: z senatora z Nowej Anglii przedzierzgnął się w wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych,

Dowództwo Floty Podwodnej Pacyfiku stanowiło dawnymi laty posadę z marzeń i snów. Dawniej tak, ale dziś, skądże znowu. Pierwszym wybitnym dowódcą tej floty był wiceadmirał Charles Lockwood.

W zakończonej przed pół wiekiem wojnie z Japonią bardziej od Lockwooda zasłużyli się może tylko Chester Nimitz i Charles Layton. Nie kto inny jak Lockwood, urzędujący w tym samym gabinecie na stoku góry wyrastającej nad Pearl Harbor, wysłał na ocean podwodne flotylle pod komendą legendarnych dowódców takich jak Mush Morton, Dick O'Kane czy Gene Fluckey. Wszystko się zgadzało: gabinet, drzwi, nawet tabliczka na drzwiach była ta sama, co wówczas: DOWÓDCA SIŁ PODWODNYCH, AMERYKAŃSKA FLOTA PACYFIKU. Po dawnej chwale zostały jednak wspomnienia. Kontradmirał

Bart Mancuso z Marynarki USA powtarzał sobie, że i tak miał szczęście, skoro zaszedł tak daleko. Jak na okoliczności, dobre i to.

Złe było natomiast co innego, a mianowicie, że Mancuso był na dobrą sprawę stróżem martwego dziedzictwa. Lockwood dowodził prawdziwą flotą, zbiorowiskiem okrętów podwodnych i okrętów - baz.

Kilka dekad później Austin Smith miał na największym oceanie tej planety flotę czterdziestu okrętów podwodnych. Dla Barta Mancuso zostało ich już tylko dwadzieścia pięć: dziewiętnaście mniejszych, patrolowych, i sześć strategicznych okrętów podwodnych, z rakietami atomowymi na pokładzie. Te ostatnie stały grzecznie przy kei w oczekiwaniu na ostatni rejs do stoczni rozbiórkowej w Bremerton.

Wszystkie czekał ten sam los. Nie było szans, by choć jeden przetrwał jako okręt-muzeum, pomnik minionej epoki. Mancuso nawet się tym nie przejmował. Nigdy specjalnie nie przepadał za pękatymi okrętami pełnymi głowic wodorowych, nie znosił rutyny podwodnych patroli na pokładach okrętów balistycznych, nie rozumiał mentalności dowódców takich jednostek. Mancuso był podwodniakiem-myśliwym i nieodmiennie ciągnęło go tam, gdzie działo się coś ciekawego. Z tym, że ciekawe czasy także odeszły w przeszłość. Nuda.

Nuda. Koniec zabawy. No, prawie koniec. Od czasów admirała Lockwooda podwodne okręty patrolowe doczekały się nowej funkcji. Dawniej polowały na statki i okręty nawodne, lecz po drugiej wojnie światowej ten rodzaj jednostek wyspecjalizował się w zwalczaniu właśnie okrętów podwodnych przeciwnika, podobnie jak samoloty myśliwskie polują na wszystko, co przeciwnik wypuści w powietrze.

Nowe zadanie pociągnęło za sobą specjalizację uzbrojenia i wyposażenia, do tego stopnia, że patrolowe okręty podwodne USA zwyciężały w każdej konkurencji.

Nikomu nie przyszło jednak do głowy, że wszystko to skończy się z chwilą, kiedy na morzach i w głębinach zabraknie przeciwnika. Tropione dotąd podwodne jednostki rosyjskie tkwiły teraz w macierzystych bazach. Całe dorosłe życie Mancuso doskonalił się w wykrywaniu, lokalizacji, pościgu i niszczeniu radzieckiej floty podwodnej. Ba, udało mu się dokonać rzeczy, która się nawet nie śniła innym podwodniakom: dopomógł w udanej tajnej akcji, która zakończyła się zdobyciem najnowszego egzemplarza radzieckiego okrętu podwodnego. Później jednak cały świat stanął na głowie Mancuso przyczynił się do takiego obrotu spraw i po swoim był nawet dumny ze swej roli. Związek Radziecki przestał istnieć.

Niestety — żałował tego przynajmniej Mancuso — wraz ze zmierzchem imperium zniknęła też radziecka flota. Skoro nie trzeba się już było kłopotać o wrogie okręty podwodne, Ameryka, podobnie jak się to już działo niejednemu raz, zapomniała o swoich dotychczasowych idolach. Amerykańskie okręty podwodne zostały bez zajęcia. Tak dawniej potężna i groźna radziecka flota zmieniła się w miłe wspomnienie. Przed tygodniem Mancuso przeglądał na swoim biurku zdjęcia satelitarne rosyjskich baz we Władywostoku i Pietropawłowsku. Wszystkie co do jednego radzieckie — dziś tylko rosyjskie — okręty podwodne stały przycumowane przy nabrzeżach. Na nie których zdjęciach wyraźnie było widać rude smugi rdzy na kadłubach, z których zeszła czarna farba.

Czy pozostały jeszcze inne zadania? Trudno się było uganiać za statkami handlowymi tym bardziej, że lotnicy z dywizjonów samolotów ZOP1 *P-3C Orion* nie bez refleksu zmodyfikowali uzbrojenie i zamiast bomb głębinowych podwieszali teraz pod skrzydłami rakiety powietrze woda. Oriony dziesięciokrotnie przewyższały prędkością działania najszybszy okręt podwodny, więc nawet gdyby dziwnym trafem zaszła potrzeba zatopienia tego czy innego frachtowca, można to było z powodzeniem uczynić z powietrza, nie spod wody.

Podobna prawda dotyczyła okrętów nawodnych czy raczej ich niedobitków. Smutna prawda była bowiem taka, że nawet radykalnie odchudzona amerykańska flota była w stanie związać walką i pokonać dowolne trzy marynarki pozostałych państw świata, zostawiając przeciwnikom tyle czasu by zdążyli rozesłać własne nekrologi do największych agencji prasowych globu.

Cóż zatem czynić? W sporcie co innego nawet jeśli się wygra największy złoty puchar po roku trzeba znów stawać do zawodów. Jednak w tych igrzyskach, w najpoważniejszej z ludzkich gier, zwycięstwo oznaczało zarazem pozbycie się rywala na zawsze. Przeciwnika zabrakło zarówno na oceanach jak i — znów z nielicznymi wyjątkami — na lądzie. Było przy tym jasne że jako pierwsza zostanie bez zajęcia właśnie flota podwodna. Tylko sile biurokratycznego bezwładności mógł Mancuso zawdzięczać fakt, że nadal istniało jakieś Dowództwo Floty Podwodnej Pacyfiku. Skoro na tym akwenie pozostawały inne dowództwa, flocie podwodnej należały się te same przywileje co sztabom lotnictwa morskiego sił nawodnych i zaplecza technicznego.

Z dziewiętnastu okrętów podlegających Mancuso, w rejsie znajdowało się tylko siedem. Cztery inne przebywały w suchym doku. Stocznie jak tylko mogły przeciągały każdy drobny remont, oczywiście znów po to, by usprawiedliwić własne istnienie i budżet. Reszta jednostek stała przy brzegu, a fachowcy z obsługi technicznej biedzili się obmyślając coraz to nowe i coraz dziwniejsze zadania. Im

także groziło pójście za bramę. Z siedmiu okrętów w czynnej służbie podwodnej jeden zajmował się tropieniem swego chińskiego odpowiednika, także z napędem atomowym. Chińskie okręty podwodne hałasowały pod wodą tak straszliwie, że Mancuso zaczynał się obawiać o stan słuchu swoich sonarzystów. Wykrycie Chińczyka przysparzało dokładnie takich samych trudności jak śledzenie ślepca w południe na pustym placu. Para innych okrętów zabawiała się w badania środowiska naturalnego Mówiąc konkretnie, podwodniacy mozolili się nad liczeniem stadła wielorybów nie na użytek łowców, lecz na zlecenie organizacji od ochrony środowiska. Amerykańska machina wojenna nareszcie zyskała na popularności wśród miłośników przyrody. Wielorybów okazało się co niemiara, o wiele więcej, niż przypuszczano. Nareszcie można było odetchnąć. Nie zanosilo się, że płetwale wyginą co do jednego, jak to przepowiadano jeszcze tak niedawno. obrońcy środowiska zaczęli mieć nawet kłopoty ze zbieraniem datków na swą działalność. Mancuso cieszył się i z tego. Naprawdę nie powstałoby mu w głowie, żeby zabić wieloryba.

Pozostałe cztery okręty odbywały szkolenie, przeważnie w ten sposób, że tropiła się nawzajem.

Miłośnicy przyrody zemścili się jednak na Flocie Pacyfiku w sposób wyjątkowo przewrotny. Tak jak dawniej przez trzydzieści lat domagali się wniebogłosy zlikwidowania atomowych trumien, tak teraz protestowali przeciwko kasacji kolejnych okrętów. Połowę godzin urzędowania Mancuso tracił teraz na pisanie sprawozdań, wyjaśnień i sprostowań z tego tytułu. Niewdzięcznicy! Przecież pomogło się im z wielorybami, więc po co tyle szumu? Admirał nadgryzł krawędź kubka z kawą i otworzył kolejny skoroszyt.

— Dobra nowina panie kapitanie! — rozległo się nagle.

— Kto cię tu wpuścił, do cholery?!

— Przekabaciłem twojego bosmana — roześmiał się Ron Jones — Aha, wygadał się, że toniesz w jakichś papierach.

— Sam wie najlepiej, że tonę — Mancuso wstał na przywitanie gościa, świadomy, że i on i doktor Jones mają dziś te same problemy. Kres zimnej wojny doprowadził do ruiny masę cywilnych dostawców sprzętu zbrojeniowego, między innymi takich jak Jones, w ostatnich latach wytwórca oprogramowania hydroakustycznego dla okrętów podwodnych. Z tą drobną różnicą, że Jones zdążył jeszcze zbić spory majątek.

— Ciekawe, co to za dobrą nowinę przynosisz.

— Nowe oprogramowanie potrafi wychwytywać obecność naszych uciśnionych ciepłokrwistych przyjaciół. To znaczy wielorybów. Przed chwilą mieliśmy telefonogram z pokładu Chicago. W Zatoce Alaskańskiej znaleźli jeszcze dwadzieścia waleni. A może płetwali błękitnych. Nareszcie będzie mnie stać, żeby cię wyciągnąć do knajpy — dokończył Jones, sadowiąc się w skórzanym fotelu. Uwielbiał

wypadki na Hawaje, toteż ubrał się dziś stosownie do okazji, bo miał na sobie jaskrawą koszulę, a na nogach sportowe buty firmy Reebok. Skarpetek oczywiście ani śladu.

— Nie żal ci dawnych, dobrych czasów? — zażartował Bart Mancuso.

— Co, uganiania się po całym oceanie na głębokości stu dwudziestu metrów? Dwumiesięcznych turnusów w metalowej rurze, która śmierdzi jak wnętrze oliwiarki z domieszką starych skarpet? Nie żal mi w kółko tego samego żarcia i w kółko tych samych filmów na kasetach, i telewizora z ekranem jak kartka z zeszytu, i sześciogodzinnych wacht i pięciu godzin snu, i tego, że cały czas musisz się skupiać gorzej od neurochirurga? Zgadza się, Bart. Brakuje mi tego. Dawne, dobre czasy — Jones namyślał się chwilę. — Fakt, żal mi, że nie jestem już młody i nie uważam tego wszystkiego za pyszny żart. Byliśmy dobrzy w tamte klocki, co?

— Powyżej przeciętnej — zgodził się powściągliwie Mancuso. — Aha, no więc co z tymi wielorybami?

— Moi faceci wymyślili taką kombinację oprogramowania, dzięki której wychwytuje się bicie serca i oddechy tych bydląt. Na ekranie wychodzi z tego wcale niezła linia. Kiedy taki jeden z drugim waleń płynie, od razu masz go w komputerze. Zupełnie, jakbyś draniowi przystawił do cielska stetoskop.

Naprawdę, można bębenki stracić w uszach.

— Do czego miało być to oprogramowanie?

— Jak to do czego? Do tropienia ruskich okrętów klasy *Kilo*. — Jones wykrzywił się szyderczo i spojrzał przez okno na puste baseny portowe. — Ale co tam Ruscy... Przepisaliśmy na nowo kilkaset linijek instrukcji, podkreściliśmy parametry, daliśmy nowe opakowanie i już. Niech się cieszą ci przyrodnicy.

Mancuso miał już na końcu języka, że program Jonesa przydałby się dziś w Zatoce Perskiej, do wykrywania irańskich okrętów podwodnych klasy *Kilo*, kupionych od ZSRR. Jeden z tych okrętów gdzieś się ostatnio zapodział. Może wpakował się pod supertankowiec pełen ropy? Załoga giganta nawet by nie zauważyła, że coś zgrzyta pod kilem. Reszta irańskich jednostek stała spokojnie w porcie, a może muzułmanie dowiedzieli się wreszcie, że w amerykańskiej flocie obłe okręty podwodne to tradycyjnie

„prosiaki” i zaczęli od tej pory unikać ich jak wieprzowiny?

— Coś tu pusto u ciebie. — Jones zatoczył ramieniem w kierunku okna. Dawniej rozpościerała się za nim największa baza Marynarki na świecie. Dziś nie było widać ani jednego lotniskowca. Dwa krążowniki, eskadra niszczycieli, mniej więcej tyle samo fregat, pięć okrętów zaopatrzeniowych. To wszystko.

— To kto dowodzi Flotą Pacyfiku, Bart? Teraz to pewnie wystarczy zwykły bosman?

— Rany boskie, Ron, nie tak głośno! Jeszcze nas naprawdę popędzą i zostawią tylko bosmana!

# Bractwo

— Capnęliście go? — zapytał prezydent Durling.

— Owszem. Niecałe pół godziny temu — potwierdził Ryan, zajmując swoje zwykłe miejsce.

— Obyło się bez ofiar? — Prezydent pytał, gdyż było to dla niego niesłychanie ważne. Ryan uważał kwestię za istotną, ale bez przesady.

— Clark melduje, że po naszej stronie wszyscy cali.

— A po drugiej stronie?

Tym razem pytanie zadał Brett Hanson, obecny sekretarz stanu USA. Wychowanek prywatnej szkoły Choate, absolwent Yale. Ryan w służbie rządowej co chwila natykał się na kolejną osobę po Yale, z tym, że Hanson nie umywał się do swoich pobratymców. Był niziutki, chudy i ogromnie energiczny.

Kariera układała mu się w kratkę, bo w przerwach między posadami rządowymi pracował jako doradca, a nawet od czasu do czasu prowadził programy publicystyczne w sieci telewizji publicznej PBS, co pozwalało mu osiągnąć rzeczywiście poważny wpływ na wydarzenia. Ponadto pracował jakiś czas dla kilku waszyngtońskich kancelarii prawnych, i to tych najdroższych. Specjalizował się w prawie międzynarodowym i handlowym, w czym pomagał mu fakt, że osobiście nie raz prowadził międzynarodowe negocjacje w sprawie tej czy innej umowy. Znał się na tym rzeczywiście świetnie.

Niestety, Hanson trafił na obecne stanowisko głęboko przekonany, że podobnie subtelne podejście ma rację bytu także w normalnych stosunkach między państwami.

Ryan zawahał się sekundę, nim odpowiedział:

— Nawet nie zapytałem.

— A to czemu?

Jack miał na końcu języka co najmniej kilka stwierdzeń. Wybrał najostrzejsze, gdyż czuł, że najwyższa pora dać do zrozumienia, iż trzeba się z nim trochę liczyć.

— Czemu? Temu, że nie ma to wielkiego znaczenia. Celem akcji było ujęcie Korpa. Zadanie zostało wykonane. Za mniej więcej trzydzieści minut prześlemy go odpowiednim służbom bądź też organom jego kraju. Zostanie osądzony zgodnie z tamtejszym prawem, może i w obecności ławy przysięgłych, chociaż nie ręczę, że w tamtym kraju procesy wyglądają identycznie jak u nas.

Ryan nie ręczył, gdyż nie zadał sobie nawet trudu, żeby to sprawdzić.

— To się równa morderstwu!

— Panie sekretarzu, nie moja wina, że tamtejsza ława przysięgłych nie przepada z Korpem.

Dodam, że człowiek ten spowodował śmierć wielu amerykańskich żołnierzy. Nawet, gdybyśmy sami postanowili go wyeliminować, i wówczas nie można by mówić o morderstwie. Co najwyżej o prostej akcji w interesie naszego bezpieczeństwa narodowego. No, ale te czasy już minęły, zgoda — Ryan nie upierał się przy zimnowojennych przyzwyczajeniach. — Zamiast go wyeliminować, postąpiliśmy jak prawomyślni obywatele, którym zdarzyło się ująć niebezpiecznego przestępcę. Nie zrobiliśmy mu krzywdy, przekazaliśmy go całego i zdrowego w ręce władz jego kraju. Korp będzie sądzony pod zarzutem handlu narkotykami, co stanowi ciężkie przestępstwo nawet u nas, o ile się dobrze orientuję.

Wyrok to już kwestia systemu prawnego w tamtym kraju. Kraju, z którym utrzymujemy stosunki dyplomatyczne i którego prawa musimy w związku z tym uszanować, choćby nam się nie podobały.

Hansonowi nie podobało się w tej chwili nic z tego, co usłyszał. Widać to było po sposobie, w jakim się rozparł w fotelu. Milczał jednak i co gorsza wiedział, że będzie musiał publicznie poprzeć akcję. Nie miał

innego wyjścia, bo jego Departament Stanu w ciągu ostatniego roku pięciokrotnie wystosowywał wyrazy poparcia dla władz tamtego kraju. Najbardziej jednak bolało Hansona, że tym, który go tak wymanewrował, był Ryan, młokos i polityczny nowicjusz.

— Może teraz uda się tamtejszym władzom pozbierać wreszcie do kupy? — zauważył pod adresem Hansona prezydent Durling, który tym samym zaaprobował operację SPACER. — Aha, panowie... Tej akcji oczywiście nie było.

— Oczywiście, panie prezydencie.

— Nie pomylił się pan co do tego Clarka, Jack. Czy mamy go jakoś wynagrodzić?

— Zostawiłbym to działowi operacyjnemu CIA. Może dadzą mu jeszcze jedną Gwiazdę Wywiadu?

— zaproponował Ryan w nadziei, że Durling rzeczywiście nada sprawie bieg i przekaże ją do Langley. Jeśli zapomni, trzeba będzie po cichu zadzwonić do Mary Pat.

Przed końcem posiedzenia Ryan zabrał się za zbieranie rozbitych skorup. Przychodziło mu to z wysiłkiem, bo zwykle nie puszczał złości w niepamięć, ale zacisnął zęby. Trudno, i tego się trzeba nauczyć.

— Panie sekretarzu — zwrócił się do Hansona — Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że kazaliśmy naszym ludziom w miarę możliwości unikać przemocy. To znaczy nie zabijać bez potrzeby. Poza tym mogli robić, co uważali za stosowne.

— Szkoda, że nie porozumiał się pan najpierw z nami — warknął Hanson. Ryan nakazał sobie policzyć w myślach do dziesięciu. Bałagan, jaki powstał, można było zawdzięczać połączonym wysiłkom Departamentu Stanu i poprzednika Ryana w fotelu doradcy. Zagranica wysłała swoje wojska po to, by na powrót zaprowadzić w pustynnym kraju legalne rządy, obalone przez

rywalizujące, bandyckie kliki

„dyktatorów”, jak uprzejmie nazywała tych oprychów prasa i telewizja. A kiedy sprawy zaczęły przybierać zły obrót, te same zagraniczne mocarstwa uznały, że bandyci stanowią „alternatywne rozwiązanie polityczne” dla dryfującego państwa. Nikt jakoś nie wspomniał, że chodzi o rozwiązanie dla problemu powstałego w wyniku działań tychże samych bandziorów. Tak było najwygodniej. Ryana najbardziej rozwścieczała właśnie ta pokrętna i podejrzana logika, do jakiej się uciekano. Ciekawe, kto wyklada logikę na Yale? Pewnie wykłady z tego przedmiotu są tam nadobowiązkowe, tylko dla amatorów. W Boston College logikę musiał zdać każdy student. No, tak.

— Już się stało, Brett — wszedł im w kwestię prezydent. — Nie wiem zresztą, czy ktoś będzie oplakiwał zejście naszego pana Korpa. Co dalej?

Ostatnie pytanie padło pod adresem Ryana.

— Hindusi zaczynają trochę podskakiwać. Operacje morskie na dużą skalę, ruchy floty u wybrzeży Sri Lanki...

— To chyba nic nowego? — znów wtrącił się sekretarz stanu.

— Dotąd nigdy nie działali tak dużymi siłami. Nie podoba mi się poza tym, że nie przerwali rokowań z Tamiłskimi Tygrysami czy jak się nazywają tamci fanatycy. Oficjalne, długotrwałe rokowania z partyzantami, którzy działają na ziemi sąsiedniego państwa... Chyba trudno mówić o przyjaznych zamiarach?

Władzom USA przybywał więc oto kolejny kłopot. Indie i Sri Lanka, dwie dawne kolonie Imperium Brytyjskiego, przez długi czas żyły w zgodzie, mimo że jedna z cejlońskich mniejszości, czyli właśnie Tamiłowie, wydali prywatną wojnę władzom w Colombo. Władze Sri Lanki zwróciły się do zagranicy o pomoc wojskową, by w ten sposób utrzymać trwający stan rzeczy. Indie zgodziły się na to ochoczo, lecz teraz z miesiąca na miesiąc dawna misja pokojowa zaczynała przybierać coraz dziwniejszy charakter. Krążyły pogłoski, że władze Sri Lanki lada dzień każą indyjskim wojskom zabierać się z wyspy. W myśl innych plotek Indie miały zamiar się temu sprzeciwić, tłumacząc zwłokę „przyczynami technicznymi”. Jednocześnie zaś do Waszyngtonu przyszedł raport z rozmowy, jaką hinduski minister spraw zagranicznych i amerykański ambasador odbyli podczas wieczornego przyjęcia w New Delhi.

— Wie pan co? — zagadnął Amerykanina minister, który albo miał trochę w czubie, albo udawał, że ma. — Wydaje mi się, że morze, które omywa nasz subkontynent, nie na darmo nazywają Oceanem Indyjskim. Najlepszy dowód, że mamy tam swoją flotę. Teraz, kiedy niczym nam już nie zagraża radziecka marynarka, nie widzimy specjalnych podstaw, żeby USA nadal utrzymywały tu swoje okręty.

Amerykański ambasador otrzymał swą posadę za zasługi dla prezydenta. Dziwna sprawa, ale mimo fatalnego klimatu Indie uważano w Ameryce za nader prestiżową placówkę. Ambasador stanowił

jednak wyjątek wśród gromady snobów, na których tak narzekał Scott Adler. Przed objęciem

placówki był zresztą niegdyś gubernatorem Pensylwanii. Jako człowiek z refleksem, ambasador odmruknął coś uprzejmym tonem na temat swobody żeglugi dla wszystkich bez wyjątku i jeszcze tego samego wieczora, przed snem, machnął szyfrogram do Departamentu Stanu. Ryan uznał, że trzeba będzie pochwalić dyplomatę przy najbliższej rozmowie ze Scottem Adlerem.

— Nie mamy najmniejszych podstaw, żeby sądzić, że grozi nam agresja z tego kierunku — uznał Hanson po chwili namysłu.

— Mnie niepokoi tu element demograficzny. Indie nie mogą przeć na północ, bo po co im Himalaje? Kierunek zachodni odpada, Pakistan ma broń atomową. Na wschód od siebie mają Bangladesz.

Tych nie ruszą na pewno, bo po co im kłopot? Za to Sri Lanka, tę mogą zgarnąć bez wysiłku. Może nawet z myślą o jakimś dalszym ciągu ekspansji.

— Ekspansji? Przeciwno komu? — zapytał prezydent.

— Choćby przeciwko Australii. Dużo miejsca, dużo zasobów, za to Australijczyków niewiele i praktycznie bez wojska.

— Według mnie to czysta fantazja — zachnął się sekretarz stanu.

— Jeżeli Tamilowie wykręcą jakiś nowy numer, nie trzeba fantasty, żeby sobie wyobrazić, jak Indie wprowadzają na Cejlon nowy kontyngent sił pokojowych. Następnym krokiem byłaby aneksja wyspy, oczywiście przy sprzyjającej sytuacji międzynarodowej. Ani się obejrzymy, a już na drugim końcu świata możemy mieć nowe mocarstwo. Mocarstwo, które ma apetyt na jednego z naszych tradycyjnych sojuszników.

Nie trzeba było dodawać, że nakłonienie Tamilów do nowej kampanii to najprostsza rzecz na świecie, w dodatku usankcjonowana bardzo długą tradycją.

— Z doświadczenia wiemy, że takie zamysły najskuteczniej i najtaniej jest uśmierzać w zarodku.

— I właśnie dlatego trzymamy na Oceanie Indyjskim naszą flotę — przypomniał pewnym tonem Hanson.

— Zgoda — przytaknął Ryan.

— Czy mamy tam dosyć sił, żeby ich z góry zniechęcić do takich działań?

— Tak, panie prezydencie. Przynajmniej na razie. Nie podoba mi się natomiast, że nasza flota musi działać w takim rozproszeniu. Każdy z naszych lotniskowców jest w służbie, z wyjątkiem dwóch, które są w remoncie. Nie mamy praktycznie żadnych odwodów strategicznych. — Ryan zastanowił się, dopowiedział jednak rzecz do końca. Wiedział, że posuwa się za daleko. — Panie prezydencie, przeholowaliśmy z tym rozbrojeniem.



— Daliśmy sobie wmówić, że tamci są silniejsi, mądrzejsi. Kiedyś może byli, ale to już przeszłość — oświadczył Raizo Yamata, ubrany dziś w wykwintne jedwabne kimono. Siedzieli na podłodze, przy tradycyjnym niziutkim stole. Niektórzy z zebranych popatrywali ukradkiem na zegarki.

Rzeczywiście, dochodziła trzecia nad ranem i chociaż wybrali się do najlepszego domu gejsz w całym mieście, wszyscy czuli się już zmęczeni. Raizo Yamata nie tak łatwo wypuszczał swoich gości, przeciwnie. Zebrani uważali go za osobę o wielkim majątku i jeszcze większym rozumie. A przynajmniej większość zebranych.

— Bronią nas od pięćdziesięciu lat — zaproponował ktoś nagle.

— Przed kim bronią? Chyba przed nami samymi! — odrzekł lodowatym tonem Yamata. Brak manier był wręcz na miejscu, bo chociaż wszyscy tu zachowywali się na co dzień niezwykle uprzejmie, znali się bardzo dobrze, wręcz przyjaźnili, a prócz tego od początku wieczora nie oszczędzali się w picciu.

Nic dziwnego, że i etykieta uległa pośród nich stopniowej zmianie. Mogli teraz mówić wszystko bez ogródek. Słowa, które w normalnych warunkach stanowiłyby śmiertelną zniewagę, padały teraz gęsto, spotykając się z równie ciętymi odpowiedziami. Obywało się bez złej krwi, choć nawet teraz szczerłość miała pewne granice. Dysputa nie mogła zachwiać długoletnią przyjaźnią, ale nie oznaczało to wcale, że wszystko pójdzie całkowicie w niepamięć.

— Ilu spośród nas — ciągnął Yamata — ilu z nas skrzywdzili tamci, bez mrugnięcia okiem?

Yamata mówił „tamci”, a nie „barbarzyńcy”. Inni Japończycy wokół stołu wiedzieli, czemu się tak stało. Wśród gości było przecież dwóch nie-Japończyków. Pierwszym z nich był wiceadmirał V. K.

Czandraskatta, dowódca jednej z flot w hinduskiej marynarce, obecnie na wakacjach. Drugim obcym był

Huang Han San. Nie było to prawdziwe nazwisko, lecz pseudonim z dawnych czasów: słowa te oznaczały Zimną Górę. Huang Han San należał do ścisłej elity chińskich dyplomatów i przebywał w Tokio z misją handlową. Chińczyka obecnym było trochę łatwiej znieść niż Hindusa, który śniadą cerą i ostrymi rysami mocno denerwował gospodarzy. Owszem, był wykształcony i w przyszłości mógł się okazać pożytecznym, i inteligentnym sojusznikiem, ale jeszcze bardziej niż Chińczyk odpowiadał wyobrażeniom o *gaidzin*, barbarzyńcach zza morza. Ośmiu *zaibatsu* zgromadzonych wokół stołu miało nieomal wrażenie, że mimo wypitego oceanu sake wciąż czują odór Hindusa. Z tej to, a nie z innej przyczyny Czandraskatta zajmował honorowe miejsce po prawicy Yamaty. Przemysłowcy zastanawiali się po cichu, czy ich gość wie, czemu naprawdę zawdzięcza ten zaszczyt. Pewno się nie domyśla. Barbarzyńca i tyle, choć zapewne może się jeszcze przydać.

— Przyznaję, że tamci nie dysponują już taką samą potęgą, co dawniej, Yamata-san, lecz śpieszę pana zapewnić — ten ostatni zwrot Czandraskatta zawdzięczał swej edukacji w brytyjskim Dartmouth —

że ich flota nadal nie znajduje równego przeciwnika, już dwa lotniskowce, które utrzymują na moim oceanie to dosyć, bym się miał nad czym głowić.

Yamata ożywił się.

— Czyli nie potrafi pan ich pokonać, nawet posiadając okręty podwodne?

— Nie potrafię — odrzekł najzupełniej szczerze admirał, któremu wypita sake najwyraźniej nie uderzyła do głowy. Od początku wieczora Czandraskatta zastanawiał się, czemu właściwie zawdzięcza swoje zaproszenie. — Zechcą panowie zrozumieć, że zagadnienie ma naturę techniczną. Potraktujmy je jako problem naukowy, do rozwikłania w laboratorium, zgoda? — Czandraskatta poprawił na sobie kimono otrzymane od Yamaty na znak, że *zaibatsu* traktują go jak partnera. — Aby pokonać flotę przeciwnika trzeba najpierw podejść na odległość skutecznego strzału albo salwy raketowej.

Amerykańskie okręty dysponują sprzętem radarowym, który pozwala im śledzić nasze ruchy na ogromną odległość. Dzięki temu mogą się zawsze od nas w porę uwolnić, trzymać nas na dystans, w tym wypadku zwykle na czterysta mil. A ponieważ przy naszych środkach nie umiemy odpowiedzieć tym samym i tracimy kontakt, w starciu manewrowym jesteśmy z góry na niekorzystnej pozycji.

— Czy właśnie dlatego nie wylądowaliście jeszcze na Sri Lance? — zapytał Tanzan Itagake.

— Między innymi dlatego — przyznał admirał.

— Ile mają tych lotniskowców, powiedział pan? — zapytał znów Itagake.

— We Flocie Pacyfiku? Cztery. Dwa u naszych wybrzeży i dwa na Hawajach.

— Przecież mieli sześć? — zdziwił się Yamata.

— „Kitty Hawk” i „Ranger” przechodzą remont kapitalny. Pierwszy wraca do służby za rok, drugi dopiero za trzy. Siódma Flota ma w tej chwili komplet lotniskowców, za to Pierwsza ani jednego. W

ogóle Amerykanie mają ich w służbie jeszcze pięć, przypisanych do Drugiej i Szóstej Floty. Jeden idzie do remontu za sześć tygodni. — Czandraskatta uśmiechnął się, bo informacje, jakimi dysponował, pochodziły z ostatniej chwili. Warto pokazać gospodarzom, z kim mają do czynienia. — Muszę wam powiedzieć, panowie, że chociaż amerykańska Marynarka bardzo zmarniała w porównaniu z tym, czym USA dysponowały jeszcze powiedzmy pięć lat temu, w porównaniu z każdą inną flotą na świecie nadal jest prawdziwym potentatem. Każdy z ich lotniskowców ma taką samą wartość bojową, co wszystkie razem wzięte lotniskowce innych państw.

— A więc i pan uważa, że ich najgroźniejsza broń to lotniskowce? — ucieszył się Yamata.

— Ależ naturalnie. — Czandraskatta przesunął miseczki na stole i ustawił na środku blatu porcelanową karafkę na sake. — Proszę, wyobraźmy sobie, że karafka to ich lotniskowiec. Teraz zakreślmy dookoła krąg o promieniu sześciuset mil. Bez wiedzy i zgody lotniskowca nic i nikt nie ma prawa wstępu w obręb kręgu. Jeśli flotylla działa z większą szybkością niż normalnie, okrąg

zszersza się do tysiąca mil. Samoloty pokładowe mogą atakować cele nawet na jeszcze większą odległość, lecz i bez tego, jak panowie widzą, jeden lotniskowiec wystarcza, żeby kontrolować ogromny akwen. Ale jeśli odebrać .Ameryce te lotniskowce, ich Marynarka zmienia się w zwykłą flotyllę fregat, jednym słowem cała sztuka w tym, by ich pozbawić lotniskowców — dokończył admirał w prostych słowach, by myśl pojęli nawet zwykli przemysłowcy.

Czandraskatta nie mylił się zakładając, że ma przed sobą ludzi interesu, mało obytych w militariach. Nie docenił jednak japońskiej zdolności uczenia się na oczekaniu. Sam wywodził się z krainy, która nie słynęła z wojowniczości, choć to przecież mieszkańcy Indii powstrzymali pochód Aleksandra Wielkiego, wykrwawili mu armię, a jego samego zranili, kładąc kres jego podbojom. Ta sama sztuka nie udała się ani Egipcjanom, ani Persom. Indyjskie wojska walczyły pod wodzą Montgomery'ego w Afryce przeciwko dywizjom Rommla i rozbiły w puch japońskie natarcie na Imphal. Tego ostatniego faktu Czandraskatta nie miał dziś zamiaru przypominać, tym bardziej że jeden z biesiadników był niegdyś szeregowcem cesarskiej armii japońskiej. Hindus nadal nie wiedział, do czego zmierzają Yamata i pozostali, lecz tymczasem beztróska korzystał z ich gościnności i otwarcie odpowiadał na proste bądź co bądź pytania. Ponieważ był wysoki, wiercił się przy stole, a popijając sake marzył o normalnym trunku.

Na ewolucyjnej drabinie alkoholi sake znajdowała się dużo bliżej zwykłej wody niż ginu, ulubionego napoju admirała.

— A jeśli się to uda? — znów zapytał Itagake.

— Jak już wspomniałem... — Hindus okazał się niesłychanie cierpliwy — Ich flota zmieni się wówczas w zwykłą zgraję lekkich okrętów. Owszem, znakomitych okrętów, ale na pewno już nie tak skutecznych i nie tak dalekosiężnych. Fregata służy do eskorty, ale nie do ataku. Ani do szantażu strategicznego.

Słyszac te ostatnie słowa obecni drgnęli. Kiedy jeden z Japończyków przetłumaczył angielską kwestię na użytek kolegów, Itagake sapnął głośno. Zabrzmiało to tak, jak gdyby doznał olśnienia. Dla Czandraskatty zagadnienie było dziecinnie proste. Zapomina się jednak czasem, jak proste potrafią bywać olśnienia. Hindus pojął jednak, że stało się coś ważnego.

Miał nawet ochotę zapytać, ku czemu zmierzają jego gospodarze. By się tego dowiedzieć, nie zawahałby się rozlać krwi, nawet własnej. Być może Japończycy wyjawią to sami? Taka wiedza na pewno okaże się pożyteczna. Czandraskatta bardzo by się zdziwił, gdyby usłyszał, że nad tym samym zastanawiają się jego japońscy gospodarze.

— Jedno jest jasne: chłopaki nie żałują paliwa — rozpoczął poranną odprawę oficer operacyjny grupy uderzeniowej.

Lotniskowiec „Dwight D. Eisenhower” płynął stałym kursem dziewięćdziesięciu ośmiu stopni na południowy wschód. Grupa okrętów znajdowała się dwieście mil morskich na południe od atolu Felidu i przed godziną zwiększyła prędkość do osiemnastu węzłów. Przed startem samolotów prędkość trzeba było zwiększyć jeszcze bardziej. W centrali bojowej zdążono już nanieść na elektroniczną mapę szczegóły zaobserwowane czterdzieści minut wcześniej z pokładu samolotu

wczesnego ostrzeżenia *E-3C Hawkeye*.

Hinduska flota rzeczywiście nie żałowała węgla pod kotły. Węgla czy raczej mazutu.

Indyjska formacja do złudzenia naśladowała szykiem podobne ugrupowania amerykańskie.

Środkiem szły oba lotniskowce hinduskiej marynarki, „Viraat” i „Vikrant”. Kolisty szyk wymyślił przed osiemdziesięciu laty amerykański oficer nazwiskiem Nimitz. W pobliżu lotniskowców szły większe okręty eskorty w postaci „Delhi” i „Mysore”, niszczycieli rodzimej konstrukcji, wyposażonych w raketowy system przeciwlotniczy, o którym niewiele wiadano. Luka w informacjach niezbyt cieszyła lotników amerykańskich, ale trudno. Krąg eskorty domykały budowane w Indiach na rosyjskiej licencji niszczyciele klasy *Kaszin*, również uzbrojone w rakiety woda-powietrze. Najciekawsze okazały się jednak dwa nowe meldunki.

— Okręty zaopatrzeniowe „Rajaba Gan Palan” i „Shakti” zawinęły na krótko do Trivandrum, a potem dobiły do głównych sił hinduskiej floty...

— Na krótko, czyli na ile? — przerwał Jackson.

— Na mniej niż dobę — odpowiedział oficer operacyjny flotylli, Ed Harrison. — Długo nie zabawili, to fakt.

— Jednym słowem zawinęli tylko po to, żeby wziąć bunkier. Ile paliwa mają na pokładach?

— Każdy wiezie trzynaście tysięcy ton mazutu i tysiąc pięćset nafty lotniczej. Bliźniaczy okręt, „Deepak”, odłączył się od lotniskowców i idzie na północny zachód, prawdopodobnie także do Trivandrum.

— Widać, że im strasznie zależy, żeby mieć pełne zbiorniki. Ciekawe. Co dalej?

— Ich grupie towarzyszą podobno cztery okręty podwodne. Złapaliśmy przybliżony namiar jednego z nich, ale dwa zgubiliśmy. O, w tym rejonie. — Harrison nakreślił na elektronicznej mapie koślawy okrąg. — Pozycji czwartego okrętu nie znamy. Może uda się dzisiaj coś wykryć.

— A nasze podwodne? — Jackson zadał to pytanie dowódcy całej grupy.

— „Santa Fe” trzyma się blisko nas, a „Greenville” czuwa w połowie drogi. „Cheyenne” siedzi Hindusom na ogonie — odpowiedział mu kontradmirał Mike Dubro i znów upił łyk porannej kawy.

— Plan na dzisiejszy dzień, panie admirale — podjął kwestię Harrison — przewiduje, że wypuścimy czwórkę *F/A-18* i latające cysterny. Cała formacja poleci na wschód, do tego punktu. W

planie figuruje on jako BOKSYT. Kiedy go osiągną, skręcą na północny zachód, podejda do indyjskiego ugrupowania na trzydzieści mil morskich, pokręcą się pół godziny i wrócą do BOKSYTU. Tam uzupełnią paliwo i wrócą na lotniskowiec. Czas operacji cztery godziny i czterdzieści pięć minut.

Oficer nie musiał dodawać, że aby wysłać czwórkę *Hornetów* na taką odległość, potrzebna była pomoc ośmiu samolotów-cystern do tankowania w powietrzu. Jedna cysterna na dołot, drugie tankowanie na powrót na lotniskowiec. Mniej więcej tyle cystern stacjonowało na pokładzie „Eisenhowera”.

— Chcemy im udowodnić, że nie ruszyliśmy się z miejsca, tak? — Jackson uśmiechnął się tylko, oszczędzając sobie komentarzy na temat niepotrzebnego męczenia pilotów. — Ty, Mike, zawsze coś knujesz.

— Tamci na razie nie wiedzą, gdzie nas szukać i tak powinno pozostać — dodał Dubro.

— Co podwiesiliście pod Żuki? — Robby nie mówił inaczej na myśliwce morskie *F/A-18 Hornet*.

Nazwa „plastikowy żuk” przyjęła się zresztą w całej flocie.

— Każdy bierze ze sobą cztery rakiety Harpoon. Białe — zaznaczył Dubro, mając na myśli farbę na głowicach rakiet. Głowice ćwiczebne malowano na niebiesko. Barwę białą zastrzeżono dla głowic bojowych. Pociski *Harpoon* służyły do atakowania celów nawodnych. To, że samoloty zabiorą także pociski powietrze-powietrze typu *Sidewinder* i *AMRAAM*, rozumiało się samo przez się. Po chwili Dubro odezwał się z namysłem — Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, co ci faceci tak kombinują.

Tego akurat chciał się dowiedzieć nie tylko Dubro, lecz cała amerykańska flota. Hinduska grupa bojowa, jak ją nazywano, skądinąd najzupełniej zgodnie z prawdą, przebywała na pełnym morzu już od ośmiu dni, krążąc w pobliżu południowych wybrzeży Sri Lanki. Oficjalnie głoszono, że okręty wspierają operację pokojową wojsk indyjskich na wyspie. Zadaniem wojsk było poskromienie rebelii Tamiłskich Tygrysów, lecz do obrazka nie pasował pewien istotny szczegół. Tamiłowicze prowadzili partyzantkę w północnej, nie południowej części Sri Lanki. Czyżby indyjska flota pobłądziła? Oba lotniskowce manewrowały nieustannie, by umknąć częstych tu statków handlowych. Trzymały się też poza horyzontem, by nie można ich było zauważyć z wyspy, lecz zarazem w zasięgu promienia taktycznego samolotów z pokładu. Cejlońska marynarka nie stanowiła problemu, bo największy okręt wojenny Sri Lanki miał rozmiary przyzwoitego jachtu motorowego i najlepiej nadawał się na wycieczki. Wyglądało więc, że indyjska flota w tajemnicy przed światem koncentrowała się u wybrzeży najbliższego sąsiada.

Obecność okrętów zaopatrzeniowych wskazywała, że działania potrwać dłużej. Przy okazji Hindusi nabierali doświadczenia. Z meldunków wynikało niezbitcie jedno, a mianowicie, że hinduska flota zachowuje się dokładnie tak, jak od niepamiętnych czasów postępowała amerykańska Marynarka. Z tą jednak różnicą, że Stany Zjednoczone nie miały żadnych planów względem Sri Lanki.

— Codziennie tak ćwiczą? — upewnił się Robby.

— Och, bardzo pilnie — przytaknął Harrison — Proszę się nie zdziwić, jeśli nasze *Harriery* spotkają w powietrzu parę indyjskich *Harrierów*. Tamci wyślą je z czystej przyjaźni, rzecz jasna.

— Coraz mniej mi się to podoba — zauważył Dubro — Proszę opowiedzieć, co tu się działo w ubiegłym tygodniu.

— Ach, zabawy było co niemiara — Harrison wywołał na mapie komputerowy zapis tamtej sytuacji i puścił go w przyspieszonym tempie. — O, tutaj mamy początek manewrów.

Robby ujrzał na ekranie, jak od głównej formacji odłącza się grupa niszczycieli i całą prędkością rusza na południowy zachód, czyli tamtego dnia dokładnie w kierunku drugiej amerykańskiej grupy, tej z lotniskowcem „Lincoln”. W centrali operacyjnej na „Lincolnie” zawrzało. Na umówiony sygnał indyjskie niszczyciele rozsypały szyk, by zaraz pełną mocą maszyn zawrócić na północ. Wygasily przy tym radary i zastosowały ciszę w eterze A potem znów zawróciły, tym razem na wschód.

— Dowódca tej eskadry zna się na rzeczy. Ci z lotniskowców myśleli pewnie, że od razu ruszy na wschód i schowa się tu, w strefę złej pogody. Właśnie dlatego wysłali tam samoloty.

Skutkiem takiej decyzji, niszczycielom udało się podejść na odległość skutecznej salwy raketowej zanim kolejna grupa *Hornetów* z pokładu zdążyła wystartować na ich spotkanie. Śledząc komputerowy zapis morskich manewrów konkurencji, Robby zdawał sobie sprawę, z tego co zaszło. Na jego oczach eskadra niszczycieli wykonała pozorowany atak na lotniskowce, pokazując przy okazji, że dowódca formacji gotów jest poświęcić przy okazji część jednostek. Co gorsza, taktyka okazała się skuteczna, a atak udany. Niszczyciele udaloby się pewnie zatopić, ale co z tego, skoro wystrzelone z nich rakiety, albo ich część, przebiłyby się przez obronę powietrzną i trafiły lotniskowce. Ze względu na rozmiary i pływalność zatopienie lotniskowca nie jest rzeczą prostą, ale już niewielkie uszkodzenia wystarczały, by udaremnić starty samolotów, a tylko o to przecież chodziło. I jeszcze jedno. Na Oceanie Indyjskim lotniskowcami dysponowały tylko Indie. Indie i, oczywiście, Stany Zjednoczone. Robby zdawał sobie sprawę, że stała obecność amerykańskiej floty bardzo denerwuje Hindusów Ale przecież Hindusi nie doskonalili się w atakach z myślą o akcji przeciwko własnym lotniskowcom, prawda?

— Co, ty też masz wrażenie, że ktoś nas tu nie kocha? — upewnił się Dubro.

— Mam wrażenie, że przydałoby się nam więcej informacji. O co im chodzi, Mike? Bo w tej chwili głównie wiemy na ten temat.

— I nic dziwnego. Jakie mają zamiary wobec Cejlonu? Też nie wiadomo — zauważył Dubro, który jakoś się nie mógł przyzwyczaić do nazwy Sri Lanka.

— Przynajmniej ja nic nie słyszałem — zapewnił go Robby, który jako zastępca J 3, czyli działu operacyjnego w Pentagonie, miał dostęp dosłownie do wszystkich materiałów wywiadu — Z tym, że mnie wystarczy na dobrą sprawę to, co mi tutaj pokazałeś.

Rzeczywiście, jeden rzut oka na elektroniczną mapę wystarczał, by się zorientować, gdzie jest ląd stały, gdzie ocean, i jakie są pozycje okrętów. Indyjska marynarka stale czuwała, by nie dopuścić żadnych obcych jednostek w pobliże południowych brzegów Sri Lanki Na przykład jednostek

amerykańskich. Co więcej, Hindusi ćwiczyli operacje zaczepne przeciwko amerykańskiej flocie i zamierzali pozostać na morzu przez dłuższy czas. Jeśli zaplanowali to wszystko jako zwykłe manewry, nie żalowali sił ani środków. Droga zabawa, ale w końcu czemu nie? A czemu tak? Też nie wiadomo.

— Gdzie są teraz ich siły desantowe?

— Daleko Tyle wiem — odpowiedział z trudem kryjąc złość Dubro. — Nie mam możliwości, żeby to samemu sprawdzić, tak samo jak nie mam danych rozpoznania o Indiach. Ich marynarka ma wszystkiego szesnaście dużych okrętów desantowych. Z tego ze dwanaście sprawnych. Wystarczy, żeby wysadzić na brzeg wzmocnioną brygadę z pełnym uzbrojeniem. A na który brzeg, to już wiesz. Na północnym wybrzeżu wyspy znajdzie się parę wymarzonych lądowisk. Stąd, gdzie teraz jesteśmy, nie mamy tam nawet jak sięgnąć. No, od biedy. Potrzebne mi większe siły, Robby.

— A skąd ci je wezmę?

— Przydziel mi jeszcze dwa okręty podwodne. Tylko o tyle cię proszę. Sam wiesz, że są powody.

Para okrętów podwodnych miała strzec zatoki Mannar, a więc najbardziej prawdopodobnej strefy inwazji.

— Aha, Rob, i jeszcze wywiad. Niech mi coś znajdą, dobrze?

— Załatwione — uspokoił go Jackson. — Zajmę się tym. Kiedy mnie stąd wysyłasz?

— Za dwie godziny.

Jackson miał rozpocząć drogę powrotną na pokładzie samolotu ZOP *S-3 Viking*. Nie wiadomo dlaczego mówiono na ten samolot „Odkurzacz”. Zaletą Wikingów był ich spory zasięg. Tym razem liczyło się to podwójnie. Jackson miał w ten sposób dotrzeć aż do Singapuru i również tym sposobem utwierdzić Hindusów w przekonaniu, że grupa bojowa admirała Dubro przebywa na akwenu na południowy wschód, a nie na południowy zachód od Sri Lanki. Jackson przyłapał się na myśli, że przyszło mu przelecieć trzydzieści tysięcy kilometrów tylko po to, by odbyć półgodzinną odprawę i pogadać w cztery oczy z doświadczonym lotnikiem. Nic, normalna sprawa. Spokojnie zaczekał, aż Harrison zmieni elektroniczną skalę. Mapa pokazywała teraz cały Ocean Indyjski. Widać było na niej, że „Abraham Lincoln” płynie na północny wschód, z bazy na wyspie Diego Garcia. Świetnie: Dubro będzie miał do dyspozycji następnych kilka dywizjonów, które mogą się bardzo przydać. Tempo działań nakazywało śledzenie Hindusów w dzień i w nocy, na dodatek skrycie, więc nic dziwnego, że ludzie zaczęli już padać na nos. Samoloty także miały za swoje. Osiem maszyn, które Dubro mógł jednocześnie utrzymywać w powietrzu, musiało przeczesywać niewiarygodnie wielki akwen. Ciekawe, kiedy zrozumie to wreszcie ktoś w Waszyngtonie? Za kilka miesięcy dwa inne lotniskowce, „Enterprise” i „Stennis”, miały zluzować „Eisenhowera” i „Lincolna”, lecz to oznaczało, że w pewnym momencie na Oceanie Indyjskim nie będzie ani jednej dużej jednostki. Hindusi także zdawali sobie z tego sprawę, bo nie da się ukryć planowanej daty powrotu okrętu z

kilkoma tysiącami ludzi na pokładzie. Ilu marynarzy, tyle rodzin.

Nowiny rozchodzą się prędko, na tyle prędko, by w porę usłyszeli je Hindusi. Właśnie. No, więc co się zdarzy za kilka miesięcy?

— Dzień dobry. — Dan Murray podniósł się z krzesła i przywitał się z Clarice Golden, czy raczej z panią doktor Golden. Clarice miała pięćdziesiąt lat, była niziutka i przy kości, a niebieskie oczy i okrągła twarz znamionowały wesołość, jak gdyby ich właścicielka usłyszała właśnie świetny dowcip.

Murray lubił i szanował Clarice, tym bardziej, że byli do siebie podobni. Doktor Golden, tak jak on, znała się na swoim fachu i potrafiła łączyć oderwane fakty. Obydwoje ukrywali też własną inteligencję za zasłoną prostego sposobu bycia. Na przyjęciach każde z nich było duszą towarzystwa, z tym jednak, że nawet zaśmiewając się do rozpuku, ani Murray ani Clarice Golden nie przestawali myśleć i kojarzyć.

Murray był zdania, że Clarice nadawałaby się świetnie do pracy w policji, a Clarice również była o nim wysokiego zdania, choć do policji wcale jej nie było pilno.

— Czemu zawdzięczam zaszczyt zaprosin? — Uprzejmy zwrot Murraya nie był żartem. Doktor Golden nie odpowiedziała, gdyż kelner kładł właśnie przed nimi karty dań. Dla Murraya stanowiło to pierwszą ważną oznakę. Nadal się uśmiechał, ale nie spuszczał teraz wzroku z niziutkiej rozmówczyni.

— Muszę się pana poradzić w pewnej sprawie — westchnęła wreszcie Clarice Golden. — Niech mi pan powie, kto zajmuje się przestępstwami popełnionymi na terenie instytucji federalnej?

— Tylko nasze Biuro. Bez wyjątków — odrzekł Murray i pogładził pod marynarką kolbę służbowego pistoletu. Odruch był idiotyczny, ale skoro rozmawiali o przestępstwie, Murray chciał sobie przez ten dotyk uzmysłować, na czym polega jego życiowa rola. Pistolet wyrażał dlań tę rolę lepiej niż mosięzna tabliczka na drzwiach dyrektorskiego gabinetu, bo chociaż Murray zawędrował wysoko, nigdy nie zapomniał, że zaczynał karierę w filadelfijskiej policji, w brygadzie walczącej z napadami na banki.

Gliniarz jest gliniarzem, nawet kiedy przyszło mu schować służbową blachę do dyrektorskiej szuflady.

— Nawet na terenie Kapitolu? — upewniła się Clarice.

— Nawet tam — powtórzył Murray i zdziwił się nieco, bo doktor Golden nagle zamilkła, choć przecież zwykle nie dawała sobie przerwać. Dotychczas mógł czytać w jej myślach, na tyle oczywiście, na ile wytrawny psycholog, jakim była, da sobie czytać w myślach. Clarice także trzymały się rozmaite sztuczki.

— Niech mi pani powie wprost, o co chodzi.



— Chodzi o gwałt.

Murray skinął głową i odłożył kartę.

— No, dobrze. W takim razie może mi pani powie, kim jest pani pacjentka.

— Kobieta, oczywiście. Wiek 35 lat, stanu wolnego, nigdy nie wyszła za mąż. Skierował ją do mnie jej ginekolog, skądinąd mój dobry znajomy. Trafiła do mnie w stanie depresji. Głębokiej, klinicznej depresji. Do tej pory odbyłam z nią trzy wyczerpujące sesje terapeutyczne.

Tylko trzy? Murray jeszcze raz musiał w duchu przyznać, że Clarice to demon spostrzegawczości.

Z jej macierzyńskim ciepłem i cichym głosem nadawałaby się wyśmienicie na oficera śledczego.

— Kiedy się to stało? — Murray uznał, że na razie nie warto pytać o nazwiska. Najpierw gołe fakty.

— Trzy lata temu.

Agent FBI (Murray'owi nadal bardziej odpowiadała ranga agenta niż tytuł młodszego zastępcy dyrektora FBI) spochmurniał.

— Trzy lata to kawał czasu, pani doktor. Pewnie żadnych śladów rzeczowych, wyników laboratoryjnych, co?

— Niestety. Moja pacjentka powie, że gwałt był, gwałciciel powie, że nic podobnego. Chociaż niezupełnie, bo jest jeszcze coś. — Clarice Golden sięgnęła do torebki i wysupłała powiększoną kserokopię listu Beringer. Murray powoli czytał kolejne stronicę, a doktor Golden usiłowała odczytać z jego twarzy choćby ślad reakcji.

— Kurczę blade! — westchnął wreszcie Murray. Kelner kręcił się po sali, ale na szczęście daleko: sześć, siedem metrów. Uznał pewnie ich rozmowę za spotkanie dziennikarza z poufnym źródłem informacji. W Waszyngtonie widziało się takie sceny w każdej knajpie. — Zaraz, zaraz... A gdzie oryginał listu?

— W moim gabinecie. Dobrze schowany — uspokoiła go Clarice. Murray omal się nie roześmiał.

Sprawa wyglądała teraz o wiele lepiej. Po pierwsze, papeteria z gabinetu sprawcy, z jego nazwiskiem. Po drugie na papierze dobrze zachowują się odciski palców, zwłaszcza jeżeli list leżał w chłodnym i suchym miejscu, na przykład w biurku czy w sejfie. Pracowniczka Senatu USA najmując się do pracy musiała się zgodzić na pobranie od niej odcisków palców, co znaczy, że łatwo da się ją zidentyfikować jako autorkę listu. W liście podawała czas, miejsce i przebieg tego, co się stało. Co więcej, napisała, że chce ze sobą skończyć. Smutne, oczywiście, ale chodziło o co innego: samobójcze refleksje upodobały list do notatki pośmiertnej, a tym samym podlegały definicji dowodu rzeczowego w procesie kryminalnym na wokandzie sądu federalnego. Obrońcy oskarżonego

zażądają, oczywiście, wycofania listu jako dowodu.

Normalna kolej rzeczy. Sędzia, również normalną kolejną rzeczy, odrzuci to żądanie, a członkowie ławy przysięgłych będą się mogli napawać każdym słówkiem i każdym szczegółem, jak gdyby słyszeli głos zza grobu. Ale, ale... W tego rodzaju procesie obywa się bez ławy przysięgłych. Przynajmniej na początku.

Murray organicznie nie znosił spraw o gwałt. Jako mężczyzna i jako gliniarz odnosił się do tej kategorii sprawców ze szczególną pogardą. Drażniła go myśl, że mężczyzna może się okazać takim tchórzem. To po pierwsze, a po drugie, jeżeli dojdzie do procesu, ciężko jest dowieść winy w oparciu wyłącznie o zeznania ofiary. Murray podzielał sceptycyzm wszystkich doświadczonych policjantów w kwestii zeznań naocznych świadków. Ludzie są z reguły mało spostrzegawczy, po prostu. Ofiary gwałtu, przybite tym, co się stało, często zeznają w sposób chaotyczny, co bezlitośnie wykorzystują adwokaci oskarżonego. Co innego dowody rzeczowe: tym trudniej już zaprzeczyć. Murray uwielbiał dowody rzeczowe.

— Czy na tej podstawie można już wszcząć śledztwo?

Murray podniósł wzrok na Clarice i cichym głosem zapewnił ją:

— Owszem, to zupełnie wystarczy.

— A obecne stanowisko tego człowieka...

— Też nie szkodzi. W tej chwili jestem, żeby tak powiedzieć, chłopcem na posyłki u Billa Shawa.

Czyli jego asystentem. Zna pani Billa?

— Tylko ze słyszenia. A słyszało się o nim sporo.

— W dodatku wszystko to prawda — zapewnił ją Murray. — Byliśmy z nim na jednym roku w akademii policyjnej w Quantico. Zaczynaliśmy w tym samym okresie, przy takich samych sprawach.

Znam go, i powiem pani, że dla gliniarza przestępstwo to przestępstwo, nieważne, kim jest ten, kto je popełnił, i jaki jest ważny. Gliniarze są od tego, żeby robić swoje.

W głębi ducha Murray wcale jednak nie był aż tak spokojny o reakcję przełożonego. Ależ pasztet!

Chodziło nie o wymiar sprawiedliwości, lecz o politykę. Prezydent wścieknie się, że spadnie mu na głowę taki kłopot. Ba, każdy byłby wściekły, gdyby się okazało, że jego najbardziej zaufany współpracownik zgwałcił Barbarę Linders i Lisę Beringer. Polityka jednak nie zmieniała faktu, że przed trzydziestu laty, w tymże Quantico w stanie Wirginia, Daniel E. Murray, absolwent akademii kadr FBI, podnosząc prawą dłoń przysiągł, że będzie stał na straży prawa. Zgoda, stanie na straży przybierało rozmaite postaci.

Czasem trzeba było zrobić wyjątek. Normalna sprawa. Dobry agent wie, kiedy warto ustąpić, który przepis da się nagiąć i na ile... Tym razem nie mogło być mowy o naginaniu prawa. Nie przy takim przestępstwie. Bili Shaw wyznawał na szczęście tę samą zasadę. Poszczyściło mu się na tyle, że piastował

dotąd stanowisko tak wolne od politycznych nacisków, jak to tylko możliwe w Waszyngtonie, i nie musiał

ić na kompromisy. Przez całe życie Shaw słynął z bezkompromisowości i nie zanosilo się na to, by miał

się na starość radykalnie zmienić. Śledztwo tego kalibru musiało więc znaleźć początek w jego gabinecie na szóstym piętrze.

— Muszę panią mimo wszystko zapytać, czy to rzeczywiście prawda?

— Jako specjalistka oceniam, że pacjentka nie kłamie. I nie zmyśla szczegółów.

— Będzie zeznawać?

— Tak.

— A jak pani ocenia ten list?

— To także autentyk, z psychologicznego punktu widzenia.

Murray był tego samego zdania, ale chciał, by doktor Golden jako fachowiec zapewniła go o tym na głos. Nie tylko jego: także innych agentów, a potem sąd i ławę przysięgłych.

— I co teraz? — zapytała go Clarice.

Murray podniósł się od stolika. Krążący opodal kelner był wyraźnie zawiedziony.

— Teraz? Teraz pojedziemy prosto do mnie do biura i porozmawiamy z Billem. Posadzimy nad tą sprawą paru agentów, żeby zaczęli zbierać materiał. Pójdziemy z Billem i jeszcze jednym agentem na drugą stronę ulicy, do Departamentu Sprawiedliwości i zamienimy parę słów z prokuratorem generalnym.

A potem? Dokładnie nie wiem. Nigdy w życiu nie spotkałem się z taką sprawą. No, może na początku lat siedemdziesiątych, ale to historia, więc nie pamiętam, jaką się stosuje procedurę. Co do pacjentki, jak zwykle: długie przesłuchania, czasem na ostro. Porozmawiamy z rodziną tamtej Beringer, z jej otoczeniem, przejrzymy jej papiery, zapiski... Ale to wszystko szczegóły techniczne. Najgorsza będzie strona polityczna.

Dan wiedział, że ze względu na to ostatnie, to właśnie jemu przyjdzie się zajmować śledztwem.

Niech to szlag! Jak brzmi artykuł Konstytucji USA, który określa postępowanie w takich wypadkach?

Doktor Golden opacznie odczytała wyraz twarzy Murraya, bo zaczęła:

— Moja pacjentka żąda...

Murray aż zamrugał i skarcił się w duchu. Przepięstwo jest przepięstwem, kropka.

— Wiem, Clarice. Pacjentka żąda ukarania sprawcy. To samo należy się Lizie Beringer. I wie pani co? Należy się to także władzom Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Człowiek pochylony nad klawiaturą wcale nie wyglądał na zawodowego programistę. Przeciwnie, bardzo dbał o prezencję, ubierał się w klasyczne prążkowane garnitury i nie rozstawał się z elegancką teczką. Gdyby go o to zapytać, odrzekłby, że tego żądają od niego klienci. Ostatecznie pracował dla ludzi z Wall Street, gdzie wygląd znaczy bardzo wiele. W rzeczywistości jednak sam podzielał te upodobania.

Sam zabieg był najprostszy w świecie. Zleceniodawca używał w swej sieci komputerów typu Stratus, niewielkich i bardzo szybkich, a w dodatku łatwo dających się łączyć w sieci. Ze względu na niską cenę i dużą niezawodność, Stratusów używano powszechnie do obsługi sieci Internet. W

pomieszczeniu stały trzy Stratusy, oznaczone białymi literami: Alfa i Beta i Zulu. Każdy z nich co drugi dzień służył jako główny komputer miejscowej sieci, z drugą maszyną w rezerwie. Trzeci identyczny komputer, Zulu, pozostawał w odwodzie, na wszelki wypadek. Wiadomo było, że jeśli Zulu włączył się, brygada specjalistów pędzi już do Alfy albo Bety. Po drugiej stronie Rzeki Wschodniej, już nie na Manhattanie, znajdowało się identyczne pomieszczenie, zasilane z innego źródła, z innymi łączami telefonicznymi i innym zestawem anten satelitarnych. Identyczne w obu pomieszczeniach były tylko urządzenia przeciwpożarowe, żaroodporne ściany i halonowy system DuPont 1301, dzięki któremu w parę sekund dawało się zdusić pożar. Każda trójka komputerów dysponowała awaryjnym zasilaniem z akumulatorów, wystarczającym na dwanaście godzin. Niestety, nowojorskie przepisy przeciwpożarowe i zarządzenia na temat ochrony środowiska zabraniały montowania awaryjnych generatorów prądu wewnątrz budynków. Przepisy bardzo irytowały inżynierów od ochrony obiektu, bo powodowały kolejną serię kłopotów. Za troskę o obiekt inżynierowie brali spore pieniądze i dlatego nadal szukali dziury w całym, mimo iż potrójne zabezpieczenia — w wojskowości nazywa się taką praktykę „budowaniem obrony w głąb” — chroniły komputery przed każdym dającym się przewidzieć niebezpieczeństwem.

Albo prawie przed każdym.

Na płycie czołowej Stratusa znajdowało się gniazdko typu SCSI, nowość w dużych komputerach, których projektanci przyznawali w ten sposób, że modele przenośne zaczynają dorastać do gigantów. Szło o to, że dużo łatwiej było wgrać nowy program za pośrednictwem komputera osobistego niż za pomocą dużej taśmy magnetycznej.

W tym wypadku mały komputer do ładowania programów stanowił część stałego wyposażenia Stratusa. PC trzeciej generacji podłączono do wspólnej płyty sterowniczej Alf, Bety i Zulu. Do małego komputera podłączony był z kolei napęd taśmy typu Bernoulli, tak zwany „opiekacz”. Autorom tej nazwy chodziło o kształt kasety z taśmą, podobnej do kwadratowej kromki amerykańskiego

chleba. Mały komputer miał pamięć wielkości 1000 Mb i pomieściłby jeszcze kilka takich programów jak dzisiejszy.

— Gotowe? — upewnił się programista.

Dyżurujący technik przesunął myszą po stole i wybrał z listy opcji komputer Zulu. Za jego plecami kierownik zmiany potwierdził decyzję. Alfa i Beta wykonywały codzienną porcję zadań.

— Wszedłeś na Zulu, Chuck.

— Aha, świetnie — odmruknął Chuck. Wbity w garnitur programista wcisnął kasetę w szczelinę napędu i odczekał, aż na ekranie pokaże się odnośny symbol. Jeden ruch myszą otworzył na ekranie kolejne okno, ujawniające zawartość PORTA-1, czyli przyniesionej kasety.

Nowe okno na ekranie zawierało tylko dwa symbole, oznaczone jako Install i Electra -Clerk-2.4.0.

Automatyczny program kontrolny omiół nową porcję danych i sprawdził, czy nie zawiera ona wirusów.

Po pięciu sekundach wiadomo było, że program jest czysty.

— Wygląda, że możemy lecieć, Chuck — odezwał się dyżurny. Kierownik zmiany potwierdził te słowa skinieniem głowy.

— To co, Rick? Rodzimy to dziecko?

— Przyj.

Chuck Searls dwukrotnie pstryknął myszą nakierowaną na symbol INSTALL.

Czy na pewno chcesz zastąpić program Electra-Clerk 2.3.1 nowym programem Electra-Clerk 2.4.0?

Zapytał programistę napis na ekranie. Searls wybrał myszą symbol TAK.

Ale czy na pewno „na pewno”?

rozjarzył się następny napis.

— Kto mi to wsadził w program?

— Ja — przyznał się ubawiony dyżurny.

— Ale śmieszne. — Searls znów wybrał symbol TAK.

„Opiekacz” z taśmą zaczął pomrukiwać i szumieć. Searls bardzo lubił urządzenia, które hałasowały podczas pracy, na przykład stukot głowic magnetycznych twardego dysku. Jego program miał

tylko pięćdziesiąt megabajtów i został wpisany, zanim jeszcze Searls zdążył otworzyć sobie butelkę

źródlanej wody.

— Chcecie się przekonać, czy działa? — zapytał Searls, odjeżdżając wraz z fotelem od konsoly.

Już spokojniejszy, rozejrzał się po wnętrzu. Za szybami z pancernego szkła rozpościerał się widok na cały port u południowego cypla Manhattanu. W kierunku otwartego morza sunął ogromny statek wycieczkowy, lśniący białą farbą. Ciekawe, dokąd płynie? Searls wyobraził sobie biały piasek tropikalnej plaży, błękitne niebo i słońce, słońce przez cały rok. Nie tak jak w Nowym Jorku. Z Nowego Jorku człowiek ma tylko ochotę wyjechać, uciec... Fajnie byłoby siedzieć teraz na pokładzie wycieczkowca, coraz dalej od przenikliwych jesiennych wichur. A jeszcze fajniej byłoby nigdy nie wrócić do tego miasta.

Searls uśmiechnął się marzycielsko. Samolotem byłoby oczywiście szybciej, a prócz tego nie trzeba kupować biletu od razu w dwie strony.

Kierownik zmiany zza swojej konsoly podłączył Zulu do sieci. O 16.10 czasu nowojorskiego rezerwowany komputer zaczął kopiować serię zadań wykonywanych przez Alfę. Beta pozostała w rezerwie.

Różnica dała się wyczuć natychmiast: na skali monitora widać było, że Zulu wykonuje instrukcje nieco szybciej. W tak nerwowy dzień na giełdzie jak dzisiejszy, Zulu pozostawał zwykle w tyle za Alfą, lecz dziś często wyskakiwał do przodu i musiał czekać, aż główny komputer go dogoni.

— Jasny parasol, Chuck! — Dyżurny nie posiadał się z wrażenia.

— A coś ty myślał? Wyciąłem z dziesięć tysięcy linijek instrukcji, i już. Maszyny są w porządku, trzeba było tylko odchudzić program. Znalezienie najkorzystniejszego kanału przekazu zabrało nam trochę czasu, ale chyba się udało.

— Dużo pozmieniałeś? — zapytał kierownik zmiany, który także znał się nieźle na programowaniu.

— Sporo. Najwięcej w hierarchii i w podziale zadań na każdy równoległy obwód. Przydałoby się trochę popracować nad synchronizacją, ale za miesiąc, może dwa coś się wymyśli. Odchudzę go jeszcze bardziej, zobaczycie.

Dyżurny nakazał komputerowi porównać prędkość obu programów.

— Sześć procent szybszy niż stary 2.3.1. Może być.

— Przyda się nam te sześć procent — dodał kierownik zmiany, któremu przydałoby się dużo więcej. Ruch na giełdzie robił się chwilami tak gęsty, że komputery ledwo nadążały z notowaniem transakcji. Kierownik, podobnie jak cała reszta personelu z Trust Depository Company, swoistego archiwum obrotów giełdowych, żył w wiecznym strachu, że nie zdążą.

— Jak mi przyślecie na koniec tygodnia komplet danych, to może wyszarpnę jeszcze parę procent

— przyobiecał Searls.

— Piękna robota, Chuck.

— Miło słyszeć, Bud.

— Kto jeszcze używa tej wersji?

— Poza wami? Nikt. Chłopaki z CHIPS używają podobnej, ale wolniejszej.

— No, to dobrze, żeśmy cię znaleźli. — Kierownik zmiany rzadko zdobywał się na takie pochwały. Gdyby przemyślał sytuację, byłby zapewne bardziej powściągliwy, lecz w obiektywnej ocenie przeszkadzał mu fakt, że sam osobiście zaprojektował cały ten system. Wszystkie rezerwy i zabezpieczenia były jego autorstwa, nawet pomysł, by taśmy z zapisami co dzień po skończonej sesji wyjmować z maszyn i wywozić do sejfu poza Nowym Jorkiem. Kierownik współpracował ściśle z komisją, która wymyślała środki bezpieczeństwa dla tego typu firm. Paradoks sprawił, że wieczna pogoń za stuprocentową wydajnością i bezpieczeństwem odsłoniła słabą stronę systemu, stronę, z której istnienia kierownik nie zdawał sobie zupełnie sprawy. Wszystkie komputery używały tego samego oprogramowania. Używały dlatego, że musiały. Gdyby każdy z komputerów używał innego programu, nie mogłyby się one porozumiewać między sobą, na podobieństwo biura, w którym każdy urzędnik mówi w innym języku. Najważniejsze było zaś utrzymanie sprawnej sieci, i właśnie dlatego wszystkie sześć tak świetnie chronionych maszyn dzieliło ten sam słaby punkt: wszystkie używały tego samego języka.

Inaczej się nie dało. Na sześciu komputerach opierał się jednak cały amerykański system finansowy.

Nie oznaczało to, że firma nie stosuje żadnych zabezpieczeń. Przeciwnie, nowy program czyli Electra-Clerk 2.4.0 miał przez tydzień chodzić tylko w komputerze Zulu. Dopiero wtedy można go było zastosować także w Alfie i w Becie. Po kolejnym tygodniu wersja 2.4.0 mogła się znaleźć w rezerwowym pomieszczeniu za rzeką, wpisana do pamięci komputerów Charlie, Delta i Tango. Chodziło o to, żeby spokojnie sprawdzić, czy wersja 2.4.0 jest szybka i czy działa jak należy, nawet pod największym obciążeniem. Dopiero po okresie kwarantanny można było uznać program za udany i bez ograniczeń zastosować go we wszystkich Stratusach firmy. Za pomocą 2.4.0 komputery miały sobie przekazywać bloki zer i jedynek niczym szóstka przyjaciół zgromadzonych wokół zielonego stolika.

Wkrótce też cała szóstka komputerów miała sobie przekazać ten sam dowcip. Dla niektórych nawet śmieszny, choć może nie dla personelu z TDC.

# Kolegium

— A więc zgoda? — upewnił się przewodniczący Banku Rezerw Federalnych. Zebrani wokół

okrągłego stołu współpracownicy przytaknęli. Decyzja należała zresztą do łatwiejszych. Po raz drugi w ciągu kwartału prezydent Durling po cichu poinformował odpowiednie kręgi — czyli zadzwonił do przewodniczącego Banku Rezerw — że nie będzie się sprzeciwiał, jeśli bank podniesie o pół procenta podstawową stopę kredytową. Stopa kredytowa określa, jakich odsetek Bank Rezerw Federalnych będzie żądał od banków, którym pożyczą pieniądze. Któż inny, oprócz władz federalnych, dysponował

podobnymi sumami? Banki wiedziały poza tym, że każdy skok oprocentowania natychmiast przeniosą dalej i pokryją z kieszeni rzesz swoich klientów.

Działalność Banku Rezerw Federalnych żywo przypominała spacer po linie. Zebrani dziś wokół

stołu bankowcy nie raz odczuli to na własnej skórze, lecz ostatecznie to oni trzymali w ręku kran, przez który do amerykańskiej gospodarki płynął kapitał. Kran albo raczej bramę jazu, tak wiele było tych pieniędzy. Regulując ów przepływ, bankowcy starali się, by pieniędzy na rynku nie było nigdy ani za mało, ani też za dużo.

Opis ten oddaje stan rzeczy jedynie w wielkim uproszczeniu, przede wszystkim dlatego, że w dzisiejszym świecie „pieniądz” to kwestia umowna. Gdyby pracownikom Drukarni Papierów Wartościowych w budynku oddalonym od Banku Rezerw o niecały kilometr kazać wydrukować tę samą ilość jednodolarówek, jaką Rezerwa puszczała w tym czasie w obieg, nie wystarczyłoby na to ani papieru, ani farby. „Pieniądz” istniał więc głównie w pamięci komputerów i oznaczał mniej więcej: „Pan, prezes Banku Miejskiego w Podunk, ma odtąd do dyspozycji dodatkowe trzy miliony dolarów, które można teraz pożyczyć Joe’emu ze sklepu narzędziowego, Jeffowi Brownowi, który prowadzi stację benzynową, albo amatorom nowych domków, którzy zaciągną u pana kredyt i będą go spłacać przez następne dwadzieścia lat”. Mało kto z tych ludzi mówiąc „pieniądz” widział w myślach gotówkę. Karty kredytowe stanowiły mniejszą pokusę dla złodzieja, a co więcej, nie trzeba było liczyć banknotów ani odnosić utargu do banku.

Skutek był taki, że pieniądze istniały jako elektroniczne albo teleksowe przekazy. Pożyczano je teoretycznie, na papierze i na papierze, bo czekiem, spłacano. Czek wypisywało się na specjalnym blankiecie, często zdobnym wizerunkiem orła albo żaglówki na wymyślnym jeziorze. Orły i żaglówki przyciągały klientów, a bankom bardzo zależało na nowych klientach.

Władza osób zebranych w waszyngtońskiej sali była tak ogromna, że trudno było nawet o niej myśleć. Jedna prosta decyzja ludzi zgromadzonych wokół stołu sprawiała, że jak Ameryka długa i szeroka, wszystko bez wyjątku drożało. Szły w górę stawki odsetek za pożyczki na budowę domu, w górę windowały się ceny kredytów na auta i stawki spłat długów z kart kredytowych Z powodu jednej, jedynej decyzji zarządu Banku Rezerw Federalnych, każdy dom i każda firma w Ameryce miały teraz mniej pieniędzy Za mało na wypłatę świątecznej premii dla pracowników, za mało na prezenty dla dzieci.



Komunikat prasowy o decyzji nie wspominał, że operacja osuszy wszystkie portfele w całym kraju, że podrożeje wszystko od komputerów aż po balonową gumę do żucia, że siła nabywcza społeczeństwa skurczy się jeszcze bardziej .

Bankowcom z Rezerw Federalnych wcale to nie przeszkadzało. Przeciwnie, ich zdaniem wszystkie statystyki zdawały się wskazywać, że gospodarka trochę się za bardzo przegrzewa. Nad krajem zaczynało świtać widmo inflacji. Inflacja, mniejsza czy większa, istniała oczywiście zawsze — chodziło cały czas tylko o to, by utrzymywać ją w rozsądnych granicach. Ceny powinny wzrosnąć, ale w miarę.

Inna sprawa, że podwyżka stopy dyskontowej podwyższała je dodatkowo.

Bankowcy stosowali metodę „klin klinem”. Podnosząc stopę dyskontową w bankach osiągało się to, że społeczeństwo pożyczało mniej pieniędzy. Tym samym malał dopływ pieniądza na rynek, a co za tym idzie, spadał popyt. W ślad za spadkiem popytu zaczynały się stabilizować ceny. A skoro tak, oddalała się groźba czegoś znacznie bardziej niebezpiecznego niż chwilowy skok stopy procentowej.

Skutki decyzji sięgały jednak dużo dalej, niczym kręgi rozchodzące się po spokojnej dotychczas tom. Po pierwsze, wzrastały natychmiast odsetki na obligacjach skarbu państwa. Władze każdego kraju wypuszczają takie obligacje, by pokryć wydatki budżetowe. Społeczeństwo — a w rzeczywistości instytucje takie jak banki, fundusze inwestycyjne i ubezpieczalnie — drogą komputerową przekazują swoje kapitały rządowi na okres od trzech miesięcy do trzydziestu lat. W zamian za prawo do obracania tym kapitałem, rząd wypłaca spore odsetki (i natychmiast zwraca je sobie w podatkach). Podniesienie stopy dyskontowej w Banku Rezerw Federalnych powodowało podwyżkę opłat, jakie rząd był winien swoim wierzycielom, właścicielom obligacji. W górę szły więc także koszty obsługi zadłużenia federalnego. Władze czuły się w obowiązku ściągnąć z rynku dodatkowe ilości pieniądza, by załatać dziurę, i w ten sposób dodatkowo uszczuplały środki będące w dyspozycji banków. Im mniej pieniądza mogły pożyczyć banki, tym bardziej śrubowały one własne stopy procentowe.

Skoro jednak tak się działo, inwestorzy pchający dotychczas swoje pieniądze na giełdę, zaczęli wysprzedawać pakiety akcji i lokować uwolniony kapitał w zwykujące obligacje. Dodatkową zachętą był

fakt, że gwarantowane przez rząd odsetki z obligacji uważano za „bezpieczniejsze” niż niepewne zyski na rynku papierów wartościowych, gdzie zawsze można było stracić.

Poszczególni inwestorzy i zawodowi przedstawiciele funduszy inwestycyjnych z Wall Street, którzy bacznie śledzili wszystkie statystyki, z flegmą przyjęli wieczorny komunikat o decyzji Banku Rezerw Federalnych (wydany oczywiście po zamknięciu giełd, by nie powodować zamieszania).

Zakarbowali sobie oczywiście w pamięci, by „spuścić” czyli sprzedać pakiety niektórych akcji, nie bacząc zupełnie na to, że masowa wyprzedaż zepchnie o kilkadziesiąt punktów w dół nowojorski indeks giełdowy Dow Jones. Na wskazania Dow Jones składały się wyniki obrotów trzydziestu giełdowych

„pewniaków”, akcji, na których w teorii nie można było stracić. Ich listę otwierały akcje Alhed Signal, zamykał ją Woolworth, a w samym środku tkwił Merck. Patrząc na drgnienia Dow Jones można się było zorientować, co się dzieje na rynku, choć tylko z grubsza. Prasie i masowemu odbiorcy, który i tak nie bardzo się w tym wszystkim orientował, Dow Jones wystarczał w zupełności. Każda zapaść krzywej powodowała u ludzi niepokój — zwłaszcza u inwestorów, którzy tym gorliwiej zaczynali się pozbywać swoich akcji. Po pewnym jednak czasie inni inwestorzy postrzegali w niższe cen szansę dla siebie i wkraczali z kapitałem na parkiet. Ceny papierów wartościowych znowu szły w górę, dopóki nie osiągnęły równowagi. Wracało też zachwiane zaufanie rynku. A całą tę huśtawkę nastrojów wywoływała zwykle jedna decyzja garstki ludzi zebranych w pełnej przepychu waszyngtońskiej sali posiedzeń. Nazwiska tej gromadki znało niewielu spośród zawodowych inwestorów, nie mówiąc już o drobnych ciułaczach.

Najdziwniejsze było jednak to, że w powszechnym odbiorze uważano całą tę zabawę za usprawiedliwioną, ba, wbrew swojej mglistej bezpostaciowości tak oczywista jak prawo ciążenia.

Pieniądze istniały jedynie w pamięci komputerów. Nawet „prawdziwe” pieniądze były tylko prostokącikami papieru, zadrukowanymi na zielono po jednej stronie, a po drugiej na czarno. Cała ta masa pieniądza od dawna nie miała pokrycia w złocie czy innych cennych substancjach. System opierał się na zbiorowym przekonaniu, że pieniądze mają wartość, że wartość mieć po prostu muszą, i kropka. System monetarny Stanów Zjednoczonych i każdego innego kraju na świecie stanowił więc zagadnienie tyleż dla bankowców, ile dla psychologów. Ta sama zasada odnosiła się do wszystkich innych aspektów amerykańskiej gospodarki. Nie tylko pieniądz opierał się na zbiorowej wierze. To zaś, co tego popołudnia uczynili bankowcy z Rezerw Federalnych, miało zachwiać zbiorową wiarą, zachwiać chwilowo, z myślą, że już wkrótce wszystko z woli ogółu znów wróci do normy. Wśród wiernych byli zarówno prości ludzie, jak i bankowcy Rezerw, wyobrażający sobie, że oni jedni rozumieją to, co się dzieje na rynku pieniądza.

Często żartowali oni między sobą, że tak naprawdę nikt nie wie, jak to wszystko działa, i że pytać o prawa rynku dolara można z równym skutkiem, jak zadawać pytania o to, kim jest Bóg, lecz z drugiej strony wcale się nie zrażali i na podobieństwo teologów wciąż próbowali zgłębić tajemnicę swojego bóstwa. Ich zadanie polegało na tym, aby utrzymywać cały kult w ruchu, nadawać wierze postać i trwałość, a nade wszystko nigdy, przenigdy nie przyznawać głośno, że cały system opiera się na papierowym fundamencie

— papierowym jak banknoty, które ludzie ci nosili przy sobie z myślą o sytuacjach, kiedy nie da się wygodnie skorzystać z karty kredytowej.

Bankowcom z Rezerw Federalnych ufano, choć nie bezgranicznie. Dokładnie w taki sam sposób lud ufa hierarchii kościelnej, od której zależy doczesna postać wiary. Kler także nawołuje do wiary w coś, czego się nie da zobaczyć ani dotknąć i nakazuje posłuszeństwo strukturze, której jedynym ziemskim wyrazem są kamienne budowle i poważne oblicza kapłanów. Bankowcom wcale to nie przeszkadzało.

Skoro wszystko gra, czym tu się przejmować? Bo przecież wszystko grało?

Ciekawe, że przybysze z Japonii, zwłaszcza ci z Tokio, w całej Ameryce najlepiej czuli się właśnie na Wall Street. Budynki były tu tak wysokie, że całkowicie przesłaniały niebo, a ulice tak tłoczne, że przybyszowi z innej planety mogłoby się wydawać, iż podstawową formą życia na Ziemi są żółte taksówki i lśniące, czarne limuzyny. Tłum na zaśmieconych, wąskich chodnikach uwijał się gorączkowo, z wzrokiem utkwionym stanowczo przed siebie, byle tylko nie patrzeć na innych ludzi, kto wie, może konkurentów, a na pewno zawalidrogów. Atmosfera Wall Street, jej tempo, opryskliwość, sztywność, lecz zarazem rzekło by się bezcielesność, udzielały się całej reszcie Nowego Jorku. Mieszkańcy tego miasta powtarzali sobie, że tylko u nich coś się rzeczywiście dzieje i angażowali się w pogoń za prywatnymi i zbiorowymi celami tak dalece, iż zaczynali nienawidzić ludzi z najbliższego otoczenia, a więc ludzi podobnych do siebie. Pod tym względem świat Wall Street naprawdę nie miał sobie równych. Wszyscy odczuwali tu względem siebie to samo, a resztę świata mieli dokładnie gdzieś. Tak to przynajmniej wyglądało z boku, bo kiedy się człowiek baczniej przyjrzał, okazywało się, że rycerze z Wall Street także mają żony i dzieci, zainteresowania, pasje, marzenia i sny, jak wszyscy normalni ludzie — tak, ale nie w godzinach między ósmą rano i szóstą wieczór, nie wtedy, kiedy prowadzą interesy! Przez interesy rozumiano tu oczywiście robienie pieniędzy, to jest towaru, w obliczu którego gaśnie poczucie lojalności.

Nie inaczej działo się na pięćdziesiątym ósmym piętrze drapacza chmur przy Columbus Lane. Tu właśnie mieściła się centrala holdingu Columbus. Holdingu, w którym dochodziło dziś do zmiany warty.

Sala posiedzeń zapierała dech, i to dosłownie. Patrząc na ściany wyłożone orzechowymi panelami — nie forniowanymi, a z litego drewna — i przeszklone ściany z bezkresnym widokiem na nowojorski port i zatokę, albo idąc po dywanie tak grubym, że nogi zapadały się w nim prawie po kostki, naprawdę dostawało się zadyszki. A potem także szoku elektrycznego, bo gruby dywan miał do siebie to, że zbierał

ładunek elektryczny. Bywalcy tej sali jakoś się przyzwyczaili do tej ostatniej atrakcji. Długi na osiem metrów stół konferencyjny miał blat z czerwonego granitu, a stojące wokół niego fotele kosztowały prawie dwa tysiące dolarów za sztukę.

Holding Columbus istniał zaledwie od jedenastu lat, lecz przez ten czas z anonimowej grupki finansistów na dorobku przeistoczył się w postrach giełdy, w meteor na finansowym niebie, a z czasem w poważnego partnera, ba, w filar tej części giełdowej społeczności, która się zajmowała funduszami kapitałowymi. Założycielem banku był George Winston, lecz w obecnej dobie do kierowania poszczególnymi wydziałami potrzebny był cały sztab ludzi. Trzy główne działy nazwano Santa Maria, Pinta i Nina, czy raczej nazwał je tak dwudziestodwuletni podówczas Winston, przejęty książką Samuela Eliota Morisona „Europejczycy i odkrycie Nowego Świata”. Winston tak się zdumiał odwagą, wyobraźnią i czystą bezczelnością nawigatorów ze szkoły księcia Henryka, że postanowił, idąc za ich przykładem, także wytyczyć sobie śmiały kurs. Od tamtej pory minęło sporo lat. Winston dobiegał

czterdziestki, miał tyle pieniędzy, ile nie potrafili sobie wymarzyć najwięksi chciwcy, a co więcej

czuł się zmęczony. Pora, aby się wycofać, odetchnąć, wachać kwiatki, zacząć wypływać trzydziestometrowym jachtem w dłuższe rejsy. To ostatnie marzenie Winston miał zamiar zrealizować od razu i przez kilka najbliższych miesięcy nauczyć się sterować jachtem żaglowym „Cristobol” z perfekcją równą tej, z jaką robił wszystko inne. Chciał wsiąść na jacht i odtworzyć szlak dawnych wojaży Kolumba. Co roku nowa podróż. A potem? A potem się zobaczy. Może napisze książkę o żegludze?

Jak na swoje potężne ego, Winston był niezbyt dużego wzrostu, lecz dzięki tryskającej z niego energii wydawał się ludziom wręcz wysoki. Rygorystycznie dbał o siebie i codziennie chodził na siłownię, świadomy faktu, że największe śmiertelne żniwo ze wszystkich czynników zbiera na Wall Street zwykły stres. Nic dziwnego, że wchodząc sprężystym krokiem do sali posiedzeń, Winston wyglądał jak okaz zdrowia. Wszyscy już czekali. Winston uśmiechnął się triumfalnie, niczym nowo wybrany prezydent: szczerze i miło. Cieszyło go, że tego dnia osiąga szczyt zawodowej kariery. Dobry nastrój sprawił, że Winston złożył wręcz ukłon pod adresem honorowego gościa.

— Yamata-san, cieszę się, że znów się spotykamy. — George Winston wyciągnął dłoń na przywitanie. — Jechał pan do nas przez pół świata.

— Jakże mógłbym się nie zjawić w tak ważnym dniu! — odwzajemnił uprzejmość japoński przemysłowiec.

Winston poprowadził jeszcze niższego od siebie japończyka ku honorowemu miejscu i wrócił na fotel prezydialny. Między sobą a Yamatą miał teraz tłum prawników i specjalistów od bankowości, rozstawionych niczym dwie drużyny piłkarskie na linii starcia. Winston prawie się uśmiechnął, lecz zachował neutralny wyraz twarzy. W duchu powtarzał sobie, że robi to, co robi, bo nie ma innego wyjścia.

Nie ma się co bawić: trzeba sprzedać budę, i tyle. Przez pierwszych sześć lat przeżył największe emocje swojego życia. Zaczynał raptem od kilku klientów, a pomnażając zainwestowane przez nich pieniądze, powiększał też rozgłos na temat własnych talentów. Pracował wówczas w domu, nie w biurze, i całymi dniami krążył po pokoju, ogarnięty prawdziwą burzą myśli. Miał do dyspozycji jeden komputer, jeden telefon i rodzinę do wykarmienia. Żona na szczęście rozumiała go i pomagała jak mogła, choć była wówczas w ciąży. Cztery dni po tym, jak Winston rzucił pracę w towarzystwie Fidelity, okazało się, że żona ma urodzić bliźnięta — a mimo to nigdy nie usłyszał od niej złego słowa na temat swej decyzji. W

wieku trzydziestu pięciu lat Winston wycisnął z życia wszystko, co się dało. Jego biuro zajmowało dwa piętra jednego z drapaczy chmur przy Wall Street, jego gabinet olśniewał luksusem, jego pracownicy byli tak inteligentni, że z powodzeniem potrafili się zająć każdym szczegółem inwestycji. I właśnie wówczas Winston pierwszy raz zaczął się zastanawiać, czy aby nie powinien się wycofać.

Kiedy pomnażał kapitały swoich klientów, Winston zaczął także stopniowo inwestować własne pieniądze. Dziś jego prywatny majątek — po odliczeniu podatków — wynosił 657 milionów dolarów.

Wrodzona ostrożność kazała Winstonowi wycofać te pieniądze z aktywów funduszu i ulokować je gdzie indziej, tym bardziej, że to, co się działo na rynku papierów wartościowych, niepokoiło go coraz bardziej.

Uwolnione sumy Winston powierzył innej, mocno konserwatywnej firmie maklerskiej. Sam się trochę dziwił, że to czyni, ale naprawdę nie mógł już patrzeć na giełdę i jej okolice. Miał dosyć ryzyka, dosyć spekulacji... Nowa lokata była oczywiście śmiertelnie nudna, ot, ciułanie odsetek bez żadnych widoków na nadzwyczajną fortunę, lecz przecież nie po to Winston od lat pytał sam siebie, czy warto się tak szarpać, by teraz znów szukać ryzyka. Po co? I bez tego był właścicielem sześciu luksusowych rezydencji, każda z parą samochodów, do niego należał też prywatny śmigłowiec i wycarterowany odrzutowiec I oczywiście „Cristobol”, ulubiona zabawka. Winston miał wszystko, czego tylko pragnął i nawet przy ostrożnej lokacie majątku odsetki od kapitału narastały szybciej niż inflacja, tym bardziej, że Winston nie szastał bezmyślnie pieniędzmi. Przeciwnie, podzielił kapitał na porcje po pięćdziesiąt milionów każda i obstał wszystkie sektory rynku kapitałowego, korzystając z pomocy kolegów mniej może genialnych ale z pewnością znających się na rzeczy i godnych zaufania. Cały proces trwał już od trzech lat, po cichu Winston przez ten czas usilnie poszukiwał kogoś, kto by go godnie zastąpił w dyrektorskim fotelu.

Niestety, jedynym poważnym kandydatem okazał się pewien japoński kurdupel.

„Dyrektorowanie” bardziej odpowiadało prawdzie niż doniesienia, że Columbus zmienia właściciela. Prawdziwymi właścicielami całego funduszu byli poszczególni inwestorzy, którzy powierzyli firmie pieniądze. Winston nigdy nie zapominał, że wszystko zawdzięcza właśnie im, a nie komu innemu.

Dlatego nawet kiedy powziął decyzję, nadal czuł wyrzuty sumienia. Inwestorzy zaufali jemu i współpracownikom, nauczyli się na nim polegać. Zaufanie tylu osób potrafi być ciężkim brzemieniem, nawet kiedy się ma taką wprawę w wykonywaniu obowiązków jak Winston. Dosyć, wystarczy. Pora zająć się rodziną w postaci piątki dzieci i wiernej żony, rodziną, której też dawno się znudziło wysłuchiwanie, że tatuś za chwilę wróci, ale na razie jest bardzo, ale to bardzo zajęty. Bardzo dobrze, potrzeby ogółu, a co z potrzebami kilku najbliższych osób?

Raizo Yamata miał szczerzy zamiar zastąpić fundusze wycofane przez Winstona własnym majątkiem, a także kapitałami kilku wielkich japońskich koncernów. Winston wycofywał się wprawdzie po cichu i wpuszczał japoński kapitał bez rozgłosu, ale przy działaniach o takiej skali nie obyło się oczywiście bez komentarzy. Dlatego tak ważne było, by jego następcą włożył co najmniej taką samą kwotę w fundusz i tym samym podbudował nadwątlone zaufanie. Przy okazji miało to przypieczętować zbliżenie między amerykańskim i japońskim systemem finansowym. Pod okiem Winstona podpisywano więc kolejne deklaracje, dzięki którym pieniądze zmieniały kraj i właściciela, a dyrektorzy międzynarodowych oddziałów bankowych w sześciu krajach siedzieli w biurach do późnej nocy. Raizo Yamata był osobą poważaną i majątną.

Bardziej majątną niż poważaną, przynajmniej w oczach Winstona. Od czasu, gdy ukończył

Wharton, Winston spotykał w życiu wielu macherów finansowych, inteligentnych, zręcznych i bezwzględnych. Umieili oni przeważnie ukryć swą drapieżną naturę pod maską dobroduszości i dowcipu.

Być może Yamata wyobrażał sobie, że jako spadkobierca długiej tradycji z łatwością ukryje prawdziwe uczucia przed światem. Przy okazji myślał pewnie, że jest misiem sprytniejszym od innych misiów — czy raczej byków. To przecież byk był symbolem giełdy. Winston uśmiechnął się pod nosem. Może Yamata jest sprytny, a może nie. Dlaczego siedzi teraz z taką obojętną miną? Japończycy też przecież coś czują, też potrafią się cieszyć. Winston często przestawał z Japończykami i wiedział swoje na ich temat.

Wystarczy wypić z nimi parę kolejek i zaraz robili się kubek w kubek podobni do Amerykanów. Może trochę bardziej krępowali się niż Jankesi, może byli bardziej wstydlivi i zawsze niesłuchanie ugrzecznieni. Winstonowi najbardziej podobały się w Japończykach ich dobre manieri. Przydałoby się je zaszcześcić mieszkańcom Nowego Jorku. Ech, marzenia. Ale, ale... Właśnie! Yamata był uprzejmy, owszem, lecz miało się przy nim wrażenie braku szczerości. Uprzejmość była udawana. Wstyd, skrępowanie? Gdzie tam. Ten Yamata jest jak robot...

Nieprawda. Kiedy podawano mu dokumenty do podpisania, Winston uświadomił sobie, że i to wrażenie jest mylne. Yamata skrywał swoje prawdziwe ego za murem grubszym niż u innych ludzi. Po co, dlaczego stworzył w sobie taki mur? Dlaczego utrudnia sobie życie? W tym pomieszczeniu znajdował

się przecież pośród ludzi równych sobie, ba, był wśród partnerów, współników w interesach! Wsadził w holding Columbus własny majątek, prawie dwieście milionów dolarów, więc naprawdę nie musiał się bać ani krępować. To on był największym indywidualnym inwestorem w całym funduszu. To on miał prawo decydować o losach każdego dolara, każdej akcji i każdej obligacji. Columbus nie był w żadnym razie największym potentatem na Wall Street, gdzieżby tam, ale należał z pewnością do elity rynku finansowego. Tutaj wytyczano nowe trendy i wprowadzano w życie nowe praktyki inwestycyjne. Yamata wkupił się nie tylko w zwyczajną firmę maklerską, lecz zarazem w hierarchię amerykańskich finansistów, i to na wysokim miejscu. Jego nazwisko, dotychczas mało znane w USA, będzie się odtąd wypowiadać z szacunkiem i powagą. Yamata naprawdę miał powody do zadowolenia. Czemu się nie uśmiecha? Yamata jednak siedział sztywny jak kołek.

Winstonowi podsunęto wreszcie do podpisu ostatni z dokumentów. Jedno po ciągnięciu piórem, i wszystko znajdzie się w rękach Yamaty. Takie to proste. Jeden podpis, smużka granatowego atramentu na papierze. Jedenaście lat życia. Drobnny gest, i wszystko znajdzie się w rękach człowieka, którego Winston nie umiał zrozumieć.

Ale po co rozumieć? Niech się wciągnie, niech robi pieniądze dla siebie i innych. Zwyczajnie.

Winston nie podnosząc wzroku złożył szybki podpis. Natychmiast poczuł pretensję do samego siebie. Czemu nie spojrział Japończykowi w oczy?

Po sali rozniósł się huk otwieranej butelki z szampanem. Wszyscy dotychczasowi podwładni Wmstona uśmiechali się radośnie. Winston stanowił dla nich żywy symbol tego, co można osiągnąć.

Ach, mieć czterdzieści lat, majątek i masę wolnego czasu na realizację marzeń. Wyrwać się z biura...

Wszystkim ludziom z otoczenia Winstona przyświecała ta sama wizja. Żeby ją spełnić, trzeba było jednak nie tylko myśleć, lecz także nie bać się niczego i nikogo. Mało kto decydował się na podobny krok, a i pośród odważnych porażki nie należały wcale do rzadkości. Winston rozpalał więc w ludziach nadzieję.

Bo skoro jemu się udało... Giełdowi czarodzieje byli twardzi i cyniczni, lecz Winston znał ich powszechne, starannie skrywane marzenie: zarobić kupę forsy i dać nogę, nie musieć dzień po dniu uginać się pod brzemieniem niewiarygodnej odpowiedzialności, nie szukać nowych okazji do zarobku w stosach raportów i analiz nie pisać sprawozdań, nie szukać nowych inwestorów... Zarobić, dać zarobić innym, a potem do widzenia, żegnajcie, koledzy. W czarodziejskim miejscu, w którym tęcza dotyka ziemi, nie czeka garniec pełen złota, lecz coś jeszcze wspanialszego: drzwi z napisem WYJŚCIE. Jacht żaglowy, dom na Florydzie, drugi dom na Wyspach Dziewiczych, trzeci dom w Aspen... Dni, kiedy można spokojnie pospać do ósmej rano. Gra w golfa. Mamiące wizje przyszłości, w której człowiek naprawdę niczego nie musi.

Czemu się więc nie wycofać? Teraz i zaraz?

Wielki Boże! Winston na powrót zaczął się zastanawiać, czy aby nie popełnił największego w życiu błędu. Nazajutrz rano, kiedy się obudzi, odkryje, że nie ma nic do roboty. Nic a nic. Jak tu znieść taką pustkę w życiu?

Jeszcze raz powtórzył sobie w myślach, że trochę za późno na takie refleksje. Lepiej sięgnąć po obowiązkowy kieliszek szampana i upić łyk chłodnego Moët. Winston podniósł kieliszek w toaście i rozejrzał się, szukając Yamaty. Toast także należał do etykiety obowiązującej przy takich okazjach.

Yamata nareszcie się uśmiechał, choć niezupełnie tak, jak się spodziewał Winston. Japończyk uśmiechał

się niczym triumfator. Dlaczego? Jak to? Winston niczego nie stracił. Yamata zapłacił za Columbus ciężkie pieniądze. Przy tego typu transakcjach nie ma przegranych i wygranych. Winstona najbardziej drażniło to, że nie rozumie całej sytuacji. Kiedy przełykał szampana, gorączkowo snuł domysły na temat tego, co się dzieje. Winston spojrzął z odległości prawie dwunastu metrów na Japończyka. Ich oczy spotkały się nagle. Co ciekawe, nie zauważył tego nikt spośród obecnych. Mimo że nie było tu przegranych ani wygranych, Yamata i Winston spoglądali na siebie jak para przeciwników w zażartej wojnie.

Dlaczego? W wypadku Winstona reakcja była czysto instynktowna. Widząc wrogość Japończyka, Winston nie pozostał mu dłużny. Wrogość, albo coś dużo mniej uchwytne, złość? A może Yamata to jeden z tych ludzi, którzy toczą wieczną wojnę z całym światem? Winston także miał za młodu podobne zapędy, ale przeszły mu one z wiekiem. Konkurencja nie wyklucza dobrych manier. Na Wall Street konkurencja wszystkich ze wszystkimi stanowiła fundament całej działalności, ale na szczęście nawet w pogoni za zyskiem, informacją, czy zgodą we własnych szeregach, wszyscy przestrzegali tych samych zasad gry.

Gry? Winston zastanowił się. Przecież właśnie się wycofywał z tej gry? Za późno.

Pozostawało chwycić się innego sposobu walki. Winston podniósł kieliszek i pośród gwaru rozmów, bez słowa przepił do Japończyka. Yamata odwzajemnił się podobnym gestem, lecz uczynił to w sposób jeszcze bardziej arogancki, jak gdyby całym sobą chciał wyrazić pogardę dla głupoty tego, który ubił z nim tak rzekomo świetny interes.

Skoro przedtem tak świetnie maskował uczucia, czemu się nagle, umyślnie odkrywa? Czemu struga ważnego, czemu pokazuje światu, że udało mu się coś... Coś, o czym nie wie nikt z obecnych...?

Ale co takiego?

Winston odwrócił się do okna i zapatrzył się w gładź portowego akwenu. Znużyły go nagle gry i podchody, zastanawianie się, co takiego wypiczył kurdupel z Tokio i domysły kto wygrał, a kto stracił.

Powtarzał sobie w myślach, że jeśli ktoś tu stracił, to na pewno nie on. Ba, wręcz zyskał. Zyskał wolność.

Pieniądze. I całą resztę. Doskonale, panie skośny może się pan teraz rządzić w firmie, tłuc kasę, na każde żądanie mieć stolik w dowolnym klubie czy restauracji w tym mieście ilekroć się pan tu zjawi, może pan sobie powtarzać, jaki to jest pan ważny, bardzo proszę. Jeżeli oznacza to dla pana zwycięstwo, w porządku. Tylko niech pan nikomu nie wmawia, że jest to zwycięstwo nad kimś. Na przykład nad niejakim Winstonem.

Szkoda, wielka szkoda. Winston zauważył wszystko prawidłowo, zidentyfikował istotne elementy nowej sytuacji, lecz co z tego, skoro pierwszy raz od wielu lat nie umiał połączyć tych faktów w logiczną całość. Nie było to jego winą. Winston znał się jak nikt inny na wielkiej grze o nazwie Wall Street i odruchowo — oczywiście błędnie — założył, że wszyscy inni będą grać dokładnie w to samo.

Chet Nomuri zdrowo się napocił, by pozbyć się znamienia amerykańskiego obywatelstwa. Jego rodzina żyła w Stanach Zjednoczonych od pięciu pokoleń, to jest od chwili, kiedy przodkowie Nomury przybyli do Kalifornii na przełomie wieków, jeszcze przed dżentelmeńską umową między Waszyngtonem, a Tokio o ograniczeniu imigracji. Nomurę drażniły podobne umowy, ale już do pasji doprowadzało go to, co się stało potem. Jego dziadkowie i nawet pradiadkowie posiadali amerykańskie obywatelstwo, a mimo to spotykały ich kolejne zniewagi. Dziadek Nomuriego, by udowodnić swoją lojalność wobec Ameryki zaciągnął się do 442. Grupy Bojowej i powrócił z wojny z dwoma medalami Purpurowego Serca, i naszywkami starszego sierżanta, lecz kiedy się zjawił, okazało się, że rodzinny sklepik z papeterią został sprzedany, a cała rodzina siedzi w obozie dla internowanych. Dziadek Nomuri ze stoickim spokojem zaczął interes od nowa, zawiesił wiele mówiący szyld Skład Meblowy „U

Kombatanta” i zarobił dość pieniędzy, by trójce synów zafundować wyższe studia. Ojciec Cheta Nomuriego został dzięki temu lekarzem, specjalistą od chirurgii naczyniowej. Twierdził, że to, iż



urodził

się w obozie dla internowanych, nie ma znaczenia, lecz zarazem strzegł rodzinnej tradycji i nauczył własne dzieci płynnie mówić i pisać po japońsku.

Chet Nomuri odkrył z czasem, że ojciec naprawdę się przyłożył do tej edukacji. Wyzbycie się lekkiego cudzoziemskiego akcentu okazało się kwestią kilku tygodni. Dzięki temu Chet mógł się dziś wylegiwać w tokijskiej łaźni parowej, a otaczający go ludzie zachodzili w głowę, z której to prefektury pochodzi ich rozmówca. Nomuri miał kilka kompletów dokumentów, a więc i kilka miejsc urodzenia.

Jego prawdziwym pracodawcą była Centralna Agencja Wywiadowcza, choć jak na ironię tym razem działał na zlecenie amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości — tej samej instytucji, która niegdyś wysłała jego dziadków do obozu — a bez wiedzy odpowiedniego pionu w Departamencie Stanu. Chet Nomuri nauczył się od ojca-chirurga podstawowej zasady, mianowicie tej, by myśleć o przyszłości i o tym, jak ją zmienić, a nie o przeszłości i o tym, czego zmienić nie można. Na tym polegała najistotniejsza lekcja życia w Stanach Zjednoczonych. Nomuri rozmyślał o tym wszystkim, zanurzony po szyję w gorącej wodzie.

W łaźni obowiązywało kilka nieskomplikowanych zasad. Wolno tu było rozmawiać o wszystkim, oprócz pracy zawodowej. Wolno było powtarzać biurowe plotki, lecz opisywanie, co się robi i za jakie pieniądze należało już do bardzo złego tonu. Poza tym można było pleść o czym się tylko chciało. Dla Japończyków, członków jednego z najbardziej konserwatywnych społeczeństw na świecie, łaźnia stanowiła oazę zaskakującej swobody. Nomuri zjawiał się tu codziennie, zawsze mniej więcej o tej samej porze, a że czynił tak od dłuższego czasu, zdążył już nawiązać trochę znajomości pośród stałych bywalców. Dowiedział się przy okazji wszystkiego o ich żonach i dzieciach. Sam też nie szczędził nowym znajomym szczegółowych relacji o swoim życiu rodzinnym, w tym wypadku o legendzie stworzonej na jego użytek w Agencji, lecz dziś tak samo dlań realnej jak młodość w podmiejskiej dzielnicy Los Angeles.

— Potrzebna mi kochanka. — Kazuo Taoka znany był z tego, że powtarzał to życzenie niczym papuga. — Odkąd się nam urodził syn, żona nic, tylko by oglądała telewizję.

— One wszystkie takie — zgodził się inny amator łaźni, także urzędnik. Nurkujący w drewnianej niecce mężczyźni odchrząknęli niezgodnym chórem na znak zgody.

— Taka utrzymanka to kosztowna zabawka — wtrącił Nomuri ze swojego kąta niecki. Ciekawiło go swoją drogą, czy kobiety utyskują tak samo w swoich, osobnych łaźniach. — Dużo czasu, dużo pieniędzy.

O pieniądze było w Japonii łatwiej niż o wolny czas. Każdy z gromady młodych urzędników —

określenie tylko z grubsza trafne, bo chociaż mężczyźni ci nie byli jeszcze dyrektorami, uważali się za coś lepszego niż za zwykłych urzędasów — zarabiał bardzo przyzwoitą pensję, lecz w zamian za to był

przypisany do macierzystej korporacji równie ściśle, jak w średniowieczu pańszczyźniani chłopci do pana albo dziewiętnastowieczni górnicy do swojej kopalni. Wielu z nich zrywało się z łóżka przed świtem, większość dojeżdżała do pracy pociągiem z odległych przedmieść, wszyscy bez wyjątku pracowali w zatłoczonych biurach, siedzieli nad robotą do późnych godzin, a gdy wracali do domu, okazywało się, że ich żony i dzieci już śpią. Nomuri czytał o tym wszystkim w prasie, naoglądał się też podobnych scen w telewizji, lecz mimo to przyjazd do Japonii stanowił dla niego szok. Życie gospodarcze kwitło kosztem społecznej tkanki kraju, a najbardziej ze wszystkiego cierpieła na tym rodzina. Zadziwiająca sytuacja, zwłaszcza że to przecież tradycja ścisłych więzów rodzinnych pozwoliła Nomuriemu przetrwać w Ameryce, mimo całego rasizmu tamtych czasów.

— Że kosztowna, zgoda — przytaknął ponuro Taoka. — Ale powiedzcie, czy mężczyzna ma inne wyjście? Przecież mamy swoje potrzeby!

— Prawda, prawda — odezwano się od przeciwległej ściany kąpielowej niecki, mniejszej od basenu i najbardziej podobnej do monsturalnej balii. — Kosztuje oczy z głowy, ale czy bez tego warto być mężczyzną?

— Szefowie, ci to mają z tym łatwiej — bąknął z kolei Nomuri w nadziei, że w odpowiedzi usłyszy coś ciekawego. Nadal był na etapie, kiedy dopiero budował sobie alibi i wcale się z tym nie śpieszył. Mary Pat i Ed nakazali mu przede wszystkim ostrożność.

— Ech, żebyście wiedzieli, jaką dupcię znalazł sobie Yamata-san — zarechotał ponuro kolejny kąpielowicz.

— Naprawdę? — ożywił się Taoka.

— Bo wiecie — rozmówca rozejrzał się na boki — Yamata przyjaźni się z Goto.

— Z tym politykiem? No, tak! Jasne!

Nomuri oparł się o krawędź kąpielowej niecki i przymknął oczy, poddając ciało pieszczocie gorącej wody. Bardzo się starał, żeby nie okazać cienia zainteresowania, lecz jego mózg zmienił się w tej chwili w magnetofon.

— Polityk — zamruczał. — Hmmm.

— Naprawdę. W zeszłym miesiącu musiałem doręczyć Yamata-san jakiś papiery. W domu, w zacisznej dzielnicy, i to nawet niedaleko stąd. Papiery dotyczyły pewnej transakcji, którą dziś podpisuje.

Dzisiaj, naprawdę. Yamata nie był u siebie, tylko właśnie u Goto, w gościach. Wpuścili mnie, nie wiem czemu. Może Yamata-san chciał, żebym też sobie popatrzył. No, i mieli tam ze sobą dziewczynę... —

Japończyk aż westchnął. — Wysoką, z włosami blond i z takimi buforami, że sobie nawet nie

wyobrażacie.

— Zaraz, to gdzie sobie można kupić amerykańską kochankę? — przerwał ktoś podnieconym głosem.

— Amerykańską, ale tresowaną — podjął gawędziarz. — Bo ta, rozumiecie, znała swoje miejsce.

Wiedziała, kto tu jest panem i siedziała cicho, a Yamata -san przeglądał te dokumenty. Bezwstydnicą, mówię wam. A bufory, no coś wspaniałego...

Nomuri wiedział już, że krążące na temat Goto plotki są prawdziwe. Jakim cudem ktoś, kto tak ostentacyjnie demonstruje swoje gusta umiał zejść tak wysoko w polityce? Agent zadawał sobie to pytanie od dawna, choć wiedział już, że odpowiedź jest bardzo prosta. Głupie pytanie, i tyle. Politycy zachowywali się dokładnie tak samo od czasów wojny trojańskiej.

— Mówże, mówże! — popędził żartobliwie gawędziarza Taoka. Podwładny Yamaty nie dał się długo prosić i ku uciesze zasłuchanej widowni jeszcze raz odmalował przed nimi całą scenę. Ze szczegółami. Kąpielowicze wiedzieli już wszystko o żonach kolegów z łaźni, więc relację o „świeżej”

dziewczynie przyjęli wręcz z entuzjazmem.

— Skąd w ludziach takie gusta? — wykrzywił się Nomuri, który nadal nie otwierał oczu. — Białe są za wysokie, mają wielkie stopy, nie potrafią się zachować w towarzystwie, a poza tym...

— Nie przerywaj! Niech opowiada! — zgasili go słuchacze.

Nomuri wzruszył ramionami na znak, że poddaje się woli ogółu i nadal notował w pamięci każde słowo. Urzędnik, który podpatrzył utrzymanie Goto okazał się spostrzegawczy i zapamiętał masę szczegółów. Już po minucie Nomuri dysponował pełnym rysopisem Amerykanki. Meldunek na ten temat zwykłą koleją rzeczy wędrował przez biuro szefa placówki w Tokio do centrali w Langley — zwykłą koleją, bo CIA pilnie śledziła prywatne obyczaje znanych polityków na całym świecie. W centrali nie istniało takie pojęcie jak nieistotne fakty. Dobrze i to, choć Nomuri miał nadzieję, że dowie się w łaźni o czymś ciekawszym, niż o erotycznych upodobaniach Goto.

Odprawę po akcji prowadzono w Zagrodzie. Oficjalnie miejsce to nazywało się Camp Peary i leżało w pobliżu międzystanowej autostrady 64, między Williamsburgiem i Yorktown w Wirginii. Mieścił

się tu ośrodek szkoleniowy CIA. Ponieważ było gorąco, obecni ledwo nadążali z otwieraniem puszek z napojami. Pochyleni nad mapami Clark i Chavez objaśniali, co udało im się zwojować w ciągu sześciu tygodni zakończonych tak widowiskowym sukcesem. Z wiadomości sieci CNN dowiedzieli się, że w następnym tygodniu rozpocznie się proces sądowy Korpa. Mało kto miał wątpliwości na temat, jaka będzie treść werdyktu i wyrok. Można się było założyć, że w dalekiej równinowej krainie ktoś dostał już zlecenie, by zakupić pięć metrów trzykwietniowej konopnej liny. Zagadką było tylko, skąd władze kraju wytrzasną drewno na budowę szubienicy. Deski trzeba będzie chyba ściągnąć z zagranicy. Clark nie przypominał sobie, by przez sześć tygodni naoglądał się tam wiele drzew.

— Cóż — odezwała się Mary Patricia Foley, gdy usłyszała do końca ostateczną wersję wypadków.  
— Udało się wam. Czysta robota.

— Dzięki, dzięki — przyjął komplement Ding. — A John naprawdę może teraz zostać geologiem.

Taką wcisnął wszystkim ciemnotę, że nie pytali o nic!

— Ucz się, synku — uciął Clark. — A jak tam twój Ed?

— Ucz się, kto tu teraz rządzi — odpowiedziała z szatańskim uśmiechem Mary Pat, która była teraz w Agencji wicedyrektorem do spraw operacyjnych. Razem z Edem, swoim mężem, przeszła swego czasu szkolenie w Zagrodzie, a Clark był jednym z jej instruktorów. Foleyowie byli swego czasu najskuteczniejszym małżeństwem, jakie kiedykolwiek pracowało dla CIA, choć nie było tajemnicą, że Mary Pat ma lepszego nosa do działalności w polu, a Ed sprawdza się bardziej jako analityk. Skoro tak, wyższa posada należała się jemu, a nie Mary Pat, ale szukające kandydatów szefostwo Agencji, widząc taką gratkę jak kobieta-wicedyrektor, postanowiło zrobić Firmie dobrą prasę. Foleyowie nadal zresztą pracowali wspólnie, niczym parka wicedyrektorów, choć służbowy tytuł Eda brzmiał nieco mgliście.

— Należy się wam teraz urlop, czy coś. Aha, w tej białej chatce za rzeką też kazali was pochwalić.

Nie pierwszy raz. Clark i Chavez pomyśleli o tym jednocześnie.

— Z tym, że... John, naprawdę pora, żebyś spokojnie usiadł za biurkiem. — Mary Pat nie mówiła serio o biurku, ale rzeczywiście chciała już niedługo przenieść Clarka do ośrodka szkoleniowego nad rozlewiskami Wirginii. Agencja zaczęła niedawno rozbudowywać ludzkie zasoby operacyjne: w tłumaczeniu z języka biurokratycznego na ziemski oznaczało to, że w CIA przybędzie oficerów operacyjnych, czyli szpiegów. Rola Clarka miała polegać na szkoleniu narybku. Ostatecznie przed dwudziestu laty, kiedy szkolił małżeństwo Foleyów, okazał się całkiem niezłym pedagogiem.

— Lepiej od razu mnie wyślij na emeryturę. Podoba mi się na świeżym powietrzu.

— Uparty jest jak osioł, wie pani — wtrącił się Chavez. — Tłumaczyłem mu, ale nie pomaga.

Starczy upór, naprawdę.

Mary Pat Foley woląca nie zgłębiać tak postawionego zagadnienia. Clark i Chavez zaliczali się do jej najlepszych agentów i nie należało się śpieszyć z odsyłaniem ich na boczny tor.

— Jak chcecie, moi panowie, jak chcecie. Koniec odprawy. Po południu jest transmisja, Oklahoma gra przeciw Nebrasce.

— Jak tam mąż i dziatki, MP?

„MP” było przezwiskiem Mary Pat Foley w Agencji, choć tylko nieliczni mieli prawo tak się do niej zwracać.

— Świetnie, John. Miło, że zapytałeś. — Mary Pat wstała i ruszyła ku drzwiom. Do Langley miała wracać śmigłowcem, a więc błyskawicznie. Sama też miała ochotę obejrzeć mecz.

Clark i Chavez popatrzyli po sobie jak para ludzi, której udało się zakończyć bardzo ciężką robotę. Akta operacji SPACER wylądowały w archiwum z pieczętką i oficjalnym błogosławieństwem Agencji, a także, wyjątkowo, Białego Domu.

— To co, panie C? Po piwku? Jest tylko Miller, to może po Millerku?

— I pewnie jeszcze będziesz chciał, żebym cię podwiózł?

— Jeśli zdobędziesz się na taką uprzejmość... — łaskawie zgodził się Ding.

John Clark zmierzył partnera bardzo uważnym spojrzeniem. Owszem, Chavez zdążył dojść ze sobą do ładu. Także w sensie zupełnie dosłownym, bo ostrzygł się na krótko i zgoił obfitą czarną brodę, którą zapuścił sobie w Afryce. Ba, wbił się dzisiaj w garnitur i białą koszulę z krawatem. Clark miał

ochotę przyciąć mu coś na temat upierzenia godowego, lecz w porę przypomniał sobie, że Ding był w swoim czasie żołnierzem, a żołnierze, ci prawdziwi, po powrocie z pola walki lubią się wystroić, choćby po to, żeby zapomnieć o sprawach, które przyszło im robić w mundurze. Trudno chyba grymasić, że młody chce wyglądać jak normalny człowiek. Ding nie był łatwy we współżyciu, ale nawet Clark musiał

przyznać, że jego podwładny zawsze potrafi zachować się z godnością.

— To jazda.

Wóz Clarka, nie rzucający się w oczy Ford kombi, stał na zwykłym miejscu. Już po kwadransie zatrzymali się na podjeździe przed domem. Clarkowie mieszkali niedaleko głównej bramy Camp Peary w parterowym domu o dwóch poziomach, ostatnio coraz przestronniejszym. Najstarsza córka Clarka, Margaret Pamela pojechała studiować w przeciwną stronę USA, bo na Uniwersytecie Marquette. Młodsza córka, Patricia Doris Clark, wybrała sobie uczelnię dużo bliżej domu. William and Mary College mieścił

się w pobliskim Williamsburgu, Patricia robiła dyplom z chemii i biologii, z myślą o dalszych studiach medycznych. Czekala już na nich, bo ojciec telefonował uprzedzając, że się zjawia.

— Tato! — Szybki pocałunek, uścisk, byle prędzej, bo przecież... — Ding!!!

Clark spostrzegł, że tym razem obyło się tylko na uścisku, ale wiedział swoje i nie dał się tak łatwo nabrać.

— Cześć, Pats! — Kiedy wchodzili do domu, Ding nadal trzymał Pat za rękę.

# Pierwszy ruch

— Niestety, mamy tu zupełnie inne wymagania — powtórzył negocjator.

— Jak to? Proszę wyjaśnić — Przeciwnik nie dawał się wyprowadzić z równowagi.

— Gatunek stali i kształt zbiornika paliwa są jedyne w swoim rodzaju. Sam nie jestem wprawdzie inżynierem, ale projektanci zapewnili mnie, że zastąpienie tych części obcymi substytutami odbiłoby się na jakości wyrobu końcowego. A zatem — ponowił kwestię negocjator — wzgląd na identyczność części nie pozwala nam odstąpić od dotychczasowych założeń. Wiele samochodów, które produkujemy w zakładach w Kentucky, idzie z powrotem do Japonii, na tamtejszy rynek. W razie usterki czy uszkodzenia nasz serwis będzie mógł natychmiast, na miejscu, znaleźć części zamienne. Gdybyśmy idąc za pańską propozycją zastąpili nasze części amerykańskimi, byłoby to niemożliwe.

— Panie Seidzi, przecież chodzi o zwyczajne zbiorniki paliwa. Z czego się robi taki zbiornik?

Bierze się pięć wytłoczek z galwanizowanej stali i spawa się je w całość. Siedemdziesięciolitrowy zbiornik, ani jednej części ruchomej... — wtrącił się delegat Departamentu Stanu, pomny że płacą mu za aktywny udział w rokowaniach. Fakt, że zwrócił się do Japończyka po imieniu, choć z szacunkiem, świadczył o jego zdenerwowaniu.

— Zgoda, pięć wytłoczek, ale ze specjalnej stali. Specjalnie wytłaczanych. Ze specjalnymi topnikami. Wszystko zgodnie z nader ścisłymi wskazówkami producenta...

— Zbiorniki paliwa są takie same na całym świecie!

— Przykro mi, ale w tym wypadku jest pan w błędzie. Nasze wymagania techniczne i materiałowe nie mają sobie równych. Niestety, muszę stwierdzić, że o niebo przewyższają podobne zbiorniki paliwa z waszych zakładów Deerfield Auto Parts. A co za tym idzie, jesteśmy zmuszeni z przykrością odmówić panów prośbie.

Na tym zakończyła się kolejna faza rozmów. Japoński negocjator, wbity w niewiarygodnie elegancki, klasyczny garnitur firmy Brooks Brothers opatrzony w dodatku krawatem od Pierre'a Cardina, pozostał w fotelu, skutecznie usiłując ukryć, jak bardzo jest z siebie dumny. Miał już sporą wprawę w ukrywaniu dumy, podobnie jak miał wprawę w prowadzeniu negocjacji. Nie było od niego lepszych w tym fachu — tym bardziej, że fach stawał się ostatnio coraz łatwiejszy.

— To dla nas ogromny zawód — westchnął przedstawiciel amerykańskiego Departamentu Handlu, który oczywiście nie spodziewał się innego wyniku rundy, a co za tym idzie, najspokojniej w świecie przewrócił stronicę protokołu, przygotowując się do kolejnego punktu negocjacji. Cały proces odbierał jak antyczną sztukę grecką, coś pośredniego między tragedią pióra Sofoklesa i komedią Arystofanesa. Wynik wydarzeń był wiadomy z góry, zanim nawet wypowiedziano pierwsze słowa.

Jeśli urzędnik nie mylił się co do tej obserwacji, choć rzeczywistość była znacznie gorsza, niż mógł

to sobie w tamtej chwili wyobrazić.

O treści owej sztuki los zdecydował wiele miesięcy wcześniej, jeszcze długo zanim w rokowaniach handlowych obie strony zaczęły się kłócić o zbiorniki paliwa. Patrząc wstecz, każdy trzeźwo myślący obserwator uznałby kwestię zbiorników za zupełnie przypadkową. Od podobnych przypadków często jednak zależy los państw i ich przywódców. Wszystko zaczęło się od banalnej pomyłki, która miała miejsce pomimo ścisłego systemu kontroli. Przetarty przewód elektryczny spowodował, że prąd popłynął

wprost do kadzi galwanicznej, neutralizując ładunek elektryczny w cieczy, w której zanurzano płyty blachy. Zamiast porządnej warstwy odpornej na korozję metalu, na stali pozostała więc zaledwie cieniutka warstewka cynku. Stal wyglądała jednak zupełnie prawidłowo. Jej kolejne płyty trafiły na palety transportowe, przykryte później folią plastikową.

Dalsza część procesu technologicznego jeszcze pogorszyła skutki pierwszej pomyłki.

Galwanizernia nie należała bezpośrednio do zakładów samochodowych. Podobnie jak ma to miejsce w Ameryce, wielkie japońskie firmy samochodowe projektują samochody i umieszczają na nich swoje znaki firmowe, lecz części do tych aut w znakomitej większości kupują u niezależnych dostawców. W Japonii tego rodzaju powiązania między rekinami i małymi rybkami były tradycyjnie ścisłe i bezlitosne: ścisłe o tyle, że współpraca ciągnęła się zwykle przez długie lata, a bezlitosna dlatego, iż pod dyktando wielkiej firmy mali kooperanci musieli spełniać każde życzenie giganta w obawie, iż ten znajdzie sobie inne źródło podzespołów. Nie mówiło się o tym może głośno, lecz tak właśnie było. Wystarczył wypowiedziany od niechcenia komentarz, że dzieci właściciela podobnej, nawet mniejszej firmy, są niesłychanie inteligentne, albo że przedstawiciel wielkich zakładów spotkał właściciela-konkurenta na meczu czy w łaźni...

Chodziło nie tyle o treść takiej uwagi, ile o jej podtekst, aż nadto zrozumiały i wymowny. Za sprawą takiego terroru małe przedsiębiorstwa kooperujące z gigantami bardzo się różniły od pokazowych zakładów, którymi kłuto w oczy zachodnich gości i telewidzów na całym świecie. Robotnicy nie nosili tu firmowych kombinezonów, nie jedli posiłków ramię w ramię z nadzorem i dyrekcją w schludnych stołówkach, nie uwijali się w nieskazitelnie czystych halach przy precyzyjnie obmyślanych taśmach montażowych. Zarabiali także mniej niż pracownicy wielkich firm. Dożywotnie zatrudnienie nawet u gigantów zaczynało wchodzić między bajki, ale w małych zakładach było ono bajką od zawsze.

W jednym z takich oto anonimowych zakładzików odwinęto folię z pakietów niedogalwanizowanej stali i arkusz po arkuszu zaczęto wsuwać blachę pod krajalnicę. Maszyna dzieliła kwadraty blachy na części i wyrównywała ostre krawędzie. Okrawki wracały oczywiście do przetopienia i ponownej przeróbki. Gotowe elementy wymiarami odpowiadały projektom, a tolerancja wynosiła mniej niż milimetr, i to pomimo że finalny wyrób w postaci zbiornika na paliwo był prosty i dobrze ukryty przed badawczym okiem nabywcy. Kształtki wędrowały do kolejnej maszyny, do nagrzewnicy i pod prasę.

Wygięte wytłoczki spawano, nadając całości kształt spłaszczony cylindra. Do obu końców przyspawywano następnie ścianki, oczywiście także automatycznie, za pomocą robota

przemysłowego, nadzorowanego przez pojedynczego robotnika. Do otworu w jednej ze ścianek przymocowywano rurę, prowadzącą do wlewu paliwa, wspawywano chwyt paliwa do silnika, i już. Przed dalszą podróżą robotnicy spryskiwali gotowe zbiorniki paliwa masą antykorozyjną na bazie wosku i żywicy epoksydowej. Masa miała się ściśle połączyć ze stalą i w teorii chroniła zbiornik przed korozją, i wyciekami paliwa. Całość była wręcz elegancka. Typowy japoński wyrób, doskonały technicznie —

niestety, nie do końca, a to za sprawą przetartego przewodu w galwanizerni. Masa antykorozyjna tym razem przylgnęła wprawdzie do blachy, ale się z nią nie połączyła. Miała akurat tyle sztywności, żeby oszukać oko kontrolerów jakości. Taśmowym przenośnikiem zbiorniki zjechały następnie do pakowni na tyłach zakładów. Każdy zbiornik powędrował do osobnego kartonowego pudła — dostarczonego z kolejnego zakładziku — i na skrzyni ciężarówki odjechał do magazynów przy zakładach samochodowych. Drugą część tej samej partii zbiorników zapakowano do szeregu identycznych kontenerów i umieszczono na pokładzie statku, który odpływał do Stanów Zjednoczonych. Ten sam japoński koncern produkował w Stanach prawie identyczną wersję swojego samochodu, co w Japonii.

Zakłady mieściły się wprawdzie wśród wzgórz stanu Kentucky, a nie na równinie Kwanto pod Tokio, lecz nawet nazwa modelu była zupełnie ta sama.

Wszystko to miało miejsce wiele miesięcy przed tym, jak kwestia zbiorników na paliwo znalazła się na porządku obrad w Amerykańsko-Japońskich Rokowaniach Handlowych w Kwestii Udziału Amerykańskich Części w Produkcji, jak brzmiała oficjalna nazwa rozmów. Od tamtej pory z linii produkcyjnych zjechało więc wiele tysięcy aut z wadliwymi zbiornikami paliwa, a tak zwykle skrupulatna kontrola jakości tym razem nie wychwyciła niczego ani w jednych, ani w drugich zakładach, rozdzielonych od siebie dziesięcioma tysiącami kilometrów oceanu i lądu. Samochody, które opuściły zakłady w Japonii, powędrowały pod pokłady najbrzydszego typu statków handlowych na świecie, to jest kanciastych frachtowców samochodowych. Samochodowce sunęły po falach północnego Pacyfiku z wdziękiem rzecznych barek. Trwał akurat sezon jesiennych sztormów. Przesycone morską solą powietrze bez kłopotu przenikało kanałami wentylacyjnymi do ładowni i osadzało na metalu aut białe kryształki. Nie stanowiło to problemu, lecz później jeden z frachtowców wszedł w strefę tropikalnego niżu. Powietrze gwałtownie ociepliło się i stało się bardziej wilgotne. Wilgoć spowodowała, że na zewnętrznych ściankach części zbiorników paliwa osiadła słona rosa. Słone krople pojawiły się też w szczelinach między blachą, a luźno do niej przylegającą warstwą smoły epoksydowej. Sól wżarła się prędko w zwykłą gołą blachę zbiorników. Korozja osłabiła nie tylko zbiorniki, lecz i ich zamocowania. W zbiornikach paliwa chlupotała zaś wysokooktanowa benzyna.

Ryan mógł się przekonać, że chociaż Korp za życia wiele nagrzeszył, śmierć przyjął z niezmierną godnością. Ryan oglądał egzekucję na kasecie wideo: telewizja CNN nie zdecydowała się puścić tego fragmentu w normalnej emisji przez wzgląd na słabe nerwy widzów. Trybunał wygłosił mowę — dwie kartki przełożonego na angielski tekstu Ryan miał na podołku — po czym na szyję generała założono stryczek. Zapadnia, szarpnięcie ciała, coraz wolniejsze drgawki, skrzętnie filmowane przez ekipę kamerzystów z CNN. Rachunki Ameryki z Mohammedem Abdulem Korpem, bandytą i



hurtownikiem narkotyków, zostały wyrównane. Korp nie żył.

— Módlcie się, byście nie dali przypadkiem światu nowego męczennika — przerwał zalegającą w Ryanowym gabinecie ciszę Brett Hanson.

— Panie ministrze! — Kiedy Ryan odwrócił się, spostrzegł że Hanson naprawdę czyta przekład wyroku. — Wszyscy męczennicy na świecie mają pewien istotny wspólny rys.

— Mianowicie jaki?

— Taki mianowicie, że nie żyją. — Jack zawiesił głos. — Pamiętajmy, że ten facet na filmie zginął nie w imię Boga albo w walce o swój kraj. Powieszono go jako pospolitego przestępcę. W wyroku nie ma ani słowa o karze za zabijanie Amerykanów. Korp mordował własnych ziomków i zajmował się handlem narkotykami. Nie nadaje się na męczennika, więc pora zamknąć jego sprawę. — Jack cisnął obie kartki przekładu do kosza. — Ale, ale. Czy dowiedzieliśmy się czegoś nowego o tym, co zamierzają Indie?

— Kanałami dyplomatycznymi, nic a nic.

— Mary Pat? — Jack zwrócił się z kolei do przedstawicielki CIA.

— Wiemy, że wzmocniona brygada zmechanizowana ich wojsk odbywa na południu subkontynentu intensywne ćwiczenia. Mamy zdjęcia satelitarne sprzed dwóch dni. Wygląda na to, że ćwiczą działania całością sił.

— Meldunki od agentów?

— Nie mamy tam żadnych agentów — przypomniała z lekkim wstydem Mary Pat. CIA coraz częściej bezradnie rozkładała ręce. — Przepraszam, Jack, ale miną lata, zanim znów będziemy mieli ludzi wszędzie, gdzie zechcemy.

Ryan jęknął w duchu. Zdjęcia z satelitów szpiegowskich przydawały się, owszem, ale ile mogą być warte zwyczajne fotografie? Na zdjęciach widać tylko kontury przedmiotów, a tu chodziło o to, by przeniknąć ludzkie myśli. Ryan nie mógł się obejść bez ich znajomości, choć nie zapominał, że Mary Pat stara się dopomóc mu jak tylko może.

— Z meldunków naszej floty wynika, że hinduska marynarka dwoi się i troi. Ich manewry morskie wskazują, że Hindusi próbują zablokować nam dostęp do Sri Lanki.

Zdjęcia satelitarne ukazywały wyraźnie jeszcze jedno: to mianowicie, że Indie rzeczywiście zgrupowały w pobliżu Cejlonu dwie formacje okrętów desantowych. Pierwsza grupa okrętów wypłynęła w morze i przebywała w tej chwili około dwieście mil morskich od macierzystej bazy. Znow ćwiczenia.

Druga grupa pozostała w tejże bazie, uzupełniając zapasy pokładowe. I tym razem działo się tak na

wszystkich okrętach jednocześnie. Bazę dzieliła wprawdzie spora odległość od terenu manewrów brygady zmechanizowanej, lecz oba te miejsca łączyła linia kolejowa. Analitycy CIA dzień w dzień sprawdzali więc, co dzieje się na indyjskich kolejach. Nawet satelity mogły się więc do czegoś przydać.

— Naprawdę nikt nic u pana nie słyszał, panie ministrze? A podobno macie tam niezłego ambasadora?

— Zgoda, ale nie chcę go za bardzo przyciskać. A nuż bym zaszkodził naszym wpływom w Delhi, i co wtedy? — obwieścił z powagą sekretarz stanu. Mary Pat Foley z trudem się powstrzymała, by nie wznieść oczu do nieba.

— Panie ministrze — cierpliwym tonem zaczął Ryan. — W obliczu faktu, że nie mamy w Indiach ani agentów ani jak pan mówi wpływów, przyda nam się każda najdrobniejsza informacja. Chce pan, żebym sam zadzwonił do naszej ambasady w Delhi, czy może mnie pan w tym wyręczy?

— To mój pracownik, panie Ryan.

Ryan odczekał kilka sekund, nim zareagował na tę uszczypliwość Hansona. Nie znosił sporów o to, kto tu jest bardziej, a kto mniej ważny. Inna sprawa, że otoczenie prezydenta USA zdawało się nie zajmować niczym innym.

— Pański ambasador to pracownik urzędu Stanów Zjednoczonych Ameryki. A zatem ktoś, kto podlega prezydentowi. Moim zaś zadaniem jest informować prezydenta, co się dzieje. Potrzebuję informacji z Indii, więc może będzie pan łaskawy wydać ambasadorowi stosowne polecenia. Pański człowiek ma pod sobą przedstawiciela CIA i trzech attache wojskowych. Niech cała czwórka natychmiast bierze się do roboty. Te indyjskie manewry, zdaniem naszej Marynarki i moim także, wyglądają na przygotowania do inwazji na niepodległe państwo. Chcemy temu zapobiec, zgoda?

— Nie mieści mi się w głowie, że Indie mogłyby się poważić na podobny krok — odrzekł nie bez ironii Brett Hanson. — Kilkakrotnie miałem okazję rozmawiać przy kolacji z ich ministrem spraw zagranicznych i nigdy nie odniosłem najmniejszego wrażenia...

— W porządku! — przerwał Ryan, który przestał się bawić w uprzejmości. — Zgoda, pański indyjski gość mówił szczerą prawdę. Ale przecież wiemy, że każdemu wolno zmienić zdanie. Indie dały nam do zrozumienia, że nie życzą sobie obecności naszej floty w pobliżu ich brzegów. Dlatego potrzebne mi nowe informacje. I dlatego także żądam, aby pański ambasador, pan Williams, podniósł tyłek z krzesła i dobrze się rozejrzał. Williams to łebski facet i ma dobre wyczucie. Mogę też poprosić prezydenta, by wydał panu oficjalne polecenie w tej sprawie. Co pan na to, Hanson?

Hanson przemyślał kwestię i widząc niekorzystny dla siebie rachunek sił, przystał na żądanie Ryana. Nie za prędko, z godnością. Trudno. Ryanowi udało się uporządkować sytuację w zakątku Afryki, który od dwóch lat spędzał prezydentowi Durlingowi sen z powiek. Co za tym idzie, Ryan stał się najnowszym pupilkiem Durlinga. Na jakiś czas. Nie zdarza się zbyt często, by pracownik Białego

Domu uczynił coś, co zwiększa szansę prezydenta na ponowny wybór. Prasa w Waszyngtonie podchwyciła już pogłoski, że to CIA dostarczyło Korpa władzom, a rzecznik Białego Domu dementował je mało przekonywająco. Wiadomo było oczywiście, że nie tędy droga ku skutecznej polityce zagranicznej, ale z drugiej strony było jasne, iż każdy następny konflikt pograży historię generała Korpa w zapomnieniu.

— Weźmy się teraz za Rosję — Ryan przeszedł do następnego punktu dyskusji.

Inżynier dyżurujący na terenie japońskiego minikosmodromu w Yoszinobu wiedział, że nie on pierwszy uzmysłowił sobie jak piękne potrafią być przedmioty ucieleśniające zło. Cóż dopiero w Japonii, kraju, gdzie ogólne zamiłowanie do rzemieślniczego kunsztu zaczęło się pewnie wraz z wyrobem samurajskich mieczy, słynnych metrowej długości katana. Stal samurajskich mieczy przekuwano aż dwadzieścia razy: we współczesnej metalurgii nazywa się to laminacją metalu. Początkowy odlew zmieniał się w kompozytowe połączenie milionów stalowych warstewek. By to osiągnąć przyszły właściciel miecza musiał się rzecz jasna wykazać niebiańską cierpliwością. Nawet w odległych, mniej ugrzeczionych epokach, samuraj nie miał innego wyjścia jak czekać, aż rzemieślnik dokończy mistrzowskiego dzieła.

Dziś jednak nie trzeba było czekać aż tak długo. Samuraje obecnej doby — jeśli można ich tak było w ogóle nazywać — wydawali polecenia przez telefon i domagali się natychmiastowych rozwiązań.

Oczywiście i tak musieli później czekać. Inżynier uśmiechnął się i znów z lubością przesunął wzrokiem po zbiorowym dziele.

Obiekt, który oglądał był w pewnym sensie jednym wielkim oszustwem. Największy podziw dla pomysłowości własnej i kolegów wzbudzał w japońskim inżynierze właśnie element kłamstwa, tak umiejętnie i tak pięknie zrosnięty z perfekcyjnym projektem. Gniazda kabli zasilających w burcie tej części pocisku były fałszywe, lecz wiedziała o tym zaledwie szóstka wtajemniczonych.

Japończyk zszedł po pomoście jedno piętro niżej, wszedł do metalowej windy i zjechał na betonowy plac, na którym stała rakieta. Mikrobus miał go stamtąd zawieźć do bunkra kontroli lotu.

Dopiero kiedy ruszyli, inżynier zdjął biały hełm ochronny i trochę odetchnął. Po dziesięciu minutach siedział już w wygodnym obrotowym fotelu i popijał herbatę. Wprawdzie nie musiał koniecznie tutaj być

— ani tu, ani przy wyrzutni — lecz z drugiej strony, skoro się coś zbudowało, wypada śledzić dalsze losy projektu. Tak zresztą życzyłby sobie Yamata-san.

Rakieta nośna typu *H-II* była nowością. Wystrzeliwano ją dopiero drugi raz. Model wzorowany był na radzieckich pociskach międzykontynentalnych, konkretnie na ostatnim z serii radzieckich pocisków, jaki skonstruowano, zanim całe imperium rozpadło się w kawałki. Yamata-san nabył licencję na ten pocisk dosłownie za parę kopiejek (choć oczywiście zapłacił w twardej walucie, nie w rublach).

Japońscy projektanci wzięli na warsztat zakupione tą drogą plany i dane komputerowe, starając się ulepszyć, co się tylko da. A dało się wiele. Lepsza stała na obudowę i bardziej zminiaturyzowana elektronika pozwoliły odchudzić pocisk równo o 1.200 kilogramów. Chemicy ulepszyli też paliwo stałe, co pozwoliło poprawić osiągi pocisku o dalsze 17 procent. Projektanci popisali się naprawdę znakomicie, na tyle dobrze, że ich pracą zainteresowała się nawet amerykańska NASA. W bunkrze siedziało teraz aż trzech Amerykanów, ciekawych wyników próby. Żart, jaki obmyślili japońscy inżynierowie, nabierał

więc dodatkowego smaku.

Odliczanie postępowało zgodnie z planem. Wieża wyrzutni odjechała od pocisku po specjalnych szynach. Skąpana w świetle reflektorów rakiet stała na wyrzutni niczym obelisk. Obelisk dużo ciekawszy, niż to sobie wyobrażali Amerykanie.

— Strasznie ciężka ta aparatura, coście ją wstawiali do środka — zauważył po adresem Japończyka któryś z obserwatorów z NASA.

— Chcemy się przekonać, czy uda nam się wprowadzić na orbitę cięższe satelity — padła prosta odpowiedź.

— No, zaraz jedziemy...

Zapłon rakietowych silników sprawił, że ekrany telewizyjne na mgnienie powlokły się bielą.

Dopiero po chwili komputery ściemniły obraz na tyle, że znowu było coś widać. *H-II* skoczyła do góry, unoszona białym słupem ognia i skłębionym dymem.

— Kombinowaliście coś z paliwem? — spytał cicho inspektor z NASA.

— Mamy lepszą chemię niż tamci — Japończyk patrzył nie na ekran, lecz na wskazania czujników na pulpicie. — I lepszą kontrolę jakości. Utleniacz musi być idealnie czysty, bez tego od razu siadają parametry.

— Rosjanie i kontrola jakości — roześmiał się Amerykanin.

Japończycy też omal się nie roześmiali na widok takiej ślepoty. Amerykanin patrzył i nie widział.

Zdumiewające. Yamata miał rację.

Sterowane radarem obiektywy zwróciły się w ślad za pociskiem ku niebu. Przez pierwsze trzysta metrów lotu *H-II* szła świecą prosto w górę, lecz później zaczęła zakreślać powolny, idealnie wymierzony łuk. Rakietę widać było teraz już tylko jako żółty krążek pulsującego światła. Trajektoria lotu spłaszczyła się coraz bardziej. Pocisk uciekał teraz na wschód, ponad oceanem.

— Główny odpadł — sapnął pod nosem obserwator z NASA, gdy nadeszła właściwa chwila.

Odruchowo analizował sytuację w kategoriach normalnego lotu kosmicznego. Odpadnięcie głównego członu pocisku oznaczało, że pierwszy etap lotu jest udany. — Ruszyły silniki drugiego członu...

Amerikanin wiedział, co mówi. Kamery ukazały, jak główny człon w dymie i płomieniach spada do morza.

— Będziecie go łowić? — zapytał Amerykanin.

— Nie, po co.

Kiedy pocisk ostatecznie zniknął z ekranów, wszyscy zwrócili się z kolei ku czujnikom telemetrycznym. Rakieta nadal przyspieszała, nie zbaczając ani na metr z wyznaczonej trajektorii, i szła na południowy wschód. Na ekranach widać było zarówno tor lotu, jak i wszystkie dane z instrumentów pokładowych.

— Ta wasza trajektoria aby nie jest za wysoka?

— Zależało nam na wyższym pięttrze niskiej orbity — wyjaśnił inżynier odpowiedzialny za całość eksperymentu. — Zaraz się przekonamy, czy umiemy wystrzelić w górę ładunek o takiej masie, i czy robimy to z odpowiednią dokładnością. Za parę tygodni ładunek zejdzie w atmosferę i spali się. Po co zaśmiecać kosmos do reszty?

— Święta racja. Na orbicie fruwa już tyle tego świństwa, że sami zaczynamy się bać o bezpieczeństwo załóg. — Amerykanin namyślał się chwilę, zanim się zdecydował zadać drażliwe pytanie.

— A jaka jest maksymalna masa ładunku użytecznego?

— Maksymalna? Pięć ton.

Amerikanin gwizdnął z podziwem.

— Naprawdę myślicie, że uda się wam wycisnąć aż tyle z takiego grata?

Pięć ton czyli ponad dziesięć tysięcy funtów. Amerykanie uważali dziesięć tysięcy funtów za magiczną liczbę. Magiczną, gdyż progową. Każdy, kto był w stanie umieścić ładunek tej wagi na niskiej orbicie, mógł śmiało wystrzeliwać własne satelity geostacjonarne. Pięciotonowy satelita mógł z niskiej orbity wspiąć się wyżej już sam, za pomocą własnego silnika.

— W takim razie ten wasz drugi człon to prawdziwe чудо. Odpowiedzią był tylko uprzejmy uśmiech.

— Niestety, to tajemnica firmy.

— Czy tajemnica, o tym się przekonamy za jakieś dziewięćdziesiąt sekund — mruknął

Amerikanin i okręcił się wraz z fotelem w stronę ekranu pelengatora. Ciekawiło go, czy Japończykom udało się wpaść na pomysł, o jakim nie śniło się ludziom z NASA. Kto wie? Ale chyba

nie. Na wszelki wypadek NASA także ustawiła kamery i śledziła lot japońskiego *H-II*. Bez wiedzy Japończyków, ma się rozumieć. Program badań kosmicznych NASA wymagał, by utrzymywać na całym świecie posterunki obserwacyjne, a ponieważ w ostatnim czasie posterunki te nie miały zbyt wiele do roboty, NASA wymyślała im najrozmaitsze zadania. Stacje obserwacyjne na wyspie Johnstona i na atolu Kwajalein założono niegdyś z myślą o programie badawczym Wojen Gwiezdnych i po to, by śledzić radzieckie próby rakietowe.

Typ kamery, jaki zainstalowano na Wyspie Johnstona, przezywano w NASA „bursztynową kulą”.

Sześciuosobowa obsługa, uprzedzona o starcie *H-II* sygnałem z satelity wczesnego ostrzegania, włączyła aparaturę. Wszystko jak za dawnych dobrych czasów, kiedy Rosję stać było na program badań kosmicznych.

— Faktycznie, wygląda dokładnie jak SS-19 — zauważył jeden z techników. Zgodzono się z nim ochoczo.

— Trajektoria też prawie identyczna — odezwał się od pulpitu któryś z pozostałej piątki.

— Drugi człon wypalił się i odłączył, trzeci człon i ładunek idą same... Korektura silnikiem pomocniczym... Oho, coś się dzieje...!

Ekran zaciągnął się bielą.

— Nie ma sygnału! Zgubiliśmy sygnał telemetryczny! — rozległo się w bunkrze kontroli lotu.

Główny inżynier warknął coś głośno. Pewnie przekleństwo, tak się przynajmniej wydało obserwatorowi z NASA. Amerykanin przeniósł spojrzenie na ekran odczytu danych. Utrata łączności w kilka sekund po starcie silników trzeciego członu mogła oznaczać tylko jedno.

— Nam się to też nieraz zdarzało — odezwał się współczująco Amerykanin. Diabeł siedział w strukturze paliwa rakietowego, zwłaszcza że do napędu ostatniego stopnia rakiet używało się zawsze paliw ciekłych, które nie są niczym innym jak materiałem wybuchowym. Ciekawe, co zawiniło tym razem. NASA i przemysł zbrojeniowy USA strawiły ponad czterdzieści lat na to, by poznać wszystkie możliwe przyczyny awarii.

Inżynier od uzbrojenia nie stracił panowania nad sobą i nie zaklął jak jego szef. Siedzący przy nim Amerykanin wziął to za oznakę prawdziwego zawodowstwa. Amerykanin nie wiedział jednak nawet, że jego sąsiad zajmuje się uzbrojeniem. Nie wiedział również, że nawet teraz wszystko idzie zgodnie z pierwotnym planem. Zbiorniki paliwowe ostatniego członu umyślnie napełniono materiałem wybuchowym, który eksplodował, gdy głowica pocisku oddaliła się na bezpieczną odległość.

Głowica miała postać stożka o podstawie 180 centymetrów i wysokości 206 centymetrów. Stożek wykonano z uranu 238. Wysłannik NASA nie wiedział o tym, i całe szczęście, bo gdyby się dowiedział, mógłby dostać zawału serca. Uran 238 jest metalem bardzo ciężkim i twardym. Doskonale odbija światło, a tym samym jest odporny na wysokie temperatury. Z tego samego materiału powstały głowice całego mnóstwa pocisków amerykańskich, z których jednak żaden nie

należał do cywilnej agencji, jaką jest NASA. Podobne uranowe głowice można było za to znaleźć w nielicznych wojskowych pociskach strategicznych, jakie pozostały jeszcze w USA. Ich niedobitki przeznaczono już do likwidacji, w ramach porozumienia rozbrojeniowego z Rosją. Ponad trzydzieści lat minęło od chwili, gdy jeden z konstruktorów w amerykańskiej agencji AVCO wpadł na pomysł, że skoro uran 238 doskonale znosi wysoką temperaturę lotu przez atmosferę, a zarazem stosuje się go przy trzeciej fazie eksplozji bomby wodorowej, łatwym sposobem można złączyć bombę i obudowę głowicy w jedną funkcjonalną całość.

Inżynierowie zawsze uwielbiali takie sztuczki. Pomysł chwycił i po licznych próbach znalazł od lat sześćdziesiątych szerokie zastosowanie w amerykańskim arsenale strategicznym.

Ładunek, który jeszcze przed chwilą stanowił integralną całość pocisku *H-II*, był dokładną makietą głowicy jądrowej. Kiedy „bursztynowa kula” i inne czujniki amerykańskie śledziły losy trzeciego członu japońskiej rakiety, uranowy stożek rozpoczął lot ku ziemi. Amerykanie nie zainteresowali się tym.

Śledzenie upadku zestawu przyrządów pomiarowych, który nie osiągnął dostatecznej prędkości, by wejść na orbitę, nie miało najmniejszego sensu.

Amerykanie nie mieli też pojęcia, że motorowiec „Takuyo”, krążący w połowie odległości między Wyspami Wielkanocnymi a wybrzeżem Peru, wcale nie zajmuje się badaniem zasobności łowisk rybnych. Dwa kilometry na wschód od „Takuyo” unosiła się na falach gumowa tratwa ratunkowa z radiostacją i pozycjometrem satelitarnym. Na pokładzie japońskiego statku nie było wprawdzie radaru pozwalającego śledzić lot pocisku balistycznego, lecz spadająca w nocnym mroku głowica sama dała znać o swym przybyciu: rozpalona do białości od tarcia w drodze przez coraz gęstsze warstwy atmosfery, spadała do Pacyfiku jak meteor, wlokąc za sobą warkocz ognia. Obserwatorzy na mostku wręcz oniemieli, choć zapowiedziano im, czego mają wypatrywać. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę miejsca, w którym dwieście metrów od gumowej tratwy wystrzeliła w górę gigantyczna fontanna wody. Z

późniejszych obliczeń wynikało, że głowica zboczyła o 260 metrów od planowanego punktu upadku.

Wynik był więc taki sobie i przygnębił wielu zainteresowanych jako dziesięciokrotnie gorszy od tego, co potrafiły najnowsze pociski amerykańskie, lecz zważywszy na okoliczności, wydawał się mimo wszystko niezły. A co najważniejsze, próba odbyła się dosłownie przed nosem całej reszty świata, a mimo to nikt postronny niczego nie spostrzegł. Kilka chwil później z wnętrza głowicy wyskoczył nadmuchiwany balon, który pęczniejąc uniósł ją z powrotem ku powierzchni morza. Szalupa z „Takuyo” zdążyła już w tamtą stronę, by zaczepić linę holowniczą i wciągnąć głowicę na pokład. Szło teraz o to, by porównać wskazania przyrządów wewnętrznych z danymi naziemnymi.

— To będzie okropne, prawda? — upewniła się w podejrzeniach Barbara Linders.

— Niestety tak. — Murray postanowił niczego nie ukrywać, tym bardziej, że przez ostatnie dwa tygodnie Barbara Linders i on mocno zżyli się ze sobą. Kto wie, czy nie mocniej niż Barbara zżyła się wcześniej ze swą terapeutką. Przez ten czas co najmniej dziesięć razy omówili wszystkie okoliczności przestępstwa, rejestrując na taśmie każde słowo. Wspólnie czytali stronicę zapisu z

taśm i uzgadniali każdy fakt. Sprawdzili nawet zdjęcia gabinetu byłego senatora, by nie pomylić się co do koloru obić i dywanu. Liczył się każdy drobiazg. Przy okazji wyszło na jaw kilka rozbieżności, lecz nie były one zbyt istotne. Reszta zeznań zgadzała się co do joty. Nie zmieniało to faktu, że proces zapowiadał się rzeczywiście okropnie.

Murray osobiście prowadził śledztwo, jako specjalny wysłannik dyrektora Biura, Billa Shawa.

Podlegało mu w tej chwili dwudziestu ośmiu agentów, w tym dwóch szefów pionów w centrali. Agenci byli doświadczeni i starsi wiekiem, po czterdziestce. Murray wybrał ich ze względu na ich rutynę, choć do drobniejszych zleceń miał też do dyspozycji grupę dwudziestolatków. Następnym etapem miało być spotkanie z prokuratorem wyznaczonym do tej sprawy. Znalaziono już odpowiednią kandydatkę do tej roli, w postaci Anne Cooper. Prokurator Cooper miała dwadzieścia dziewięć lat i ukończyła wydział

prawa Uniwersytetu Indiana. Jej specjalnością były sprawy o przestępstwa na tle seksualnym. Poza tym Anne Cooper była elegancką czarnoskórą feministką, a o sprawiedliwość dla ofiar przestępstw walczyła zawsze z taką zajadłością, że i tym razem osoba i stanowisko napastnika nie robiły na niej żadnego wrażenia. Przynajmniej pod tym względem Murray mógł się nie martwić o sprawę.

Gnębiły go jednak inne trudności. Ponieważ oskarżonym miał być sam wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, w myśl postanowień Konstytucji nie można go było traktować jak każdego innego obywatela. Ława przysięgłych musiała się składać z członków komisji wymiaru sprawiedliwości w amerykańskiej Izbie Reprezentantów. Teoretycznie więc Anne Cooper jako prokurator miała

„współpracować” z przewodniczącym i członkami tejże komisji, choć na dobrą sprawę prowadziła sprawę zupełnie sama. Było jasne, że członkowie komisji „pomogą” jej o tyle, że będą wygłaszać płomienne przemówienia i puszczając przecieki do prasy.

Murray powoli, jasno i wyraźnie wyjaśnił Barbarze Linders, że prawdziwe piekło rozpęta się w chwili, gdy o rozpoczętej sprawie dowie się przewodniczący komisji. O oskarżeniu dowie się wówczas cała Ameryka, a śledztwo z miejsca nabierze wymiaru politycznego. Wiceprezydent Edward J. Kealty z oburzeniem zdementuje wszystkie oszczerstwa, a zgraja jego obrońców rozpocznie własne śledztwo przeciwko Barbarze Linders. Przeciwnicy prędko dowiedzą się o rozmaitych nieciekawych sprawach, które Murray także zdążył już częściowo poznać. Wiele z tych spraw przemawiało przeciwko Barbarze.

Czy można liczyć na to, że opinia publiczna sama zrozumie, iż ofiary gwałtu bardzo często obwiniają same siebie za to, co się stało i wskutek tego zaczynają prowadzić niezbyt unormowane życie seksualne?

(Paradoksalnie, ofiary uznają często, że skoro mężczyźni żądają od nich tylko tego jednego, w aktywności płciowej należy szukać godności i wszystkiego, z czego odarł je gwałt). Barbara Linders nie była wyjątkiem: spała z kim popadło, brała leki przeciwdepresyjne, sześciokrotnie wylatywała z pracy, miała dwie skrobanki. Wszystko to wskutek urazu psychicznego po gwałcie, a nie dlatego, że była osobą niezrównoważoną psychicznie. No tak, ale dopóki nie uzna tego komisja w Kongresie, a w ślad za nią także szeroki ogół, Barbara będzie bezbronna. Nie wolno jej będzie, jako powódce,



bronić się na łamach prasy. Za to adwokaci oskarżają każdą okazję, by bez pardonowo i perfidnie atakować ją i podważać jej wiarygodność. Ich napaści mogły się okazać dużo brutalniejsze niż cokolwiek, co uczynił

wobec niej Ed Kealty. Prasa i telewizja potrafią niszczyć ludzi o wiele skuteczniej niż wpływowi politycy.

— To niesprawiedliwe... — odezwała się wreszcie.

— Właśnie, że sprawiedliwe, pani Barbaro. A poza tym konieczne — uspokoił ją Murray. — A wie pani, dlaczego konieczne? Dlatego, że kiedy wysuniemy oskarżenie wobec tego sukinsyna, sprawa będzie zupełnie, ale to zupełnie jasna. Proces na wokandzie Senatu będzie już czystą formalnością. A kiedy Kongres zdejmie z tego drania immunitet, postawimy go przed normalną ławą przysięgłych w okręgowym sądzie federalnym. Jak pospolitego przestępcę. Nie mówię, że łatwo pani to wszystko zniesie, ale kiedy Kealty powędruje za kratki, jemu też nie będzie tak łatwo. Takie są zasady, i tyle. Nie mówię, że to doskonałe urządzenie świata, ale innego systemu nie mamy, kropka. Pani Barbaro, obiecuję pani, że kiedy już będzie po wszystkim, będzie pani znów umiała spojrzeć ludziom w oczy. Ludziom, całemu światu.

— Ja, panie Murray, naprawdę nie mam już zamiaru uciekać czy kryć się do mysiej dziury —

usłyszał Murray, który wiedział, że przez ostatnie dwa tygodnie Linders podźwignęła się z dna. Może nie podźwignęła się do końca, ale czyniła postępy. Czy wystarczy jej sił, by przebrnąć przez to wszystko?

Murray dawał jej sześćdziesiąt procent szans.

— Proszę mi mówić, Dan. Jesteśmy przyjaciółmi.

— Ha, no więc czego to nie chciałaś mi powiedzieć, kiedy siedział z nami Brett?

— Mamy w Japonii swojego człowieka... — zaczęła Mary Pat Foley, nie wymieniając oczywiście Cheta Nomuri z nazwiska. Streszczenie informacji zabrało jej tylko dwie minuty.

Wiadomości z CIA okazały się niespodzianką tylko częściowo. Ryan sam uczynił kilka lat wcześniej propozycję w tym kierunku, podczas spotkania w Białym Domu z Fowlerem, ówczesnym prezydentem. Nie podobało mu się, że aż tylu pracowników amerykańskich władz rzuca posady tylko po to, by zostać członkami lobby lub konsultantami wielkich firm japońskich albo wręcz japońskiego rządu, oczywiście za dużo większe pieniądze niż te, na które stać było amerykańskich podatników. Ryan kręcił

nosem na takie zwyczaje, lecz cóż było robić, skoro prawo ich nie zabraniało. Chodziło jednak o coś jeszcze. Jeśli ktoś zmienia miejsce pracy i dostaje dziesięciokrotną podwyżkę pensji, nie może to być kwestią przypadku. Japończycy wiedzą, jakich kandydatów im trzeba i z pewnością kierują się przy doborze stosownymi kryteriami. Jakimi? W normalnej działalności szpiegowskiej kandydat na wtyczkę musi się czymś wykazać. Na przykład dostarcza jakiś cenny materiał. Skoro tak, musi to

oznaczać, że przyszli pupilkowie japońskich instytucji jeszcze jako pracownicy rządu USA przekazują Japonii to i owo.

Tym samym zajmują się szpiegostwem, w myśl paragrafu 18 amerykańskiego kodeksu karnego. CIA i FBI próbowały wspólnie, po cichu, zorientować się, jaki jest zasięg tych praktyk. Akcji nadano kryptonim DRZEWO SANDAŁOWE. Działalność Cheta Nomuri w Japonii stanowiła jej integralną część.

— Dowiedzieliśmy się już czegoś?

— Nie, na razie niczego konkretnego — odrzekła Mary Pat. — Za to usłyszeliśmy parę ciekawych rzeczy na temat Hirosziego Goto. Podobno brzydko się bawi.

— Goto nie przepada za Ameryką, tak?

— Jeśli przepada, to tylko za Amerykankami. Zdaje się, że do przesady.

— Niewiele nam się przyda taka wiedza... — Ryan odchylił się w fotelu i skrzywił się z niesmakiem. Trudno jest żartować na temat seksu, kiedy jest się ojcem dorastającej córki. — Co zrobić, Mary Pat... Poza Ameryką błąka się mnóstwo takich sierotek. Wszystkich na pewno nie zbawimy... —

dodał Jack bez przekonania.

— Nie o to chodzi, Jack. Coś mi tu śmierdzi, i tyle.

— O co ci chodzi? Konkretnie?

— Konkretnie, to nie wiem. Uderza mnie, że Goto tak się z tym nie kryje, a przecież za parę tygodni może zostać premierem Japonii. *Zaibatsu*, przemysłowcy, mocno go popierają, a obecny rząd zaczął się chwiać. Na miejscu Goto udawałabym polityka, a nie rozplodowego buhaja. Klucł ludziom w oczy amerykańską utrzymanką...

— Inna kultura, inne obyczaje. — Zmęczony Ryan zrobił błąd i na chwilę zamknął oczy.

Natychmiast ujrzał w myślach sceny, które odmalowała przed nim przed chwilą Mary Pat. Czy można siedzieć i nie reagować? Przecież to Amerykanka, obywatelka USA? Za co bierzesz pieniądze, Jack?

Otwierając oczy, Ryan zapytał:

— Dobry ten twój agent?

— Czy dobry? Najlepszy. Już pół roku tam siedzi.

— Zwerbował już kogoś?

— Nie, kazaliśmy mu się z tym nie śpieszyć. Tam się zresztą nie da inaczej. Jak sam powiedziałeś,

inne obyczaje. Nasz człowiek nawiązał znajomość z paroma malkontentami i ma ich na oku.

— Yamata i Goto... Ale przecież to się nie zgadza, to bez sensu... Yamata dosłownie w tych dniach przejął dużą firmę na Wall Street. Holding Columbus, czy coś takiego. Przedtem był tam szefem George Winston. Nawet mój znajomy.

— To ten fundusz inwestycyjny?

— Zgadza się. Winston chciał sobie dać wolne, więc Yamata z miejsca się zgłosił, że chce go zastąpić. Nie za darmo, nie myśl sobie. Bilet wstępu kosztuje tam przynajmniej sto milionów zielonych. A skoro Yamata wkupił się w nasz system finansowy, dlaczego miałby chcieć się zwać z facetem, który się trudni głównie tym, że nie cierpi Ameryki? Kto wie, może Yamata próbuje wytłumaczyć temu Goto, że pora już się obudzić?

— Wiesz coś więcej o tym Yamata? — zaciekała się Mary Pat. Pytanie mocno zaskoczyło Ryana.

— Ja? Czy coś wiem? Nie, znam nazwisko, i tyle. Przemysłowiec, szef dużej korporacji. Jego też namierzasz?

— Namierzam.

Ryan uśmiechnął się raczej krzywo.

— Co, MP, uznałaś, że sprawy wyglądają zbyt prosto? Pora coś jeszcze skomplikować, tak?

Kiedy słońce Newady schowało się za linią gór na widnokręgu, można było wreszcie zacząć ćwiczenia — zasadniczo te same, co zwykle, choć z paroma istotnymi zmianami. Podoficerowie służyli w wojskach lądowych od wielu lat i trochę ich śmieszyła powaga, z jaką lotnicy celebrowali ich wizytę w Ogrodzie Bajek, jak w gwarze Sił Powietrznych przezywano wciąż utajniony ośrodek doświadczalny w pobliżu Groom Lake. To właśnie tutaj oblatywano pierwsze typy niewykrywalnych samolotów stealth.

Cała okolica upstrzona była radarami i innymi czujnikami, pozwalającymi stwierdzić, czy niewidzialne samoloty są naprawdę takie niewidzialne. Kiedy wreszcie bezchmurne niebo pociemniało, żołnierze wsiedli do swoich maszyn i wystartowali. Kolejna seria prób. Tym razem mieli za zadanie podejść skrycie do pasów startowych bazy Nellis, zrzucić bomby i, wciąż nie wykryci, wrócić do Groom Lake. Zadanie należało do trudniejszych, co do tego nie było wątpliwości.

Jackson przyglądał się najnowszemu modelowi z rodziny stealth. W odróżnieniu od *F-117* i *B-2*, *Comanche* nie był samolotem, lecz śmigłowcem. W przyszłości mogło to mieć kapitalne znaczenie, zwłaszcza w działaniach sił specjalnych, które ostatnio znów stały się w Pentagonie niesłychanie modne.

Wojska lądowe chwaliły się, że pokażą teraz, co naprawdę potrafią. A skoro tak, Jackson chętnie się temu przyjrzy, czemu nie...

— Ognia, ognia, ognia! — wrzasnął dziewięćdziesiąt minut po starcie chorąży do mikrofonu radiostacji zewnętrznej. Przełączył się natychmiast na interkom i zauważył: — O, rany, ale widok!

Pasy startowe bazy lotniczej Nellis służyły zwykle największemu zgrupowaniu myśliwskiemu w całych Siłach Powietrznych. Dziś tłok powiększały dwa dywizjony, które gościnnie przybyły tu na ćwiczenia oznaczone jako Czerwona Flaga. Comanche chorążego miał więc do wyboru ponad setkę celów. Lufa dwudziestomilimetrowego działka kilkakrotnie omiotła rzędy zaparkowanych maszyn.

Później chorąży poderwał śmigłowiec i odszedł łukiem na południe. Kiedy zakreślał, miał w polu widzenia dalekie kasyna Las Vegas. Nie było czasu na podziwianie widoków, bo trzeba było zrobić miejsce dla dwóch pozostałych Indian. Chorąży zszedł prędko na pułap piętnaście metrów i tuż ponad nierównościami terenu ruszył na północny wschód.

— Znow nas macają radarem. Jakiś koleś w *F-15* — zameldował z tylnego fotela operator uzbrojenia.

— Złapał na nas namiar?

— Na pewno próbuje, ale... Jezus Maria!

*F-15C* z hukiem przemknął tuż ponad śmigłowcem, tak nisko, że maszyna aż podskoczyła. Potem w słuchawkach na kanale łączności zewnętrznej rozległo się:

— Gdyby to był Echo, już by było po nas.

— Wiem, wiem. Już ja was znam, lotnicy zakichani. Do zobaczenia w stodole.

— Odbiór. Wyłączam się. — Daleko przed nosem śmigłowca rozbłysnął płomień dopalacza. Pilot myśliwca mówił im w ten sposób „do widzenia”.

— Co, Sandy? Niby fajnie, ale nie bardzo? — zagadnął z tylnego fotela drugi wojskowy.

Śmigłowiec okazał się niewidzialny tylko po części. Dzięki konstrukcji i specjalnym materiałom Comanche mógł łatwo umknąć rakietom z głowicą naprowadzaną na radar, lecz krążące na wysokościach samoloty *AWACS* przy swoich wielkich antenach nadal wyłapywały niewielkie echo, zapewne od metalowych części piasty wirnika. Chorąży pomyślał, że trzeba będzie nad tym popracować. Cieszyć mógł natomiast fakt, że nawet świetny pokładowy radar na *F-15C* nie potrafił naprowadzić pocisków *AMRAAM* na śmigłowiec. Bezradne wobec Comanche były też oczywiście pociski naprowadzane na podczerwień, i to nawet w locie nad wychłodzoną pustynią. Natomiast *F-15E*, czyli wersja Echo miała aparaturę, która pozwalała pilotowi widzieć w ciemnościach, dzięki czemu pilot mógł zestrzelić śmigłowiec nie rakieta, a serią z 20 -milimetrowego działka. Warto to było sobie zapamiętać. Trudno, świat nadal nie był doskonały, lecz już teraz można było uznać Comanche za najgroźniejszy śmigłowiec w historii.

Chorąży Sandy Richter spojrział w górę, tam, gdzie w chłodnym pustynnym przestworze migąły

światełka krążącej maszyny wczesnego ostrzegania *E-3A AWACS* krążył całkiem niedaleko. Dziesięć tysięcy metrów, czy coś koło tego... Chorąży ożywił się. Może warto spróbować namówić tego admirała z Pentagonu do nowego pomysłu? Jakże mu było, aha, Jackson... Facet wyglądał całkiem do rzeczy...

— Mam już tego trochę dosyć — powtórzył prezydent Durling. Siedział w swoim gabinecie, na tym samym piętrze co Ryan, po przekątnej zachodniego skrzydła budynku. Przez pierwsze lata prezydentury jeszcze jakoś szło, ale ostatnich kilka miesięcy okazało się koszmarem. — Dzisiaj o co znów poszło?

— O zbiorniki paliwa — poinformował prezydenta Marty Caplan. — Nasze zakłady Deerfield Auto Parts z Massachusetts opatentowały sposób produkcji zbiornika dowolnego kształtu ze zwykłego arkusza blachy, bez przycinania. Zajmuje się tym oczywiście robot przemysłowy, wydajność jest pierwszorzędna. Z miejsca odmówili sprzedania Japończykom licencji...

— To okręg wyborczy Trenta? — upewnił się prezydent.

— Zgadza się.

— Przepraszam, że przerwałem. Proszę mówić. — Durling podniósł do ust filiżankę z herbatą. Po południu nie mógł już pić kawy. Ze zgagą nie ma żartów. — A właściwie czemu nie chcą sprzedać tej licencji?

— Deerfield omal nie zbankrutowało przez zagraniczną konkurencję. Udało im się przetrwać, nawet dyrekcja została ta sama. Prędko zorientowali się, co i jak, zatrudnili paru młodych, łebskich inżynierów, słowem wzięli się w garść. Od tamtej pory udało im się dokonać masy wynalazków, ale żaden tak nie obniża kosztów produkcji jak ta maszyna do zbiorników paliwa. W Deerfield twierdzą, że opłaca im się robić je, pakować, wysyłać na własny koszt do Japonii, i jeszcze wyjdą na swoje. W dodatku te ich zbiorniki są mocniejsze od japońskich. Z tym, że Tokio nawet nie chciało słyszeć o kupnie naszych zbiorników. Linie produkcyjną, proszę bardzo, kupią, ale nie gotowe wyroby. Zupełnie jak z tamtymi procesorami do komputerów — dokończył Caplan.

— Zaraz! W jaki sposób Deerfield może się opłacać wysyłka...?

— Chodzi o statki, panie prezydencie. — Tym razem w pół słowa przerwał Caplan. — Te japońskie samochodowce przypluwają tu pełne, ale wracają zupełnie puste, albo prawie puste. Załadunek palet ze zbiornikami paliwa kosztowałby tyle co nic, a firmy samochodowe miałyby dostawę prosto pod własną rampę. W Deerfield wymyślili nawet, jak zautomatyzować załadunek i rozładunek, żeby nie tracić czasu ani pieniędzy.

— No, to czemu nie naciskał pan tych z Tokio?

— Dziwię się, że nasz negocjator tak słabo was naciskał — odezwał się Christopher Cook.

Siedzieli na parterze luksusowej rezydencji przy Kalorama Road w drogiej podmiejskiej dzielnicy

Waszyngtonu. W sąsiedztwie mieszkało sporo zagranicznych dyplomatów, a także waszyngtońska śmietanka: prawnicy, lobbyści ze Wzgórza, słowem wszyscy, którym zależało, by stale — choć z pewnej odległości — czuwać nad tym, co się dzieje w stolicy USA, czy raczej w samym jej centrum.

— Naprawdę szkoda, że ci z Deerfield nie zdecydowali się sprzedać nam tej licencji — westchnął Seidzi. — A proponowaliśmy im bardzo dobrą cenę.

— To fakt — zgodził się Cook i nalał sobie kolejny kieliszek białego wina. Miał na końcu języka, że ludzie z Deerfield musieliby upaść na głowę, by wyrzekać się wynalazku, na którym można zbić fortunę, lecz powstrzymał się w porę. — Seidzi, a czy ktoś od was nie mógłby...

Seidzi Nagumo znów westchnął.

— Wasi ludzie błysnęli sprytem. Wzięli w Japonii na swoje usługi bardzo dobrego prawnika.

Zarejestrowali swój patent w rekordowo krótkim czasie, niestety.

Nagumo chciał dodać, że mierzi go, iż jego krajan połasił się na cudze, zagraniczne pieniądze, lecz nie byłaby to uwaga taktowna wobec Christophera Cooka. — Cóż, być może z czasem posłuchają tego, co podpowiada rozsądek.

— Opłacałoby się wam ustąpić, Seidzi. Tylko w tej jednej kwestii, naprawdę. — Cook umilkł, pojmując, że Nagumo nadal nie rozumie sytuacji. Wiadomo, nowy w Waszyngtonie. — Zakłady Deerfield to okręg wyborczy Ala Trenta. A Trent ma w Kongresie kolosalne wpływy, możesz mi wierzyć. Poza tym przewodniczy komisji do spraw wywiadu.

— I co dalej?

— To, że czasem warto zjednać sobie takiego faceta jak Trent.

Nagumo zastanawiał się dobrą minutę nad tym, co usłyszał. Milczał, popijał wino i patrzył w okno. Gdyby informacja dotarła do niego dzień wcześniej, albo nawet rano, być może próbowałby połączyć się ze zwierzchnikami w Tokio i poprosić ich o zezwolenie w tej sprawie. Nie uczynił tego w porę, więc było już za późno. Próbować naprawić wszystko teraz, po fakcie, oznaczałoby przyznać się do błędu. Mało kto zaś lubi przyznawać się do własnych błędów. Nagumo postanowił więc tylko ponowić ofertę w sprawie licencji, proponując wyższą cenę. Nie wiedział w tamtej chwili, że unikając utraty twarzy powoduje jednocześnie coś, czego wolałby uniknąć po stokroć bardziej niż prywatnej hańby.

# Teoria chaosu

Rzadko się zdarza, aby wydarzenie miało jeden jedyny, konkretny powód. Nawet najwytrawniejsi specje od manipulacji zdają sobie sprawę, że prawdziwym kluczem do ich sztuki jest umiejętność wykorzystywania tego, co da się z góry przewidzieć. Raizo Yamata znajdował nawet w takiej nieprzewidywalności pewną pociechę. Kiedy zdarzało się coś, czego się nie spodziewał, zwykle wiedział, jakie trzeba podjąć decyzje. Zwykle, ale nie tym razem.

— Źle się ostatnio dzieje, to fakt, ale bywało w przeszłości jeszcze gorzej — orzekł z powagą jeden z gości. — A przecież znów możemy robić, co się nam podoba. Któż zaprzeczy?

— Zmusiliśmy ich do ustępstw w kwestii mikroprocesorów — przypomniał inny z gości Yamaty.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

Yamata nie mógł się nadziwić ich ślepotcie. Nowy ład światowy, bardzo dobrze, ale nie aż tak uładzony, jak to chciałaby wszystkim wmówić Ameryka. Przeciwnie, nowy ład najbardziej przypominał

chaos, w porównaniu z którym poprzednie trzy powojenne pokolenia rozkoszowały się... No, może nie stabilizacją, lecz na pewno spokojem, w którym wszystko było przewidywalne. Jednak globalna symetria Wschód-Zachód usunęła się w ludzkiej świadomości w tak zamierzchłą przeszłość, że przypominała dziś na wpół zapomniany, dręczący majak senny. Rosjanie nadal nie mogli się pozbierać po stuleciu nedorzecznych eksperymentów, a Amerykanom wiodło się niewiele lepiej, choć w ich wypadku mogli za kłopoty winić głównie siebie samych i idiotyczne błędy popełnione już po zakończeniu Zimnej Wojny.

Głupcy ci Amerykanie: zamiast trwać w roli mocarstwa, zamknęli sklepik, wycofali się. Nie po raz pierwszy w ich historii. Natomiast zniknięcie obu dawnych potęg światowych otwierało drogę innemu państwu. Państwu, które naprawdę zasługiwało na wielkość.

— Nikłe to korzyści, przyjaciele — odezwał się Yamata i nachylił się ponad stołem, by uprzejmym gestem napełnić porcelanowe czarki. — Słabość naszego kraju bierze się z przyczyn strukturalnych, głębokich, a te nie zmieniają się za naszego życia ani trochę.

— Wyjaśnij, proszę, co masz na myśli, Raizo-san — brzmiała jedna z bardziej przychylnych reakcji na te słowa.

— Dopóki nie mamy swobodnego dostępu do bogactw naturalnych, dopóki inni mogą nam odmówić tego dostępu, dopóki w oczach innych krajów pełnimy rolę zwykłego sklepikarza, świat może robić z nami, co zechce.

— Ech! — jeden z mężczyzn po drugiej stronie stołu wzgardliwie machnął ręką. — Nie zgadzam się. W sprawach, które się naprawdę liczą, jesteśmy bardzo mocni.

— Jakież to mianowicie sprawy? — zapytał grzecznie Yamata.

— Przede wszystkim ta najważniejsza, to jest nasza pracowitość. Do tego inteligencja naszych inżynierów...

Litania pochwał ciągnęła się bez końca. Yamata i reszta jego gości słuchali grzecznie.

— Zgoda, ale jaką wartość będzie miało to wszystko, jeśli zabraknie nam surowców, jeśli wyschną nasze zapasy ropy naftowej? — jeden z zaufanych Yamaty zaczął ciągnąć własną litanię.

— Czyli znów jak w 1941 roku?

— Nie, inaczej. Albo niezupełnie jak w 1941 roku — przerwał Yamata, włączając się do debaty.

— Pół wieku temu łatwo było odciąć nasz dostęp do ropy naftowej, bo w tamtych czasach musieliśmy wszystko sprowadzać z zewnątrz. W dzisiejszej dobie wszystko się skomplikowało. Bo pomyślcie, dawniej przeciwnik musiał zamrozić nasz kapitał po to, żebyśmy nie mogli ulokować go gdzie indziej.

Tak? Dziś odwrotnie: tamtym wystarczy, że zdevaluują dolara w stosunku do jena, bo nasz kapitał i tak znajduje się tam, u nich. Wabią nas, żebyśmy inwestowali w Ameryce, podnoszą wrzask, kiedy rzeczywiście zaczynamy inwestować, oszukują nas na każdym kroku, zagarniają pieniądze, jakie im wypłacamy, a potem zagarniają z powrotem wszystko, cośmy kupili!

Tyrada spotkała się z aplauzem, bo każdy z obecnych na własnej skórze doświadczył tego, o czym mówił Yamata. Jeden z sąsiadów Yamaty kupił w swoim czasie zespół gmachów Rockefeller Center w Nowym Jorku, zapłacił dwa razy tyle, ile w rzeczywistości był warty — nawet w czasach sztucznie zawyżonych cen na nieruchomości — po czym został ze szczętem wykiwany przez nowojorskich właścicieli. Nie dość na tym, wkrótce potem wzrosła wartość jena w stosunku do dolara. Dolar potaniał, jen podrożał. Gdyby Japończyk wpadł teraz na pomysł, by sprzedać Rockefeller Center, musiałby zbankrutować. Ceny nieruchomości w Nowym Jorku spadały. Budynek był warty połowę ceny, jaką zapłacił japoński nabywca. Dolary, które mógłby otrzymać były w jenach warte połowę tego, co na początku. Japończyk mógł liczyć, że odzyska jedną czwartą tego, co wyłożył. Ba, dochody z czynszów ledwie wystarczały na spłacanie odsetków od długu, jaki Japończyk zaciągnął, aby kupić Rockefeller Center.

Kolejny z dzisiejszych gości Yamaty kupił wielkie studio filmowe w Kalifornii — podobnie jak drugi znajomy, również tu obecny. Raizo najchętniej wyśmiałby obu głupców. Bo też co takiego sobie kupili? Prosta sprawa: jeden i drugi za cenę miliardów dolarów kupili około trzystu hektarów gruntów w Los Angeles, a do tego świstek papieru stwierdzający, że właściciel może teraz kręcić filmy. W obu wypadkach dotychczasowi właściciele, zgarniając pieniądze, śmiali się Japończykom w nos, a ostatnio po cichu zaczęli proponować, że odkupią wytwórnie filmowe, za ćwierć sumy, jaką wyłożyli nabywcy z Tokio. Pieniądze wystarczyłyby na spłacenie zaciągniętych długów i na nic więcej.

I tak dalej, i tak dalej. Ilekroć japońskie przedsiębiorstwo zbiło w Ameryce kapitał i próbowało go



zainwestować tamże, Amerykanie zaczęli lamentować, że Japończycy wykupują im kraj. Amerykanie okropnie też darli skórę z obcych, a władze w Waszyngtonie dokładały wszelkich starań, by Japończycy tracili na kolejnych interesach, dzięki czemu można było za parę centów odzyskać sprzedany majątek.

Lamenty, pretensje, złorzeczenia — i wielka uciecha, że Ameryka odzyskuje pomniki swojej kultury.

Ładne pomniki! W rzeczywistości wszystko to było największym i najskrzętniej ukrywanym złodziejstwem w historii.

— Naprawdę nie rozumiecie? Próbuja wyssać z nas krew, co gorsza skutecznie — Yamata powiedział to spokojnym i rozsądnym tonem. Rozsądek był tu zresztą na miejscu, bo przed podobnym problemem prędzej czy później stają wszyscy ludzie interesu. Jeśli pożyczycie z banku dolara, bank będzie was miał odtąd w kieszeni, ale jeśli pożyczycie milion dolarów, to wy będziecie mieli w kieszeni cały bank. Japonia, idąc za tym porównaniem, wkupiła się w amerykański rynek samochodów osobowych w okresie, kiedy cały przemysł motoryzacyjny w USA dławił się od zysków, nie miał żadnej konkurencji, windował ceny i przestawał zwracać uwagę na jakość. Amerykańscy robotnicy, zamiast pracować, skarżyli się głośno — ustami związków zawodowych — na nieludzką monotonię swojego zajęcia, mimo że zarobkami prześcigali prawie całą resztę tej grupy zawodowej. Japończycy startowali do wyścigu z pozycji jeszcze bardziej podrzędnej niż Volkswagen, a do zaoferowania mieli z początku wyłącznie małe, brzydkie i tandetne samochodziki, które nad modelami amerykańskimi miały tylko jedną przewagę: zużywały mniej paliwa.

W sukurs przyszedł Japonii splot trzech okoliczności. Po pierwsze, amerykański Kongres umyślił sobie poskromić „chciwość” rodzimych koncernów naftowych i zamiast zgrać cenę paliwa ze światowymi notowaniami ropy naftowej, określił maksymalną cenę, jaką firmom wolno było wziąć za krajowe wydobywanie. Co za tym idzie, cena benzyny zamarła w USA na poziomie najniższym w całym uprzemysłowionym świecie, a Detroit mogło spokojnie kontynuować produkcję wielkich i paliwożernych modeli sprzed lat. Wojna, jaka w 1973 roku wybuchła między Izraelem i krajami arabskimi, zakłóciła amerykańskim kierowcom trzydziestoletnią idyllę i kazała im się ustawić w kolejki do dystrybutorów.

Ameryka nie mogła się otrząsnąć z szoku, gdyż dotychczas wszyscy wierzyli, że coś takiego po prostu nie ma prawa się zdarzyć. Wkrótce też dotarło do powszechnej świadomości, że produkowane w Detroit auta żłopią benzynę tak, jak gdyby miały dziurę w zbiorniku paliwa. Nowe, „małolitrażowe” modele, jakie w poprzedniej dekadzie zaczęło wypuszczać Detroit, bardzo prędko udoskonalono, doprowadzając je rozmiarami do istniejącej tradycji. „Małolitrażowe” wozy zużyciem paliwa i złą jakością wykonania tak czy owak szły o lepsze ze swoimi większymi kuzynami. Co najgorsze, wszyscy bez wyjątku najwięksi amerykańscy producenci władowali olbrzymi kapitał w nowe fabryki samochodów dużych i bardzo dużych. Chrysler omal nie przyplącił tej decyzji całkowitym bankructwem. Szok naftowy nie trwał

wprawdzie długo, ale zdążył skłonić Amerykę do zmiany obyczajów. Pech chciał, że żaden z rodzimych koncernów nie dysponował jednak kapitałem ani elastyczną myślą techniczną — na pewno nie na tyle, by z dnia na dzień dostarczyć na rynek towaru, którego żądali przerażeni amerykańscy

konsumenci.

Amerykanie zaczęli więc z miejsca kupować tanie i oszczędne samochody japońskie, zwłaszcza ci z Kalifornii. Zapoczątkowało to nową modę i pozwoliło Japończykom prędko zdobyć fundusze na nowe projekty. Japończycy co prędzej zatrudnili u siebie amerykańskich projektantów, by dostosować nową ofertę do gustów rynku.

Z kolei inżynierowie japońscy zajęli się poprawianiem bezpieczeństwa i jakości. Kiedy w 1979 roku światem wstrząsnął drugi wielki szok naftowy, Toyota, Honda, Datsun (późniejszy Nissan) i Subaru czuwały i tym razem miały do zaoferowania dokładnie to, o co chodziło. Pieniądze popłynęły teraz strumieniem. Niski kurs jena i wysoka pozycja dolara gwarantowały, że nawet przy stosunkowo niskich cenach producenci aut mogli liczyć na spore zyski. Ba, agenci od sprzedaży samochodów kazali swoim klientom płacić ekstra za przywilej nabycia nowego modelu któregoś z tych cudownych pojazdów... Nic dziwnego, że o pracę przy sprzedaży japońskich wozów zaczęły się ubiegać najlepsze miejscowe talenty.

Yamata wiedział jeszcze jedno: a mianowicie, że to, co nie docierało do dyrektorów General Motors ani do związkowców z United Auto Workers, nie przyszło też do głowy żadnemu z ludzi siedzących przy stole. Obie grupy z góry zakładały, że przyjemny stan rzeczy będzie trwał w nieskończoność. Jedni i drudzy zapomnieli, że Bóg nie udziela gwarancji na piśmie ani monarchom, ani ludziom biznesu. Ameryce przyszło uczyć się tej prawdy na własnej skórze. Zaledwie jednak Japończykom udało się zbić majątek na amerykańskiej arogancji i ślepotcie, sami zarazili się tą samą chorobą. Kiedy zaś Japończycy sycili się triumfem, Amerykanie bez skrupułów wzięli się za kurację odchudzającą. Odchudzali zarówno modele nowych wozów jak i fundusz płac, nauczeni nową lekcją, tą samą, o której Japończycy powoli zapominali. Trwający proces nie rzucał się w oczy ani postronnym obserwatorom, ani tym bardziej jego uczestnikom. Obserwatorzy i analitycy byli zbyt zajęci opisywaniem poszczególnych drzew, by zadawać sobie trud ujrzenia w nich lasu — lasu cyklicznej przemiany.

Wszystko przybrało jeszcze zwyczajniejszą postać wraz ze zmianą kursów wymiany. Wartość walut musiała się zmienić, tym bardziej, że kapitał płynął teraz głównie w jedną stronę. Japońscy przemysłowcy do końca, wzorem niegdysiejszych kolegów z Detroit, udawali, że nie widzą, co się święci.

Względna wartość jena w wymianie handlowej z USA powędrowała w górę, a dolar potaniał. Choć tokijscy bankowcy starali się jak mogli, by osłabić niepotrzebnie zwyżkujący kurs jena, skok kursów ograbił japońskie firmy z większości dotychczasowych zysków. Potaniały też oczywiście ich nabytki w USA, budynki, nieruchomości i inne lokaty kapitału, i to tak znacznie, że w wielu wypadkach trzeba było do nich dopłacać. Nic w tym dziwnego, skoro pomimo skoku kursu waluty, nie da się przenieść drapaczy chmur Rockefeller Center do Tokio.

Stało się to, co się stać musiało. Yamata rozumiał to chyba jako jedyny spośród zgromadzonych.

Gospodarka nie poruszała się po linii prostej, lecz po sinusoidzie, to w górę, to w dół. Temu, kto znalazłby sposób, żeby wyprostować sinusoidę, należało się dziesięć Nagród Nobla. Japonia znalazła się w dodatku na straconej pozycji, bo tutejsza gospodarka była nierozzerwalnie związana z amerykańskim rynkiem i jego kaprysami. Nie zanosilo się na to, że Amerykanie będą wiecznie trwać w błędzie. Kiedy wróci im świadomość tego, co się dzieje, bez mrugnięcia okiem wykorzystają swoją potęgę i swoje zasoby, a wtedy Japonia już się nie pozbiera. Yamata wiedział, że nie wolno im biernie na to czekać. Wzrok Yamaty płonął jednak z jeszcze innego powodu.

Nie doczeka się wielkości kraj, którego przywódcy — nie ci z rządu, lecz ci prawdziwi, zgromadzeni wokół stołu — nie rozumieją, na czym polega owa wielkość. Wydajność przemysłu?

Śmieszne! Wystarczy, że ktoś odetnie szlaki morskie na wyspy, a wszystkie fabryki Japonii staną z dnia na dzień. Talenty i pracowitość japońskich robotników będą się wówczas liczyć na świecie równie mało, co wiersz *haiku* napisany trzysta lat wcześniej przez Busona. Tylko silne państwo może liczyć na wielkość, a tymczasem siła Japonii była równie ulotna jak linijki siedemnastosylabowego wiersza. Co ważniejsze, wielkość nie przychodzi sama. Państwo musi ją sobie dopiero zdobyć. Muszą to najpierw przyznać inne kraje, upokorzone w starciu z nowym mocarstwem. Wielkość nie miała jednej przyczyny, lecz wiele. Wielkość brała się z samowystarczalności pod prawie każdym względem. Przemysłowcy zebrani wokół stołu Yamaty musieli to zrozumieć, jeśli mieli się przyczynić do poprawienia losu kraju, i oczywiście własnego. Yamata wyznaczył sobie misję: podnieść własny kraj z kolan, a zarazem upokorzyć konkurencję. Przysiągł sobie, że uczyni wszystko aby się tak stało. Nie chciał być przywódcą.

Wystarczało mu, że skieruje w odpowiednią stronę energię innych ludzi.

— Wie pan co? Wydaje mi się, że zaczynam się już trochę orientować, co i jak — zagadnął Ryan, sadowiąc się w skórzanym fotelu po lewej ręce prezydenta kraju.

— Sam też kiedyś odważyłem się powiedzieć to głośno — zgasił go Durling. — Na trzeci dzień bezrobocie poszło w górę o trzy dziesiąte procenta, pożarłem się z komisją budżetową w Kongresie, a mój wskaźnik popularności zleciał o dziesięć procent.

Z tonu głosu wynikało, że Durling nie mówi tego zupełnie poważnie.

— Tak czy owak, dlaczego zdecydował się pan urozmaicić mi posiłek?

Jack nie zwlekał z odpowiedzią, choć wiadomość tej wagi zasługiwała na bardziej dramatyczną oprawę:

— Dobiliśmy targu z Rosją i Ukrainą w sprawie ostatniej partii rakiet atomowych.

— Jaki termin? — Durling wyprostował się i odsunął od siebie talerz z sałatką.

— Jak się panu podoba przyszedł poniedziałek? — Ryan był naprawdę w doskonałym humorze. —

Proszę sobie wyobrazić, że kupili wszystkie argumenty Scotta. Tyle było chodzenia wokół tej sprawy, tyle zamieszania, a tu, proszę. Chcą zniszczyć ostatnią partię zwyczajnie i po cichu, a potem

ogłosić wszem i wobec, że już po wszystkim. Wysłaliśmy już do nich inspektorów, oni przysłali do nas swoją grupę, możemy się rozbrajać.

— Co pan powie! — Durling wyglądał na ucieszonego.

— Czterdzieści lat na to czekaliśmy, szefie! — Ryan zastanowił się. — Czyli praktycznie całe moje życie, od czasu, jak tamci rozmieścili swoje SS-6, a my nasze Atlasy. Toporne rakiety, skuteczne tylko do jednego... Świetnie, że to nam udało się ich pozbyć. Tylko panu to zawdzięczam. Cała zasługa jest pańska, ale sam też będę mógł opowiadać wnukom, że byłem przy niszczeniu ostatnich rakiet międzykontynentalnych...

Ryan taktownie nie wspominał, że to on nakreślił w szczegółach misję Scotta Adlera oraz rozmowy z Moskwą i Kijowem. Czy nagrodzą go za to choćby przypisem w podręcznikach do historii?

Nie, gdzie tam.

— Nasze wnuki nie będą nawet wiedziały, o czym mowa, albo zapytają, o co tyle szumu. Machną ręką, że dziadzio tak zawsze — z kamienną twarzą odezwał się ze swojego fotela Arnie van Damm.

— To fakt. — Ryan zawsze podziwiał wprawę, z jaką van Damm neutralizuje każdą sytuację.

— A teraz śmiało Ile mnie to będzie kosztowało? — zapytał Durling.

— Pięć miliardów — rzucił Ryan. Bolesny wyraz twarzy Durlinga wcale go nie zaskoczył — Ale proszę mi wierzyć, że warto. Naprawdę się opłaca.

— Niech mi pan to wyjaśni.

— Panie prezydencie, od czasu, kiedy chodziłem do podstawówki, zawsze żyliśmy w strachu, że Związek Radziecki któregoś dnia spuści nam na głowę rakiety. Za sześć tygodni możemy osiągnąć stan, w którym nie będzie nam zagrażał ani jeden pocisk.

— Dawno przestali w nas celować.

— Zgoda, panie prezydencie Nasze rakiety też są teraz wycelowane w Morze Sargassowe, tak samo jak ich. Żeby to zmienić, wystarczy otworzyć klapkę w kadłubie rakiety i wstawić nowy obwód w układ nawigacyjny pocisku. Potrzebny jest do tego śrubokręt, latarka i dziesięć minut.

W rzeczywistości procedura była tak prosta tylko w przypadku rakiet radzieckich — rosyjskich, po raz tysięczny skarcił się Ryan w myśli. Amerykańskie rakiety były bardziej skomplikowane, więc i powtórne ich nacelowanie zabierało więcej czasu. Ot, figle techniki.

— Znikną, i od razu ubędzie nam zmartwień — powtórzył Ryan. — Panowie, w tym gronie to przecież ja jestem zimnowojennym jastrzębiem. A skoro nawet ja uważam, że warto, na pewno uda się przekonać Kongres. Pięć miliardów to nawet tanio, jeśli się zastanowić.

— Zawsze znajdzie się odpowiedni argument — rzucił Arnie ze swego fotela.

— A w którym punkcie budżetu znajdziemy taką sumę, Arnie? — zapytał prezydent. Ryan przygarbił się, bo mógł się teraz spodziewać najgorszego.

— W wydatkach na zbrojenia, no bo gdzie?

— Zanim zaczniemy szaleć, zastanówmy się może, czy i bez tego nie przesadzamy z tymi cięciami.

— Jakich wydatków oszczędzimy sobie, jeśli zlikwidujemy resztę naszych pocisków? — zapytał van Damm.

— Żadnych. Przeciwnie, będziemy musieli do tego dopłacić — odrzekł Jack — I bez tego płacimy jak za zboże za to, że pozbywamy się starych pocisków z okrętów podwodnych. Te czubki od ochrony środowiska...

— Natchnieni obrońcy przyrody — poprawił go Durling.

— Ale nie o to chodzi. Wydatek będzie przecież jednorazowy.

Wszyscy spojrzeli na szefa prezydenckiego personelu. Nikt nie odznaczał się lepszym wyczuciem sytuacji politycznej niż Arnie. Ryan poczuł na sobie badawcze spojrzenie van Damma.

— Moim zdaniem sprawa jest warta fatygi. Kongres będzie się pieniał, to jasne, ale z drugiej strony, szefie — Van Damm zwrócił się bezpośrednio do prezydenta — za rok będzie pan mógł

powiedzieć w telewizji, że zdjął pan wiszący nad głową narodu miecz tego, jakże mu tam...

— Damoklesa — wspomógł go Ryan.

— Widać, kto chodził do katolickiej szkoły — zarechotał Arnie — No, więc miecz, który od pokoleń wisiał nad Ameryką, dziś i tak dalej... Prasa zaraz to podchwyci, CNN tak samo, zrobią serię specjalnych, godzinnych reportaży, dyskusji, wstawią migawki filmowe i resztę bredni.

— Co, nie podoba się panu taka perspektywa, Jack? — Durling uśmiechał się, szczerze zachwycony.

— Panie prezydencie, umówmy się, że nie jestem zawodowym politykiem, zgoda? Więc mnie na razie wystarczy to, że niszczyliśmy ostatnie dwieście pocisków międzykontynentalnych na świecie. A to niemało, co?

Słowa Jacka Ryana nie w pełni pokrywały się z rzeczywistością, o czym on sam dobrze wiedział.

A co z pociskami chińskimi, francuskimi, brytyjskimi? No, tak, ale Francuzi i Brytyjczycy to przecież alianci... A Chińczycy? Tych utrzyma w ryzach ewentualność sankcji gospodarczych, i tak dalej. Poza tym czego mieliby się bać Chińczycy?

— Niemało, Jack, ale tylko pod warunkiem, że szeroki ogół zrozumie to i wyrazi zgodę —

Durling odwrócił się z kolei do van Damma. Obaj najwyraźniej nie podzielali cichych obaw Ryana

—  
Niech się pan tym zajmie i posadzi biuro prasowe do roboty. Oficjalnie ogłaszamy wspólną decyzję w Moskwie, tak?

Ryan przytaknął.

— Tak było umówione.

Zagadnienie nie przedstawiało się wcale tak prosto. Najpierw przecieki, z pewnych źródeł, ale niepotwierdzone. Poufne rozmowy z kierownictwem Kongresu, a tym samym nowa porcja przecieków.

Dyskretne telefony do sieci telewizyjnych, wszystko po to, by dziennikarze i ekipy filmowe wiedziały, w którym miejscu i o której godzinie zarejestrować historyczną chwilę. Koordynacja była trudna, a to ze względu na dziesięciogodzinną różnicę stref czasowych między Moskwą i terenami USA, gdzie rozmieszczono wyrzutnie. Chodziło jednak o to, by sfilmować oficjalny koniec koszmaru. Niszczenie pocisków w dosłownym sensie nie było wcale takie proste — właśnie ten punkt wzbudzał takie opory obrońców środowiska. Rosjanie wymontowywali ze swoich pocisków głowice i wywozili je do rozbiórki do specjalnych zakładów, następnie spuszczaali paliwo ze zbiorników, wymontowywali dające się odzyskać albo tajne układy elektroniczne, za pomocą stu kilogramów trotylu wysadzali pokrywę wyrzutni i zasypywali betonowy szyb ziemią, aż po sam czubek. Amerykanie stosowali inną metodę, a to dlatego, że ich pociski miały napęd na paliwo stałe. W tym wypadku kolejne rakiety jechały do Utah, gdzie odcinano oba końce pocisku i podpalano zawartość. Rakiety paliły się jak największe świece dymne na świecie. Co gorsza, ich dym był trujący i stanowił zagrożenie dla miejscowego ptactwa. Amerykańskim silosom raketowym także wysadzano pokrywy. Sąd apelacyjny drugiej instancji ogłosił na szczęście, mimo protestów i wrzawy, że względy bezpieczeństwa narodowego i międzynarodowe porozumienia rozbrojeniowe są ważniejsze niż przepisy o ochronie środowiska. Ostateczna eksplozja była tym bardziej przejmująca, że miała siłę dziesięć milionów razy mniejszą od wybuchu, jaki spowodowałaby ta sama rakietka, tyle że z głowicą jądrową, jeszcze parę miesięcy wcześniej. Jack często sobie uświadamiał, że niektórych liczb i pojęć nie da się ogarnąć myślą, nawet jeśli ma się takie doświadczenie jak on.

Mit o Damoklesie głosił, że jeden z dworzan sycylijskiego króla Dionizjusza miał zwyczaj chwalić pod niebiosa królewskie szczęście i bez troskę monarszego życia. Diorazjusz z arogancją właściwą wielkim tego świata zaprosił Damoklesa na wspaniałą ucztę i posadził go wygodnie, tyle że dokładnie pod mieczem, zawieszonym u powały na cienkiej nitce. Chodziło o to, by dać dworzaninowi do zrozumienia, iż królewska fortuna to los równie niepewny jak bezpieczeństwo Damoklesa podczas uczy.

Podobnie miała się rzecz i z Ameryką. Wszystko, co posiadał cały kraj, nadal podlegało groźbie

atomowego miecza, o czym Ryan przekonał się w drastyczny sposób w Denver, wcale nie tak dawno temu. Z tej samej przyczyny Ryan, godząc się wejść do rządu, postanowił zrobić wszystko, by dopisać do mitu ostatni, końcowy rozdział.

— Chce się pan pewnie sam zająć konferencją prasową?

— Tak, panie prezydencie — odpowiedział Jack, szczerze zdumiony, lecz i wdzięczny Durlingowi za tak hojny gest.

— Północna Strefa Surowcowa? — powtórzył nie bez ironii chiński minister obrony.

— Proszę, jaka zręczna nazwa.

— Ale co wy na to? — zapytał Huang Han San, także obecny w pokoju. Niedawno po raz kolejny spotkał się z Yamatą.

— Teoretycznie istnieje taka strategiczna możliwość. Nie wchodzę w koszty ekonomiczne takiego pomysłu, to już wasze zmartwienie — odpowiedział marszałek, któremu spora ilość wypitej tego wieczora *mao-tai* wcale nie rozwiązała języka.

— Rosjanie zatrudnili u siebie trzy japońskie firmy poszukiwawcze. Zdumiewająca sprawa, musicie przyznać. Wschodnia Syberia to właściwie nietknięte tereny. Owszem, złoto i co tam jeszcze na Kołymie, ale wewnątrz kraju? — Chińczyk machnął ręką. — Kacapy są tak durne, że nawet szukać im się nie chce samym, zatrudniają obcych...

Minister urwał i przeniósł spojrzenie na Huang Han Sana.

— Powiedzcie nam, co takiego znaleźli?

— Nasi japońscy koledzy? Po pierwsze, całą masę ropy naftowej. Złóże jest co najmniej tej wielkości co Prudhoe Bay na Alasce. — Huang Han San przesunął po blacie plikiem papierów. — Oto lista złóż, jakie odkryli przez ostatnie trzy kwartały.

— Aż tyle?

— Te tereny mają taką samą powierzchnię jak cała Europa Zachodnia. Rosjanie zbadali tylko wąski obszar w pobliżu obu linii kolejowych. Głupcy! — parsknął Huang. — Gospodarka im się wali i zawsze waliła, a przecież rozwiązanie mieli w zasięgu ręki, i to od czasów, zanim jeszcze rozstrzelali cara.

Te tereny to taki sam skarbiec jak południe Afryki, z tym, że w RPA nie ma ropy naftowej, a tu ropa jest, i to ile. Popatrzcie, wszystkie strategiczne surowce, prawie wszystkie, w ogromnej ilości...

— I co, Rosjanie nic o nich nie wiedzą?

— Coś tam wiedzą — przyznał Huang Han San. — Takich spraw nie da się ukryć, ale nie wiedzą wszystkiego. Najwyżej połowę. Złóża znane Moskwie oznaczyliśmy na liście gwiazdkami.

— Niedużo tych gwiazdek.

— Niedużo. — Huang uśmiechnął się zwycięsko.

Nawet w kraju, gdzie tradycja nakazuje ludziom skrzętnie skrywać uczucia, minister nie mógł opanować podniecenia. Jeszcze trochę, a zaczną mu się trząść ręce, w których trzyma listę... Chińczyk prędko odłożył kartkę na lśniący stół i pogładził ją, jak gdyby była z jedwabiu.

— Podwoilibyśmy w ten sposób bogactwa naszego kraju.

— Podwoilibyśmy? To ostrożna ocena — sprostował Huang. Jako wysoki rangą oficer pekińskiego wywiadu odbył w życiu więcej udanych misji dyplomatycznych niż niejeden prawdziwy pracownik chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. — Nie zapominajcie, towarzyszu ministrze, że dostaliśmy tę listę od Japończyków. Spodziewają się, że w zamian udostępniemy im co najmniej połowę tego, co znajdują, a ponieważ tylko oni są w stanie zainwestować odpowiedni kapitał w wydobywanie...

Znów uśmiech.

— Owszem, a my weźmiemy przy okazji na siebie większość strategicznego ryzyka. Złośliwy ludek, ci Japończycy — przyznał minister, który podobnie jak marszałek był weteranem 8. Armii Marszowej towarzysza Mao. Obaj dostojnicy pamiętali wojnę, i to nie wojnę z Amerykanami. Minister wzruszył jednak ramionami. — Trudno, bez nich się nie obejdziemy. Mają znakomitą broń, ale jest ich za mało.

— Mają to na uwadze — odezwał się Huang Han San. — Mój główny informator powiedział, że uważają całe przedsięwzięcie za małżeństwo z rozsądku, wypadkową potrzeb i możliwości, ale że z czasem, kto wie... Jak to ujął, z czasem może dojść do prawdziwej serdecznej i braterskiej zgody między dwoma narodami o prawdziwie...

— A który naród będzie tym lepszym? — przerwał ze złośliwym uśmieszkiem marszałek.

— Oczywiście oni. Tak sobie przynajmniej wyobrażają — dodał Huang Han San.

— W takim razie, skoro to oni zabiegają o nasze względy, a nie odwrotnie, oni powinni wystąpić z inicjatywą — powiedział minister. Ustalał politykę kraju w taki sposób, by nie urazić starszych rangą partnerów z rządu. Był mały, o oczach krasnala, a przy tym tak zawzięty, że nawet lew dobrze by się zastanowił, czy go zaatakować. Marszałek pod pytającym wzrokiem ministra skinął powoli głową. Był

nadal trzeźwy, co pozostałej dwójce wydawało się po prostu zdumiewające.

— Dokładnie jak się tego spodziewałem — potwierdził zadowolony Huang Han San. — Oni zresztą też się tego spodziewali, bo to przecież oni pragną najbardziej na tym skorzystać.

— Każdy ma prawo żywić złudzenia.



— Podziwiam waszą pewność siebie — bąknął inżynier z NASA, obserwujący halę montażu z wysokiej galeryjki dla zwiedzających. Amerykanin podziwiał też ilość środków, jaką mieli do dyspozycji Japończycy. Rząd w Tokio bez mrugnięcia okiem znalazł dla prywatnego koncernu pieniądze na zakup i wdrożenie rosyjskiej licencji. Trzeba przyznać, że władze wspierają tu prywatną przedsiębiorczość...

— Wydaje się nam, że znaleźliśmy przyczynę kłopotów ze stopniem pośrednim. Wadliwy zawór

— wyjaśnił japoński specjalista. — Skopiowaliśmy radzieckie rozwiązanie.

— Chwileczkę, nie rozumiem.

— W zbiornikach paliwa dla drugiego stopnia pocisku skorzystaliśmy z oryginalnego projektu zaworów, tego z licencji. Zawór nie działał. Rosjanie próbowali użyć jak najlepszych materiałów, ale i tak...

Wysłannik NASA omal się nie udławił.

— Chce mi pan powiedzieć, że cała rosyjska produkcja rakiet tej klasy...

Japończyk obdarzył Amerykanina wyrozumiałym spojrzeniem.

— Owszem. Przynajmniej jedna trzecia pocisków z seryjnej produkcji nigdy by nie doleciała do celu. Moi specjaliści są zdania, że w rakietach używanych do prób rosyjscy konstruktorzy stosowali specjalne części, natomiast egzemplarze seryjne były, hmm, typowo rosyjskie.

— A niech to! — Amerykanin zdążył spakować walizki, a pod fabryką czekał już samochód, który miał go zabrać na lotnisko Narita. Potem dłużyący się w nieskończoność lot do Chicago. Hmm.

Inżynier z NASA jeszcze raz przyjrzał się japońskiej linii montażowej. Tak prawdopodobnie wyglądała główna hala zakładów General Dynamics w połowie lat sześćdziesiątych, w okresie szczytowego nasilenia zimnej wojny. Kadłuby kolejnych rakiet zawały halę niczym wielkie pęta kiełbasy. Piętnaście pocisków w różnych fazach montażu. Wokół kadłubów uwijali się robotnicy w białych kitlach.

— Ta dziesiątka wygląda mi na prawie gotową.

— Tak, te są gotowe — zapewnił Amerykanina główny inżynier zakładów.

— Kiedy testujecie następny pocisk?

— Za miesiąc. Przygotowaliśmy już trzy próbne ładunki.

— Wiadomo, wy to jak już coś sobie wymyślicie, idziecie na całość.

— Tak jest taniej, a także bardziej wydajnie.

— Aha, więc rakiety opuszczają zakłady zupełnie gotowe?

Znów skinienie głową.

— Zgadza się. Napełniamy zbiorniki obojętnym gazem pod ciśnieniem, to fakt, ale transport nie stanowi problemu. Przynajmniej to udało się Rosjanom jakoś w miarę inteligentnie rozwiązać. Oszczędza nam to czas przy wyrzutni.

— Wywozicie je ciężarówkami?

— Nie — zaprzeczył Japończyk. — Koleją.

— A głowice?

— Montujemy w innych zakładach. Niestety, informacje na ten temat są utajnione.

Drugiej linii montażowej nie oglądał żaden zagraniczny gość. Gości w ogóle bywało tu nader niewiele, mimo że zakład leżał na bliskich przedmieściach Tokio. Napisy przed głównym budynkiem głosiły, że mieszczą się tu biura projektowe i zakład doświadczalny jednego z wielkich i powszechnie znanych koncernów. Okoliczni mieszkańcy przypuszczali, że chodzi o komputerowe układy elektroniczne albo o podobne urządzenia, bo linia energetyczna, prowadząca do zakładu, wyglądała dość skromnie.

Rzeczywiście, najwięcej prądu pożerała tu klimatyzacja i grzejniki. Mało imponujący był także ruch w bramie zakładu. Przed główną halą mieścił się parking na osiemdziesiąt samochodów osobowych, zwykle zapełniony najwyżej w połowie. Zakład otaczało niewysokie ogrodzenie, zwyczajna rzecz w każdej fabryczce na świecie. Co pewien czas z bramy wyjeżdżały wozy osobowe i ciężarówki. Zakład miał dwie portiernie, oczywiście obsadzone strażnikami.

Wewnątrz hali wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Chociaż portierzy w obu budkach na zewnątrz uśmiechali się uprzejmie i chętnie udzielali wskazówek zbłąkanym kierowcom, w środku panowały inne porządki. Recepcjoniści mieli pod biurkami specjalne kabury z niemieckimi pistoletami P-38, a straż przemysłowa była dziwnie mało skłonna do uśmiechów. Nie oznaczało to oczywiście, że wartownicy wiedzą, czego pilnują. Niektóre urządzenia są zbyt niezwykłe, by dało się je łatwo rozpoznać, a w telewizji także nie sposób się natknąć na film dokumentalny o produkcji bomb wodorowych.

Główną halę liczyła pięćdziesiąt metrów na piętnaście. Stały tu dwa symetryczne rzędy obrabiarek, każda w osobnej klatce z pleksiglasu i z osobną klimatyzacją oraz wentylacją. Reszta hali także była klimatyzowana, a naukowcy i technicy musieli chodzić w białych kitlach i rękawiczkach, zupełnie jak pracownicy zakładów elektronicznych. Kiedy ktoś z załogi wychodził w tym stroju na zewnątrz, brano go zwykle właśnie za specjalistę od układów scalonych.

W sterylnym pomieszczeniu obróbkę półkul z plutonu zaczynało od dokładnego oszlifowania całej ich powierzchni. Po obróbce metal lśnił niczym lustro. Gotową półkulę umieszczano w plastikowym

nosidle i ręcznie przenoszono do magazynu. Każda stalowa półka wyłożona była specjalnym tworzywem sztucznym. Nie wolno było dopuścić do kontaktu plutonu z innymi metalami, gdyż materiał był nie tylko radioaktywny i ciepły z powodu rozpadu cząstek alfa, lecz nadto bardzo aktywny chemicznie i co gorsza łatwopalny. Pluton palił się równie łatwo jak magnez albo tytan, a kiedy już raz się zapalił, diablo trudno było go ugasić. Ta część zadania należała jednak do przeszłości.

Dużo trudniejsza okazała się obróbka kadłubów głowic. Głowice miały postać odwróconych stożków, grubych u nasady i w środku wydrążonych. Każda z głowic liczyła 120 centymetrów wysokości i 50 centymetrów średnicy u podstawy, a wykonano je z uranu 238, rdzawego ciężkiego metalu, niezmiernie trudnego w obróbce. Mimo że głowice miały masę 400 kilogramów każda, trzeba je było wykończyć niezmiernie finezyjnie, aby zachować idealne wyważenie całości. Głowice miały przecież latać, głównie w próżni, lecz później także w powietrzu, a podczas lotu zachowywać pełną stabilność. Ku ogólnemu zaskoczeniu właśnie to okazało się najtrudniejszą częścią całego procesu produkcji.

Dwukrotnie zmieniano zasadę odlewania stożka, lecz nawet gdy się to w końcu udało, obracano każdą z głowic na specjalnej wirówce, niby wyważaną oponę samochodową, choć oczywiście z dużo mniejszą tolerancją błędów. Zewnętrzna powierzchnia stożków była nieco chropowata, w odróżnieniu od wnętrza.

Nieznaczne, lecz symetrycznie rozmieszczone zgrubienia pozwalały zachować środek ciężkości nawet po umieszczeniu w środku „zestawu fizycznego” (termin ten ukuli Amerykanie, ale przyjął się wszędzie).

Plutonowe wnętrzości przylegały ściśle do wnętrza, gotowe na chwilę — mało kto życzył sobie, oczywiście, by nadeszła — kiedy ogromna energia uwolnionych z plutonu prędkich neutronów uderzy w uranową ścianę i rozpocznie reakcję rozpadu, podwajając energię uwolnioną przez pluton, tryt i deuterok litu z wnętrza.

Ta część urządzenia zdaniem inżynierów była najbardziej dopracowana i elegancka. Uważali tak zwłaszcza ci mniej obeznani z fizyką, którzy z czymś podobnym zetknęli się pierwszy raz. Uran 238 miał

tak dużą masę i twardość, że świetnie pochłaniał energię. Amerykanie wykorzystali nawet tę właściwość przy produkcji panczerzy najnowszej generacji czołgów. Pędząc z prędkością 27 tysięcy kilometrów na godzinę przez atmosferę ziemską, uranowy stożek z powodzeniem wytrzymywał tarcie, które zmełłoby na atomy większość znanych materiałów. Uran także, oczywiście, miał próg wytrzymałości, lecz liczyło się tylko paręnaście najważniejszych sekund. Kiedy zaś proces dobiegał końca, uranowa powłoka zmieniała się w integralną część ładunku jądrowego. Właśnie z tych względów inżynierowie powtarzali, że urządzenie ma w sobie „elegancję”. Było to jedno z ich ulubionych określeń. Dla elegancji warto było poświęcić dodatkowe godziny pracy. Gotowe stożki lądowały na wózkach i również jechały do magazynu. W hali zostały już tylko trzy nie wykończone głowice. Ta część prac opóźniała się o dwa tygodnie względem harmonogramu, co, oczywiście,

spędzało pracownikom sen z powiek.

Pierwsza poszła tego dnia do obróbki uranowa skorupa głowicy numer 8. Przy wybuchu właśnie z rozpadu uranu miała powstać większość opadu promieniotwórczego, ale trudno: takie są prawa fizyki.

I tym razem zawinił głównie przypadek, a może po prostu wczesna pora. Ryan zjawił się w Białym Domu kilka minut po siódmej rano, dwadzieścia minut wcześniej niż zwykle — a to z racji braku korków drogowych na szosie numer 50. Ponieważ jazda trwała krócej niż zwykle, nie miał czasu przejrzeć wszystkich dostarczonych mu raportów i nadal ścisnął pod pachą ich plik, kiedy wchodził przez zachodnie wejście do środka. Chociaż był prezydenckim doradcą, jak wszyscy musiał przejść przez wykrywacz metalu. Kiedy to robił, ktoś potrącił go niechcący. Ryan znał mężczyznę, który właśnie zostawiał w depozycie Tajnej Służby swój pistolet.

— Widzę, że nie ufacie nawet FB!, co? — zwrócił się mężczyzna do tajniaków.

— Zwłaszcza FBI! — padła cięta odpowiedź.

— Doskonale ich rozumiem, Dan — włączył się do rozmowy Ryan. — Mike, na twoim miejscu sprawdziłbym jeszcze, czy ten pan nie ma sztyletu w bucie.

Murray przeszedł przez bramkę i odwrócił się.

— Sztylet już mi teraz niepotrzebny — westchnął i roześmiał się na widok pliku papierów. — Bój się Boga, Jack, jak ty traktujesz tajne dokumenty?

Murray sypał takimi dowcipasami właściwie odruchowo, a w wypadku starego kumpla pozwalał sobie aż miło. Ryan spostrzegł jednak nagle, że za bramką czeka i przestępuje z nogi na nogę zniecierpliwiony prokurator generalny. Członek gabinetu w progach Białego Domu o tak wczesnej porze?

Ryan wiedziałby coś o tym, gdyby sprawa dotyczyła bezpieczeństwa kraju. Trudno z kolei przypuszczać, by zwykle śledztwo kazało prezydentowi pojawić się w gabinecie przed uświęconą ósmą rano. I dlaczego jeszcze Dan Murray? W Ryanie przebudziła się ogromna ciekawość.

— Szef na mnie czeka — bąknął Murray, widząc minę przyjaciela.

— Może wpadłbyś do mnie, jak skończycie? I tak miałem zamiar do ciebie zadzwonić w jednej sprawie.

— Jasne — odrzekł Dan i ruszył przed siebie, nie pytając nawet, jak tam Cathy i dzieciaki.

Ryan przeszedł wreszcie przez wykrywacz metalu, skręcił korytarzem w lewo i po schodach ruszył do swojego narożnego gabinetu, gdzie odebrał poranne meldunki. Ponieważ nie działo się wiele,

uporał się z tym prędko i już miał siadać do porannej porcji roboty, gdy sekretarka wprowadziła Murraya.

Ryan nie zamierzał bawić się w dyskretne podpytywania.

— Trochę wczesna godzina, żeby tu ściągać prokuratora generalnego, co, Dan? Czy coś się dzieje, o czym muszę wiedzieć?

— Na razie nie. Przepraszam, stary.

— Dobrze, nie muszę — Ryan prędko przestawił się na inny rejestr. — Ale może to coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Może i tak, ale Szef chciał, żeby na razie niczego nie puszczać na ten temat. Zresztą nie chodzi o bezpieczeństwo kraju ani nic takiego. Powiedz lepiej, co tam do mnie masz?

Ryan zastanowił się przez sekundę, prędko obracając w myślach nową sprawę, ale zaraz ustąpił.

Jeszcze raz przyszło mu zaufać Murrayowi. Czasami można mu było ufać.

— Ja też mam coś tajnego. Posłuchaj. — I Jack opowiedział agentowi to, co dzień wcześniej usłyszał od Mary Pat. Murray kiwał głową i słuchał z miną dość obojętną.

— Dla mnie to nie jest jakaś specjalna nowina, Jack. Przez ostatnie parę lat przyglądaliśmy się dyskretnie tym... namowom. Właściwie trudno znaleźć określenie, bo nie jest to żaden werbunek czy szantaż, panienki same chcą szukać szczęścia w Japonii, chcą zostać modelkami i tak dalej. Ci, którzy je werbują, działają bardzo ostrożnie. Młode sztuki jadą za ocean, żeby prezentować kreacje albo występować w reklamach, i tak dalej. Stara śpiewka. Niektóre zaczynały karierę tutaj, w Stanach, niektóre są zupełnie zielone. Nie wykryliśmy niczego konkretnego, chociaż słyszeliśmy pogłoski, że niektóre z tych dziewczyn zniknęły. Pamiętam jeden taki wypadek, nawet rysopis zgadza się z tym, co mi powiedziałeś. Kimberly coś tam. Naprawdę nie pamiętam jej nazwiska. Jej ojciec jest kapitanem policji w Seattle, a jego najbliższy sąsiad to szef naszego biura w tamtym mieście. Zwróciliśmy się dyskretnie o pomoc do paru znajomych Japończyków, ale nic, cisza.

— A ty sam co o tym myślisz? — nie ustępował Ryan.

— A co mam myśleć, Jack? Zrozum, co chwila znika jakiś człowiek. Masa dziewczyn najzwyczajniej w świecie pakuje manatki i ucieka z domu, żeby szukać szczęścia gdzie indziej. Nie wiem, czy to zasługa feminizmu, czy zwyczajnie próbują coś osiągnąć w życiu, w każdym razie zdarza się to masowo. Kimberly Jakaś Tam ma dwadzieścia lat, w szkole szło jej dosyć słabo, a potem zniknęła. Nic nie wskazuje na to, że ktoś ją porwał. Jest pełnoletnia i może robić co chce, zgoda? Nie mamy nawet prawa wszczynać śledztwa w jej sprawie. Co z tego, że jej stary to glina, a sąsiad z przeciwka pracuje w Biurze? No, zgoda, przetrząsnęliśmy trochę nasze akta, ale nie trafiliśmy na żaden ślad, nic. Więcej się nic nie poradzi, nawet nieoficjalnie. Nie naruszono żadnego prawa, rozumiesz?

— Chcesz mi powiedzieć, że jeśli zaginiona dziewczyna ma skończone osiemnaście lat, nic nie...

— Właśnie, nie mogę. O ile nie ma poszlak, że zaginęła w wyniku przestępstwa. Nie mamy środków, żeby śledzić w tym kraju każdą osobę, której przyjdzie do głowy szukać lepszego życia bez opowiedzenia się mamie i tacie.

— Nie odpowiedziałeś mi na pierwsze pytanie, Dan — zauważył Ryan. Jego gość wyraźnie się stropił.

— Ja też wiem, że są w tamtym kraju tacy, którzy lubią kobiety o okrągłych oczach i jasnych włosach. Fakt, że podejrzanie duży procent zaginionych dziewczyn to właśnie blondynki. Jak do tego doszliśmy? Nasi agenci pytali otoczenie, czy zaginiona farbowała włosy. Okazywało się przeważnie, że tak, ale tych zaginionych blondynek i bez tego jest taka liczba, że coś się tu nie zgadza. Moim zdaniem coś śmierdzi, ale mam za mało informacji, żeby mieć z czym ruszać.

Po chwili milczenia Murray dodał:

— Jeżeli to, o czym mówisz, wpływa jakoś na bezpieczeństwo kraju, to wtedy... Może...

— To wtedy co?

— Może druga firma umiałaby sprawdzić?

Ryan pierwszy raz w życiu usłyszał z ust pracownika FBI poradę, żeby zwrócić się do CIA.

Zwykle Biuro broniło się przed konkurencją z Langley do upadłego, z zazartością niedźwiedzicy walczącej o życie potomstwa.

— Mów, mów, Dan — przynaglił Ryan.

— W Japonii kwitnie wielki przemysł pornograficzny. Wystarczy się przyjrzeć tej produkcji, od razu widać, że większość dziewczyn to Amerykanki. Białe modelki, gołe jak trzeba, ale białe. Najbliższy kraj, z którego można je ściągać, to, oczywiście, Stany Zjednoczone. Domyślamy się, że część z tych dziewczyn zajmuje się nie tylko pozowaniem, ale nie wiemy niczego na pewno.

Murray nie wspomniał o dodatkowej trudności: jeśli rzeczywiście coś się działo, nie sposób było liczyć na współpracę miejscowych organów sprawiedliwości. To zaś mogło oznaczać, że dziewczyny zniknęły na zawsze. Gdyby zaś się okazało, że podejrzania są bezpodstawne, wieść o śledztwie z czasem przedostałaby się do brukowej prasy, dając początek nowej fali rasistowskich, sensacyjnych artykułów o Japończykach.

— Wydaje mi się w każdym razie, że skoro Firma i tak ma tam swoich ludzi, niech im da dodatkowe zajęcie. W razie czego służę fotografiami. Niewiele ich, ale są.

— Skąd tyle wiesz na ten temat?

— Kierownik naszego biura w Seattle to Chuck O'Keefe. Dawniej był moim szefem. Prosił mnie, żebym poszedł z tą całą sprawą do Billa Shawa. Bili zgodził się na dyskretną sondę, ale jak mówię, niczego się nie dowiedzieliśmy, a Chuck ma sam i bez tego od cholery roboty.

— Dobrze, porozmawiam z Mary Pat. A ty powiesz mi coś wreszcie?

— Przepraszam, stary, ale nie mogę bez porozumienia z górą. Naprawdę. Kiedy za Murrayem zamknęły się drzwi, Ryan zaklął w myśli. Czyżby do końca życia miał się potykać o cudze sekrety?

## Z zewnątrz i z wewnątrz

Działać w Japonii wcale nie było taką prostą sprawą, przeciwnie. Nawet jeśli się było z tej samej rasy, co Japończycy, a to dlatego, że tamtejsze społeczeństwo wcale nie jest aż tak spójne pod tym względem. Na początku zamieszkiwał tu lud zwany Ainu, dziś obecny tylko na Hokkaido, czyli najbardziej na północ wysuniętej wyspie kraju. Ainu nadal traktowano jak pierwotnych tubylców, czyli z podobnymi uprzedzeniami jakie w Australii występują wobec aborygenów. Oprócz tego w Japonii żyje spora mniejszość koreańska, której przodkowie znaleźli się tu na początku wieku jako importowana, tania siła robocza. Ameryka na podobnej zasadzie ściągала w tym samym czasie imigrantów na oba swe wybrzeża, z tą jednak różnicą, że w Japonii imigranci mogli otrzymać obywatelstwo dopiero z chwilą całkowitej integracji z miejscową kulturą, językiem i obyczajami. Zasada ta była tym bardziej dziwna, że genetycznie Japończycy stanowili odłam rdzennej ludności koreańskiej. Wynikom takich badań nie nadawano tu jednak rozgłosu, a każdy normalny obywatel kraju, gdyby go o to zapytać, z oburzeniem zaprzeczyłby takim pomówieniom. Dla Japończyka bowiem każdy cudzoziemiec, nawet z pobliskich krain, to gaidzin. Słowo to ma wiele odcieni znaczeniowych. Kurtuazyjnie tłumaczy się je jako „obcy”, lecz daje się ono odczytywać także jako „barbarzyńca” i „dzikus”. Chet Nomuri zastanawiał się, czy i starożytni Grecy mieli na myśli to samo, kiedy wymyślali słowo „barbarzyńca”. Śmieszyło go, że jako obywatel amerykański, jest stuprocentowym barbarzyńcą, choć w jego żyłach płynie wyłącznie japońska krew. W młodszych latach Nomuri buntował się i oburzał na rasistowskie obyczaje władz USA, wskutek których tak ucierpiała jego rodzina, lecz już po pierwszym tygodniu pobytu w krainie przodków zaczął

tęsknić za południową Kalifornią. W Kalifornii życie było łatwiejsze i jakby bardziej spokojne.

Chester Nomuri nie mógł wyjść ze zdumienia, że można prowadzić aż tak podwójne życie jak to, które stało się jego udziałem na miejscu. Zanim oddelegowano go do operacji DRZEWO SANDAŁOWE, przeszedł serię obowiązkowych testów. Zbadano też jeszcze raz jego przeszłość. Nomuri wstąpił do CIA zaraz po ukończeniu studiów na UCLA. Nie bardzo nawet wiedział, co go do tego skłoniło. Trochę chęć przeżycia czegoś ciekawego, trochę rodzinna tradycja służby... Na szczęście okazało się, że zajęcie bardzo mu odpowiada. W CIA pracowało się trochę jak w policji, a Nomuri uwielbiał książki i filmy kryminalne. Zajęcie było po prostu ciekawe, i kropka. Codziennie trzeba się było uczyć czegoś nowego, niczym na pogładowym kursie historii świata. Jedną z najbardziej wartościowych lekcji było to, iż Nomuri zrozumiał, jak mądrym i przewidującym człowiekiem był jego własny dziadek-emigrant. Nomuri nie uważał Ameryki za kraj idealny, ale naprawdę wolał życie w USA niż w którymkolwiek z masy krajów, jakie poobjeżdżał. Cieszył się więc z wyboru dziadka, choć nadal nie miał zielonego pojęcia, co będzie robił w bardziej odległej przyszłości. Nie wiedziała tego oczywiście także Firma. Co będzie, nie wiadomo. Nomuri słyszał te słowa nie raz podczas miesięcy szkolenia, lecz nie mieściły mu się one w głowie. Jak to, nie wiadomo? Taka duża instytucja i nie wie, co dalej?

Nomuri był za młody i zbyt mało doświadczony, by docenić, jak łatwo się pracuje w Japonii — przynajmniej w jego branży. Najłatwiej było oczywiście w kolejce dojazdowej.

Nomuri dostawał gęziej skórki na samą myśl o tłoku, jaki niezmiennie panował w wagonach.

Trudno się było przyzwyczaić do życia w kraju o takiej gęstości zaludnienia. Nie było rady, człowiek nieustannie obijał się tu o innych. Nomuri domyślał się, że tutejszy bzik na punkcie higieny osobistej i dobrych manier stanowił w tych warunkach po prostu konieczność. Gdyby nie grzeczne maniery, wpadający na siebie ludzie dawno zaczęliby do siebie strzelać, niczym mieszkańcy getta dla amerykańskiej biedoty. Lodowata osobność tutejszych ludzi i niechęć, z jaką znosili cudze dotknięcia podobały się agentowi już dużo mniej. Studiując na UCLA Nomuri bez przerwy słyszał, że każdemu wolno robić, co mu się podoba, miejsca jest dosyć. W Japonii ta zasada najwyraźniej nie obowiązywała: tu po prostu nie było miejsca.

W Japonii inaczej też traktowano kobiety. Urzędnicy dojeżdżający do centrum zatłoczoną kolejką podmiejską uwielbiali czytać miejscową odmianę komiksów, tak zwane manga. Najnowszym bestsellerem były rysunkowe przygody Rin-tin-tina, który nazywał się tak samo jak sympatyczny pies z amerykańskiego serialu obrazkowego sprzed lat, lecz który w japońskiej wersji miał kochankę — fakt, że okropną sukę — i nie dość, że z nią rozmawiał, to utrzymywał z nią, hmm, stosunki seksualne. Nomuri nie bardzo wiedział, co tutejsi widzą w historyjce, ale nie musiał daleko szukać przykładów popularności Rin-tin-tina. Obok niego siedział w wagonie starszy wiekiem facet w garniturze, zatopiony bez reszty w obrazkowych stronicach. Tuż obok stała kobieta, też, oczywiście, Japonka i z najzupełniej obojętną miną spoglądała przez okno. Czy widziała kynologiczną pornografię? Jeżeli nawet, to nie reagowała.

Rywalizacja obu płci wyglądała chyba w Japonii zupełnie inaczej niż w Ameryce. Nomuri prędko przestał

się nad tym zastanawiać, uznając, że nie o to chodzi i że przybył do Japonii w innym celu. Że się mylił w tej ocenie, okazało się jednak dopiero dużo później.

I tym razem nie spostrzegł kuriera. Zgodnie z instrukcją jechał w trzecim wagonie kolejki, w pobliżu tylnych drzwi. Stał uczepony poręczy nad głową i czytał gazetę. Nie poczuł wcale, kiedy do kieszeni płaszcza wkładano mu kopertę. Jak zwykle, tak i tym razem dopiero po chwili Nomuri zdał sobie sprawę, że kieszeń stała się cięższa. Przy którejś z takich okazji odwrócił się nawet, by zidentyfikować pośrednika. Gdzie tam, ani poznać, kto zacz. Nomuri zrozumiał, że pracuje dla naprawdę fachowej firmy.

Osiemnaście minut później pociąg wjechał na dworzec, a pasażerowie wysypali się z rozsuniętych drzwi niczym pozioma lawina, zakrywając ludzką falą całą ogromną przestrzeń hali dworcowej. Oddalony teraz o trzy metry urzędnik wetknął swą „powieść ilustrowaną” z powrotem do teczki i ruszył w stronę biura z miną także urzędowo obojętną, z pustym, obojętnym spojrzeniem. Nomuri także zapiął płaszcz i ruszył w swoją stronę. Ciekawe, jak brzmią nowe instrukcje?



— Prezydent już wie?

— Na razie nie. — Ryan zaprzeczył ruchem głowy.

— To może warto by mu powiedzieć? — Mary Pat aż drgnęła.

— Wszystko w swoim czasie.

— Nie chcę narażać naszych ludzi tylko po to...

— Narażać? — zdziwił się Jack. — Ja chcę tylko, żeby ten twój agent przewąchał sprawę, nie żeby się wychylał. Z notatek załączonych do jego meldunków zrozumiałem, że musi tylko zapytać, co tam nowego słychać. Jeśli w ich gronie, między kolegami, rozmawia się tak samo swobodnie jak u nas, chłopak naprawdę nie będzie się musiał narażać.

— Zgoda, ale wiesz, co chciałam powiedzieć. — Zastępczyni dyrektora CIA do spraw operacyjnych przetarła zmęczone oczy. Dzień dłużył się w nieskończoność. Poza tym Mary Pat naprawdę niepokoiła się o swoich podwładnych, wzorem każdego dobrego szefa. Matczyne instynkty Mary Pat Foley docenił niegdyś nawet Drugi Zarząd KGB.

Operacja DRZEWO SANDAŁOWE rozpoczęła się w sposób całkiem niewinny, o ile działalność siatki szpiegowskiej na obcym terytorium w ogóle może być czymś niewinnym. Poprzednią akcją na tym terenie CIA prowadziło wspólnie z FBI, a skutki okazały się wręcz opłakane. Japońska policja zatrzymała amerykańskiego obywatela nie dość że z walizką stanowiącą arsenał włamywacza, to jeszcze z paszportem dyplomatycznym w kieszeni. W takiej sytuacji status dyplomaty wcale nie ułatwia życia, przeciwnie. O sprawie zaczęły nawet pisać gazety, lecz na szczęście prasa nie bardzo rozumiała, o co chodzi w tej aferze. Ktoś sprzedawał informacje, ktoś inny je kupował, co w tym dziwnego? Owszem, na teczkach z papierami widniał napis „tajne”, wielka rzecz. Tak czy owak, amerykańskie interesy ucierpiały wówczas na tyle poważnie, że tym razem obowiązywała podwójna ostrożność.

— To ktoś dobry? — zapytał jeszcze Jack. Mary Pat rozchmurzyła się trochę.

— O, doskonały, urodzony do tego zawodu. Nauczył się wtapiać w tło, ponawiażywał masę znajomości, użytecznych kontaktów, i tak dalej. Pomogliśmy mu założyć firmę, mamy z niej nawet, zdaje się, jakieś dochody. Aha, i zabroniliśmy mu ryzykować, pamiętaj.

— Pamiętam, pamiętam. — Ryan także był już porządnie zmęczony. — Ale naprawdę dzieją się takie rzeczy...

— Wiem, Jack. Poza tym czytałam to, co przysłał Murray.

— I wierzysz, że to prawda? — zapytał Ryan, ciekawy reakcji Mary Pat.

— Pewnie, że wierzę. Murray tak samo. — Mary Pat Foley zawiesiła głos. — A jeśli dowiemy się czegoś więcej, to co wtedy?

— Wtedy pójdę ze sprawą do prezydenta. Może dojść do tego, że wyjmemy stamtąd wszystkie osoby, które są jeszcze do wyjęcia.

— Nie chcę! Nie chcę, żeby Nomuri ryzykował! — Mary Pat powiedziała to trochę zbyt głośno.

— O, rany, Mary Pat, a kto mówi, że masz chcieć? I nie krzycz, dobra? Ja też jestem zmęczony.

— I chcesz, żebym wysłała tam następną grupę, tak? Nomuri wystawi im tylko zwierzyne?

— Jak to zorganizujesz, twoja sprawa. Ja jestem od tego, żeby ci mówić, co masz zrobić, a nie, w jaki sposób. No, przestań się bocyć, MP!

Nagrodą za te słowa był nikły uśmiech i gest przeprosin.

— Nie gniewaj się, Jack. Ciągle zapominam, że jesteś nowy w tym budynku.

— Te paliwa mogą mieć różne zastosowania w przemyśle chemicznym — powoli tłumaczył

Amerikaninowi rosyjski pułkownik.

— Tak? No, to macie kupę szczęścia! — Amerikanin także był w randze pułkownika. — Bo my możemy nasze tylko spalić, i wytruć ludzi dymem, jeśli podejda za blisko.

Spaliny z ciekłych paliw raketowych to także nie wiosenny wietrzyk, lecz kiedy się nad tym zastanowić, naprawdę znalazłoby się dla nich parę zastosowań przemysłowych. Na razie jednak trzeba było opróżnić zbiorniki rakiety. Na oczach obu pułkowników technicy przeciągnęli gumowy wąż od zaworu przy kołnierzu wyrzutni (z dużymi literami PUSKATIEL) i podłączyli go do cysterny samochodowej. Ostatnia porcja czterotlenku azotu miała powędrować tą drogą do zakładów przeróbki utleniacza, inny wąż tłoczył już obojętny gaz do niższych zbiorników pocisku, wypychając żrące chemikalia na zewnątrz. Rakieta miała ścięty, tępy czub, gdyż głowicę zdemontowano. Amerykanie mogli sobie dokładnie obejrzyć miejsce, do którego wcześniej przymocowany był ładunek bojowy. Głowica jechała teraz na skrzyni ciężarówki, pod eskortą pięciu transporterów opancerzonych *BTR-70*, najpierw do magazynu, później do ostatecznego demontażu. Odzyskany z głowic pluton zakupiły na pniu Stany Zjednoczone. Zawarty w głowicach tryt miał pozostać w Rosji, zapewne z myślą o sprzedaży na wolnym rynku. Trytu używano nie tylko do produkcji bomb — także do powlekania świecących wskaźówek i tarcz instrumentów pomiarowych. Na giełdach płacono za gram trytu około 50 tysięcy dolarów, więc zanosilo się, że Rosjanie nie stracą na tej transakcji. Amerikanin domyślał się, że to dlatego rosyjscy koledzy tak się palą do demontażu.

Był to pierwszy demontowany pocisk SS-19 w całym, 53. Pułku Rakiet Strategicznych.

Podziemna wyrzutnia była zarazem podobna i zupełnie różna od wyrzutni amerykańskich. Betonowa studnia była w obu wypadkach taka sama, ale Rosjanie wybudowali swoją w głębi lasu, podczas gdy wszystkie wyrzutnie amerykańskie znajdowały się zawsze na otwartym terenie. Obie strony myślały, że tak będzie bezpieczniej. Za to klimat był mniej więcej podobny. W Północnej Dakocie mocniej dokuczał

wiatr, z racji otwartego terenu. W rosyjskiej bazie było z kolei zimniej.

Po dłuższym czasie technicy zakręcili zawór i zwinęli gumowy wąż. Cysterna ruszyła przez las.

— Mogę zerknąć? — zapytał amerykański pułkownik.

— A, proszę bardzo. — Pułkownik rosyjskich strategicznych wojsk raketowych machnął

przyzwalająco ręką w stronę otwartej wyrzutni. Ba, posunął się wręcz do tego, że podał Amerykaninowi wielką latarkę. A kiedy po chwili zobaczył minę inspektora z USA, szczerze i głośno zarechotał, Pułkownik Andrew Malcolm miał ochotę dać mu w pysk. Na dnie betonowej studni, w której stała rakietą, ujrzał w świetle latarki wielką kałużę wody, powleczonej warstewką lodu. Wywiad znów popełnił w swoich obliczeniach potworną pomyłkę. A z drugiej strony, któżby uwierzył takim wiadomościom?

— Mamy kogoś wspierać? — zapytał Ding.

— Ewentualnie. Ale skończy się chyba na tym, że zwiedzicie sobie Tokio i okolice. — Mary Pat Foley sama prawie uwierzyła własnym słowom.

— Może jednak mimo wszystko coś nam powiesz? — John Clark znał życie. Inna sprawa, że skoro wraz z Chavezem tworzyli jeden z najlepszych zespołów w całej Firmie, mogli winić tylko siebie za nadmiar atrakcji. Clark spojrział prędko na Chaveza. Ding przez ostatnich pięć lat zmienił się bardzo. Nie dość, że wydorósł, to jeszcze skończył studia i był teraz o krok od dyplomu. I to w jakiej dziedzinie!

Dyplom ze stosunków międzynarodowych, ni mniej, ni więcej. Gdyby wykładowcy dowiedzieli się przypadkiem, czym się zajmuje Ding po zajęciach, dostaliby pewnie zawału. Ale czy to wina Dinga, że w pojęciu kadry uniwersyteckiej stosunki międzynarodowe nie oznaczały bynajmniej gwałtów na co słabszych narodach? Chavez zastanawiał się nad tymi sprawami jeszcze w Afryce, aby umilić sobie nudne dni na pustyni, czytał zadany mu skrypt na zajęcia z historii. Oprócz historii i teorii Chavez musiał się jeszcze nauczyć ukrywania własnych uczuć, co nie przychodziło mu łatwo, zważywszy jego południowy temperament. Clark podejrzewał jednak, że część występów Dinga to zwykle popisy na użytek kolegów z ośrodka szkoleniowego. Jak w każdej organizacji, również w CIA pracownicy starali się zdobyć reputację osób, z którymi się trzeba liczyć. John Clark nie musiał się o to martwić, bo kiedy wspomniano go w rozmowach, zwykle czyniono to szeptem. Idioci wyobrażali sobie, że tym sposobem plotki i przezwiska nigdy nie dotrą do uszu Clarka. Ha, trudno się dziwić, że i Ding pragnął podobnej sławy.

— Co, zdjęcia? — spytał Ding i najspokojniej w świecie wyjął z ręki Pat Foley plik fotografii Sześć ujęć. Ding przyjrzał się im po kolei i podał zdjęcia zwierzchnikowi. Równym głosem, nie kryjąc jednak lekkiego obrzydzenia, zapytał zaraz:

— A kiedy ten Nomuri znajdzie kogo szukamy, razem z adresem i w ogóle, co wtedy?

— Wtedy wy dwaj będziecie się musieli skontaktować z dziewczyną i zapytać ją, czy nie chce darmowego biletu do domu — odparła wicedyrektorka CIA. Nie musiała dodawać, że w Stanach czekałaby dziewczynę długa seria przesłuchań. Tak się składa, że CIA nie funduje darmowych biletów.

— Kogo mamy udawać? — zapytał z kolei Clark.

— Jeszcze nad tym myślimy. Na razie nigdzie nie jedzicie, więc siedźcie tam i szlifujcie japoński.

— Tam, czyli w Monterey? — domyślił się Chavez. Ośrodek językowy w Monterey mieścił się w najpiękniejszym chyba zakątku Ameryki, a o tej porze roku było tam po prostu wspaniale.

— Posyłam was tam na dwa tygodnie. Japoński dniem i nocą. Odlatujecie dziś wieczorem.

Waszym nauczycielem będzie Rosjanin. Oleg Juriewicz Lialin. Skądinąd major KGB, to znaczy w czasach, kiedy jeszcze u nas nie pracował. Prowadził siatkę w Japonii, kryptonim OSET. To on dał nam cynk, żeby założyć podsłuchy w samolocie, w Meksyku. Wtedy, kiedyście z Chavezem...

— Ho, ho! — Ding aż pod skoczył. — Marnie by wtedy było bez tych jego informacji... Mary Pat Foley przytaknęła, ucieszona faktem, że jej młody adept tak szybko skojarzył oderwane fakty.

— Właśnie. Lialin ma teraz miły domek nad samym morzem. Poza tym okazał się fantastycznym instruktorem japońskiego. Kto wie, może z tej przyczyny, że sam musiał go wykuć.

Lialin okazał się dla CIA nader korzystnym nabytkiem, bo kiedy już wyciągnięto z niego wszystkie potrzebne informacje, skierowano go do ośrodka językowego sił zbrojnych USA w Monterey, gdzie pensję płacił mu Pentagon, nie biuro w Langley.

— No, więc jedźcie. Zanim się nauczycie, jak się zamawia obiad i pyta, gdzie tu można siusiu, znajdziemy już dla was jakąś dobrą przykrywkę.

Clark odwzajemnił uśmiech i wstał, świadomy że rozmowa skończona.

— Do roboty!

— I znów bronimy Ameryki. — Ding odłożył zdjęcia na biurko i roześmiał się, pewien że heroiczne czasy oblężenia to już odległa przeszłość. Clark także miał ochotę roześmiać się z dowcipu, lecz w porę przypomniał sobie coś, co sprawiło, że uśmiech zniknął z jego twarzy jak zdmuchnięty.

Trudno było obwiniać Indie o złą wolę, skoro wszystkiemu winne były warunki naturalne. Kraj czterokrotnie bardziej ludny od USA był zarazem trzy razy mniejszy od Stanów Zjednoczonych. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba to w jakiś sposób zmienić. Coraz liczniejsza ludność domagała się miejsc pracy, towarów w sklepach, słowem tego wszystkiego, co przypada w udziale reszcie świata.

Z

telewizorów, wszechobecnych nawet tam, gdzie panowało głębokie bezrobocie, Hindusi dowiadywali się, że można żyć inaczej, a co za tym idzie, domagali się zmian u siebie. Mechanizm był prosty: nie odmawia się życzeniom dziewięciuset milionów ludzi.

Zwłaszcza, gdy należy się samemu do tej liczby. Wiceadmirał V. K. Czandraskatta rozmyślał nad całą tą sytuacją, siedząc w skórzanym fotelu, na mostku flagowego okrętu, lotniskowca „Viraat”.

Rozpoczynając służbę, admirał poprzysiągł wypełniać rozkazy rządu, owszem, lecz przysięgał też służyć indyjskim ludom. Ludom, których przedstawiciele miał w tej chwili wokół siebie, w osobach oficerów i podoficerów pokładowych. Cała ta gromada okrętowych sygnalistów i bosmanmatów porzuciła zwyczajne życie na kontynentalnym półwyspie i przystąpiła do morskiej służby, w dodatku mocno się do niej przykładając — i nic dziwnego, skoro nawet mizerny żołd w indyjskiej marynarce był fortuną w porównaniu z przeciętną płacą w kraju, w którym bezrobocie sięga 20, a gdzie indziej i 25 procent.

Nawet osiągnięcie samowystarczalności w produkcji żywności zabrało Indiom, zaraz... Równo ćwierć wieku. W dodatku kraj zawdzięczał to w dużej części dobroczynnym datkom w postaci zachodnich wynalazków agrotechnicznych, które zapewniały wprawdzie obfitość lecz drażniły zarazem ludzi, złych, że ich ojczyzna, choć starodawna i pełna uczonych głów, musi się aż tak dalece zdawać na innych. W

takich warunkach nawet wdzięczność może stać się zadrą na duszy narodu.

A poza tym, co dalej? Na całe szczęście indyjska gospodarka wydawała się łapać drugi oddech.

Co z tego, skoro równocześnie kraj osiągał granice rozwoju. Indiom potrzebne były nowe źródła surowców, a przede wszystkim nowa przestrzeń życiowa. Tylko gdzie jej szukać? Na północy góry, najwyższe i najdziksze na świecie. Od wschodu kraj graniczył z Bangladeszem, państwem jeszcze bardziej gnębionym przez los, niż same Indie. Od zachodu czyhał przeludniony Pakistan, z którym Hindusi stoczyli niejedną wojnę religijną. Każdy konflikt z muzułmańskim Pakistanem groził w dodatku odcięciem Indii od dostaw arabskiej ropy naftowej.

Admirał musiał więc uznać, że jego ojczyzna ma straszliwego pecha. Na razie Czandraskatta mógł na pocieszenie podnieść do oczu morską lornetę i zlustrować swoją eskadrę. Trzeba działać, bo w przeciwnym razie kraj czeka stagnacja, martwy zastój. Trzeba szukać nowych dróg ekspansji... Czyli podboju. Tylko jak, skoro „nowy porządek światowy”, o którym wciąż się teraz słyszało, nie pozwalał

Indiom na jakikolwiek krok w tym kierunku. Szlak ku wielkości i potędze zagradzały Indiom te same kraje, które w wyścigu między sobą odsądziły się daleko od reszty świata. Czy pozwolą teraz reszcie się doścignąć? Gdzie tam.

Czandraskatta nie musiał daleko szukać, by znaleźć dowody takiego stanu rzeczy. Hinduska marynarka należała do najpotężniejszych na świecie, a jej wyposażenie kosztowało kraj mnóstwo ogromnych wyrzeczeń. Indyjskie okręty przemierzały jeden z siedmiu oceanów Ziemi, ten nazwany imieniem ich państwa... I co z tego, skoro całą armadę trzymała w szachu jedna zwykła grupa

lotniskowca Marynarki USA? Świadomość własnej drugoplanowej roli bolała chyba najbardziej ze wszystkiego. Cokolwiek się chciało uczynić, najpierw trzeba było grzecznie poprosić Amerykę o pozwolenie. Amerykę, kraj, którego historia liczyła sobie raptem dwa stulecia? Tak, właśnie. Amerykę, noworysza, który nie musiał nigdy walczyć z Aleksandrem Macedońskim ani z chanami Mongolii. Kiedy Europejczycy trafili przez zupełny przypadek na Amerykę, nie szukali żadnej Ameryki — szukali drogi morskiej do Indii.

Na mostku tymczasem kipiało.

— Namiar radarowy, pozycja sto trzydzieści pięć, odległość sto czterdzieści mil — zameldował podoficer radiolokacji przez głośnik. — Idzie w naszą stronę, prędkość osiemset kilometrów na godzinę.

Admirał wzrokiem odszukał oficera operacyjnego i skinął głową. Komandor Mehta natychmiast złapał za słuchawkę telefonu wewnętrznego. Eskadra znajdowała się daleko od cywilnych tras morskich i korytarzy powietrznych, a poza tym z radarowych danych wynikało jasno, co ukrywa się za nowym namiarem: czwórka amerykańskich myśliwców morskich *F-18E Hornet* operujących z pokładu któregoś z lotniskowców za południowo-wschodnim skrajem horyzontu. Jankesi nękali indyjską grupę dzień w dzień, rano i po południu, a czasami nawet w środku nocy, wszystko po to, by uzmysłwić rywalom, że amerykańska flota zna ich pozycję. Hinduski admirał natomiast nie wiedział o Amerykanach prawie nic.

Jankesi także zdawali sobie z tego sprawę.

Kilka minut później z pokładu doleciał świst zapuszczanych silników odrzutowych. Dwa *Harriery* podnosiły się pionowo w powietrze. Dobre samoloty, i z tego samego powodu kosztowne. Co z tego, skoro nie mogły się mierzyć z nadlatującymi maszynami amerykańskimi. Admirał wypuszczał dziś w powietrze cztery maszyny, po dwie z „Viraata” i z „Vikranta”. Miały za zadanie przechwycić Amerykanów. Podczas takich spotkań piloci z dwóch flot machali do siebie przyjaźnie, lecz obie strony nie bardzo wierzyły w tę przyjaźń.

— A gdyby tak uaktywnić nasz system przeciwlotniczy? Dalibyśmy im do zrozumienia, że mamy dosyć tych podchodów... — zaproponował cicho komandor Mehta. Admirał tylko się skrzywił.

— Jeszcze czego. Na razie nie wiedzą prawie nic o naszych radarach, więc nie dostarczajmy im tych informacji na ochotnika.

Hinduska marynarka trzymała w tajemnicy dokładne dane na temat częstotliwości i szerokości pasma własnych radarów, a amerykański wywiad najwidoczniej nie zadał sobie nigdy trudu, żeby wykraść te informacje. Mogło to oznaczać, że Amerykanie nie będą w stanie zagłuszyć ani oszukać radiolokatorów eskadry — w teorii, bo przy sprzęcie, jakim dysponowały siły morskie USA, rywalizacja była nierówna także i pod tym względem. Brak informacji wprowadzał jednak do gry dodatkowy czynnik niepewności, a przy tym jedyne atuty Czandraskatty. Zamiast się denerwować, admirał spokojnie popijał herbatę. Każdy sposób jest dobry, by zaimponować podwładnym zimną krwią.

— Zachowamy się jak zwykle. Wylecimy im na spotkanie, przywitamy się jak starzy znajomi, i tyle.

Mehta zsalutował i bez słowa wyszedł, próbując nie okazać po sobie wściekłości. Jako główny oficer operacyjny eskadry musiał znaleźć sposób, w jaki w razie potrzeby dałoby się pokonać Amerykanów w starciu na morzu. Fakt, że zadanie takie było niemożliwe, nie zwalniał Mehty z obowiązku wykonania go co do joty. Nic dziwnego, że Mehta zaczynał mieć już tego wszystkiego serdecznie dosyć. Czandraskatta odstawił filiżankę i odwrócił się ku *Harrierom*, startującym właśnie z pokładu.

— Jak tam nastroje wśród pilotów? — zwrócił się do szefa operacji powietrznych.

— Trochę są już zmęczeni, ale latają bez zarzutu — odpowiedział z dumą oficer. Piloci z hinduskiego lotniskowca byli rzeczywiście świetni. Admirał często przysiadał się do nich w okrętowej mesie i przysłuchiwał się odprawom. W pojedynku powietrznym piloci indyjskich myśliwców mogli śmiało iść w zawody z lotnikami dowolnych Sił Powietrznych świata. Co więcej, mieli ogromną ochotę pokazać całemu światu, co potrafią.

Co z tego, skoro w całej indyjskiej marynarce były tylko 43 myśliwce *Harrier FRS 51*. Na pokładach „Viraata” i „Vikranta” znajdowało się ich w sumie trzydzieści, dwa razy mniej, niż maszyn na pokładzie jednego lotniskowca floty USA. A dlaczego? Dlatego, że Amerykanie pierwsi przystąpili do wyścigu, a kiedy w nim zwyciężyli, natychmiast ogłosili, że zawody skończone. Żadnej konkurencji.

Słuchając radiowych meldunków swych pilotów, Czandraskatta powtarzał sobie, że wszystko to jest jedną wielką niesprawiedliwością. Tak nie można.

— Zgoda, ale co z tego? Co mi chcesz powiedzieć? — Jack nadal nie rozumiał.

— Chcę powiedzieć, że nas nabili w butelkę — wyjaśnił mu Robby. — Te ich pociski były takie, że co chwila trzeba je było przeglądać, konserwować, i tak dalej. A tu, proszę: okazuje się, że przez ostatnich parę lat nikt nawet nie zajrzał do silosów. Andy Malcolm dzwonił do mnie po południu. Przez satelitę, a jakże, miał w kieszeni telefon komórkowy. Na dnie szybu, który dzisiaj oglądał, było pełno wody.

— Co to znaczy?

— Ciągłe zapominam, że się chowałeś pod kloszem. — Robby uśmiechnął się niepewnie, a może tylko powściągliwie, wiedząc z góry, że to, co powie, zrani Ryana.

— Posłuchaj, Jack. Jeśli wydrążysz w ziemi studnię, prędzej czy później nabiera się w niej woda, tak? Zgoda, więc skoro chcesz w tej studni trzymać coś cennego, na przykład pocisk strategiczny, musisz tam zamontować pompy. Woda na dnie wyrzutni oznacza, że tamci dawno przestali sobie zawracać głowę konserwacją. A woda z kolei oznacza wilgoć i parowanie. I korozję.

W głowie Jacka nareszcie zaświtał straszny domysł.

— Więc mówisz, że te rakiety...

— Założę się, że nawet gdybyś się zesrał, i tak by nie wystartowały. Takie pociski są bardzo wrażliwe na korozję, a o naprawie na miejscu także nie ma mowy. Nie tylko ja tak myślę. Masz, czytaj —

Robby rzucił Ryanowi na biurko teczkę z dokumentami. — Tu masz opinię działu planowania.

— A szperacze? — Jack miał na myśli J-2. W Kolegium Szefów Sztabów za tym kryptonimem krył się wywiad wojskowy.

— Tamci? Ciągłe nie wierzą, ale sam się przekonasz, kiedy zajrzemy do następnych wyrzutni i znów zobaczymy to samo, w końcu uwierzą. Co, pytasz o moje osobiste zdanie? — Admirał Jackson wzruszył ramionami. — Wydaje mi się, że skoro Iwan pokazał nam, jak sprawy stoją, dotyczy to wszystkich rakiet, czy większości. Widać jasno, że mają to gdzieś.

Informacje wywiadowcze docierają z nader różnych źródeł. Wiedza, jaką dysponował stary praktyk w osobie Jacksona, była tym cenniejsza, że w odróżnieniu od zawodowych pracowników wywiadu, admirał interesował się obcą bronią jako praktyk i wiedział, jak ogromna przepaść dzieli wygląd poszczególnych egzemplarzy od ich przydatności.

— A pamiętasz czasy, kiedy myśleliśmy że każdy ruski żołnierz ma trzy metry wzrostu?

— Sam tak nigdy nie myślałem. Co tam wzrost, byle kurdupel, jak mu dasz karabin, może narobić w tobie dziurek — przypomniał przyjacielowi Robby. — To co, ile z nas wycyckali tym sposobem?

— Pięć kawałków.

— Nareszcie wiemy, na co idą ciężko zarobione pieniądze podatników. Zapłaciliśmy Ruskom okrągłe pięć miliardów dolarów za zdemontowanie rakiet, które inaczej i tak siedziałyby pod ziemią do usranej śmierci. Pyszny pomysł, doktorze Ryan.

— Bob, oni naprawdę potrzebują tych pieniędzy.

— A myślisz może, że ja nie potrzebuję? Wiesz, jak się muszę nagłówkować, żeby w ogóle pozwolić chłopakom trochę polatać? Myślisz, że paliwo mam za darmo?

— Nawet w Waszyngtonie nie wszyscy rozumieli, że amerykańskie okręty i bataliony czołgów także mają swoje budżety. Dowódcy otrzymywali wprawdzie wszystkie materiały w naturze, nie za gotówkę, lecz zapasy, jakimi dysponowali, nie były nieograniczone. — Jack, my już naprawdę gonimy na resztkach.

— Jak chcesz, Rob, to zaraz mu to powiem. Samemu przewodniczącemu Kolegium Szefów Sztabów, natychmiast...



— Powiem ci w zaufaniu, Jack, że ze wszystkich kampanii szef zna się tylko na tych wyborczych.

Aha, tylko czasem mu nie powtarzaj, że tak myślę, bo będziesz sobie musiał szukać innego instruktora do golfa.

— To ile warto zapłacić Rosjanom za to, żeby się wycofali z gry? — Ryan próbował innego sposobu, by ułagodzić Jacksona.

— Ile warto? Na pewno nie warto płacić kosztem aż takich redukcji naszych sił. Nie wiem, ale może jednak sam już zauważyłeś, jak zredukowaliśmy Marynarkę? Mam 40 procent mniej jednostek niż kiedyś, a oceany wcale się nie skurczyły, nie myśl sobie. Wojska lądowe mają się trochę lepiej, to fakt, ale lotnictwo już nie. Piechota Morska też dostaje ochłapy, chociaż to właśnie oni muszą gasić pożary, kiedy paniczkom z Departamentu Stanu znowu się udaje coś sknocić.

— Nie do mnie ta mowa, Rob.

— A właśnie, że do ciebie, Jack. Ty też nie rozumiesz, ile kosztuje nasz personel. Im mniej okrętów, tym dłuższe rejsy, a co za tym idzie, większe koszty. Znowu się porobiło jak w latach siedemdziesiątych: ludzie zaczynają uciekać z Marynarki, bo co to za życie? Trudno zniknąć na cały rok z domu, zostawiać żonę, dzieci... W lotnictwie mówią na takie sytuacje, że to przepustka do trumny. Kiedy tracisz doświadczonych ludzi, na ich miejsce przychodzą gówniarze. Musisz ich doszkolić, więc przy okazji od razu rosną koszty, a gotowość bojowa leci w dół, czy chcesz, czy nie chcesz.

— Daj mi coś powiedzieć, Rob! Kilka dni temu sam wygłaszałem identyczną mowę jak ta twoja w drugim skrzydle tego budynku. Próbuję ci pomóc, naprawdę się staram. — Jack mówił to tonem doświadczonego wygi politycznego, tak jak Jackson wypowiadał się niczym doświadczony admirał. Nie uszło to uwagi ich obu.

— Zaczęliśmy gadać jak dwa stare pierniki.

— Fakt, że minęło parę ładnych lat, odkąd pływaliśmy razem... — Ryan zniżył głos prawie do szeptu. — Pamiętasz? Ja uczyłem historii, a ty modliłeś się co wieczór, żeby ci się wyleczyła noga...

— Coś za mało było tych modłów. Mam artretyzm kolan — wyjawiał Robby. — Za trzy kwartały czekają mnie badania okresowe. Zgadnij, co to znaczy.

— Że cię uziemią?

— Jasne. Koniec z lataniem — przytaknął beznamiętnie Jackson. Jack wiedział jednak, jak bardzo musi przeżywać taką myśl ktoś, kto przez ponad dwadzieścia lat startował z lotniskowców. Tak fajnie szło, a tu nagle... Starość. Siwiznę we włosach można zwalić na karb genów, ale negatywny wynik badań oznaczał tylko jedno: trzeba będzie odnieść ciśnieniowy kombinezon do szafki, powiesić hełm na haku i przyznać się przed samym sobą, że to koniec. Całe wymarzone dorosłe życie, życie pilota, skończone.

Jeszcze gorsze było wspomnienie uwag, które Jackson wygłaszał jako świeżo upieczony pilot na temat starszych oficerów, mamutów, dinozaurów... Boli, kiedy nagle trzeba samemu zostać mamutem.

— Pomyśl, Rob, ilu znalazłeś gości, którym nie było dane dowodzić choćby dywizjonem. Dosługują się komandora, wychodzą ze służby po dwudziestu latach, jak Pan Bóg przykazał, i wożą nocną pocztę samolotami Federal Express.

— Powiedz mi jeszcze, że zarabiają lepszą forszę niż my.

— Robby, trujesz, jakbyś już zdążył sobie wybrać trumnę! — Uwaga Ryana przełamała przygnębienie Jacksona, który nareszcie podniósł głowę i uśmiechnął się niepewnie.

— Nie mogę tańczyć, to sobie chociaż popatrzę. Ale pamiętaj, stary: jeśli chcesz, żeby się nam udały te wszystkie sztuczki, które zaplanowałem, należy się nam pomoc z tej strony Potomaku. Mike Dubro to taki zręczny facet, że umiałby w locie złapać komara za jaja, ale on sam nie zrobi wszystkiego.

Jego ludzie też nie. Rozumiemy się?

— Owszem, mości admirale. Ale obiecać mogę na razie tylko tyle: kiedy będą szukali nowego dowódcy grupy lotniskowcowej, będziesz pierwszy w kolejce.

Obietnica była z tych pisanych na wodzie, ale na razie Ryan i Jackson nie mogli działać nic więcej.

Przesłuchiwana była piątą osobą z listy. To, co przy okazji wyszło na jaw, naprawdę niepokoiło Murraya. Sporo przesłuchiowanych kobiet wyznało natychmiast, część ze wstydem, część zupełnie beznamytnie, a część wręcz ze śmiechem, że zgodziły się pójść do łóżka z Edem Kealtym. Ważniejsze było jednak to, że pięć kobiet z listy zostało do tego w ten czy inny sposób zmuszonych. U piątej przesłuchiwanej dodatkowym czynnikiem okazały się narkotyki. Kobieta nie mogła się pogodzić ze świadomością, że dała się tak oszukać, ale myliła się sądząc, że tylko ją dotknął ten los.

— I jak tam? — zapytał Bill Shaw, który pod koniec dnia sam także słał się na nogach.

— Mamy wszystkie dowody w ręku. Proszę, tu masz nazwiska pięciu ofiar. Cztery żyją i mogą zeznawać. W dwóch przypadkach każdy sąd uzna okoliczności za klasyczny gwałt. Aha, nie wliczam nawet sprawy Lisy Beringer. W dwóch kolejnych przypadkach dochodzi używanie narkotyków na terenie instytucji rządowej. Zeznania zgadzają się słowo w słowo. Taka sama rozmowa, taka sama butelka z koniakiem, no, wszystko.

— Jak je oceniasz jako świadków? — zapytał jeszcze dyrektor FBI.

— Nie znajdziesz lepszych, zwłaszcza przy takiej sprawie. Chyba już pora coś z tym zrobić —

dodał Murray. Shaw przytaknął na znak zgody, bo nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie da się w nieskończoność utrzymywać śledztwa w tajemnicy. Niektóre spośród przesłuchiowanych

osób łatwo się domyślają, że sprawa musi mieć szerszy zasięg, niektóre poczuwają się mimo wszystko do tego, by ostrzec osobę, w której sprawie prowadzi się śledztwo, niektóre chcą po prostu skorzystać na tym i zaskarbić sobie wdzięczność oskarżonego. Wiceprezydent mógł być pospolitym przestępcą, ale nie przestawał przez to dysponować sporą władzą i potrafił się odwdziaczyć za każdą przysługę. Kto wie, czy dawniejszymi czasy FBI w ogóle udałoby się ruszyć śledztwo z miejsca. Zdarzało się przecież, że jedna cicha przestroga ze strony prezydenta kraju albo prokuratora generalnego zamykała wszystkim usta. Po co śledztwo, czy nie lepiej załatwić sprawę między sobą, jak dżentelmeni? Na szczęście tym razem FBI działało za pełną wiedzą i zgodą prezydenta, prokuratura generalna współpracowała aż miło, a i waszyngtońska atmosfera była zupełnie inna niż dawniej.

— To załatw z przewodniczącym komisji, żebyśmy mogli...

— I co jeszcze? — powstrzymał przełożonego Murray. — Może od razu urządzimy konferencję prasową i przedstawimy po kolei cały materiał dowodowy? Wyjdzie na to samo.

Zgryźliwość agenta była uzasadniona o tyle, że z chwilą, gdy politycy poznają materiał

dowodowy — w tym przypadku sprawę trzeba było przedstawić przewodniczącemu kongresowej komisji wymiaru sprawiedliwości — przecieki do prasy stawały się nieuniknione. Murray i jego ludzie mogli zdziałać tylko tyle, że przedstawiając sprawę późno po południu, nie dawali pola do popisu porannym gazetom. FBI narażało się na gniew redaktorów naczelnych „The York Times” i „Washington Post”, ale trudno. Śledztwo dotyczyło sprawy kryminalnej, nie cywilnej, więc wszystko, co się z nim wiązało, było poufne. Do chwili rozpoczęcia procesu FBI miało obowiązek chronić oskarżonego jeszcze staranniejsze niż wszystkie jego ofiary. I żadnych przecieków do prasy.

— Urządzimy spotkanie u nas — podjął decyzję Bili Shaw. — Poproszę prokuratora generalnego, żeby sam zadzwonił do komisji i ustalił z przewodniczącym datę. Może przez ten czas uda się utrzymać sprawę w tajemnicy, nie wiem. Aha, no więc co ci dokładnie powiedział prezydent?

— Nie chował głowy w piasek, to na pewno — ocenił postawę Durlinga zastępca wicedyrektora FBI. — A co powiedział? „Przestępstwo jest przestępstwem,” dokładnie tak się wyraził. I kazał nam nie puszczać pary z gęby, na ile to tylko możliwe. Dokładnie, jak się spodziewałeś.

— I słusznie. Będę mu osobiście meldował o postępach.

Nomuri swoim obyczajem od razu przystąpił do zadania. Dzisiejszego popołudnia jak zwykle spotkał w łaźni swoją gromadkę zaprzyjaźnionych urzędników. Pomyśleć, że inni agenci muszą się czołgać w błocie, a tu, proszę, siedzi sobie człowiek w wielkiej drewnianej balii, i jeszcze mu za to płacą.

Co ważniejsze, nie trzeba się wcale pocić nad wyciąganiem z ludzi informacji. Zastępowała w tym Nomuriego wielka butla sake, która do połowy opróżniona stała na samej krawędzi drewnianej niecki.

— Po coście mi mówili o tej okrągłookiej. Wiecie, której... — bąknął Nomuri nie odmykając oczu. Całym ciałem chłonał pulsowanie gorącej wody. Przy tej temperaturze woda obniżała ciśnienie krwi

i wyzwalala swego rodzaju euforie, leciutki rausz, od ktorego rozwiazaly sie jazyki. Do tego dochodzil jeszcze efekty alkoholu. Nie jest tajemnica, ze wielu Japoneczykow dzieli z reszta Azjatow swoista skaze genetyczna, ktora polega na niskiej odpornosci na alkohol. Lekarze nazywaja ten stan „patologiczna intoksykacja”, choc laicy wolaja mowic o slabej glowie. Brak tolerancji na alkohol ma przyczynę w niedostatku pewnej grupy enzymow. Juz pare łyków wystarczy, by pijacy ululal sie do reszty. Na swoje szczescie Nomuri mial wszystkie geny na miejscu.

— A czemu ci to przeszkadza? — zapytal od drugiego skraju niecki Kazuo Taoka.

— Jak to czemu? Temu, ze teraz ciagle tylko myslę o tej bialej wiedźmie! — odparl Nomuri dobrodusznym tonem. Zaleta lazni bylo to, ze z miejsca bylo sie tu z wszystkimi za pan brat. Męczyzna, ktory tkwil w wodzie zaraz obok agenta, porozumiewawczo potarl sie w ciemnie. Inni poszli za jego przykladem.

— I co, chcialbys sie pewno dowiedziec, co bylo dalej?

Nomuri nie musial sie odwracac, by wiedziec, kto wypowiedzial te slowa. Wszyscy nachylili sie blizej, by niczego nie uronic.

— Takiś ciekawy? — ciagnal głos. — A przeciez naprawde miales racje. Biale maja za duze stopy i za duze biusty, i nie maja pojecia o dobrych manierach... Fakt, ze tego i owego da sie je nauczyc.

— Drażnisz sie z nami, tak? — Ktoryś ze sluchaczy udawal zagniewanego.

— Tak wam pilno? A napiecie dramatyczne? Wszyscy kapiacy sie zarechotali.

— Prawda, prawda. Biale maja za duze biusty. Marna to uroda, ale trudno, w zyciu trzeba sie czasem poswiecic. Co tu zreszta kryc, widzialem juz gorsze kalectwa niz za duzy biust...

Nomuri podziwial gawędziarski talent kompana z lazni. Prawdziwy z niego bajkopisarz. Nie przerwal nawet wtedy, gdy z kolejnej butelki wyskoczyl korek, a jeden z męczyzn napełnil porcelanowe kubeczki. Przepisy zabraniały picia alkoholu na terenie lazni, lecz nawet słynaca z przestrzegania prawa Japonia czynila tutaj wyjatke. Nomuri siegnal po kubeczek i, nie odmykajac oczu, sluchal opowieści. W

jego myslach nabieral juz ksztaltu rysopis dziewczyny, rzeczywiscie odpowiadajacy zdjeciu i szczegolom, jakie przekazano mu rano w pociagu. Na razie Nomuri nie mial calkowitej pewnosci, bo podobnie mogly wygladac tysiace bialych dziewczyn. A w ogole, to nie bylo sie czym przejmowac: jezeli ktos szuka szczescia w taki sposob, jak Amerykanka z opowieści, nie ma rady, musi ryzykowac. Jezeli uda jej sie pomoc, fajnie, a jezeli sie nie uda, wtedy trudno. Nowe zlecenie dziwnie odbiegalo od dotychczasowych zadan z centrali, ale przy okazji pomagalo agentowi zdobyc zaufanie kompanow z lazni. Moze uda sie dzieki temu wyciagnac z nich jeszcze naprawde wazne informacje?

— Nie mamy wyjścia! — mowil tymczasem inny Japoneczyk w kolejnej lazni, skadinad podobnej do pierwszej i niezbyt od niej odleglej. — Bez was nie damy sobie rady.

Piątka słuchaczy nawet się nie zdziwiła. W tej chwili chodziło już tylko o to, który z nich pójdzie na dno jako pierwszy. Los zechciał, że wypadło akurat na człowieka, który prosił o pomoc. Nie umniejszało to jego hańby, bo nie da się prosić o wsparcie bez jednoczesnej utraty twarzy. Pozostali współczuli mu, lecz nie okazywali tego najmniejszym gestem. Nie tylko zresztą współczuli: bali się tak samo jak on. Skoro katastrofa dotknęła pierwszego spośród nich, następne kataklizmy były już tylko kwestią czasu. Tylko kto następny?

Zwykło się uważać, że inwestowanie w nieruchomości pociąga za sobą najmniejsze ryzyko ze wszystkich. Nieruchomości da się dotknąć, obmierzyć, zabudować, pokazać innym. Japonia miała niewielkie terytorium i chociaż bez przerwy starano się tu wydrzeć morzu nowe kawałki pod zabudowę czy pasy startowe lotnisk, ogólna zasada obowiązywała tu w dwojnasób: przy tak ograniczonej podaży każda transakcja kupna gruntów musiała się opłacić. Ceny mogły iść wyłącznie w górę.

Ogólną zasadę wypaczały jednak w Japonii specyficzne warunki lokalne. Politykę gospodarowania ziemią stawiało na głowie potężne ugrupowanie rolników, cieszących się specjalnymi prawami i dysponujących własnymi grupami nacisku. Nic dziwnego, że często można tu było oglądać warzywne poletka w samym środku gęstej, podmiejskiej zabudowy. Cała Japonia miała mniej więcej taką samą powierzchnię, co Kalifornia. Co gorsza, pod uprawę nadawała się tylko niewielka część jej powierzchni — ta sama część, która nadawała się zarazem najlepiej pod zabudowę. Skutkiem tego wszystkiego większa część ludności kraju mieszkała stłoczona w kilku olbrzymich aglomeracjach miejskich, gdzie ceny mieszkań były wręcz niebotyczne. Ceny lokali tylko w Tokio miały większą wartość niż cała ziemia na terenie kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych. Wszyscy godzili się z tym absurdalnym stanem rzeczy i brali go za najnaturalniejszy w świecie, choć rynek japońskich nieruchomości był taką samą fikcją jak niebotyczne ceny tulipanów podczas siedemnastowiecznego szaleństwa, jakie dotknęło na tym punkcie Holandię.

Znów jednak, tak samo jak w Ameryce, japońska gospodarka opierała się głównie na ludzkiej wierze, że wszystko dzieje się normalnie. Wierzono w to już od dwóch pokoleń, dzięki czemu oszczędni Japończycy byli skłonni odkładać sporą część zarobków na kontach oszczędnościowych. Wkładami dysponowały oczywiście banki, a ponieważ kwoty były olbrzymie, japońscy finansiści mogli hojną ręką udzielać pożyczek, i to na niewielki procent, bo kapitału było pod dostatkiem. Korzystając z niskiego oprocentowania, firmy inwestycyjne kupowały ziemię i budowały na niej, choć w każdym innym kraju przy tych cenach musiałyby dawno zbankrutować. A ponieważ wszystko opierało się na ludzkiej wierze, cały proces pociągał za sobą niebezpieczne konsekwencje. Nieruchomości o sztucznie zawyżonych cenach oddawano z kolei pod zastaw hipoteczny, biorąc na tej podstawie następne pożyczki i inwestując w papiery wartościowe. Skądinąd przewidujący i inteligentni japońscy biznesmeni z biegiem czasu zbudowali więc sobie wielki domek z kart, wspierany przekonaniem, że działki budowlane na obszarze Tokio są razem wzięte więcej warte niż cała Ameryka od Bostonu po San Diego. Nic dziwnego, że japońscy nabywcy uważali nowe amerykańskie posiadłości za bajecznie tanie, przynajmniej wtedy, gdy wchodzili w ich posiadanie.

Zimny prysznic przyniósł ze sobą dopiero początek lat dziewięćdziesiątych. Najpierw zachwiała się japońska giełda, przez co skurczyły się z miejsca zyski inwestorów. Aby pokryć straty z tego tytułu,

część finansistów zaczęła dochodzić do wniosku, że warto by sprzedać część posiadanych gruntów i nieruchomości. Natychmiast też dotarło do wszystkich, że przy takiej podaży nikt nie będzie miał ochoty płacić ceny wywoławczej, jako hmm, powiedzmy, niezbyt realistycznej. W ofertach można było przecież przebierać teraz do woli. Pojedyncza karta, podtrzymująca całą resztę domku, odfrunęła na bok. Teraz wystarczył byle powiew wiatru, by wszystko runęło. Bonzowie przemysłu woleli na wszelki wypadek nie dopuszczać do siebie takich myśli.

Teraz jednak nie sposób już było robić dobrej miny.

Zebrani w łaźni mężczyźni znali się i współpracowali ze sobą od wieków. Kiedy Kozo Matsuda cichym głosem, lecz z godnością zwierzył się im ze swych kłopotów finansowych, wszyscy zdali sobie sprawę, co czai się na nich tuż za horyzontem najbliższej przyszłości. Obecni pośród nich bankierzy mogli, oczywiście, zaoferować Matsudzie pożyczkę, ale za godziwy procent, godziwy, czyli znacznie wyższy niż dawniej. Przemysłowcy mogli mu obiecać, że wstawią się za Matsuda u członków gabinetu rządowego, ale tu z kolei każdy nagły manewr dodatkowo pogrążał giełdę, na czym tracili wszyscy bez wyjątku. Zgoda, przyjaciołom pomaga się w biedzie, choć ratowani przyplacają to hańbą przez resztę życia. Matsuda mógł poza tym próbować po cichu, bez rozgłosu, wystawić na sprzedaż któryś ze swych niebotycznych biurowców, w nadziei, że ktoś zdecyduje się wyłożyć godziwą sumę. Słaba była to jednak nadzieja, zwłaszcza w czasach, kiedy żaden z obecnych sam nie zdecydowałby się na podobny zakup.

„Godziwe” czyli stare ceny przeradzały się w fikcję rodem z powieści Julesa Verne’a. Niepewnie czuli się nie tylko inwestorzy — także bankierzy zaczęli się trząść o pieniądze zdeponowane na ich kontach.

Kwoty, które i tak istniały tylko na papierze albo w pamięci komputerów, zaczynały znikać jak zaczarowane. Sytuacja była niewesoła i trzeba było jej w jakiś sposób zaradzić, tylko w jaki? Na razie wystarczyło pomóc Matsudzie, choć oczywiście nie za darmo. Na przykład wspomóc Matsudę pożyczką.

Zasadniczy problem polegał jednak na czymś jeszcze innym. Kolejne pożyczki tylko nakręcały niebezpieczną sytuację na rynku finansowym. Jeszcze chwila, a papierowy domek runie i pogrzebie cały kraj.

Szóstka mężczyzn zgodnie zapatrzyła się w wodę, byle tylko nie patrzeć sobie w oczy. Japońska tradycja zakazywała okazywania strachu, a przecież dziś każdy z nich czuł właśnie strach. Strach tym większy, że to przecież oni, finansiści, bankierzy i inwestorzy, zawinili nieszczęściu. To oni sprawowali feudalne rządy w konsorcjach przemysłowych, kierując się zasadą żelaznej ręki, jakiej nie powstydziliby się niegdyś sam J. P. Morgan. Ponieważ sprawowali władzę, przyzwyczaili się przy okazji do życia w luksusie. Wiedzieli zarazem, że jeśli się coś stanie, będą za wszystko odpowiadać własną głową. To oni, nie kto inny, podejmowali decyzje, a jeśli decyzje okazały się błędne, oznaczało to koniec. W japońskim społeczeństwie zawieść publiczne zaufanie oznaczało wydać na siebie wyrok śmierci.

— Yamata-san miał rację — odezwał się cichym głosem jeden z bankierów. — Nie potrzebnie mu się sprzeciwiałem.

Pozostali, zdumieni taką odwagą cywilną, przytaknęli zgodnie.

— *Ha!*

Kiedy zapadła cisza, któryś z nich dodał jeszcze:

— Tylko co dalej? Musimy się poradzić Yamaty.

Model okazał się takim przebojem, że zakłady musiały zacząć pracować na dwie zmiany. Fabrykę zbudowano wśród wzgórz stanu Kentucky. Wielka hala miała powierzchnię pięćdziesięciu hektarów pod jednym dachem. Wokół hali rozpościerały się parkingi, jeden dla samochodów załogi, a drugi dla gotowych wyrobów. Ten drugi parking wyposażono ponadto w rampę załadunkową dla ciężarówek i rampę kolejową.

Cresta stanowiła najnowszą ofertę na rynkach motoryzacyjnych USA i Japonii. Nowy model nazwano tak na cześć toru saneczkowego w szwajcarskim St. Moritz, tego samego, na którym podczas urlopu nieco podchmielony japoński dyrektor firmy, dla zakładu, zgodził się wsiąść na sanki. Jazda szła mu wspaniale, ale tylko do momentu, w którym Japończyk dotarł do słynnego Zakrętu Śmierci.

Oczywiście wyleciał z toru niczym kamień wypuszczony z procy, a przy lądowaniu pokiereszował sobie staw biodrowy. Już w szpitalu Japończyk uznał, że nazwa tak niebezpiecznego toru będzie świetnie pasować do modelu, który na razie znajdował się tylko w stadium projektów wstępnych.

Jak każdy wyrób japońskiej motoryzacji, Crestę zaprojektowano naprawdę po mistrzowsku. Wóz miał niewysoką cenę, przedni napęd, zrywny lecz oszczędny, czterocyldrowy silnik o szesnastu zaworach, a we wnętrzu mieściły się swobodnie dwie dorosłe osoby i trójka dzieci. Pismo „Motor-Trend”

z miejsca okrzyknęło Crestę „samochodem roku”. Odetchnął też japoński wytwórca, któremu od trzech lat kurczyła się sprzedaż, głównie z tej przyczyny, że zakłady w Detroit znów zaczęły być konkurencyjne wobec Japonii. Jako najpopularniejszy model dla młodych rodzin, Cresta sprzedawała się tak dobrze, iż choć produkcja trwała równocześnie w Japonii i w USA, ustawiano się po ten samochód w kolejce.

Amerykański zakład mieścił się o pięćdziesiąt kilometrów od Lexington w stanie Kentucky i był

jednym z najbardziej nowoczesnych na świecie. Załoga, choć nie zrzeszona, otrzymywała dokładnie takie same stawki, jak ich koledzy, którzy należeli do związków zawodowych UAW. Związkowcy raz i drugi próbowali wejść do zakładów, lecz za każdym razem dostawali od robotników w referendum mniej niż 40

procent głosów. UAW uznało to za przejaw oczywistej głupoty i machnęło ręką na całą sprawę.

Nowoczesna produkcja graniczy zwykle z bajką. Tak było i tutaj: z jednego końca do hali wjeżdżały kontenery z częściami, z drugiego wyjeżdżały gotowe auta. Niektóre z części produkowano nawet na miejscu, w Stanach Zjednoczonych, choć ich udział w produkcji był mniejszy, niżby sobie tego życzyły władze. Zimą, gdy zaczynało się rwać zaopatrzenie, nawet dyrektorzy wzdychali do pewnych

dostaw z innych stanów USA, bo sztormy na Pacyfiku opóźniały rejsy, a nawet jednodniowa zwłoka ograniczała posiadany zapas materiałów do minimum. Popyt na Cresty utrzymywał się tymczasem w dalszym ciągu, a nawet wzrastał. Kontenery z częściami docierały do Kentucky koleją z amerykańskich portów na obu wybrzeżach. Zapasy składano tuż obok linii produkcyjnej, zawsze w minimalnej ilości: tak było oszczędniej. Większość prac przy taśmie wykonywały roboty przemysłowe, lecz dotyczyło to przeważnie zajęć nudnych i jednostajnych. Poza tym nic nie zastąpi oczu i rozumu wykwalifikowanego robotnika. Dzięki znakomitej wydajności, jaką osiągnęły zakłady, Cresta mogła być tańsza od innych marek. Z kolei robotnicy nie musieli się martwić o brak zajęcia, a dzięki ciągłej pracy w nadgodzinach stali się pierwszą w tej części kraju grupą ludności, która nie musiała się martwić o jutro. Nic dziwnego, że amerykańska załoga pracowała co najmniej tak samo dobrze jak jej japoński odpowiednik po drugiej stronie Pacyfiku. Japoński nadzór zdawał sobie z tego sprawę i we wnioskach do dyrekcji pisał nawet, że Amerykanie wnoszą więcej ulepszeń niż ich koledzy spod Tokio. Tylko w tym roku robotnicy z taśmy zgłosili dziesięć wniosków racjonalizatorskich, które zaraz też wdrożono w zakładach dziesięć tysięcy kilometrów po drugiej stronie globu. Japońskim nadzorcom także zasmakowało życie po amerykańsku.

Już na samym początku oszołomiła ich wolna przestrzeń i niskie ceny, więc chociaż życie z dala od rodzinnego kraju miało swoje oczywiste wady, Japończycy prędko się przyzwyczaili. Po pewnym czasie nie mogli już sobie wyobrazić egzystencji bez sobotnich przyjęć, partyjek golfa z miejscowymi prawnikami, wypadów do McDonalda i zwykłej gościnności, z jaką się spotkali. Japońskie dzieci grały teraz z amerykańskimi kolegami w piłkę i baseball, a miejscowa stacja telewizji kablowej dodała do swej oferty łapaną z satelity tokijski program NHK, dzięki czemu dwieście nowo przybyłych rodzin mogło zapomnieć o oddaleniu od kraju. Japończycy pomagali rodzimej korporacji osiągnąć zyski, choć mizerne: Cresty produkowane pod Tokio były, jeśli chodzi o faktyczne koszty, znacznie droższe od amerykańskich.

Częściową przyczyną była niesłychana wydajność zakładów w Kentucky, po części zaś przyczyniał się do tego zwykający kurs jena wobec dolara. Zdecydowano się więc rozbudować zakład o sześćdziesiąt procent, dobudować kolejną halę i wprowadzić pracę na trzy zmiany. Wszystko to musiało się niekorzystnie odbić na kontroli jakości. Biorąc pod uwagę konkurencję z Detroit, Japończycy nie chcieli iść na takie ryzyko. Nie mieli jednak wyjścia.

Przy samym początku taśmy montażowej para robotników mocowała do klatek nadwozi zbiorniki paliwa. Pierwszy robotnik wyciągał kolejne zbiorniki z kartonów, w których przyjechały i układał je na wózku. Drugi robotnik podnosił zbiorniki z wózka i umieszczał je za pomocą plastikowych zatrząsków na właściwym miejscu. W ruch szły mechaniczne śruby i zgrzewarka, po czym nadwozie ruszało dalej, już z przymocowanym zbiornikiem paliwa.

Kobieta, która prowadziła magazyn części zauważyła, oczywiście, że kartony ze zbiornikami paliwa są wilgotne i rozmiękłe. Kiedy powąchała tekturę, wyczuła morską sól. Przy załadunku nie zamknięto dokładnie drzwi kontenera, w którym jechały zbiorniki. Całe szczęście, że przed wysyłką dokładnie zapieczętowano otwory w zbiornikach paliwa. Poza tym blacha była cynkowana i powlekana epoksydem, więc wilgotność nie powinna mieć znaczenia. Morska woda rozmoczyła tylko piętnaście czy dwadzieścia kartonów. Kobieta zastanawiała się nawet, czy powiedzieć o tym brygadziście, ale akurat nie było go w pobliżu. Sama też miała upoważnienie, by w razie konieczności zatrzymać linię



produkcyjną —

w bardziej tradycyjnych zakładach robotnicy mogli tylko robić swoje — ale ponieważ pracowała od niedawna, nie chciała tego robić bez konsultacji. Dłużej nie mogła się zresztą zastanawiać, bo musiała dostarczyć ludziom z produkcji kolejną partię części. Od taśmy ktoś gwizdał już, by się pośpieszyć.

Trudno, chyba nic się nie stanie, prawda? Pracownica magazynu umieściła kolejny zbiornik paliwa na przenośniku, a otwierając następny karton zapomniała o całym wydarzeniu. Nie domyślała się, oczywiście, że przed chwilą wydała wyrok śmierci na jedną, a po części nawet na trzy amerykańskie rodziny.

Dwie minuty później zbiornik paliwa przylegał już ściśle do blaszanego dna przyszłej Cresty.

Montowany samochód przesuwiał się od stanowiska do stanowiska w kierunku otwartych drzwi, niewidocznych z tej części hali. Nadwozie wzbogacało się o kolejne elementy, by wreszcie opuścić zakład jako jaskrawoczerwona Cresta zamówiona już przez rodzinę z miejscowości Greenville w stanie Tennessee. Kolor wymyśliła sobie żona kupującego, Candice Denton. Pani Denton urodziła właśnie trzecie dziecko, tym razem syna. By to uczcić, jej mąż, Pierce Denton, zdecydował się po raz pierwszy w życiu sprawić rodzinie nowiuteńki samochód. Do tej pory kupowali zawsze używane. Zakup nieomal przerastał ich możliwości finansowe, ale potrzeby rodziny były ważniejsze od długów. Coś się przecież wymyśli. Pierce Denton załatwił więc kredyt i zamówił Crestę. Następnego dnia samochód załadowano na naczepę ciężarową i odwieziono do punktu sprzedaży w Knoxville. Tego samego popołudnia Pierce Denton dowiedział się, że może się zgłosić po kluczyki.

Z odbiorem wozu trzeba było poczekać jeszcze dzień. Opóźnienie w dostawie wyniosło więc w sumie tydzień. Trudno, ludzie naprawdę zabijali się o nowe Cresty. Sprzedawca dokładnie sprawdził stan techniczny samochodu oraz zatroszczył się o rejestrację i ubezpieczenie. Już zupełnie gratis dorzucił do Cresty pełen zbiornik paliwa i tym sposobem przypieczętował los, na który złożyły się całe dziesiątki rozmaitych czynników.

# Katalizator

Szło im tym trudniej, że pracowali w nocy i nawet blask reflektorów — których były całe tuziny — nie wynagradzał braku tego, co słońce zsyła w dzień za darmo. Sztuczne oświetlenie powodowało, że wszędzie się roilo od dziwacznych cieni. Na domiar złego obsługa także rzucała cienie i co chwila rozglądała się w pomieszczeniu, sprawdzając, co się dzieje. A wszystko to ze szkodą dla zadania.

Każda z raket nośnych *SS-19/H-11* spoczywała w specjalnej osłonie. Plany konstrukcyjne osłony — zwanej kokonem — stanowiły nierozdzieloną część planów oryginalnego pocisku. Japończycy otrzymali rysunki kokonów trochę przypadkowo, bo skoro zapłacili za projekt samej rakiety, dostała im się reszta planów z szuflady. Zdaniem głównego inżyniera przypadek okazał się zbawienny: gdyby nie to, nikomu nie przyszłoby przecież do głowy domagać się takich drobiazgów.

Rosjanie zaprojektowali *SS-19* jako międzykontynentalny pocisk balistyczny o zastosowaniu ściśle wojskowym. Ze względu na specyfikę kraju, raketę obmyślono tak, by mogła ją bez przeszkód obsługiwać ekipa źle wyszkolonych, niezdarnych żołdatów z poboru, japoński inżynier dopatrywał się tu prawdziwego rosyjskiego geniuszu. Jego ziomkowie prześcigali się bądź co bądź w coraz to bardziej finezyjnych, technicznych subtelnościach, choć przecież przy tego rodzaju zastosowaniach jak obecne, brutalna siła ma większą rację bytu niż finezja. Rosjanie musieli stworzyć broń odporną na klimat i złą obsługę. Zbudowali więc wokół każdej rakiety kokon, pojemnik do transportu i ładowania, chroniący pociski przed uszkodzeniem. Dzięki takiemu rozwiązaniu robotnicy przy taśmie w zakładach raketowych mogli spokojnie umieścić w środku wszystkie potrzebne urządzenia, a całość zapakować i wysłać w pole, gdzie żołnierze podnosili pocisk i opuszczali go pionowo do studni podziemnej wyrzutni. Następnie trójka specjalistów podłączała do rakiety zasilanie i moduły telemetryczne. Zabieg przypominał prostotą ładowanie pocisku do lufy karabinu. Nikt nie wymyślił lepszego sposobu obsługi pocisków strategicznych dalekiego zasięgu: nawet Amerykanie, którzy skopiowali rosyjski system na użytek własnych raket *MX*

*Peacekeeper*, zlikwidowanych już co do jednej w myśl postanowień traktatów rozbrojeniowych. Dzięki kokonom można było przewozić pociski bez obawy, że uszkodzi się coś w ich wnętrzu. Kokon pełnił tę samą rolę, co chitynowy pancerz żuka i był niezbędny dlatego, że choć rakieta sprawiała wrażenie potężnej i groźnej, w rzeczywistości była niesłychanie delikatna i wiotka. Kokon posiadał specjalne zaczepy, pasujące do zaczepów w kołnierzu silosu wyrzutni. Zahaczało się go, podnosiło do pionu i opuszczało w głąb studni, a cały zabieg zabierał dziewięćdziesiąt minut. Tak przynajmniej głosił radziecki regulamin.

W tym przypadku obsadę wyrzutni stanowiło pięciu ludzi. Podłączyli oni trzy przewody elektryczne i cztery węże, dzięki którym utrzymywało się stałe ciśnienie w zbiornikach paliwa i utleniacza. Zbiorniki były na razie puste, a trzeba je było utrzymywać pod ciśnieniem, gdyż inaczej rakieta mogłaby się zgnieść jak bibułka. W oddalonym o sześćset metrów bunkrze dowodzenia, położonym na północno-wschodnim stoku doliny, trzyosobowa zmiana odnotowała, że systemy wewnętrzne rakiety „nakręciły się” dokładnie tak, jak to było przewidziane. Przewidywania przewidywaniami, a

przecież miło było stwierdzić, że wszystko gra. Obsada połączyła się zaraz telefonicznie z ludźmi z wyrzutni. Platforma kolejowa odjechała na bocznice, a przetokowa diesłowska lokomotywka poczłapała po następny pocisk. Tej nocy w wyrzutniach miała się znaleźć jeszcze jedna rakietka, a każdej z kolejnych czterech nocy jeszcze po dwie. W sumie dziesięć pocisków w dziesięciu podziemnych studniach. Ludzie z nadzoru technicznego nie mogli się nadziwić, że wszystko idzie tak gładko — choć z drugiej strony zdziwienie także było tu nie na miejscu. Zadanie było bądź co bądź

dziecinnie proste. Inna sprawa, że dzięki tym paru prostym czynnościom, świat miał się wkrótce stać zupełnie innym miejscem niż dotąd. Dlatego aż dziwne było, że niebo nie zmieniło barwy, że ziemia nie zadrżała... Ale nie. Nic takiego się nie stało. Czy się martwić, czy cieszyć, że wszystko poszło tak zwyczajnie?

— Naszym zdaniem powinien pan przyjąć wobec nich twardsze stanowisko niż dotychczas —

orzekł Goto, gdy zatrzasnęły się drzwi i znalazł się sam na sam z premierem kraju.

— Ach, tak? A dlaczego? — Premier znał z góry odpowiedź.

— Dlatego, że chcą nas zdławić, zdusić, chcą nas ukarać za to, że jesteśmy tacy wydajni, że mamy lepsze wyroby, że potrafimy dokonać więcej niż ich rozleniwiona siła robocza. — Przywódca parlamentarnej opozycji zostawiał talent krasomówczy na występy publiczne. W rozmowie w cztery oczy wyrażał się oględnie, wręcz uprzejmie. Nawet w rozmowie z premierem, człowiekiem słabym i niezdecydowanym, którego dawno już postanowił odsunąć od władzy.

— Nie wiem, czy to jedyny możliwy punkt widzenia, Goto-san. Wie pan przecież podobnie jak i ja, że usztywniliśmy naszą pozycję co do ryżu i samochodów, a także podzespołów elektronicznych. To oni idą ostatnimi czasy na ustępstwa, nie my.

Premier zastanawiał się w dalszym ciągu, do czego właściwie zmierza Goto. Część jego manewrów była oczywista: Goto w dość toporny sposób próbował zlepić zwaśnione frakcje parlamentarne w koalicję. Premier dysponował na razie w zgromadzeniu narodowym tylko niewielką większością głosów. Nic dziwnego, że właśnie aby dogodzić opozycji, kazał rozmawiać z Amerykanami bardzo twardo i nie iść na ustępstwa. W normalnych warunkach nikomu by nie zależało na głosach mikroskopijnych partyjek i odłamów, lecz przy tak niewielkiej przewadze partii rządowych, słabsi znaleźli się w pozycji silniejszego. Teraz liczył się każdy głos. Premier spacerował więc po linii, i to bez siatki. Musiał próbować żyć w zgodzie z sojusznikami własnego ugrupowania, dogadzać opozycji, a także nie narażać się zbyt mocno Ameryce, najważniejszemu i największemu partnerowi handlowemu Japonii.

Gra ciągnęła się w nieskończoność i coraz bardziej męczyła premiera, tym bardziej, że z kuluarów pilnie śledzili ją ludzie pokroju Goto i pokrzykiwali przy lada okazji w nadziei, że premier straci równowagę i nareszcie runie.

Premier nie bez ironii pomyślał, że Goto musi sobie wyobrażać, iż sam byłby lepszym szefem rządu. Ha! Nie pozostawało nic innego, jak uprzejmie napełnić czarnekę gościa zieloną herbatą.

Premier lepiej niż przywódca opozycji zdawał sobie sprawę z sytuacji, w jaką się wmanewrowała Japonia. Kraj nie był demokratyczny w normalnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Nasuwała się tu raczej analogia z dziewiętnastowieczną Ameryką, krajem, w którym w tamtym okresie centralne władze stanowiły jedynie przykrywkę dla wielkiego biznesu. Państwem rządziła garść przemysłowców, dwudziestu, najwyżej trzydziestu ludzi, którzy wprawdzie ostro konkurowali między sobą, lecz w rzeczywistości nie mogliby bez siebie istnieć — ani oni, ani ich firmy. Wspólnie zarządzali przecież koncernami, zasiadali w radach nadzorczych tych samych banków, podpisywali między sobą umowy o współpracy... Nie było zaś takich parlamentarzystów, którzy beztrąsko puszczaliby mimo uszu słowa potężnych *zaibatsu*. Ba, mało którego posła spotykał zaszczyt osobistej rozmowy z wielkimi świata gospodarki, a kiedy się tak działo, polityk powracał w stanie czystej euforii, gdyż jego dobroczyńca dysponował tym, co w działalności partyjnej liczy się ponad wszystko: gotówką. Słowo przemysłowców było więc prawem, a japoński parlament należał do najbardziej skorumpowanych na kuli ziemskiej.

Premier wmówił sobie ostatecznie, że „korupcja” to wyjątkowo złe określenie na to zjawisko.

„Przychyłość”? „Służebność”? Szarych obywateli kraju sceny w parlamencie doprowadzały nierzadko do pasji, a rewelacje co śmielszych dziennikarzy — dla obserwatorów z Zachodu brzmiące jak nieśmiałe i na dobrą sprawę przypoehlebne przytyki — miejscowym czytelnikom wydawały się obrazoburstwem na skalę pism Zoli w ubiegłowiecznym Paryżu. Cóż jednak z tego, skoro szarzy obywatele mogli bardzo niewiele, a *zaibatsu* właściwie wszystko. Kolejne próby naprawienia systemu politycznego utykały w miejscu, a rząd — mający kierować jednym z najprężniejszych organizmów gospodarczych na świecie —

stał się przybudówką przy centralnej władzy sprawowanej przez przemysłową mafię, bynajmniej nie pochodzącą z wyboru, ani przez szeroki ogół, ani nawet przez udziałowców. Premier pamiętał, że nie kto inny jak przemysłowcy doprowadzili do sytuacji, w której przypadło mu w udziale przejąć ster rządów.

Kto wie, może chcieli rzucić go na żer opinii publicznej? Może zakładali, że z miejsca powinie mu się noga? A może w dalszym ciągu knuli jego upadek? Po to choćby, by widząc co się dzieje, niezadowoleni obywatele pogodzili się jednak z rzeczywistością, jaką im proponowano?

Splot tych lęków i obaw kazał premierowi pójść na niebezpieczną, ostrą grę w rokowaniach handlowych z USA. Jeśli nawet to okazało się dla *zaibatsu* zbyt mało, czego chcą jeszcze?

— Słyszysz się coraz częściej, że musimy być twardzi — zaczął Goto, wciąż niesłychanie grzecznie. — Dlatego doceniam pańską ogromną odwagę. Niestety, z obiektywnych przyczyn nasz kraj nie może iść do przodu. Weźmy choćby zmianę kursu jena do dolara. Katastrofalne skutki dla naszych inwestycji za granicą. Skutki, których trudno nie złożyć na karb poczynań naszych nieocenionych partnerów międzynarodowych...

W słowach Goto premier wyczuł nowy ton, którego tam dotychczas nie było. Goto wydawał się powtarzać wyuczoną rolę. Wyuczoną, dobrze, ale przez kogo w takim razie napisaną? Odpowiedź była i tym razem oczywista. *Zaibatsu* znaleźli sobie nowego premiera i nie wiedzą nawet, że Goto robi dla nich na tym stanowisku jeszcze mniej niż jego poprzednik. Co z tego, że sam Goto nie zdaje

sobie z tego sprawy? Jeśli przejmie fotel, stanie się kukielką swoich popleczników, zaczniesz spełniać ich każde polecenie bez względu na możliwe reperkusje. Premier omal nie westchnął. Wiedział, że Goto natychmiast wbije sobie do głowy, że spełnia własną, wyjątkową misję, pełną niesłychanej mądrości.

Tylko jak długo mogą potrwać te złudzenia?

Christopher Cook zdawał sobie sprawę, że nie powinien przesadzać z częstymi spotkaniami. Ale co to znaczy „częste”? Raz na miesiąc? Za często? Cook był zastępcą szefa działu w Departamencie Stanu USA, a więc urzędnikiem, a nie pracownikiem wywiadu. Nie musiał trzymać się wewnętrznych przepisów i nie wiedział nawet, czy istnieją konkretne przepisy w tych sprawach.

Jego gospodarz jak zwykle umiał popisać się gościnnością. Świetne jedzenie, doskonałe wina, uprzejma i najzupełniej zdawkowa konwersacja na temat rodziny, zalet gry w golfa i bieżących wydarzeń kulturalnych. Nudziarstwo? Owszem, pogodę mamy w tym roku wyjątkowo udaną... Seidzi uwielbiał

rozmowy o pogodzie. Nie było w tym nic złego, bo jesień i wiosna to w Waszyngtonie rzeczywiście bardzo przyjemne pory roku. Szkoda, że lato jest takie upalne, a zimowe dni ciemne i przesiąknięte wilgocią...

Nawet zaprawiony w sztuce mówienia o niczym dyplomata prędko męczy się podobną rozmową, tym bardziej, że Nagumo siedział w Waszyngtonie od tak dawna, że zabrakło mu oryginalniejszych tematów i od kilku miesięcy powtarzał się w sposób przeokropny. Ale cóż, czegoż w końcu wymagać od dyplomaty? Cook dał w duchu za wygraną, nie wiedząc jeszcze, że czeka go niespodzianka.

— Podobno udało się wam dojść do ważnego porozumienia z Rosją — zauważył Seidzi Nagumo, kiedy służba uprzątała nakrycia.

— Co ma pan na myśli? — Cook był przekonany, że jest to kolejny etap dyplomatycznych pogawędek o niczym.

— Słyszysz się, że przyspieszacie niszczenie pozostałych rakiet strategicznych. — Japończyk pociągnął drobny łyk wina.

— Ma pan widzieć dobre informacje — skwitował rzecz Cook, wyraźnie pod wrażeniem. Na pewno na tyle pod wrażeniem, by nie spostrzec, do czego zmierza jego rozmówca. — Ale obawiam się, że to dosyć poufny temat.

— Bez wątplenia, bez wątplenia. Ale z drugiej strony nader pomyślny obrót rzeczy, nie sądzi pan? — Japończyk podniósł kieliszek jak w toaście. Cook chętnie poszedł jego śladem i przytaknął.

— Owszem. Zdaje pan sobie sprawę, że amerykańska polityka wyznaczyła sobie taki cel jeszcze w latach czterdziestych. Eliminacja broni masowej zagłady i płynącego stąd zagrożenia dla całej ludzkości. Słowa Bernarda Barucha, jeśli mnie pamięć nie myli. Jak pan wie...

Urzędnik Departamentu Stanu aż drgnął, bo Nagumo przerwał mu w pół słowa i zaczął perorować podniesionym głosem.

— Wiem! I to dobrze wiem! Lepiej, niż pan to sobie wyobraża. Mój rodzony dziadek mieszkał w Nagasaki. Pracował przy tokarce w bazie marynarki cesarskiej. Udało mu się przeżyć eksplozję. Jemu tak, ale jego żonie niestety już nie. Wyszedł z poparzeniami, bo w bazie jak i w całym mieście wybuchły pożary. Pamiętam dobrze jego blizny. Nigdy nie wygrzebał się do końca i zmarł jako stosunkowo młody człowiek, niestety. Niestety.

Karta zagrana była wyjątkowo dobrze. Zagranie przyszło zaś Nagumo tym łatwiej, że cała opowiadanka była kłamstwem.

— Ogromnie mi przykro to słyszeć, naprawdę! — Christopher Cook z kolei nie kłamał. Poszedł do dyplomacji świadomy, że najważniejsze w tym zajęciu to zapobiegać wojnom lub przynajmniej sprawiać, by były one mniej krwawe.

— Rozumie pan zatem doskonale, że bardziej niż innym zależy mi na uwolnieniu świata od tych okropieństw. — Nagumo napełnił kieliszek Cooka. Pili doskonały chardonnay, świetnie dobrany do głównego dania.

— Zgoda, dysponuje pan dobrymi informacjami. Nie wtajemnicza się mnie we wszystkie szczegóły, ale przy obiedzie, na siódmym, coś niecoś można posłyszeć — Cookowi bardzo zależało, by jego japoński przyjaciel dowiedział się o jego statusie. Do sali jadalnej na siódmym piętrze Departamentu Stanu dostęp mieli tylko nieliczni.

— Wypyuję pana o to zupełnie prywatnie. To taka moja osobista obsesja. Przynależę sobie, że w dniu, kiedy zniszczą ostatni pocisk atomowy, wyprawię prawdziwe święto. A przy okazji pomodłę się do ducha mojego dziadka. Powtórzę mu, że nie umierał na darmo. Nie wie pan, oczywiście, jak szybko będę mógł zacząć świętować?

— Niestety, dokładnie nie wiem. Data jest poufna.

— Coś takiego? A czemu? Po co? — zaciekawił się Nagumo.

— Nie wiem, pewnie prezydent chce odczekać i zrobić prasie niespodziankę. Dla lepszego efektu.

Zbliża się rok wyborów, więc Roger musi się chwytać takich sztuczek.

— Rozumiem, ach, jak go rozumiem — pokiwał głową Seidzi Nagumo i od niechcienia dodał —

A już myślałem, że to ze względów bezpieczeństwa narodowego.

Cook, zanim odpowiedział, namyślał się przez krótką chwilę.

— Nie, chyba nie. W każdym razie nie przypuszczam. Owszem, kiedy inni nie znają daty, kraj jest teoretycznie bezpieczniejszy, ale biorąc pod uwagę okoliczności. Nie, chyba nie.

— Skoro tak, czy mógłbym mieć do pana małą prośbę?

— Mianowicie jaką? — zapytał z ciekawością Cook, rozebrany winem i ośmielony towarzystwem człowieka, któremu przekazywał poufne informacje od wielu miesięcy.

— To ta moja prywatna obsesja. Czy mógłby się pan dowiedzieć, którego dnia, ale dokładnie, zniszczy się ostatnie rakiety strategiczne? Bo widzi pan.. Uroczystość, jaką planuję na taki dzień, wymaga długich, szczególnych przygotowań.

Cook miał już na końcu języka coś w rodzaju „Przepraszam, stary, ale tu chodzi o bezpieczeństwo USA. Nie da rady, nie udzielam takich informacji”. Na widok wahania Cooka japoński dyplomata uśmiechnął się, jak gdyby chciał dodać Amerykaninowi otuchy. Cook tymczasem zastanawiał się gorączkowo, a może tylko próbował zebrać myśli. Dręczyło go pytanie, dlaczego właściwie już od trzech i pół roku rozmawia z Nagumo o sprawach handlu międzynarodowego. Zgoda, dowiaduje się czasami istotnych szczegółów, czemuż innemu zawdzięcza w końcu swój awans na obecne stanowisko wiceszefa działu w resorcie. Sam także mówił w zamian to i owo. Ale właściwie dlaczego? W jakim celu? Czy nie chodziło czasem o to, że zaczynał się w Departamencie Stanu śmiertelnie nudzić, że mierzyła go rutyna i wcale nie tak znowu świetne zarobki... A z drugiej strony któryś z dawnych kolegów powiedział mu niedawno, że człowiek z piętnastoletnim doświadczeniem w pracy w resorcie, w dodatku tak utalentowany, o wiele lepiej miałby się gdzie indziej, w którymś z lobby albo w firmie konsultingowej..

Bo chyba jest różnica między doradztwem, a ordynarnym szpiegostwem. Jest, czy nie ma? Jasne, że jest.

Tu chodzi tylko o zwyczajne interesy, i kwita.

Szpiegostwo? Czyżby? Cook zadawał sobie to pytanie raz za razem. Bzdura. Amerykańskie rakiety nigdy nie celowały w Japonię, a jeśli wierzyć gazetom, w tej chwili w ogóle celowały wszystkie w środek Oceanu Atlantyckiego. Jeśli się je zniszczy, i tak niczego to nie zmieni, nikomu nie stanie się krzywda, nikt na tym nie skorzysta bardziej niż w tej chwili. Może tylko poprawi się trochę saldo budżetowe, choć i to nie na pewno. Bezpieczeństwo narodowe? Bez żartów. Informacja, choć poufna, nie miała znaczenia. A skoro tak, można ją było przekazać bez obawy, że robi się coś złego.

— Okay, Seidzi. Czego się nie robi dla starych przyjaciół! Ale tylko w drodze wyjątku.

— Dzięki, Christopher! — Cook nawet nie zauważył, kiedy przeszli na ty. Nagumo uśmiechnął

się jeszcze weselej. — Zaskarbisz sobie wdzięczność moich przodków. Całemu światu zrobi się lżej, kiedy już przyjdzie ten dzień. Urządzimy sobie święto!

W sporcie nazywa się to walką do samego końca. W szpiegostwie na podobną zasadę nie ma osobnego określenia.

— Bo rzeczywiście będzie się z czego cieszyć — stwierdził Cook z przekonaniem. Nawet go nie zdumiało, jak łatwo przyszło mu przekroczyć niewidzialną linię, jaką niegdyś sobie nakreślił.

— To dla mnie wielki zaszczyt. — Yamata chciał koniecznie okazać ogrom swej skromności. —

Szczęściem jest mieć tak mądrych i tak przewidujących przyjaciół.

— To pan nas dziś zaszczyca swoją obecnością — nie ustępował w umizgach jeden z bankierów.

— Nie, skądże. Jesteśmy przecież sobie równi, złączeni w służbie naszemu państwu, naszym obywatelom, naszej kulturze. Ileż to świątyń doprowadził pan do dawnej świetności, Ichiki-san! Co tu kryć, wszyscy staraliśmy się jak tylko można i nie żądaliśmy w zamian niczego oprócz nowych szans dopomożenia Japonii. — Yamata zapalał się coraz bardziej, lecz zaraz z wyrazem zamyślenia i troski zapytał — Czym mogę wam więc służyć, przyjaciele?

Nie musiał oczywiście pytać, o co chodzi zgromadzonym wokół stołu. Najbliżsi sojusznicy, obecni pośród dwudziestu kilku gości, najmniejszym drgnieniem nie dawali po sobie poznać, że także to wiedzą. A przecież mimo to w sali czuło się napięcie. Czuło się je prawie tak wyraźnie jak czuje się odór przechodzącego cudzoziemca.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się powoli ku miejscu, gdzie stał Matsuda-san. Wielu dzisiejszych gości uważało, że kłopoty Matsudy będą dla Yamaty niespodzianką, choć przecież sam fakt, że Matsuda zabiegał o to spotkanie, musiał wprawić w ruch służby informacyjne na usługach przemysłowca. Prezes jednego z największych konsorcjów przemysłowych na świecie przemawiał głosem zboliałym, lecz cichym. Nie śpiesząc się wcale, Matsuda wyjaśniał, że jego dyrektorzy nie są winni faktu, iż firmie urwał się dopływ gotówki z wpływów. Koncern Matsudy zaczynał od budowy statków, stopniowo przerzucił się na budownictwo i wyroby elektroniczne. Od połowy lat osiemdziesiątych Matsuda osobiście stał na czele rady nadzorczej i napędzał udziałowcom bajkowe wprost dywidendy.

Opowieść trwała długo, lecz Yamata nie okazywał ani śladu zniecierpliwienia. Historie jego i Matsudy były nawet podobne, przynajmniej jeśli chodzi o sukcesy. Z kolei Matsuda musiał upaść na głowę, by próbować opanować finansowo Hollywood. Wywalił bająską sumę za czterdzieści hektarów terenów przy Bulwarze Melrose i za świstek papieru nadający mu tytuł producenta filmów. Matsuda sam sobie napytał biedy. Któż zaprzeczy?

— Zepsucie i fałsz tamtych ludzi są naprawdę niesłychane — ciągnął Matsuda tonem, jaki katolicy księża słyszą często przez kratkę konfesjonału i nie wiedzą, czy grzesznik szczerze pokutuje, czy tylko zżyma się, że miał takiego pecha. Matsuda z równym skutkiem mógł wydanymi dwoma miliardami dolarów napalić pod kuchnią.

Yamata miał mu nawet ochotę powiedzieć „a nie mówiłem?” choć gdyby to zrobił, minąłby się z prawdą. Yamata nie ostrzegł Matsudy przez obłądną inwestycją w Hollywood, nawet kiedy jego doradcy finansowi, skądinąd Amerykanie, dowiedli czarno na białym, że zakup jest szaleństwem. Pozostawało więc tylko w zamyśleniu skinąć głową.



— Nie ulega kwestii, że nie sposób było przewidzieć takiego obrotu spraw, zwłaszcza wobec solennych zapewnień drugiej strony i hojnych obietnic uczynionych Amerykanom. Niestety, przyjaciele.

Nie są to ludzie uczciwi w interesach.

Obecni zgodnie przytaknęli.

— Matsuda-san, czy można uczciwie orzec, że popełnił pan omyłkę?

— Kto wie? — odparł Matsuda w sposób, który dla obecnych znamionował ogromną odwagę.

— Otóż ja twierdzę, że nie popełnił pan omyłki. Któż spośród nas jest człowiekiem większego honoru i większej mądrości? Któż z większą troską doglądał spraw swego przedsiębiorstwa? — Raizo Yamata melancholijnie pokręcił głową.

— Jeszcze bardziej niepokoi mnie to, przyjaciele, że wszystkich nas może spotkać taki los —

odezwał się niegłośnie któryś z bankierów. Chodziło mu o to, że jego instytucja miała na swym saldzie wszystkie inwestycje Matsudy w Japonii i w USA. Upadek konsorcjum zachwiałyby więc także bankiem.

Być może obyłoby się bez upadku, ale nie miało to znaczenia. Do kompletnego krachu finansowego wystarczy panika i brak wiary w stabilność firmy. Wystarczy, że jeden dziennikarz wyrwie się z nieodpowiedzialną oceną, i proszę. Wskutek głupiej plotki ludzie mogliby zacząć wycofywać swoje wkłady. Oczywiście wpłacaliby je zaraz gdzie indziej, szukając nowych lokat, bo tego rzędu kwot nie da się przecież upchać w bieliźniarce, a koledzy bankierzy pożyczyliby je z miejsca kulejącej instytucji, lecz kolejny kryzys mógł w tak chwiejnej sytuacji doprowadzić do ogólnego kataklizmu.

Nikt z obecnych nie uznał za stosowne wspomnieć, czy choćby pomyśleć o tym, że sami wspólnie spowodowali ów kryzys. Yamata uznawał taki brak reakcji u innych za bardzo wygodną ślepotę. Teraz więc, kiedy się odezwał, przemawiał nie jak biznesmen, lecz jak filozof.

— Zasadniczym problemem jest to, że postawiliśmy zręby naszej gospodarki na piasku, zamiast na skale. Amerykanie są może słabi i głupi, lecz los zesłał im wszystko, czego nam z kolei brakuje.

Dlatego mimo naszej inteligencji jesteśmy skazani na rolę gorszego.

Yamata w przeszłości powtarzał już im to wszystko, z tą różnicą, iż teraz obecni słuchali go z nabożeństwem. Trudno było nie pęcznić z dumy na widok takiej reakcji. Yamata trzymał jednak na wodzy kwiecistą retorykę. Spojrzał tylko bacznie na jednego z przybyłych, swojego odwiecznego przeciwnika.

— Pamiętasz, co mówiłeś tak niedawno? Że przewagę daje nam pracowitość naszych robotników i inteligencja inżynierów? Nie myliłeś się ani trochę, przyjacielu. Są to nasze przewagi, a co więcej,

Amerykanom brak ich w dostatecznym stopniu. Niestety, los sprzyjał dotąd obcym, nie nam. *Gaidź in* potrafili wykorzystać swoje lepsze położenie i stać się mocarstwem. A my, my nie jesteśmy mocarstwem...

Yamata znów zawiesił głos i spojrzął po obecnych. Trudno było wysondować ich prawdziwy nastrój, więc niestety musiał zaryzykować. Dłużej nie można było zwlekać, tego Yamata był zupełnie pewien.

— Dopowiedzmy sobie jednak tę myśl do końca. Tamci stali się mocarstwem, bo tak chcieli. My wybraliśmy inną drogę i musimy za to teraz drogo płacić. Ale czy musimy? Jest inne wyjście.

— Jakie? — spytał jeden z gości w imieniu wszystkich pozostałych.

— Tym razem, przyjaciele, to do nas uśmiecha się los. Droga ku imperialnej Japonii stoi dzisiaj otworem. Polityka naszych wrogów dostarcza nam nowej szansy.

W myśli Yamata powtarzał sobie, że czekał na tę chwilę długich piętnaście lat. Oceniając wzrokiem reakcje słuchaczy uświadomił sobie zaraz, że czekał nie lat piętnaście, a całe dorosłe życie, od dnia, kiedy w wieku dziesięciu lat, w lutym 1944 roku, wsiadł na statek na Wyspy Japońskie, pozostawiając całą resztę rodziny na Saipanie. Dobrze pamiętał, jak stał wówczas przy relingu i wzrokiem odprowadzał pozostałych na nadbrzeżu rodziców i młodsze rodzeństwo. Mały Raizo był bardzo dzielny, więc mężnie powstrzymywał łzy, choć z przenikliwością dziecka wiedział, że zobaczy ich wszystkich dopiero w dalekiej, bardzo dalekiej przyszłości.

Amerykanie wymordowali rodzinę Yamaty i starli jej wszelkie ślady z powierzchni ziemi. Któż jeśli nie oni pognali ocalałe japońskie rodziny ku urwiskom, kto sprawił, że mieszkańcy wyspy wybrali skok do oceanu? W oczach Amerykanów wszyscy Japończycy, w mundurach i w cywilnych ubraniach, stanowili zwierzęce stado, nie zasługujące na lepszy los. Yamata pamiętał też, jak słuchał przez radio komunikatów z trwającej batalii o Saipan, relacje o brawurowych atakach Dzikich Orłów z dywizjonów Kido Butai na okręty floty inwazyjnej, o topieniu w morzu kolejnych fal nacierających marines, a potem o rzeziach w górskich zakamarkach wyspy. Japończycy odebrali Saipan niemieckim kolonistom dopiero po I wojnie światowej, lecz traktowali wyspę jak swój dom. Yamata wiedział, że komunikaty radiowe nie mówią wszystkiego. Później zaś stopniowo przestano w eterze mówić o Saipanie, a niezmiennie zwycięskie starcia z Amerykanami zaczęły się zdarzać coraz bliżej ojczyzny. Młody Yamata czuł tylko bezsilną wściekłość, gdy okazało się, że jego potężny kraj nie potrafi powstrzymać barbarzyńskiego naporu. Dienne, a później nocne naloty spopielały kolejno wszystkie miasta Japonii i siały przerażenie.

Wujek, u którego zatrzymał się Yamata, kłamał jak najęty, lecz widok to dalszych, to znów bliższych łun na horyzoncie mówił sam za siebie. Kiedy wszystko to dobiegło końca, na twarzy wuja zawitała ulga —

ulga, której jednak zupełnie nie czuł osierocony młody Yamata. Pierwszy napotkany Amerykanin, rudowłosy olbrzym o piegowatej cerze, poklepał go przyjaźnie po głowie, jak się klepie niegroźnego

psa.

Yamata zapamiętał sobie, że tak właśnie wygląda wróg.

Tak więc to nie Matsuda musiał teraz zabrać głos. Nie Matsuda, lecz ktoś znacznie od niego potężniejszy, właściciel koncernu, który w oczach świata wydawał się niezachwiany i mocny. Reguły, jakie obowiązywały w tym gronie, nakazywały, by rozmowie nadał ton ktoś mocny. Ów ktoś — na kogo zwróciły się teraz oczy wszystkich pozostałych — był od dawna zaprzysięgłym antagonistą Yamaty. O

tym także wiedzieli wszyscy. Wielki tego świata wpatrzył się w niedopitą herbatę na dnie czarki, żałując, że nie jest to wieczór na alkohol. Decyzja należała do najtrudniejszych w życiu. Kiedy się wreszcie odezwał, nie podniósł wzroku, w obawie przed tym, co wyczyta w oczach swoich towarzyszy zebranych wokół stołu z czarnej laki.

— W jaki sposób, Yamata-san, możemy dopiąć tego, do czego nas wzywasz?

— Coś ty? Tylko mi nie chrzań — przerwał Chavez. Mówił po rosyjsku, bo angielski był na terenie ośrodka szkolenia w Monterey surowo wzbroniony. Na razie jeszcze się nie dowiedział, jak się mówi „nie chrzań” po japońsku.

— Naprawdę, miałem tam czternastu agentów — powtórzył Oleg Juriewicz Lialin, który jako major KGB (choć emerytowany) miał ochotę za taką bezczelność dać młodzikowi w ucho.

— A twoja centrala co, nic? Nie uruchomiła tej siatki na nowo? — w głosie Clarka dało się również wyczuć leciutki ton niedowierzania.

— A to niby jakim cudem? — Lialin z uśmiechem postukał się w skroń. — OSET był wyłącznie moim dziełem. A przy okazji moją polisą ubezpieczeniową. Na życie.

Tym razem Clark miał ochotę powiedzieć, że Lialin rzeczywiście nie chrzani. Fakt, że Ryan zdażył wyciągnąć majora żywego graniczył z cudem. Po zdemaskowaniu KGB zdażyło już postawić Lialina przed trybunałem, skazać, osadzić w celi śmierci i wyznaczyć mu datę egzekucji, odległą jednak aż o tydzień. Nagle jednak zaprowadzono go do gabinetu komendanta więzienia, poinformowano o prawach, jakie mu przysługują jako obywatelowi ZSRR, w tym o prawie do zwrócenia się z prośbą o ułaskawienie. Następnie podano mu długopis i kazano takąż prośbę napisać. Zamknąć pysk i pisać. Ktoś bardziej naiwny wzięłby taki obrót spraw za dobrą monetę, ale nie Lialin. który dobrze wiedział, że kiedy uspokojonego skazańca odprowadza się do celi, zza jej drzwi wynurza się kat, przystawia do głowy lufę pistoletu i pociąga za spust. Nic więc dziwnego, że parę razy długopis wyleciał mu z trzęsącej się dłoni na podłogę, a w drodze powrotnej, miał nogi jak z waty. Kiedy rytuał dobiegł końca, Oleg Juriewicz zorientował się ze zdumieniem, że w celi jest sam. Nie mógł jednak nawet usiąść, bo strażnicy kazali mu natychmiast zabierać koc i miskę i iść z powrotem do gabinetu komendanta, gdzie czekał już ktoś, kto ze swoim uśmiechem i porządnie leżącym garniturem mógł być tylko Amerykaninem. I to z tych, którzy nie mają pojęcia, jakie pożegnania wyprawia KGB zdrajcom.

— Sam to bym się złał w gacie — oświadczył Ding, gdy dramatyczna opowieść dobiegła końca.

— Miałem szczęście — roześmiał się Lialin. — Zanim po mnie przyszedli, jak raz się wysikałem.

Aha, na Szeremietiewie czekała na mnie reszta rodziny. Jeden z ostatnich lotów PanAmu.

— A w samolocie wypilo się parę głębszych, co? — upewnił się ubawiony Clark.

— A coś ty myślał! — Lialin nie uznał za stosowne wspomnieć, że przez cały lot nadal trząsał się i co chwila wymiotował, przez co tym bardziej podróż na lotnisko Kennedy'ego dłużyła mu się w nieskończoność. Na miejscu Lialin kazał się długo wozić taksówką po Manhattanie, jak gdyby chciał się upewnić, że spełniła się rzecz niemożliwa.

Chavez napełnił szklankę swojego nauczyciela i mistrza. Lialin próbował odstawić mocniejsze alkohole, więc pił wyłącznie piwo, w tym wypadku Coors Light.

— Sam też, towarzyszu, bywałem w paru dziwnych miejscach, ale na pewno nie w takim ponurym jak tamto twoje.

— Nic dziwnego, że jestem na emeryturze. Ale, ale, Domingo Estebanowiczu, gdzieście się tak dobrze nauczyli mówić po rosyjsku?

— Prawda, że chłopak ma talent? — zgodził się chętnie Clark. — A w slangu jak umie zasuwać!

— Dajcie spokój! Lubię czytać, i to wszystko stąd. Poza tym w domu oglądam rosyjską telewizję, i tak dalej. Odczepcie się od mojego rosyjskiego, okiej? — Ostatnie słowo Chavez wypowiedział jednak z amerykańskim akcentem, nieświadomy, że Rosjanie przekręcają je w swoisty sposób.

— Okiej, okiej, kolego. Idzie mi tylko o to, że masz prawdziwy dryg do języka. — Major Lialin uhonorował Chaveza toastem.

Ding odwzajemnił toast. Talent? Fakt, że kiedy wkręcał się w szeregi amerykańskiej armii, mógł

się pochwalić jedynie ledwie skończoną podstawówką. Przyjęto go, bo mówił, że chce zostać zwykłym ciurą, a nie specjalistą od obsługi rakiet balistycznych. Dalej już jakoś poszło, do tego stopnia, że Chavez bez większego wysiłku pozdawał kolejne egzaminy na George Mason University, uzyskał bakalaureat, a teraz mozolił się nad pracą magisterską. Ciekawe, ilu jeszcze chłopakom z brudnego getta, w którym dorastali, udało się podobna sztuka? Ba, tamtym nikt nie dał podobnej szansy.

— A czy nasza pani Foley wie, że zostawiłeś tam siatkę?

— Wie, ale tylko tyle. Widocznie ma inne zadania dla ludzi z japońskim, pewnie zresztą by mi powiedziała, gdyby próbowali uaktywnić moich ludzi. Aha, z tym, że nikt nie uaktywni tej siatki, jeśli nie poda umówionego hasła.

— Wielki Boże — tym razem to Clarkowi wyrwało się westchnienie po angielsku. W chwilach

emocji wraca się jednak do korzeni. Chodziło mu o to, że w przesiąkniętym elektroniką CIA dawno zapomniano o tak prostych zasadach. Doszło wręcz do tego, że spośród piętnastu tysięcy pracowników Firmy, tylko 450 osób dałoby się określić jako prawdziwych agentów — takich, którzy osobiście działają na obcym terenie, spotykają się z ludźmi i poznają ich prawdziwe myśli, zamiast z orbity okołoziemskiej liczyć czołgi, a o reszcie spraw dowiadywać się z prasy codziennej. — Wiesz, czasem się, kurwa, dziwię, jakim cudem w ogóle wygraliśmy tę zimną wojnę.

— Ameryka robiła co mogła, żeby przegrać, ale przynajmniej pod tym względem mój kraj doścignął was i prześcignął. — Lialin zastanawiał się przez chwilę. — OSET zajmował się głównie zbieraniem informacji o gospodarce. Wykradliśmy w Japonii masę projektów przemysłowych i patentów, technologii produkcyjnych, i tak dalej. Podobno w waszym kraju służbom nie wolno się zajmować niczym takim? Szkoda, bo jest pewien szkopał.

— Niby jaki? — Chavez trzasnął wieczkiem kolejnej puszki piwa.

— Taki, że gospodarka i władza to jedno i to samo, Domingo. Ładnych parę miesięcy próbowałem wytłumaczyć waszym szefom, że nie tędy droga. W Japonii przemysłowcy to elita władzy, a parlament, ministrowie i reszta hałasty są tylko przykrywką. Znasz takie słowo: *maskirowka*? Za wszystkim stoją tam imperia przemysłowe.

— Skoro tak, przynajmniej jeden rząd na świecie potrafi przy okazji produkować przyzwoite auta! — Chavez zaśmiał się z własnego żartu. Śmiech śmiechem, a przecież właśnie ze względu na wysoką cenę zrezygnował z kupna wymarzonej Corvette i zadowolił się japońskim Z. Sportowy wóz, nie gorszy od Corvette, za to o połowę tańszy. No, tak, wóz trzeba będzie sprzedać. Nie ten styl. Kiedy człowiek chce się żenić, wypada mu kupić coś solidniejszego... Chavez westchnął.

— Nie tak prędko. Zrozumcie jedno, *malcziki* w tamtym kraju waszym przeciwnikiem nie jest ani rząd, ani wojsko, tylko ktoś inny. Jak myślicie, dlaczego te wasze negocjacje handlowe idą jak po grudzie? Nasi zrozumieli to od razu. Nasi, to znaczy KGB.

Clark tylko pokiwał głową. Wiadomo, marksiści we wszystkim węższą spisek wielkiego kapitału.

Marksiści mieli dziś jednak własne zmartwienia.

— I czego się dowiedziałeś?

— Czego? Wszystkiego! — zapewnił Clarka Lialin. — W ich kulturze niesłuchanie łatwo przyjmuje się zniewagę, i bardzo ciężko się ją odreagowuje. Skutek taki, że Japończycy kipią ze złości.

Wystarczy im okazać odrobinę współczucia i już jedzą ci z ręki.

Clark pokiwał głową, uświadamiając sobie po raz kolejny, że ma przed sobą prawdziwego zawodowca. Facet ma w głowie nazwiska i adresy czternastu dobrze zamaskowanych agentów, w dodatku ludzi, po których nikt w Langley nie odważył się sięgnąć. I nic dziwnego, skoro rządowi spece od etyki, gromada prawników-prawiczków, narzuciła Firmie specjalne przepisy... CIA i etyka zawodowa? Świat się kończy. Ciekawe, jak w takim razie nazwać porwanie Korpa? Clark i Ding

uczynili to, oczywiście, w imię sprawiedliwości, ale niezupełnie. Sprawiedliwości stałoby się zadość, gdyby zabrać Korpa do Ameryki i tam go osądzić, zamiast wydawać na pastwę własnych ziomków. Z tym, że w USA Korp znalazłby sobie adwokata, który za słone honorarium potrafiłby godzinami wywodzić przed kamerami telewizji, jak to porywacze naruszyli prawa człowieka, w dodatku patrioty, który bronił tylko swojej ojczyzny... A ława przysięgłych w tym czasie głupiałaby w oczach. Zwyczajne sprawy.

— Ciekawa słabostka — przyznał Clark ostrożnie. — Przyznasz, że wszyscy ludzie na świecie mają te same wady, co?

— Noszą różne maski, ale pod nimi siedzi zawsze to samo. Skóra, ciało, boleści. — Lialin coraz lepiej wczuwał się w rolę mentora. Ostatnią uwagę uznał za najbardziej trafną maksymę z całego dnia.

Nie ma takiego człowieka, który żalując czegoś poniewczasie, nie wzdycha gorzko: ech, gdybym wiedział, że tak będzie... Niestety, całe nieszczęście polega właśnie na tym, że niczego nie wiadomo z góry, a wojny i katastrofy zaczynają się dokładnie tak samo jak pokój i zwyczajne życie: inny jest dopiero dalszy ciąg. Kiedy Pierce Denton upychał rodzinę w samochodzie przed planowanym wypadem do Nashville, musiał się sporo nagłować nad zadaniem. Po pierwsze, obie dziewczynki-bliźniaczki musiały jechać w krzeselkach na tylnym siedzeniu Cresty. Między nimi trzeba było zmieścić jeszcze jedno, leżące krzeselko dla najnowszego członka rodziny, małego Matthew'a. Bliźniaczki, Jessica i Jeanne miały trzy i pół roku, wyrosły więc już z właściwego dwulatkom awanturnictwa, nauczyły się chodzić i mówić, słowem były już prawie dorosłe. Mama ubrała je dziś w identyczne krótkie, fioletowe sukienki i białe rajtuzy. Obie bez oporu dały się zapiąć w krzeselkach, za to Matt darł się jak opętany. Na szczęście dziewczynki wiedziały, że po paru minutach jazda samochodem ukołysze go i pogrąży we śnie. Matthew zresztą prawie wyłącznie spał, co jakiś czas tylko budząc się na sesję u matczynej piersi. Dentonowie mieli zamiar spędzić całą sobotę i niedzielę pod Nashville, i to nie byle gdzie, bo u babci.

Pierce Denton miał dwadzieścia siedem lat i był policjantem w Greeneville w stanie Tennessee.

Komisariat był mały, więc i praca dość lekka, co pozwalało Dentonowi uczęszczać na kursy wieczorowe.

Denton miał szczerzy zamiar uzyskać wreszcie dyplom, ale poza tym jego ambicje ograniczały się do życia rodzinnego i spokojnej egzystencji wśród lesistych wzgórz najbliższej okolicy, gdzie w wolnych chwilach można było do woli polować z kolegami albo łowić ryby, co jakiś czas zaglądać do kościoła i w ogóle miło spędzać czas. W porównaniu z innymi miastami obowiązki policjanta w Greeneville nie były zbyt duże, bo choć i tutaj istniała oczywiście przestępczość, jednak w porównaniu ze scenami, jakie oglądało się w telewizji, były to po prostu żarty. Denton wcale więc nie tęsknił za innym życiem. Kwadrans po ósmej rano wyprowadził wóz na cichą uliczkę, przy której mieszkali, i ruszył w stronę szosy numer I-IE.

Czuł się wyspany i przytomny, zwłaszcza że zdążył już wypić swoje obowiązkowe dwie filiżanki

kawy, a poprzedniego wieczoru poszedł wcześniej spać. Spał, oczywiście, z przerwami, co łatwo zrozumieć w sytuacji, gdy w tym samym pokoju jest nie tylko żona, ale i głodne niemowlę.

Po piętnastu minutach Dentonowie jechali już międzystanową autostradą numer 81. Ponieważ ich trasa prowadziła na południe, nie musieli jechać pod słońce. Ze względu na sobotę i wczesną porę, ruch okazał się niewielki, ale mimo to Denton — w odróżnieniu od większości policjantów — nie pędził jak wariat. Powstrzymywała go na pewno myśl, że wiezie w samochodzie całą rodzinę. Wolał trzymać się prędkości 110 kilometrów na godzinę, nieco powyżej obowiązującego w Tennessee ograniczenia, ale bez przesady. 81 wiała się przez górzysty pejzaż, lecz poza tym wyglądała jak przeciętna amerykańska autostrada, szeroka i gładka. Gdzie te czasy, kiedy przez góry stanu Tennessee wydeptywały ścieżki pierwsze fale osadników z Europy.

Pod miejscowością New Market I-1 łączyła się z drugą autostradą, I-40. Denton włączył się do gęstszego ruchu, bo na szosie przybywało coraz więcej aut z Północnej Karoliny. Dojeżdżali już prawie do Knoxville. Spojrzenie we wsteczne lusterko upewniło Dentona, że obie córeczki podrzemują. Matthew spał już od dłuższej chwili. Spała także żona Pierce'a, Candy Denton, wyczerpana nocnymi zmaganiem z niemowlakiem, który od urodzenia ani razu jeszcze nie dał im dwojgu pospać do rana. Candy Denton była niewysoka i szczuplutka, więc dopiero teraz zaczynała dochodzić do siebie po ostatnich, trudnych miesiącach ciąży. Każda chwila snu, nawet z głową na oparciu siedzenia, była drogocenna, bo Matthew mógł obudzić się lada chwila i znów zażądać karmienia. Choć kto wie, może będzie spał do samego Nashville?

Najbardziej uciążliwie z całej przejażdżki zapowiadał się przejazd przez Knoxville, średniej wielkości miasto na północnym brzegu rzeki Tennessee. Wokół Knoxville biegła obwodnica, I-640, ale przewidując tłok, Denton machnął ręką i ruszył prosto na zachód.

Na zewnątrz zrobiło się cieplej, i całe szczęście, bo poprzednich sześć tygodni okazało się jednym ciągiem gołoledzi i zadynek, do tego stopnia, że Greenville zdążyło już wyczerpać całą część rocznego budżetu przeznaczoną na sól do posypywania jezdni i nadgodziny dla służb drogowych. Denton wyjeżdżał

przez ten czas do prawie pięćdziesięciu stłuczek, a także do dwóch poważnych wypadków. Teraz żałował, że poprzedniego wieczora nie chciało mu się podjechać swoją nowiutką Crestą do myjni. Barwny lakier karoserii szpeciły nadal smugi solnego osadu. Jak to dobrze, że Cresty miały fabrycznie zabezpieczone podwozia! Stary pick-up Dentona nie miał zabezpieczenia i zimową porą rdzewiał nawet kiedy stał przed domem. Cresta nie była dużym samochodem, ale osiągi miała po prostu świetne. Że wewnątrz trochę ciasne? Nie szkodzi, Crestą miała jeździć głównie Candy, dużo niższa od męża. Cresta była dwa razy lżejsza niż służbowy radiowóz Dentona i miała, oczywiście, dwa razy słabszy silnik. Co za tym idzie, pasażerowie dużo silniej odczuwali wibracje, nie wytłumione do końca, nawet pomimo osadzenia silnika na specjalnych gumowych poduszkach. Jedyną korzyść, że dzieci szybciej usypiają w takich warunkach.

W tej części stanu musiało napadać jeszcze więcej śniegu niż w Greenville, a szosa okazała się usłana gradami soli. Czemu tyle solą? Naprawdę nie ma innego sposobu? Denton aż westchnął na myśl o rdzewiejących samochodach. Pocieszyła go myśl, że przynajmniej ich czerwonej Cresty nie grozi podobny los. Zanim kupił ten wóz jako niespodziankę dla żony, dokładnie przeczytał listę

wyposażenia.

Wzniesienia przecinające tę część Północnej Ameryki noszą nazwę Gór Dymnych. Według miejscowej tradycji, nazwę tę nadał sam legendarny traper Daniel Boone. Łańcuch Appalachów ciągnie się od samej północy USA, od stanu Maine, aż na dalekie południe, do Georgii. Cały teren obfituje w rzeki i jeziora, a co za tym idzie, większa jest też tu wilgotność powietrza. W połączeniu ze specyficznymi warunkami pogodowymi wilgotność powoduje to, z czego słyną tutejsze góry, a mianowicie mgłę.

Will Snyder, kierowca TIR-a z firmy spedycyjnej Pilot zrobił już normę na ten dzień. Od tej pory reszta kursu liczyła mu się jako nadgodziny. Blaszana wieloosiowa przyczepa, którą ciągnął dieslowski Kenworth, zawałona była belami tkaniny dywanowej, jadącej z tkalni w Północnej Karolinie do wielkiej hurtowni w Memphis. Snyder był doświadczonym kierowcą, a to, że nawet w sobotę musi siedzieć za kółkiem, zupełnie mu nie przeszkadzało. Po pierwsze, lepszy zarobek, po drugie w środku zimy i tak nie ma w telewizji żadnych porządnych transmisji z meczów, a i zielona trawka nie kusi, bo gdzie by jej szukać pod śniegiem. Tak czy owak Snyder miał być na obiad z powrotem w domu. Dodatkowym plusem był fakt, że na drodze panował niewielki ruch. Kierowca powtarzał to sobie w myśli, gdy po łagodnej pochyłości łukiem zjeżdżał w kolejną górską dolinę.

— Oho! — mruknął nagle. Z doświadczenia wiedział, że w tym miejscu, w pobliżu zjazdu na szosę stanową 95 — tę prowadzącą do laboratoriów atomowych w Oak Ridge — często zalega mgła, lecz tym razem opar wyglądał mu na wyjątkowo gęsty. Snyder zaklął.

Na mgłę były tylko dwa sposoby. Niektórzy kierowcy zwalniali powoli, tylko puszczając gaz, bo w ten sposób oszczędzało się paliwa i hamulców. Snyder jednak napatrzył się w życiu na tyle kraks, że z miejsca nacisnął na pedał hamulca. Wielkie ciężarówki zatrzymują się dość powoli, więc po co ryzykować? Snyder niewiele dni przedtem widział małe japońskie autko, zgniecione przez podobną ciężarówkę niczym sreberko od czekolady, i to z zawiniętym w środku sędziwym kierowcą. O, nie.

Pozostawało tylko zredukować bieg i na wszelki wypadek włączyć migające światła mijania.

Pierce Denton z irytacją spojrzął w lewe okno, za którym przemknęła wyprzedzając ich inna Cresta, tym razem w sportowej wersji C99, produkowanej wyłącznie w zakładach w Japonii. Druga Cresta była czarna, z podłużnym czerwonym pasem. Więcej Denton nie zauważył, bo samochód przemknął z wizgiem na dużej szybkości i zniknął w przedzie. Sto trzydzieści kilometrów na godzinę jak nic. W

Greenville kierowca zapłaciłby za taką przyjemność sto dolarów mandatu, a oprócz tego musiałby wysłuchać kazania z ust sędziego, Toma Andersa. Kiedy te gówniary zdążyły się tak rozpędzić?

Tymczasowe tablice rejestracyjne. Hmm...

Denton miał na myśli dwie dziewczyny, które w przelocie zauważył w drugiej Crescie.

Nastolatki. Któraś musiała pewnie dostać prawo jazdy, a do tego, jako prezent od taty, sportowy



wóz.

Wolny kraj, każdy ma prawo jeździć, czym mu się podoba. Zgoda, ale... Denton miał swój pogląd na ten temat. Nawet w wolnym kraju nie wolno być idiotą i narażać się na mandat już od pierwszego dnia za kierownicą. Denton nie miał jednak zamiaru wyręczać miejscowej policji, a poza tym miał dzisiaj wolne.

Pokręcił więc tylko głową. Typowe, typowe. Dziewczyny pędzą, a w dodatku nie patrzą na jezdnię, tylko gadają jak najęte. Dobrze chociaż, że ich wyprzedziły. Kogoś takiego lepiej mieć na oku, przed sobą, nie za sobą.

— O, rany — Snyder miał tego naprawdę dosyć. W jednej z przydrożnych restauracji podsłuchał kiedyś rozmowę miejscowych. Co do jednego powtarzali oni, że mgłom winne jest „całe to atomowe wariatkowo w Oak Ridge”. Kto wie, może i tak. Wszystko jedno, widoczność na drodze spadła teraz najwyżej do dziesięciu metrów. Niedobrze, niedobrze... Snyder włączył migające światła awaryjne i jeszcze bardziej zwolnił. Nigdy nie obliczył tego dokładnie, ale ocenił, że przy tej masie ciągnik z naczepą ciężarową przy prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę potrzebował dwadzieścia metrów, by się zatrzymać. I to w dodatku na suchej jezdni, a tu autostrada była mokra jak nieszczęście.

Może więc nie zawracać sobie głowy? E, po co ryzykować? Na razie Snyder zwolnił do trzydziestu na godzinę. Niech tam, pojedzie pół godziny dłużej niż myślał, nie szkodzi. Dyspozytor wiedział, że na tym odcinku I-40 zdarzają się podobne warunki, więc nie trzeba się będzie z nim wyklócać. Lepiej zapłacić nadgodziny niż ryzykować wypadkiem i podwyżkami stawek ubezpieczeniowych dla całej firmy.

Kierowca sięgnął po swoje radio CB i przekazał ostrzeżenie o mgle pozostałym kierowcom ciężarówek w okolicy.

— Uważajcie, panowie, bo widzę tyle, jakby mnie zamknęli w piłce pingpongowej. Mgła jak cholera.

Snyder odłożył radio i znów wbił wzrok w wodny opar przed maską. Nie wiedział, że groźba nadciąga z przeciwnej strony, od tyłu.

Mgła stanowiła zupełne zaskoczenie. Denton miał rację, domyślając się, że dziewczyna w czarnej Crescie, Nora Dunn, ma prawo jazdy od niedawna. Nora ukończyła szesnaście lat dokładnie osiem dni wcześniej, przed trzema dniami dostała tymczasowe prawo jazdy, a na liczniku nowiutkiej C99 zdążyła nakręcić dopiero dziewięćdziesiąt kilometrów. Dzisiaj umyślnie wybrała pustą, szeroką autostradę, bo jej przyjaciółka, Amy Rice, była ciekawa, jaką prędkość da się wycisnąć z Cresty. Dziewczyny gnały więc na złamanie karku, z głośników leciała na cały regulator muzyka — Cresta miała na wyposażeniu nawet odtwarzacz kompaktowy — a że rozmowa zeszała na temat tak pasjonujący, jak koledzy ze szkoły, Nora prawie nie patrzyła na jezdnię. Żadna zresztą sztuka utrzymywać samochód między ciągłą linią przy poboczu a przerywaną linią między pasami. Ruchu nie było, w lusterku od dłuższej chwili nawet nie mignął inny samochód, a poza tym ile zabawy!

Tylko one dwie, i auto, a przecież, kiedy się umówi z chłopakiem, ten zawsze będzie się upierał, że to on koniecznie musi prowadzić. Zawsze to samo, jak gdyby dorosłej kobiecie nie wolno było robić co jej się tylko spodoba.

Mina Nory nieco zrzędała, gdy widoczność na autostradzie skurczyła się nagle — na ile, Nora nie umiała ocenić. Nie pozostawało nic innego, jak zdjąć nogę z gazu. Do tej pory jechały z szybkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Z tyłu nie było nikogo, z przodu więc z pewnością także nie, ale trudno, trzeba zwolnić: tak uczyli instruktorzy na kursie nauki jazdy. Instruktorzy wtajemniczyli Norę we wszystko, co trzeba umieć, a przynajmniej próbowali — w rym wieku często lekcje wpadają jednym uchem i zaraz uciekają drugim. Najważniejsze to zdobywać doświadczenie.

Tym razem Nora nie miała jednak szansy, by uczyć się na błędach. Kiedy z przodu zamigotały tylne światła wielkiej ciężarówki, Nora wzięła je za przydrożne latarnie. Zgoda, na poboczach autostrad, daleko za miastem, nie ma latarni, ale może tu akurat były? Jako świeżo upieczony kierowca, Nora nie miała obowiązku znać się na takich szczegółach. Co więcej, dodatkowe ostrzeżenie nie miało wielkiego znaczenia, bo pozwoliłoby zaoszczędzić najwyżej sekundę. Kiedy z mgły wyrosło tuż przed Cresta kanciaste pudło ciężarówki, było już za późno, by cokolwiek zmienić. Przy prędkości stu kilometrów na godzinę, trafienie w ciężarówkę wlokącą się trzydzieści na godzinę było nieuniknione. Taki sam skutek przyniosłoby zderzenie z trzydziestotonową, nieruchomą przeszkodą przy prędkości siedemdziesięciu kilometrów — taki sam, czyli fatalny.

W odgłosie zderzenia jest zawsze coś takiego, od czego z miejsca kurczy się żołądek. Will Snyder miał już w życiu okazję słyszeć ten dźwięk, podobny do chrzęstu ciężarówki pełnej blaszanych puszek, zgniatanej pod prasą hydrauliczną. Praw fizyki, które rządzą równaniami masy i prędkości na szosie, wszyscy uczą się nie tylko na lekcjach fizyki, bo często także na własnej skórze.

Trafienie w lewy tylny narożnik naczepy pchnęło cały samochód w prawo, ale na szczęście, dzięki małej prędkości, Snyder zdołał jakoś opanować poślizg i prędko zatrzymać wóz. W lusterku widać było smętne resztki japońskiego autka, dokładnie takiego, jakie miał ochotę sobie sprawić brat Snydera.

Idiota! Małe auta są niebezpieczne! Choć z drugiej strony, takiego zderzenia nie przetrzymałby żaden samochód... Cresta miała zgnieciony cały przód i przekoszona karoserię. W miejscu, gdzie przedtem była przednia szyba, mignęło Snyderowi coś czerwonego.

— O, rany!

Było jasne, że Amy Rice nie żyje, choć poduszka powietrzna przed jej fotelem zadziałała bez zarzutu. Prędkość zderzenia była taka, że całą lewą stronę Cresty wprasowało pod naczepę. Potężny zderzak, zaprojektowany z myślą o uderzeniach w rampy załadunkowe, rozciął japońską karoserię niczym piła łańcuchowa. Nora Dunn przeżyła kraksę, lecz straciła przytomność. Crestę C99 można było z miejsca odwieźć na złom: aluminiowy blok silnika pękł, a nadwozie zgięło się w podkowę. Co gorsza, przerdzewiały zbiornik paliwa dostał się między dwie zgniecione razem wytłoczki i także pękł, a na mokną szosę pociekła benzyna.

Snyder także spostrzegł kałużę benzyny. Nie zgasił silnika, więc prędko zjechał teraz ciężarówką na pobocze, chwycił gaśnicę śniegową i wyskoczył prosto w zaspę przy skraju pobocza. Ocalenie życia zawdzięczał tylko temu, że dobiegnięcie do Cresty zabrało mu dłuższą chwilę.

— Czemu się tak kręcisz, Jeanine?

— Jessica! — pisnęła dziewczynka, zła, że nawet rodzony ojciec nie potrafi jej, odróżnić od siostry.

— Czemu się tak kręcisz, Jessica? — Denton roześmiał się głośno.

— Mały się zesmrodził!

— I co jeszcze? — Pierce Denton westchnął i pogłaskał żonę po ramieniu, by ją zbudzić. W tej samej chwili spostrzegł coraz bliższą ławicę mgły, więc co prędzej zdjął nogę z gazu.

— Co się dzieje, kochanie?

— Matt, no wiesz... Trzeba go przewinać.

— Już, już... — Candice rozpięła pas bezpieczeństwa i przez oparcie sięgnęła do tylnego siedzenia.

— Mówiłem ci, żebyś nie rozpiniała pasa, Candy — odezwał się jej mąż, który także się odwrócił, dokładnie w najgorszym momencie. Bezwiednie zwrócił wóz trochę za bardzo w prawo, próbując jednocześnie obserwować jezdnię i dopomóc żonie, która szamotała się we wnętrzu nowego samochodu.

— O, kur... — Denton instynktownie szarpnął kierownicą w lewo, do końca, choć z góry wiedział, że już nie zdąży. Z całej siły nadepnął na hamulec, z tym samym skutkiem, czyli żadnym. Tyłne koła zaczęły się ślizgać po mokrej jezdni, odwracając samochód bokiem i niosąc go prosto w tył innej, czarnej Cresty. Ostatnią myślą Dentona było: „Czy to ta sama, która...”.

Cresta Dentonów była wprawdzie czerwona, lecz Snyder spostrzegł ją dopiero wtedy, gdy zderzenie było tuż-tuż. Kierowca ciężarówki był w tamtej chwili siedem metrów od czarnego wraka i biegł w tamtą stronę, wymachując ciężką gaśnicą.

Denton drgnął. Nie miał nawet siły, by zakląć czy choćby jęknąć. W pierwszej chwili pomyślał, że zderzenie okazało się nie takie groźne. Bywało gorzej. Siła bezwładności pchnęła Candy w prawo, w tę samą stronę, w którą poszło uderzenie. Niedobrze. Całe szczęście, że dzieci były z tyłu, w fotelach, i dzięki Bogu, bo inaczej...

Decydującym czynnikiem, który uśmiercił pięcioro ludzi w Crestach, była korozja metalu. Oba zbiorniki paliwa pochodziły z tej samej wadliwie ocynkowanej partii, na obu w czasie podróży przez Pacyfik osiadła sól, a jazda po stromych drogach wschodniego Tennessee dokonała reszty. Spoiny i spawy obu zbiorników były tak marne, że oba zbiorniki paliwa przy zderzeniu rozeszły się w szwach. Impet sprawił, że blaszany zbiornik drugiej Cresty dotknął jezdni i tarł o nią na odcinku kilku

metrów. Osłona antykorozyjna natychmiast odleciała całymi płatami, pękła kolejna spoina, a gdy spod gołego metalu sypnęły się iskry, buchnęły płomienie. Przez pierwszych kilka sekund ogień trysnął w przód, w tą samą stronę, w którą rozlewała się benzyna.

Ognista kula, jaka uniosła się nad wrakami, w ułamku sekundy rozepchnęła mgłę. Błysk był tak oślepiający, że kierowcy aut na przeciwległej jezdni autostrady zaczęli w panice hamować. Sto metrów dalej doszło nawet do stłuczki trzech aut, na szczęście niegroźnej. Choć szosa wydawała się pusta, ze wszystkich stron zaczęli teraz nadbiegać ludzie. Ogień liznął też natychmiast kałużę benzyny pod samochodem Nory Dunn. Dziewczyna na szczęście do końca nie odzyskała przytomności, nawet wtedy, gdy ogień oparzył jej skórę i osmalił włosy.

Will Snyder był na tyle blisko, że widział dokładnie twarze pięciorga osób z czerwonej Cresty.

Dwie z nich — twarze matki i niemowlęcia — miał zapamiętać do końca życia. Kobieta, wciśnięta między fotele i kurczowo ściskająca dziecko, patrzyła wprost na kierowcę, gdy w błysku ognia zrozumiała, że umrze. Pożar przesądzał właściwie o całej reszcie, lecz Snyder nie zwolnił biegu nawet na sekundę. Przy zderzeniu otwarty się lewe tylne drzwi czerwonej Cresty, dzięki czemu była jeszcze jakaś szansa, o tyle istotna, że ogień obejmował w tej sekundzie jedynie drugi bok rozbitego auta. Snyder rzucił

się z wyciągniętą gaśnicą. Jak się okazało, czasu miał tyle co nic. Snyder mógł wyszarpnąć z płonącego wozu tylko jedno dziecko. Nie musiał decydować, które. Ogień palił mu twarz, lecz na szczęścia miał na dłoniach rękawice, a gaśnica zdusiła na mgnienie pożar w tylnej części wnętrza wozu. Snyder sięgnął

między płomienie, dym i białą pianę dwutlenku węgla, szukając niemowlęcia. Na próżno. Za to na lewym krzeselku spostrzegł naraz, tuż przed sobą, rozkrzyczaną, przerażoną dziewczynkę. Dłońmi w rękawicach Snyder wymacał i rozpiął chromowany zatrzask i z całej siły wyszarpnął dziecko z płonącego samochodu.

Przy okazji złamał dziewczynce rączkę. Tuż przy barierze autostrady leżała spora zaspą mokrego śniegu.

Snyder zanurkował w nią, przyciskając dziewczynkę do siebie, byle dalej od ognia, który zdążył zapalić na nim ubranie. Wolną ręką nagarnął garść śnieżnej brei na twarz dziewczynki, a potem na własną.

Natychmiast poczuł przenikliwy, piekący ból, ból, który był jednak niczym w porównaniu z tym, co miało nastąpić później. Zmusił się do tego, by się nie odwracać, nie patrzeć za siebie, tam, gdzie spośród płomieni dobiegał przenikliwy krzyk płonących ludzi. Odwrócić się oznaczałoby w tej chwili popełnić samobójstwo. Spróbował jednak tylko spojrzeć na małą Jessikę Denton, dyszącą i rozszlochaną, z osmaloną twarzą. Byle tylko prędko nadjechała policja, policja i karetka... Kiedy piętnaście minut później sanitarka zjawiała się na miejscu, kierowca i dziecko stracili przytomność. Głęboki szok pourazowy.

## Przyśpieszenie

Ponieważ gdzie indziej nic się akurat nie działo, a wypadek zdarzył się niedaleko miasta, prasa i telewizja z miejsca podchwyciły historię, znęcone liczbą i młodym wiekiem ofiar. Jedna z miejscowych stacji telewizyjnych z Knoxville współpracowała z CNN, dzięki czemu w południe reportaż z miejsca wypadku pokazano także w serwisie krajowym CNN. Satelitarny wóz transmisyjny pozwolił młodemu dziennikarzowi pochwalić się swym talentem przed całym światem — dziennikarz cieszył się bardzo, bo nie marzył o niczym innym jak o tym, żeby się wyrwać z Knoxville — a ponieważ mgła podniosła się do końca, kamery mogły zarejestrować każdy szczegół.

— O, cholera — Ryana także zatkało, gdy zobaczył zdjęcia. Siedział akurat w kuchni, obok małego telewizora. Rzadko zdarzało mu się spędzać sobotę z rodziną. Cieszył się więc myślą, że pod wieczór będą się mogli wszyscy wybrać na mszę do Świętej Marii, i że w niedzielny poranek nie będzie się trzeba śpieszyć ze wstawaniem. Jednak na widok zdjęć z wypadku Ryan odłożył nie dojedzoną kanapkę na talerz.

Do wypadku przyjechały trzy wozy pożarnicze i cztery karetki. Para tych ostatnich nadal tkwiła na miejscu zdarzenia, co nie mogło oznaczać niczego dobrego. Wieloosiowa ciężarówka właściwie nie ucierpiała, choć widać było, że ma wygięty zderzak. Liczyło się jednak to, co widać było na pierwszym planie: dwie sterty pogiętego, okopconego na czarno metalu i otwarte drzwi, za którymi była tylko pustka, dym i spalenizna. Wokół kręciło się nadal parunastu policjantów z patrolu drogowego. Miny mieli nie tyle poważne, ile zwyczajnie ponure. Nie rozmawiali i nie żartowali między sobą, jak się to zwykle dzieje nawet przy wypadkach. Dla policjantów wypadek to w końcu nic nadzwyczajnego. Na oczach Jacka dwaj policjanci wymienili się uwagami. Obaj pokręcili smętnie głowami i spojrzeli na szosę, pewnie na dziennikarza, który nadal klepał swoje do mikrofonu. Proszę państwa, mgła, duża prędkość, wybuchły oba zbiorniki. Sześć trupów, w tym czwórka dzieci. Z miejsca wypadku na szosie 40 pod Oak Ridge w Tennessee mówił dla państwa Bob Wright. A teraz reklama.

Jack znów zajął się swoją kanapką. Cóż zrobić, w życiu tak już bywa. Wypadek to wypadek, zamknięta sprawa.

Na szosie 40, pięćset kilometrów na zachód od domu Ryanów nad zatoką Chesapeake, oba okopcone wraki nadal ociekały wodą, po tym, jak strażacy uznali za stosowne zrobić swoje, choć w niczym się to już nie mogło przydać ofiarom zderzenia. Policyjny fotograf wypstrykał trzy rolki filmu o czułości 200 ASA. Umyślnie starał się uchwycić otwarte usta ofiar. Ludzie ci zginęli krzycząc. To samo spostrzegł sierżant Thad Nichols, odpowiedzialny za zabezpieczenie śladów. Nichols służył w drogówce od dwudziestu lat, więc dzisiejszy wypadek nie był pierwszym, przy którym przyszło mu przyglądać się wyciąganiu zwłok spomiędzy blach. Ponieważ służbowy rewolwer Pierce'a Dentona upadł na asfalt, nawet bez oglądania znaczka identyfikacyjnego można było stwierdzić, że jeden z zabitych to policjant.

Do tego żona i dwójka dzieci. I dwie nastolatki. Są sprawy, do których człowiek nigdy się nie przyzwyczai. Poza tym zginąć w wypadku to jedno, ale zginąć w tak okropny sposób... Czemu Bóg dopuścił do śmierci dwójki małych dzieci? Trudno, widać dopuścił. Pora brać się do obowiązków.

Wbrew temu, czego się można dowiedzieć z każdego hollywoodzkiego filmu, wypadek miał

niecodzienny i dziwny charakter. Samochody niezmiernie rzadko eksplodują, nawet przy poważnej kraksie. Nichols fachowym okiem ocenił, że dzisiejszy wypadek nie był aż tak poważny, a raczej nie powinien taki być. Owszem, jedna ofiara śmiertelna była nieunikniona, bo dziewczynie z fotela pasażera w pierwszej Crestie zderzak ciężarówki nieomal uciął głowę, ale co do reszty... Ci ludzie naprawdę nie musieli zginąć. Kiedy pierwsza Cresta uderzyła w ciężarówkę, różnica prędkości między pojazdami wynosiła siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Drugi wóz osobowy uderzył w pierwszy pod kątem. Nicholas nie wiedział, czemu zabity policjant próbował wykonać tak głupi manewr.

Fakt, wiedział, że żona ma rozpięty pas. Może zresztą żona, zajęta poskramianiem dzieci, odwróciła uwagę męża od tego, co się działo na szosie. Trudno, stało się.

Tylko jedna spośród szóstki śmiertelnych ofiar zginęła w wyniku zderzenia. Pozostała piątka straciła życie w płomieniach. Dziwne, bardzo dziwne. Samochody buduje się tak, by nie zapalały się od byle czego. Na wszelki wypadek Nicholson kazał swoim ludziom skierować cały ruch w obie strony jednym pasem autostrady, w przekonaniu, że zanim się usunie wraki, warto zbadać wszystko dokładnie.

Przez samochodowe radio Nicholson zażądał przysłania z Nashville dodatkowej ekipy śledczej i kogoś z miejscowego oddziału Federalnej Rady Bezpieczeństwa Transportu. Tak się składało, że jedna z pracowniczek oddziału mieszkała w pobliżu Oak Ridge i już w pół godziny później zjawiała się na miejscu wypadku. Inżynier-mechanik, absolwentka pobliskiego Uniwersytetu Tennessee, Rebecca Upton przygotowywała się tego ranka do egzaminu specjalistycznego, ale kiedy otrzymała telefon, wskoczyła w nowiutki służbowy kombinezon i już wkrótce wczołgiwała się pod osmalone wraki na szosie numer 40.

Kierowcy wozów ratunkowych przestępowali z nogi na nogę, niecierpliwiąc się okropnie, choć przecież nie nadjechała jeszcze ekipa śledcza z Nashville. Rebecca Upton miała dwadzieścia cztery lata, była mała i piegowata, a kiedy wyczołgała się spod pierwszej Cresty, miała umorusaną twarz i oczy załzawione od oparów spalonej benzyny. Sierżant Nichols podał jej styropianowy kubek z kawą, prezent od strażaków.

— I co pani powie? — zapytał, nie spodziewając się usłyszeć niczego konkretnego. Dziewczyna wyglądała jednak na poruszoną, a oprócz tego nie bała się pobrudzić, co także dobrze o niej świadczyło.

— Wybuchły oba zbiorniki paliwa — zaczęła Rebecca. — Jeden urwał się przy zderzeniu, drugi zgmiotło, jaka prędkość?

— Pyta pani, przy zderzeniu? — Nicholson zastanowił się. — Nie taka znów duża.

Siedemdziesiąt, najwyżej osiemdziesiąt na godzinę.

Mnie też się tak wydaje. Zbiorniki paliwa projektuje się według specjalnych norm. Naprawdę nie miały prawa zawieść. — Rebecca Upton otarła twarz chusteczką, jaką jej podał Nicholson, podziękowała, piła trochę kawy i znów zaczęła się przyglądać wrakom.

— Co panią tak intryguje?

— Jak to, co? To, dlaczego sześć osób...

— Pięć — sprostował Nicholson. — Kierowca uratował jedno z dzieci.

— Ach, tak? Nie wiedziałam. Wszystko jedno, to się nie miało prawa zdarzyć. Nie było żadnego powodu, żeby... Przy prędkościach do stu na godzinę, w normalnych warunkach, takich jak tu, zbiorniki paliwa nie pękają, i tyle. Założę się o co pan zechce, że te samochody mają wadę konstrukcyjną. Dokąd zabieracie te wraki? — W Rebecce Upton ocknął się teraz urzędnik państwowy.

— Te dwie Cresty? Do Nashville. Jeśli pani chce, mogę je potrzymać na parkingu przy komendzie.

— Świetnie. Ja tymczasem zadzwonię do szefa. Wygląda na to, że będziemy musieli wszcząć federalne dochodzenie w tej sprawie. Chyba to panom nie będzie przeszkadzało, co?

Rebecca Upton pierwszy raz w życiu stykała się z taką sytuacją, ale z podręcznika zapamiętała, że w takich wypadkach jej biuro ma pełne prawo wszcząć śledztwo na skalę całych Stanów Zjednoczonych.

Rada Bezpieczeństwa Transportu cieszyła się rozgłosem z tej racji, że to właśnie jej pracownicy badali okoliczności każdej katastrofy lotniczej. Mniej znane były dochodzenia w sprawach katastrof kolejowych i wypadków na szosach. Rada mogła przy tym liczyć na pomoc każdej agencji federalnej.

Nichols brał już kiedyś udział w podobnym dochodzeniu, więc zgodził się natychmiast.

— Niech się pani nie boi, mój kapitan zrobi dla pani wszystko, słowo daję. Rebecca Upton prawie się roześmiała, choć okoliczności nie były wcale wesołe.

— A gdzie znajdę tych, którzy przeżyli wypadek? Kierowcę, no i to dziecko? Trzeba ich będzie przesłuchać.

— Karetka zabrała obydwoje do Knoxville. Nie wiem na pewno, ale mogli trafić stamtąd samolotem do Shriners' Hospital. Specjalny oddział poparzeń, wie pani. To co, skończyła pani? Bo my tu musimy oczyścić szosę.

— Dobrze, ale ostrożnie z tymi wrakami, trzeba będzie...

— Spokojna głowa. Dla nas to materiał dowodowy, a sprawa faktycznie pachnie kryminałem. —

Sierżant Nicholson obdarzył rudowłosą inspektorę ojcowskim uśmiechem.

Rebecca Upton nie mogła więc uznać dnia za stracony. Wprawdzie zabitym w wypadku nic nie mogło

już przywrócić życia, a makabryczna sceneria wstrząsnęła nią do głębi, lecz na tym polegała w końcu praca przy nadzorze transportu. Dla Rebeki Upton była to pierwsza inspekcja od chwili, gdy podjęła obowiązki. Na razie nie pozostawało jej nic innego, jak wrócić do małego Nissana, którym przyjechała, zdjęć kombinezon i zapiąć ciasno kurtkę. Zimno było dziś przeokropnie. Rebecca Upton zapomniała o tym jednak zaraz, przejęta swoją nową rolą. Czuła, że o tym, co się wydarzyło, powinno się roztrąbić na cały świat.

— Dzień dobry! — usłyszała. Tym, kto ją tak witał, był uśmiechnięty reporter stacji telewizyjnej.

— O co chodzi? — zapytała ostro, świadoma, że z dziennikarzami trzeba uważać.

— Może ma pani dla nas jakiś komentarz w tej sprawie? — Reporter trzymał mikrofon przy nodze, a ekipa filmowa także była zajęta czym innym.

— Ale nie do kamery. Między nami — odparła Rebecca Upton po sekundzie namysłu.

— Niech będzie.

— Ci ludzie zginęli, bo wybuchły zbiorniki paliwa. W obu wozach.

— To niecodzienna okoliczność?

— Wyjątkowo niecodzienna. I powiem panu... Federalna Rada Bezpieczeństwa Transportu wszczyna specjalne dochodzenie w tej sprawie. Ci ludzie wcale nie musieli zginąć, rozumie pan?

— Jasne! — Wright spojrział na zegarek. Za niecałe dziesięć minut miał przez łącza satelitarne znów połączyć się ze studiem CNN. Świetnie, że udało się dowiedzieć czegoś nowego.

Dziennikarz odszedł na bok, układając w myślach nowy komentarz dla telewidzów na całym świecie. Nareszcie jakaś atrakcja: Federalna Rada Bezpieczeństwa Transportu prowadzi dochodzenie w sprawie wad auta, które pismo „Motor Trend” okrzyknęło samochodem roku. Samochód roku śmiertelną pułapką! Ci ludzie naprawdę nie musieli zginąć. Ciekawe, czy kamerzyście uda się podejść na tyle blisko, by złapać ujęcie zwęglonego fotelika dziecięcego na tylnym siedzeniu? Tak czy siak, pierwszorzędny materiał.

Ed i Mary Patricia Foley siedzieli w gabinecie na najwyższym piętrze gmachu CIA. Fakt, że organizacją kieruje małżeństwo, powodował niejakie kłopoty organizacyjne. Po pierwsze, właściwym dyrektorem Agencji do spraw operacyjnych była Mary Pat, jako pierwsza kobieta, która dosłużyła się podobnej godności w całej historii Stanów Zjednoczonych. Od ćwierć wieku prowadziła w Langley najlepszych agentów i na działalności w terenie znała się jak mało kto. Jej mąż, Ed, nie był może aż tak wystrzałowy, ale za to świetnie spełniał rolę planisty. Obydwoje uzupełniali się więc talentami w dziedzinie taktyki i strategii. Mimo że wyższą funkcję sprawowała Mary Pat, mianowała natychmiast Eda swoim głównym zastępcą i faktycznie osobą równorzędną sobie. Co za tym idzie, w ścianie między ich gabinetami zrobiono osobne drzwi, by Foleyowie mogli się komunikować bez pośrednictwa sekretarek i asystentów. Pracy mieli sporo, choć personel CIA kurczył się z tygodnia na tydzień. Byli więc razem w pracy i w domu, a ponieważ zdążyli żyć się ze



sobą przez te parę dziesiątków lat, na najwyższych piętach hierarchii CIA nareszcie ustały tarcia i wojny podjazdowe.

— Kochanie, musimy jeszcze wybrać kryptonim.

— Co powiesz na STRAŻAKA?

— Nie lepiej STRAŻNIK?

— Jeden i drugi to mężczyźni.

— Tak? Aha, Lialin mówi, że z językiem dobrze im idzie.

— Muszą umieć tyle, żeby zamówić sobie coś w restauracji i zapytać, gdzie tu jest toaleta. —

Mary Pat nie łudziła się, że jej agenci w parę tygodni opanują do perfekcji japoński. — O ile chcesz się założyć, że będą mówili z rosyjskim akcentem?

Mary Pat i Ed spojrzeli po sobie. Obydwoje wpadli na ten pomysł równocześnie.

— Legenda?

— No, pewnie... — Mary Pat uśmiechnęła się szeroko. — Myślisz, że nie będą chcieli?

Wewnętrzne przepisy zabraniały agentom CIA podawać się za dziennikarzy, ale tylko za amerykańskich dziennikarzy. Ed dołożył w ostatnim czasie wielkich starań, by uściślić ten przepis, na przykład z tego względu, że sporo informatorów CIA rekrutowało się spośród dziennikarzy z krajów Trzeciego Świata.

Ponieważ obaj oddelegowani do tej operacji pracownicy mówili płynnie po rosyjsku, pomysł narzucał się sam przez się: pojedą do Japonii jako rosyjscy dziennikarze. Naginało się w ten sposób przepis, lecz na pewno się go nie łamało. Ed Foley także — choć bardzo rzadko — pozwalał sobie na wyskoki.

— Właśnie — podjęła myśl Mary Pat. — Clark pytał, czy zgadzamy się na to, że spróbuje uaktywnić OSET.

— Najpierw musimy mieć na to zgodę od Ryana i od prezydenta — Ed znów schował się do skorupy. Mary Pat nie dała się tak łatwo zbić z tropu:

— Co ty opowiadasz? Musimy mieć ich zgodę na to, żeby korzystać z siatki, a ja chcę tylko sprawdzić, czy siatka jeszcze istnieje.

Mary Pat zamrugnęła jasnoblękitnymi oczami.

— Wiesz, kochanie, co myślę o takich sztuczkach — zaczął Ed ostrzegawczym tonem, choć gdyby go zapytać, pierwszy by przyznał, że kocha żonę właśnie za jej pomysły. — Dobrze, niech będzie.

Ale mają tylko sprawdzić, czy OSET się trzyma.

— Uff. Już się bałam, że będę ci musiała wydać polecenie służbowe.

Mąż nie pozostał jej dłużny.

— Wydawaj sobie, co chcesz, byle tylko obiad był gotowy na czas. A instrukcję przekażę w poniedziałek.

— Aha, musimy w drodze do domu wskoczyć do supermarketu. W domu nie ma ani kawałka chleba.

## Gry na całość

W poniedziałek trzeba było dopilnować jeszcze paru drobiazgów, lecz w ogólnym zarysie plan Trenta był gotowy. Izba Reprezentantów miała rozpocząć obrady w południe, jak w każdy poniedziałek.

Kapelan odmówił modlitwę i zdziwił się, widząc że zamiast zastępcy na środkowym fotelu siedzi sam przewodniczący zgromadzenia. Zamiast pięciu czy sześciu deputowanych na sali była ich ponad setka. O

tej porze, kiedy odczytywano krótkie komunikaty, bywało tu pusto. Również w loży prasowej widziało się sporo twarzy. Normalna tego dnia była tylko liczba turystów i uczniów ze szkół na galerii dla publiczności. Kapelan stropił się nieco i nawet raz czy dwa zająknął, po czym szybko opuścił scenę. W

drodze ku drzwiom rozmyślił się jednak i został w sali, ciekawy co będzie dalej.

— Panie przewodniczący! — rozległy się wyczekiwane słowa.

Prowadzący obrady Izby nie musiał się rozglądać, by wiedzieć, kto prosi o głos. Rankiem otrzymał w tej sprawie telefon z Białego Domu.

— Udziela się głosu dżentelmenowi z Massachusetts.

Al Trent podszedł energicznym krokiem do mównicy i, nie śpiesząc się już, rozłożył notatki na trzech podręcznych blatach. Trzech jego asystentów rozstawiło stojak z planszami. Trent czekał, oczywiście umyślnie, by zwiększyć napięcie dramatyczne. Wreszcie odchrząknął i wypowiedział

tradycyjne słowa:

— Niech mi będzie wolno wnieść pod obrady Izby wniosek następujący.

— Udzielam zgody — odrzekł na to przewodniczący, choć dużo mniej bezbarwnym głosem niż zwykle. Tym razem czuło się w powietrzu coś nowego. Wyczuwali to nawet turyści i ich

przewodnicy, którzy zamiast jak to zwykle bywało pędem wypaść z galerii, także przysiedli i czekali. W fotelach zasiadło ponad osiemdziesięciu partyjnych kolegów Ala Trenta, a po drugiej stronie sali aż dwudziestka oponentów. Na obrady zjawili się też przywódcy partii mniejszościowej, którzy akurat tego dnia byli w Waszyngtonie. Część z nich udawała, że sprawa niewiele ich obchodzi, lecz sama ich obecność spowodowała poruszenie wśród dziennikarzy. Ci ostatni także spodziewali się sporej sensacji.

— Panie przewodniczący! W sobotę rano na autostradzie numer 40 między Knoxville i Nashville w stanie Tennessee, pięcioro Amerykanów zginęło straszliwą śmiercią w płomieniach. Zgładził ich japoński przemysł samochodowy. — Trent odczytał z kartki nazwiska ofiar, a jego asystent odstłonił pierwszą planszę z czarno-białą fotografią z miejsca wypadku. Trent pozwolił obecnym dokładnie się przyjrzeć zdjęciu i wszystkim uwiecznionym na nim okropnościom. W loży prasowej dziennikarze podawali sobie dopiero odbitki przemowy i dodatkowe zdjęcia. Pośpiech nie był więc wskazany.

— Panie przewodniczący! Nie pozostaje nam nic innego, jak zapytać, dlaczego ludzie ci musieli umrzeć, a po drugie, dlaczego ich śmierć zasługuje na rozprawę wysokiej izby. Otóż, na miejsce wypadku przybyła przyzwana tam przez policję inżynier Rebecca Upton, młoda pracowniczka służb federalnych, już po krótkich oględzinach stwierdziła ona, że wypadek spowodowany został rażącą wadą produkcyjną wspólną dla obu samochodów. Śmiertelny w skutkach wypadek miał przyczynę w wadliwie zaprojektowanych i wykonanych zbiornikach na paliwo.

— Panie przewodniczący! Nie tak dawno temu kwestia tych samych zbiorników paliwa stała na porządku obrad komisji do spraw japońsko-amerykańskiej wymiany handlowej. Dużo lepsze zbiorniki paliwa, tak się składa, że produkowane w moim okręgu wyborczym, zostały odrzucone przez japońską delegację, gdyż rzekomo nie spełniały wysokich, podkreślam, wysokich i rygorystycznych norm jakościowych, obowiązujących w Japonii! Dodam jeszcze, że amerykańskie zbiorniki paliwa tego samego typu są lepsze i tańsze w produkcji, a to za sprawą inteligencji i wydajności naszych robotników.

— Panie przewodniczący! Owe rzekomo wysokie i rygorystyczne normy japońskie skazały pięcioro Amerykanów na śmierć w płomieniach, i to w wypadku, który w myśl opinii policji stanowej z Tennessee i ekspertów z Rady Bezpieczeństwa Transportu nie wykraczał bynajmniej poza warunki przewidziane w normach obowiązujących w USA już od piętnastu lat. Wszyscy ci ludzie wyszliby z wypadku żywi. Tak się jednak złożyło, że jedna rodzina zginęła prawie w całości, a jedyne ocalone dziecko zawdzięcza życie odwadze i poświęceniu kierowcy ciężarówki, skądinąd związkowca — dwie inne zaś rodziny opłakują w tej chwili zgon pary młodych dziewcząt. A dlaczego? Dlatego, że nie pozwolono, aby amerykańscy robotnicy dostarczali lepsze jakościowo amerykańskie części nawet do samochodów tej marki produkowanych tu, na miejscu, w Ameryce! Jeden z tych wadliwych zbiorników paliwa wieziono dziesięć tysięcy kilometrów, tylko po to, by zamontować go w jednym z tych oto wypalonych wraków, tylko po to, by tym sposobem zgładzić parę małżonków, ich trzyletnią córkę i niemowlę!

— Dostyc tego, panie przewodniczący! Wstępny raport Rady Bezpieczeństwa Transportu, potwierdzony w całości przez naukowców z laboratoriów w Oak Ridge stwierdza, iż zbiorniki paliwowe w obu samochodach, a więc w tym wyprodukowanym w Japonii i tym zmontowanym na

miejscu, w Kentucky, nie spełniały norm bezpieczeństwa określonych dawno temu przez Departament Transportu.

Pierwszą reakcją Departamentu Transportu był nakaz wycofania z ruchu wszystkich prywatnych aut typu Cresta... — Trent zawiesił głos i rozejrzał się po sali. Obecni wiedzieli dobrze, iż na tym nie koniec.

Czekali niecierpliwie na prawdziwą bombę,

— Po drugie, poinformowałem prezydenta USA o tym jakże tragicznym wypadku i jego długofalowych skutkach. Z uwagi na stwierdzony przez Departament Transportu fakt, że ten sam typ zbiorniku paliwa stosuje się w prawie wszystkich japońskich autach importowanych do Stanów Zjednoczonych, wnoszę pod obrady Izby projekt ustawy o numerze porządkowym HR-12313, upoważniającej prezydenta do wydania departamentom Handlu, Sprawiedliwości i Skarbu odpowiednich zarządzeń, w myśl których...

— Na mocy zarządzenia prezydenta USA — informowała pani rzecznik Białego Domu w sali, w której trwała konferencja prasowa — gwoli zapewnienia mieszkańcom naszego kraju bezpieczeństwa, Urząd Cel i Departament Skarbu mają odtąd przeprowadzać w portach szczegółowe inspekcje samochodów wwożonych do Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza jeśli chodzi o auta tego samego typu, który spowodował śmierć pięciorga Amerykanów. Ustawę na ten temat, mającą uprawomocnić zarządzenie prezydenta kraju, wniósł dziś rano pod obrady Izby Reprezentantów deputowany Alan Trent, reprezentujący stan Massachusetts. Ustawa cieszy się pełnym poparciem ze strony prezydenta i ma szansę zostać uchwalona w ciągu kilku dni, wszystko po to, aby zapewnić bezpieczeństwo naszym współobywatelom.

— Autorzy ustawy posługują się technicznym określeniem, które mówi o „wzajemności w poszczególnych sektorach” — ciągnęła rzeczniczka. — Oznacza ono, że nasze władze ustawodawcze będą się starały ściśle naśladować praktyki handlowe, jakie wobec naszego kraju stosują władze Japonii.

Słucham?

Przedziwna rzecz, ale nikt nie zadał do tej pory ani jednego pytania.

— Dobrze, w takim razie przechodzę do następnej kwestii. Datę prezydenckiej wizyty w Moskwie określono na...

— Chwileczkę! — przerwał ktoś z obecnych, widać obdarzony lepszym refleksem niż reszta. —

Zaraz! Co takiego?!

— Co się dzieje, szefie? — zapytał Ryan, przerzucając dostarczone mu materiały.

— Proszę zerknąć na stronę numer dwa, Jack.

— Już, już. — Ryan przebiegł wzrokiem po papierze. — Cholera, wczoraj widziałem ten wypadek w

telewizji. No, coś takiego... Japończycy się pewnie wściekną.

— Niech hartują nerwy! — odrzekł chłodnym tonem prezydent Durling. — Przez rok czy dwa wydawało się, że się uporamy z deficytem w wymianie handlowej, ale gdzie tam. Ten ich nowy premier siedzi w kieszeni u bonzów przemysłu do tego stopnia, że nie ma mowy o handlu. Dosyć tego! Kiedy przysyłamy tam samochody, trzymają je miesiącami na nadbrzeżu, a potem rozbierają do ostatniej śrubki, żeby się przekonać, czy są „bezpieczne”. Rachunek za te zabawy doliczają, oczywiście, do ceny. Chcecie jeździć amerykańskimi wozami, to płaćcie.

— Wiem, że tak robią, panie prezydencie, ale...

— Ale dosyć tego. Zgoda?

Prezydent nie dodał, że powolutku zbliża się kampania wyborcza, w której głosy związkowców z przemysłu motoryzacyjnego bardzo się przydadzą. Nadarzała się okazja, by jednym posunięciem zaskarbić sobie wdzięczność związków zawodowych na długie lata. Jack Ryan miał w kwestiach polityki wewnętrznej nader niewiele do powiedzenia, więc roztropnie milczał.

— Proszę mi powiedzieć, jak tam wyglądają sprawy z Rosją i raketami — poprosił następnie Robert Durling. Umyślnie pozostawił największą bombę na sam koniec rozmowy. Następnego dnia wyznaczono na popołudnie wspólne spotkanie FBI i kierownictwa komisji wymiaru sprawiedliwości.

Durling rozmyślił się po chwili. Nie, trzeba zaraz zadzwonić do Billa Shawa i odwołać imprezę. Gazety powinny teraz pisać wyłącznie o Japonii, nie o harcach wiceprezydenta. Przyjdzie pora i na Kealty'ego.

Ryan dowie się wszystkiego w swoim czasie, powiedzmy, za tydzień. Na razie ani mru mru.

Dodatkowe zamieszanie wywołała różnica stref czasowych. Ponieważ w Tokio zegarki wskazywały godzinę czternaście godzin wcześniejszą niż w Waszyngtonie, pierwsze telefony zaniósł się terkotem nad ranem, kiedy wszyscy spali.

Amerykanie wprowadzili nowe przepisy w trybie zupełnie nietypowym, z pominięciem zwykłych kanałów rządowych. Zaskoczeni byli więc także ludzie, którzy na codzien zbierali dla Japonii informacje.

Ambasador w Waszyngtonie siedział w restauracji, podobnie jak reszta jego najbliższych współpracowników z placówki przy Massachusetts Avenue, kiedy nagle otrzymał sygnał, że musi wracać na teren ambasady. Rozdzwiewczały się też przywoływacze przy paskach innych japońskich dyplomatów, za późno jednak, bo satelity telewizyjne zdążyły już przekazać w świat pierwsze wiadomości. Dyżurni śledzący w Japonii programy satelitarnych sieci telewizji na całym świecie, natychmiast podnieśli alarm, a ich przełożeni przekazali meldunek wyżej. Obudzeni o tak niezwyklej godzinie *zaibatsu* nie byli w najlepszych humorach. Przemysłowcy zadzwonili z kolei do swych

podwładnych, którzy na szczęście zdążyli już się obudzić, i kazali im natychmiast łączyć się z poplecznikami Japonii w amerykańskim Kongresie. Ci ostatni także wzięli się już do roboty: po pierwsze, obejrżeli w telewizji na kanale C-SPAN

powtórkę z przemówienia Ala Trenta, a po drugie, z własnej inicjatywy nawiązali kontakty z kongresmanami i prasą, próbując stłumić pożar w zarodku. Wszędzie jednak spotykali się z chłodnym przyjęciem, nawet w miejscach, gdzie niejednokrotnie dziękowano im za hojne datki na tę czy inną kampanię. Czasem jednak ktoś pozwalał sobie na chwilę szczerości.

— Posłuchaj — zwrócił się do swego gościa jeden z senatorów, niepewny swoich losów w następnych wyborach i szukający pieniędzy, co zresztą dla nikogo nie było tajemnicą. — Nie namówisz mnie, żebym powiedział swoim wyborcom prosto w oczy, że ustawa jest niesprawiedliwa. Ośmioro ludzi spaliło się żywcem, a ja mam mówić, że to wszystko pic? Znajdź sobie innego głupiego.

Człowiek, który chciał pomóc Japonii pamiętał wprawdzie, że w wypadku zginęło tylko pięć osób, nie osiem, lecz rada, jaką usłyszał, była wcale rozsądna. Jako członek japońskiego lobby, gość senatora dostawał za swą fachową wiedzę trzysta tysięcy dolarów rocznie, i nic dziwnego, bo zanim przejrzał na oczy, przez dziesięć lat był wiernym sztabowcem innego z senatorów i znał na Kapitolu prawie wszystkich. Płacono mu jednak nie tylko za przekazywanie lewych dotacji na fundusze wyborcze, lecz także za trzeźwą ocenę sytuacji.

— Nic nie szkodzi, senatorze — odezwał się więc. — Proszę tylko nie zapominać, że tego rodzaju sytuacja może wywołać prawdziwą wojnę handlową, a na tym ucierpiemy wszyscy bez wyjątku.

— Tego rodzaju, jak pan powiedział, sytuacja ma to do siebie, że nie będzie trwała w nieskończoność — uspokoił go senator, niepomyślny fakt, iż sytuacja nie miała precedensu w historii USA.

Przeoczyli ten fakt również inni politycy, co do jednego przekonani, że kryzys jest chwilowy. O piątej po południu powtarzano to już powszechnie. Na wyspach Pacyfiku była siódma rano następnego dnia.

W gabinetach wszystkich członków Kongresu telefony dzwoniły teraz bez przerwy. Większość wyborców chciała tylko wyrazić swoje oburzenie wobec wypadku na autostradzie numer 40. Mieszkańcy 435 amerykańskich okręgów wyborczych nigdy nie przepuszczają okazji, by dać upust emocjom, dzwoniąc albo pisząc do swych reprezentantów w Waszyngtonie. Młodszy pracownicy biur odnotowywali każdy telefon, łącznie z godziną, datą, nazwiskiem i adresem rozmówcy. Choć o większości tych telefonów błyskawicznie zapomniano, z ich treści można było wysnuć wiele wniosków. Zyskiwało się także w ten sposób pokaźny materiał statystyczny.

Telefonowano także do starszych rangą urzędników na Kapitolu, a nawet do samych deputowanych z obu izb. Celowali w tym zwłaszcza właściciele i udziałowcy zakładów przemysłowych, którzy albo bezpośrednio konkurowali z wytwórcami z Japonii, albo próbowali w tamtym kraju coś sprzedawać i stracili na tym grube pieniądze. Porady przemysłowców szły przeważnie do kosza, ale sam fakt, że

dzwonili, bardzo się liczył.

Historia wypadku tylko na chwilę zatarła się w pamięci mediów, bo zaraz po przemówieniu Ala Trenta znów powróciła między najważniejsze depesze agencyjne. Tym razem prasa i telewizja publikowały zdjęcia zabitego policjanta, fotografie jego żony i trójki dzieci, a także zdjęcia dwóch dziewczyn, które zginęły w drugiej Crestie. W telewizji puszczano co chwila krótki wywiad, jakiego udzielił w szpitalu bohaterski kierowca ciężarówki. Kamery ukazywały też wijącą się z bólu, poparzoną Jessikę Denton. Widać było, że opatrujące zwęgloną skórę dziewczynki pielęgniarki płaczą jak bobry.

Nadano kilka wywiadów z adwokatami rodzin wszystkich ofiar. Wiadomo było, że rodziny wystąpią o ogromne odszkodowania. Honoraria dla adwokatów także musiały być odpowiednio wysokie. Reporterzy wszystkich sieci telewizyjnych wypytywali o wypadek rodziny ofiar, ich sąsiadów, przyjaciół i znajomych. Jedni z zapytanych płakali, inni dawali upust złości, inni jeszcze próbowali skorzystać na cudzym nieszczęściu.

Najlepsze pojęcie o tym, co się działo, dawała jednak historia z zbiornikami paliwa. Zanim jeszcze na wstępnym raporcie Rady Bezpieczeństwa Transportu zdążył wyschnąć tusz z drukarki, deputowani i senatorowie w Kongresie przekrzykiwali się już cytatami z dokumentu. Nikt nie chciał

przegapić takiej wspaniałej okazji. Amerykański przemysł samochodowy rozsyłał na wszystkie strony inżynierów, by wytłumaczyć światu naukową stronę usterki. Inżynierowie ze źle skrywanym zadowoleniem wyjaśniali, że winę należy złożyć na karb zwykłego niedbalstwa. Zbiorniki paliwa są tak proste w produkcji, że trzeba naprawdę sporej bezmyślności, żeby coś zepsuć. Czyżby Japończycy nie byli wcale tacy mądrzy, jak to wmawiali światu? W programie „Nightly News” telewizji NBC jeden z szefów działu technologii w koncernie Forda wyjaśniał prowadzącemu audycję:

— Musimy sobie uświadomić, Tom, że technologia galwanizowania stali istnieje od ponad stu lat.

Z cynkowanej blachy wyrabia się mnóstwo rzeczy, ot, choćby kubły na śmieci.

— Kubły? — zdziwił się nieco prezenter, który miał przed domem kubeł z plastiku.

— Tyle lat nam truli o kontroli jakości, tyle lat wmawiali, że nasze samochody są przestarzałe, mało oszczędne, niebezpieczne, i że na pewno nie zasługują na to, by je dopuścić do ruchu w Japonii, a tu proszę! Okazuje się, że Japończycy też nie są tacy mądrzy. Powiem krótko, Tom — w inżynierze obudziła się awanturnicza żyłka — zbiorniki paliwa zastosowane w obu tych Crestach były mniej wytrzymałe od blaszanego kubła na śmieci, wyprodukowanego metodą z 1890 roku. A skutek był taki, że pięć osób spłonęło żywcem.

Nie zaplanowana uwaga posłużyła jako tytuł dla całego programu. Nazajutrz rano okazało się, że ktoś ustawił pięć blaszanych kubłów przed główną bramą zakładów w Kentucky. Kubły opatrzone napisem: MOŻE TE BĘDĄ LEPSZE? Dyżurujący filmowcy z CNN uchwycili także i tę scenę (nie bez przyczyny, bo oczywiście uprzedzono ich o całej sprawie) i puścili to na antenie. Chodziło tylko o urobienie opinii ogółu, bo na ostateczny raport w sprawie przyczyn wypadku trzeba było czekać

jeszcze wiele tygodni. Aż nadto, aby przez ten czas złudzenia i domysły skutecznie wyparły z obiegu wszystko inne.

Kapitan motorowca „Nissan Courier” nie otrzymał przez radio żadnego ostrzeżenia w tej sprawie.

„Courier” był statkiem wyjątkowo brzydkim, choć typowym. Wydawać się mogło, że zaprojektowano go jako graniaste pudło i dopiero po namyśle zaostrzono dziób, by jednostka mogła łatwiej walczyć z falami.

Samochodowiec miał wysoko położony środek ciężkości, a kadłub o tak dużej powierzchni sprawiał, że byle powiew wiatru kiwał statkiem na wszystkie strony. O tym, by „Nissan Courier” dobił do nadbrzeża Dundalk w porcie w Baltimore bez pomocy czterech holowników nie było w ogóle mowy. Dundalk było dawnym miejskim lotniskiem, którego obszar naturalną koleją rzeczy służył teraz jako przechowalnia dla przywożonych drogą morską, importowanych samochodów. Kapitan statku osobiście kierował długą i skomplikowaną operacją cumowania. Pochłonęła go ona do tego stopnia, że dopiero po chwili kapitan zdał sobie sprawę, iż plac samochodowy jest zadziwiająco pełen aut. Ale dlaczego? Ostatni statek z zakładów Nissana w Japonii zawinął do Baltimore w ubiegły czwartek, więc plac powinien być już w połowie pusty, na tyle, by zrobiło się miejsce na kolejną dostawę. Co gorsza, w pobliżu placu czekały tylko trzy naczepy ciężarowe, którymi auta przewożono do punktów sprzedaży. A przecież zwykle naczep było tyle, ile taksówek przed dworcem kolejowym.

— Chyba rzeczywiście nie żartowali — zauważył pod nosem pilot, który przeprowadził statek przez zatokę Chesapeake. Na pokład „Couriera” wsiadł dość dawno, bo w pobliżu cypla Virginia Capes, ale czekając na rejs zdążył obejrzeć dziennik telewizyjny na statku pilotów. Co teraz? Pilot zszedł po schodach do swojej kabiny. Kapitana niech uprzedzi agent handlowy. Po co nadstawiać karku?

Agent handlowy wszedł po trapie na pokład, a stamtąd na mostek, i rzeczywiście oznajmił

kapitanowi statku nowinę. Na placu zostało wolnego miejsca na najwyżej dwieście samochodów, nie więcej. Od armatora nie nadeszły na razie żadne instrukcje, co dalej. Zwykle samochodowiec spędzał w porcie najwyżej dobę. Rozładunek, tankowanie paliwa, załadunek prowiantu i w drogę, na drugi koniec świata, gdzie znów odbywało się to samo: na puste pokłady wjeżdżały nowe samochody, po czym jednostka ruszała z powrotem do Ameryki. Rozkład rejsów był przeraźliwie nudny, lecz nieubłagany, a jego daty niewzruszone jak gwiazdy na nocnym niebie.

— Ale dlaczego, jak to? — zdumiał się kapitan.

— Każde z aut musi przejść dodatkową inspekcję. Inaczej nie dopuści się ich do sprzedaży. —

Agent machnął ręką w stronę brzegu. — Zresztą mech pan popatrzy, co się dzieje.

Kapitan uczynił to. Kiedy podniósł do oczu lornetkę Nikona, ujrzał jak sześciu inspektorów służby celnej wsuwa pod kolejnego Nissana podnośnik hydrauliczny. Kiedy wóz podniósł się nieco, para celników wpełzła pod spód, a reszta zaczęła coś pisać. Nie wyglądało na to, że celnicy śpieszą się z wykonaniem zadania. Przez lornetkę kapitan spostrzegł także, że celnicy przekrzykują się, a potem wręcz łapią za brzuchy. Dlaczego im tak wesoło? Dlaczego nie pracują jak przystało na urzędników



państwowych? Kapitan był tak zły, że nie skojarzył oglądanej sceny z tym, co widział nie raz w porcie w Yokohamie, kiedy dużo surowszą inspekcję przechodziły samochody amerykańskie, niemieckie i szwedzkie.

— Ależ w ten sposób utkniemy tu na kilka dni’ — wybuchnął.

— Może tylko na tydzień — uspokoił go agent.

— Przy tym nadbrzeżu jest miejsce tylko na jeden statek! Za siedemdziesiąt godzin ma tu przyplłynąć „Nissan Voyager”“

— Naprawdę mc na to nie poradzę.

— Ale co będzie z moim rozkładem rejsu... — w głosie kapitana zabrzmiało przerażenie.

— Na to także mc nie poradzę — powtórzył cierpliwie agent pod adresem człowieka, któremu ziemia rozstała się nagle pod nogami.

— W jaki sposób moglibyśmy pomóc? — zapytał Seidzi Nagumo.

— W czym mianowicie? — zdziwił się urzędnik Departamentu Handlu.

— Mówię o tym okropnym wypadku. — Przejęty Nagumo wcale nie udawał. Wprawdzie dawne japońskie domy z drewna i papieru zdążyły odejść w przeszłość, lecz nawet w erze nowych materiałów tamtejsza kultura zachowała osobliwy stosunek do ognia i pożarów. Japończyk, który zaproszył u siebie ogień i naraził przez to także swych sąsiadów odpowiadał nie tylko materialnie groziła mu za taki czyn kara więzienia. Nagumo naprawdę czuł więc wstyd, że samochód wyprodukowany w jego kraju spowodował tak straszliwą katastrofę. — Nie otrzymałem jeszcze oficjalnego komunikatu mojego rządu w tej sprawie, lecz chciałbym z góry pana zapewnić, iż odczułem tę sprawę bardzo boleśnie, jest to dla mnie osobista tragedia. Nie muszę dodawać, że nasza strona także rozpocznie specjalne dochodzenie.

— Jak to się mówi, lepiej późno niż wcale, panie Nagumo. Ale przypomina pan sobie zapewne, że rozmawialiśmy niedawno na ten sam temat..

— Owszem, to prawda, z tym, że musi pan zrozumieć sytuację. Przecież nawet gdyby doszło wówczas między nami do porozumienia, nasze zakłady zdążyłyby wypuścić te zbiorniki, więc ci ludzie zginęliby tak czy inaczej.

Amerykański negocjator czerpał niewątpliwą satysfakcję z obrotu wydarzeń. Trudno, paru ludzi w Tennessee musiało zginąć, ale za to można się było nareszcie odegrać na sukinsynie, który z taką arogancją od trzech lat pętał się po Waszyngtonie.

— Powtórzę tylko, Seidzi-san, że za późno na jakiegokolwiek „gdyby”. Owszem, propozycję współpracy z waszej strony przyjmujemy z zadowoleniem, ale nie zmienia to naszych decyzji. Zdaje

pan sobie sprawę, że naszym priorytetem jest ochrona życia i zdrowia obywateli USA. Nie ulega wątpliwości, że do tej pory nasze władze źle wywiązywały się z tego zadania i dlatego musimy teraz uczynić wszystko, by naprawić zaniedbania.

— Niech pan posłucha, naprawdę jesteśmy gotowi w tym dopomóc, choćby finansowo. Sam słyszałem, że nasze firmy motoryzacyjne chcą z własnych środków wynająć odpowiednią ilość inspektorów, którzy sprawdzą samochody w waszych portach, więc...

— Powiem bez ogródek, panie Nagumo, że to nie tylko niemożliwe to wręcz nielegalne. Najemni pracownicy przemysłu nie mogą wyręczać naszych władz w ich obowiązkach.

Wykręt był nieprawdziwy, z czego biurokrata dobrze zdawał sobie sprawę. Rząd USA na każdym kroku korzystał z pomocy prywatnych firm.

— W interesie naszych tak przecież dobrych stosunków handlowych oświadczamy, że pokryjemy wszelkie dodatkowe wydatki, jakie musi ponieść wasz rząd. Mamy szczerzy zamiar...

Amerikanin powstrzymał Nagumo gestem dłoni.

— Seidzi-san, bardzo proszę, ani słowa więcej na ten temat. Naprawdę. Proszę zrozumieć, że to, co pan nam tu proponuje, może zostać odebrane jako próba przekupstwa, przynajmniej w myśl naszych przepisów na ten temat!

Na kilka sekund zapadło niezręczne milczenie.

— Proszę zrozumieć, Seidzi-san. Kiedy nowa ustawa wejdzie w życie, wszystko prędko wróci do normy.

Proces legislacyjny rzeczywiście miał trwać rekordowo krótko, tym bardziej, że do Kongresu napływały wciąż nowe zbiorowe listy i telegramy. Świeżo zorganizowane grupy, reprezentujące zwłaszcza opinię związków zawodowych UAW, spontanicznie zasypywały Kapitol lawiną depesz. Związkowcy zwęszyli wielką okazję. Lada dzień komisje kongresowe miały zacząć prace nad Ustawą Trenta, oczywiście poza kolejką. Wtajemniczeni mówili, że uchwalenie dokumentu to kwestia najwyżej dwóch tygodni. Potem tylko podpis prezydenta, i szlus.

— Jak to, do normy? Przecież Ustawa Trenta...

Urzędnik Departamentu Handlu nachylił się ponad biurkiem.

— Skąd ten niepokój, panie Nagumo? Ustawa Trenta pozwoli prezydentowi, korzystając z porady prawników z mojego departamentu, zastosować w naszym kraju te same zasady, jakie od dawna obowiązują i u was. Pójdziemy zwyczajnie waszym śladem, i ani kroku dalej. Nie określi pan tego chyba jako niesprawiedliwość, że Stany Zjednoczone zaczynają wobec waszych wyrobów stosować te same uczciwe zasady, jakie wasz kraj stosuje wobec importu z USA?

Nagumo dopiero teraz zdał sobie sprawę z pułapki.

— Ależ pan pomija milczeniem podstawowe fakty. Nasze prawodawstwo jest dostosowane do naszej kultury. Ameryka jest inna, i inne są, co za tym idzie...

— Ależ tak, Seidzi-san. Wasze prawa istnieją po to, aby chronić rodzimą produkcję przed nieuczciwą konkurencją z zewnątrz. Co w tym dziwnego, że chcemy się kierować identyczną zasadą?

Owszem, ucierpi na tym nasz wzajemny handel, ale tylko wówczas, jeżeli będziemy bronili dostępu do własnych rynków. Jeśli otworzycie dla nas swój rynek, natychmiast uczynimy to samo. Jedyny kłopot w tym, że kiedy zastosujemy identyczne jak u was prawa wobec waszych wyrobów, może się okazać, że wasze prawa nie są aż tak sprawiedliwe, jak się powszechnie uważa. Ale i to nie jest jeszcze powodem do zdenerwowania. Sam pan powtarza mi od paru lat, że nie potrafimy handlować z Japonią równie aktywnie, jak wy handlujecie z nami. — Odprężony urzędnik uśmiechnął się do rozmówcy. — Nareszcie się przekonamy, czy miał pan rację w tych ocenach. Bo nie chce pan chyba powiedzieć, że do tej pory rozmyślnie... wprowadzał mnie pan w błąd, co?

Gdyby Nagumo był chrześcijaninem, westchnąłby w tej chwili „Wielkie nieba!”. Od dziecka wpajano mu jednak inny sposób reakcji na rzeczywistość, więc milczał, choć czuł się jak spoliczkowany.

Jego rozmówca nazwał go kłamcą. Najgorsze zaś w tym oskarżeniu było to, że Amerykanin wcale się nie mylił.

Ustawa Trenta, oficjalnie nazywana nadal Ustawą o Reformie Handlu, stanowiła temat numer jeden w całej prasie i w telewizji. Prezenterzy kolejnych audycji dzielili włos na czworo, by jak najlepiej wyjaśnić znaczenie dokumentu rzeszom Amerykanów. Żeby zrozumieć ustawę nie trzeba mieć doktoratu z filozofii. Przedstawiciele Białego Domu, a także sam Trent tłumaczyli, na czym polega znaczenie dokumentu w codziennym programie publicystycznym „MacNeil/Lehrer”: z mocy ustawy powołana zostanie komisja mieszana, złożona z prawników, ekspertów Departamentu Handlu i specjalistów od prawa międzynarodowego z Departamentu Sprawiedliwości. Komisja będzie analizować zagraniczne rozwiązania i przepisy, sporządzać projekty analogicznych przepisów amerykańskich i za pośrednictwem Departamentu Handlu przysyłać je na ręce prezydenta. Prezydent z kolei był upoważniony do tego, by wcielić projekty w życie z mocy zarządzenia. Żeby obalić takie zarządzenie wystarczała zwykła większość głosów w obu izbach Kongresu. Dzięki temu udawało się uniknąć nierównowagi sił między władzą wykonawczą, a ustawodawczą. Ustawa o Reformie Handlu miała automatycznie wygasnąć po czterech latach od jej wprowadzenia, chyba że Kongres ponownie ją uchwali, a nowy prezydent zaaprobuje jeszcze raz. Udawano w ten sposób, że ustawa jest tymczasowym tworem, uchwalonym po to, by przywrócić zasadę wolnego handlu z innymi krajami. Było to kłamstwem, ale zapominali o tym nawet ludzie, którzy skądinąd znali się na rzeczy.

— Proszę mi pokazać sprawiedliwszą ustawę niż nasza! — naciskał na telewizyjnych rozmówców Al Trent. — Naśladujemy przecież tylko wiernie rozwiązania, jakie stosują wobec nas inne państwa. Jeżeli zagraniczne przepisy nie przynoszą uszczerbku naszej gospodarce, te same przepisy wprowadzone u nas nie skrzywdzą z kolei państw, w których powstały. Nasi japońscy przyjaciele —

Trent uśmiechnął się jadowniczo — powtarzają nam od lat, że panujące u nich zasady są słuszne i sprawiedliwe. A skoro tak, to doskonale. Na naszym gruncie japońskie przepisy będą równie sprawiedliwe, co tam.

Najbardziej bawił Trenta widok min, jakie mieli rozmówcy po drugiej stronie stołu. Były zastępca sekretarza stanu, który obecnie brał ponad milion dolarów rocznie jako waszyngtoński poplecznik takich firm jak Sony i Mitsubishi, siedział bez ruchu i na próżno usiłował przywołać w myślach choć jeden sensowny argument. Trent zdawał sobie jasno sprawę, że przeciwnicy są bezradni jak dzieci.

— Takie posunięcie może dać początek wojnie handlowej... — zaczął były dyplomata, lecz Trent natychmiast przerwał mu w pół słowa.

— Z równym skutkiem mógłbyś nam tu tłumaczyć, Sam, że wojna wybuchła dlatego, iż podpisano Konwencję Genewską. Widzę tu analogię, bo Konwencja stosowała dokładnie te same zasady wobec wszystkich stron konfliktu. Jeśli chcesz nam powiedzieć, że wprowadzenie japońskich przepisów w amerykańskich portach zapoczątkuje wojnę, możemy już dziś uznać, że wojna to fakt. Powiedz tylko wtedy od razu, że pracujesz dla drugiej strony.

Po tych prędkich słowach na pięć sekund zaległo milczenie. Na niektóre kwestie nie ma dobrej odpowiedzi.

— Ale mu dołożył! — zachwycił się Ryan, któremu tego dnia nareszcie się udało przyjść do domu o ludzkiej porze.

— Bokser, nie polityk-zgodziła się Cathy, podnosząc wzrok znad swoich notatek medycznych.

— Właśnie. Ale popatrz, jak się z tym śpieszą. Przecież ledwo wczoraj miałem odprawę na ten temat.

— I chyba mają rację, nie sądzisz?

— Czy ja wiem... — Ryan zawahał się. — Moim zdaniem powinni się najpierw trochę zastanowić. Aha, powiedz mi, jacy są japońscy lekarze?

— Jacy? Tacy sobie. Nasi są dużo lepsi.

— Co ty powiesz? Jak to? — zdumiał się Jack, który naczytał się o powszechnej opiece zdrowotnej. Szpitale za darmo, a tu się nagle okazuje, że nie wszystko pasuje w tym obrazku?

— Japońscy medycy za często muszą się kłaniać — wyjaśniła Cathy wracając do notatek. —

Profesor ma zawsze rację, te sprawy. Młodzi lekarze nie są przyzwyczajeni do samodzielności, a kiedy już się postarzejają i zostają profesorami, okazuje się, że się niewiele nauczyli.

— A ty, jako Jej Profesorska Mość i Udzielny Sułtan Chirurgii Ocznej, nie masz zawsze racji? —

Jack roześmiał się.

— Przeważnie mam — Cathy znów oderwała się od notatek. — Ale to wcale nie znaczy, że nie pozwalam moim stażystom niczego kwestionować. Każdy ma prawo pytać o co tylko zechce. W klinice Wilmera mamy akurat trzech stypendystów z Japonii. Jako lekarze zupełnie nieźli, technicznie też sobie radzą, ale nie potrafią improwizować. Brak im wyobraźni albo śmiałości, nie wiem. Tak ich już wykształcono. Próbujemy ich oduczyć takich nawyków, ale idzie nam jak z kamienia.

— Góra ma zawsze rację, tak?

— Sam wiesz najlepiej, że to nieprawda. — Cathy zdecydowała się zmienić kolejnemu pacjentowi lekarstwo i uczyniła stosowny zapis. Jack patrzył na nią, uświadamiając sobie, że nauczył się czegoś nowego.

— Czy Japończycy potrafią w takim razie obmyślać nowe terapie?

— Gdyby to umieli, po co mieliby tutaj przyjeżdżać? To my uczylibyśmy się u nich, nie oni u nas.

Jak myślisz, skąd się wzięło tylu japońskich studentów w salach wykładowych na Charles Street? Czy tak trudno zgadnąć, dlaczego tylu z nich zostaje w Ameryce na stałe?

W Tokio, gdzie była dziewiąta rano, za pośrednictwem satelity telewizyjnego można było obejrzeć amerykański dziennik wieczorny. We wszystkich biurkach w centrum miasta czuwano więc już przy telewizorach, a wprawni tłumacze na bieżąco przekładali angielski komentarz na użytek miejscowych widzów. Program nagrywano oczywiście na taśmę, by móc później przeanalizować jeszcze raz niektóre fragmenty. Wystarczyło jednak nawet to, czego się dowiedziano w pierwszej chwili.

Siedzący za biurkiem Kozu Matsuda poczuł, że zaczynają mu drżeć ręce. Rozmyślnie nie położył

dłoni na blacie. Nie wolno okazywać słabości, gdy wokół krzątają się podwładni. Słowa komentarza brzmiały w obu językach — Matsuda doskonale władał angielskim — jednakowo fatalnie. Jeszcze gorsze były sceny z migawek filmowych. Koncern Matsudy tracił miliardowe zyski, a przyczyną tego były

„przejściowe trudności” w globalnej wymianie handlowej. Nie było tajemnicą, że jedna trzecia całej produkcji koncernu szła bezpośrednio na rynek amerykański. Jeżeli USA zawiesi import, lepiej nie myśleć, co będzie.

Po gadających głowach na ekranie pokazano kiwający się na kotwicy w Baltimore japońskie statki. „Nissan Courier” stał obok bliźniaczej jednostki, którą był „Nissan Voyager”. Na wody zatoki Chesapeake zdążył już tymczasem wpłynąć kolejny samochodowiec, choć przecież ledwo rozpoczęto rozładunek pierwszej jednostki. Statki zawinęły do Baltimore jedynie z uwagi na bliskie sąsiedztwo tego portu z Waszyngtonem. Identyczne sceny rozgrywały się w basenach portowych Los Angeles, Seattle i Jacksonville.

— Sprawdzają, jakbyśmy przemycali w tych samochodach narkotyki — pomyślał Matsuda, wściekły,

lecz zarazem pełen nowych obaw. Jeśli Amerykanie nie żartują, co wtedy?

Nie. Niemożliwe.

— Jak skomentuje pan uwagi o widmie wojny handlowej? — zwrócił się w programie telewizyjnym misiówaty Jim Lehrer pod adresem kongresmena Trenta.

— Powiem to samo, co powtarzam tutaj od lat, Jim. Wojna handlowa z Japonią trwa już co najmniej od pokolenia. To, czego chcemy dokonać, ma jedynie wyrównać nasze szanse.

— Ale jeżeli sprawy zajdą jeszcze dalej, czy nie ucierpi na tym interes naszej gospodarki?

— O jaki interes chodzi? Czy wolno rzucać na jedną szalę to, co zarabiamy na handlu z Japonią, a na drugą szalę dzieci, które giną w płomieniach? — odparł z miejsca Trent.

Matsuda poczuł się jak uderzony pięścią w brzuch. Metafora była zbyt bolesna w uszach kogoś, kto z całego dzieciństwa najbardziej zapamiętał datę 10 marca 1945 roku. Matsuda miał wówczas trzy lata i na plecach matki uciekał z rodzinnego domu, obróconego w zgliszcza za sprawą 21. Armii Powietrznej generała Curtisa LeMay. Koszmar tamtej chwili śnił się Matsudzie przez długie lata, a przeżycie uczyniło go na resztę dni pacyfistą. Studiując historię Matsuda poznał genezę i przebieg dawnego konfliktu.

Rozumiał więc, że Ameryka zapędziła jego przodków w ślepy zaułek i praktycznie zmusiła ich do wojny, choć wojna była rozwiązaniem jak najgorszym. A może Yamata ma rację? Może wszystko było od początku do końca spiskiem Waszyngtonu? Być może ukartowano wszystko tak, aby wciągnąć Japonię w konflikt i złamać ją, jako jedyny kraj, który był w stanie w przyszłości zagrozić amerykańskiemu mocarstwu? Matsuda nie rozumiał jednak mimo wszystko, z jakich przyczyn ówczesni bonzowie przemysłu, przedwojenni *zaibatsu* ze Związku Czarnego Smoka, dali się wplątać w taki koszmar jak wojna. Czy pokój, choćby i upokarzający, nie stanowił wówczas lepszego rozwiązania?

Tym razem miało być inaczej. Tym razem Matsuda także należał do grona *zaibatsu* i rozumiał, że prawdziwy kataklizm przyniesie dopiero rezygnacja z wojny. Czyżby więc poprzednie pokolenia wcale się tak bardzo nie myliły? Przed półwieczem także chodziło o to samo, co teraz: o dobrobyt, o utworzenie Azjatyckiej Strefy Dostatku.

Czytane za młodu podręczniki historii demaskowały tę ideę jako kłamstwo, ale czy to nie one kłamały?

Japońska gospodarka nie mogła się obyć bez surowców. Na wyspach były jednak tylko niewielkie złoża węgla, zanieczyszczającego w dodatku atmosferę. Japonii potrzeba była ruda żelaza, boksyty i ropa naftowa. Tę ogromną masę surowców trzeba było sprowadzać drogą morską i płacić za nią gotówką. Na wyspach surowce przemieniały się w gotowe wyroby, rzeczy, które dawało się sprzedać i zyskać nowe kwoty. Stany Zjednoczone, największy i najważniejszy partner handlowy Japonii, miały jednak oto zakręcić kurek z pieniędzmi. Chodziło zaś o prawie sześćdziesiąt

miliardów dolarów.

Katastrofę można było, oczywiście, odwlekać. Na razie jednak wartość jena na giełdach międzynarodowych leciała w dół z każdą sekundą. Mogło to oznaczać, że japońskie wyroby staną się tańsze, a więc i bardziej konkurencyjne...

Było jednak jasne, że Europa pójdzie śladem USA. Matsuda gotów był się o to założyć.

Tamtejsze przepisy, i bez tego dużo surowsze od amerykańskich, łatwo było obostrzyć do tego stopnia, by Japonia straciła kolejny rynek. Kiedy stopnieje nadwyżka w wymianie handlowej z Europą, jen znów pójdzie w dół. Coraz większe kwoty trzeba będzie płacić za surowce i paliwa. I tak dalej. Kiedy się leci w przepaść, ciało z każdą sekundą dodatkowo przyspiesza. Matsuda mógł się tylko pocieszać myślą, że nie będzie musiał oglądać chwili ostatecznej katastrofy: do tej pory dawno się pożegna ze stanowiskiem i w hańbie opuści biuro. Część kolegów wybierze pewnie samobójstwo... Niewielka część. Rytualne *seppuku* można było obecnie oglądać co najwyżej w telewizji, jako zabytek z czasów bogatej tradycji i ogólnego ubóstwa. Dzisiejszym Japończykom żyło się zbyt wygodnie, żeby... Wygodnie? Zgoda, może dzisiaj, ale za dziesięć lat? Może znów nastąpią czasy ubóstwa, a może... Może wręcz przeciwnie?

Matsuda powtarzał sobie, że wynik zależy także od niego. Władze kraju spełniały przecież każde życzenie władców wielkiego przemysłu. A skoro tak, czemu drżą mu ręce? Matsuda z ukłonem odprawił

obu sekretarzy i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Clark powtarzał sobie, że dłużej leci się już tylko do nieba. Chociaż koreańskie linie lotnicze zafundowały jemu i Chavezowi dopłatę do pierwszej klasy, niewiele to pomogło. Nawet śliczne koreańskie stewardesy w tradycyjnych strojach nie poprawiają humoru, gdy lot dłuży się w nieskończoność. Clark sporo ostatnio latał, więc zdążył już obejrzeć dwa z trzech oferowanych filmów.

Trzeci film okazał się śmiertelnie nudny. Wiadomości radiowe serwisu Sky News dostarczyły mu rozrywki na jakieś czterdzieści minut. Po tym czasie Clark wiedział już wszystko, o tym, co się wydarzyło na świecie, a przy swojej pamięci nie mógł nie zauważyć, że wiadomości zaczynają się powtarzać.

Lektura kolorowego magazynu linii KAL pozwoliła zabić jeszcze pół godziny, albo i mniej. Czasopisma amerykańskie Clark znał z poprzedniego tygodnia. Teraz mógł tylko nudzić się jak pies. Co innego Chavez. Ten wziął ze sobą swoje uniwersyteckie lektury i czytał Masseyów, a po nich tom o tytule

„Dreadnought”<sup>2</sup> rzecz o kryzysie, jaki przed stu laty kazał europejskim mocarstwom skakać sobie do oczu.

Owczesna wojna z perspektywy lat wydawała się historykom kwestią braku wyobraźni. Clark także przeczytał tę pozycję, wkrótce po tym, jak się ukazała.

— Na pewno im się nie uda. — pocieszył Chaveza po godzinie wspólnej lektury. Ding czytał

powoli, smakując każde słowo. Ostatecznie miał do czynienia z obowiązkową lekturą, więc śpieszyć się nie było sensu.

— Nie pleć, John. — Chavez podniósł wzrok znad bloku, w którym sporządzał notatki i przeciągnął się. Przy swojej drobnej budowie mógł to uczynić dużo łatwiej niż Clark. — Profesor Alpher kazał mi zidentyfikować w tamtych sytuacjach kilka kluczowych momentów. Błędne decyzje, te sprawy.

Ale problem polega na czymś jeszcze innym, wiesz? Na tym, że aby podjąć trafną decyzję, wszyscy tamta faceci musieliby wyjść z siebie, zapomnieć o tym, kim są i co robią. Na to żadnego z tych gnojków zwyczajnie nie było stać. Oni i obiektywizm! Poza tym żaden z całej zgrai polityków nie potrafił

przemyśleć sytuacji do końca. Fakt, potrafili mieć genialne posunięcia taktyczne, na dużą skalę, ale doraźne. Natomiast dokąd to wszystko prowadzi, tego nie wiedzieli. Nie dorastali do swych ról, ot co. Nie potrafili przewidzieć tego, co nastąpi, chociaż właśnie za to brali pieniądze. Czujesz, w czym rzecz? —

Chavez przetarł zmęczone oczy, zadowolony, że może umilić sobie czas rozmową. Czytał i notował już od jedenastu godzin, z przerwami jedynie na posiłki i wycieczki do toalety. — Przydałoby się przebiec parę kilometrów — westchnął, zmęczony podróżą.

John sprawdził, która godzina.

— Jeszcze czterdzieści minut. Zaczęliśmy podejście do lądowania.

— Myślisz, że dzisiejsi politycy są tacy sami? — zapytał od niechcienia Ding. Clark roześmiał się.

— A coś ty myślał, chłopcze? Wszystko się zmienia na tym świecie, tylko nie to.

— Aha, a druga rzecz, która się nie zmienia, to kiedy tamci w końcu coś spieprzą, my dostajemy po dupie, nie om. — Chavez wstał i ruszył do toalety, żeby ochlapać trochę twarz. Kiedy patrzył w lustro, zaczynał się cieszyć, że mają w planie całodzienny pobyt w mieszkaniu, które Firma utrzymywała do tych celów w Seulu. Nie byłoby źle wziąć prysznic, ogolić się i trochę odsapnąć, zanim przyjdzie przedzierzgnąć się w Rosjan. Może znajdzie się nawet chwila, żeby naszkicować zarys pracy dyplomowej?

Za oknem Clark ujrzał połac Półwyspu Koreańskiego, omywaną różowawym brzaskiem świtu.

Niewiarygodne, jaki się z małego Dinga robi intelektualista. Clark uśmiechnął się pod nosem. Owszem, Ding ma łeb. Musi jeszcze tylko formułować poglądy inaczej niż w zdaniu typu „Kiedy



tamci coś spieprzą, my dostajemy po dupie”. Praca magisterska miała bądź co bądź traktować o postaciach kalibru Gladstone’a i Bismarcka. Clark zaśmiał się na samą myśl o takiej możliwości, tak głośno, że omal się nie zadławił przesuszonym powietrzem kabiny. Kiedy otworzył oczy, Chavez właśnie wynurzał się zza drzwi toalety. Po drodze omal się nie zderzył ze stewardesą, ale kiedy ta go minęła, nie obejrzał się za nią. Może chory? Clark znał tylko jeden powód, dla którego ktoś taki jak Ding przestaje się oglądać za babami.

Najwyraźniej Ding kogoś już sobie upatrzył.

No, proszę. Sytuacja wygląda poważnie.

Murray prawie posiniał ze złości.

— Jak to, mamy spokojnie poczekać?! Bill, do ciężkiej cholery, przecież wszystko jest przygotowane. Lada dzień ktoś puści parę na temat śledztwa, i co wtedy? Mniejsza o to, że zaczną pisać prawdę o Kealty, ale jak się będą czuli nasi świadkowie?

— Pracujemy dla prezydenta, Dan i musimy robić, co każe — przypomniał Shaw — Osobiście wydał polecenie, żebyśmy się wstrzymali. Osobiście, nawet bez pośrednictwa prokuratury generalnej. Co, zrobiło ci się nagle żal Kealty’ego?

Traf chciał, że dokładnie do tych samych argumentów, jakie wysunął Murray, Shaw uciekł się w dyskusji z prezydentem Durlingiem. Kealty mógł sobie być gwałcicielem i ostatnim sukinsynem, ale nawet takim ludziom trzeba było dać okazję do obrony. FBI trzymało się tej zasady z uporem maniaka, nie z abstrakcyjnego umiłowania prawa, tylko po to, by oskarżeni nie mogli się wywinąć z powodu nieprawidłowości w śledztwie. Miało się poza tym pewność, że za kratki powędrowała właściwa osoba, a nie ktoś przypadkowy.

— Pewnie wszystko przez tę aferę z wypadkiem?

— A, pewnie. Prezydent nie chce dwóch bomb naraz na pierwszych stronach gazet. Heca z wymianą handlową rozkręca się na taką skalę, że Kealty musi poczekać tydzień albo dwa. Tak mówi prezydent. Nie przejmuj się, Dan. Nasza pani Linders czekała i bez tego ładnych kilka lat, więc jeszcze parę tygodni nie sprawi jej...

— Łatwo ci mówić! — parsknął Murray, ale pohamował się. — Przepraszam, stary. Wiesz, o co mi chodzi.

Chodziło mu o sprawę niesłychanie prostą śledztwo dobiegło końca i pora była przesłać całą rzecz do sądu, czyli w tym wypadku do Kongresu. Ale cóż, trudno. Nie odmawia się prezydentowi.

— Durling ustalił już wszystko z Kongresem. Nie puszczą pary z ust.

— Tak? Zobaczymy.

# Uwodziciele

— Ja też myślę, że jest niedobrze — powiedział Chris Cook.

Nagumo udawał, że przygląda się wzorom na dywanie. Wydarzenia poprzedniego dnia oszołomiły go do tego stopnia, że nie czuł już nawet złości. Zupełnie tak, jak gdyby się dowiedział z pewnego źródła, że za chwilę nastąpi koniec świata i że, co gorsza, nic nie da się na to poradzić. Oficjalnie Nagumo przebywał w Waszyngtonie jako średniego szczebla urzędnik z japońskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w dodatku nie biorący bezpośredniego udziału, jako zbyt mały pionek, w trwających rokowaniach handlowych. Była to jednak tylko zasłona dymna, bo w rzeczywistości to właśnie Nagumo miał za zadanie ustalać pozycję, jaką należy przyjąć w rozmowach. Do niego także należało zbieranie informacji na temat, co naprawdę myśli się o tym wszystkim w Ameryce. Nominalni przełożeni Nagumo właśnie od niego dowiadywali się, jakie należy zająć stanowisko i jak dalece można się posunąć w naciskach na USA. W gruncie rzeczy Nagumo był oficerem wywiadu, choć nosił inny tytuł. Nie oznaczało to, że podchodzi do zadania z chłodem zawodowca, przeciwnie, sprawa pochłaniała go i przejmowała bez reszty. Seidzi uważał się za obrońcę i dobroczyńcę własnego kraju, a także za uczciwego pośrednika między Japonią i Ameryką. Naprawdę zależało mu na tym, by Amerykanie doceniali japoński naród i kulturę. Pragnął, żeby kupowano tu japońskie wyroby. A przede wszystkim chciał, by w Stanach Zjednoczonych traktowano Japonię jako równego partnera, albo jak mądrego przyjaciela, od którego można się wiele nauczyć. Amerykanie dawali się ponosić emocjom i zapominali często o swoich prawdziwych potrzebach, jak to często bywa u ludzi, których rozpieszcza los. Obecne stanowisko, jakie Amerykanie zajęli w kwestii wymiany handlowej, było absurdalne i krzywdzące, gorsze od policzka wymierzonego przez własne dziecko. Dlaczego Amerykanie zapominają, że nie mogą się obejść bez Japonii i jej wyrobów? Nagumo był tym bardziej smutny, że osobiście od lat nakłaniał amerykańskich polityków, by przyjęli ten punkt widzenia.

Cook wiercił się w fotelu, i nic dziwnego. Sam także był doświadczonym dyplomatą i umiał

orientować się w nastrojach rozmówców. Seidzi mógł się w dodatku uważać za jego przyjaciela, choć w rzeczywistości był czymś więcej: mianowicie, biletem wstępu do dostatniego życia w latach, gdy przyjdzie się wycofać ze służby rządowej.

— Może cię pocieszę wiadomością, że datę wyznaczono na trzynastego.

— Jaką datę? — Nagumo podniósł wzrok na Amerykanina.

— Datę zniszczenia ostatniego pocisku strategicznego. Nie pamiętasz, że mnie o to niedawno pytałeś?

Nagumo zamrugał w zaskoczeniu. Tak, teraz już sobie przypominał.

— Ale dlaczego właśnie w ten dzień?

— Prezydent ma się wtedy zjawić w Moskwie. Obu stronom zostało dosłownie po parę rakiet, nie

znam dokładnej liczby. Po dwadzieścia, czy coś takiego. Ostatni pocisk zostawiają właśnie na piątek.

Fakt, dziwny zbieg okoliczności z tym piątkiem trzynastego, ale tak im widać wypadło. Chłopaki z telewizji już wiedzą, na razie jednak nikomu się nie chwala. Przy obu wyrzutniach będą kamery, bo chcemy urządzić bezpośrednią transmisję z... No, wiesz, z wysadzania. Sam powiedz... Jeszcze parę dni, i będziesz mógł uczcić pamięć dziadka dokładnie tak, jak mi mówiłeś.

— Ogromnie ci dziękuję, Chris. — Nagumo podniósł się i podszedł do barku, żeby dolać sobie trunku. Nie miał pojęcia, dlaczego ministerstwo zażądało od niego także tej informacji, ale skoro zażądało, trzeba było robić, co każą. — Dobrze, przyjacielu, ale tymczasem mamy inne zmartwienia. Co teraz?

— Nic, Seidzi, przynajmniej na razie. Nic się nie da zrobić. Nie zapominaj, że sam osobiście wspominałem ci o tych cholernych zbiornikach paliwa. Pamiętasz, mówiłem ci, żeby uważać na tego Trenta. Trent czekał na podobną okazję od lat. Jest gorzej niż myślisz. Wybrałem się dziś do Kongresu, żeby się trochę rozpytać. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiej masy listów i telegramów. Zastrane CNN nadaje w kółko tylko o tym, no, szaleństwo.

— Wiem, wiem. — Nagumo czuł się jak widz oglądający film grozy. Cała Ameryka z zapartym tchem oglądała kolejne doniesienia na temat stanu zdrowia małej Jessiki Denton. Lekarze przestali już mówić, że jej stan jest „krytyczny” i mówili teraz o „ciężkim”, a pod szpitalnym pokojem dziewczynki złożono tyle kwiatów, że korytarz wyglądał jak kwitnący ogród. W drugiej kolejności pokazywano jednak ujęcia z pogrzebu rodziców i rodzeństwa małej. Pogrzeb odwołł się z powodu rozmaitych medycznych i prawnych formalności, więc dopiero teraz setki żałobników, w tym wszyscy co do jednego kongresmeni ze stanu Tennessee, mogli się pokazać przed kamerami. W pogrzebie chciał także wziąć udział naczelny dyrektor zakładów, gdzie produkowano Cresty, by osobiście przeprosić rodziny zabitych i złożyć im kondolencje, lecz powiedziano mu, że bezpieczniej będzie, jeśli się nie pokaże. Dyrektor złożył więc stosowne kondolencje za pośrednictwem telewizji i w imieniu firmy obiecał pokryć wszystkie wydatki na leczenie oraz na przyszłą edukację dziewczynki. Przy okazji wspomniał, że on także jest ojcem dwóch córek. Przeprosiny przyniosły jednak skutek odwrotny do zamierzonego. W Japonii tego rodzaju oświadczenie czyniło cuda, o czym miał szczęście się przekonać Boeing po katastrofie 747, w której zginęło kilkuset Japończyków. W Ameryce traktowano jednak przeprosiny jako puste słowa, o czym Nagumo bez skutku próbował przekonać swoich kolegów z rządu. Adwokat wynajęty przez dalszą rodzinę Dentonów, słynący z liczby wygranych procesów i z ciętego języka, podziękował dyrektorowi za kondolencje i cierpko zauważył, że cieszy się, iż producent wyraźnie przyznał się do spowodowania śmierci wszystkich ofiar. Adwokat dodał, że dzięki temu łatwiej będzie przygotować akt oskarżenia.

Pozostawało tylko się umówić co do wysokości odszkodowania. Po cichu szeptano już, że adwokat zażąda od japońskiej firmy sumy miliarda dolarów.

Zakłady Deerfield Auto Part zaczęły już pertraktacje ze wszystkimi japońskimi firmami motoryzacyjnymi. Nagumo zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji zakłady z Massachusetts mogą przebierać w ofertach. Przy okazji Nagumo przypomniał swojemu ministerstwu amerykańskie

przysłowie, że nie warto zamykać drzwi stajni, skoro koń już i tak uciekł. Nowe posunięcia zamiast się przyczyniać do naprawienia szkód, potęgowały tylko wrażenie, że Japończycy zawinili do początku do końca.

Amerykański system prawny ma to do siebie, że nic w nim nie pogrąża osądzanych bardziej jak szczerze przyznanie się do winy.

W Japonii początkowo nie zdawano sobie sprawy z powagi tych zdarzeń. Kraksa samochodowa, choć straszna w skutkach, nie wydawała się niczym niezwykłym. Komentatorzy telewizji NHK

przypomnieli historię Boeinga 747 by uzmysłwić telewidzom po obu stronach Pacyfiku, że wypadki to rzecz przykra, ale normalna: Amerykanie też w swoim czasie narazili japońskich obywateli na śmierć, i to na znacznie większą skalę. Telewidzowie w USA odebrali jednak te komentarze nie jako porównanie, lecz jako próbę wybielenia się w oczach świata, tym bardziej, że ci, którzy publicznie bronili Japonii w USA, przeważnie brali od Japończyków pieniądze. Katastrofa narastała z godziny na godzinę. Dzienniki zaczęły drukować spisy byłych pracowników rządu federalnego, którzy po dymisji przeszli do pracy na rzecz zleceńodawców z Tokio. Porównywano przy okazji ich obecne apanaże z dawnymi. Najwybredniejszym z epitetów, jakie przy tym padały, było słowo „najemnik”. Jeszcze częściej padało słowo „zdrajca”, szczególnie kiedy wypowiadali się związkowcy i ci członkowie Kongresu, którzy obawiali się przegranej w nadchodzących wyborach.

Przekonywanie tych ludzi, że się mylą, miało się z celem.

— I co teraz będzie, Chris?

Cook odstawił szklaneczkę na blat stołu, jeszcze raz ocenił w myślach swoje położenie i prawie zaklął na myśl o tym, jakiego ma pecha. Że też się tak śpieszył z wycofywaniem się ze służby rządowej!

Mógł przecież poczekać parę lat, powiększyć jeszcze trochę swój fundusz emerytalny... Obliczył sobie przecież to wszystko nie dalej jak parę miesięcy temu. Przed rokiem, w lecie, Seidzi dał mu do zrozumienia, że nowe wynagrodzenie może być cztery razy wyższe niż obecne. Na początek. Nowi pracodawcy mieli poza tym troszczyć się jak mało kto o emerytury dla swych ludzi. Nie trzeba się bać utraty zysków, trzeba działać! Cook posłusznie zaczął zatem działać: sztorcował swoich bezpośrednich przełożonych, rozpowiadał na prawo i lewo, że ludzie, którzy decydują o wymianie handlowej USA z zagranicą to banda idiotów, śmiało dzielił się swoimi poglądami, wszystko to z pełną wiedzą, że jego przełożeni dowiedzą się o tym i postanowią się go pozbyć. Cook dał upust tym samym poglądom, choć dużo oględniej, w serii wniosków służbowych, które wysłał do kierownictwa ministerstwa. Chodziło mu o przygotowanie gruntu, tak aby jego prośba o odejście ze służby nie stanowiła dla nikogo niespodzianki.

Szło także o to, by pokazać się innym jako idealista, a nie człowiek łasy na lepszy zarobek. Kłopot polegał

na tym, że sukces tych posunięć oznaczał jednocześnie definitywny kres kariery rządowej. Cook zdawał

sobie sprawę, że jeśli zdecyduje się pozostać w Departamencie Stanu, nigdy w życiu nie doczeka się już awansu. No, może zostanie mianowany ambasadorem gdzieś daleko. Na przykład w Sierra Leone, chyba że się trafi większa dziura. Może Gwinea Równikowa? Na pewno jest tam więcej robactwa niż w Sierra Leone.

Cook powtarzał sobie teraz, że nie ma wyjścia. Pozostawało mu tylko wziąć głęboki oddech. Aha, i napić się na zapas.

— Seidzi, nie wyobrażaj sobie, że ta ustawa to tylko chwilowe zaburzenie. Ustawa przejdzie —

Cook nie musiał dodawać, że ma na myśli dokument „O Reformie Handlu”. — I to już za niecałe dwa tygodnie. Prezydent podpisze ją bez wahania. Grupy robocze w Departamencie Sprawiedliwości i w Departamencie handlu pracują już nad zarządzeniami wykonawczymi. Moje ministerstwo też oczywiście przyłoży rękę. Wysłaliśmy już do paru ambasad depesze, żeby nam przysłano teksty podobnych ustaw o handlu zagranicznym z innych krajów...

— Nie ograniczycie się do naszych przepisów, z Japonii? — Nagumo drgnął.

— Kierownictwo chce porównać waszą ustawę z przepisami w krajach, z którymi mamy, hmm, mniej kontrowersyjne stosunki handlowe niż z wami. — Mimo wszystko Cook musiał uważać na to, co mówi. Od Nagumo zależała teraz cała jego przyszłość. — Chodzi o to, żeby wyrobić sobie pewną skalę porównawczą. Tak czy owak, Seidzi, ta sprawa potrwa jeszcze długo...

Cook wcale nie był pewien, czy należy się martwić takim obrotem spraw. Skoro Japonia musi się dogadywać z Ameryką, nie groził mu brak zajęcia, wszystko jedno, w czyjej służbie.

— Czy i ciebie wciągną do jednej z tych grup roboczych?

— Myślę, że tak.

— Twoja pomoc będzie nieoceniona, Chris — szepnął Nagumo, zmuszając umysł do serii szybkich kalkulacji. — Mogę ci pomóc wytłumaczyć niektóre z naszych przepisów, oczywiście w pełnej dyskrecji — zaproponował, jeszcze jedna rozpaczliwa szansa.

— Miałem wszelki zamiar rzucić wreszcie Departament Stanu, Seidzi — przypomniał mu Cook.

— Zdecydowaliśmy się już z żoną na kupno nowego domu, więc...

— Posłuchaj, Chris. Jesteś nam potrzebny tam, gdzie pracujesz. Naprawdę jesteś nam potrzebny, bo inaczej... Inaczej nie damy rady opanować skutków tej nieszczęsnej sytuacji. Sprawa jest naprawdę poważna i może przynieść groźne skutki dla obu naszych krajów,

— Doskonale to rozumiem, ale...

Nagumo wiedział, co teraz usłyszy. Dla Amerykanów wszystko zaczynało się i kończyło na pieniądzach.

— Mogę ci pomóc przetrwać ten najgorszy okres — uciął, powodowany nie tyle kalkulacją, ile niekłamana złością. Dopiero kiedy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, co proponuje. Ciekawiła go jednak reakcja Cooka, więc nie wycofał się od razu.

Zastępca szefa wydziału w Departamencie Stanu przez chwilę siedział bez ruchu. Jego także sytuacja pochłonęła tak dalece, że prawie nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji tej części rozmowy.

Dlatego Cook nie patrząc Japończykowi w oczy skinął tylko głową na znak zgody.

Patrząc wstecz, pierwszy krok — wtedy, gdy Nagumo wymógł na nim przekazanie tajemnicy państwowej — okazał się dla Cooka o wiele trudniejszy niż obecna decyzja. Amerykanin nie przejmował

się ani trochę tym, że łamie przepisy kodeksu federalnego, jaki go obowiązuje. Przed chwilą zgodził się przyjąć pieniądze w zamian za dostarczenie tajnych informacji władzom obcego państwa. Biorąc pod uwagę okoliczności, decyzja wydawała się Cookowi najzupełniej logiczna. Jego rodzina naprawdę chciała zamieszkać w domu nad Potomakiem. Poza tym niedługo przyjdzie zacząć myśleć o wysłaniu dzieci na studia: kolejne wydatki.

Tokijscy maklerzy długo mieli pamiętać ten dzień. Dopiero teraz do powszechnej świadomości dotarło to, z czego jasno zdawał sobie sprawę Seidzi Nagumo, a mianowicie, że tym razem żarty się skończyły. Nie chodziło już o zakaz importu taniego ryżu, o części komputerowe, o samochody, sprzęt łączności radiowej, usługi budowlane czy telefony komórkowe. Tym razem szło o wszystkie sporne punkty na raz, o całą listę prawdziwych i wymyślonych żalów i uraz, jakie się nagromadziły przez ubiegłych dwadzieścia lat. Z początku redaktorzy tokijskich dzienników nie dawali wiary doniesieniom swoich korespondentów z Waszyngtonu i Nowego Jorku, a pierwsze depesze przepisali zgodnie z własnym wyobrażeniem o sytuacji. Dopiero kiedy przemyśleli to, co się zdarzyło, przyszło im do głowy, jak bardzo się mylą. Dwa dni wcześniej cała japońska prasa twierdziła zgodnym chórem, że Ustawa o Reformie Handlu to chwilowy kaprys waszyngtońskich polityków, żart, „stanowisko garstki źle poinformowanych indywidualistów, które od dawna źle życzyły naszemu państwu, stanowisko tyleż krótkowzroczne, co chwilowe”. Niewiele czasu upłynęło, nim zaczęto z kolei pisać o „bolesnej i brzemiennej w skutki, nieuniknionej zapewne decyzji Kongresu USA”.

Japoński język służy do przekazu informacji, jak każdy inny. Żeby go zrozumieć, wystarczy się przebić przez mur umownych konwencji. Nagłówki gazet w USA są o wiele bardziej dobitne i krzykliwe niż w Japonii, jak przystało na kraj o niskiej, cudzoziemskiej kulturze. W Japonii pisze się je dużo oględniej, co jednak nie oznacza, że znaczą co innego niż te w USA. Miliony Japończyków, którzy posiadali akcje przedsiębiorstw, czytając te tytuły zaczynały drzeć o oszczędności. Wnioski nasuwały się same. Teraz chodziło tylko o to, kto pierwszy zdąży do telefonu.

Bywały lata, kiedy wskaźnik giełdowy Nikkei dobijał wartości 30 tysięcy. W początkach lat dziewięćdziesiątych Nikkei spadł jednak do połowy tej wartości, a kwota, jaką wyrażał się ten spadek, wysokością przewyższała cały publiczny dług rządu Stanów Zjednoczonych. W USA mało

kto zwrócił

uwagę na te perturbacje, najwyżej ci, którzy zaczęli się interesować inwestowaniem w akcje firm z za Pacyfiku. Odważni inwestorzy stracili ogromne kwoty i nie bardzo przy tym wiedzieli, kogo winić za tę sytuację.

Tym razem i w USA, i w Japonii kierowano się dokładnie tym samym odruchem. Pora była sprzedać papiery wartościowe, a gotówkę ulokować na koncie bankowym. Banki były stabilne i bezpieczne, na pewno bezpieczniejsze niż parkiet giełdy. Odsetki były wprawdzie mizerne, ale zawsze lepsze niż giełdowa strata.

Na określenie tego, co się rozpętało, zachodni dziennikarze używają wręcz odruchowo takich określeń jak „lawina” i „panika”. Kiedy na tokijskiej giełdzie ruszyły komputery, początkowo wszystko szło jak zwykle. Wielkie banki komercyjne, ściśle powiązane z koncernami przemysłowymi, zaczęły przepuszczać olbrzymie sumy: to, co wnosili w świeżych depozytach klienci, natychmiast znów wracało na giełdę, jako że banki chciały za wszelką cenę podtrzymać spadające kursy papierów wartościowych.

Nie było innego wyjścia. Banki obkupiły się więc po uszy w akcje, lecz wkrótce okazało się, że wysiłki te poszły na marne. Wskaźnik Nikkei stracił tego dnia jedną szóstą wartości. Znaczący wywodzili wprawdzie, że przy tak niskich cenach nazajutrz powinien się znów zacząć run na papiery wartościowe, jednak inwestorzy w zaciszu domowym wyobrażali sobie kolejne skutki amerykańskiej ustawy. Cały amerykański rynek mógł wówczas rozwiać się niczym miraż. Choć nikt nie mówił tego głośno, panika na giełdzie mogła już tylko narastać. Nie mieli co do tego złudzeń, zwłaszcza bankowcy.

Na Wall Street sprawy przedstawiały się zgoła inaczej. Najpierw rozmaici mędrcy zaczęli utyskiwać, że Waszyngton znów próbuje ręcznie sterować kapitalistyczną gospodarką, lecz już wkrótce te i inne głosy krytyki przycichły. Trzeba było zdać sobie sprawę, że skoro japońskie samochody utknęły na granicach celnych, a popularna Cresta kojarzyła się konsumentom w tej chwili tylko z pięcioma żywymi pochodniami, wkrótce powrócą dobre czasy dla aut produkowanych na miejscu, w Ameryce. Musiało na tym skorzystać całe Detroit, ale także Pittsburgh, skąd firmy samochodowe brały stal, a oprócz Pittsburgha jeszcze dziesiątki innych miast w USA, Kanadzie i Meksyku, skąd napływały części i elementy wyposażenia. Było jasne, że robotnicy zaczną więcej zarabiać, a co za tym idzie, więcej wydawać. Czy był to rzeczywisty powód do radości? Właściwie tak, bo większość deficytu USA w handlu z Japonią wynikała z popularności japońskich modeli w Ameryce. Bez japońskich samochodów Amerykanie musieli więc wydać pieniądze na inne wyroby. Pieniądze? Fortunę: trzydzieści miliardów dolarów w ciągu roku. Znaczącom mechanizmów rynkowych wyciągnięcie stąd wniosków na przyszłość zabrało równo pięć sekund. Trzydzieści miliardów musiało powędrować do kas sklepowych, a stamtąd określną drogą powrócić częściowo do przedsiębiorstw w formie zysków. Dzięki dodatkowym dochodom z podatków można było myśleć o zmniejszeniu deficytu federalnego, a tym samym o obniżce kosztów obsługi obligacji rządowych. A na dodatek można się było trochę pośmiać z Japończyków! Nic dziwnego, że zanim na Wall Street ruszyły pierwsze transakcje, wszyscy spodziewali się dobrych wyników.

Dzień nie rozczarował optymistów. Szczególnie obłowił się dziś holding Columbus, który kilka dni

wcześniej zamówił u maklerów potężne pakiety akcji przemysłu samochodowego. Trudno było się nie obłowić, skoro indeks Dow Jones poszedł w górę o całe sto dwanaście punktów.

Bankowcy z Rezerw Federalnych nie wpadali wcale w entuzjazm. Ponieważ znajdowali się bliżej ośrodka władzy, znali więcej szczegółów na temat mechanizmów Ustawy o Reformie Handlu. Nie ulegało wątpliwości, że zanim w Detroit zdołają podwyższyć produkcję, na krótki czas może na rynku zabraknąć dostatecznej ilości samochodów. A co się dzieje, kiedy duża ilość wolnego pieniądza poluje na małą liczbę samochodów? Wtedy zaczyna się inflacja, idąc za tym rozumowaniem, pod koniec dnia bank podwyższył stopę dyskontową o ćwierć procenta — tymczasowo, jak dyskretnie tłumaczono. Rada nadzorcza Banku Rezerw Federalnych spodziewała się jednak, że perturbacje potrwać trochę dłużej.

Każdy inny wniosek dowodziłby krótkowzroczności, lecz tak się złożyło, że całemu światu udzieliła się nagle kurza ślepotą.

Zanim jeszcze zapadła ostateczna decyzja, kilka innych zgromadzeń także zastanawiało się nad długofalowymi skutkami sytuacji. Na przykład grupa zebrana wyjątkowo nie wokół stołu, lecz w największej drewnianej kadzi, jaka była w całej łaźni. Tego wieczora łaźnię zamknięto dla publiczności, by nikt nie przeszkadzał tak znamienitym klientom. Odprawiono też na ten wieczór łaźiebnych. Kąpiący się korzystali zamiast tego z usług swoich asystentów, którzy jednak trzymali się z boku. Obyło się nawet bez normalnych ablucji. Zamiast moczyć się w wodzie, zebrani prędko wymienili przywitania, zdjęli z siebie marynarki i krawaty, po czym rozsiedli się na podłodze. Nie marnowano czasu na długie wstępy.

— Jutro może być jeszcze gorzej — przestrzegł pierwszy mówca, dyrektor banku. Nie miał do powiedzenia nic więcej.

Yamata rozejrzył się i, widząc miny zebranych, omal się nie roześmiał. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak pięć lat wcześniej, w roku, kiedy znakomity koncern motoryzacyjny musiał

zrezygnować z zasady dożywotniego zatrudniania pracowników. Właśnie wówczas skończyła się złota epoka japońskiego przemysłu, ale mało kto jeszcze wtedy spostrzegł, co się dzieje. Inni woleli sobie wyobrazać, że chodzi o „przejściowe trudności”, ulubiony termin ludzi, którzy wolą niczego nie wiedzieć.

Yamata zacierał ręce, widząc tak wielką krótkowzroczność. Im większy szok, tym większe korzyści, jakie mógł odnieść w przyszłości. Niestety, zaledwie garstka spośród ludzi, którzy zebrali się w łaźni, rozumiała, co się święci. Choć w mniejszości, ludzie ci stanowili najbliższe otoczenie Yamaty.

Nie oznaczało to, że zaburzenia gospodarcze nie spowodowały u Yamaty i jego przyjaciół

wielkich strat. Owszem, spowodowały, bo kiedy odsetek bezrobotnych od prawie zera wzrasta nagle do pięciu procent, nie sposób się uchronić przed stratami. Yamata i inni potrafili jednak najskuteczniej bronić swoich firm, zyskując sobie przy okazji miano ludzi przecznych.



— Jest takie powiedzenie. Skądinąd amerykańskie, z lat wojny o niepodległość — przypomniał

jeden z przemysłowców, uchodzący w tym towarzystwie za intelektualistę. — Wymyślił je bodajże Benjamin Franklin. „Albo będziemy się trzymać razem, albo znajdą się dla nas osobne szubienice”.

Przyjaciele, jeśli nie połączymy naszych wysiłków, tamci nas zniszczą. Zniszczą nas po kolei, albo wszystkich na raz, ale zniszczą.

— Nie tylko nas. Także nasz kraj — dopowiedział bankowiec, czym bardzo zyskał w oczach Yamaty.

— A pamiętacie, jak nas prosili o pomoc? — zapytał Yamata. — Chcieli korzystać z naszych baz, żeby trzymać Rosjan w szachu, potem chcieli naszej pomocy, żeby bronić Korei, chcieli remontować u nas okręty wojenne... No, i proszę. Zrobiliśmy swoje, możemy odejść. Nie jesteśmy im dłużej potrzebni.

— Tak, ale oni są potrzebni nam — przypomniał Matsuda.

— Bystra uwaga, Kozu — syknął Yamata. — Są nam potrzebni do tego stopnia, że dla ich dobra gotowiśmy zrujnować sobie gospodarkę i zniszczyć całą naszą kulturę. Nie po raz pierwszy! Znów chcą zrobić z nas lokaja!

— Nie czas, na takie uwagi, Yamata-san — przerwał spokojnym tonem prezes kolejnego koncernu. — Plan, jaki nam przedstawiłeś ostatnim razem jest bardzo śmiały i bardzo niebezpieczny, i dlatego...

— To ja poprosiłem was dzisiaj o to spotkanie — wypomnił mu Matsuda.

— Wybacz mi, Kozu. — Yamata lekko skłonił głowę.

— Żyjemy w nieciekawych czasach, Raizo — przyznał Matsuda, udając, że się nie obraził. —

Dlatego mimo wszystko zaczynam podzielać twój punkt widzenia.

Yamata odetchnął z ulgą, zirytowany, że błędnie odczytał zamiary Matsudy. Co racja, to racja.

Czasy są nieciekawe.

— Bądź tak dobry, i podziel się z nami tym, co postanowiłeś.

— Amerykanie są nam potrzebni, czy tak? Może. A może potrzebne nam coś zupełnie innego...

Zebrani wbili wzrok w matę na podłodze. Nie opuścił głowy tylko Yamata. Nareszcie zaczynało się spełniać wszystko, co zamierzył. To nie złudzenie, nie puste życzenia. Nareszcie!

— Z podjęciem decyzji wiąże się ogromne ryzyko. Obawiam się jednak, że będziemy zmuszeni

zaryzykować.

— Jesteś pewien? Czy nas naprawdę na to stać? — ośmielił się zapytać przygnębiony bankier.

— Oczywiście — uspokoił go Yamata. — Stać nas. A poza tym, nie przeceniajmy elementu ryzyka. Nie wolno o nim oczywiście zapominać, ale mamy po swojej stronie bardzo wiele atutów.

Korzystając z okazji, Yamata pośpiesznie przedstawił zebranych dodatkowe fakty. Dziwna sprawa, ale tym razem nikt już mu się nie sprzeciwiał. Nie obyło się wprawdzie bez długiego ciągu pytań, na które był na szczęście w stanie odpowiedzieć, ale tak naprawdę nie oponował nikt, ani jeden z obecnych. Niektórzy z góry zamartwiali się, czym się to wszystko skończy, ale jeszcze bardziej bali się tego, co w nieuchronny sposób miało nastąpić nazajutrz rano. Panika na giełdzie sprawiła, że zaczęli się naprawdę bać o swoje zarobki, prestiż, wygody, styl życia... Wyobrażali sobie przy tym, że ich kraj zaciągnął u nich przez te lata dług wdzięczności. Tyle lat wspinali się po szczeblach kariery, tyle lat wytrwale pracowali — czy po to, żeby wszystko utracić? Dlatego tej samej nocy podjęto ostateczną decyzję. Bez entuzjazmu, ale jednak.

Tego ranka Mancuso musiał przede wszystkim zapoznać się z instrukcjami operacyjnymi.

Wynikało z nich, że oba okręty podwodne pływające u brzegów Alaski, czyli „Asheville” i „Charlotte”, zamiast nadal tropić wieloryby muszą dołączyć do reszty uczestników biorących udział w manewrach morskich WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY. Największymi okrętami nawodnymi, wysłanymi na te manewry, były lotniskowce „John Stennis” i „Enterprise”, którym towarzyszyła liczna eskorta. Manewry planowano, oczywiście, już od długich miesięcy. Na całe szczęście ich scenariusz nie zakłócał w znaczący sposób obecnych zadań Floty Pacyfiku. Dwudziestego siódmego, to jest w dwa tygodnie po zakończeniu manewrów, „Stennis” i „Enterprise”, miały wyruszyć na Ocean Indyjski, po drodze składając kurtuazyjną wizytę w Singapurze. Dzięki temu do Ameryki mogła wrócić druga para lotniskowców, to jest

„Eisenhower” i „Lincoln”.

— Zdaje pan sobie sprawę, że straciliśmy przewagę liczebną? — zapytał komandor porucznik (z gotową nominacją na komandora) Wally Chambers. Parę miesięcy wcześniej Chambers przekazał swemu następcy dowództwo USS „Key West”. Mancuso wziął go do siebie, bo potrzebował dobrego oficera operacyjnego. Przeprowadzka z Groton, gdzie Chambers czekał na zupełnie inny etat sztabowy, do komendy floty w Honolulu, nie popsuka mu humoru. Można sobie wyobrazić gorszy los. Jeszcze przed dziesięciu laty Chambersowi kroiłoby się dowództwo okrętu balistycznego albo okrętu-bazy, a przy odrobinie szczęścia być może nawet dowództwo eskadry, ale od tamtej pory strategiczne okręty podwodne zdążyły zniknąć z oceanów, okrętów-baz zostało tylko trzy, a wakaty w eskadrach można sobie było wybić z głowy. Chambers musiał cierpliwie czekać, aż góra znajdzie mu „właściwy etat”. Na razie więc Mancuso mógł go oddelegować do siebie, na Hawaje. Fakt, że dowódca faworyzuje kogoś, z kim dawniej pływał na tej samej jednostce nie stanowił zaskoczenia dla nikogo, kto znał obyczaje floty.

Admirał Mancuso oderwał się od papierów, nie tyle zaskoczony, ile przywołany do rzeczywistości. Fakt, Wally miał rację. Japońska marynarka liczyła dwadzieścia osiem okrętów podwodnych, o

napędzie konwencjonalnym. Amerykanie mogli im przeciwstawić tylko dziewiętnaście jednostek.

— Dobrze, ale ile z nich są w stanie jednocześnie wysłać w rejs? — zapytał Mancuso, który o japońskich cyklach szkolenia i remontów wiedział bardzo niewiele.

— Dwadzieścia dwa okręty, według danych, które wczoraj sprawdzałem. Ba, panie admirale, tylko na same te wspólne manewry mają ich wysłać aż dziesięć. W tym wszystkie okręty klasy *Haruszio*.

Z danych wywiadu floty widać, że przygotowywali się do tych manewrów jak nigdy przedtem. —

Chambers z namysłem przyglądał wąsy. Jeszcze się do nich nie przyzwyczaił. Zapuścił je umyślnie, bo natura obdarzyła go buźką jak u dziecka, a przecież podwładni powinni czuć, że ich dowódca liczy sobie więcej niż dwanaście lat. Jedyne kłopot z nowymi wąsami jest ten, że swędzi od nich skóra.

— Ciągłe słyszę, że coś tam jednak potrafią. Czy tak? — upewnił się dowódca okrętów podwodnych Floty Pacyfiku.

— Jeszcze się pan z nimi nie wybrał na przejażdżkę? — zdziwił się Chambers. Admirał potrząsnął głową.

— Nie, mam popłynąć dopiero w lecie przyszłego roku.

Dla nich samych będzie lepiej, jeśli się okaże, że coś potrafią, przeszło Chambersowi przez głowę. Mancuso wysyłał na manewry pięć spośród swoich okrętów podwodnych. Trzy miały osłaniać flotyllę lotniskowców, natomiast „Asheville” i „Charlotte” otrzymały zadanie, by prowadzić działania bojowe niezależnie, przynajmniej z nazwy. Oba jednostkom nakazano związać i trzymać w szachu cztery japońskie okręty podwodne w akwenie pięćset mil morskich na północny zachód od atolu Kure.

Amerykanie mieli udawać, że próbują się przebić przez podwodną zaporę japońską, broniącą szlaków handlowych.

Zadanie nie odbiegało zbyt dalece od tych, które miały przypaść amerykańskiej marynarce na Oceanie Indyjskim. Japońska flota, w obronnej formacji i złożona z niszczycieli, fregat i konwencjonalnych okrętów podwodnych, w myśl tego scenariusza broniła przystępu do macierzystych wysp grupie amerykańskiej, której trzon stanowiły dwa lotniskowce. Zadanie Japończyków polegało na tym, aby polec w sposób godny i honorowy. Japonia miała pod tym względem duże doświadczenie, o czym Mancuso myślał nie bez uśmiechu. Walka, choć pozorowana, zapowiadała się ostro. Japończycy otrzymali zadanie, by skrycie podejść do grupy amerykańskiej i z pokładów niszczycieli wystrzelić salwę pocisków woda-woda klasy *Harpoon*. Najnowsza generacja japońskich niszczycieli miała nawet szansę wyjść cało z tej akcji, zwłaszcza jeśli chodzi o jednostki klasy *Kongo*, podobne do amerykańskich niszczycieli klasy *Arleigh Burke* i wyposażone w system radarowo-rakietowy *Aegis*. Każdy z okrętów tej klasy kosztował fortunę i nosił nazwę jednostki wstawionej podczas działań morskich w drugiej wojnie światowej. Mancuso przypominał sobie

niewyraźnie, że dawny „Kongo”, skądinąd okręt liniowy, zatonął

trafiony torpedami amerykańskiego okrętu podwodnego „Sealion II”. Dzisiejszymi czasami nazwę „Sealion II” nosił jeden z garstki najnowszych okrętów podwodnych klasy *Seawolf*. Wszystkie one służyły we Flocie Atlantyckiej, podczas gdy Mancuso na próżno usiłował się doprosić o nową jednostkę. Piloci z lotniskowców musieli zatem znaleźć jakiś sposób, by sforsować zaporę stawianą im przez system *Aegis*.

Nareszcie mają takie zadanie, jakie chcieli, to znaczy trudne.

Zanosilo się na to, że manewry staną się pożyteczną lekcją dla całej Siódmej Floty. I bardzo dobrze, marynarze potrzebowali treningu, tym bardziej, że to, co się działo na Oceanie Indyjskim, zaczynało już wyglądać niebezpiecznie. Idąc za prośbą Mike’a Dubro, Mancuso wysłał w rejon Sri Lanki siedem okrętów podwodnych, czyli wszystkie, jakimi w tej chwili dysponował, po odliczeniu tych skierowanych na manewry WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY. Reszta stała w doku. Nie ma co, zmierzch bogów, westchnął w myślach dowódca Floty Pacyfiku. Zawsze tak jest, kiedy się tylko człowiek trochę przyzwyczai do wygodnego życia.

Procedura spotkań swym wyrefinowaniem mogła iść w zawody z godowymi tańcami łabędzi.

Trzeba było mianowicie zjawić się dokładnie w umówionym miejscu i o umówionej porze, ze złożoną —

broń Boże zrolowaną — gazetą w ręku stanąć przed witryną sklepu z aparatami fotograficznymi, i sprzętem elektronicznym. Nie było nic dziwnego w tym, że Rosjanin, który pierwszy raz przyjechał do Japonii, gapi się z niedowierzaniem na całą tę ogromną masę elektronicznych zabawek i dumą, że gdyby tylko miał w kieszeni parę dolarów, ech... Jeżeli ktoś śledził Clarka, co było możliwe, choć mało prawdopodobne, musiał odnieść wrażenie, iż nie dzieje się nic niezwykłego. O umówionej porze i w umówiony sposób, ktoś niechętny potrafił Clarka i spostrzegając, że ma do czynienia z cudzoziemcem, w zawstydzeniu odezwał się po angielsku:

— Przepraszam.

— Nic nie szkodzi — odrzekł na to Clark, również z fatalnym akcentem.

— Pan pewnie pierwszy raz w Japonii, dobrze?

— Nie, ale pierwszy raz w Tokio.

— Dobrze, naokoło czysto — szepnął napotkany Japończyk i znów ocierając się o Clarka ruszył

przed siebie. Clark musiał odczekać jeszcze cztery czy pięć obowiązkowych minut, a potem ruszył w tę samą stronę. Wszystkie te środki ostrożności były czasochłonne i nudne, ale inaczej się nie dało, nawet tu, w Japonii, gdzie nie trzeba się było bać tak jak niegdyś w Leningradzie (Clark nie przyzwyczał się do nazwy Petersburg, zwłaszcza że sam mówił po rosyjsku z twardym, leningradzkim właśnie akcentem) czy w Moskwie. Japonia Japonią, a ostrożność nie zawadzi. Inna sprawa, że przy tej liczbie cudzoziemców, jaka się kręciła po ulicach Tokio, każda policja szybko

musiała dać sobie spokój z obserwacją.

Clark rzeczywiście był w Tokio pierwszy raz w życiu, nie licząc okazji, kiedy przesiadał się tu tylko na inny samolot. Dopiero teraz poznał więc, czym jest tutejszy ruch uliczny, gorszy nawet od nowojorskiego. Denerwowało go przy tym, że choćby się nie wiem jak starał, i tak nie roztopi się w tłumie. Dla pracownika wywiadu najgorszym koszmarem jest właśnie niemożność zniknięcia — ale jak tu zniknąć, kiedy ma się metr dziewięćdziesiąt wzrostu w kraju krasnoludków? Clark rzucał się w oczy z odległości stu metrów. Poza tym rzeczywiście ludzie gapili się na niego, a co dziwniejsze, ustępowali mu z drogi — zwłaszcza kobiety i dzieci — jak gdyby brali go za Godzillę, który powraca, by znów obracać metropolię w perzynę. A więc to prawda? Clark znał japońskie reakcje na cudzoziemców tylko z opowieści i dotąd nie bardzo wierzył, że będzie uważany za włochatego barbarzyńcę. A tu, proszę. Clark wzruszył ramionami i wszedł do mijanego baru McDonalda. Z powodu południowej pory panował tu tłok.

Clark rozejrzał się, ale niestety, nie miał innego wyjścia, jak tylko przysiąc się do cudzego stolika. Kiedy siadał, przyszło mu do głowy, że Mary Pat miała rację. Nomuri faktycznie umiał sobie radzić w tym fachu.

— I co tam? — Pytanie zginęło w rozgardiaszu wnętrza.

— Znalazłem ją, zidentyfikowałem i sprawdziłem adres.

— Szybko poszło?

— Łatwizna. Ochroniarze naszego przyjaciela gównie się znają na robocie. Żaden się nie spostrzegł.

Clark nie musiał dodawać, że Nomuriemu ułatwiał zadanie wygląd. Agent każdym szczegółem powierzchowności i obycia przypominał zwykłego, zastraszonego urzędnika, który spieszenie pochłania coś na gorąco, bo musi pędzić z powrotem do biura. Zastrachony wygląd przychodził agentom stosunkowo najłatwiej, to inna sprawa. Było się czego bać. W Zagrodzie ciągle wpajano nowicjuszom, że najtrudniejsza rzecz to sprawiać wrażenie osoby odprężonej i zadowolonej z życia.

— Skoro tak, poproszę naszych o zgodę co do tej dziewczyny — bąknął Clark. Zakazano mu informować Nomuriego o uaktywnieniu siatki znanej jako OSET. Ciekawe, jak długo potrwa zakaz?

— Sayonara. — Nomuri wstał, odniósł tackę i wypadł z baru. Clark wziął się tymczasem do hamburgera z ryżem, myśląc sobie: świetnie, chłopak naprawdę się nadaje. W tejże sekundzie zmroziła go nowa myśl: wielkie nieba, w McDonalddie hamburger z ryżem?!

Plik poufnych meldunków na biurku nie miał nic wspólnego z bieżącą prezydenturą. Dokumenty dotyczyły sprawy o wiele ważniejszej, to jest tego, czy uda się porządzić jeszcze przez następną kadencję.

Nic więc dziwnego, że Durling trzymał te papiery na samym wierzchu. Co tam nowego? Wzrost

popularności wśród społeczeństwa, ha, wspaniale. Znacznie ważniejsza dla Durlinga była jednak własna popularność wśród tej części elektoratu, która rzeczywiście głosowała, i wśród tej grupy jego popularność wzrosła ostatnimi czasy aż o 10 procent. 10 procent na przestrzeni jednego tygodnia! Wyborcy dawali wyraz swej aprobachie wobec serii sukcesów w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Taką opinię wyraził w załączonej notatce szef ośrodka badań opinii publicznej. Co więcej, 10 procent miało stanowić dopiero skromny początek. Ludziom potrzeba trochę czasu, żeby się oswoić z nowiną. Na razie trójka samochodowych gigantów z Detroit wypuszczała nowe emisje akcji i wabiła z powrotem do zakładów pierwszą partię spośród siedmiusettyśięczonej rzeszy robotników, którzy w ciągu ubiegłych dziesięcioleci utracili pracę. A przecież chodziło tylko o załogi pracujące przy taśmie. Jeśli doliczyć pracowników w zakładach produkujących części, rozmaitych oponiarzy, szklarzy i tapicerów, można śmiało twierdzić, że przemysłową Amerykę czeka nowa era rozkwitu. Zwłaszcza w tych stanach, gdzie mieszka większość rozczarowanych, bezrobotnych wyborców.

Nie ulegało wątpliwości, przynajmniej dla Durlinga, że przemiany nie skończą się na samochodach. Niemożliwe. Skoro związkowcy z UAW (czyli ci z przemysłu motoryzacyjnego) doczekają się czasów, kiedy ich szeregi wzrosną o kilkaset tysięcy osób, i to płacących składki, BEW (telewizory, magnetowidy, sprzęt elektryczny) na pewno nie pozostanie w tyle. Więcej pieniędzy, więcej wpływów: wizja, jakiej nie umie się oprzeć żaden normalny związkowiec. Nie ulegało wątpliwości, że przy całej prostocie założeń, Ustawa o Reformie Handlu może spowodować drastyczne, lecz korzystne zmiany w całej gospodarce amerykańskiej. Prezydent Durling rozumiał skalę przemian, a przynajmniej tak sobie wyobrażał. Wkrótce jednak miał się rozdzwonić telefon na biurku. Można było z góry przewidzieć, do jakich argumentów uciekną się rozmówcy, jakie obietnice rozsnują, jakich słów użyją, by nakłonić prezydenta USA do zmiany zamiarów. Obietnice? Świetnie. Durling naprawdę chciał, by parę osób zaciągnęło u niego dług wdzięczności.

Durling nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, i różnił się pod tym względem od Boba Fowlera, który dążył do tego przez całe życie, nie przejmując się nawet śmiercią pierwszej żony. Natomiast największą ambicją Durlinga było objęcie stanowiska gubernatora Kalifornii. Kiedy więc zaproponowano mu wspólne kandydowanie z Fowlerem, przyjął ofertę kierowany raczej patriotyzmem, niż apetytem na władzę. Że tak było, nie wiedzieli nawet najbliżsi współpracownicy Durlinga, który nie chwalił się tym faktem, świadomy że w obecnych czasach pojęcia takie jak patriotyzm traktuje się jak muzealne eksponaty. Roger Durling był jednak patriotą, pamiętał że obywatele to nie anonimowe zbiory statystyk, lecz żywi ludzie, nie zapominał, że w Wietnamie, jako młody dowódca, odpowiadał głową za życie i bezpieczeństwo tychże obywateli, jednym słowem zdawał

sobie sprawę, na czym naprawdę polegają jego obowiązki jako prezydenta.

Jak jednak najlepiej się z nich wywiązać? Pytanie powracało w myślach Durlinga tym częściej, im bardziej przekonywał się, jak bardzo samotnym miejscem jest fotel w Gabinetie Owalnym. Codziennie zaglądał gość za gościem, nie tylko zresztą odwiedzający Waszyngton zagraniczni politycy, ale także uczniowie podstawówek, którzy wygrali ogólnoamerykański konkurs na najlepsze wypracowanie, lecz kiedy zamykały się za nimi wszystkimi drzwiami, Durling znów zostawał sam na sam ze swoją misją.

Przysięga, jaką złożył, była tak prostej treści, że właściwie niewiele znaczyła: „Wiernie pełnić obowiązki... Ze wszystkich sił bronić i sprawować pieczę nad...”. Piękne słowa, ale cóż w istocie oznaczały? Czy Madison i reszta założycieli kraju spodziewali się w 1789 roku, że ponad dwieście lat później następne pokolenia będą wiedziały, jak je odczytać, bez wahań i wątpliwości?

Co gorsza wokół siebie Durling miał mnóstwo takich osób, które gotowe mu były chętnie wyłożyć treść przysięgi w przekładzie na język politycznego konkretności. Gdyby przyjąć porady tych ludzi za dobrą monetę, z równym skutkiem można by także utrzymywać, że dwa i dwa równa się siedem.

Robotnicy, zarząd, konsumenci, producenci, podatnicy, budżet: gąszcz sprzecznych potrzeb, prawdziwa dżungla sprzecznych interesów, w której każdy miał na swój użytek całą masę słusznych argumentów.

Tak słusznych, że część otoczenia Durlinga naprawdę skłaniała się ku wierze, że dwa i dwa to nieuchronnie siedem. Zmieniano zdanie dopiero wówczas, gdy słowo „siedem!” podchwytował sam prezydent. Zaczynały się wówczas krzyki, że prezydent przeholował, i że którejś z grup trzeba jednak zabrać pieniądze. Której? Wszystko jedno, byle nie tej, do której należał rozmówca.

Na domiar złego, żeby cokolwiek w tych warunkach osiągnąć, a potem utrzymać osiągnięte zdobycze, prezydent musiał na wszystkie strony składać rozmaite obietnice. Może nie na wszystkie, ale i tak na tyle liczne, że wywiązując się z nich łatwo było zapomnieć o nadrzędnym interesie kraju, o postanowieniach konstytucji, o tym, że się przysięgało bronić i sprawować pieczę... Kogo bronić? Tych?

Tamtych?

— Nic dziwnego, że się nie pchałem na świecznik — powtarzał sobie Durling, biorąc się do kolejnej porcji papierów. On, prezydent z przypadku. Bob Fowler, by zwyciężyć musiał wygrać w Kalifornii. Najprościej było więc zaproponować gubernatorowi stanu wiceprezydenturę. Durling był

młodym, energicznym gubernatorem z właściwej partii, więc świetnie nadawał się do tej roli. Zgoda, ale czy nadawał się także na prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki? Gdzieś na dnie psychiki Durlinga nadal tliła się obawa, że nie podoła obowiązkowi, że się załamie. Owszem, nie urodził się jeszcze taki człowiek, który sam podołałby, intelektualnie i fizycznie, wszystkim obowiązkowi, jakie nakładała na niego prezydentura, tym bardziej, że na przykład w sprawach gospodarczych, które wyszły na plan pierwszy po upadku Związku Radzieckiego, najwybitniejsi znawcy przedmiotu nie byli w stanie jednoznacznie stwierdzić, które metody są właściwe, a które nie. Jeśli laureaci nagród Nobla wahali się, co dalej, cóż miał powiedzieć zwykły człowiek, taki jak Durling?

Na swoje szczęście Durling rozumiał problemy rynku pracy. Zasada była prosta: lepiej jest zapewnić ludziom miejsca pracy, niż wysłać ich na zasiłek. Ogólnie rzecz biorąc lepszym rozwiązaniem było, jeśli kraj sam wytwarzał większość potrzebnych mu dóbr, bo w przeciwnym razie następował

odpływ kapitału za granicę, z czego korzystali robotnicy w innych krajach, nie tutaj. Durling nie tylko rozumiał tę zasadę, ale co więcej potrafił ją zaszczepić innym Amerykanom. Ci ostatni zgadzali się z prezydentem, we własnym dobrze pojętym interesie. Zgadzali się z taką zasadą również związkowcy

i ludzie ze średniego szczebla zarządzania — dwie grupy ludności, których głos bardzo się liczył w polityce. Zasada wyglądała więc na słuszną. A co na to ekonomiści? Durling uważał oczywiście, że amerykańscy robotnicy nie ustępują w niczym robotnikom z innych rozwiniętych państw świata. Chodziło więc tylko o to, aby dać Amerykanom szansę. Kto chciał się sprzeciwić takiej zasadzie?

Durling okręcił się w swoim obrotowym skórzanym fotelu i przez kuloodporne szyby w oknach gabinetu spojrzął na Iglicę Waszyngtona. George, ten to miał dobrze. Owszem, był pierwszym na tym stanowisku i sam borykał się z kłopotami, z rebelią wódczaną, na temat której chichotano w podręcznikach historii, ale potrafił stać się wzorcem dla wszystkich następnych prezydentów. Za czasów Waszyngtona jedynymi podatkami, jakie ściągano, były cła importowe i akcyza. Polityka podatkowa była wówczas prymitywna, jak na dzisiejsze standardy. Chodziło w niej tylko o to, by zniechęcić ludzi do sprowadzania towarów z zagranicy i oduczyć ich pijaństwa. Durling nie próbował jednak zakazać importu towarów — dążył jedynie do tego, aby nie odbywało się to kosztem ludności USA. Aż do czasów Nixona amerykańscy prezydenci pozwalali robić Japończykom wszystko, najpierw aby zapewnić sobie dostęp do tamtejszych baz (czyżby myśleli, że Japonia zawiąże sojusz ze swoimi tradycyjnymi wrogami?!), a później... Później właściwie bez żadnego powodu. Może tak było wygodniej? A może dlatego, że nikt się nad tym nie zastanawiał? Wszystko jedno, pora była odpowiednia, aby skończyć z taką praktyką.

Dlaczego, nie trzeba było dziś nikomu tłumaczyć. Ludzie wiedzą, dlaczego.

Albo wyobrażają sobie, że wiedzą, poprawił się Durling w myślach. Cynicy, jak zwykle w mniejszości, domyśla się może, jaka jest prawdziwa przyczyna zmiany kursu wobec Japonii. Z tym jednak, że rację mieli jedni i drudzy.

Biuro premiera kraju w gmachu japońskiego zgromadzenia narodowego, budynku wyjątkowo brzydkim nawet jak na miasto nie słynące bynajmniej z piękna swej architektury, pozwalało swemu mieszkańcowi oglądać z wysoka rozległą połąć parku. Człowiek, który siedział w obrotowym fotelu za biurkiem nie miał jednak głowy do tego, by podziwiać przyrodę. Za kilka dni i tak miał pójść na zieloną trawkę.

Strawił trzydzieści lat, by wspiąć się na szczyty władzy. A przecież mógł ułożyć sobie życie zupełnie inaczej. Jak? Polityk zamyślił się. Pamiętał, że jeszcze kiedy miał dwadzieścia kilka lat, kilkakrotnie proponowano mu stanowisko w rządzącej wówczas Partii Liberalno-Demokratycznej. Nawet przeciwnicy znali jego bystrą inteligencję i dlatego wrócono mu szybką karierę. Przekonywano go, apelowano do jego poczucia patriotyzmu, wchodzono mu na ambicję, mamiono wizją olśniewającej przyszłości dla całego kraju i dla jego własnej osoby. Premier był wówczas młodym idealistą. Powtarzano mu, że kto wie, w przyszłości czekać go może nawet fotel szefa rządu. Może? Na pewno! Musiał tylko robić to, co mu kazano, dołączyć do grupy, nie wychylać się...

Polityk pamiętał swoją ówczesną odpowiedź. Powtarzał ją raz za razem, aż wreszcie tamci zrozumieli, że ich rozmówca nie próbuje się targować, tylko mówi prawdę. Zdumieni zaprzestali wówczas nagabywań, choć nadal nie zrozumieli przyczyny takiego uporu.

On zaś pragnął tylko, by Japonia stała się państwem w pełni demokratycznym, nie lennym księstwem zaprzędanym grupce ludzi reprezentujących interesy wielkiego przemysłu. Nawet



trzydzieści lat wcześniej tylko ślepy nie zauważył by narastających objawów korupcji. Co z tego, skoro wyborcy, od dwóch tysięcy lat nawykli do posłuszeństwa, głosowali stale na tę samą grupę. Demokracja zapuściła w Japonii korzenie równie płytko jak ryż w grząskim dnie zalewiska. Japońska demokracja była fikcją, lecz fikcją na tak wielką skalę, że złudzeniu uległ cały świat. Kultura kraju nie zmieniła się ani trochę, nie licząc powierzchownych, kosmetycznych zmian, takich jak prawo głosu dla kobiet. W swoich wyborach politycznych kobiety okazywały równe posłuszeństwo, co ich mężowie i dawały posłuch tym samym argumentom. Polecenie z góry nadal więc było prawem. Idealne pole do manipulacji na wielką skalę.

Najbardziej ze wszystkiego premier nie mógł znieść myśli o tym, że przecież do niedawna wierzył święcie, że uda mu się zmienić ten stan rzeczy. Choć nie przyznawał się nikomu, naprawdę nikomu, do tej ambicji, pragnął odmienić Japonię w sposób gruntowny, od podstaw. Dawniej taki plan wcale nie wydawał mu się mrzonką, przeciwnie. Piętnując i ścigając korupcję w życiu politycznym, premier chciał

uświadomić obywatelom, że wielcy ich świata żądają od nich zbyt wiele, nie obiecując nic w zamian.

Zwykły obywatel powinien zdać sobie sprawę, że posiada dość rozumu i zdrowego rozsądku, by sam jako wyborca dyktować władzom przyszłe decyzje.

A ty, idioto, naprawdę w to wierzyłeś, pomyślał premier i zapatrzył się w pudełko aparatu telefonicznego. Trudno się wyzbyć idealizmu, mimo całego zdobytego doświadczenia. Jedna wyniesiona z życia lekcja była jednak jasna, nie da się osiągnąć podobnego zamiaru w przeciągu zaledwie jednego pokolenia, siłami jednej osoby. Żeby cokolwiek wskórać, trzeba było najpierw ustabilizować gospodarkę kraju, a w tym celu pozbyć się starego, na wskroś skorumpowanego systemu władzy. Najzabawniejsze było to, że swój obecny urząd premier zawdzięczał właśnie korupcji. Wybrano go jako człowieka uczciwego, żądając jednak, by wstrzymał się ze zbyt drastycznymi środkami. Premier nie do końca pojmował istotę tego paradoksu. Stary system stawiał partnerów Japonii, zwłaszcza USA, w trudnej sytuacji. Japonia czerpała z handlu z Ameryką krociowe zyski, o jakich nie marzyło się nawet przed wojną ludziami z Czarnego Smoka. Kiedy Amerykanie zaczęli mieć tego dosyć i rozpoczęli posunięcia odwetowe, nastąpił chaos, w wyniku którego do władzy doszli w Japonii nowi ludzie, w tym także i on, jako premier. Ci sami jednak wyborcy, którzy opowiedzieli się za nową koalicją, pragnęli aby tak powstały rząd zajął wobec USA twarde stanowisko, poprawił warunki życia w kraju i prędko postawił

gospodarkę na nogi. Jeśli musi się to odbyć kosztem stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, nie szkodzi.

Premier musiał więc jednocześnie iść na ugodę i twardo odmawiać wszelkim żądaniom, a ponieważ na dłuższą metę było to oczywiście niemożliwe, pokazano mu drzwi. Przecież nie da się pogodzić wody z ogniem.

Polityczni przeciwnicy premiera zdawali sobie doskonale sprawę z tych dylematów i co najmniej od trzech lat, to jest od daty utworzenia koalicji, cierpliwie czekali, aż powinie mu się noga. Posunięcia

Amerykanów przyspieszyły tylko cały proces, lecz na pewno go nie zapoczątkowały. Tylko co z tego?

Czy uda się jeszcze coś naprawić? Czy warto? Premier wiedział, że wystarczy jeden telefon do prezydenta Durlinga, jedna osobista prośba, by Waszyngton jednak wstrzymał się z nową ustawą, jedna propozycja, by rozpocząć intensywne negocjacje. Ale czy na pewno? Wycofanie się musiało dla Durlinga oznaczać utratę twarzy, zarówno w swoim kraju jak i wobec zagranicy. Amerykanie uważali, że tylko Japończycy przejmują się utratą twarzy, lecz sami zachowywali się zupełnie tak samo. Co gorsza nie zanosilo się na to, że Durling uwierzy w szczerosc słow premiera. Pokrętnie, trwające od lat rokowania handlowe tak zatruly atmosferę, że trudno się było spodziewać, że Amerykanie nagle zaufają Japonii.

Poza tym premier wcale nie był pewien, czy będzie w stanie wywiązać się z obietnic. Jeśli pójdzie na ustępstwa, ich następstwem może stać się kryzys parlamentarny i upadek koalicji. W grę wchodziły dalsze masowe zwolnienia, a ponieważ stopa bezrobocia osiągnęła rekordową wartość 5 procent, podobnego ryzyka nie mógł podjąć żaden trzeźwy polityk. Tak czy owak, premier stał więc w obliczu dymisji. Teraz chodziło tylko o to, czy odchodząc zniweczyć na dodatek wszelkie szanse powrotu do władzy w dalszej przyszłości, czy też dać się usunąć bez sprzeciwu i bez hałasu. Które hańbiące wyjście było lepsze?

Premier wiedział już, że nie zadzwoni do Waszyngtonu. Po co? Byłby to tylko próżny gest.

Próżny jak cała dotychczasowa kariera. Premier zrozumiał, że wynik całej historii dawno już został z góry przesądzony. Ostatni rozdział niech dopisze kto inny.

# Potop

Pod Ustawą o Reformie Handlu podpisywało się już oburącz dwustu kongresmanów z obu partii.

Przesłuchania i obrady na forum komisji zajęły zadziwiająco mało czasu, przede wszystkim dlatego, że mało kto miał ochotę się wychylać i głosować przeciwko planowanym zmianom. Jeszcze bardziej zadziwiający był fakt, że jedna z najbardziej liczących się w Waszyngtonie firm promocyjnych nie dość, że zerwała umowę z potężnym japońskim koncernem, to w dodatku roztrąbiła wszem i wobec, dlaczego kończy czternastoletnią współpracę z Tokio. Wypadek w dalekim Oak Ridge i złośliwa, powszechnie cytowana napaść Ala Trenta na poplecznika Japonii w Kongresie, kazały podwinąć ogon reszcie waszyngtońskich przyjaciół Tokio. Najzagorzalsi z dotychczasowych zwolenników ścisłych więzi z tamtym krajem bali się pisać choć słówko przeciwko nowej ustawie i co do jednego informowali swoich szefów, że ustawa musi przejść w Kongresie. Co gorsza, nie sposób było nawet umieścić w tekście zamaskowanych klauzul, niweczących treść dokumentu. Nie, tu można było tylko machnąć ręką na dzień dzisiejszy i mieć nadzieję, że z czasem wszystko samo jakoś się ułoży. Z biegiem lat przychylni Japonii kongresmeni znów będą mogli wesprzeć przyjaciół — na pewno jednak nie w tej chwili.

Z biegiem lat? Nie w tej chwili? Japońska cyniczna definicja dobrego polityka była taka sama jak w Waszyngtonie, dobry polityk to taki, którego kupuje się raz na zawsze. Potajemni sponsorzy mogli teraz z żalem wspominać miliony dolarów przelane na fundusze wyborcze, fundowane zaproszenia na obiady, na których żarcie było takie sobie, ale za to za wstęp płaciło się tysiąc dolarów — jeszcze jeden sposób zbiórki pieniędzy na działalność polityczną — darmowe sesje gry w golfa, pełne rozrywek podróże do Japonii (w celu „bliższego zapoznania się z kulturą i gospodarką”), osobiste przyjaźnie... Gdy przyszło co do czego, wszystkie te zabiegi okazały się diabła warte. W Ameryce obowiązywały inne zasady niż w Japonii. Ustawodawcy nie czuli się w najmniejszym stopniu zobowiązani długami wdzięczności, a jawni i skryci członkowie projapońskiego lobby w Kongresie, hojnie opłacani za usługi, mieli teraz do powiedzenia tylko tyle, że tak być musi. Po co więc przez dziesięciolecia wydano tyle pieniędzy?

Z biegiem czasu? W zastanawianiu się, co się wydarzy z biegiem lat nie było nic złego, pod warunkiem jednak, że i najbliższa przyszłość zapowiada się miło i sympatycznie. Sprzyjające warunki pozwoliły Japonii prawie przez czterdzieści lat spokojnie kontemplować przyszłość, lecz teraz przyszło się pożegnać z kontemplacją. W poniedziałek, czwartego dnia miesiąca, Ustawa o Reformie Handlu przeszła przez komisję. Tokijski wskaźnik giełdowy Nikkei z miejsca spadł do 12.841 jenów, czyli z grubsza do jednej trzeciej wartości z ostatnich lat. Japonię zaczynała z wolna ogarniać panika.

— „Rozkwitły kwiaty śliwy, a kurtyzany kupują nowe chusty w domu publicznym...” Po japońsku te same wersy brzmiałyby poetycko i miałyby tylko siedemnaście sylab. Były przecież słynnym wierszem *haiku*. Jednak w tłumaczeniu brzmiały, zdaniem Clarka, dość idiotycznie. Clark mało znał się na poezji, lecz nie uszło jego uwagi wrażenie, jakie słowa wiersza zrobiły na jego rozmówcy. — Oleg Juriewicz przesyła pozdrowienia.

— Kawał czasu — wymamrotał rozmówca Clarka po pięciu sekundach umiejętnie skrywanego popłochu.

— Straszny mieliśmy u nas ostatnimi czasy bałagan — wyjaśnił Clark, po angielsku, ale z lekkim cudzoziemskim akcentem.

Isamu Kimura był starszym rangą, doświadczonym urzędnikiem MITI, japońskiego ministerstwa handlu zagranicznego i przemysłu, głównego ośrodka decyzyjnego wielkiej korporacji, jaką jest Japonia.

Z racji pełnionej funkcji Japończyk często stykał się z cudzoziemcami, zwłaszcza z dziennikarzami, więc bez oporów przyjął zaproszenie Iwana Siergiejewicza Klierka, przybysza z dalekiej Moskwy. Klierkowi towarzyszył w Tokio fotoreporter, który jednak dziś wyruszył ze swoimi aparatami w teren.

— Mnie się zdaje, że i u was teraz niełatwe czasy — pociągnął kwestię „Klierk”, ciekaw reakcji rozmówcy. Zachodziła możliwość, że po dwóch latach bezczynności i braku kontaktów, Kimura zwyczajnie odmówi wznowienia współpracy. W podobnych wypadkach KGB stosowało lekcję pogładową, by unaocznic agentom, że kiedy raz już wpadli w sidła, nie wypłaczą się z nich do końca życia. Metody CIA były, oczywiście, identyczne.

— Niełatwe? Po prostu koszmar — odrzekł Kimura po krótkim namyśle i pociągnął spory łyk sake.

— Amerykanie i tak się z wami pieścą. Co mamy powiedzieć my, Rosjanie? Jankesi rozwalili nam kraj, kraj, w którym się urodziłem, wychowałem, kraj, który mi dał za darmo wykształcenie... Nic nie zostało. Niech pan sobie wyobrazi, że to dziennikarstwo na użytek agencji Interfax to dla mnie coś więcej niż przykrywka. Naprawdę potrzebuję tych paru rubli. Dorabiam sobie w pracy, wyobraża pan sobie? Oczywiście kosztem moich prawdziwych obowiązków.

Clark pokiwał smętnie głową i sięgnął po swój porcelanowy kieliszek z sake.

— Doskonale włada pan angielskim.

„Rosjanin” skrzywił się ponuro, lecz w duchu ucieszył się, bo z ostatniego zdania wynikało, że rozmówca mięknie.

— Miło słyszeć. Pracowało się parę lat w Nowym Jorku. W biurze prasowym „Prawdy” przy ONZ. Masa roboty, i to rozmaitej.

— Coś takiego! — zaciekawił się Kimura. — Zna się pan trochę na amerykańskiej polityce i gospodarce?

— Specjalizowałem się właśnie w sprawach gospodarczych. Teraz, w nowej epoce, gospodarka to jeszcze ważniejsza sprawa niż kiedykolwiek. Dlatego mój kraj niesłychanie sobie ceni pańskie usługi.

Sam się pan przekona, że potrafimy się odwdziżyć.

— Nie mam czasu, żeby wam pomagać — przerwał Kimura. — Ministerstwo nam się wali, z oczywistych powodów. Nie mam czasu...

— Doskonale to rozumiem. Chciałem się z panem spotkać ot tak, po starej znajomości, przywitać się... Na razie niczego konkretnego od pana nie chcemy, cóż znowu.

— A jak się miewa Oleg? — zagadnął urzędnik MITI.

— Ach, żyje teraz jak król. Dostał świetną posadę, kto wie, czy nie dzięki pracy, jaką pan dla niego wykonał.

Clark nie kłamał, bo Lialin żył, a nowe życie stanowiło dlań niewątpliwie większą atrakcję niż alternatywa, w postaci ołowianego pocisku kalibru 9 mm w potylicę w piwnicach głównej siedziby KGB.

To właśnie od Kimury Lialin dostał cynk, że warto wysłać kogoś do Meksyku. Clark żałował nawet, że nie może także od siebie podziękować człowiekowi, który pomógł zapobiec wojnie atomowej.

— Pozwoli pan w takim razie, że znów będę dziennikarzem. A jako dziennikarz zapytam: jak to naprawdę jest z tym pogorszeniem się waszych stosunków z Ameryką? Dostałem zadanie, żeby coś skrobnąć na ten temat.

Treść odpowiedzi zaskoczyła Clarka równie mocno, jak jej stanowczy ton. Isamu Kimura spuścił bowiem wzrok i warknął:

— To wszystko prowadzi do katastrofy.

— Naprawdę jest aż tak źle? — zapytał zaskoczony „Klierk” i obyczajem dobrego dziennikarza sięgnął po notatnik.

— Znosi się na wojnę handlową. Kimura mógł powiedzieć tylko tyle.

— Zaraz, ale na takim konflikcie straciecie i wy, i oni, prawda? — Clark słyszał tę opinię tyle razy, że sam podzielał ją bez zastrzeżeń.

— Powtarzamy to od lat. Ale to kłamstwo. Nieprawda. Stracimy tylko my — zaczął tłumaczyć Kimura i w przekonaniu, że Rosjaninowi przyda się krótki kurs historii kapitalizmu, klarował: —

A amerykański rynek jest nam potrzebny, żeby mieć zbyt na nasze wyroby. Wie pan, co to znaczy, „wojna handlowa”? Znaczy to tyle, że tamci przestaną kupować to, co wyprodukujemy, a pieniądze zostaną u nich. Ten sam kapitał zamiast do nas trafi z kolei do ich przemysłu. Zwłaszcza do gałęzi, które sami pomogliśmy Ameryce postawić na nogi, które nauczyliśmy wydajnej produkcji. Przemysł w USA ruszy naszym śladem, rozrośnie się i wypchnie nas z reszty rynków, na których rządaliśmy przez ostatnich dwadzieścia lat. A kiedy nas raz wypchnie, nie pozbieramy się już nigdy.

— Czemu miałoby się tak stać? — zapytał Clark, który wprawdzie znał abecadło kapitalizmu, lecz autentycznie zaintrygowany zapisywał wszystko w pośpiechu.

— Dlatego, że kiedy wkraczaliśmy na amerykańskie rynki, nasz jen był wart jedną trzecią tego, co teraz. Dzięki temu biliśmy konkurencję niskimi cenami, a kiedy się raz umocniliśmy w USA, kiedy już zdobyliśmy sobie wiernych nabywców, nauczyliśmy ich, co to jest Toyota, a co Sony, zaczęliśmy podnosić ceny i mimo to utrzymywaliśmy pozycję. Wartość jena rosła, ale nasze dochody rosły także.

Dziś byłoby to już niemożliwe.

Clark rozpromienił się w duchu, gdy to usłyszał, choć nie dał tego po sobie poznać.

— Zaraz, ale kiedy zabraknie tam waszych wyrobów, tamci znajdą coś na ich miejsce?

— Albo sami je wyprodukują. Wszystkiego nie dadzą rady, ale też wcale nie muszą. W zeszłym roku samochody i wyroby motoryzacyjne stanowiły 61 procent naszych obrotów z USA. Amerykanów nie trzeba uczyć, jak się robi samochody. Jeśli czegoś nawet nie wiedzieli, nauczyli się od nas przez ostatnie lata. — Kimura nachylił się konfidencjonalnie. — A co do reszty wyrobów, na przykład sprzętu optycznego, Japonia nie jest monopolistą. Aparaty fotograficzne robi też Singapur, Korea, Malezja.

Telewizory, wideo, to samo. Ale proszę zrozumieć, Klierk-san, na razie mało kto zdaje sobie sprawę, na co się tu zanosi.

— Czyli Amerykanie naprawdę mogą was wykończyć? To naprawdę realna możliwość? —

zdumiał się Clark. Ha, kto wie, może i tak?

— Bardzo realna. Od 1941 roku mój kraj nie stał w obliczu podobnego zagrożenia — odrzekł

Kimura, który sam dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wiele zbieżności istnieje między teraźniejszością a czasami Pearl Harbor.

— No, ale tego to już nie napiszę, wie pan. Wyśmieją mnie, powiedzą, że panikuję. Kimura aż podskoczył.

— Nie opowiadałem panu tego na użytek pańskiej gazetki! O, nie, przecież sam wiem, że wasza agencja ma kontakty z Amerykanami. Ma je na pewno. USA nie słucha naszych argumentów, ale może usłucha głosu z Moskwy? Zapędzili nas do narożnika. Przemysłowcy, elita *zaibatsu* jest w panice.

Wszystko stało się za prędko, sprawy zaszły za daleko. Jak pan sobie wyobraża, co pański kraj zrobiłby wobec takiego zagrożenia dla własnej gospodarki?

Clark rozwalił się na krzeselku, przekrzywił głowę i zmrużył oczy, dokładnie jak by to uczynił

Rosjanin. Pierwszy kontakt z Kimura miał służyć poznaniu się, a nie zbiorce ważnych informacji, lecz trudno, stało się. Clark nie był przygotowany na poważną rozmowę, uznał jednak, że warto

zaryzykować.

Rozmówca sprawiał wrażenie doskonale poinformowanego, a panika dodatkowo rozwiązała mu język.

Kimura był uczciwym, oddanym urzędnikiem państwowym. A przy okazji szpiegiem. Szkoda, ale cóż zrobić? Na tej samej zasadzie działają wywiady na całym świecie.

— Nam też wycięli taki sam numer. W latach osiemdziesiątych. Pamięta pan tamten obłąkańczy wyścig zbrojeń, te maniackie pomysły na orbitalny system obrony antyrakietowej, pokerowe zagrywki Reagana... Powiem panu, że kiedy pracowałem w Nowym Jorku, brałem udział w Operacji Ryan. Co to było? Gotowi byliśmy się wtedy założyć, że Reagan chce nam spuścić na łeb swoje bomby, więc przez cały rok szukaliśmy w USA konkretnego planu... — Pułkownik I. S. Klierk z rosyjskiej służby wywiadu zagranicznego doskonale wczuł się w rolę. Przemawiał teraz jak prawdziwy Rosjanin, spokojnie, nie podnosząc głosu, tonem wytrawnego pedagoga. — Szukaliśmy, ale nie tam gdzie trzeba. Nie dlatego, że Amerykanie ukrywali przed nami plany wojenne. Mieli plan, ale inny, taki który każdy by zauważył, tylko nie my. Szło nie o to, żeby z nami walczyć, tylko żeby nas zmusić do coraz większych wydatków na zbrojenia, i rzeczywiście raz dwa zrujnowali nam całą gospodarkę. Marszałek Ogarkow wygłosił całe przemówienie, domagał się większych wysiłków, byleby tylko nie dać się Ameryce, ale zamiast doścignąć Stany, dostaliśmy zadyszki. Okazało się nagle, że mamy do wyboru, rozpocząć wojnę albo się poddać. A nikt nie miał ochoty decydować się na coś tak strasznego jak wojna... A skutek taki, mój drogi Isamo, że jestem teraz w Japonii, jako wysłannik drugorzędnej mocarstwa.

Następne zdanie Kimury brzmiało tym bardziej zaskakująco, że ani trochę nie odbiegało od prawdy:

— Z tym, że wy, Rosjanie, mieliście od nas mniej do stracenia. Amerykanie nie chcą tego zrozumieć.

Po tych słowach Japończyk podniósł się od stolika. Odchodząc, zostawił na blacie kilka banknotów, świadomy, że żadnego Rosjanina nie stać na obiady w tokijskich restauracjach.

Clark odprowadził Kimurę wzrokiem i zaklął w myślach. Spotkanie było jawne i nie trzeba było szukać tylnego wyjścia czy nurkować w zaułki. Wystarczało wstać i zwyczajnie opuścić lokal. Clark trwał

jednak na poprzednim miejscu, popijał sake i zastanawiał się. A było nad czym. Isamu Kimura należał do nieomal najwyższej warstwy urzędników rządowych. Nad ludźmi jego pokroju były już tylko ministerialne elity, a nad nimi sam minister, figurant z politycznej nominacji, który miał niewielkie pole decyzji. Za to Kimura ze swoją posadą odpowiadającą funkcji zastępcy szefa departamentu, wiedział

dokładnie o wszystkim, co się dzieje. Dowiódł już tego w przeszłości, dostarczając CIA wiadomości o eskapadzie do Meksyku. Tylko dzięki tym wiadomościom John i Ding znaleźli się tam w samą porę, by ująć Ismaela Kati i Ibrahima Hosniego. Już choćby z tej przyczyny Ameryka zaciągnęła u Kimury dług honorowy. Co ważniejsze, Kimura nadal był nieocenionym źródłem informacji. Komuś takiemu jak on wierzyło nawet CIA, choć nie bezgranicznie. Poza tym wydawało się prawie pewne, że

Kimura nie ukartował przebiegu spotkania. A skoro tak, naprawdę wierzył w to, co mówił, i naprawdę się bał. Clark wiedział już, że trzeba prędko zbierać się z powrotem do Langley.

Dla tych, którzy go znali, cechująca Goto słabość charakteru nie była wcale zaskoczeniem.

Wprawdzie taki stan rzeczy odbijał się fatalnie na stanie władzy w państwie, lecz zarazem ułatwiał

działanie ludziom w rodzaju Yamaty.

— Nie zgodzę się piastować stanowiska premiera naszego kraju — Goto obwieszczał to z manierą kiego aktora — tylko po to, by stać się grabarzem japońskiej gospodarki.

Aktorstwo Goto wywodziło się rzeczywiście z tradycji teatru kabuki, tyle było w nim stylizacji i melodramatu. Przemysłowcy wiedzieli oczywiście, że Goto jest osobą czytaną, że wiele lat studiował

historię i literaturę, a także, iż podobnie jak tyłu innych polityków o wiele bardziej ceni sobie formę niż treść tego, co mówi. Jako człowiek słaby, Goto bardzo dbał o odpowiednio pompatyczną oprawę dla sprawowanej władzy. Między innymi właśnie z tej przyczyny trzymał u siebie jasnowłosą Kimberly Norton. Amerykanka wyuczyła się, na swój sposób, wypełniać obowiązki utrzymanki. Siedziała bez słowa gdzieś z boku, kiedy było trzeba dolewała gościom Goto sake albo herbaty i czekała cierpliwie, aż Yamata-san zniknie za drzwiami. Było jasne, że kiedy to nastąpi, Goto zaciągnie ją natychmiast do łóżka.

Goto wyobrażał sobie najwidoczniej, że zaimponuje tym sposobem swoim gościom. Yamata nawet się nie skrzywił. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że Goto zamiast mózgiem myśli zupełnie inną częścią ciała. Nie szkodzi. Dzięki temu prawdziwym mózgiem Goto mógł się teraz stać Yamata.

— Grabarzem? Słusznie. Rzeczywiście stoimy w obliczu zagłady całej gospodarki — przerwał

Yamata, jak na siebie bezceremonialnie. Przy okazji przyjrzał się dziewczynie, po trosze z ciekawości, ale także po to, by udać zawiść. Amerykanka miała pusty, szklany wzrok, jak gdyby w ogóle nie rozumiała, o czym mowa. Czy naprawdę jest taka głupia, czy udaje? Fakt, że ze zwabieniem jej tu nie było najmniejszych trudności. Gangsterzy z Yakuzy lubili to zajęcie, przyjemne i dobrze płatne, tym bardziej, że spośród polityków nie tylko Goto lubił białe kobiety. Podsuniecie Kimberley Norton nowemu premierowi kraju Yamata uważał za swój najlepszy pomysł, chociaż oczywiście na podobny pomysł

musiał wpaść każdy, kto choć trochę znał upodobania Goto. Yamata przypominał sobie zachodnie określenie na temat ludzi, którzy... Zaraz, jak do było? Aha, dają się wodzić za nos. Yamata nie był

pewien, czy w tym przypadku chodziło naprawdę o nos. Nieważne, Amerykanie zawsze się bawią w takie eufemizmy. *Gaidzin*. Barbarzyńcy.

— I tak już za późno, żeby temu zaradzić, prawda? — upewnił się dotychczasowy przywódca



opozycji w zgromadzeniu narodowym.

— Mamy dwa wyjścia — uświadomił mu Yamata i spojrzał gniewnie na dziewczynę. Niedobrze, że rozmowy słucha ktoś postronny. Sprawa była bądź co bądź poufna. Goto jednak, zamiast odprawić Amerykankę, pogładził ją po włosach. Biała uśmiechnęła się. Tyle dobrego, że Goto nie kazał jej się rozebrać, jak to uczynił przed kilku tygodniami. Yamata był człowiekiem doświadczonego i nie przejmował go widok pary cycków. Nawet dużych i białych. Poza tym sam umiał się domyślić, po co Goto trzyma u siebie dziewczynę.

— Co, ona? Nie rozumie z tego ani słowa! — Polityk roześmiał się szczerze.

Kimba-chan także się uśmiechnęła. Yamata aż drgnął, gdyż znów odniósł wrażenie, że coś jest nie tak. Czy biała przez uprzejmość wtóruje śmiechowi swego pana, czy chodzi o coś więcej? A w ogóle, to ile lat ma ta Norton? Dwadzieścia kilka, ale jak to poznać? Yamata nie znał się na wyglądzie cudzoziemców. Japońska tradycja kazała dawniej przyprowadzać ważnym zagranicznym dygnitarzom panie do towarzystwa. Mężczyzna zadowolony z usług wytrawnej kurtyzany okazywał się zwykle lepszym partnerem w rozmowach. Przy okazji można się też było wiele dowiedzieć. Właśnie, ciekawe, o czym Goto rozmawia z tą dziewczyną? I kto wie, komu dziewczyna przekazuje takie informacje? Yamata uświadomił sobie nagle, że podsunięcie Kimberly politykowi wcale nie musiało być aż tak sprytną zagrywką, przeciwnie.

— Mimo wszystko, Hiroszi, spełnij moje życzenie. W drodze wyjątku — poprosił Yamata.

— Już dobrze, dobrze! — I po angielsku Goto wydał polecenie: — Kimba-chan, mój przyjaciel i ja chcemy porozmawiać przez kilka minut na osobności.

Biała przyswoiła sobie dobre maniere na tyle, że nie sprzeciwiła się głośno. Nie potrafiła jednak ukryć rozczarowania. Czy to dlatego, że nauczono ją nie reagować, czy może nauczono ją reagować jak głupia, niewykształcona dziewczyna? Czy w ogóle warto ją odprawiać? Przecież Goto i tak jej wszystko powtórzy, jeśli tylko biała go o to poprosi. Yamata nie był tego pewien, ale istniała taka możliwość.

Bardzo niebezpieczna możliwość.

— Całą Amerykę bym wyłomotał tak jak tą małą — zaznaczył chełpliwie Goto, kiedy za Norton zamknęły się drzwi. Yamata zdziwił się po raz kolejny. Jak na subtelnego humanistę, Goto podejrzanie często uciekał się do ryszotkowych określeń. Zwłaszcza kiedy chodziło o seks. Kolejna oznaka słabości, kolejny kłopot.

— Bardzo mnie to cieszy przyjacielu. Niedługo będziesz miał okazję rzeczywiście to zrobić — mówiąc to Yamata zapisywał już w pamięci następne zadania.

Godzinę później Chet Nomuri podniósł wzrok znad elektronicznej gry w *pachinko*. Yamata wychodził właśnie na ulicę, jak zwykle w otoczeniu kierowcy i kogoś zwałistego, kto musiał być

ochroniarzem. Nomuri nie znał nazwiska tego człowieka, ale łatwo się było zorientować, kto zacz.

Przemysłowiec wydał gorylowi krótkie polecenie, jakie, nie było słyhać z tej odległości. Cała trójka wsiadła zaraz do samochodu i odjechała. Półtorej godziny później na ulicę wyszedł Goto, jak zwykle odświeżony i energiczny. Nomuri odłożył grę na siedzenie pasażera i podjechał kawałek dalej, zmieniając miejsce postoju. Po pół godzinie na ulicę wyszła z kolei Amerykanka. Nomuri ruszył z miejsca, wyprzedził ją, znów zahamował, znów odczekał, aż dziewczyna zrówna się z jego samochodem. Pięć minut później wiedział już, o który dom chodzi. Dziewczyna kupiła coś do jedzenia i zniknęła w westybulu budynku. Doskonale.

— Cześć, MP! — Jack Ryan wracał właśnie z odprawy u prezydenta. Każdego ranka przez dwa albo trzy kwadranse członkowie instytucji rządowych odpowiedzialnych za bezpieczeństwo kraju składali lokatorowi Białego Domu meldunki. Zwykle działo się to w Owalnym Gabinetcie. I tym razem Ryan miał

do zakomunikowania tylko tyle, że nie dzieje się nic szczególnego.

— DRZEWO SANDAŁOWE — odezwała się Mary Pat Foley bez żadnych wstępów.

— Coś nowego? — Jack mógł się wreszcie wygodnie rozsiąść w fotelu.

— Wpadłam na pewien pomysł i wprowadziłam go w życie.

— Jaki?

— Poleciałam Clarkowi i Chavezowi uaktywnić japońską siatkę Lialina. OSET.

Ryana wręcz zatkało.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nikt od tamtej pory...

— Lialin zajmował się głównie wywiadem gospodarczym, a nas obowiązuje prezydencki zakaz w tej sprawie. Co, już zapomniałeś?

Jack miał ochotę jęknąć. Wiecznie to samo. OSET zdążył się przysłużyć Stanom Zjednoczonym, przy czym wcale nie chodziło o szpiegostwo gospodarcze. — No, dobrze. I co tam słyhać?

— Źle słyhać. — Mary Pat Foley podała Ryanowi pojedynczą, gęsto zadrukowaną stronicę.

Ryan omiótł wzrokiem pierwszy akapit.

— Błady strach w japońskim MITI?

— Tak nam powiedziano. Czytaj dalej.

Jack podniósł długopis i zaczął w zamyśleniu obgryzać jego koniec.

— Co z tego wynika?

— Na pewno to, że zaraz upadnie tam obecny rząd. Nie ma już wątpliwości. Clark i Chavez rozmawiali niezależnie od siebie z paroma osobami. Za parę dni dowie się czegoś nawet nasz Departament Stanu, ale wydaje mi się, że tym razem to my wygraliśmy wyścig.

Jack wyprostował się. Wiadomości nie stanowiły wielkiej niespodzianki. Nawet Brett Hanson uprzedzał niedawno o takiej możliwości. Co więcej, spośród wszystkich agend rządowych jedynie Departament Stanu żywił obawy co do skutków Ustawy o Reformie Handlu, choć na razie nie dzielił się nimi z resztą Waszyngtonu.

— Coś jeszcze, tak?

— A, tak. Znaleźliśmy tamtą zaginioną dziewczynę. Nawet bez kłopotu. Mamy prawie zupełną pewność, że to Kimberly Norton. Wszystko się zgadza. Dziewczyna sypia z Goto. A Goto ma być nowym premierem! — dodała radośnie Foley.

Wszystko to nie było wcale aż takie zabawne, w zależności od punktu widzenia. Ameryka miała teraz nowy haczyk na Goto. Goto miał zostać nowym premierem. Nieźle, wcale nieźle...

— Co dalej? — przynaglił Ryan.

— No, więc możemy dać tamtej małej darmowy bilet do domu. A możemy też...

— Właśnie, że nie możemy. Bilet, tak, ale nie to drugie. — Ryan przymknął oczy. Owszem, zdążył się już dobrze zastanowić nad tą drugą opcją. Z początku brał ją serio, ale później zobaczył zdjęcie dziewczyny, zamiary diabli wzięli: zwłaszcza kiedy Jack wrócił do domu i zobaczył własne dzieci. Nie wiedział, czy jest to oznaka słabości z jego strony, to, że nie umie w interesie swego kraju stać się bezwzględny w wykorzystywaniu innych ludzi. Jeśli słabość, to przynajmniej zgodna z dyktatami sumienia. — A poza tym skąd pewność, że w ogóle da się z tamtej małej zrobić wtyczkę. Przecież to jakaś gówniara, która uciekła z domu, bo w szkole nie szło jej z nauką!

— Zgoda, Jack, ale ja muszę brać pod uwagę i przedstawiać ci wszystkie możliwości.

Było faktem, że nawet w czasach wojującego feminizmu żadne państwo na świecie nie wahało się wykorzystywać kobiet do zdobywania informacji. Uważano wręcz, że jest to sprawa normalna.

Dziewczyny były przeważnie sympatyczne i inteligentne. Pracowały najczęściej jako sekretarki w rozmaitych kancelariach i ministerstwach, przy okazji inkasując drugą pensję od tajnych służb. Oficjalnie Ryan nic nie wiedział o tego rodzaju poczynaniach i był za to szczerze wdzięczny losowi. Gorzej, gdyby coś o tym wiedział i musiał wbrew sobie zamilczeć, jakie jest jego zdanie na ten temat. Ludzie zakładają często, że funkcjonariusze państwowi wysokiego szczebla mają równie mało skrupułów moralnych jak człękoksztaltne automaty, pełniące obowiązki bez żadnych wahań czy wątpliwości. Być może dawniej rzeczywiście tak było. Gdzieś mogło tak być i dzisiaj, ale świat na pewno poszedł naprzód, a oprócz tego Jack Ryan był synem policjanta.

— Pamiętaj, co sama mi mówiłaś. Ta dziewczyna to Amerykanka, której należy się pomoc. Nie

zajmujemy się sprawami, do których nie jesteśmy powołani, co? Kto zajmuje się dziewczyną, Clark i Chavez?

— Zgadza się.

— Moim zdaniem musimy się zachowywać bardzo, bardzo ostrożnie. Co nie oznacza, że dziewczyna ma zostać w Japonii. Jeśli odmówi, wtedy zgoda, możemy zacząć myśleć o innych możliwościach, ale tylko pod tym warunkiem. Dajemy jej darmowy bilet do domu, niech sama wybiera.

— Ryan znów spojrzął na meldunek nadesłany przez Clarka. Tym razem czytał uważniej. Gdyby kto inny był autorem, Ryan nie przejąłby się aż tak bardzo, ale za dobrze i zbyt długo znał Johna Clarka. Ciekawie będzie na stare lata powspominać, skąd wziął się John Clark.

— Chcę mieć jeden egzemplarz tego meldunku dla siebie. Prezydent też powinien go przeczytać.

— Zgoda — orzekła zastępczyni dyrektora CIA do spraw operacyjnych.

— Jeżeli dostaniecie następne takie coś...

— Wtedy dam ci zaraz znać — przyrzekła Mary Pat.

— A z OSTEM dobry miałaś pomysł.

— Chciałabym, żeby Clark... Żeby ponaciskał, kogo trzeba, może też usłyszy podobne opinie.

— Oczywiście — orzekł Ryan. — Możesz mu dać wolną rękę.

Yamata podróżował starym Gulfstreamem *G-IV*. Chociaż maszyna posiadała dodatkowe zbiorniki paliwa, w normalnych warunkach nie była w stanie bez międzylądowania pokonać ponad dziesięć tysięcy kilometrów, jakie dzielą Tokio od Nowego Jorku. Tego dnia pilot miał jednak dobrą nowinę.

Wiatry nad północnym Pacyfikiem osiągnęły wyjątkową prędkość trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Dzięki temu samolot zyskiwał dodatkowe źródło napędu, a prędkość przelotowa wzrastała do 1250 kilometrów na godzinę. Lot do Nowego Jorku miał dziś trwać dwie godziny krócej niż zwykle.

Yamata był zadowolony z takiego obrotu rzeczy, bo zależało mu na czasie. Nie musiał ślęczeć nad planami tego, co zamierzył, jak dotąd nie zapisał na ten temat ani słowa na papierze czy w pamięci komputera. Spać także nie mógł, chociaż noce zarywane regularnie w ciągu ostatnich tygodni bardzo go wyczerpały. Niestety, sen przychodził mu niełatwo. Chociaż Yamata lubił lektury, żadna z książek, jakie zabrał ze sobą do samolotu nie przykuła jego zainteresowania. Poza tym leciał sam i nie miał nawet z kim porozmawiać. Przymusowa beczyność wydawała mu się czymś dziwnym. *G-IV* leciał na stałym pułapie 13.600 metrów, a dookoła roztaczał się jasny poranek. Z obecnej wysokości widać było dokładnie wody północnego Pacyfiku, nie kończące się szeregi fal o białych grzywach targanych silnym wiatrem.

Nieśmiertelny ocean. Yamata pamiętał, że przez prawie całe jego życie Pacyfik należał do floty Stanów Zjednoczonych. Amerykańska sadzawka, tak? I co Pacyfik na to? Czy choć Pacyfik wiedział, że już wkrótce wszystko ulegnie zmianie?

Zmiana. Yamata odchrząknął z zadowoleniem. A co najlepsze, wszystko zacznie się już w kilka godzin po przylocie do Nowego Jorku.

— Tu Bud, podchodzę do lądowania. Widzę pokład. Paliwa mam trzy i pół tony — zameldował

komandor Sanchez do mikrofonu. Jako dowódca grupy powietrznej na pokładzie lotniskowca USS „John Stennis” (CVN-74), Sanchez miał prawo siadać swoim *F/A-18F* jako pierwszy. Dziwne, ale chociaż Sanchez miał najdłuższy staż za sterami na całym lotniskowcu, *Hornetem* latał od bardzo niedawna.

Prawie przez całe życie służył na myśliwcach *F-14 Tomcat*. *Hornet* był mniejszy i bardziej zwrotny, a poza tym mieścił więcej paliwa niż *Tomcat*, którym dało się co najwyżej wystartować, zrobić dwa kółka dookoła okrętu, po czym znów trzeba było siadać. Poza tym Sanchez lubił latać sam, a jego dawny *Tomcat* był maszyną dwumiejscową. A zatem niech żyje *Hornet*. Kto wie, pomyślał komandor, może tym razem rzeczywiście kolesiom z Sił Powietrznych udało się zaprojektować maszynę, z której będzie pożytek w Marynarce?

Daleko w przodzie, na rozległym pokładzie lotniskowca, personel sprawdzał liny hamujące. Masa pustego myśliwca plus trzy i pół tony paliwa — wartość tę trzeba było przełożyć na odpowiednie napięcie lin. Procedura była zawsze ta sama. Nawet z odległości pół mili Sanchez mógł się zorientować, jak wielki jest pokład. Komuś o mniejszym doświadczeniu pole lądowania, jakim dysponował samolot, musiało się wydawać mikroskopijne, ale Sanchez wzruszył tylko ramionami i skupił się za sterami. *Hornetem* zakołysało lekko w strudze zawirowań, ciągnącej się w powietrzu za wysoką nadbudówką lotniskowca, lecz Sanchez widział już „kulę”, specjalny czerwony reflektor z lustrem, dokładnie pośrodku pokładu.

Sancheza po cichu przezywano „ludzkim automatem”, bo na ponad tysiąc sześćset lądowań na lotniskowcu — zapisywano skrupulatnie każde z nich — komandor tylko pięćdziesiąt razy nie trafił

hakiem o pierwszą z trzech kolejnych lin.

— Teraz delikatnie — napomniał się Sanchez w myślach. Prawą ręką przysunął do siebie drążek, a lewą zmniejszył ciąg, obserwując zarazem wysokościomierz. Uwaga, teraz... Kadłub myśliwca zadygotał, oznajmiając, że wysuwany hak zaczepił się o linę (Sanchez był pewien, że w pierwszą), a maszyna zwolniła biegu, choć wciąż wydawała się pędzić niebezpiecznie ku obrywowi na drugim końcu pokładu. *Hornet* zatrzymał się wreszcie o parę metrów od miejsca, gdzie urywała się asfaltowana stal, a zaczynało się morze. Parę metrów? Trzydzieści, co najmniej. Ech, te emocje. Sanchez zwolnił hak, pozwalając linie hamującej powrócić na poprzednie miejsce. Personel pokładowy wskazywał mu już, w którym miejscu ma odjechać samolotem na bok. Kosztowny myśliwiec morski zmienił się w nadzwyczaj niezgrabny trójkołowy pojazd, pełznący po najdroższym parkingu na świecie. Po dalszych pięciu minutach Sanchez mógł wyłączyć silniki. Załoga przypięła *Horneta* łańcuchami do pokładu. Można już było podnieść wiatrochron kabiny i po stalowej drabince

zejść na dół, gdzie czekał wbity w brązową koszulę główny mechanik.

— Witamy na pokładzie, panie komandorze. Wszystko grało?

— Wszyściuteńko. — Sanchez wręczył mechanikowi swój hełm i ruszył rażno ku nadbudówce.

Nim upłynęły trzy minuty, mógł już z wysokości pomostu nawigacyjnego przyglądać się lądowaniu pozostałych maszyn.

Marynarze i lotnicy zaczęli już przezywać nowy lotniskowiec Johnny Rebel<sup>3</sup>. Tak naprawdę, okręt ochrzczono „John Stennis” ku pamięci senatora ze stanu Missisipi, wielkiego przyjaciela Marynarki i bojownika o jej budżet. Na okręcie pachniało nowością. Nie tak dawno temu „Stennis” zjechał z pochylni w stoczni Newport News, stanął przy nabrzeżu wyposażeniowym, po czym odbył serię prób morskich na Atlantyku przed długim rejssem wokół przylądka Horn do Pearl Harbor. Bliźniacza jednostka, nazwana „United States”, miała rozpocząć próby dopiero za rok. W stoczni zaczęto już budowę trzeciego okrętu tej klasy. Dobrze było mieć pewność, że tej części Marynarki USA nie grozi bankructwo, przynajmniej na razie.

Samoloty lądowały w odstępach dziewięćdziesięciu sekund. Lotniskowiec zabierał na pokład dwa dywizjony po dwanaście myśliwców *F-14 Tomcat*, dalsze dwa dywizjony o tej samej liczbie *F/A-18F*

*Hornet*, jeden złożony z dziesięciu maszyn dywizjon bombowców *A-6E Intruder* i samoloty specjalne: trzy maszyny wczesnego ostrzegania *E-3C Hawkeye*, dwa samoloty dowodzenia *C-2* i cztery maszyny walki elektronicznej *EA-6B Prowler*. Mało. Sanchez wolałby mieć do dyspozycji jeszcze parę samolotów.

Na pokładzie i w hangarach „Stennisa” zmieściłaby się spokojnie jeszcze dwadzieścia maszyn, ale fala oszczędności wpłynęła także na stan etatowy grupy powietrznej. Sanchez z nostalgią wspominał

czasy, gdy na pokładzie nie było ani skrawka wolnego miejsca. Jedyna korzyść, że łatwiej teraz manewrować po lądowaniu. Niestety, nowy stan etatowy zmniejszył aż o jedną trzecią wartość bojową lotniskowca. Całe lotnictwo morskie przeżywało kryzys. Konstrukcja podstawowego samolotu, jakim był

*Tomcat*, pochodziła jeszcze z lat sześćdziesiątych, to jest z czasów, kiedy Sanchez wybierał się dopiero do szkoły średniej i marzył o zrobieniu prawa jazdy. *Horneta* — w prototypowej wersji *YF-17* — oblatano w początkach lat siedemdziesiątych. Prawdziwym dziadkiem był *Intruder*, zaprojektowany w latach pięćdziesiątych, gdy Bud Sanchez przesiadał się z trójkołowca na prawdziwy rower z dwoma kołami.

Przemysł lotniczy nie miał w zanadrzu ani jednej nowej konstrukcji. Marynarka dwukrotnie wzgardziła technologią *stealth*, najpierw gdy odmówiła udziału w programie badań, dzięki któremu Siły Powietrzne wzbogaciły się o niewidzialny dla radarów *F-117*, a później, gdy odrzuciła projekt samolotu szturmowego *A-12 Avenger*. *Avenger*, nawiasem mówiąc, choć niewykrywalny, przerażał niskimi osiąganiami i złą manewrowością. W końcu Sanchez, pilot o dwudziestoletnim stażu i z

wszelkimi szansami na prędko awans na admirała, miał do dyspozycji mniejszy potencjał niż którykolwiek z jego poprzedników. Nie inaczej wyglądała sytuacja na płynącym o pięćdziesiąt mil morskich na wschód lotniskowcu „Enterprise”.

Lotniskowce nadal jednak pozostały władcami oceanów. Nawet z okrojonym stanem, „Johnny Reb” mógł spokojnie sam jeden dać sobie radę z parą lotniskowców indyjskich. Sanchez oceniał, że jeśli zajdzie taka potrzeba, przytarcie Indiom rożków przyjdzie mu bez specjalnych trudności. Jeszcze bardziej cieszyło go, że oprócz Hindusów nie trzeba się było martwić żadnym poważnym przeciwnikiem.

— Koniec — oznajmił szef operacji lotniczych, gdy ostatni *EA-6B* zaczepił się o drugą linę i stanął.  
— Lądowanie wykonane. Masz niezłych pilotów, Bud.

— Bo tresowanych, Todd. — Sanchez podniósł się z miejsca i ruszył do kajuty, żeby się trochę ogarnąć przed odprawami. Pierwszą miał przeprowadzić z dowódcami dywizjonów, drugą zaś ze sztabem operacyjnym, przygotowującym okręt do udziału w manewrach WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY.

Nareszcie coś się będzie działo. Sanchez, który prawie przez całą służbę pływał na Atlantyku, pierwszy raz stykał się z japońską marynarką i bardzo był ciekaw, co o tym wszystkim pomyślałby jego dziadek, Henry Gabriel Sanchez, przezywany „Mike”, oficer lotnictwa na USS „Wasp”. W 1942 roku dziadek Sanchez staczał walki powietrzne z Japończykami podczas kampanii na Guadalcanal, a tu, proszę: jego wnukowi przyszło się zabawiać w braterstwo broni.

— No nie, naprawdę nie możesz mi chociaż trochę pójść na rękę? — napierał członek projapońskiego lobby. Sytuacja zaczynała wyglądać tak niedobrze, że mocodawcy z Tokio zagrozili odcięciem środków dla biura w Waszyngtonie. Oj, niedobrze, niedobrze. Były deputowany do Kongresu ze stanu Ohio inaczej wyobrażał sobie życie w roli amerykańskiego przyjaciela Japonii. Nie chodziło mu tylko o siebie, lecz o cały dwudziestoosobowy personel — o Amerykanów. Nic dziwnego, że rozmowy na ten dzień zaplanował bardzo starannie. Jego obecny rozmówca, senator, miał swoje problemy. Z jednym groźnym przeciwnikiem musiał się wkrótce zmierzyć w prawyborach, a z drugim, z przeciwnej partii, w wyborach zasadniczych. A wybory, jak wiadomo, słono kosztują. Istniała szansa, że w obliczu tak wielkich potrzeb senator okaże się człowiekiem rozsądnym.

— Roy, pamiętam, że idziemy sobie na rękę już od dziesięciu lat, ale... Jeżeli zagłosuję przeciwko ustawie, mogę się w ogóle nie fatygować z tymi wyborami. Powieszają mnie w moim stanie, albo zakopią z osinowym kołkiem w sercu. Będę mógł wrócić do Chicago, wciskać kit studentom nauk politycznych i udawać, że dalej mam coś do powiedzenia w Waszyngtonie.

Senator nie dodał, że w najgorszym razie skończy tak jak Roy, w roli człowieka do wynajęcia.

Nie musiał tego mówić, bo znaczenie jego przemowy było oczywiste dla nich obu. Nieprzyjemna rozmowa, nie ma dwóch zdań. Ale jakże tu się wychylać, kiedy od dwunastu lat było się w

Kongresie?

Kiedy życie układało się jak po maśle? Senator miał tu swoje biuro, swoje życie towarzyskie, swoje prywatne miejsce do parkowania, darmowe bilety lotnicze do Illinois i z powrotem... Poza tym, kiedy się było senatorem, było się też odpowiednio traktowanym przez otoczenie. Senator przy swoim stażu mógł

już sobie pozwolić na to, by w Waszyngtonie tkwić tylko od poniedziałku do czwartku. W każdy czwartkowy wieczór natomiast wracał do rodzimego stanu, gdzie wygłaszał przemówienia u Rotarian, dawał się zapraszać na bankiety, przecinał wstęgi w nowo otwartych urzędach pocztowych, na które zdobył fundusze, a przede wszystkim uparcie i nieustępliwie prowadził własną kampanię wyborczą: równie nieustępliwie, jak za pierwszym razem. Rezygnować z tego wszystkiego? Pakować się w nową kampanię tym razem mając całkowitą pewność, że marnuje się czas i pieniądze? Senator musiał głosować za Ustawą o Reformie Handlu, i kwita. Musiał. Czyżby Roy nie rozumiał rzeczy oczywistych?

— Wiem, co chcesz powiedzieć, Ernie, ale naprawdę muszę cię prosić o przysługę — napierał

członek lobby. On sam także miał swoje biuro, ale zamiast podatników łożył na nie bardzo wymagający pracodawca. Surowy pracodawca. — Powiedz, jesteś moim przyjacielem, czy nie jesteś?

Ostatnie słowa były nie tyle pytaniem, ile zawołaną groźbą, a zarazem obietnicą. Roy dawał

do zrozumienia, że jeżeli senator Greening zaraz czegoś nie wymyśli, wówczas on, Roy, nawiąże przyjacielskie kontakty z którymś z wyborczych przeciwników senatora. Z którym? Na przykład z obydwojema. Roy nie kierował się lojalnością wobec żadnej z partii politycznych, więc nic nie stało na przeszkodzie, by spisał Ernesta Greeninga na straty i zaczął się zalecać do jego potencjalnych następców w Waszyngtonie. Plon potrafi być tym obfitszy, im wcześniej się go zasieje. Japończycy lubią takie długofalowe inwestycje. Wiedzieli o tym wszyscy. Ale z drugiej strony, gdyby senator wpadł jednak na rozsądny pomysł...

— Powtarzam, nie mogę zmienić decyzji co do głosowania — powtórzył senator Greening.

— To może złożysz wniosek o poprawkę do ustawy? Mam pewien pomysł, który mógłby nam...

— Nie widzę takiej możliwości, Roy. Sam wiesz, co się dzieje we wszystkich trzech komisjach.

Przewodniczący siedzą w tej chwili nad obiadem w „Bullfeathers” i omawiają ostatnie szczegóły.

Najlepiej, jeśli skontaktujesz się ze swoimi przyjaciółmi i powiesz im bez ogródek, że tym razem mają przegwizdane.

— Coś jeszcze? — zapytał Roy Newton, nie dając po sobie poznać najczarniejszego przygnębienia. Trząśnięty na myśl, że znów przyjdzie mu zostać marnym adwokatem w Cincinnati.



— Na ten temat? Właściwie tyle — odparł Greening. — Aha, ale przy okazji, zauważyłem parę ciekawych szczegółów. Nie u nas, u tamtych.

— Co mianowicie? — Roy Newton miał już serdecznie dość niespodzianek. Wszędzie te cholerne plotki. Dobrze jest plotkować komuś, kto siedzi na Kapitolu już szóstą kadencję, ale nie komuś, kto...

— Wygląda na to, że Ed Kealty będzie miał sprawę kryminalną.

— Żarty! — Roya rzeczywiście zatkało. — Nie chcesz mi powiedzieć, że znów go przyłapano z jakąś babą?

— Chodzi o gwałt — wyjaśnił Greening. — Nie żadne tam macanki, tylko normalny gwałt. FBI siedzi nad tą sprawą już od jakiegoś czasu. Wiesz, kto to jest Dan Murray?

— Ten pudelek Shawa?

Senator skinął głową.

— Właśnie. Murray przedstawił sprawę w komisji wymiaru sprawiedliwości w Izbie, ale zaraz zrobił się burdel z Japonią, więc prezydent kazał się wstrzymać. Kealty na razie nic nie wie, przynajmniej nie wiedział w zeszły piątek. Skąd wiem? Szefowa moich asystentów to narzeczona szefa biura u Sama Fellowsa. Sam powiedz, kto by wytrzymał, żeby nie puścić w obieg takiej bomby?

Newton skrzywił się szyderczo. Ech, ten Waszyngton. Tajemnica, którą zna więcej niż jeden człowiek, przestaje być tajemnicą.

— Więc to nie żaden pic?

— Z tego, co słyszałem, Ed Kealty wpakował się w okropny gnój. Murray nie zostawił żadnych wątpliwości. FBI chce, żeby Ed poszedł do pudła. Podobno któraś z jego ofiar nie żyje, czy coś takiego.

— Lisa Beringer! — Jednym z nielicznych talentów Newtona jako polityka było to, że miał fotograficzną pamięć do nazwisk.

— Ho, ho, widzę, że i ty coś pamiętasz — pochwalił go Greening.

Newton miał ochotę gwizdnąć z wrażenia, ale jako byłego członka Kongresu obowiązywał go powściągliwy sposób bycia.

— Wcale się nie dziwię, że nie chcą tego puścić w obieg. Za mało miejsca na pierwszych stronach, tak?

— Dokładnie o to chodzi. Po pierwsze, mogłoby to wpłynąć na przebieg głosowania nad ustawą, nie na pewno, ale po co sobie komplikować życie? Poza tym oprócz ustawy szykuje się jeszcze ten pakt z

Rosją. Założę się, o co chcesz, że sprawę Kealty'ego ujawnią dopiero, kiedy prezydent wróci z Moskwy.

— Poświęci Kealty'ego bez gadania?

— Roger? Nigdy za sobą nie przepadali. Ed otrzymał stanowisko, bo umiał się dogadać z Kongresem, zgoda? Prezydent potrzebował kogoś takiego, ale sam wiesz... Nawet jeśli Kealty się wybroni, jaki będzie z niego pożytek? Tym bardziej kiedy zacznie się kampania wyborcza. Tylko polityczny samobójca zostawiłby go na stanowisku — uzmysłowił rozmówcy Greening. — Durling rzuci Kealty'ego na pożarcie przy pierwszej sposobności, to znaczy już niedługo.

Newton nareszcie zdobył punkt zaczepienia. Milczał, obracając nowinę w myślach. Trudno, nie da się zatrzymać prac nad ustawą. Ale może da się rozwalić Biały Dom z Durlingiem i Kealtym? Nowy lokator w Białym Domu oznacza nową szansę, nowe wpływy, nowe podziały...

— Owszem, Ernie, to bardzo ciekawe.

# Ceremonie

Oczywiście nie mogło się obejść bez przemówień, i to co gorsza bez całego mnóstwa przemówień. Wobec wydarzenia tej wagi każdy z deputowanych z 435 okręgów wyborczych czuł się w obowiązku poświęcić kilka chwil na występ przed kamerami telewizji, jedna z deputowanych z Północnej Karoliny przyprowadziła nawet ze sobą Willa Snydera, wciąż z rękami w bandażach, i załatwiła mu miejsce w pierwszym rzędzie galerii dla gości. Mogła dzięki temu w szczytowym momencie przemowy wskazać innym dzielnego wyborcę i pochwalić związki zawodowe, które zaszczepiają swoim członkom ducha pomocy dla bliźnich. W następnym zdaniu deputowana zaproponowała, by Kongres specjalną pochwałą uczcił bohaterski czyn Snydera.

Zaraz później wystąpił deputowany ze wschodniej części Tennessee, tym razem z panegirycznym na cześć policji stanowej i naukowych talentów w laboratoriach badawczych w Oak Ridge. Planowana ustawa mogła sprawić, że w stronę federalnego ośrodka badawczego w Oak Ridge popłyną dodatkowe miliony dolarów na badania. Biuro komisji budżetowych w Kongresie zdążyło już się zabrać za ocenę nowych dochodów podatkowych, osiągniętych dzięki zwiększonej produkcji amerykańskich aut. Na wieść o dodatkowych wpływach do budżetu członkowie komisji ślinili się jak psy Pawłowa na dźwięk dzwonka.

Deputowany z Kentucky czynił co mógł, by dowieść, że Cresta jest w gruncie rzeczy samochodem nie japońskim, lecz amerykańskim, a gdyby uzupełnić konstrukcję o dalsze części Made in USA, stałaby się tak amerykańska, że bardziej już nie można. W samej rzeczy japońska dyrekcja zgodziła się na daleko idące ustępstwa, lecz w tej chwili nie miało to znaczenia. Deputowany wyraził nadzieję, że za to, co się stało, nikt nie będzie obciążał winą robotników z jego stanu, jako że bądź co bądź nieszczęsne części wyprodukowano poza Ameryką. Przy okazji polityk przypomniał słuchaczom, że zakłady samochodowe w Kentucky to najwydajniejsza fabryka na świecie, a Cresta z kolei to auto godne tego, by Japonia i Ameryka zgodnie współpracowały ze sobą przy jego produkcji. Deputowany oznajmił, że będzie głosował za przyjęciem ustawy tylko dlatego, że w ten sposób przybliży się możliwość takiej współpracy.

Reszta członków Izby Reprezentantów przyklasnęła tym słowom, podziwiając szybką orientację mówcy.

Kolejne przemowy wyglądały dokładnie tak samo. Redaktorzy „Roll Call”, miejscowej gazety specjalizującej się w wiadomościach z Kapitolu, zaczęli się wręcz zastanawiać, czy ktokolwiek w całym Kongresie odważy się głosować przeciwko nowej ustawie.

— Umówmy się! — perswadował Roy Newton swemu najlepszemu klientowi. — Sytuacja wygląda tak, że na razie musicie się pogodzić z klęską. Klapa, i nic już tego nie zmieni. Trudno, tak bywa, czasami ma się pecha.

Rozmówcę zaskoczyły nie tyle wszystkie te słowa, ile ton, jakim zostały wypowiedziane. Newton zachowywał się po prostu bezczelnie. Zamiast przeprosić za nieudolność czy za to, że nie umiał pomóc, choć za to przecież brał pieniądze, wbrew wszelkim obietnicom składanym japońskim mocodawcom, taka śmiałość! W kraju, w którym podwładni winni byli wdzięczność swym

dobroczyńcom, byłoby to wprost nie do pomyślenia, ale kto by tam zrozumiał Amerykanów. Daje im się pieniądze za konkretne usługi, a oni...

— Na szczęście dzieją się jeszcze inne rzeczy. Jeśli stać was na trochę cierpliwości, w dalszej perspektywie... — Newton umyślnie mówił o dalszych perspektywach, bo „bliższą przyszłość” zdążono już wyśmiać. Na szczęście klient władał angielskim na tyle, by się zorientować w różnicy.  
— W dalszej perspektywie staniemy wobec nowych możliwości działania.

— Jakież to możliwości? — zapytał kwaśnym tonem Biniczi Murakami. Zdenerwował się tak, że tym razem okazał po sobie złość. Za dużo tego wszystkiego! Murakami przybył do Waszyngtonu w nadziei, że uda mu się osobiście wystąpić przeciwko projektowi fatalnej ustawy, ale do tej pory rozmawiał

tylko z hurmą dziennikarzy, których pytania dowodziły jasno, że facygował się daremnie. Nie dość że niczego nie wskórał, to jeszcze musiał tu siedzieć, zamiast wracać do Japonii, dokąd wzywał go raz po raz jego przyjaciel Kozu Matsuda.

— Na przykład zmiana rządu — zakomunikował Newton i zabrał się za wyjaśnianie, w czym rzecz.

— Takie głupstwo ma go kosztować stanowisko?

— Wie pan, w pańskim kraju także dojdzie kiedyś do podobnych sytuacji, no i reakcji. Nie wierzy pan? Oszukuje pan siebie. — Newton nie rozumiał, jak można nie pojmować rzeczy tak oczywistej. Czy japońscy spece od marketingu zapomnieli wyjaśnić swoim zleceniodawcom, jaki procent nabywców samochodów w USA to kobiety? Mniejsza o samochody, a najlepsze na świecie golarki do nóg to nic?

Tak się składało, że golarki wytwarzał jeden z zakładów w koncernie Murakami. Skoro Japończycy ładują tyle pieniędzy w reklamę i dobre imię producenta wśród żeńskiej części nabywców, niech nie udają, że identyczne zasady nie obowiązują po ich stronie Pacyfiku. Zdaniem Newtona, takie poglądy dowodziły niebezpiecznej ślepoty.

— I naprawdę taka afera może zrujnować Durlinga? — upewnił się Japończyk, przekonany, że Ustawa o Reformie Handlu przysporzy prezydentowi USA dodatkowej popularności.

— Tak, pod warunkiem że się to odpowiednio rozegra. Durling usiłuje bądź co bądź ukreślić łeb śledztwu, i to w bardzo poważnej sprawie.

— Zaraz, z tego, co mi pan mówił, wynika, że on tylko...

— Tak, ale zwłoka ma podłoże czysto polityczne, Biniczi. — Newton rozmyślnie złamał swoją zasadę i zwrócił się do klienta po imieniu. Japończycy nie znosili tej amerykańskiej manieri. Nadęte typki. Zwłaszcza ten.

— Biniczi, w Stanach nie ma nic gorszego niż dać się przyłapać na utrudnianiu śledztwa dla

własnych korzyści politycznych. A zwłaszcza wtedy, gdy ofiarą przestępstwa jest kobieta. Taki już mamy osobliwy ustrój polityczny — wyjaśnił pełnym cierpliwości tonem.

— Nie możemy się chyba w to wtrącać?

Pytanie było raczej mało na miejscu, choć Newton rzeczywiście nie angażował się w szantaż na aż tak wysokim szczeblu.

— Nie? To za co biorę od was pieniądze?

Murakami odsunął się od biurka i zapalił papierosa. W tym gabinecie tylko on jeden miał prawo palić. Zakaz dotyczył także gości.

— A w jaki sposób to zorganizujemy?

— Może się nad tym zastanowię dwa, trzy dni? Na razie pora chyba, żeby pan poleciał do domu.

Szkodzi pan sobie, tkwiąc tutaj. Zgoda? — Newton zawiesił głos. — Przy okazji, zdaje pan sobie chyba sprawę, że przedsięwzięcie jest nie tylko skomplikowane, także niebezpieczne?

Murakami był wściekły. Miał do czynienia ze sprzedajnym najemnikiem. Nowe prośby o pieniądze! Trudno. Przynajmniej tyle w tym dobrego, że Newton umiał wykazywać skuteczność.

— Jeden z moich kolegów przybył do Nowego Jorku. Muszę się z nim zobaczyć. Z Nowego Jorku odlecę do Japonii.

— Doskonale. Po co się pchać ludziom w oczy.

Murakami wstał i odprowadził Newtona do kancelarii, gdzie czekał jego osobisty asystent, a także drugi mężczyzna, ochroniarz. Murakami odznaczał się potężną budową i jak na Japończyka był wysoki: miał 175 centymetrów wzrostu. Z kruczoczarnymi włosami i młodą twarzą nie wyglądał wcale na pięćdziesiąt siedem lat. Lepiej od innych radził sobie także z inwestycjami na amerykańskim rynku finansowym, więc obecna sytuacja bolała go tym bardziej. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nigdy nie zdarzyło mu się kupić w USA towarów za sumę mniejszą niż 100 milionów dolarów rocznie. Poza tym Murakami nie raz po cichu wstawiał się za zwiększeniem importu amerykańskich artykułów żywnościowych do Japonii. Jako syn i wnuk rolników nie mógł zresztą ścierpieć, że tylu jego rodaków nadal chce się babrać w ziemi, mimo tak niskiej wydajności i ciężkiej pracy, gdy tymczasem Amerykanie, choć śmierdzący lenie, potrafili dokonywać w rolnictwie prawdziwych cudów.

Biurowiec mieścił się na Szesnastej Ulicy, dosłownie kilka przecznic od Białego Domu.

Wychodząc przed budynek, Murakami dojrzał kątem oka siedzibę amerykańskich prezydentów, imponującą, mimo stosunkowo niewielkich rozmiarów. Zamek w Osace był większy, lecz i w Białym Domu czuło się ośrodek silnej władzy.

— Znów te pierdolone zółtki!

Murakami odwrócił się. Miał przed sobą białego, który musiał być robotnikiem albo kimś podobnym. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że Amerykanin jest wściekły. Murakami był tak zaskoczony sytuacją, że nawet się nie obraził. Jego ochroniarz natychmiast stanął pomiędzy nim, a robotnikiem.

— Dostaniecie od nas taki wpierdol, że popamiętacie! — pieniał się biały.

— Chwileczkę. Czy ja panu coś zrobiłem? — zapytał niezmiernie zaskoczony Murakami. Gdyby lepiej znał Amerykę, domyśliłby się, że ma przed sobą jednego z waszyngtońskiej rzeszy bezdomnych, alkoholika, który przez nałóg stracił pracę, rozstał się z rodziną, a jedyny kontakt z rzeczywistością zawdzięczał rozmowom z takimi samymi rozbitkami jak on. Nic dziwnego więc, że najnowsze perypetie USA z japończykami przybrały dla niego rozmiary narodowej hańby. Bezdomny ścisnął w rękę duży tekturowy kubek, pełen najtańszego piwa, a ponieważ dawno, dawno temu pracował w zakładach Chryslera w Newark w stanie Delaware, postanowił dobitnie wyrazić swój protest. Zapominając, że za chwilę pożałuje takiej rozrzutności, bezdomny chlusnął piwem w trójkę stojących przed nim Japończyków i bez słowa ruszył w swoją stronę.

Ochroniarz chciał się rzucić za nim, tym bardziej, że w Japonii miałby prawo powalić takiego *bakayaro* na ziemię i oddać go w ręce policji. Ponieważ jednak znajdowali się w obcym kraju, ochroniarz pohamował się. Nie wiedział, czy zdarzenie nie jest prowokacją, mającą odwrócić jego uwagę od czegoś jeszcze groźniejszego. Mocodawca ochroniarza stał tymczasem zupełnie nieruchomo, z twarzą, na której zastygł wyraz śmiertelnego oburzenia. Z drogiego angielskiego płaszcza Murakamiego ciurkało pół litra ohydneho amerykańskiego piwka. Murakami bez jednego słowa wsiadł do czekającego samochodu i kazał jechać na krajowe lotnisko na drugim brzegu Potomaku. Osowiały ochroniarz zajął miejsce obok kierowcy.

Murakami do wszystkiego w życiu doszedł własną pracą. Zaczynał w mikroskopijnym gospodarstwie ojca, potem uczył się wytrwale, aby prześcignąć innych i dostać się na tokijski uniwersytet, pokonywał kolejne etapy kariery. W dorosłym życiu Murakami często się zastanawiał nad fenomenem Ameryki. Nie podobała mu się jej polityka, ale musiał przyznać, że również w japońskim nastawieniu do zasad wzajemnego handlu nie wszystko jest w porządku. Jedno przypadkowe wydarzenie na waszyngtońskiej ulicy sprawiło, że cały jego obiektywizm prysnął bez śladu.

— Barbarzyńcy — powtarzał sobie, wsiadając w wyczarterowany odrzutowiec. Za niecałą godzinę miał być w Nowym Jorku.

— Premier musi upaść — zapowiedział Ryan prezydentowi o tej samej porze i o kilka ulic dalej, w Białym Domu.

— Wiemy to na pewno?

— Na tyle, na ile cokolwiek wiadomo na pewno — odpowiedział Jack i usiadł, zachęcony gestem. — Wysłaliśmy tam w pewnej misji dwóch doświadczonych agentów. Przy okazji dowiedzieli się i tego.

— Z Departamentu Stanu nic na razie o tym nie słyszałem — powiedział z niewinną miną Durling.

— Wiem, co mówię, panie prezydencie. — Ryan rozłożył na kolanach plik papierów. — Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, że kryzys gabinetowy będzie miał tam poważne konsekwencje. Koga stoi na czele koalicji sześciu skłóconych partii. Żeby go obalić, potrzeba bardzo niewiele. — Jack uznał, że nie musi dodawać, co upadek japońskiego rządu będzie oznaczał dla Ameryki.

— No, dobrze. I co z tego? — przerwał Durling. Wyniki ankiet, jakie codziennie znajdował na biurku, utwierdzały go w przekonaniu, że może sobie teraz pozwolić na bardzo wiele.

— Tyle, że na miejscu Kogi pojawi się ktoś inny, a mianowicie Hiroszi Goto. A ten nie przepada za Ameryką. Od dawna nas nie cierpi.

— Hiroszi to demagog — zbył Ryana prezydent. — Rozmawiałem z nim tylko raz i sprawił na mnie wrażenie kogoś, kto więcej gada niż może. Nie dość, że słabeusz, to jeszcze zarozumiały.

— Aha, i jeszcze jedno na temat Goto. — Ryan wtajemniczył prezydenta w efekty dawnej operacji DRZEWO SANDAŁOWE. W innych okolicznościach Roger Durling pewnie by się nawet uśmiechnął, ale na razie myślał głównie o tym, że musi coś zrobić z Edem Kealtem. A Kealty nadal tkwił

w gabinecie niecałe trzydzieści metrów od prezydenckiego biurka.

— Niech mi pan powie, Jack, jak to robią ci mężczyźni, którzy sypiają tylko i wyłącznie z żoną i nie kręcą nic na boku?

— Ja nie mam z tym jakoś kłopotów. No, ale moja żona jest chirurgiem.

Tym razem prezydent rzeczywiście się roześmiał, by zaraz znowu spoważnieć.

— I możemy wykorzystać te informacje przeciwko sukinsynowi?

— Możemy — przyznał Jack, nie dodając, że będzie to wymagało sporej ostrożności. Po wypadku pod Oak Ridge każda następna rewelacja na tematy japońsko-amerykańskie mogła do reszty zepsuć atmosferę. Sam Niccolo Machiavelli przestrzegał, żeby nie podburzać ludu ponad miarę.

— A jakie mamy zamiary wobec tej Norton? — zapytał Durling.

— Clark i Chavez mają...

— Ci sami, którzy ujęli Korpa, tak?

— Ci sami. Wysłaliśmy ich teraz do Japonii. Mają się spotkać z tą dziewczyną i wręczyć jej bilet do domu.

— Przesłuchacie ją po powrocie?

— Oczywiście.

— Podoba mi się to. Dobra robota — pochwalił Ryana prezydent.

— Panie prezydencie, udało nam się osiągnąć, ileśmy zamierzali, jeżeli nie więcej. Przypomina mi się tylko, co napisał chiński generał Sun Tsu. Trzeba zawsze zostawić pobitemu przeciwnikowi drogę odwrotu i nie przyciskać go do muru.

— Mnie uczyli w wojsku, żeby powystrzelać wszystkich co do nogi, a potem spokojnie przeliczyć ciała — oznajmił Durling mocno szyderczym tonem. Ubawiło go, że Jack Ryan czuje się już na tyle osadzony w realiach władzy, że nie proszony pcha się z dobrymi radami. — Od tych spraw mam innych doradców, Jack. Handel z Japonią nie ma nic wspólnego z problemami bezpieczeństwa narodowego.

— Zdaję sobie z tego sprawę, panie prezydencie, ale... No, nie dalej jak parę miesięcy temu pracowałem na Wall Street. Trochę wiem o handlu międzynarodowym, więc...

Durling skinął tylko głową.

— Proszę, niech pan mówi. Ostatnio moi doradcy zrobili się dziwnie jednomyślni, więc może dobrze się stanie, jeśli wysłucham przeciwnej opinii.

— Powinno nam zależeć na tym, żeby Koga utrzymał się przy władzy. O wiele łatwiej będzie się z nim dogadać niż z Goto. Można by się zastanowić, czy nasz ambasador nie powinien szepnąć komu trzeba paru słów, dać do zrozumienia, że ustawa upoważni pana do działań, które nie muszą wcale nastąpić...

— Jednym słowem, ustawa sobie, a w Białym Domu wszystko po staremu? — przerwał

bezceremonialnie Durling. — Nic z tego. Wie pan dobrze, że to niemożliwe. Oznaczałoby to, że wydaję wojnę Trentowi i całemu Kongresowi. Odpada. Przy okazji naraziłbym się związkom zawodowym, a na to także nie mogę sobie pozwolić.

— Więc naprawdę chce pan wprowadzić tę ustawę w życie?

— Pewnie, że chcę. Tylko na parę miesięcy, oczywiście. Muszę pokazać tym gnojkom, że jeszcze coś możemy. Po dwudziestu latach zabaw będziemy mieli wreszcie szansę na traktat handlowy z prawdziwego zdarzenia, ale żeby do tego doszło, musimy najpierw pokazać, co będzie, jeżeli w Tokio nie pójdą wobec nas na ustępstwa. Owszem, będzie to ich sporo kosztowało, ale za parę miesięcy, kiedy się przekonają, że nie mieli racji, zmienią trochę swoje prawodawstwo, my zareagujemy tym samym i wszystko się unormuje. Nareszcie będzie jakaś sprawiedliwość.

— Powiedzieć panu, co naprawdę o tym myślę?

— Za to przecież panu płacę. Nadal uważa pan, że za bardzo przyciskamy ich do muru?



— Dokładnie tak uważam. Nie powinno nam zależeć na odejściu Kogi. Jeżeli mamy go uratować, musimy wymyślić jakiś ukłon w jego stronę. Długofalowe korzyści będą naprawdę większe, bo z Kogą można się przynajmniej dogadać.

— To samo mówi mi Brett Hanson. — Prezydent podniósł z biurka stosowny dokument. — Z

tym, że Hanson nie obawia się tak jak pan upadku Kogi.

— Do jutra zmieni zdanie — zapowiedział Durlingowi Jack Ryan.

— Tu nie można nawet wyjść spokojnie na ulicę! — warknął Murakami. Yamata zarezerwował na swój wyłączny użytek całe piętro hotelu „Plaza Athenee”.

Obaj przemysłowcy siedzieli sami w jego apartamencie. Dawno zdjęli z siebie marynarki i krawaty. Na stole stała napoczęta butelka szkockiej.

— Nigdy nie miałem tu ochoty na spacer, Biniczi — odparł Yamata. — W tym kraju to nas uważa się za *gaidzin*. Był czas, że wolałeś o tym nie pamiętać.

— Nie zdajesz sobie sprawy, jak rozległe interesy prowadzę w Stanach, ile od nich kupuję... —

Młodszy z pary Japończyków mógłby przysiąc, że jeszcze czuć od niego rozlanym piwskim. Napastnik ochlapał mu koszulę. Murakami w złości zapomniał jej zmienić, a może podświadomie chciał zachować w pamięci lekcję wyuczoną przed kilkoma godzinami.

— A ja, co ja mam powiedzieć? — przerwał Yamata. — Wiesz, ile pieniędzy wpakowałem przez ostatnich parę lat w swoją nowojorską firmę? Sześć miliardów jenów. Dopiero ostatnio z tym skończyłem, jak pewnie zauważyłeś. Ciekawe, czy kiedykolwiek zwróci mi się teraz to wszystko.

— Nie, tego ci nie mogą przecież zrobić.

— Cieszy mnie twoje zaufanie do tutejszego ludu. Widać, że dobry z ciebie człowiek — zauważył gospodarz. — Kiedy nasza gospodarka zawali się z hukiem, myślisz, że pozwolą mi się tu osiedlić i zadbać o moją własność w USA? W 1941 roku z miejsca skonfiskowali wszystko, cośmy tutaj mieli.

— 1941 to historia.

— Wcale nie historia, Murakami-san, tylko lekcja na przyszłość. Wtedy mieliśmy dużo większe pole manewru. Teraz byle co wystarczy, żeby nas zepchnąć w przepaść.

— O, nie! — zaprotestował Chavez i pośpiesznie dopił resztę piwa. — W 1941 roku mój dziadek własną piersią bronił faszystom dostępu do Sankt Petersburga...

— Leningradu, szczeniaku, Leningradu! — poprawił go gniewnie siedzący obok Clark. — Ci młodzi zupełnie stracili szacunek dla naszej przeszłości! — wyjaśnił, zwracając się do dwójki japońskich gospodarzy. Pierwszym z tej pary był zastępca głównego rzecznika prasowego w koncernie Mitsubishi, drugim dyrektor zakładów lotniczych tej samej firmy.

— To prawda — zgodził się Seigo Iszi. — Sam miałem w rodzinie ludzi, którzy pomogli projektować nasze myśliwce, dla lotnictwa morskiego. Byłem bardzo małym chłopcem, ale pamiętam, jak niegdyś przedstawiono mnie Saburo Sakai. Raz widziałem też Minoru Genda.

Ding bez ceremonii otworzył następną partię butelek i nalał wszystkim, jak przystało na najmłodszego w towarzystwie. Mimo wszystko miało się wrażenie, że bardzo szanuje swego dziennikarskiego mistrza, Iwana Siergiejewicza Klierka. Piwo smakowało tym bardziej, że to japońscy gospodarze płacili za trunki. Chavez mógł się spokojnie nim delektować i podziwiać takt swego mistrza.

— Znam i ja te nazwiska — zapewnił przedmówcę Clark i wycelował weń oskarżycielsko palec.

— Asy lotnictwa, ale przecież... Co tu kryć, militaryści. Walczyli przeciwko mojej ojczyźnie, nie tylko przeciw Ameryce. A ja to pamiętam.

— Pięćdziesiąt lat temu! — przypomniał mu z kolei rzecznik. — A i pański kraj był wtedy zupełnie inny niż teraz.

— Prawda, prawda, przyjaciele — zgodził się posłusznie Clark. Głowa opadła mu do tyłu.

Chavez uznał, że Clark zbyt ostentacyjnie okazuje pociąg do alkoholu.

— Pierwszy raz w Japonii?

— Pierwszy w życiu.

— I jak wrażenia? — spytał Iszi.

— Ach, wspaniale. Najbardziej przypadła mi do gustu wasza poezja. Zupełnie inna od naszej, rosyjskiej. Wiecie panowie, zawsze brała mnie chęć, żeby napisać książkę o Puszkynie. Może ją jeszcze napiszę, kto wie, ale na razie uczę się poezji japońskiej. Bo wiedzą panowie, poezja rosyjska ma ambicję ukazać serię refleksji, opowiedzieć długą, zawiłą historię, a wasza inaczej... Wasza jest, rzekłoby się, subtelniejsza, bardziej delikatna, coś jak... jak się to mówi? jak zdjęcie z lampą błyskową. O, weźmy taki krótki wierszyk, może panowie będą mi go umieli wytłumaczyć. Widzieć ten obraz, widzę, czemu nie —

wywodził tonem rasowego pijaka Clark — ale rozumieć, to go nie rozumiem ni cholery. Zaraz, jak to szło? Aha: „Rozkwitły kwiaty śliwy, a kurtyzany kupują nowe chusty w domach publicznych...”. I co pan na to? — zwrócił się do rzecznika. — Co to niby ma znaczyć?

Ding nie spuszczał wzroku z Isziego. Sytuacja była nawet zabawna. Z początku na twarzy Japończyka pojawiło się zdziwienie, a później błysk przerażenia, gdy umysł rozpoznał wykute na pamięć, lecz dawno zapomniane hasło. Sasaki spojrział prędko na Clarka, by zorientować się zaraz, że obserwuje go młodszy Rosjanin. Czyli Ding.

Zgadza się, kolego. Wracamy na kremlowski żołąd.

— Już tłumaczę — pośpieszył z wyjaśnieniem rzecznik. — Widzi pan, w tym wierszu najważniejszy jest kontrast. Z jednej strony mamy tu sielską scenę, w której kobiety zajmują się czymś, no, kobiecym, i tak dalej. Ale w następnej linijce okazuje się nagle, że to prostytutki, zamknięte w...

— Uwięzione — podsunął Iszi, który nagle wytrzeźwiał. — Uwięzione w pewnej sytuacji, z której nie ma wyjścia. Nagle okazuje się, że obraz nie jest wcale taki sielski, jak się wydawało.

— Coś takiego! — ucieszył się Clark. — No, to teraz wszystko jasne. Dziękuję, przyjaciele. — I podziękował Japończykom skinieniem głowy.

Chavez nie mógł się nadziwić, jak bezszmerowo przyszło Clarkowi odnowienie kontaktu. Praca szpiega miała swoje miłe chwile. Ding czuł wręcz rodzaj współczucia wobec Isziego, choć z drugiej strony, mówi się trudno. Głupek już raz zdradził własny kraj, a skoro tak, nie było sensu się nad nim użalać. Zasada obowiązująca w CIA była prosta, choć okrutna: kto raz zdradził, musiał zdradzać do końca. FBI znało podobne powiedzenie, choć jeszcze dosadniejsze, co mogło dziwić, bo FBI szczyliło się zwykle swymi zasadami: kto raz dał dupy, musi jej dawać każdemu.

— Czy to realne? — zapytał Murakami.

— Realne? Powiedziałbym, że dziecinnie proste.

— Ale ewentualne skutki... — Murakami wahał się, bo choć pomysł Yamaty bardzo go pociągał, było się czego obawiać.

— Skutki są łatwe do przewidzenia. Szkody, jakie poniesie ich gospodarka uniemożliwią Amerykanom rozbudowę tych gałęzi przemysłu, które mają się stać źródłem wyrobów zastępujących nasze, japońskie. Kiedy rynek wewnętrzny USA pozbiera się z pierwszego szoku, zacznie się gorączkowe poszukiwanie towarów, których nie będą w stanie dostarczyć ich własne zakłady. Stany Zjednoczone znów będą musiały kupować je u nas.

Biniczi nie mógł się spodziewać, że usłyszy od rozmówcy całą historię. Wystarczyło mu wyjawic najwygodniejszą część wielkiego planu.

— Tak, od razu? Nie sądzę. Trzeba zrozumieć amerykańską zawziętość, złość, jaką wzbudził ten ostatni wypadek... Poza tym sprawa ma jeszcze wymiar polityczny, nie tylko...

— Dla Kogi jest to koniec kariery. Postanowione — przerwał chłodnym głosem Yamata.

— A więc Goto? — upewnił się Murakami, który śledził na bieżąco tok wydarzeń w swym kraju.

— Ma się rozumieć.

— Goto jest głupkiem. — Po tych słowach Murakami uczynił gniewny gest. — To człowiek, który zamienił głowę na członek. Nie powierzyłbym mu wywózki gnoju z ojcowskiego gospodarstwa!

— To samo da się powiedzieć o całej reszcie tamtych panów, ale kto tak naprawdę rządzi krajem?

Do czego nam potrzebny lepszy premier? Sam przyznasz, Biniczi. — Raizo roześmiał się, szczerze rozbawiony tyradą.

— Tamci też mają we władzach kogoś podobnego — zaznaczył ponuro Murakami i nalał sobie następną porcję Chivas Regal. Zastanawiał się, do czego w rzeczywistości zmierza Yamata. — Sam nigdy nie rozmawiałem z tamtym facetem, ale podobno rzeczywiście jest to kawał świni.

— Kto taki?

— Kealty. Ich wiceprezydent. Ale, ale... Ich prezydent kryje go w tej chwili, żeby się nie wydały rozmaite sprawy.

— Nie rozumiem. Wytlumacz mi. — Yamata rozsiadł się wygodniej. Murakami opowiedział mu wszystko po kolei. Wypita whisky odświeżyła mu tylko pamięć, co przy okazji zyskało mu uznanie w oczach gospodarza. Murakami, choć był zbyt ostrożny i za bardzo nadskakiwał cudzoziemcom, mógł być traktowany jak ktoś równy. Choć Yamata często kłócił się z nim o różne sprawy, istniała między nimi nie prawdziwego szacunku.

— Ciekawe, owszem. Czy twoi ludzie chcą to jakoś wykorzystać?

— Myślą o tym. — Biniczi wymownie uniósł brwi.

— Chcesz zawierzyć Amerykanom w tak ważnej kwestii? Najlepsi z nich to tylko *ronin*, a najgorsi... Sam się przekonałeś, co potrafią najgorsi... — Yamata-san zastanawiał się jeszcze przez chwilę. — Cóż, mój drogi, skoro Amerykanom wolno obalać rząd premiera Kogi...

Murakami schylił głowę i jeszcze wyraźniej poczuł smród rozlanego piwa. Bezcelność tamtej ulicznej kreatury! Wcale jednak nie większa niż bezcelność amerykańskiego prezydenta. Durling dla zaspokojenia własnej próżności, udając słuszny gniew, miał zamiar zrujnować obcy kraj. W zemście za co? Za zwykły, głupi wypadek. Czy japoński koncern nie zachował się honorowo, biorąc na siebie całą odpowiedzialność? Czy nie liczą się solenne obietnice odszkodowań?

— Plan, jaki proponujesz, jest śmiały. Śmiały i niebezpieczny.

— Mniej niebezpieczny, niż bierność z naszej strony. Murakami wciąż się zastanawiał.

— Na czym ma polegać moja rola?

— Bylibyśmy wdzięczni za szczegóły co do tej afery z Kealtym i Durlingiem.

Murakami w kilka minut uporał się z zadaniem. Jeden jego telefon sprawił, że na numer szyfrowego faksu w apartamencie Yamaty wysłano z Waszyngtonu wszystkie ujawnione informacje.

Raizo mógł je wykorzystać jak tylko chciał. Zadowolony Murakami wezwał samochód i kazał się zawieźć na lotnisko Kennedy'ego, skąd odlatywał rejs linii JAL do Tokio.

Drugim prywatnym odrzutowcem Yamaty był także *G-IV*. Bardzo się tym razem przydał. Celem pierwszego lotu było New Delhi. Dwie godziny po wylądowaniu pilot startował już z Indii, biorąc kurs na wschód.

— Wygląda, że przenoszą działania w inny akwen — ocenił sytuację oficer operacyjny floty. — Z

początku uznaliśmy, że przedłużają ćwiczenia lotnicze, ale wysłali już w powietrze wszystko, co mieli, więc...

Admirał Dubro skinął głową i przyjrzał się uważnie elektronicznej mapie *Link-11* w centrum bojowym lotniskowca. Dane przychodziły na bieżąco z pokładu samolotu zwiadowczego *E-2C Hawkeye*.

Formacja okrętów płynęła na południe z prędkością osiemnastu węzłów. Wokół lotniskowców szła eskorta, czyli niszczyciele i krążowniki, a daleko w przedzie jeszcze jedna grupka niszczycieli. Nowiną było to, że indyjska flota włączyła wszystkie radary. Hindusi obwieszczali zarazem wszem i wobec, gdzie się znajdują, i otaczali formację radarową „bańką”, w obrębie której mogli zauważyć każdy obcy obiekt.

— Zdaje się, że to nas szukają? — upewnił się admirał.

— Szukają, albo przynajmniej chcą nas zlokalizować. W tej chwili nie wiedzą, czy jesteśmy na południowy wschód, czy na południowy zachód od nich, ale jeśli utrzymają ten kurs, niedługo się dowiedzą.

Dubro był zdania, że Hindusi mają dosyć zabawy w ciuciubabkę. Można im było współczuć.

Porządna flota, wyszkoleni marynarze, zwłaszcza po doświadczeniach kilku ostatnich miesięcy, zbiorniki świeżo napełnione paliwem, nic tylko... Tylko co? No, właśnie.

— Nasłuch?

— Na temat ich zamiarów nie wiemy nic — przyznał komandor Harrison. — Te ich barki desantowe nadal tkwią w porcie. Nic nie wiadomo o brygadzie, którą tak się przejmują w Pentagonie. Od paru dni nad subkontynentem są chmury, satelity nic nie widzą.

— Gównu warty ten nasz wywiad — zirytowanym głosem oświadczył Dubro. CIA tak się

przyzwyczało do wyręczania się obserwacjami z orbity, że wołało się nie chwalić faktem, iż satelity ślepną za sprawą byle chmurki. Dlaczego nie wysła na miejsce paru agentów?

Komputerowa mapa w postaci płaskiej szklanej tafli znajdowała się na okręcie dopiero od roku i dawała dużo lepsze pojęcie o sytuacji, niż modele dawniejsze. Można się było dzięki niej zorientować w pozycji wszystkich okrętów i samolotów, a także w konturach linii brzegowej, mieliznach, i tak dalej.

Najlepsze w tym systemie było to, że dawało się dzięki niemu ogarnąć każdy najdrobniejszy szczegół sytuacji. Ale tylko szczegół znany obserwatorom. Aby podjąć jakąkolwiek sensowną decyzję, Dubro potrzebował lepszych danych.

— Od ośmiu godzin trzymają w powietrzu minimum cztery samoloty na raz. Przeczesują akwen na południe od siebie. Z zasięgu samolotów wnoszę, że mają pod skrzydłami i rakiety, i dodatkowe zbiorniki paliwa. Rozpoznanie bojowe. *Harriery* mają na wyposażeniu nowy przedni radar, *Black Fox*.

Nasi mogli się trochę przyjrzeć emisjom. Szukają nas jak mogą, panie admirale. Proszę o pozwolenie, żeby popchnąć maszynę zwiadu jeszcze jakieś sto mil na południe, po ciemku.

Pomysł oznaczał, że samolot rozpoznania elektronicznego będzie włączał własne radary jedynie sporadycznie, orientując się w ruchach przeciwnika wyłącznie na podstawie odbieranych sygnałów z radarów indyjskich.

— Nie, nie — sprzeciwił się Dubro. — Na razie udawajmy, że nic nie wiemy i jak zwykle zadzieramy nosa. A jak tam nasze samoloty? — Dubro dysponował ogromną przewagą na wypadek jakiegokolwiek zagrożenia, lecz tym razem problem polegał na czym innym. Zadaniem admirała nie było pokonanie floty indyjskiej w bitwie morskiej, lecz takie zastraszenie rywali, by nie odważyli się urzeczywistnić planów, które nie podobały się Stanom Zjednoczonym. Zastraszyć, ale bez walki. Nie było zresztą mowy o tym, by hinduski przeciwnik rzeczywiście szukał starcia z Marynarką USA. Taka możliwość zwyczajnie się nie mieściła w głowie. Szaleństwo, nie możliwość. Nawet najlepszy hinduski dowódca nie mógł nawet przy wyjątkowo sprzyjającym zbiegu okoliczności liczyć na zwycięstwo w takim starciu, nawet mając za przeciwnika kompletnego idiotę. Dubro nie uważał się za idiotę. Skoro blefował, istniało podejrzenie, że ten sam pomysł przyświeca Hindusom. Jeżeli uda im się zepchnąć w ten sposób amerykańską flotę na południe... Nie będą wcale tacy głupi. Tylko jak postąpić, mając w ręku ograniczoną ilość atutów?

— Zmuszają nas, żebyśmy się odsłoniли, Ed. A przynajmniej bardzo się starają. — Dubro nachylił się bliżej i przesunął dłonią po elektronicznej mapie. — Prawdopodobnie myślą, że płyniemy na południowy wschód od nich. A skoro tak, idąc na południe mogą nas tym łatwiej odciąć od Cejlonu.

Zakładają, że będziemy się trzymać na sporą odległość, tak żeby nie wchodzić w zasięg ich

samolotów pokładowych. Z drugiej strony, jeśli się domyślili, że siedzimy właśnie tutaj, będą mogli osiągnąć dokładnie to samo, albo wręcz zmusić nas do zwrotu na północny zachód, w kierunku Zatoki Mannar.

Tyle, że w ten sposób wpakujemy się w zasięg ich lotnictwa na lądzie. Od północy lotnictwo lądowe, od południa ich flota, jedyna ucieczka to iść na zachód. Operacyjnie założenia mają pierwszej klasy —

przyznał amerykański dowódca. — Kto nimi teraz dowodzi, dalej ten Czandraskatta?

— Tak, panie admirale. Był niedawno na lądzie, ale niedawno wrócił. U Anglików ma niezłą teczkę. Londyn uważa, że Czandraskatta nie jest głupi.

— Chyba wypada mi się zgodzić. Mamy jakieś pojęcie o tym, jakimi danymi o nas dysponują tamci?

Harrison wzruszył ramionami.

— Na pewno wiedzą, od jak dawna tutaj się kręcimy. Wiedzą, też że zaczynamy mieć dosyć.

Oficer operacyjny floty miał na myśli tyleż marynarzy, ile same okręty. Na wszystkich jednostkach powoli zaczynały się kończyć zapasy. Okręty zabierały w długie rejsy sporo części zamiennych, ale po pewnym czasie każdej jednostce należał się porządny remont. Korozja w słonej wodzie i przesyconym solą powietrzu, nieustanne działanie wiatru i fal, a także zwykłe zużycie mechanizmów sprawiały, że flota nie mogła przebywać na morzu w nieskończoność. Zmęczeni byli także ludzie. Pływali już zdecydowanie za długo, a konieczność częstszych napraw wyczerpywała ich dodatkowo. Oficerowie zaczęli odczuwać skutki „konfliktu priorytetów”.

— Coś ci powiem, Ed. — Dubro wyprostował się i zatęsknił za fajką. Ale nie, koniec z paleniem.

— Rosjanie, z tymi przynajmniej się wiedziało, co jest grane. Ale dobrze, połącz się z Waszyngtonem i daj znać, co i jak. Powiedz, że Hindusi chyba coś jednak szykują.

— Pierwszy raz mam przyjemność spotkać się z panem osobiście.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odwzajemnił się Chuck Searls, świadomy, że szykownym garniturem z kamizelką zaskoczył rozmówcę. Japończyk spodziewał się pewnie stereotypowego programisty w podkoszulku i sandałach. Searls skłonił głowę w nadziei, że zaznaczy w ten sposób swój szacunek wobec japońskich obyczajów.

— Mówiono mi, że jest pan osobą o wielkim talencie.

— Przesada. Pracuję po prostu w tej dziedzinie od ładnych kilku lat. Zręczność, owszem, ale żeby talent? — Searls naczytał się o Japonii dosyć, żeby wiedzieć, jak się zachować.

Może nie talent, ale chciwość, na pewno, odnotował tymczasem w myślach jego rozmówca, którym

był nie kto inny jak Yamata. Chciwość połączona na szczęście z dobrymi manierami. Dobrze i to.

Znajomość z programistą Yamata zawdzięczał szczęśliwemu zbiegowi okoliczności: cztery lata wcześniej kupił przy jakiejś okazji firmę Searlsa, swoim zwyczajem pozostawił poprzednią dyrekcję na stanowiskach i dopiero po pewnym czasie spostrzegł, kto jest prawdziwym mózgiem firmy. Komputerowe umiejętności Searlsa graniczyły z czarną magią, przynajmniej zdaniem głównego dyrektora. Yamata-san pozostawił Searlsa na dawnym stanowisku, lecz znacznie mu podwyższył pensję. Później jednak Searls zaczął dawać do zrozumienia, że zaczyna mu się nudzić w dawnej firmie...

— Wszystko gotowe?

— Oczywiście. Nową generację oprogramowania zainstalowaliśmy już kilka miesięcy temu.

Podobno kompletny sukces.

— A nasze...

— Co, nasze Jajko Wielkanocne? Tak nazwaliśmy naszą niespodziankę, panie Yamata.

Raizo zetknął się z tym określeniem po raz pierwszy. Zapytał, czy to jakiś amerykański idiom, ale wyjaśnienie niewiele mu dało.

— Jak trudno jest to uruchomić?

— Bardzo trudno. Specjalnie tak to wymyśliłem — pochwalił się Searls. — Kluczem są dwie emisje papierów wartościowych. Jeżeli ktoś za pośrednictwem głównego systemu sprzeda albo kupi akcje General Motors i Mercka po kursach, jakie wbudowałem w program, dwa razy z rzędu i w ciągu tej samej minuty, jajko zacznie się wylegać. Ale tylko w piątek, dokładnie tak, jak pan chciał, i tylko jeśli tamta pięciominutowa sekwencja nastąpi w przewidzianym czasie.

— Czyli wszystko może zacząć działać przypadkowo? — zdumiał się Yamata.

— Tylko w teorii, na szczęście. Wartości przewidziane dla obu rodzajów akcji odbiegają od ich obecnych średnich kursów tak dalece, że nie ma obawy. Szansa, że coś nastąpi przypadkowo wynosi jeden do trzydziestu milionów. Umyślnie wybrałem taką metodę wylegu. Przeprowadziłem w tym celu komputerową analizę transakcji na parkiecie giełdy, a potem...

Ludzie do wynajęcia mają niestety to do siebie, że nie spoczną, dopóki nie zapewnią mocodawcy, jacy to są genialni. Nie miał znaczenia nawet fakt, że Searls rzeczywiście był geniuszem, albo prawie.

Yamata z trudem dotrwał do końca wykładu, lecz dobre maniery zwyciężyły.

— A pana osobiste plany?



Searls machnął tylko ręką. Lot do Miami, przesiadka i kombinowany lot na Antyle, przez Dominikę i Grenadę. Na każdym bilecie inne nazwisko, zapłata za każdym razem inną kartą kredytową.

Nowy paszport, nowa tożsamość. Na jednej z karaibskich wysp czekał już dom. Podróż miała zająć cały dzień, ale kiedy dobiegnie końca, Searls miał wszelką nadzieję do końca życia nie kiwnąć już palcem.

Yamata nie wiedział i nie chciał wiedzieć, jakie są prywatne plany programisty. W filmie sensacyjnym mocodawca z góry wynająłby morderców, by zgładzili niewygodnego świadka, lecz tego typu działania były dużo bardziej ryzykowne od zwykłej izolacji. Poza tym skąd wiadomo, że w gnieździe nie kryje się jeszcze jedno jajko? Ukrywa się na pewno. Poza tym trzeba było mieć wzgląd na własny honor. Całe przedsięwzięcie było bądź co bądź sprawą honoru.

— Druga rata honorarium wpłynie na pańskie konto jutro rano. Kiedy to nastąpi, radzę panu opuścić Nowy Jork.

Yamata nie miał złudzeń co do honoru *ronin*, ale musiał przyznać, że niektórzy z nich wiedzą, co to lojalność. Specyficzna lojalność, ale zawsze.

— Deputowani! — odezwał się przewodniczący Izby Reprezentantów, gdy Al Trent zakończył ostateczną mowę na temat ustawy. — Wzywam was do oddania głosów!

W telewizji C-SPAN podczas transmisji zastępowano długą litanię wyczytywanych nazwisk muzyką klasyczną, w tym wypadku Koncertem Włoskim Jana Sebastiana Bacha. Każdy z deputowanych miał przy sobie plastikową kartę z magnetycznym paskiem, podobną do karty do bankomatu. Głosy podliczał zwyczajny komputer, ale wynik głosowania tego dnia transmitowano na cały świat. Aby ustawa przeszła, musiało się za nią opowiedzieć dwustu osiemnastu deputowanych. Już po dziesięciu minutach było jasne, że głosów „za” będzie dużo więcej. W sali zjawiali się tymczasem wciąż nowi deputowani, odrywający się od posiedzeń w komisjach i spotkań, by oddać głos w sprawie Ustawy o Reformie Handlu.

Przez cały okres głosowania Al Trent tkwił w sali, zajęty przyjacielską pogawędką z przywódcą mniejszości w Izbie, Samem Fellowsem. Obaj byli zgodni co do tego, że zgodność poglądów między nimi jest doprawdy zdumiewająca. A przecież jeden z nich był liberałem z Nowej Anglii i homoseksualistą, a drugi konserwatywnym mormonem z Arizony.

— Nareszcie damy tym gnojkom nauczkę — zauważył Al.

— Pokazałeś nam wszystkim, jak się przeprowadza ustawę — zgodził się Sam. Obaj deputowani zastanawiali się po cichu, jak nowa ustawa wpłynie na stopę bezrobocia w ich okręgach.

Mniej zachwycony przebiegiem głosowania był personel japońskiej ambasady w Waszyngtonie.

Ostateczny wynik przekazano do Tokio natychmiast, gdy umilkła j muzyka, a przewodniczący Izby oznajmił:

— Dokument HR-12313, zwany Ustawą o Reformie Handlu, przeszedł większością głosów.

Z Izby Reprezentantów ustawa miała teraz powędrować do Senatu, gdzie, jak donoszono, głosowanie również miało się okazać formalnością. Przeciwno ustawie głosowali tylko ci członkowie Kongresu, którzy stawali do ponownych wyborów dopiero za kilka lat. Minister spraw zagranicznych Japonii dowiedział się o wyniku głosowania o dziewiątej i wkrótce poinformował o tym fakcie premiera Kogę. Koga zdążył już na zapas napisać list do cesarza z prośbą o zwolnienie z obowiązków szefa rządu.

Ktoś inny opłakiwałby pewnie kres swoich marzeń, ale nie Koga, który po namyśle musiał przyznać, że jako członek opozycji parlamentarnej cieszył się dużo większymi wpływami niż jako premier. Patrząc na rozświetlone porannym słońcem ogrody wokół parlamentu, Koga pomyślał, że czeka go teraz dużo przyjemniejsze życie. A polityka? Teraz niech się nią martwi Goto.

— Wiesz, japończycy produkują pierwszorzędną aparaturę medyczną. Używamy jej nawet w Wilmer — przypomniała mężowi Cathy Ryan podczas obiadu. Skoro ustawa prawie przeszła, można już było bezpiecznie zabrać głos na ten temat.

— Coś takiego.

— Na przykład system laserowy, który stosujemy w chirurgii oka. Wynalazek był amerykański, ale potem Japończycy wykupili całą firmę. Mamy naprawdę świetny serwis. Nie ma miesiąca, żeby nam nie dostarczali nowej wersji oprogramowania.

— Gdzie się mieści ta firma? — zaniepokoił się Jack.

— Chyba gdzieś w Kalifornii.

— W takim razie to amerykańska aparatura, Cathy, nie japońska.

— Ale niektóre części są z Japonii.

— Nic się nie bój, w tej ustawie jest zapis, że w wyjątkowych przypadkach, kiedy chodzi o import rzeczy naprawdę wartościowych.”

— Ale o wyjątkach będą decydowały władze, prawda?

— Owszem — przyznał Jack. — Ale zaraz, chwileczkę. Sama mi mówiłaś, że ich lekarze...

— Nigdy nie twierdziłam, że są głupi, tylko, że się powinni nauczyć swobodniej myśleć i decydować. Wiesz, dokładnie tak samo jak władze.

— Osobiście próbowałem przekonać prezydenta, że nie tędy droga. Powiedział mi, że ustawa będzie w mocy tylko przez parę miesięcy.

— A ty mu uwierzyłeś, co?

## Wiatr i prąd morski

— W życiu nie widziałem jeszcze czegoś podobnego!

— Jak to, przecież w waszym kraju produkowaliście je tysiącami? — zdziwił się rzecznik zakładów.

— Zgoda, zgoda — powstrzymał go „Klierk” — ale robili je w tajnych fabrykach Gdzieżby tam wpuścili jakiegoś dziennikarza.

Chavez uwijał się z aparatem fotograficznym i sprawiał naprawdę fachowe wrażenie. John Clark bez uśmiechu przyglądał się jego pląsom wokół ubranych w białe kitle i kaski ochronne robotników Z

aparatem Nikona przy oku Chavez robił zdjęcie za zdjęciem i co chwila zakładał nowy film Rzadko się zdarza, by za darmo móc sfotografować kompletną linię produkcyjną w zakładach raketowych. Clark znał na pamięć parametry tych pocisków, a w Langley wiedziano oczywiście, jak wyglądają, na tyle wręcz, by zorientować się w ilości ulepszeń, jakie wprowadzili Japończycy. Rosjanie malowali swoje pociski wojskowe na ciemnozielono. Zgodnie z zasadą, że należy maskować wszystko i wszystkich, Rosjanie malowali więc tą samą groszkowej barwy farbą co czołgi, także pociski ukryte na dnie betonowych sztolni. Japońskie rakiety były inne. Warstwa farby waży swoje. Po co marnować paliwo, by rozpędzać do pierwszej prędkości kosmicznej kilka kilogramów olejnej? Japońskie rakiety lśniły blaskiem polerowanej stali. Również złącza i mocowania wyglądały na znacznie bardziej wyrafinowane, niż te robione w rosyjskich zakładach.

— Widzi mi się, że trochę ulepszyliście te nasze zabawki.

— Zgadza się — potwierdził rzecznik radośnie — Zasadniczy projekt był, oczywiście, doskonały, doskonały. Nasi inżynierowie nie mogli wyjść z podziwu, ale cóż. Obowiązują u nas inne normy, a poza tym stosujemy trochę inne materiały. Ma pan dobre oko, panie Klierk. Nie tak dawno był u nas amerykański inżynier z NASA i też się na tym poznał. — Japończyk zawahał się, nim zapytał — A Klierk to właściwie rosyjskie nazwisko?

— Gdzieżby tam rosyjskie — parsknął Clark, nie przestając notować — Mój dziadek był

Anglikiem, komunistą. Nazywał się Clark, ale w latach dwudziestych przyjechał do ROSJI, żeby budować nowy ustrój światowy. — Clark uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Pewnie teraz byłoby mu głupio. No, ale na szczęście nie żyje.

— A pański kolega?

— Kto, Czekow? Toż to Tatar, z Krymu. Starczy spojrzeć na tę jego gębę, zaraz widać, kto on taki. No dobrze, ale ile chcecie zbudować tych pocisków?

Chavez zdążył już się wspiąć na grzbiet rakiety przy samym końcu linii produkcyjnej. Kilku robotników obrzuciło go złym spojrzeniem, co oznaczało, że Chavez świetnie się sprawdza w roli typowego, wścibskiego dziennikarza, któremu najlepiej byłoby ukręcić łeb. Zadanie nie było więc

ani przykre, ani szczególnie trudne, tym bardziej, że hala montażowa była rzęsiście oświetlona. Dla porządku Chavez co i rusz sięgał po światłomierz, ale, oczywiście, aparat był w pełni automatyczny. Nikon F 20, naprawdę świetna maszyna, z tych, które oprócz innych funkcji golą i wiążą krawaty. Ding po raz kolejny założył nowy film, diapozytywowy, o czułości 64 ASA. Fuji, ma się rozumieć. Slajdy lepiej oddawały nasycenie barw, cokolwiek to znaczyło.

Niedługo później towarzysz C uściśnął na pożegnanie dłoń rzecznikowi zakładów i ruszył ku wyjściu z hali. Chavez Czekow — odłączył od aparatu obiektyw i schował cały kram do swojej torby. Na pożegnanie wszyscy kłaniali się i uśmiechali, miło, ale nie na tyle, by Chavez w to uwierzył. W

samochodzie Ding natychmiast na cały regulator włączył odtwarzacz kompaktowy. Rozmawiało się w ten sposób o wiele trudniej, ale Clark uparcie trzymał się przepisów. Miał niewątpliwie rację, bo nigdy nie wiadomo, czy w samochodzie nie ma podsłuchu. Chavez nie chciał krzyczeć, więc nachylił się ku partnerowi i zapytał:

— John, zawsze tak łatwo idzie?

Clark miał ochotę wzruszyć ramionami. Łatwo? Żeby doprowadzić do wizyty w zakładach, musiał uaktywnić kolejne oczko w siatce o kryptonimie OSET. Japończyk twierdził zresztą, że Clark i Chavez muszą się koniecznie rozejrzeć po hali.

— Bywało trudniej. Wiesz, jeździło się nawet do Rosji, i to w czasach, kiedy nie wystarczał do tego ważny paszport i karta American Express.

— I co tam robiłeś?

— Głównie wyciągałem ludzi. Czasami odbierałem pocztę. Parę razy byłem tam, żeby podrzucić różne zabawki. Ponuro wtedy było, a czasem i straszno — Clark skrzywił się. Tylko jego żona wiedziała, że farbuję włosy. Po co straszyć ludzi przed wczesną siwizną? — Masz w ogóle pojęcie, ile byśmy zapłacili forsę za to, żeby się w ten sposób rozejrzeć, powiedzmy, po zakładach w Plesiecki? To chyba tam robili takie pociski. Słyszałeś o biurze konstrukcyjnym Czielomeja?

— Ale tym Japończykom naprawdę zależało, żebyśmy zobaczyli ich wersję.

— Rzeczywiście, cholera, strasznie się napierali — przyznał Clark.

— Co mam zrobić ze zdjęciami?

John miał już ochotę powiedzieć, żeby Chavez wyrzucił je do kosza, ale powstrzymał się. Dane to dane. Firma płaciła im za to, żeby gromadzić każdy fakt. Na razie trzeba było szybko napisać reportaż i wysłać do macierzystej agencji do Interfaksu, nie do CIA. Clark bawił się pomysłem, że ktoś może nawet wydrukować jego wypociny. No, dobrze, reportaż, ale co dalej? Nie ulegało wątpliwości, że muszą czekać, beznadziejnie czekać, najpierw na polecenie, a potem na sposobność, żeby zamienić parę zdań z Kimberly Norton. A filmy i egzemplarz reportażu podrzucić się do ambasady, niech pojedą pocztą dyplomatyczną do Waszyngtonu. Niech się Chavez ćwiczy w nowym fachu. Clark uważał zresztą, że i jemu samemu należy się trening.

— Wyłącz wreszcie te wrzaski — odezwał się. Natychmiast przeszli na rosyjski. Grunt to doskonalić się w językach obcych.

— Żeby jeszcze tutaj mieli taką zimę, jak w domu — rozmarzył się Czekow.

— Po diabła ci jeszcze zima? — obruszył się Klierk — A w ogóle, to skąd ci się wzięło zamiłowanie do tego amerykańskiego wycia?

Clarkowi chodziło o muzykę z odtwarzacza.

— Jakże, skąd? Całe życie słuchałem Głosu Ameryki!

Śmiech.

— Ty, Żenia, nie masz ni krztyny szacunku dla starszego kolegi. Wrzaski takie, że uszy bolą.

Włączyłbyś, Żeńka, coś, kurwa, kulturalnego...

— Oj, tak, tak! — westchnął pod nosem technik dyżurujący przy odbiorniku i poprawił

słuchawki. *Gaidżin* i ich okropna muzyka! Najgorsze, że młode pokolenie także tego słucha. Nawet własny syn. Technik znów westchnął.

Mimo pojawiających się w ciągu paru ostatnich tygodni i powtarzanych z uporem godnym lepszej sprawy oficjalnych dementi, prawdy nie dało się ukryć. W każdym dzienniku telewizji NHK pokazywano teraz puste, kołyszące się na kotwicach frachtowce do przewozu samochodów. Japońskie firmy motoryzacyjne były armatorami łącznie stu dziewiętnastu statków tego typu, nie licząc tych wycarterowanych od obcych bander. Te ostatnie statki najprędzej wróciły do poprzednich właścicieli, ale co z resztą? Do tej pory każda z tych jednostek oglądała portowe nadbrzeże tylko tak długo, ile czasu zajmował załadunek albo rozładunek kolejnej partii aut. Teraz jednak potężne kadłuby kołysały się martwo. Kotwicowiska były pełne. Nie było nawet sensu rozładowywać jednostek zawróconych z rejsu.

Te statki, które zdążyły dotrzeć do Ameryki, musiały czekać na koniec inspekcji w wielotygodniowych kolejkach. Na razie załogi zajmowały się więc konserwacją. A co potem? Bankructwo.

Skutki amerykańskiej decyzji potęgowały się z dnia na dzień. Nie było sensu kontynuować produkcji samochodów, których nie dawało się upchnąć u głównego odbiorcy. Nie było nawet miejsca, by składować już wyprodukowane auta. Place w portach wypełniły się błyskawicznie, podobnie jak specjalne pociągi, które widziało się teraz na każdej bocznicy. To samo działo się w zakładach, nie pozostawało zatem nic innego, jak zatrzymać taśmy produkcyjne. Kiedy kierownik zmiany w zakładach Nissana nacisnął guzik, żeby zatrzymać zakład, gest ten śledziło pół tuzina kamer telewizyjnych. Wzdłuż całej linii rozdzwieczały się dzwonki. Zwykle alarmowano w ten sposób o przestoju na jednym z etapów, lecz tym razem po raz pierwszy zatrzymywano taśmę umyślnie. Zamarły wszystkie gniazda produkcyjne, od pierwszych, na których na toczących się wózkach osadzano podwozia, do ostatniego, na którym granatowy Nissan czekał, aż kierowca zjedzie nim na

parking. Robotnicy spojrzeli po sobie. Nie raz powtarzali w rozmowach, że coś takiego nigdy się nie przydarzy. Nie za ich życia. Rzeczywistość oznaczała dla nich, że o ustalonej godzinie przychodzą do zakładów, przez tyle a tyle godzin robią swoje, przykręcają, mocują, sprawdzają — choć co tu sprawdzać, przy takiej perfekcji — a potem za tę nudną, ale popłatną pracę biorą pieniądze, i tak w kółko. Teraz czuli się tak, jak gdyby kula ziemską stanęła w miejscu. Na swój sposób spodziewali się, że tak będzie. Przestrzegali o tym gazety i telewizja, coraz częściej słyszało się w zakładach plotki, napomykały nawet o tym gazetki ściennie, wywieszane przez zarząd. Co z tego? Kiedy linia stanęła, robotnicy czuli się jak dzieleni obuchem.

Co drugi makler na parkiecie tokijskiej giełdy wbijał wzrok w kieszonkowy telewizorek, nowy model firmy Sony, płaski i składany na pół, żeby się łatwo mieścił w kieszeni. Maklerzy także mogli więc na żywo oglądać chwilę, w której szef zmiany nacisnął guzik. Widzieli wyraz twarzy robotników, a co gorsza zdawali sobie sprawę, że to dopiero początek. Wraz z zatrzymaniem się taśmy tracili zajęcie wszyscy poddostawcy i kooperanci. Zakłady metalurgiczne tracąc głównego klienta także musiały drastycznie ograniczyć produkcję. Podobnie musiało się zacząć dziać wśród wytwórców elektroniki, a to z kolei rzutowało na saldo obrotów na rynku wewnętrznym i na tych zagranicznych. Japonia uzależniła się w stu procentach od wymiany handlowej z zagranicą, w szczególności z Ameryką, która rocznie importowała z Japonii towary wartości stu siedemdziesięciu miliardów dolarów. Tego rzędu obrotów Japonia nie miała ani z resztą krajów azjatyckich, ani z Europą. Z USA Japonia sprowadzała towary wartości dziewięćdziesięciu miliardów. Bez zastrzyku w postaci siedemdziesięciomiliardowej nadwyżki gospodarka kraju musiała się załamać. Bez tej kwoty udusi się gospodarka. Bez dodatniego salda obrotów będą musiały stanąć wszystkie zakłady.

Zwyczajnym robotnikom filmowanym przez kamery wydawało się, że nastąpił kryzys. Maklerzy zdawali sobie sprawę, iż w rzeczywistości chodzi o kataklizm. Cisza na parkiecie trwała nie dłużej niż pół

minuty. W następnej chwili znowu rozdźwięczały się telefony. Maklerzy sięgnęli drżącymi dłońmi po słuchawki. Mieli się czego bać. Indeks giełdowy Nikkei spadł jeszcze tego samego dnia do 6.540 jenów, czyli do jednej piątej wartości sprzed zaledwie paru lat.

Tę samą scenę obejrzeli na samym początku każdego dziennika telewizyjnie wszystkich sieci w USA. Nawet robotnicy z Detroit i związkowcy z UAW, którzy widzieli, jak zamyka się niejedna fabryka, musieli przyznać, że współczują Japończykom. Współczucie nie oznaczało jednak, że amerykańscy robotnicy zapomnieli, co w ten sposób zyskują: nowe miejsca pracy, nowe perspektywy. Inna rzecz, że dużo łatwiej przychodziło nie lubić japońskich konkurentów, dopóki ci ostatni mieli pracę i wpychali się wszędzie ze swoimi wyrobami, wypierając Amerykanów. Gorzej, kiedy sami padli ofiarą mocy, które wydawały się im zupełnie niezrozumiałe.

Reakcja Wall Street mogła z kolei zaskoczyć laików. Było jednak faktem, że choć Ustawa o Reformie Handlu dopomaga amerykańskiej gospodarce, stanowi rozwiązanie jedynie na krótką metę. W

USA było bez liku firm, które bez dostępu do japońskich podzespołów i innych wyrobów musiały wypaść z gry. Teoretycznie niedobory można było zastąpić dostawami z innych źródeł, nawet amerykańskich, ale na razie warto się było dobrze zastanowić, co oznacza nowa ustawa. Jeśli jej postanowienia miały obowiązywać przez dłuższy czas, inwestorzy mogli śmiało wyłożyć pieniądze

na rozbudowę brakujących mocy produkcyjnych w obrębie USA. Gorzej, jeśli władze w Waszyngtonie obmyśliły całą sprawę tylko po to, aby zyskać lepszy dostęp do japońskiego rynku. Co będzie, jeśli Japończycy teraz ustąpią, żeby nie dopuścić do jeszcze większych strat? Wtedy lepiej będzie zainwestować w te firmy, które mają największe szansę wejścia na japoński rynek. Sztuka polegała na tym, by w porę poznać, które przedsiębiorstwa są w stanie dokonać obu tych rzeczy na raz. W przeciwnym razie, inwestując w producenta, który podjął błędną decyzję, można było tylko stracić, tym bardziej, że w pierwszym porywie wszystkie akcje poszły mocno w górę. Dolar mógł teraz oczywiście poprawić swoją pozycję względem jena. Uwagi bankowców nie uszedł fakt, że inwestorzy zagraniczni zaczęli szybko wykupywać amerykańskie obligacje, płacąc za nie właśnie nadwyżkami jena. Przy nagłym skoku wartości waluty łatwo było dzięki temu o szybki zarobek.

Wobec tak niepewnych widoków amerykańskie giełdy odnotowały pod koniec sesji lekki spadek kursów, ku zdumieniu inwestorów-nowicjuszy. Najwięcej inwestorów powierzało swoje kapitały wielkim funduszom maklerskim, bo w pojedynkę i bez specjalnych środków nie sposób było śledzić chwilowych wahań tysięcy rozmaitych kursów. O wiele łatwiej było powierzyć własne oszczędności zawodowcom.

W rezultacie na Wall Street było znacznie więcej firm maklerskich niż poszczególnych emisji akcji, a każda firma zatrudniała „techników”, mających za zadanie przewidzieć w każdym szczególe harce najbardziej kapryśnego rynku papierów wartościowych na świecie.

Wall Street straciła początkowo pięćdziesiąt punktów, lecz później indeks Dow Jones ustabilizował się, tym bardziej, że Wielka Trójka z Detroit, czyli Ford, General Motors i Chrysler zapewniły, iż nawet bez japońskich części poradzą sobie z produkcją większości modeli, a nawet ją zwiększą. Maklerzy nadal jednak skrobali się w głowę i pompując się kawą, gorączkowo omawiali sytuację. Jak tu postąpić, w którą stronę się obrócić? Kiedy połowa rozmówców zadawała to pytanie, druga połowa kręciła smętnie głowami i wzdychała: — Nie mam zielonego pojęcia.

W waszyngtońskiej siedzibie Banku Rezerw Federalnych zadawano nieco inne pytania, ale również i tutaj bez skutku szukano jasnych odpowiedzi. Nad gospodarką nadal unosiło się widmo inflacji, a obecna sytuacja pogłębiła jeszcze te obawy. Najpilniejszym jednak i najbardziej oczywistym problemem było nagłe zniknięcie potężnej masy towarowej, które pozostawiało w obiegu groźną nadwyżkę pieniądza.

A więc znów inflacja. Nietrudno o poprawę, kiedy jen leci na łeb na szyję, a dolar, który także spada względem innych walut, czyni to nieco wolniej. Na dłuższą metę nie wolno było tolerować takiej sytuacji.

Na początek bankowcy postanowili podwyższyć jeszcze o ćwierć procenta podstawową stopę dyskontową, i to zaraz po zamknięciu giełdy. Posunięcie mogło wstrząsnąć rynkiem, ale bankowcom z Rezerw Federalnych o to między innymi chodziło.

Za jedyną dobrą nowinę można było poczytywać fakt, że na całym świecie zaczęto pośpiesznie wykupywać amerykańskie obligacje państwowe. Widomy znak, że japońskie banki, świadome sytuacji, usiłują bronić wartości swoich aktywów. Sprytnie, sprytnie. Bankowcy z Rezerw Federalnych nie lekceważyli bynajmniej umiejętności swoich japońskich kolegów, a obecne tarcia

uważali za przejściowy epizod, jakich wiele.

— A więc zgoda? — upewnił się Yamata.

— I tak nie możemy już niczego powstrzymać — odpowiedział mu bankier, nie zadając sobie nawet fadygi, by dodać, że cały kraj zawisł nad krawędzią przepaści bez dna. Po co mówić rzeczy oczywiste? Z istnienia tej przepaści zdawał sobie sprawę każdy ze zgromadzonych wokół lśniącego stołu.

Katastrofa gospodarcza czy przepaść bez dna, wszystko jedno.

Zebrani pokiwali głowami. Długie milczenie przerwał wreszcie Matsuda.

— Jak mogło dojść do czegoś podobnego?

— Musiało do tego dojść prędzej czy później, przyjaciele — rzekł nie bez melancholii Yamata-san.

— Nasz kraj przypomina miasto, wokół którego nie rozciąga się żyzna okolica, a tylko pustka.

Przypomina też mocarne ramię pozbawione serca, które pompowałyby w nie krew. Powtarzaliśmy sobie od lat, że to normalny stan rzeczy, ale to nieprawda. Musimy to zmienić, bo inaczej zginiemy.

— Podejmujemy ogromne ryzyko.

— *Hai* — Yamata z trudem powściągnął uśmiech.

Nie świtało jeszcze, lecz musieli wyruszyć wraz z przyływem. Przygotowania odbywały się bez ceremonii i fanfar. Na nadbrzeżu widać było zaledwie kilka rodzin, przeważnie odprowadzających marynarzy po ostatnim wieczorze na stałym lądzie.

Okręty miały nazwy uświęcone tradycją, jak w każdej marynarce wojennej na świecie —

przynajmniej jeśli chodzi o te floty, które w ogóle mogły się szcycić tradycją. Nowe niszczyciele z systemami obrony rakietowej *Aegis*, to znaczy klasy *Kongo* i bliźniacze jednostki, nosiły nazwy regionów Japonii, te same, które podczas drugiej wojny światowej nosiły japońskie pancerniki. Inne nazwy odbiegały od zwyczajów obowiązujących na Zachodzie i mogły się wydawać wręcz dziwne, choć pasowały do poetyckiej atmosfery japońskiego języka. Niszczyciele miały nazwy kończące się na *-kaze*.

Słowo *kaze* oznaczało wiatr, więc na przykład „Hatukaze” należało rozumieć jako „Poranną Bryzę”.

Okręty podwodne nosiły bardziej logiczne nazwy, kończące się nieodmiennie na *-ushio*, czyli „prąd morski”.

Okręty były przeważnie nowoczesne i olśniewająco czyste. Kolejne jednostki uruchamiały turbiny gazowe i odbijały od kei, idąc w stronę kanału nawigacyjnego. Kapitanowie i nawigatorzy mogli



jeszcze raz na własne oczy obejrzeć masę frachtowców uwięzionych w Zatoce Tokijskiej. Nie dość, że sytuacja była niewesoła, to na dodatek dryfujące wokół kotwic statki handlowe powodowały dodatkowe zagrożenie dla żeglugi. Marynarze, którzy nie mieli wachty pokładowej układali tymczasem zapasy i czuwali przy stanowiskach bojowych. Żeby łatwiej wyjść na pełne morze, jednostki włączyły radary, bez większej potrzeby, jako że widoczność była tego ranka wręcz doskonała. Chodziło jednak o to, by załogi central bojowych miały dodatkową okazję do ćwiczeń. Na rozkaz oficerów uzbrojenia poszczególne okręty wypróbowały sprawność łącz, po których jednostki przesyłały sobie wzajemnie informacje taktyczne. W maszynowniach mechanicy siedzieli tymczasem w wygodnych obrotowych fotelach, śledzili wskazania przyrządów i popijali herbatę.

Okrętem flagowym był nowy niszczyciel „Mutsu”. Z jego pomostu było teraz widać port rybacki Tateyame. Dalej okręty miały zrobić ostry zwrot w lewo i ruszyć na wschód.

Okręty podwodne czekały już na wyznaczonej pozycji. Kontradmiral Yusuo Sato wiedział to od dawna. Co więcej, podwodniacy dowiedzieli się z góry, na czym polega ich zadanie. W rodzinie Sato służba wojskowa od zawsze była czymś naturalnym. Ojciec kontradmirala dowodził niszczycielem w dywizjonie Raizo Tanaki, jednego z najwybitniejszych dowódców lekkiej floty w historii. Z kolei stryj Sato walczył jako pilot na lotniskowcu we flocie admirała Yamamoto i zginął w bitwie pod Santa Cruz.

Następne pokolenie poszło w ślady rodziców. Brat kontradmirala, Toradziro Sato, latał na myśliwcach *F-86* w lotnictwie Sił Samoobrony, lecz zrezygnował z dalszej służby: nie w smak mu było, że w miejsce dawnej armii Japonii wolno było po wojnie utrzymywać tylko jej żalosne resztki. Zamiast latać na myśliwcach, Toradziro wolał zostać pilotem pasażerskim w Japan Air Lines. Jego syn, Shiro, odziedziczył

po ojcu zarówno dumę jak i pasję pilota wojskowego. Był majorem i latał na myśliwcach *F-15*.  
Admirał

Sato miał się więc czym szczycić — wcale nieźle, jak na rodzinę bez samurajskich tradycji. Starszy brat Yusuo był z kolei bankierem. Sato wiedział więc o tym, co miało nastąpić dużo więcej niż inni oficerowie.

Admirał wstał, otworzył hermetyczne drzwi kabiny nawigacyjnej na „Mutsu” i wyszedł na odkryte prawe skrzydło pomostu. Pełniący wachtę marynarze na sekundę stanęli na baczność, a potem znów zabrali się za namierzanie brzegu, żeby złapać obecną pozycję okrętu. Sato przeniósł spojrzenie ku rufie i zauważył, że kolumna szesnastu okrętów idzie jak po sznurku, w regularnych odstępach pięciuset metrów. Ich kadłuby i maszty zaczynały coraz wyraźniej majaczyć na tle czerwieniejącej zorzy. Sato wziął to za dobry znak. Z masztu każdego z okrętów powiewała ta sama bandera, pod którą służył ojciec kontradmirala, zakazana do niedawna, lecz obecnie przywrócona do łask: jaskrawoczerwone, promieniste słońce na białym tle.

— Obsługa cum i kotwic pod pokład! — rozkazał przez megafony kapitan okrętu. Macierzysty port zdążył już zniknąć za linią horyzontu. Wkrótce za horyzontem miały także zniknąć przyłądki widoczne

jeszcze po lewej burcie.

Szesnaście okrętów. Sato zamyślił się. Największa flota, jaką jego kraj wysłał na morze od... Od półwiecza. No, proszę. Flota, z którą trzeba się było liczyć. Żaden z okrętów nie miał więcej niż dziesięć lat. Dumne, groźne sylwetki, dumne, groźne nazwy. Szkoda, że brakuje wśród nazw jeszcze jednej:

„Kuruszio” czyli „Czarny Prąd”. Nazwa niszczyciela, którym dowodził ojciec, zatopionego przez amerykański krążownik w bitwie pod Tassafarongą. Niestety, dziś nosił tę nazwę jeden z okrętów podwodnych, który zdążył już wyjść na morze. Admirał opuścił morską lornetę i sapnął. Czarny Prąd.

Ładna nazwa, nawet dla jednostki nawodnej. I poetycka. Szkoda jej marnować dla podwodniaków.

„Kuruszio” i pozostałe okręty tej klasy wyszły z portu trzydzieści sześć godzin wcześniej. Jako flagowy okręt, „Kuruszio” szedł z prędkością kursową piętnastu węzłów, by jak najszybciej osiągnąć wyznaczony rejon. Choć szli pod wodą, potężne i wydajne silniki wysokoprężne czerpały powietrze przez chrapy, zestaw specjalnych rur, podnoszonych razem z peryskopem. Złożona z dziesięciu oficerów i sześćdziesięciu marynarzy załoga pełniła normalne wachty. W centrali dyżurowali: oficer pokładowy z zastępcą, przy drugim pulpicie tkwił pierwszy mechanik, na innych stanowiskach dyżurowało dwudziestu czterech marynarzy. Na śródkręciu cała obsługa wyrzutni torpedowych mozoliła się nad zadaniem specjalnym: torpedystom kazano dokładnie sprawdzić sprawność obwodów elektronicznych we wszystkich czternastu torpedach wz. 89C i sześciu pociskach raketowych *Harpoon*. Wachta przebiegała tak zwyczajnie, że nikt nie zauważył pewnej drobnej, lecz istotnej zmiany. Dowódca okrętu, komandor porucznik Tamaki Ugaki, który zwykle kręcił się po całej jednostce, szukając dziury w całym, tym razem zamknął się na głucho w kabinie. O tym, że w ogóle jest na pokładzie świadczyła tylko smuga światła widoczna w szczelinie u progu jego kajuty, a także wsysany przez wentylatory papierosowy dym.

Marynarze uznali, że ich dowódcę pochłonęły bez reszty obowiązki. Do Ugakiego należało przecież zaplanowanie działań w nadchodzących manewrach, w których mieli się zmierzyć z okrętami podwodnymi floty USA. Podczas ostatnich ćwiczeń tego typu załozde udało się odnieść wielki sukces: podczas dziesięciu kolejnych starć udało im się „zatopić” trzy jednostki. Cieszyli się z tego wszyscy, oprócz Ugakiego. Żartowano nawet, że jak prawdziwy samuraj, Ugaki nie zazna spokoju, dopóki nie wygra wszystkich dziesięciu pojedynków na raz.

Już od pierwszego miesiąca na nowym stanowisku Ryan zaczął się trzymać twardej zasady, by jeden dzień w miesiącu spędzać na konsultacjach w Pentagonie. Ciekawskim dziennikarzom wyjaśnił, że gabinet w Białym Domu nie jest celą więzienną i że wszyscy mogą tylko skorzystać na tego typu wycieczkach za miasto. Parę lat wcześniej gazety poświęciłyby może nieco uwagi decyzji Ryana, lecz teraz nie odnotował jej ani jeden dziennik. Właściwie wszyscy podzielali pogląd, że stanowisko prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego to jeszcze jeden zabytek zimnowojennej przeszłości. Dziennikarze doceniali zalety Ryana jako kandydata, ale z drugiej strony uważali go za osobę kompletnie bezbarwną i nudną. Nie udzielał się towarzysko, zupełnie jak gdyby obawiał się trądu, do pracy przyjeżdżał zawsze o tej samej porze, nie siedział w biurze do północy i już po dziesięciu godzinach wracał na łono rodziny, zupełnie jak miliony zwyczajnych urzędników. O jego przeszłości w CIA wiadomo było tyle, co nic, a choć słyszano oczywiście o jego innych

wyczynach, któż by zaprzętał sobie pamięć wiadomościami sprzed lat? Dzięki takiemu nastawieniu nikt nie zwracał większej uwagi na to, dokąd wypuszcza się Ryan rządowym autem. Nudna rutyna nudnego rutyniarza. Ryan ze swej strony czynił wszystko, by utrzymać tę opinię o sobie i zyskać w ten sposób święty spokój. A także swobodne pole do działania.

— Coś chcą nam wyszykować — poinformował Ryana Robby, kiedy usiedli obaj w admirałkiej sali odpraw Ośrodka Dowodzenia Sił Zbrojnych USA. Elektroniczna mapa na ścianie unaoczniała Ryanowi szczegóły sytuacji.

— Płyną na południe?

— Zapuscili się już na dwieście mil. Dowódcą eskadry jest V. K. Czandraskatta. Ukończył

brytyjską akademię morską w Dartmouth, zresztą z trzecią lokatą. Świetna kariera. Parę lat temu przechodził u nas, w Newport, dodatkowe szkolenie. Tym razem pierwsza lokata — dodał admirał

Jackson. — Politycznie też ma świetne dojścia. Ostatnio zadziwiająco dużo czasu spędzał na lądzie, nie na okrętach. Wypuszczał się co i raz...

— Dokąd? — przerwał Ryan.

— Wiemy tylko, że do New Delhi, ale szczerze mówiąc, nie mamy zielonego pojęcia, czy tylko tam. Wiesz, jak jest, Jack.

Ryan miał ochotę jęknąć ponuro. Jak było, trochę wiedział, a trochę nie wiedział, ale domyślał

się, co się dzieje. Nie ma takiego oficera, który nie chciałby wiedzieć więcej o przeciwniku, tak jak nie ma w wojsku ludzi, którzy w pełni ufają posiadanym informacjom. W tym wypadku pretensje Jacksona były w pełni uzasadnione: CIA w dalszym ciągu nie miała w Indiach ani jednego liczącego się agenta. Ryan odnotował w pamięci, by poruszyć ten probierń w rozmowie z Brettem Hansonem. Znów pójdzie o ambasadora. W psychiatrii postawę sekretarza stanu określono by jako pasywno-agresywną ani się nie sprzeciwiał, ani w najmniejszym stopniu nie próbował pomóc Ryanowi. Ciekawe, że dorośli ludzie potrafią zachowywać się jak zgraja pięciolatków.

— Wykryliście jakieś zbieżności między tymi podróżami a manewrami floty?

— Nie, niespecjalnie.

— A czegoście się dowiedzieli z nasłuchu? — zapytał z kolei Jack, ciekawy, czy Narodowa Agencja Bezpieczeństwa, której także drastycznie okrojono budżet, zajmuje się w ogóle przechwytywaniem sygnałów radiowych indyjskiej floty.

— Coś tam dostajemy ze stacji nasłuchowych w Alice Springs i na Diego Garcia, ale same bzdury. Rozkazy dla okrętów, takie sprawy. Nic, co miałyby znaczenie operacyjne.

Jack miał ochotę pozwolić sobie na uwagę, że amerykański wywiad nigdy nie potrafił dostarczyć tego, co akurat było potrzebne, ale powstrzymał się. Uwaga była niesprawiedliwa, dzięki

informacjom wywiadu, Ameryka była w stanie stawić czoła kryzysom, przygotować się do starcia, dopóki było to jeszcze możliwe. Ilekroć jednak przepuszczano jakiś drobiazg, gdyż liczyły się akurat bardziej inne sprawy, drobiazg zmieniał się w bombę zegarową.

— Jednym słowem musimy się zdać na to, co wyczytamy z przebiegu ich operacji morskich, tak?

— Właśnie Masz, postudiuj sobie. — Robby wskazał Ryanowi ścienną mapę.

— Odpychają nas od wybrzeży.

— A przy okazji zmuszają admirała Dubro, żeby odkrył karty, ujawnił się. Sprytnie. Ocean Indyjski to kawał wody, ale kiedy krążą po nim dwie floty, od razu się kurczy. Dubro nie prosił na razie o zmianę rozkazów operacyjnych, ale wobec tego wszystkiego powinniśmy się chyba nad czymś takim zastanowić.

— A jeśli Hindusi załadują tę swoją brygadę na jednostki desantowe, co wtedy? Odpowiedzi udzielił Ryanowi jeden z pułkowników, sztabowiec Jacksona.

— Wie pan, na ich miejscu w ogóle bym się nie przejmował. Hindusi mają już na wyspie trochę wojska i ganiają się po dżungli z Tamilami. Mogą więc sobie darować zdobywanie przyczółka. Nic, tylko lądować. W desantach morskich najtrudniej tak pokierować operacją, żeby wysadzić na brzeg wojsko gotowe do walki, nie w rozsypce. No, więc to już także mają jakby z głowy. Indyjska 3. Brygada Pancerna to zwarty związek taktyczny. Jednym słowem, Cejlończycy mogą się najwyżej pomodlić. Opóźnią lądujące siły, może, ale na pewno ich nie zatrzymają. Co się robi dalej? Trzeba przechwycić parę lotnisk i kazać sobie przysłać piechotę. Indie to ludny kraj, na pewno znajdzie się tam pięćdziesiąt tysięcy piechurów. Nikt nawet nie zauważy ich braku.

— A co później? — podjął wątek pułkownik — Długoletnia wojna partyzancka. Owszem, możliwe, że właśnie tak będzie, ale przez pierwszych kilka miesięcy Hindusi będą tam mogli robić, co im się tylko spodoba. Kiedy za pomocą swojej floty odetną wyspę od wsparcia z zewnątrz, wygłodzą całą partyzantkę, i już. Mogę się z miejsca założyć, że Indie wygrają.

— Militarnie, owszem, ale politycznie? — Ryan zamyślił się. — ONZ nie przełknie tego tak łatwo..

— Zgoda, ale reszta świata prędzej się skicha, niż wyśle swoje wojska na taki koniec świata —

uzmysłowił mu Robby — Sri Lanka nigdy nie miała sojuszników, prócz Indii oczywiście. Żadnych bratnich narodów ani bratnich religii, znikąd pomocy. A nam też nie będzie zależeć, żeby się tam pakować, bo i po co?

— Przez parę pierwszych dni będzie się o tym czytać na pierwszych stronach — dokończył myśl Ryan — ale potem Indie zmontują wybory, okaże się, że Cejlon od dawna pragnął stać się ich pięćdziesiątym pierwszym stanem.

— Dwudziestym szóstym stanem — sprostował pułkownik — Albo autonomicznym terytorium podporządkowanym państwu Tamilów. W ten sposób Indie mogą jeszcze łatwiej dojść do ładu z Tamilami. Pewnie nawiązali już z nimi kontakt i rozmawiają.

— Dziękuję za te szczegóły — przerwał mu Ryan — ale tak czy inaczej, w momencie kiedy Indie włączą Sri Lankę do swego organizmu państwowego, zagwarantują wszystkim swobody obywatelskie, zrobią taką demokrację, że aż przyjemnie będzie popatrzeć, w ONZ też się zaraz wszystko uspokoi.

Sprytnie, sprytnie. Z tym, że.. — Ryan starannie dobierał słowa. — Zanim Indie zdecydują się na operację wojskową, muszą najpierw znaleźć pretekst polityczny. Na przykład w postaci nowej ofensywy tamilskiej.

Nic prostszego, jak zmontować taką ofensywę.

— Wiemy więc czego się spodziewać — zgodził się z tą oceną Jackson — Ale nim dojdzie co do czego, musimy powiedzieć Mike'owi Dubro, co mu wolno, a czego nie.

Jedno spojrzenie na mapę uświadamiało Ryanowi, jak trudno będzie wydać sensowne instrukcje.

Grupa Bojowa H płynęła kursem na południowy zachód, trzymając się w bezpiecznej odległości od Hindusów, ale choć ocean wydawał się tak rozległy, płynąc na zachód Dubro musiał się nieuchronnie natknąć na długi archipeląg atoli koralowych. Na ostatniej z łańcucha wysp, czyli na Diego Garcia, znajdowała się amerykańska baza morska, lecz niewiele to zmieniało.

Wadą blefowania jest to, że przeciwnik może się połapać i przestaje się wówczas bać. W dodatku w działaniach floty wojennej oszukuje się o wiele trudniej niż przy grze w pokera. Amerykanie mieli przewagę sił, ale tylko pod warunkiem, że zaangażują się w otwarty konflikt zbrojny. Na rzecz Indii szalę przeważała przede wszystkim geografia. Ameryka nie miała w tym rejonie żadnych istotnych interesów i utrzymywała swoją flotę na Oceanie Indyjskim głównie z myślą o tym, by pilnować Zatoki Perskiej. Było jednak prawdą, że zaburzenia w jednym rejonie danego obszaru prędko rozszerzały się na inne tereny.

Warto więc było pilnować, by nie doszło do podobnej eskalacji z Cejlonem jako pierwszym punktem zapalnym. Co za tym idzie, Waszyngton musiał już dziś podjąć decyzję, jak dalece można się posunąć, by zmusić indyjską flotę do zmiany zamiarów.

— Trudna sprawa, co, Rob? — zagadnął Ryan.

— Wolałbym wiedzieć, o co chodzi tamtym. Tyle mam do powiedzenia.

— Przekażę, komu trzeba, admirale. Coś się pewnie da zrobić.

— A nowe instrukcje?

— Na razie Dubro ma robić dokładnie to samo, co robił, chyba że prezydent zmieni zdanie. Aha, z tym, że jeśli Dubro uzna, że tamci go atakują, wolno mu się bronić. Ma chyba na pokładzie parę uzbrojonych samolotów, co?

— Na pokładzie? W powietrzu, doktorze Ryan, w powietrzu.

— Spróbuję się zapytać, może mu trochę popuszczą smyczy — przyobiegał Jack.

Kiedy zadzwonił telefon, młody oficer piechoty morskiej — świeżo awansowany na majora — złapał słuchawkę, po czym przywołał Ryana do siebie.

— Co tam znowu?

— Biuro łączności Białego Domu — zameldował oficer, — Dostaliśmy sygnał, że premier Koga podał się oficjalnie do dymisji. Nasz ambasador ocenia, że misję sformowania nowego rządu otrzyma Goto.

— Szybko poszło. Proszę, żeby szef biura japońskiego w Departamencie Stanu przysłał mi komplet informacji. Za dwie godziny będę u siebie. — Ryan odłożył słuchawkę.

— Co, Koga idzie w odставку? — upewnił się Jackson.

— Coś ty dzisiaj taki mądry, Rob? Brałeś pigułki na inteligencję?

— Nie, ale czegoś się umiem domyślić, zwłaszcza, kiedy ktoś się drze do telefonu. Podobno w Japonii przestali nas lubić?

— Z dnia na dzień, stary, z dnia na dzień.

Zdjęcia przybyły z Japonii pocztą dyplomatyczną. Dawniej, w bardziej nerwowych czasach, worek otwarto by już na lotnisku, lecz teraz nie było pośpiechu. Doświadczony pracownik rządu federalnego załadował pocztę do samochodu i ruszył z portu lotniczego Dulles z powrotem do Departamentu Stanu. W zabezpieczonym przed podsłuchem pokoju otwarto tam worek i rozsortowano kolejne przesyłki, roznosząc je przez posłańców do kolejnych adresatów. Wyściełaną kopertę z siedmioma rolkami filmu otrzymał do rąk własnych etatowy pracownik CIA, który zwyczajnie wyszedł z budynku, wsiadł w zaparkowane auto i ruszył w stronę mostu przy 14 Ulicy. Czterdzieści minut później film trafił do laboratorium fotograficznego, gdzie zajmowano się głównie obróbką mikrofilmów i innych materiałów specjalistycznych, ale od biedy godzono się wywołać coś tak zwyczajnego jak diapozytywy.

Technik, który wziął się za obróbkę, lubił zresztą „cywilne” materiały, o wiele łatwiejsze w wywoływaniu, a co więcej, pasujące do standardowych automatów laboratoryjnych, jeśli technik w ogóle patrzył na zdjęcia, to tylko po to, aby się przekonać, czy dobrze wyszły. Już pierwszy rzut oka na nasycenie barw wyjaśniał, jaki to film. Fuji. No właśnie, Fuji. I kto mówił, że Japończycy robią lepszy film niż Kodak? Technik pociął przezrocza i osadził je w tekturowych ramkach, które od dziecięcych rysunkowych slajdów z Myszka Miki odróżniał tylko nadruk ŚCIŚLE TAJNE. Każde przezrocze otrzymało swój numer i powędrowało do pudełka, a pudełko do osobnej koperty. Pół godziny później jedna z sekretarek zgłosiła się po kopertę.

Winda zawiozła sekretarkę na piąte piętro Starej Dyrekcji. Budynek był rzeczywiście leciwy, bo liczył sobie czterdzieści lat, a wyglądał na jeszcze więcej. W korytarzach wionęło wilgocią, a farba na ścianach dawno zżółkła i straciła połysk. Ciężkie czasy zawitały nawet tutaj — szczególnie w

Biurze Studiów Nad Bronią Strategiczną. Jedna z najważniejszych niegdyś agend CIA w dzisiejszej dobie walczyła już tylko o przetrwanie.

Biuro zatrudniało specjalistów od rakiet. Tytuły i nazwy specjalności nie były tu więc tylko zasłoną dymną, jak w innych działach. Zadaniem biura było studiowanie zagranicznych modeli pocisków raketowych i zgadywanie, jakie są ich prawdziwe osiągi. Trzeba było w tym celu dobrze znać teorię broni raketowej i co rusz wypuszczać się do zakładów produkcyjnych w USA, a to dla porównania najnowszych modeli z tym, co posiadali konkurenci. Niestety, choć może niezupełnie niestety, międzykontynentalne pociski nuklearne, podobnie jak pociski średniego zasięgu, stały się prawdziwą rzadkością. Fotografie, którymi obwieszono były wszystkie ściany, posiadały dziś wartość czysto muzealną. Ludzie, których główną specjalność stanowiła fizyka, musieli od podstaw uczyć się o chemicznych i biologicznych środkach bojowych, tej broni masowego rażenia dla ubogich. Na szczęście tego dnia można było na chwilę wrócić do przeszłości.

Chris Scott miał trzydzieści cztery lata i zaczynał pracę w tym biurze w latach, kiedy etat tego typu budził szacunek. Scott był absolwentem Instytutu Politechnicznego w Rensselaer i wstawił się swego czasu tym, że polegając tylko na szczątkowych danych trafnie ocenił osiągi radzieckiego pocisku *SS-24* na dwa tygodnie przed tym, jak amerykańskiemu agentowi na wysokim szczeblu udało się zdobyć kompletną instrukcję użytkowania tej samej rakiety. Za ten wyczyn nagroził Scotta uściskiem dłoni sam ówczesny dyrektor firmy, William Webster. Co z tego, skoro obecnie wszystkie *SS-24* dawno zniszczono, a co do *SS-19* — jak wynikało z porannego materiału informacyjnego — jedyny zachowany egzemplarz miał

zostać wkrótce zniszczony razem z ostatnim amerykańskim pociskiem *Minuteman-II* z bazy w Minot w Północnej Dakocie. Chris Scott szczerze nie znosił chemii, a rakiety uwielbiał, więc z wielkim zapałem wziął się za przezrocza z Japonii.

Zapał nie oznaczał, że Scott śpieszył się z zadaniem. Czasu miał więcej niż potrzeba. Otworzył

więc z namaszczeniem pudełko, osadził przezrocza w magazynku rzutnika i przejrzał całą kolekcję, sporządzając serię notatek. Strawił na tym dwie godziny i mógł spokojnie zrobić sobie przerwę na posiłek.

Zamknął zdjęcia w sejfie i ruszył do windy. W stołówce na parterze rozmawiano głównie o tym, jak fatalnie dostaje po tyłku drużyna Redskins z Waszyngtonu. Opinia była zgodna: jeśli nowy trener nie weźmie się ostro do roboty, Redskins będą skończeni. Scott nie mógł nie zauważyć, że pracownicy, zamiast zjeść coś i raz dwa wracać na górę, zwyczajnie się objijają, a dyrekcja patrzy na to przez palce.

Również na głównym korytarzu, którego okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, widywało się znacznie więcej ludzi niż dawniej. Spora grupa osób, zwłaszcza starsi pracownicy, w zamyśleniu spoglądali na eksponat w postaci fragmentu dawnego muru berlińskiego. Scott cieszył się więc, że przynajmniej on sam ma dziś konkretną robotę.

Po powrocie na piąte piętro Scott znów zaciągnął zasłony i włączył rzutnik. Tym razem mógł

wybrać tylko przezrocza, które zaznaczył jako szczególnie ciekawe, ale skoro miał nad tym i tak siedzieć przez resztę dnia, albo i tygodnia, postanowił być pedantyczny i porównać materiał z tym, który dostarczył mu na ten sam temat inspektor z NASA.

— Dasz mi też pooglądać? — zapytała od drzwi Betsy Fleming, jedna z najstarszych pracowniczek biura, dosłownie, bo wkrótce miała zostać babcią. Fleming zaczynała w agencji od stanowiska sekretarki i sama wyuczyła się analizy zdjęć oraz inżynierii w zakresie, jakiego potrzebowała.

Nad fotografiami rakiet Fleming pracowała od czasów kryzysu kubańskiego, więc nawet bez formalnego wykształcenia posiadała w tej dziedzinie wielkie doświadczenie.

— Pewnie. Chodź! — Scott nawet się ucieszył, bo Betsy nie raz matkowała mu w pracy.

— Nasza stara znajoma, SS-19 — zauważyła Betsy Fleming, gdy tylko usiadła. — O, rany, popatrz, jak ją odpicowali.

— Sam się dziwię! — przyznał Scott, walcząc z poobiednią sennością. Rzeczywiście, dawny toporny pocisk wypiękniał, zwłaszcza kiedy zielony lakier kadłuba zastąpiła polerowana nierdzewna stal.

Dużo lepiej było widać podobieństwo między SS-19, a prawdziwymi raketami kosmicznymi. Pocisk wydawał się teraz nie tak gruby, wyższy, a co więcej, bardziej groźny.

— Ci z NASA oceniają, że Japończycy odchudzili całą konstrukcję. Lepsze materiały i co tam jeszcze — odezwał się Scott. — Jak patrzę na te zdjęcia, naprawdę gotów jestem w to uwierzyć.

— Tak? To niech coś jeszcze zrobią z tymi cholernymi zbiornikami paliwa! — zauważyła kwaśno Fleming. Scott znów przyznał jej rację. Owszem, on też niedawno kupił nową Crestę. Jego żona oświadczyła, że nie będzie nią jeździć, dopóki sprzedawca nie zmieni zbiornika paliwa. Sprzedawca owszem, mógł zamontować nowy zbiornik paliwa, ale dopiero za kilka tygodni. Na razie japoński wytwórca, by udobruchać takich klientów jak Scott, fundował mu wynajem innego samochodu. Scott nadal jednak utyskiwał, zwłaszcza że musiał wystarać się o nową nalepkę zezwalającą mu na parking.

Przed zwrotem wynajętego auta do firmy, którą był Avis, trzeba będzie zdrapać nalepkę. Znów zamieszanie.

— Czy wiadomo, kto robił te zdjęcia? — zapytała Betsy.

— Wiem tyle, że ktoś od nas. — Scott puścił kolejne przezrocze. — Cała masa zmian. Ale nieznaczących — zauważył.

— Jak myślisz, ile kilogramów zaoszczędzili? — zapytała Fleming, w duchu przyznając rację młodszemu koledze. Stalowy pancerz pocisku błyszczał jak chromowany, prawie niczym zamek karabinu...



— NASA twierdzi, że ponad pięćset kilogramów.

Kolejne zdjęcie.

— A tu, popatrz, ani śladu zmian — zdziwiła się Betsy.

— Dziwne, co?

Górny koniec pocisku był miejscem, w którym mocowano głowice wodorowe, w przypadku SS-19 sporą ich liczbę. Głowice były stosunkowo niewielkie, ale bardzo ciężkie i masywne, toteż konieczne było odpowiednie wzmocnienie konstrukcji rakiety nośnej. Pociski międzykontynentalne podlegają ogromnym przyspieszeniom od startu aż do chwili, kiedy skończą pracę silniki. Największe przyspieszenie, dochodziło do wartości 10 g. Ponieważ paliwo znajdowało się wówczas prawie na ukończeniu, przy pustych zbiornikach konstrukcja rakiety traciła sztywność. Oznaczało to, że cały ciężar głowic jądrowych musi przyjąć na siebie stalowy kołnierz, w którym były one osadzone.

— Dlaczego zachowali ten kołnierz? — Scott przeniósł wzrok na Betsy.

— Dlaczego? No, właśnie, przecież te pociski mają teraz służyć do wystrzeliwania satelitów...

— Może chodzi im o ciężkie satelity? Telekomunikacyjne...

— Zgoda, ale przyjrzyj się jeszcze raz, jak to wygląda...

Ta część rakiety, na której wspiera się ładunek, w przypadku pocisków z głowicami nuklearnymi musi być jednakowo na całej powierzchni masywna i wytrzymała. W wypadku, gdy ładunkiem jest satelita komunikacyjny, zamiast stalowego kołnierza wystarcza dużo cieńszy, metalowy obwarzanek, japońska wersja SS-19 zamiast obwarzanka miała coś, co najbardziej przypominało lite metalowe koło od lokomotywy. Scott otworzył zamykaną na klucz szafkę do akt i sięgnął po niedawno wykonaną fotografię SS-19. Autorem zdjęcia był amerykański oficer, członek komisji inspekcyjnej oddelegowanej do Rosji.

Scott bez słowa pokazał fotografię Betsy Fleming.

— Cóż, popatrzmy. Zasadniczo ten sam kołnierz, co w modelu rosyjskim. Na pewno lepsze wykończenie, może lepsza stal, ale poza tym dokładnie to samo. Wszystko ulepszyli, a tego nie?

Dlaczego? — zdziwiła się Betsy.

— Mnie się też tak wydaje. Zostawiając tę część tak jak jest, stracili, bo ja wiem, pięćdziesiąt kilo, jeżeli nie więcej.

— Bez sensu. Zastanów się, Chris, jeśli gdzieś się oplota odchudzić konstrukcję, to na pewno właśnie tutaj. Każdy kilogram mniej u podstawy ładunku liczy się jak cztery albo pięć zaoszczędzony

na pierwszym stopniu. — Para analityków wstała i podeszła do ekranu. — Zaraz, a co to?

— Mocowania głowic. Zostawili je takie same, jak były. Kołnierz, ale nie dla satelity. Wszystko jak w ruskich planach. — Zdumiony Scott pokręcił głową.

— Myślisz, że chcą zastosować ten sam kołnierz do swoich ładunków?

— Jeżeli nawet, po co im tyle niepotrzebnej masy przy samym szczycie pocisku?

— Zupełnie, jakby im zależało na tym, żeby niczego nie zmieniać.

— Właśnie. O co im chodzi?

# Odbicia

— Trzydzieści sekund! — ostrzegł pomocnik reżysera, kiedy ostatnia reklama zaczęła sycić wzrok niedzielnych telewidzów. Program publicystyczny tym razem dotyczył prawie w całości sytuacji w Rosji i w Europie, co Jackowi Ryanowi odpowiadało wręcz doskonale.

— Jedyne pytanie, jakiego mi nie wolno zadać, brzmi tak: jak się czuje na stołku doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, skoro jako naród jesteśmy zupełnie bezpieczni? — Bob Holtzman roześmiał się z własnego dowcipu.

— Też czuje się bezpiecznie — odburknął Jack, obrzucając wzrokiem trzy kamery. Czerwone światełka na razie nie zapalały się, i całe szczęście.

— Skąd więc te długie godziny urzędowania? — zapytała Kris Hunter łagodnym głosem, kontrastującym z surowością jej urody.

— Gdybym przestał pojawiać się w pracy, wszyscy by się zorientowali, że nie jestem im do niczego potrzebny — skłamał Jack, zmartwiony w duchu, że dziennikarze coś już zwąchali. Wyglądało na to, że jeszcze nie wiedzą o Indiach, ale wiedzą, że coś się święci. Niech ich szlag. Należało zrobić wszystko, żeby wyciszyć sprawę. W tym wypadku nacisk opinii publicznej mógł tylko skomplikować, a nie uprościć rozwój wypadków.

— Cztery! Trzy! Dwa! Jazda! — Pomocnik reżysera wycelował palcem w prezentera, Edwarda Johnsona, słynną postać amerykańskiej telewizji.

— Doktorze Ryan, jaki jest punkt widzenia Białego Domu w kwestii obecnej zmiany rządu w Japonii?

— Cóż, zmiana wynika oczywiście z zatargów na tle wymiany handlowej z zagranicą. Nie znam się na tej problematyce, więc stwierdzę tylko, iż przetarasowania są sprawą ściśle wewnętrzną, w której Japończycy świetnie sobie poradzą bez naszej pomocy — obwieścił Jack tonem zatroskanego polityka.

Żeby wyćwiczyć u siebie ten ton, potrzebował dobrych kilku lekcji u specjalisty od gry aktorskiej.

Chodziło głównie o to, aby mówić wolniej i wyraźniej niż zwykle.

Kris Hunter nastawiła uszu.

— Ale nie jest tajemnicą, że główny kandydat do fotela premiera to zaprzysięgły przeciwnik Stanów Zjednoczonych...

— Unikałbym aż tak drastycznych sformułowań — przerwał jej Ryan z dobrotliwym uśmiechem.

— Nie powie mi pan, że jego przemówienia i artykuły są pełne ciepłych uczuć dla nas.

— Może i nie. — Ryan zbył uwagę machnięciem ręki. — Istnieje jednak różnica między dysputą pomiędzy parą zaprzyjaźnionych krajów a parą przeciwników. Paradoksalnie, dyskusje między przyjaciółmi okazują się często ostrzejsze w tonie, niż te między wrogami...

Nieźle, nieźle, Jack.

— Czyli nie obawiacie się niczego złego?

— Skądże znowu. — Ryan zaprzeczył nieznacznym ruchem głowy, świadomy, że im krótsza odpowiedź, tym mniejsze pole manewru mają dziennikarze.

— Cóż, dziękujemy za udział w naszym programie, doktorze Ryan.

— I mnie było jak zwykle bardzo miło.

Ryan uśmiechał się, dopóki nie zgasło światelko ostatniej kamery, a potem powoli odliczył w myślach do dziesięciu. Odczekał jeszcze, aż dziennikarze odepną sobie mikrofony, uczynił to samo, wstał

i ruszył w kąt studia telewizyjnego, gdzie można było wreszcie bezpiecznie porozmawiać. Bob Holtzman ruszył w ślad za Jackiem do charakteryzatorni. Kosmetyczki ulotniły się gdzieś, pewnie na kawę, więc Ryan sam pochwycił garść chusteczek higienicznych, a pudełko podał Holtzmanowi. Nad podświetlanym lustrem przybito kawał deski z wyciętym na niej napisem NIE PODAWAJ DALEJ.

— A wiesz, co się tak naprawdę kryje za ruchem wyzwolenia kobiet? — zapytał Holtzman. —

Wcale im nie chodziło o równe zarobki, biustonosze i resztę bzdur.

— Zgoda — przytaknął Ryan. — Zbuntowały się, że muszą chodzić w makijażu. Dobrze nam teraz. Rany boskie, ja też nienawidzę tego gówna! — dodał, wycierając z czoła różowy puder. — Od razu się czuję jak tania kurwa.

— U polityka to chyba normalne, prawda? — zapytała Kristyn Hunter, która także zaczęła borykać się z charakteryzacją,

Jack roześmiał się.

— Normalne, czy nie normalne, mogłaby sobie pani darować tę uwagę — zauważył i zastanowił

się, jak jest naprawdę. Czy stał się politykiem? Ha, widocznie tak. Ale kiedy, gdzie? Jak to się stało?

— Czemuś Jack, odwalił taki balet po moim ostatnim pytaniu? — zapytał Holtzman,

— Jeżeli odebrałeś to jako balet, Bob, to sam już najlepiej wiesz, dlaczego. — Ryan wskazał

dziennikarzowi napis nad lustrem i na wszelki wypadek postukał w deskę, by wszyscy zrozumieli, że cokolwiek powie, musi to zostać między nimi.

— Wiem, że kiedy upadł ich poprzedni gabinet, to my podsunęliśmy informacje o skandalu z łapówkami — ciągnął Holtzman. Jack obrzucił go niechętnym spojrzeniem, lecz nadal milczał. W tych okolicznościach nawet zwykła odmowa komentarza powiedziałaaby dziennikarzom aż nadto.

— Zrobił się skandal, więc Goto nie mógł zostać premierem, chociaż na niego wypadła kolej.

Pamiętacie?

— No, dobrze, więc znów ma teraz szansę. Opłacało mu się cierpliwie poczekać — zauważył

Ryan. — O ile, oczywiście, uda mu się poskładać koalicję.

— Niech mi pan nie robi wody z mózgu. — Hunter pochyliła się ku lustru, żeby otrzeć ostry nos z pudru. — Czytał pan przecież, co Goto opowiada prasie. Ja w każdym razie czytałam. Gabinet stworzy w biegu, a jakich argumentów użyje, to także wiadomo.

— Słowa nic nie kosztują. Zwłaszcza polityków — odezwał się Jack, błogo nieświadomy faktu, że i jego dałoby się teraz łatwo uznać za „politykiera”. — Moim zdaniem to tylko chwilowy wyskok. Znam paru innych polityków, którzy po paru głębszych, przyciśnięci kryzysem, przemęczeni, wygadywali takie rzeczy, że...

— Po paru głębszych albo po wizycie u gejsz — podsunęła Kris Hunter, która zdążyła już pozbyć się makijażu. Przysiadła na krawędzi toaletki i zapaliła papierosa. Dziennikarka ze starej szkoły. To znaczy ze Szkoły Dziennikarstwa przy Uniwersytecie Columbia. Trochę po pięćdziesiątce, szefowa działu zagranicznego „Chicago Tribune”. Głosem chrypliwym, jak to u palacza, dodała — Nie dalej jak dwa lata temu ta świnią próbowała się do mnie dobierać. Kłął przy tym jak żołnierz piechoty morskiej, a to co proponował... No, nie wiedziałam, że tak można. Pan pewnie ma w teczce dane o jego intymnych upodobaniach, doktorze Ryan?

— Nie, me, nie. Nigdy i nikomu nie mówimy, jakie dane posiadamy o zagranicznych dygnitarzach. Albo czy w ogóle posiadamy takie dane.. — Jack zamyślił się — Ale zaraz, jak to? Przecież facet nie mówi po angielsku?

Przymknął oczy, próbując sobie przypomnieć, co teczka Goto mówiła na ten temat.

— To pan mc nie wie? Mówi po angielsku, a jakże, jeśli mu tak pasuje. A kiedy nie pasuje, wtedy ani słówka. Miał wtedy ze sobą tłumaczkę. Na oko ze dwadzieścia siedem lat. Nawet się nie zarumieniła.

— Hunter roześmiała się niewesoło. — Bo ja, owszem, zarumieniłam się. I co pan na to, doktorze Ryan?

Ryan święcie wierzył informacjom, jakie trafiały do niego dzięki operacji DRZEWO

SANDAŁOWE lecz z drugiej strony miło mu było dowiedzieć się czegoś także z innego, zupełnie niezależnego źródła.

— Pewnie lubi blondynki — odezwał się na odczepnego.

— Na to wygląda. Podobno znalazł sobie nową. Słyszał pan?

— Ostrożnie, Kris — wtrącił Holtzman. — Nie tylko Goto lubi się rozerwać.

— Ale mało kto chce tak jak Goto pokazać, kto tu jest bardziej ważny. Słyszy się o nim takie rzeczy, że aż się wierzyć nie chce. — Kris Hunter zamilkła i ostrożnie dodała — Ale ja, na przykład, wierzę...

— Coś takiego? — zdziwił się niewinnie Ryan — Czyżby kobieca intuicja?

— Niech pan sobie nie używa na kobietach — przestrzegła go Kris Hunter, chyba trochę zbyt ostro jak na ogólny ton ich rozmowy.

Ryan również nie miał dłużej ochoty na żarty.

— Nie używam sobie. Przekonałem się po prostu, że moja żona dużo lepiej ode mnie wyczuwa, co siedzi w ludziach. Może po prostu dlatego, że jest lekarzem. Chodziło mi tylko o to, zgoda?

— Panie Ryan, pan coś wie i ja coś wiem. I wiem, że pan wie. Dowiedziałam się ostatnio, że FBI rozpytuje się o coś dyskretnie w okolicach Seattle.

— Naprawdę?

Kris Hunter nie dawała się jednak zbić z tropu.

— Takich spraw nie da się utrzymać w tajemnicy, przynajmniej nie przed kimś, kto jak ja ma w FBI starych znajomych. I nie wtedy, kiedy zaginiona dziewczyna to córka kapitana policji, którego sąsiad kieruje biurem FBI w Seattle. Mam mówić dalej?

— Czemu w takim razie jeszcze nie puściła pani tego w obieg?

— Zaraz panu wytłumaczę, dlaczego. — Zielone oczy Kris Hunter próbowały spopielić Ryana.

— Dlatego, że ja sama też coś wiem o tych sprawach. Wiem, bo mnie ktoś zgwałcił, kiedy byłam na studiach. Bez żartów. Zdążyłam już wtedy pożegnać się z życiem. Takich sytuacji się nie zapomina.

Wiem, że jeśli prasa zwyczajnie, po swojemu, narobi rabanu, niedługo może się okazać że i ta dziewczyna, i reszta takich jak one, nie żyją. Z gwałtu można wyjść z życiem, ale nie z takich uwikłań jak tamte.

— Dziękuję — mruknął tylko Ryan, ale z jego twarzy dało się wyczytać dużo więcej. Kris Hunter zorientowała się, że Ryan naprawdę ją rozumie. I rozumie, jak trudno jest to wszystko rozplatać.

— W dodatku zanosi się, że Goto stanie teraz na czele japońskiego rządu — podjęła wątek Kris Hunter z jeszcze bardziej zaciętą miną — Goto nas nienawidzi, niech pan to sobie zapamięta, doktorze Ryan. Kiedy na przykład przeprowadzałam z nim wywiad, było jasne, że nie widzi we mnie ładnej kobiety, tylko symbol. Jasne włosy, niebieskie oczy, przedmiot, coś, co da się zgwałcić. Goto lubi męczyć ludzi. Szkoda, że pan go nie zna, zapamiętałby pan jego wzrok do końca życia. Taki sam wzrok, jak tego gwałciciela... Nie spodziewajmy się po nim niczego dobrego. Może pan przekazać to ode mnie prezydentowi.

— Zrobię to — odrzekł Ryan, ruszając do drzwi.

Na dworze czekał służbowy samochód z Białego Domu.. Kiedy jechali ku obwodnicy, Jack miał wreszcie czas zastanowić się nad tym, czego się dowiedział.

— Nawet pana nie maglowali — skomentował nagranie agent Tajnej Służby. — Co najwyżej później, w garderobie.

— Pan od jak dawna w tym fachu?

— Czternaście lat. Ciekawych lat — dodał agent Paul Robberton, który ze swojego miejsca obok kierowcy przyglądał się sąsiednim autom. Kierowca był zwykłym pracownikiem administracji rządowej, lecz Ryanowi jako współpracownikowi prezydenta przysługiwał teraz także ochroniarz.

— Chyba nie spędził ich pan za biurkiem?

— Zajmowałem się fałszerstwami. Ani razu nie musiałem sięgać po broń. Ani razu. A rozgryzłem kilka sporych afer, owszem.

— Umie pan wyczytać, co siedzi w człowieku? Robberton roześmiał się, słysząc te słowa.

— Do takiej służby nie przyjmują ludzi, którzy tego nie potrafią. Słowo daję.

— W takim razie niech mi pan powie, co pan wyczytał w Kris Hunter.

— Inteligentna i twarda. Przede wszystkim twarda. Nie skłamała panu, rzeczywiście na studiach napadł ją i zgwałcił jakiś zboczeniec, jako którąś ofiarę z kolei. Hunter musiała potem składać zeznania, żeby utrpić klienta, ale wie pan, jak to bywało w tamtych czasach. Sądy nie bardzo przejmowały się gwałtami. Zaraz zaczynały się pytania, a może to pani go sprowokowała, a może to pani wina, te sprawy.

Ponure, niech pan sam powie. Ale Hunter się nie złamała, zeznała wszystko, co trzeba. Miś wylądował w pudle i niedługo potem zabili go. Podskoczył jakiemuś klientowi z dożywociem za napad rabunkowy, i po zawodach. Szkoda, co? — dorzucił Robberton sarkastycznym tonem.

— Chce pan powiedzieć, że Hunter nie plecie byle czego?

— Pewnie, że nie. Nadawałaby się jak nic do policji. Na pewno niezła z niej dziennikarka.

— Nazbierała trochę tych informacji — przyznał mrukiwie Ryan, świadomy, że choć Kris Hunter nie wie wszystkiego i może czasem fantazjować, na pewno korzysta z niezłych źródeł wiadomości.

Patrząc na umykający krajobraz, Jack usiłował złożyć niekompletną łamigłówkę w sensowną całość.

— Dokąd jechać? — zapytał kierowca.

— Do nas — poprosił Ryan i uśmiechnął się na widok zaskoczonej miny Robbertona. W tym wypadku „do nas” nie oznaczało wcale, że Ryan chce jechać do domu.

— Albo nie. Sekundę.

Ryan podniósł słuchawkę samochodowego telefonu. Na szczęście znał potrzebny mu numer na pamięć.

— Słucham?

— To ty, Ed? Mówi Jack Ryan. Macie chwilę czasu?

— Podobno niedziela to dzień wolny, Jack. Po południu chciałem oglądać mecz.

— Mam sprawę na dziesięć minut.

— Niech ci będzie. — Ed Foley odwiesił słuchawkę i, krzywiąc się, oznajmił żonie:

— Zaraz tu będzie Jack Ryan.

Niedziela była jedynym dniem, kiedy Foleyowie mogli pospać trochę dłużej. Mary Pat była jeszcze w szlafroku. Bez słowa odłożyła płachtę niedzielnej gazety i poszła do łazienki, żeby się uczesać.

Kwadrans później rozległo się pukanie do drzwi.

— Odwalasz nadgodziny? — zapytał Ryana Ed. Robberton wszedł do domu w ślad za przełożonym.

— Nagrywałem dyskusję telewizyjną. — Jack spojrział na zegarek. — Puszczają za jakieś dwadzieścia minut, możecie sobie obejrzeć.

— Co nowego? — zapytała Mary Pat. Wyglądała już trochę lepiej, to znaczy nie gorzej niż normalne Amerykanki w niedzielny poranek.

— Praca, praca, praca — uprzedził odpowiedź Jacka Ed Foley i poprowadził wszystkich do sali pingpongowej w piwnicy.

— DRZEWO SANDAŁOWE — oznajmił Jack, kiedy usiedli. Nareszcie mógł mówić bez obawy



spokojnie. Specjaliści co tydzień sprawdzali, czy w domu Foleyów nie założono podsłuchów. — Czy Clark i Chavez dostali już polecenie, żeby wydostać stamtąd dziewczynę?

— Nikt się z tym do nas oficjalnie nie zwracał — przypomniał mu Ed Foley. — Zasadniczo wszystko przygotowane, ale...

— W takim razie wydaję wam to polecenie. Oficjalnie. Zabierzcie dziewczynę z Japonii.

— Chcesz nam coś powiedzieć w związku z tym? — spytała Jacka Mary Pat.

— Sprawa nie leżała mi od samego początku. Może przyda się pokazać temu alfonsowi, że co za dużo, to niezdrowo. Sytuacja jest taka, że powinien nas posłuchać.

— Zgoda. Ja też czytałem dzisiejszą gazetę — przytaknął Ed Foley. — Z tym, że nie tylko Goto się tak stawia. My też ostatnio wylewamy na Japonię same pomyje.

— Siadaj, siadaj, Jack — powstrzymała Ryana Mary Pat. — Dokąd lecisz, nie napijesz się z nami kawy?

— Nie, dzięki, MP. — Ryan mimo wszystko przysiadł na sfatygowanej kanapie. — Coś mi w tej chwili przyszło do głowy. Nasz przyjaciel Goto może być trochę stuknięty.

— Ma swoje dziwactwa — zgodził się z tą oceną Ed. — Niezbyt rozgarnięty, a to, co opowiada...

Nawet biorąc poprawkę na ich słownictwo polityczne i patos, pomysłów w tym ani śladu. Sam się dziwię, że chcą mu dać porządzić.

— Czemu to takie dziwne? — zapytał Jack. Wszystkie dokumenty na temat Goto, jakie przygotował mu Departament Stanu, były pełne komplementów i eufemizmów. Chodziło bądź co bądź o zagranicznego dygnitarza.

— Czemu? Po pierwsze, już mówiłem, że ten Goto nie nadaje się na laureata Nobla z fizyki.

Słabe wykształcenie, facet po prostu wspiął się po szczebelkach jak większość polityków. Aparaczyk, jak to mówią w Moskwie. Przy okazji musiał się na pewno podlizywać niejednemu dobroczyńcy...

— I żeby to sobie jakoś powetować, lubi męczyć kobiety — przerwała MP. — Nie on jeden, ale nawet na tamym tle Goto bije rekordy. Nasz chłopak, ten Nomuri, przysłał nam okropnie szczegółowy raport w tej sprawie.

Mary Pat widziała, że bardziej doświadczony agent pominąłby większość informacji. Trudno, w pierwszej misji agencji często zachowują się, jak gdyby pisali powieść. Najlepszy dowód, że szpiedzy też się nudzą.

— Po tej stronie Pacyfiku taki Goto nie wygrałby w wyborach na miejskiego hycła — zauważył

jeszcze Ed. Jack Ryan rozważył w myślach te słowa. Czyżby? Skąd w takim razie wziął się w Waszyngtonie niejaki Ed Kealty? Informacje były jednak ciekawe i w sprzyjających okolicznościach mogły się władzom Ameryki bardzo przydać. Może podczas pierwszego spotkania na szczycie, jeśli Japończycy zaczną się stawiać? Durling mógłby na to przekazać Goto dyskretne pozdrowienia od jego dawnej białej przyjaciółki i napomknąć, że przykro by mu było patrzeć, jak psują się tak dawniej ożywione i serdeczne stosunki japońsko-amerykańskie...

— Co tam słyhać z OSTEM?

Mary Pat machinalnie ułożyła w rządku na telewizorze kasety z grami Nintendo. Piwnica była ulubionym miejscem zabaw dzieci Foleyów.

— Dwóch ludzi wypadło. Pierwszy przeszedł na emeryturę, a drugi jest za granicą. W Malezji, o ile pamiętam. Z pozostałymi nawiązaliśmy kontakt i jeśli zajdzie taka potrzeba...

— Doskonale. Zastanówmy się od razu, o co warto by ich poprosić.

— Ale dlaczego? — powstrzymała Ryana Mary Pat. — Nie mam nic przeciwko temu, ale wytłumacz mi, skąd ten pośpiech?

— Przydusiliśmy Japończyków do muru. Niepotrzebnie. Powiedziałem prezydentowi, jakie jest moje zdanie na ten temat, ale on ma swoje powody. Polityka, i tak dalej. Nie ma się co łudzić, będzie przyduszał dalej. Te nasze nowe przepisy odbijają się fatalnie na stanie japońskiej gospodarki, to oczywiste.

Co gorsza ich nowy premier naprawdę nas nie cierpi. Jeśli Japonia spróbuje się odegrać, wolałbym wiedzieć o tym z góry, po prostu.

— W jaki sposób mogliby się odegrać? Jakim cudem? — Ed Foley przysiadł na ulubionym fotelu swojego syna.

— Mnie się pytasz? Nie wiem, ale chciałbym się dowiedzieć. Dajcie mi parę dni, żebym się mógł zorientować, za co mamy się brać w pierwszym rządzie... Zaraz, zaraz... Jakie tam parę dni, co ja plotę.

Przecież muszę się przygotować do wizyty w Moskwie.

— My też nie załatwimy wszystkiego od razu. Tymczasem możemy podesłać chłopakom środki łączności i resztę zabawek.

— Podesłajcie, jasne — zgodził się Jack. — Niech wiedzą, że znów muszą trochę pospieszować.

— Potrzeba nam do tego zgoda prezydenta — przestrzegł Ed Foley. Bądź co bądź chodziło o uaktywnienie siatki szpiegowskiej w zaprzyjaźnionym kraju.

— Poproszę go przy najbliższej okazji. — Ryan miał pewność, że Durling nie wyrazi sprzeciwu.

— Aha, i jak się tylko da najprędzej wydostańcie stamtąd dziewczynę.

— Gdzie mamy ją przesłuchać? — zapytała Mary Pat. — Aha, a skoro już o niej mowa, co mamy robić, jeśli nie będzie chciała wyjechać? Mamy ją porwać, czy jak?

Jack zmarszczył czoło.

— No, nie, bez głupich pomysłów. Ostrożnie. Czy ja mam uczyć Clarka i Chaveza, jak się to robi?

— Clarka nie musisz uczyć, to na pewno — zgodziła się z Ryanem Mary Pat, która mimo upływu lat pamiętała lekcję, której jej i mężowi udzielił Clark podczas szkolenia w Zagrodzie: gdziekolwiek się znajdujesz, jesteś na terenie przeciwnika. Zawsze. Ciekawe, swoją drogą, gdzie i kiedy Clark posiadał tę życiową mądrość?

Clark zrywał się, że demonstranci zamiast urządzać sobie demonstrację powinni o tej porze być w pracy, lecz po cichu zdawał sobie sprawę, iż tłum naprawdę w tej chwili pracuje. Clark naoglądał się w życiu dosyć demonstracji, by wiedzieć, które wyglądają na inscenizowane. Większość, niezależnie od kraju, w którym się odbywały, miała na celu potępienie Stanów Zjednoczonych. Najgorsze były te w Iranie, chyba dlatego, że w rękach ludzi skandujących „śmierć Ameryce!” znajdowało się kilkudziesięciu amerykańskich zakładników. Clark przebywał wtedy w Teheranie, przygotowując grunt pod akcję ratunkową, nieudaną, jak się później okazało. Tygodnie w Teheranie stanowiły dla Clarka najbardziej przygnębiający okres w całej karierze. Zapamiętał na zawsze tamtą klęskę i swoją własną dosyć dramatyczną ucieczkę przez granicę.

W amerykańskiej ambasadzie nie przejmowano się manifestacją ani trochę. Nie pierwszyżna, choć, oczywiście, ambasador zakazał personelowi opuszczania budynku, monumentalnej budowli naprzeciwko hotelu „Ocura”, której architekt czerpał natchnienie jednocześnie z prac Franka Lloyda Wrighta i z bunkrów Linii Zygryda. Czym się jednak przejmować, gdy rzecz ma miejsce w cywilizowanym kraju? Tokijska policja rozstawiła wokół ogrodzenia dodatkowe pododdziały. Prócz tego, chociaż niektórzy demonstranci wyglądali groźnie, wcale się nie kwapili do tego, by atakować policjantów z grup specjalnych. Nie ulegało jednak wątpliwości, że uliczny tłum to nie studenci i nie zwolniona na tę okazję z lekcji dziatwa szkolna. Ciekawe, że telewizja i prasa zapominają zwykle podać, jak często demonstracje w wykonaniu studentów zbiegają się w czasie z końcem semestru i wakacjami, i to na całym świecie. Tym razem jednak większość manifestantów miała około trzydziestu lat, więc skandowanie szło opornie. Niewiele widziało się też zaciętych, złych min, przeciwnie, dominował wyraz zakłopotania, jak gdyby ludziom było głupio, że znaleźli się na placu. Tak przynajmniej oceniał to Chavez, pstrykając zdjęcia. Tłum był jednak pokaźny i czuło się w nim złość. Manifestanci w oczywisty sposób chcieli znaleźć winnego, albo winnych. Jak zwykle, chodziło o to, by przekonać samych siebie, że wszystkiemu zawinił kto inny, tajemniczy „oni”, ci sami, którzy zawsze brużdżą i przeszkadzają. Tego stanu ducha także nie wymyślili Japończycy.

Isie japońska była w manifestacji tylko jej organizacja. Demonstranci przybyli na plac w zorganizowanych grupach, każda z kierownikiem i transparentem. Większość grup przyjechała kolejką dojazdową albo autokarami i doszła na plac pieszo. Clark zastanawiał się chwilę nad kwestią techniczną, czyli nad tym, kto konkretnie wynajął autokary. I kto przygotował transparenty? Clark zorientował się dopiero po chwili, że wypisane po angielsku hasła brzmią jakoś mało naiwnie. Japończycy uczyli się angielskiego w szkole, lecz nie wyjaśniało to, dlaczego na transparentach nie ma ani jednego błędu gramatycznego, ani jednego przekręconego zwrotu. I to w kraju, w którym nie należały wcale do rzadkości koszulki z anglojęzycznymi nadrukami w stylu PEPSI PIJE ZIMNA i innymi dosłownymi tłumaczeniami z japońskiego. A tu, proszę, zgadza się każda sylaba, zupełnie jak gdyby demonstrowano pod Białym Domem. Ciekawe, ciekawe.

Clark postanowił się o wszystko rozpytać. Bądź co bądź był tutaj dziennikarzem.

— Przepraszam — zaczął, trącając w ramię starszego wiekiem demonstranta.

— Tak? — Mężczyzna odwrócił się, zaskoczony gestem. Okazało się, że ma na sobie porządny ciemny garnitur i śnieżnobiałą koszulę z krawatem. Minę miał także bardzo zwyczajną, bez śladu złości czy podniecenia. — O co chodzi?

— Jestem dziennikarzem. Z Rosji. Pracuję dla agencji prasowej Interfax — wyjaśnił Clark i pokazał legitymację prasową z odpowiednim rosyjskim tekstem.

— Och — Japończyk uśmiechnął się i uprzejmie skłonił głowę. Clark uczynił to samo, zyskując w oczach rozmówcy za dobre maniery.

— Czy nie będzie nietaktem, jeśli zadam panu kilka pytań?

— Ależ proszę pytać — uspokoił Clarka rozmówca, wyraźnie uradowany, że nie musi już skandować haseł. Okazało się, że ma trzydzieści siedem lat, jest żonaty i ma jedno dziecko. Pracował do tej pory w zakładach samochodowych, ale niedawno go zwolniono, podobno czasowo. Japończyk miał

wielkie pretensje do Ameryki — ale nie do Rosji, o czym pośpiesznie zapewnił Clarka. Clark podziękował i schował notes, przy okazji notując w pamięci, że rozmówca jest wyraźnie zawstydzony całą sytuacją.

— No i co tam? — zapytał szeptem Chavez, kryjąc twarz za aparatem fotograficznym.

— *Pa russki!* — przykazał mu ostrym tonem Clark.

— *Kanieczno, nie pa kitajski!* — odwzajemnił się Chavez.

— Idziemy! — „Iwan Siergiejewicz” ruszył prosto w najgęstsza cizbę. Nadal czuł, że coś jest tutaj nie tak, ale co? Dopiero po kilkunastu krokach Clark zrozumiał, co go tak męczy. Okazało się, że wszyscy demonstranci na obrzeżu tłumu należą do służb nadzoru. Za to im głębiej, tym więcej widziało się zwykłych robotników. Inny był też nastrój i chociaż Clark z miejsca zaczął wołać, że

jest z Rosji, nie rozwiało to do końca podejrzliwości, z jaką na nich patrzono. Również odpowiedzi na zadawane pytania były mniej oględne niż te poprzednie.

Wkrótce demonstracja ruszyła na dany znak w inne miejsce, przenosząc się w pobliże podium z mikrofonem. Dopiero wówczas nastrój zmienił się do reszty. Hiroszi Goto odwlekał swoje przybycie, denerwując nawet ludzi ćwiczonych od dzieciństwa w cnocie cierpliwości. Podszedł do mikrofonu z powagą i uklonił się pod adresem swej świty, zebranej z tyłu podium. Wokół czekali już operatorzy kamer telewizyjnych. Szło teraz tylko o to, by zbić manifestantów w jednolitą, zwartą masę. Goto zwlekał jednak w dalszym ciągu, a ludzie cisnęli się coraz bardziej, źli i podenerwowani.

Clark czuł teraz wyraźnie niezwykłość sytuacji. Być może musiało tak być? Japończycy byli członkami społeczeństwa tak uporządkowanego, że mogli się wydawać rodem z innej planety.

Uprzejmość tutejszych ludzi zupełnie nie pasowała do podejrzliwości, z jaką traktowali cudzoziemców.

Clark zaczął się w pewnej chwili naprawdę bać: najpierw tylko trochę, jak gdyby usłyszał ostrzegawczy szept, który podpowiadał, że robi się gorąco, i to pomimo faktu, że z pozoru nie działo się nic nadzwyczajnego. Ot, jeszcze jeden polityk wygłasza mowę do japońskiego ludu. Ktoś, kto omal nie stracił

życia w Wietnamie, a potem wielokrotnie ryzykował w innych krajach, i kto znów znalazł się daleko od domu, powinien był wyczuć od razu, o co chodzi, lecz tym razem wiek i doświadczenie Clarka obracały się przeciwko niemu. Wielkie rzeczy! Nawet rozjuszeni robotnicy w środku tłumu nie byli wcale tacy źli.

Co, mają się cieszyć, że znaleźli się za bramą, że stracili robotę? Każdy by się złościł.

Goto upił łyk wody i gestem zachęcił zebranych, by skupili się jeszcze ciaśniej wokół podium. Im dłużej Clark rozglądał się wokół siebie, tym wyraźniej wydawało mu się, że słyszy ostrzegawczy szept.

Ilu ludzi zgromadziła manifestacja? Dziesięć, piętnaście tysięcy? Wszyscy przycichli nagle, jak na rozkaz.

A może ktoś wydał ten rozkaz? Clark znowu się rozejrzał i dostrzegł coś, co przedtem uszło jego uwagi.

Ci na samym skraju zgromadzenia mieli na rękawach marynarek opaski. Garnitury! Clark omal nie zaklął, zły, że zapomniał, jak ubierają się japońscy brygadziści. Zwyczajni robotnicy odruchowo podporządkowywali się każdemu, kto wyglądał i zachowywał się jak nadzorca przy taśmie. Ludzie z opaskami zachęcali, by zbić się jeszcze ciaśniej, w jedną ludzką masę.

Goto zaczął przemówienie niezbyt głośno. W tłumie zrobiło się naraz bardzo cicho. Wszyscy nastavili uszu. Obaj agenci CIA żalowali, że mieli tak mało czasu, żeby popracować nad japońskim.

Ding rozumiał chyba więcej od Clarka, bo z pewną siebie miną rozglądał się i zmieniał obiektywy. Po chwili odezwał się szeptem do Clarka, oczywiście, już po rosyjsku:

— Dlaczego oni wszyscy są tacy sztywni?

Kiedy Goto przemawiał, Clark, który rozumiał tylko piąte przez dziesiąte, patrzył na reakcje publiczności. Najpierw nic, znów nic... Ogólny ryk entuzjazmu, jaki wydobył się nagle z tysięcy gardeł, zaskoczył go zupełnie. W tłumie było tak ciasno, że trudno było nawet bić brawo. Jak tam Goto? Nie widać, za daleko. Clark sięgnął do torby Chaveza i podniósł do oczu aparat z teleobiektywem. Teraz widział wyraźnie, jak Goto cieszy się z wiwatów i czeka, aż ucichną, by podjąć wątek.

Ho, ho. Wiemy, jak rozmawiać z prostym człowiekiem, co?

Clark zdawał sobie sprawę, że chociaż politycy skrzętnie to ukrywają, wypatrują entuzjazmu słuchaczy z jeszcze większą łapczywością niż aktorzy przed kamerami. Goto mówił teraz dużo głośniej i bardziej gestykulował.

Zaledwie dziesięć czy piętnaście tysięcy słuchaczy? Dla Clarka nie ulegało wątpliwości, że dla Goto manifestacja jest tylko próbą generalną. Clark jeszcze nigdy w życiu nie czuł się bardziej na widoku niż teraz. W innych częściach świata — w ZSRR, w Iranie czy na ulicach Berlina — łatwiej mu było wmieszać się w tłum i zniknąć. A tu? Co gorsza nie rozumiał nic z tego, co mówił Goto.

Goto jeszcze bardziej podniósł głos i w pewnej chwili palnął pięścią w mównicę. Demonstranci zanieśli się krzykiem. Goto mówił coraz pręcej, chciwie obserwując, jak ludzie cisną się ku niemu, by nie uronić ani słowa. Polityk nie uśmiechał się już, tylko rozglądał po placu, wodząc spojrzeniem ponad morzem głów. Co pewien czas zatrzymywał spojrzenie na pojedynczych osobach, pewnie po to, by sprawdzić ich reakcję. Widać było, jak bardzo cieszy go to, co ujrzał. Zdobył zaufanie i posłuch do tego stopnia, że kiedy zawieszał głos, ludzie przestawali oddychać. Clark wycelował teleobiektywem w tłum, czując falowanie ludzkiej masy.

Goto bawił się tym wszystkim. Na pewno.

A nadzorcy z opaskami? Clark znów wycelował teleobiektywem w bok, szukając ich twarzy.

Nadzorcy nie przejmowali się już porządkiem: oni także chłonęli każde słowo. Clark przeklinał swój brak znajomości japońskiego. Nie przyszło mu nawet do głowy, że to, co widzi może być dużo ważniejsze od tego, co słyszy. Następny zbiorowy okrzyk był nie tylko głośny, lecz także pełen furii. A z twarzy... Ze wszystkich twarzy biło coś, co przypominało natchnienie. Goto mógł teraz z tymi ludźmi zrobić, co tylko chciał i poprowadzić ich za sobą na koniec świata.

John dotknął ramienia Dinga.

— Zwiewajmy stąd.

— Czemu?

— Bo może być niebezpiecznie — wyjaśnił Clark. Odpowiedziało mu zdumione spojrzenie.

— *Nan ja?* — zapytał po japońsku Chavez i uśmiechnął się szelmowsko zza aparatu.

— Odwróć się i przyjrzyj się dobrze gliniarzom — polecił mu „Klierk”.

Ding uczynił to i natychmiast pojął, o co chodzi. Japońska policja zwykle wzbudzała respekt już samym wyglądem. W dawnych czasach podobną pewność siebie musieli okazywać samuraje. Policjanci byli nieodmiennie uprzejmi i mili, lecz dawali zarazem do zrozumienia, że lepiej nie wchodzić im w drogę. Ich mundury były czyściuteńkie i odprasowane nie gorzej niż mundury żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej, strzegących wejść do ambasad. Pistolety u pasów były na dobrą sprawę zbędnym dodatkiem, albo oznaką statusu. Tym razem jednak policjanci mieli spłoszone miny. Przesztywali z nogi na nogę i popatrywali na siebie albo ocierali spocone dłonie o nogawki granatowych spodni. Oni także wyczuwali, co się święci. Część z nich wsłuchiwała się w przemowę Goto, ale i wśród tej grupy miny były nietęgę. Jeśli to, co się działo, potrafiło zaniepokoić tak zwykle dziarskich policjantów, sprawy musiały zajść bardzo daleko.

— Za mną. — Clark rozejrzał się po fasadach wokół placu i ruszył w stronę niewielkiego sklepu z odzieżą męską. Obaj agenci CIA przystanęli przy samym wejściu. Poza nimi na chodniku nie było nikogo, bo przypadkowi przechodnie mieszały się z tłumem manifestantów, a i policjanci woleli rozstawić się kordonem wokół podium. Clark i Chavez nie mieli się jak schować. Żaden z nich nie był przyzwyczajony to takiej sytuacji.

— Czujesz sprawę? — zagadnął Clark, po angielsku, co zdumiało Chaveza.

— Owinął ich sobie wokół palca, co? — i po namyśle Ding dodał: — Racja, panie C. Trochę gorąco.

Goto podniósł głos jeszcze bardziej. Głośniki powtarzały jego skrzekliwe, prędkie słowa i niosły je do najdalszych zakątków placu. Tłum reagował zgodnie z oczekiwaniami, jak każdy porządny tłum.

— Widziałeś kiedyś coś takiego? — Sytuacja rzeczywiście nie przypominała ich niedawnej akcji w Rumunii.

— Owszem, widziałem. W Teheranie, w 1979 roku.

— Siusiałem jeszcze wtedy w majtki.

— A ja robiłem w gacie — pocieszył Chaveza Clark, przypominając sobie dawne czasy. Goto wymachiwał teraz rękami jak opętany. Gdzie się podział powściągliwy polityk, który rozpoczął przemówienie? Przed pół godziną Goto cicho i wyraźnie cedził każde słowo, lecz ponieważ eksperyment udał się nad podziw, teraz nie musiał się już krępować. Na zakończenie mowy Goto wyrzucił ramiona do góry, w geście o tyle agresywnym, że obie dłonie miał zaciśnięte w pięści. Stojący kilka metrów obok policjant odwrócił się i zmierzył Clarka i Chaveza przeciągłym

spojrzeniem. Jego minę można było odczytać na kilka sposobów.

— Lepiej chodźmy obejrzyć sobie marynarki.

— Dla mnie rozmiar trzydzieści sześć — odparł beztrąsko Chavez, odkładając aparat i obiektywy z powrotem do torby.

Sklepek okazał się zupełnie niezły. Znalazło się nawet kilka garniturów w rozmiarze, którego szukał Ding. Obaj agenci dla zabicia czasu zajęli się zakupami. Sprzedawca znał się na rzeczy i był

uprzedząco grzeczny. Pod namową Clarka Chavez kupił w końcu garnitur, który doskonale na nim leżał, był ciemnopopielaty, bardzo zwyczajny i zatrważająco drogi. Identyczne garnitury nosiły tysiące japońskich urzędników. Przed sklepem Clark i Chavez przekonali się, że plac opustoszał. Grupa robotników rozbierała podium, a ekipy telewizyjne demontowały stojaki z reflektorami. Wszystko wyglądało normalnie, choć pod jednym z drzew gromadka policjantów krzątała się wokół trójki zatrzymanych — jak się okazało, chodziło o amerykańską ekipę telewizyjną. Jeden z Amerykanów przyciskał do twarzy zakrwawioną chusteczkę. Clark nie chciał podchodzić bliżej. Przy okazji spostrzegł, że plac jest zadziwiająco czysty. Tylko na odległym skraju jeździła jeszcze zamiatarka służb miejskich.

Manifestację zaplanowano więc w najdrobniejszym szczególe. Więc był równie spontaniczny jak finały amerykańskiego Superpucharu, z tą różnicą, że Goto okazał się jeszcze lepszym graczem niż futboliści.

— Co o tym wszystkim myślisz? — zagadnął Clark, kiedy szli do hotelu. Ulica znów roiła się od ludzi.

— Nie wiem, ty się znasz na tych sprawach lepiej ode...

— Bez takiego pieprzenia, panie magistrze! Jak się, kurwa, o coś pytam, masz mi, kurwa, odpowiedzieć!

Chavez prawie stanął jak wryty, nie dlatego, że się obraził, lecz z tej przyczyny, że wybuch Clarka przyszedł zupełnie niespodziewanie. Więc i Clark potrafi się czymś zdenerwować? Odpowiedź

Dinga była więc precyzyjna i chłodna:

— Wydaje mi się, że trafiliśmy na ważny moment. Goto próbował sobie podporządkować ten tłum. W zeszłym roku pokazywali nam na wykładach film na ten temat, zresztą hitlerowski. Klasyczne studium publicznej demagogii. Reżyserem była kobieta, coś jak...

— Leni Riefenstahl, owszem. A film nazywał się „Triumf woli” — przypomniał sobie Clark. —

Rzeczywiście, klasyka gatunku. Ale, ale... Przydałoby się zaprowadzić cię do fryzjera.

— Że co?



Szkolenie naprawdę się opłacało. Nawet bez rozglądania się major Sato wiedział, że po zwolnieniu hamulców czwórka *F-15 Eagle* rusza po gładzi pasa startowego bazy w Misawa w idealnych odstępach. W ciągu ostatniego roku każdy z pilotów wylatał ponad trzysta godzin, z czego sto godzin tylko w czasie ubiegłych dwóch miesięcy. Piloci mogli teraz startować skrzydło w skrzydło z precyzją, jakiej mógł im pozazdrościć najlepszy zespół akrobacji powietrznej. Z tą jednak różnicą, że piloci Sato nie wchodzili w skład japońskiego odpowiednika „Błękitnych Aniołów”. Służyli po prostu w 3. Pułku Lotnictwa. Zanim Sato poderwał maszynę do góry, musiał, oczywiście, sprawdzić własną prędkość na wyświetlaczu systemu *HUD*. Podwozie schowało się posłusznie. Sato nie musiał patrzeć w bok, by wiedzieć, że jego skrzydłowy leci w odległości zaledwie czterech metrów, skrzydło w skrzydło.

Niebezpiecznie, ale tylko w ten sposób piloci uczą się ufać sobie nawzajem. Brawura imponowała także mechanikom z obsługi naziemnej i przypadkowym gapiom w samochodach na pobliskiej autostradzie. Na pułapie trzystu metrów, ze schowanym podwoziem i klapami, Sato przyśpieszył do sześciuset kilometrów na godzinę i obejrzał się nareszcie za siebie. Dzień był jasny i bez mgiełki, wilgotność powietrza minimalna, a słońce późnego popołudnia oświetlało jasno cały pejzaż. Od północy Sato widział teraz skrajną wyspę Archipelagu Kurylskiego, wydartą Japonii przez Rosjan w 1945 roku. Wyspa była równie górzysta jak Hokkaido, i równie japońska. Ale powoli, spokojnie. Sato nie niecierpliwił się. Przyjdzie pora i na Kuryle.

— W prawo — polecił przez radio, nadając kluczowi nowy kurs, zero pięć pięć. Maszyny nadal wspinały się w górę, bez pośpiechu, by zaoszczędzić paliwa przed ćwiczeniami.

Patrząc na *F-15* trudno wręcz było uwierzyć, że konstrukcja liczy sobie prawie trzydzieści lat. Z

pierwszych *Eagle* pozostała jednak tylko sylwetka i zamysł, bo od czasów, kiedy z desek projektantów w zakładach McDonnell-Douglas zeszyły pierwsze rysunki, maszynę ulepszono na setki rozmaitych sposobów. W samolocie majora Sato nawet silniki były japońskiej produkcji, nie mówiąc już o elektronice.

W powietrzu był tłok, bo korytarzem powietrznym szedł w obie strony długi sznur maszyn pasażerskich. Turyści i biznesmeni lecieli do Ameryki Północnej albo wracali stamtąd do Japonii.

Korytarz przebiegał wzdłuż Wysp Kurylskich, omijał Kamczatkę i zakręcał w stronę Aleutów. Sato mógł

się napawać tym widokiem zza sterów myśliwca. Trudno o lepszy, bardziej namacalny dowód ważności i potęgi Japonii. Niskie słońce odbijało się w aluminiowym usterzeniu maszyn pasażerskich. Z pułapu jedenastu kilometrów sznur liniowców pasażerskich przypominał najbardziej kolejkę samochodów w korku na autostradzie. Długie smugi kondensacyjne z odrzutowych silników wydawały się ciągnąć w nieskończoność, daleko poza horyzont.

Pora wziąć się do zadania. Klucz czterech maszyn rozbił się na dwie pary, z których jedna skierowała się na lewo, a druga na prawo od korytarza powietrznego. Tego wieczoru ćwiczenie było dosyć proste, choć oczywiście nie mniej przez to ważne. Sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód szedł za myśliwcami samolot wczesnego ostrzegania, patrolujący nie opodal północnego

cypla wyspy Honsiu. Ze swoją wielką, obrotową anteną na kadłubie, *AWACS* przypominał amerykańskie *E-3A*, choć do jego konstrukcji posłużył dwusilnikowy pasażerski *Boeing 767*, a nie dużo starszy typ *707*.

Podobnie jak japońska wersja *F-15J* stanowiła udoskonalony model myśliwca amerykańskiego, także *E-767* był japońską odpowiedzią na wynalazek rodem z USA. Przepatrując horyzont, Sato nie mógł się nadziwić naiwności Amerykanów. Kto to widział, dokonać tylu wynalazków i oddać je obcym, za bezcen.

Swoją drogą, dokładnie tak samo postępowali Amerykanie z wynalazkami z Rosji: zapoznawali się z nimi i udoskonalali na własne potrzeby. Dlaczego nie przyszło im do głowy, że ktoś potraktuje ich z kolei w identyczny sposób? System radarowy na *E-767* nie miał sobie równych. W gruncie rzeczy był tak doskonały, że można było wyłączyć radar pokładowy *F-15*.

Koncepcja ogólna systemu była prosta, za to wykonanie morderczo drobiazgowe. Myśliwce musiały znać swoją dokładną pozycję, w trzech wymiarach, podobnie jak towarzysząca im z oddali maszyna wczesnego ostrzegania. Wiązki fal radarowych z *767* rozchodziły się w precyzyjnie odmierzonych odstępach czasu. Reszta była kwestią matematyki. Znając własną pozycję i pozycję nadajnika z *767*, piloci maszyn myśliwskich potrafili na podstawie odbieranego odbicia fal radarowych dowiedzieć się całej reszty, w sposób bierny, bez potrzeby włączania własnej aparatury pokładowej, a więc i bez odsłaniania się. W aparaturze wykorzystano elementy radzieckich radarów bistatycznych i amerykański system ostrzegania, lecz Japończykom udało się ponadto osiągnąć coś więcej, ponieważ radar w *767* dawał się błyskawicznie przełączać z większych częstotliwości wykrywania na krótsze wiązki naprowadzania rakiet, odległy o sto kilometrów radar kierował w stronę celu pociski rakietowe wystrzeliwane przez *F-15*. W dodatku przy takich rozmiarach i mocy radar z *767* był w stanie wykryć nawet samoloty *stealth*, przynajmniej teoretycznie.

Kilka minut później rozwiały się ostatnie wątpliwości: nowy system działał. Cztery ćwiczebne pociski powietrze-powietrze, podczipione pod skrzydłami *F-15*, bez silników rakietowych, lecz ich głowice z systemami naprowadzania były najzupełniej autentyczne. Wskazania aparatury pokładowej dowodziły niezbicie, że kierowane z pokładu *767* pociski naprowadzają się na kolejne samoloty pasażerskie z równą, a nawet jeszcze większą dokładnością, niż gdyby major Sato sterował nimi za pomocą własnego radaru pokładowego. Japończykom udało się nareszcie dokonać czegoś oryginalnego.

Jeszcze kilka lat wcześniej władze w Tokio próbowałyby zapewne sprzedać pomysł innym krajom, na przykład Stanom Zjednoczonym, gotowym zapłacić za coś takiego każdą cenę. Przez ten czas porządek świata odmienił się jednak nie do poznania. Amerykanie nie mieli już ochoty wydawać pieniędzy na zbrojenia, a Japonia przestała się chwalić nową technologią. Major Sato wiedział, dlaczego.

Odsprzedawać wynalazek w takiej chwili? Na pewno nie.

Hotelik był taki sobie, czy nawet wręcz zupełnie podły. Nocowali tu głównie goście z zagranicy, lecz niekoniecznie ci zamożni. Nie wszyscy długonosi *gaidzin* to bogacze, z czego dyrekcja zdawała sobie dobrze sprawę. Pokoiki były ciasne, korytarze wąskie, sufity niskie, ale za to śniadanie składające

się ze szklanki soku, filiżanki kawy i rogalika kosztowało tylko pięćdziesiąt dolarów, a nie sto i więcej jak w lepszych hotelach. Clark i Chavez robili dokładnie to, co uczyniliby na ich miejscu prawdziwi rosyjscy dziennikarze: mieszkali byle jak i jedli byle co, byleby tylko trochę zaoszczędzić. Poświęcenie nie było zresztą aż tak wielkie, bo mimo japońskiej ciasnoty, w porównaniu z Afryką Tokio było krainą wygod, a miejscowa kuchnia, choć dziwna i egzotyczna, okazała się nie taka zła. Ding utyskiwał wprawdzie, że nie ma gdzie zjeść porządnego hamburgera, ale tylko w myślach, bo cóż to za Rosjanin, który tęskni za hamburgerem z frytkami? Wracając do hotelu po dniu pełnym wrażeń, Clark przekreślił klucz i chwycił za klamkę. Nie przerwał tego ruchu, nawet gdy wyczuł pod palcami kawałek samoprzylepnej taśmy, przyczepionej do wewnętrznej powierzchni klamki. Kiedy weszli do środka, Clark pokazał taśmę Chavezowi i bez słowa ruszył do łazienki, żeby wrzucić znalezisko do muszli.

Chavez rozejrzał się po pokoju, niepewny, czy nie ma tu podsłuchu. Może i racja, że takie rzeczy nie dzieją się tylko w książkach szpiegowskich? Taśma na klamce, ciekawe. Ktoś życzył sobie spotkania.

Na pewno Nomuri. Pomysłowy człowiek, swoją drogą. Ten, kto pozostawił znak, musiał tylko przejść się korytarzem i bez zatrzymywania się dotknąć klamki. Drobnym gestem mógł ujść uwagi obserwatorów. Ale o to w końcu chodziło.

— Wskoczę sobie jeszcze. Pić się chce — obwieścił „Klierk” po rosyjsku. Rzeczywiście chciał wyjść i sprawdzić, co się dzieje.

— Ty, Wania, nic tylko byś ryj zalewał — odburknął Ding, mało zaskoczony takim obrotem spraw.

— Co z ciebie za Rosjanin, że nie pijesz? — obruszył się jeszcze Clark na użytek ukrytych mikrofonów i ruszył ku drzwiom.

Chavez został sam, bez żadnego zajęcia. A przecież miał się przygotowywać do zarwanych zajęć na uniwersytecie! Tylko jak? Wszystkie podręczniki były po angielsku, więc, oczywiście, musiał je zostawić w Korei. Nie mógł robić notatek, nie mógł powtarzać materiału. Ding postanowił sobie, że jeśli przez to wszystko obleje egzamin, zwróci się do CIA, aby zwrócono mu za dodatkowe czesne.

Do baru było niedaleko, a i w środku lokal był zupełnie sympatyczny. Przynajmniej, ciemnowy. Stoliki oddzielone były od siebie przepierzeniami, a patrząc w lustro nad barem można się było łatwo przekonać, czy rozmowie nie przypatruje się nikt ciekawski. Na szczęście większość barowych stołków była zajęta. Clark udał rozczarowanie, ale wzruszył ramionami i ruszył w głąb sali. Nomuri czekał już na niego przy stoliku.

— Ryzykanci z nas, co? — zapytał John. Muzyka była tak głośna, że mógł się nie przejmować.

Kiedy podeszła kelnerka, zamówił czystą wódkę, bez lodu. Miejscowej marki, bo tak było taniej.

— Pozdrowienia z ojczyzny — usłyszał od Nomuriego, który też zaraz wstał i bez ukłonu odszedł

od stolika, jak gdyby śmiertelnie uraził go fakt, że *gaidzin* przysiadł się do niego, nie pytając nawet o pozwolenie.

Zanim znów zjawiła się kelnerka, Clark sięgnął pod blat i znalazł przyczepiony tam taśmą, płaski pakunek. Ostrożnie położył go sobie na podołku, a po chwili wsunął za pasek od spodni, na plecach. Clark starym zwyczajem ubierał się do pracy w luźne garnitury, a w Japonii szło mu to tym łatwiej, że miał na sobie workowaty wyrób krawców z Rosji. Poza tym był tak barczysty, że marynarka ukrywała wszystko, co nosił za paskiem. Jeszcze jeden powód, aby dbać o kondycję fizyczną.

Wypił wódkę duszkiem, nie krzywiąc się, a potem zamówił następną i powoli rozejrzał się po wnętrzu. Szukał twarzy zapamiętanych wcześniej z innych sytuacji, lub tylko podświadomie zauważonych w pobliżu. Obowiązek był uciążliwy, lecz nieodzowny, o czym ładnych kilka razy przekonało go życie.

Dwukrotnie Clark spojrział ukradkowo na zegarek. Za trzecim razem uczynił to zupełnie otwarcie i zaraz wstał. Zostawił należność na stole, bez napiwku, jako że za granicą Rosjanie nie uchodzą za utracjuszy.

Jak na późną porę, na ulicy kręciło się sporo przechodniów. W ciągu poprzedniego tygodnia Clark zaglądał do baru co wieczór. Kręcił się też po okolicznych sklepach. Dziś wybrał sobie pobliską księgarnię z długimi rzędami półek. Japończycy uwielbiali lekturę i nawet o późnej godzinie sklep był

pełen. Clark pokręcił się po wnętrzu, zdjął ze stojaka egzemplarz „The Economist”, rozejrzał się po półkach w głębi pomieszczenia i podszedł na chwilę do grupki mężczyzn przeglądających komiksy. Był

od nich wyższy i bardziej zwałisty, a ponieważ trzymał ręce przed sobą, nie można było zauważyć, co robi. Po pięciu minutach Clark podszedł jednak do kasy i zapłacił za tygodnik. Kasjer uklonił się grzecznie. Kolejny sklep sprzedawał sprzęt elektroniczny. Clark obejrzał przenośne odtwarzacze kompaktowe. I tutaj panował tłok, do tego stopnia, że dwukrotnie Clark potrącił kogoś i musiał

przepraszać za pomocą zwrotu, którego wyuczył się na szczęście na pamięć podczas kursu w Monterey.

Jeszcze krótki spacer ulicą, i już hotel. Idąc korytarzem, Clark zastanawiał się, ile ze spędzonych tak piętnastu minut stanowiło absolutną stratę czasu. Ciekawe. Może ani jedna? Na pewno nie.

W hotelowym pokoju Clark cisnął Chavezowi czasopismo i mrugnął. Ding zapytał natychmiast:

— Co, to już po rosyjsku nic nie mieli?

— A, nie. Za to tu, proszę, proszę. Dobry artykuł o tym, jak Japonia i Ameryka zaczęły się wodzić za łyby. Czytaj i ćwicz się w angielskim.

Chavez miał ochotę zakląć, bo ze słów Clarka zorientował się, że dostali prawdziwe polecenie, by uaktywnić siatkę. I co teraz? Przyjdzie znów odwlec pracę nad magisterium. Może to wewnętrzna

konspiracja CIA? Pracownikom z dyplomem musieliby przecież więcej płacić...

Clark miał inne zmartwienia. W pakiecie, który przekazał Nomuri, znajdowała się dyskietka i specjalna przystawka do przenośnego komputera. Clark włączył swój laptop i włożył dyskietkę w szczelinę napędu. Na ekranie ukazały się tylko trzy zdania. Clark przeczytał je w sekundę i natychmiast wymazał cały dysk, a potem, jak przystało na korespondenta, zabrał się za pisanie depeszy.

Komputer, popularny model produkowany w Japonii, miał klawiaturę z rosyjskim alfabetem, łącznie z dodatkowymi znakami. Chociaż Clark biegle mówił i czytał po rosyjsku, pisanie na maszynie nawet po angielsku szło mu bardzo koślawo. Rosyjska klawiatura doprowadzała go do szewskiej pasji.

Swoją drogą, już na podstawie tego jednego szczegółu postronny obserwator mógł się zorientować, jaki to z Clarka korespondent, ale na razie nie było się czym przejmować. Sporządzenie krótkiej depeszy zabrało Clarkowi godzinę, a dodatkowe zadanie jeszcze trzydzieści minut. Oba teksty Clark zapisał na twardym dysku i wyłączył na chwilę komputer. Następnie wysunął modem ze szczeliny w obudowie i zastąpił go nowym, tym, który dostarczył Nomuri.

— Która to godzina w Moskwie? — zapytał zmęczonym głosem.

— Jak zwykle, sześć godzin wcześniej niż tu. Co, już zapomniałeś?

— Do Waszyngtonu też poślę, nie myśl sobie.

— Świetnie — odmruknął mu „Czekow”. — Ty, Wania, zawsze umiesz czymś ucieszyć szarego czytelnika.

Clark połączył kabel telefoniczny do gniazdka w obudowie komputera i przez łącze światłowodowe sygnał pobiegł do Moskwy. Przekazanie depeszy zajęło mu niecałą minutę. Potem Clark ten sam tekst wysłał do biura agencji Interfax w Waszyngtonie. Pomysł był bezbłędny. Kiedy oba modemy na obu końcach linii telefonicznej nawiązywały łączność, towarzyszył temu szum i chaotyczne piski — chaotyczne o tyle, o ile nie posiadało się specjalnej elektronicznej przystawki do ich odczytu. Z

Tokio Clark dzwonił wyłącznie do biur rosyjskich. Czy to jego wina, że w waszyngtońskim biurze Interfaxu FBI założyło podsłuch? Teraz pozostawało tylko utrwalić na dysku pierwszy z tekstów, wymazać drugi i iść spać po pracowitym dniu w służbie ojczyźnie. Clark umył zęby i zwałił się na wąskie posłanie.

— Wstrząsająca przemowa, Goto-san — pochwalił Yamata, nalewając do wykwintnej porcelanowej czarki hojną porcję sake. — Mało kto umiałby to przedstawić jaśniej i dobitniej.

— Zauważyłeś, jaki miałem posłuch?! — Polityk aż pęczniał z dumy.

— Jutro staniesz na czele gabinetu, Hiroszi, a pojutrze przeprowadzisz się do pałacu.

— Na pewno?

Odpowiedzią było skinienie głowy i ukłon znamionujący prawdziwy szacunek.

— Oczywiście że tak. Moi koledzy i ja porozumieliśmy się z naszymi przyjaciółmi. Wszyscy są zgodni, że tylko jeden człowiek będzie umiał uratować kraj.

— A kiedy zaczniemy... No, wiesz... — zapytał Goto, który nagle otrzeźwiał, świadomy, co musi przynieść ze sobą jego dojdzie do władzy.

— Zaczniemy, kiedy ludzie staną po naszej stronie.

— Ale czy jesteś pewien, że...

— Tak. Jestem pewien, że się uda. Ale... — Yamata zawiesił głos. — Jest jeszcze pewien kłopot.

— Mianowicie?

— Twoja przyjaciółka, Hiroszi. Jeżeli zaczną się rozchodzić plotki, że masz amerykańską kochankę, dojdzie do skandalu, a na to nie możemy sobie pozwolić — wyjaśniał cierpliwie Yamata. —

Wierzę, że podzielasz nasz punkt widzenia.

— Kimba dostarcza mi rozrywki — sprzeciwił się oględnie Goto.

— Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, lecz, niestety, premier rządu musi sobie starannie dobierać rozrywki. Poza tym w przyszłym miesiącu i tak będziesz zbyt zajęty. —

Najzabawniejsze było dla Yamaty to, że mógł na przemian pompować swoją ofiarę dumą i spuszczać z niej powietrze, zupełnie jak z zabawki. Inna sprawa, że sytuacja nie wyglądała aż tak prosto. Przeciwnie.

Co Goto zdążył już naopowiadać tej dziewczynie? I co z nią teraz zrobić?

— Żal mi odsyłać biedactwo do domu, i to w takiej chwili. Nigdy już nie będzie szczęśliwa.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, ale cóż, trudno, przyjacielu. Może pozwolisz, że sam się tym wszystkim zajmę? Najlepsza będzie dyskrecja, a ty przecież co dzień występujesz teraz w telewizji. Nie możesz już urządzać sobie spacerów, jak zwykły obywatel, zwłaszcza w tamtej dzielnicy. To zbyt niebezpieczne.

Kandydat na przyszłego premiera kraju przełknął alkohol i wbił wzrok w podłogę. Yamata znowu się zdumiał, że można w sposób tak otwarty wahać się, czy warto przedłożyć prywatne przyjemności ponad obowiązki wobec kraju. Trudno. Goto taki już był, a swoją obecną pozycję zawdzięczał właśnie słabościom, nie zaletom.

— *Hai* — rozległo się wreszcie. — Proszę, załatw to za mnie.

— Osobiście dopilnuję tej sprawy — zapewnił Yamata.

## **Cholernie głupia sprawa**

Na biurku Ryana stał w skrzyneczce aparat nazywany *STU-6*. Litery *STU* mogły być akronimem

„specjalnego telefonu urzędowego”, co oznaczało z pewnością kodowanie elektronicznego sygnału tak, aby sam diabeł nie mógł podsłuchać rozmowy. Ryan nigdy się nie potrudził, aby kogoś spytać, jak to właściwie jest i na czym polega. Ów instrument, przeznaczony do prowadzenia poufnych rozmów, miał

rozmiar trzydzieści centymetrów na trzydzieści i znajdował się w pięknej dębowej szafce, ręcznie wykonanej i zdobionej przez pensjonariuszy federalnego zakładu karnego. Po otwarciu dostrzec można było z pół tuzina zielonych płytek naszpikowanych mikroprocesorami, których funkcją było właśnie kodowanie ludzkiej mowy. *STU-6* był symbolem statusu lokatora gabinetu.

Tak więc, usłyszawszy sygnał, Jack sięgnął po słuchawkę swojego *STU*.

— Ryan! — rzucił krótko.

— Mary Pat, cześć! Mam coś ciekawego. Właśnie przyszło. — Mimo kodowania i rozkodowywania elektronicznego głosu pani Foley dochodził jasno i wyraźnie, jakby siedziała tuż obok.

Zapewniała to najnowsza cyfrowa technika przetwarzania dźwięków. — Od DRZEWA SANDAŁOWEGO. Już faksuję.

*STU* spełniał również rolę faksu.

— Faksuj. Powiedziałaś im, o co prosiłem?

— Wszystko przekazane.

— Świetnie. Poczekaj... — Jack wyrwał z faksu pierwszą kartkę i zaczął czytać. — To Clark? — spytał.

— Zgadza się. Dlatego właśnie od razu do ciebie zadzwoniłam. Znasz go nie gorzej ode mnie.

— Oglądałem obraz w telewizji. CNN twierdzi, że poturbowano im ekipę... — Ryan dokończył czytanie pierwszej strony.

— Nic znowu strasznego. Ktoś cisnął puszką z Coca -Colą w kierownika produkcji. Ponieważ trafiła w głowę, był guz i trochę krzyku. Niemniej wydarzyło się to tam po raz pierwszy. Ani Ed, ani ja nic podobnego sobie nie przypominamy z przeszłości.

— Niech to diabli...! — mruknął Ryan.

— Wiedziałam, że ci się to spodoba.

— Dziękuję, Mary Pat. Za czujność...

— Zawsze do usług. — Pani Foley odłożyła słuchawkę.

Ryan zdawał sobie sprawę, że jego największym wrogiem jest własna porywczność, która może czasami prowadzić do utraty panowania nad sobą. Zdecydowany był z tym walczyć. Wstał i wyszedł z gabinetu do sekretariatu. Stała tam wielka bania z zimną wodą do picia. Mówiono mu kiedyś, że w miejscu, gdzie znajdował się dawny budynek Departamentu Stanu, były błota, które osuszono. Tylko głupiek mógł wpaść na podobny pomysł. Jaka szkoda, że nie istniał wówczas Klub Sierra, który wydałby oświadczenie potępiające ów antyekologiczny postępek. Rozmaitego gatunku i maści stowarzyszenia ekologiczne umiały przeszkadzać w realizacji różnych przedsięwzięć, nie zastanawiając się nigdy, czy to, co robią, jest z pożytkiem, czy też nie. Ryan podniósł słuchawkę swojego *STU-6* i nacisnął guzik zapewniający mu natychmiastowe połączenie z Departamentem Stanu.

— Witam pana, panie sekretarzu — powiedział niesłychanie uprzejmym głosem. — Jak to było z tą demonstracją przed naszą tokijską ambasadą?

— Jestem pewien, że oglądał pan ten sam co ja materiał na kanale CNN — odparł Hansen, i to tonem, który wyraźnie wskazywał, że nie należy do obowiązków amerykańskiej misji dyplomatycznej informowanie o tym, co każdy głupiec może obejrzeć w telewizji przy porannych płatkach owsianych.

— Tak, to prawda, oglądałem, niemniej byłbym niesłychanie wdzięczny mogąc się dowiedzieć, co sądzi personel ambasady, na przykład radca do spraw politycznych, a może nawet zastępca ambasadora

— oświadczył słodziutkim głosem prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa. Przebijająca jednak przezeń nuta zniecierpliwienia. Ambasador Chuck Whiting był mianowanym ostatnio kandydatem z klucza politycznego i tak naprawdę miał raczej na sercu interesy japońskie, które poprzednio reprezentował. Natomiast jego zastępca w Tokio był doświadczonym dyplomata, specjalistą od spraw japońskich i znawcą japońskiej kultury.

— Walt zdecydował, że personel pozostanie w budynku. Nie chciał, aby ktokolwiek wychodził, gdyż mogłoby to zaostrzyć sytuację.

— Wszystko to bardzo pięknie, niemniej ja mam w ręku raport naocznego świadka, doświadczonego agenta...

— Ja też to dostałem, Ryan. Nieco panikarski. Kto to pisał?

— Powiedziałem panu, doświadczony agent terenowy.



— Hmm... Z pewnych aluzji, które czyni, widzę, że zna Iran... — Ryan słyszał szelest papieru.

— Szpieg, szpieg. To specyficznie zabarwia jego myślenie. Doświadczony, jeśli idzie o Japonię? Jest tam od dawna?

— Niezbyt długo, ale...

— Otóż to! Powiedziałem: panikarski. Niemniej, chce pan, żebym popytał?

— Tak jest, panie ministrze.

— Okay. Wydzwonię Walta. Coś jeszcze? Ja też się szykuję do Moskwy.

— Rozumiem. Ale bardzo proszę o szybką informację z Tokio.

— Dobrze, Ryan. Nadam temu przyspieszony bieg. Tylko niech pan pamięta, że u nich jest już noc.

— Nic nie szkodzi. — Ryan odłożył słuchawkę, a dopiero potem zaklął. Boi się obudzić szanownego pana ambasadora! Pozostawało kilka opcji. Zgodnie ze swym temperamentem Ryan wybrał

najbardziej bezpośrednią. Podniósł słuchawkę telefonu na biurku i nacisnął guzik łączący go z sekretarką prezydenta.

— Chcę pogadać z szefem. Kilka dobrych minut.

— Trzydzieści wystarczy?

— Wystarczy, świetnie, dziękuję.

Pewne opóźnienie nastąpiło z powodu przedłużającej się ceremonii we Wschodnim Gabinetecie.

Ryan powinien również tam być, miał to w przygotowanym przez sekretarkę harmonogramie dnia, ale zapomniał. Prezydent spotkał się ze zbyt dużą grupą ludzi, aby ich mógł pomieścić Owalny Gabinet. Stąd też ów Wschodni Salon. Bardzo to odpowiadało personelowi rozmaitych sekretariatów. Dziesięć kamer telewizyjnych i blisko stu dziennikarzy było świadkami podpisywania przez Rogera Durlinga Ustawy o Regulacji Handlu. Uroczystość należała do kategorii tych, które wymagają użycia przez prezydenta nie jednego, a kilku piór. Po kolei każdym z nich wypisywał jedną literę imienia i nazwiska. Było to żmudne i czasochłonne. Pierwsze pióro otrzymał na pamiątkę Al Trent, wnioskodawca i autor ustawy. Następne pióra otrzymali przewodniczący komisji Izby Reprezentantów i Senatu, a także wybrani przedstawiciele mniejszości parlamentarnej, bez których wsparcia ustawa nigdy by tak szybko nie została uchwalona. Na końcu nastąpiły zwyczajowe oklaski i ściskanie prawic, i z tą chwilą nowe prawo stało się częścią legislacyjnego Kodeksu Stanów Zjednoczonych. Ustawa o Reformie Handlu była teraz prawem federalnym.

Jedna z ekip telewizyjnych należała do NHK, telewizji japońskiej. Japończycy nie wyglądali na

uradowanych. Zaraz po tej uroczystości mieli udać się do ministerstwa handlu w celu przeprowadzenia wywiadu z prawnikami, którzy już rozpoczęli analizowanie japońskich przepisów, ustaw i procedur obowiązujących w międzynarodowym handlu japońskim, a to w celu przygotowania analogicznych zasad i przepisów amerykańskich. Od tej chwili miała obowiązywać wzajemność. Japońskich dziennikarzy czekało bardzo pouczające doświadczenie.

Podobnie jak i inni wyżsi funkcjonariusze Departamentu Stanu Chris Cook miał w gabinecie telewizor. On także oglądał na kanale C-SPAN uroczystość podpisywania ustawy. Dla niego, osobiście, oznaczało to odłożenie decyzji o przejściu do pracy w sektorze prywatnym. Było mu bardzo głupio przyjmować honoraria z zewnątrz, gdy nadal pozostawał funkcjonariuszem administracji państwowej. Co prawda pieniądze składał na bezpieczny rachunek bankowy, niemniej postępowanie jego było nielegalne.

Nie leżało w jego intencjach łamanie prawa. Najważniejszą dla niego sprawą było utrzymanie przyjaźni między Japonią a Ameryką. Ta przyjaźń została obecnie zagrożona i jeśli szybko nie uda się jej wzmocnić i utrwalić, kariera osobista pana Cooka wyraźnie zwolni swoje tempo i być może wkrótce po prostu się zakończy. I to pomimo bardzo obiecujących sygnałów dochodzących już od wielu lat z tamtej strony. A pieniądze bardzo były mu potrzebne. Dziś wieczorem miał spotkać się na kolacji z Seidżim. Muszą obaj przedyskutować problem, zastanowić się, co można zrobić. Takie to myśli krążyły po głowie zastępcy szefa sekcji Departamentu Stanu. A potem wrócił do pracy.

W ambasadzie na Massachusetts Avenue Seidźi Nagumo oglądał telewizję na tym samym kanale i również był strapiony. Stosunki między Japonią i Ameryką nigdy już nie będą takie same. Może nowy rząd...? Jednak nie, Goto to demagog i głupiec. Jego zachowanie i potknięcia jedynie pogorszą sytuację.

Tu potrzeba działania... Ale jakiego działania?

Po raz pierwszy w swojej karierze Nagumo nie wiedział, jakie to powinno być działanie.

Dyplomacja zawiodła. Interwencja i naciski oraz wszelkie poczynania w kręgach parlamentarnych też nie przyniosły rezultatów. Nawet działania szpiegowskie, agenturalne, jeśli tak to można nazwać, skończyły się fiaskiem. Tak, technicznie rzecz biorąc można to było nazwać szpiegostwem. Nagumo płacił za informacje. Zarówno Cookowi jak i innym. Na szczęście byli to wysoko postawieni urzędnicy, dużo wiedzieli i dzięki temu rząd japoński został wcześniej ostrzeżony, a jego ministerstwo spraw zagranicznych wierzyło, że Nagumo uczynił wszystko, co było w jego mocy. Chyba nikt na jego miejscu nie zrobiłby więcej. Na pewno nie. I nadal będzie działał. Będzie usiłował poprzez Cooka wpłynąć na jak najprzychylniejszą interpretację ustawy na szczeblach wykonawczych. Amerykanie mieli na to specjalny idiom: przestawienie leżaków na pokładzie „Titanica”.

Myśli jednak miał coraz gorsze. Wzrastał w nim coraz większy niepokój. Japończycy bardzo ucierpią. Zresztą i Ameryka, i cały świat. A wszystko z powodu głupiej katastrofy samochodowej, w której zginęło pięć osób, jednostek bez znaczenia. Szaleństwo!

Szaleństwo czy nie, ale taki właśnie jest świat. Do gabinetu Nagumo weszła sekretarka i podała mu

zalakowaną kopertę, której odbiór musiał pokwitować. Dopiero po jej wyjściu i zamknięciu drzwi, otworzył kopertę.

Pierwsza kartka wiele mówiła, Tylko do jego wiadomości! Nawet ambasador nie dowie się nigdy, co zawierała wiadomość. Instrukcje na dwu następnych stronach wywołały drżenie rąk czytającego.

Nagumo dobrze znał historię. Dwudziestego ósmego czerwca 1914 roku w przeklętym mieście Sarajewie zginął Franciszek Ferdynand, utytułowana nicość, człowiek tak mało znaczący, że prawie nikt z możnych nie potrudził się, aby uczestniczyć w jego pogrzebie! Niemniej jego zamordowanie okazało się

„cholernie głupią sprawą”, która w konsekwencji sprowadziła na Europę, a także i na świat niemalże totalną wojnę. W tym wypadku rolę Franciszka Ferdynanda odegrał nic nie znaczący policjant i kilka kobiet.

I z takich bzdur — pozornie mało znaczących wydarzeń — rodzi się TO. Nagumo zbladł. Nie miał teraz żadnego wyboru, ponieważ jego życiem sterowały te same siły, które regulowały bieg spraw na świecie.

Ćwiczenia pod kryptonimem WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY rozpoczęły się zgodnie z harmonogramem. Tak jak to zwykle bywa podczas gier wojennych, obowiązywały zarazem ścisłe reguły jak i inwencja dowódców. Pacyfik dostarcza przestrzeni — scena, na której rozgrywać się miały zaplanowane w sztabach potyczki, była ogromna. Dla ćwiczeń wybrano akwen między Wyspą Marcus, posiadłością japońską, a Midway. Miano symulować konflikt między Marynarką amerykańską, a mniejszą, ale bardzo nowoczesną eskadrą fregat marynarki japońskiej. Wyraźną przewagę i szansę wygranej mieli Amerykanie, było jednakże pewne „ale”. Wyspa Marcus — nazywana na japońskich mapach Minami Toriszima — odgrywała podczas morskich ćwiczeń rolę kontynentu. Ten mały atol miał

nie więcej niż trzysta hektarów powierzchni, a więc zaledwie dość miejsca na stację meteorologiczną, rybackie osiedle i jeden pas startowy, z którego miały korzystać trzy samoloty patrolowe *P-3C*, które myśliwce amerykańskie miały zgodnie ze wstępnymi założeniami „zestrzelić” pierwszego dnia ćwiczeń, z zastrzeżonym prawem „odrodzenia się” ich po dwudziestu czterech godzinach. Okoliczni rybacy, którzy łowili tu kałamarnice, czasami mieczniki oraz wylawiali jadalne wodorosty, w całości eksportowane na japoński rynek, byli bardzo zadowoleni z chwilowego ożywienia. Lotnicy przywieźli spory ładunek piwa do wymiany na świeże połowy. Leżało to już w tradycji wzajemnych kontaktów mieszkańców wyspy z przybyszami.

Dwa z trzech *Orionów* wystartowały przed świtem, udając się na północ i południe w poszukiwaniu amerykańskich lotniskowców. Załogi samolotów, świadome napiętych stosunków handlowych między Japonią a Ameryką, tym pilniej wykonywały swoją misję. Zresztą nie była to niezwykajna misja dla samolotów lotnictwa Sił Samoobrony. Ich dziadkowie latali na podobne patrole na swoich łodziach latających *Kawasaki HBK2* produkowanych przez te same zakłady, z których obecnie wychodziły *Oriony*. Wówczas poszukiwano krążących po oceanie lotniskowców dowodzonych

kolejno przez admirałów Halseya i Spruance'a. Taktyka obowiązująca obecnie opierała się na doświadczeniach zdobytych podczas tamtej wojny. *P-3C* były japońską wersją amerykańskiego samolotu turbośmigłowego, który rozpoczął żywot jako samolot pasażerski, by zostać następnie przekształconym w bardzo wytrzymały, choć nieco zbyt wolny patrolowiec morski. Podobnie jak większość japońskich samolotów wojskowych tak i *P-3C* zachował jedynie sylwetkę przodka. Nowocześniejsze i silniejsze silniki zapewniały *Orionom* prędkość patrolową pięciuset kilometrów na godzinę. Samoloty te miały doskonałą elektronikę, zwłaszcza czujniki pozwalające na wykrycie obecności okrętów i samolotów amerykańskich.

Zadanie podczas obecnej misji: odszukać nieprzyjaciela. A myślenie o Amerykanach w kategoriach nieprzyjaciela nie przychodziło członkom załóg zbyt trudno, zwłaszcza po ostatnich artykułach w japońskiej prasie oraz po rozmowach z tymi członkami rodzin, którzy mieli szczęście czy też raczej pecha pracować w biznesie.

Komandor Sanchez, stojący na mostku lotniskowca „John Stennis” z rozmiłowaniem patrzył na wyskakujące z katapult samoloty Porannego Patrolu — piloci myśliwców uwielbiali termin „Poranny Patrol”. Miał on znaczenie symboliczne. Startujące maszyny stanowiły tak zwaną Bojową Grupę Patrolową. W pierwszej kolejności wypchnięto *Tomcaty*. Teraz czekały na swój start *Vikingi ZOP*. Ich zadaniem było przebadanie szlaku, jakim tego dnia miały płynąć lotniskowce. Za nimi miały wzlecieć *Prowlery*, elektroniczne podniebne psy myśliwskie przeznaczone do wykrywania i zagłuszania nieprzyjacielskich radarów. Sanchez najchętniej też by poleciał, jednakże jako dowódca grupy powietrznej miał raczej dowodzić, niż iść na czele krzycząc „hurra”. Na skraju pasa startowego lotniskowca stały *Hornety* dywizjonu Alfa. Załadowano na nie ćwiczebne rakiety niebieskiego koloru, którymi miały zniszczyć nieprzyjaciela, gdyby na niego natrafiono. Piloci w pełnej gotowości siedzieli w wielkiej sali odpraw i przeważnie czytali periodyki lub gawędzili niespiesznie, gdyż czekającą ich misję znali już na pamięć.

Admirał Sato przyglądał się, jak jego okręt flagowy odsuwa się od tankowca „Homana”, jednego z czterech okrętów pomocniczych zaopatrujących jego flotę w paliwo. Kapitan „Homany” zdjął czapkę i zaczął nią wymachiwać. Sato odebrał to jako zachętę przed czekającą go misją i podziękował kapitanowi tankowca przyjaznym gestem. Tankowiec po odbiciu od okrętu wojennego skręcił w prawo i po chwili pozostał z tyłu. Sato uśmiechnął się zadowolony. Miał obecnie tyle paliwa, że mógł wykonać wszystko, czego po nim oczekiwano. A czekała go interesująca rozgrywka. Miał zamiar zagrać chytrze, jak to czynić należy, gdy ma się przed sobą przeważające siły. Dla japońskiej marynarki była to znajoma sytuacja. W

tym konkretnym wypadku Sato zamierzał skorzystać z tradycyjnej japońskiej taktyki. Swoje szesnaście okrętów podzielił na trzy bojowe grupy. Jedna liczyła osiem okrętów, dwie pozostałe po cztery.

Poszczególne grupy płynęły w dość dużej od siebie odległości. Podobny do planu admirała Yamamoto podczas bitwy o Midway, plan Sato był jeszcze praktyczniejszy z punktu widzenia operacyjnego, gdyż najnowsze systemy nawigacyjne pozwalały na dokładne umiejscowienie każdego okrętu w każdej chwili, zaś systemy łączności satelitarnej czyniły porozumiewanie się relatywnie bezpiecznym. Amerykanie spodziewają się, pomyślał Sato, że wszystkie okręty będą płynąć bliżej wysp japońskich, osłaniając dostęp do nich. A właśnie że nie będą, gdyż Sato wybiegnie, jak będzie

mógł najdalej na „przedpole”, ponieważ pasywna obrona jest pojęciem tradycyjnie obcym Japończykom. Amerykanie już raz się o tym przekonali i drogo ich to kosztowało, ale wszystko zapomnieli. Sato poczuł, że ogarnia go rozbawienie.

— Słucham, Jack? — Prezydent znowu był w dobrym humorze, wciąż mile podniecony po złożeniu podpisu pod nową ustawą, która, jak miał nadzieję, rozwiąże jedną z bardzo ważnych dla Ameryki spraw, a tym samym poważnie zwiększy jego szansę w przyszłych wyborach. Świat wydawał się różowy. Ryan pomyślał, że właściwie nie powinien psuć prezydentowi dnia, ale cóż robić, skoro pełnił

funkcję doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego? To nie było stanowisko polityczne. W każdym razie nie w potocznym tego słowa znaczeniu.

— To pana zainteresuje, panie prezydencie — powiedział wręczając Durlingowi faks otrzymany od Mary Pat. Stał przed prezydenckim biurkiem, nie zajmując miejsca w fotelu.

— Znów od naszego Clarka? — spytał Durling, rozsiadając się wygodniej i sięgając po okulary, których musiał używać przy czytaniu korespondencji, chociaż przy wystąpieniach publicznych korzystał

ze specjalnego ekranu, który wyświetlał na tyle duże litery, by zaspokoić prezydencką próżność.

— Widzieli to w Departamencie Stanu? No tak, z pewnością widzieli. Co mówią? — spytał, gdy już skończył lekturę.

— Hanson nazywa to panikarstwem. Ale ambasador zatrzymał całą swoją trzódkę w gmachu ambasady, ponieważ nie chciał, rzekomo, wywoływać „incydentu”. Jest to jedyny meldunek naocznego świadka, oprócz reportażu telewizyjnego.

— Jeszcze nie czytałem tego przemówienia — powiedział prezydent. — Jest tu gdzieś... — Wskazał na biurko.

— Warto przeczytać. Właśnie to zrobiłem.

— Co masz jeszcze? Bo czuję, że masz — powiedział prezydent.

— Poleciałem Mary Pat reaktywować OSET — odparł Ryan i pokrótce wyjaśnił, o co chodzi.

— Prawdę mówiąc, powinieneś był poprosić o moją zgodę.

— Właśnie po to tu jestem, panie prezydencie. Wie pan dużo o Clarku. I wie pan, że łatwo nie wpada w panikę. W OŚCIE jest paru ich funkcjonariuszy z ministerstwa spraw zagranicznych i wywiadu wojskowego. Chcemy wiedzieć, co o tym myślą.

— To nie są nasi wrogowie — zauważył prezydent.

— Chyba nie — zgodził się Jack, po raz pierwszy pozwalając sobie na odstępstwo od oczekiwanej w takich wypadkach formuły: „z pewnością nie”. Prezydent zauważył to i zareagował

podniesieniem brwi. — Ale musimy się upewnić. Dlatego też zalecam reaktywowanie siatki.

— Niech będzie. Zgadzam się. Co jeszcze?

— Powiedziałem Mary Pat również, żeby jak najszybciej ewakuowała Kimberly Norton. Powinno się to stać w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

— Sygnał dla Goto, tak?

— Częściowo. Znacznie prostsza wersja brzmi, że wiemy, iż ona tam jest, że jest obywatelką amerykańską i...

— I ja też mam dzieci — dokończył prezydent. — Daję zgodę. A miłosierdzie zachowaj dla kościoła, Jack — skwitował Durling z uśmiechem na ustach. — Jak to się ma odbyć?

— Jeśli ona zgodzi się wyjechać, to po prostu odwieziemy ją na lotnisko i wyprawimy do Seulu.

Mają przygotowane dla niej ubranie i nowy paszport. Są także bilety pierwszej klasy dla niej i dla osoby eskortującej, która będzie na nią czekała na dworcu lotniczym. W Seulu wsiądzie na samolot KLM do Nowego Jorku, gdzie zapakujemy ją do hotelu, niech się tam rozgości, a potem dokładnie ją opukamy, przesłuchamy, wyciągniemy, co się da. Następnie ściągniemy jej rodziców z Seattle i wytłumaczymy, że ma być o wszystkim cicho sza. Dziewczyna będzie najprawdopodobniej potrzebowała porady psychologa, i to chyba przekona rodziców, że dyskrecja jest jak najbardziej wskazana. Zresztą we wszystkim pomoże nam FBI. Ojciec dziewczyny jest policjantem. Powinien na to wszystko pójść. Na pewno nie będzie robił

hałasu. — Prawda, jak to wszystko składnie obmyślane, pomyślał Ryan.

Prezydent skinął głową.

— No więc, co w takim razie powiemy premierowi Goto?

— To zależy od pana, panie prezydencie. Ja bym nic nie mówił. Najpierw wyciągniemy z dziewczyny wszystko, co można. Przeczekamy tydzień, a po tygodniu nasz ambasador poprosi o kurtuazyjne spotkanie, aby w pańskim imieniu złożyć gratulacje nowemu premierowi...

— I grzecznie go spyta, co powiedzieliby obywatele kraju, gdyby się dowiedzieli, że ich parszający nacjonalizmem premier zabrał do swego łóża okrągłooką? Po czym natychmiast wręczymy oliwną gałązkę...? — Ryan był zaskoczony, że Durling tak szybko chwytą.

— Właśnie coś takiego zalecam, panie prezydencie.

— Ale gałązka ma być malutka — odparł sucho prezydent.

— Może nawet nie gałązka, ale tylko jedna oliwka — zaproponował z uśmiechem Ryan.

— Wyrażam zgodę — po raz któryś tam w czasie rozmowy powiedział Durling i natychmiast dodał dość ostro — I zaraz zaczniesz mi pewno sugerować, jaka to ma być oliwka.

— Nie, panie prezydencie Czyżbym posunął się za daleko? — spytał Ryan, zdając sobie sprawę, że w istocie posunął się bardzo daleko.

Durling niemalże przeprosił za ten ostry ton wobec swego doradcy do spraw bezpieczeństwa —

Wiesz co, Bob miał rację mówiąc o tobie.

— Kto?

— Bob Fowler — Prezydent wskazał Ryanowi fotel — Jack, kiedy cię tu po raz pierwszy ściągnąłem, trochę mnie zawiodłeś.

— Przecież pan wie, że byłem wówczas zupełnie wykończony, wewnątrznie wypalony, wyżęty.

— Jeszcze po dziś dzień Ryan miewał senne koszmary: siedział w Ośrodku Dowodzenia Sił Zbrojnych i usiłował powiedzieć ludziom, co mają robić, ale oni go nie widzieli i nie słyszeli. Pamiętał też doskonale, jak to naprawdę było przez gorącą linię nadchodziły wieści, które krok po kroku zbliżały Amerykę na skraj wojny. Spychały! I wówczas to on, Ryan, tej wojnie zapobiegł. Nikt nigdy nie podał jeszcze prawdziwego przebiegu wydarzeń. Media po dziś dzień go nie znają, i bardzo dobrze. Wszyscy jednak, którzy w tym wówczas uczestniczyli, wiedzą, jak to naprawdę było.

— Wtedy tego w pełni nie rozumiałem i nie doceniałem. W każdym razie... — Durling podniósł

obie ręce, jakby chciał się przeciągnąć. — Kiedy się to wszystko skończyło, to raz w Camp David rozmawialiśmy z Bobem. Ubiegłego lata. I to Bob polecił cię na to stanowisko. Jesteś zdziwiony?

—

spytał prezydent, krzywo się uśmiechając.

— Bardzo — odparł Jack. Arnie van Damm nigdy mu o tym nie mówił. Ciekawe, dlaczego?

— Bob powiedział, że kiedy robi się piekielnie gorąco i wszyscy tracą głowę, ty okazujesz się cholernie opanowanym sukinsynem. Powiedział też, że zawsze wtedy, kiedy panuje cisza i spokój, to jesteś uparty jak osioł, zarozumiały i natrętnie rozzuchwalony. Bob Fowler nieźle umie oceniać ludzi.

—

Durling na chwilę zamilkł, aby pozwolić Ryanowi dobrze przemyśleć to ostatnie zdanie — Ale podczas burzy jesteś niezastąpiony, Jack. Oddaj mi, i sobie zresztą też, drobną przysługę i zapamiętaj, że to jest granica, poza którą nie wolno ci wychodzić bez mojego zezwolenia. Już i tak starłeś się z Brettem?

— Troszkę — przyznał Jack, kiwając głową jak ucziak, który czuje się winny. — Naprawdę tylko troszkę.

— Nie posuwaj się za daleko. On jest moim sekretarzem stanu.

— Rozumiem, panie prezydencie.

— Jesteś przygotowany na Moskwę?

— Gotów. Cathy jest bardzo podniecona. — Ryan był zadowolony ze zmiany tematu. Był w pełni świadomy, że Durling dobrze daje sobie z nim radę. Umie do niego podejść.

— Będzie mi miło znów się z nią spotkać. Anna bardzo ją polubiła. Masz coś jeszcze?

— W tej chwili nic więcej.

— Jack, bardzo ci dziękuję za czujność — zakończył miłym akcentem rozmowę Durling.

Ryan opuścił gabinet zachodnimi drzwiami, przechodząc przez Salon Teodora Roosevelta i kierując kroki do własnego gabinetu. Po drodze zauważył przez uchylone drzwi, że Ed Kealty siedzi za biurkiem i pracuje. Ryan zastanawiał się, kiedy ta sprawa wreszcie ujrzy światło dzienne. Prezydent, choć zadowolony z wydarzeń dnia, miał jeszcze ten wiszący mu nad głową skandal. Niby miecz Damoklesa jeszcze jeden miecz, pomyślał. Tym razem znów uczynił ryzykowny krok, jeszcze bardziej zbliżył się do strefy konfliktów, a wszystko dlatego, że tak pojmował swoją rolę prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa — ułatwiać prezydentowi wypełnianie obowiązków głowy państwa, a nie utrudniać.

Niestety, do spraw stosunków Stanów Zjednoczonych ze światem, do uwikłań na arenie międzynarodowej bezlitośnie wciskała się polityka, od której Ryan od wielu lat usiłował trzymać się jak najdalej. Jednakże polityka była wszechobecna.

Wiedzieli, że właśnie teraz byłby najlepszy czas. Najbezpieczniejsza chwila. Wieczorem Goto wygłaszał orędzie telewizyjne. Jego pierwsze wystąpienie jako premiera. I nie będzie spędzał czasu ze swą młodziutką kochanką. Być może właśnie ta ich misja, jaką mieli owej nocy wykonać, będzie w pewnym sensie odpowiedzią ze strony rządu amerykańskiego. Bardzo im się to podobało.

O właściwym czasie John Clark i Ding Chavez znaleźli się na ulicy, spoglądając ponad gęstym ruchem ulicznym na budynek po drugiej stronie. Budynek o ponurej fasadzie. John pomyślał, że one zawsze tak wyglądają i że ktoś kiedyś dojdzie do wniosku, iż obojętne, pozbawione indywidualności fasady są najlepszym kamuflażem. A może nie? Może to jedynie podszept nudy? Z budynku wyszedł

mężczyzna, zdjął przeciwsłoneczne okulary. Lewą ręką przeczesał dwukrotnie włosy, a potem także dwukrotnie poskrobał lewą dłonią tył głowy. Następnie odszedł. Nomuri nie ustalił dokładnego położenia pokoju Kim Norton. Nadmierne zbliżenie się było ryzykowne. Ale przyszło polecenie podjęcia tego ryzyka. Teraz, po przekazaniu sygnału, poszedł do miejsca, gdzie zaparkował samochód. Po dziesięciu sekundach tamci już go stracili z oczu. Zginął w tłumie. Nomuriemu łatwo było zniknąć w tłumie. Tego samego wzrostu, co wszyscy Japończycy, miał te same rysy i cerę.



Podobnie jak Ding. Też ta sama cera i wzrost. Przy swych czarnych błyszczących włosach Chavez mógł się łatwo wtopić w tokijską ulicę.

Zresztą to Clark narzucił mu tę fryzurę, która jeszcze bardziej upodobniła go do wszystkich innych przechodniów. Patrząc z tyłu miało się wrażenie, że jest jednym z nich. Bardzo pożyteczne, pomyślał

Clark, mimo, że sam czuł się jeszcze bardziej nagi i widoczny. Zwłaszcza w takiej sytuacji, jak teraz.

— Za chwilę kurtyna w górę — mruknął Chavez. Obaj bez pośpiechu przeszli na drugą stronę ulicy.

Clark był ubrany tak, jak powinien być ubrany biznesmen. Ani on, ani Ding nie mieli przy sobie nic, co mogłoby być uznane za broń, nawet scyzoryka. Chociaż obaj byli doskonale wyszkoleni w rozmaitego rodzaju walce wręcz, woleli, kiedy tylko było można, nosić broń palną. Zawsze jest lepiej trzymać wroga na odległość.

Uśmiechnęło się do nich szczęście. W małym holu nie spotkali żywej duszy. Weszli na drugie piętro, potem korytarzem do samego końca, drzwi po lewej.

Nomuri dobrze wszystko sprawdził. Clark szedł pierwszy słabo oświetlonym korytarzem. Zamek nie sprawił żadnych trudności. Podczas gdy Ding rozglądał się wokół, Clark wyjął komplet wytrychów i szybko otworzył drzwi. Zrobili zaledwie parę kroków, gdy zorientowali się, że misja zakończyła się niepowodzeniem.

Kimberly Norton nie żyła. Leżała na łóżku, w kimonie. Widzieli białe łydki. Pośmiertne zsinienie zaczęło już obejmować spód ciała, gdy krew spływała do najniższej położonych części kończyn i korpusu.

Wkrótce górne części będą szare jak popiół, a dolne brunatne. Jakże okrutna jest śmierć, pomyślał John.

Śmierć nie tylko okrada istotę ludzką z życia, ale i z urody, jaką za życia mogła posiadać. A Kimberly była ładna, w tym sęk, prawda? John porównał twarz zmarłej z twarzą na fotografii. Chciał się jeszcze upewnić. Twarz na zdjęciu przypominała mu troszkę Patsy, jego młodszą córkę. Podał fotografię Dingowi. Był ciekaw, czy jego młody kolega odkryje to podobieństwo.

— To na pewno ona — stwierdził.

— Zgadza się — mruknął Ding. — Na pewno ona. — Chwilę milczał, potem mruknął: —

Cholera! — Po wyciągnięciu tego wniosku długo jeszcze wpatrywał się w fotografię. Niesmak i gniew wykrzywiły mu twarz.

Też dopatrzył się podobieństwa, pomyślał John.

— Masz aparat? — spytał.

— Mam. — Z kieszeni spodni Ding wyciągnął małego aparat 35 mm. — Zabawimy się w

policjantów z brygady kryminalnej?

— Zgadza się. — Clark przyklęknął, żeby lepiej przyjrzeć się zwłokom. Co tu można stwierdzić?

Nie był przecież patologiem, a chociaż wiele wiedział o śmierci, potrzeba było wiedzieć o wiele więcej, by dostrzec to, co trzeba. Zaraz, zaraz... Żyła na stopie dziewczyny! Jakby pojedyncze nakłucie. Tylko jedno. Narkotyki? Jeśli to ślad po zastrzyku, to trzeba przyznać, że postępowała niesłychanie ostrożnie.

Musiała używać zawsze świeżej igły i... Rozejrzał się po pokoju. Zobaczył butelkę z alkoholem i plastikową torebkę z wacikami na patyczkach. I drugą torebkę z plastikowymi strzykawkami.

— Nigdzie nie widzę innych śladów ukłuć.

— Nie zawsze je widać — odparł Chavez.

Clark westchnął, rozwiązał węzeł paska kimona i rozchylił je. Dziewczyna nie miała nic pod spodem. Między udami błyszczała przezroczysta maź. — Niech to szlag!

Clark był bliski utraty panowania nad sobą. — Rób te swoje cholerne zdjęcia, Ding!

Raz po raz błyskał flesz, raz po raz mruczał silniczek przesuwający taśmę. Chavez obfotografował

wszystko. Lepiej nie zrobiłby tego ekspert kryminalistyki. Gdy skończył, Clark zsunął poły kimona przywracając trupowi te resztki godności, której śmierć i mordercy nie zdołali zabrać dziewczynie.

— Poczekaj, patrz...! Lewa ręka!

Clark obejrzał dokładnie lewą dłoń. jeden paznokieć był złamany. Pozostałe, średniej długości, pokryte były bezbarwnym lakierem. Bardzo dokładnie obejrzał te pozostałe. Coś pod nimi tkwiło.

— Kogoś podrapała? — zadał pytanie Clark.

— A widzi szanowny pan jakieś znaki na jej ciele, które by świadczyły, że sama mogła się podrapać? — odparł Ding.

— Nie.

— To znaczy, że nie była sama, kiedy odbywało się drapanie, drogi panie C. Raz jeszcze przyjrzeni się stopie z nakłuciem. Znaleźli zadrapania prawie już niewidoczne na ciemniejszej od zebranej tuż pod skórą krwi. Chavez zrobił ostatnie zdjęcie.

— Tak też myślałem od samego początku.

— Potem mi powiesz, dlaczego. Teraz się zwijamy. — John wstał z podłogi.

W ciągu niespełna minuty opuścili budynek tylnymi drzwiami i poszli krętą uliczką, by następnie skręcić ku głównej arterii, gdzie mieli czekać na samochód.

— W ostatniej chwili — zauważył Chavez widząc, że przed numerem osiemnastym zatrzymuje się policyjny samochód. Po parunastu sekundach przyjechała ekipa telewizyjna.

— Jak ci się to podoba? Misterna robota. Wszystko sobie wykombinowali, żeby wyszło czysto...

O co ci chodzi, Ding?

— Coś tu nie tak, panie C. Przecież to miało wyglądać na samobójstwo, tak? Albo przedawkowanie.

— Więc co z tego?

— Widziałem raz takiego faceta, co przedawkował. Bum, bum, żegnaj świecie. Nawet nie zdążył

igły wyciągnąć z ramienia. Serce stanęło, oddech się zatrzymał, koniec. Nie ma czasu, żeby wstać, grzecznie odłożyć strzykawkę i z powrotem się położyć. Podrapania na stopie. Ktoś ją mocno chwycił, wpakował igłę, zamordował, szanowny panie C. I przy okazji zgwałcił.

— Ładna robota, prosta sprawa. Wina dziewczyny, wina jej rodziny, a jednocześnie nauczka dla swoich. — Clark zerknął w stronę skrzyżowania, zza którego wyjechał samochód. — Dobre oko, Ding!

— pochwalił.

— Dziękuję, szefie. — I Chavez znowu zamilkł. Teraz, kiedy miał czas na myślenie, wzbierał w nim coraz większy gniew. — Miałbym wielką ochotę spotkać tego faceta.

— Nie spotkamy go — odparł Clark.

— Czas na perwersyjne rozmyślania. Na pofantazjowanie. — Byłem przecież nindzą, zapomniałeś? Mógłbym mieć dobrą zabawę. Spotkać się sam na sam, z gołymi rękami, bez żadnej broni.

— Ding wydawał się wniebowzięty.

— Od tego łamie się tylko kości. Często swoje własne.

— Chciałbym widzieć jego oczy, kiedy mu się to wydarzy.

— Chcesz widzieć oczy, to nałóż dobry celownik optyczny na karabin.

— To prawda. Ale powiedz mi, jaki to człowiek, który jeszcze... którego to może rajcować?

— Jeden wielki skurwysyn... Znałem takich paru, Domingo. Nim wsiedli do samochodu, Chavez wbił ciemne oczy w Clarka.

— Może jednak któregoś dnia uda mi się osobiście poznać tego bydlaka. *El fado* płata czasami figle. Bardzo śmieszne figle.

— A gdzie ona? — spytał Nomuri zza kierownicy.

— Ruszaj! — rozkazał Clark.

— Szkoda, że nie słyszeliście przemówienia — powiedział Chet, ruszając z miejsca i zastanawiając się, co też tamtym nie wyszło.

— Dziewczyna nie żyje — obwieścił Ryan prezydentowi w niespełna dwie godziny później. W Waszyngtonie była pierwsza po południu.

— Śmierć naturalna? — zapytał Durling.

— Przedawkowanie. Ale prawdopodobnie nie z własnej ręki. Zrobili zdjęcia. Powinniśmy je dostać w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Nasi ludzie umknęli w ostatniej chwili. Japońska policja pojawiła się nadszpiewanie szybko.

— Chwileczkę. Spokojnie. Powiadasz, że to morderstwo?

— Tak myślą nasi. Morderstwo, panie prezydencie.

— Czy mają dostateczną wiedzę, żeby to stwierdzić?

Ryan usiadł, postanawiając, że musi całą rzecz dokładniej wyjaśnić prezydentowi. — Panie prezydencie, nasz starszy agent jest w pełni kwalifikowany, aby móc to wiedzieć. Zna się, kryminalistyka nie jest mu obca.

— Ładnie powiedziane: nie jest mu obca! I o nic więcej nie powinienem już pytać, prawda? Nic więcej wiedzieć?

— W chwili obecnej byłoby to najbardziej wskazane, sir.

— Goto?

— Najprawdopodobniej jego ludzie. Zresztą najlepszą dla nas wskazówką będzie zachowanie policji. Raport, jaki nam przyślą, jeśli cokolwiek w tym raporcie będzie się różniło od tego, co wiemy i czego się dowiemy od naszych ludzi i z fotografii, to znaczy, że żonglowano faktami. Niewiele osób posiada możliwość wydania rozkazu policji, by sfalszowała raport. — Po chwilowym milczeniu, Ryan powiedział: — Panie prezydencie, otrzymałem drugą niezależną informację, dotyczącą charakteru tego człowieka. — Powtórzył Durlingowi, co mu powiedziała Kris Hunter.

— Twierdzisz, że on kazał tę dziewczynę zabić? I że poleci policji zatuszować sprawę? I że wiedziałeś od dawna, że on takie rzeczy lubi robić? — Durling aż poczerwieniał. — I po tym

wszystkim chcesz, żebym ofiarował gałązkę oliwną takiemu bydlakowi? Co się z tobą dzieje? Jak ty rozumiesz, Jack?

— Zasłużyłem na to, panie prezydencie. — Jack wziął głęboki oddech. — Pozostaje jednak problem, co dalej.

Prezydent rozpogodził nieco twarz. — Przepraszam, poniosło mnie. Wbrew temu, co mówisz, nie zasłużyłeś na to, co powiedziałem.

— A jednak tak. Powinienem był wcześniej polecić Mary Pat, żeby wyciągnęła dziewczynę. I nie zrobiłem tego. Moja wina. — Ryan miał zachmurzoną twarz — Nie przewidziałem, że to się może stać.

— Takie rzeczy trudno przewidzieć, Jack. No i co teraz?

— Nie możemy nic powiedzieć radcy prawnemu w ambasadzie, ponieważ oficjalnie jeszcze o tym nie wiemy. Możemy natomiast polecić FBI, aby się przygotowało do zajrzenia sprawie pod podszewkę wtedy, kiedy zostaniemy oficjalnie powiadomieni o wydarzeniu. Mogę w tej sprawie zadzwonić do Dana Murraya.

— Desygnowanego na egzekutora Kealty'ego?

Ryan skinął głową.

— Znam Dana od bardzo dawna. Jeśli chodzi o stronę polityczną, to nie jestem pewien. Dopiero co otrzymałem transkrypt telewizyjnego wystąpienia Goto. Ale nim pan je przeczyta, panie prezydencie, warto wiedzieć, z jakim człowiekiem mamy do czynienia.

— Powiedz, Jack, ilu podobnych mu bydlaków rządzi państwami?

— Sam pan to doskonale wie, sir. — Jack zastanawiał się przez dłuższą chwilę. — To nie jest nawet takie złe. Tacy ludzie są w zasadzie słabi. Jak się im dobrze przyjrzeć, okazują się zwykłymi tchórzami. Jeśli już ma się nieprzyjaciół, to lepiej, aby mieli liczne słabości.

Durling się zamyślił: któregoś dnia Goto może pojawić się tu z oficjalną wizytą. Być może zamieszka w apartamentach „Blair House” naprzeciwko Białego Domu. I trzeba będzie wydać oficjalną kolację. Wejdziemy do Wschodniego Salonu, wygłosimy piękne przemówienia, wzniesiemy toasty za nasze zdrowie i kraje, i przyjaźń, uściśniemy sobie dłonie, tak jak byśmy byli serdecznymi przyjaciółmi.

Niech to wszyscy diabli!

Prezydent wziął z biurka kartki z przemówieniem Goto i zaczął je przeglądać.

— Co za sukinsyn! „Ameryka będzie musiała zrozumieć!”. Figa, panie drogi!

— Gniew i złość nie są dobrymi towarzyszami rzeczowych rozmyślań nad sposobami rozwiązania problemu, panie prezydencie.

— Masz rację. — Durling długo milczał, a potem powiedział z przekornym uśmiechem: — Jeśli sobie dobrze przypominam, to ty, Jack, jesteś człowiekiem, którego zbyt często ponosi złość.

— Wielokrotnie mi to zarzucano, sir.

— No, to po powrocie z Moskwy będziemy mieli dwa twarde orzechy do zgryzienia.

— Trzy orzechy, panie prezydencie. Musimy zdecydować, co zrobić z Indiami i Sri Lanką. — Z

wyrazu twarzy Durlinga było wyraźnie widać, że zapomniał o tym. Zapomniał też prawie o innej jeszcze sprawie. Właściwie to pozwolił, by umknęła mu z pamięci.

— Więc jak długo będę musiała czekać? — spytała Linders.

Jej ból wycierał bardziej z twarzy niż z tonu głosu. Jak trzeba to ludziom tłumaczyć? Czy w ogóle można wytłumaczyć? Ofiara ohydnych przestępstw kryminalnego zdobyła się na to, żeby całemu światu to obwieścić, odsłonić duszę przed zupełnie obcymi ludźmi. Dla każdego byłoby to ciężkie przejście, ale dla niej wprost potworne. Murray był doświadczonym detektywem. Umiał pocieszać, zachęcać, wydobywać informacje skrzętnie przez ludzi ukrywane. Był pierwszym agentem FBI, przed którym się obnażyła, opowiedziała całą historię. Dzięki umiejętnościom Murraya zaczęła go traktować jak członka ekipy ordynującej psychiczną terapię. Innymi słowy, traktowała go tak, jak doktora Goldenę. Po Murrayu pojawili się dwaj inni agenci FBI, kobieta i mężczyzna. Oboje specjalizowali się w tego typu sprawach.

Po kolei odbyła sesje z dwoma psychiatrami — z każdym osobno. Z natury rzeczy ich pytania były jakby pytaniami owej drugiej strony. Chodziło o ostateczne ustalenie, poza wszelką wątpliwość, czy jej opowieść jest w stu procentach prawdziwa. Drugim celem było danie jej przedsmaku wrogich pytań, jakie jej będą zadawać adwokaci obrony.

W trakcie tego długiego procesu ustalania faktów Barbara Linders stała się ofiarą w jeszcze większym stopniu, niż była nią poprzednio. Murray był w pełni tego świadomy. Na samym początku Barbara uczyniła olbrzymi wysiłek, by wyznać wszystko Clarice, potem Murrayowi, a potem... całemu zastępowi obcych ludzi. Teraz czekało ją przesłuchanie najgorsze ze wszystkich, niektórzy bowiem członkowie senackiej komisji sprawiedliwości byli bliskimi sojusznikami Eda Kealty'ego. I ci właśnie będą uważali za swój obowiązek przyparcie jej do muru, zarówno w celu zarobienia punktów przed kamerami telewizyjnymi jak i pokazania ogółowi, jacy to oni są bezstronni i jacy świetni z nich prawnicy.

Barbara zdawała sobie sprawę, że te okropne pytania, jakie zadaje jej Murray, mają na celu lepsze jej przygotowanie do ciężkiej tortury publicznego przesłuchania. Każde z tych okrutnych pytań poprzedzał

łagodnym przypomnieniem: — Może też pani spodziewać się następującego pytania....

Widać było po niej, jak ciężko to wszystko przeżywa. Barbara — zbyt się zżyli w trakcie tych licznych rozmów, by mógł o niej myśleć jako o pannie Linders — okazała budzącą podziw odwagę i wytrzymałość. Nie każda ofiara przestępstwa potrafiłaby się na to zdobyć. Jednakże odwaga to nie jest coś, po co wystarczy wyciągnąć rękę. Odwagę można porównać do konta w banku. Z konta można wybierać pieniądze tylko tak długo, póki na nim jeszcze coś jest. Potem trzeba przestać i parokrotnie coś wpłacić. I dlatego także okropne było to czekanie. Musiała czekać, aż nie wiadomo kiedy będzie zaproszona do sali przesłuchań, by po zajęciu miejsca złożyć wstępne oświadczenie pod ostrzałem reflektorów towarzyszących telewizyjnym kamerom — nieodwołalna chwila, w której będzie musiała znów się obnażyć, tym razem przed większym jeszcze audytorium niż dotychczas...

Dla Murraya również nie było to przyjemne. To on skonstruował ogólny zarys aktu oskarżenia, wytyczył jego granice i kierunek, ustawił prokuratora, a przy tym był jedyną osobą bliską ofierze. Czuł się obarczony misją udowodnienia jej, że nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Ed Kealty, i że on, także przecież mężczyzna, pogardza Kealtym. Był jakby błędnym rycerzem Barbary Linders. Drugą misją, świętą misją Murraya, było doprowadzenie do tego, by przestępca został ukarany — i za haniebny czyn poszedł do więzienia. Może to nawet Murray pragnął takiego końca bardziej niż Barbara.

— Barb, trzymaj się, trzymaj się mocno! Musisz przez to przejść i nie dać się. Załatwimy tego bydlaka, ale uda się nam tylko wówczas, jeśli... — dalsze słowa prawie wybąkiwał, wkładając w nie przekonanie, jakiego sam nie miał. Od kiedy to polityka ingeruje w przestępstwa kryminalne? Zostało złamane prawo, są świadkowie, są dowody rzeczowe, tymczasem zatrzymują ich przed szlabanem, co dla ofiary jest gorszym ciosem, niż jakiegokolwiek pytania i insynuacje adwokata strony przeciwnej.

— To trwa zbyt długo.

— Jeszcze ze dwa tygodnie, może trzy... I wreszcie będziemy mogli strzelić piłkę do bramki.

— Nie jestem taka głupia, wiem, że coś się dzieje za kulisami. A on przestał wygłaszać przemówienia i przecinać wstęgi z okazji otwarcia nowych mostów. Ktoś mu już powiedział i on przygotowuje swoją obronę. Mam rację?

— Myślę, że to raczej prezydent świadomie wycofuje go z życia publicznego, aby w chwili, kiedy sprawa ujrzy światło dzienne, Kealty nie mógł skorzystać z faktu dużej popularności i liczyć na sympatię opinii publicznej. Prezydent jest po naszej stronie, Barb! Ja osobiście przedstawiałem sprawę, a on mi wtedy powiedział: „Przestępstwo jest zawsze przestępstwem”. I to jest właśnie to, czego od niego oczekiwałem.

Spojrzała na Murraya zrozpaczonymi, zwilgotniałymi oczami.

— Rozklejam się, Dan — powiedziała.

— Wcale nie. Widzę, że nie — skłamał. — Jesteś silna, twarda, odważna i mądra. Przetrawisz

wszystko. To on się rozklei. — Młodszy zastępca dyrektora FBI, Daniel E. Murray, wyciągnął ponad stołem rękę. Barbara Linders ujęła podawaną jej dłoń, tak jak dziecko sięga po dłoń ojca. Nakazywała sobie wierzyć i ufać. Murrayowi było przykro, że ta kobieta musi płacić tak wysoką cenę tylko dlatego, że prezydent Stanów Zjednoczonych podporządkowuje sprawę kryminalną sprawie wielkiej polityki. Być może miało to sens, gdy spogląda się z wysoka, ale dla zwykłego policjanta sprawą zasadniczą jest przestępstwo i ofiara. Do tego się wszystko sprowadza.

## Głowice

Z uzbrojeniem rakiet *H-11/SS-19* należało oczywiście czekać na oficjalną decyzję premiera.

Zakończeniu produkcji i montażu towarzyszyło w pewnym sensie rozczarowanie. Początkowo zamierzano założyć cały komplet głowic na każdą raketę. Co najmniej sześć. Oznaczałoby to jednak konieczność przeprowadzenia dodatkowej próby lotu z głowicami, co mogłoby stanowić wielkie zagrożenie w wypadku jakichś komplikacji. Zbyt wielkie ryzyko. Znacznie ważniejszy był tajny charakter całego przedsięwzięcia — ci, którzy decydowali, postanowili, że liczba głowic jest mniej ważna. Później będzie można wszystko zmienić. Dlatego też postanowiono nie przerabiać stożka nosowego rakiety i pozostawić rosyjskie rozwiązanie. Chwilowo musi wystarczyć dziesięć jednomegatonowych głowic dla dziesięciu rakiet.

Obsługa otwierała silos po silosie. Kolejno zdejmowano z platform kolejowych potężne cielska rakiet nośnych, umieszczano je w silosach i zasłaniano aerodynamicznymi kokonami, które doskonale pasowały na rosyjskie zaczepy. Godzinę trwała operacja umieszczania w silosie jednej rakiety, tak więc w ciągu jednej nocy wykonano całą robotę. I wystarczyło do tego dwudziestu ludzi. Gdy nadszedł ranek, wszystkie dziesięć silosów było już zamkniętych, a Japonia stała się mocarstwem nuklearnym.

— Zdumiewające — stwierdził Goto.

— W istocie bardzo prosta operacja — odparł Yamata. — Rząd sfinansował produkcję i przeprowadzenie prób w ramach realizacji naszego programu satelitarnego. Pluton otrzymaliśmy z kompleksu reaktora w Mondżu. Zaprojektowanie i wykonanie głowic było dziecinną zabawką. Jeśli Arabowie są zdolni do wyprodukowania prostej głowicy nuklearnej gdzieś w piwnicy w Libanie, to cóż to za trudność dla naszych inżynierów. — W rzeczywistości wszystko, z wyjątkiem głowic, zostało sfinansowane z budżetu państwa. Yamata był ponadto pewien, że niezbyt legalne konsorcjum, które wyprodukowało głowice, otrzyma kiedyś w przyszłości zwrot poniesionych nakładów. Przecież mu się to należało. Czyż wspólnicy konsorcjum nie działali wyłącznie dla dobra państwa? — Musimy natychmiast rozpocząć szkolenie personelu Sił Samoobrony, które powinny przejąć urzędy od naszych ludzi.

Czekamy jedynie na pańską decyzję i wydanie rozkazów, Goto-san...

— A Amerykanie i Rosjanie?



Yamata pogardliwie parsknął. — Amerykanie i Rosjanie mają zaledwie po jednej rakiecie międzykontynentalnej. I właśnie w tym tygodniu mają te rakiety zniszczyć przy wielkim biciu w dzwony.

Zobaczmy ową uroczystość na ekranach telewizyjnych. Jak pan dobrze wie, Goto-san, ich podwodne okręty nuklearne już nie przenoszą pocisków balistycznych. Rakiety *Trident* zostały zniszczone, a wycofane ze służby okręty podwodne czekają na pocięcie na złom. Dziesięć międzykontynentalnych pocisków z głowicami nuklearnymi zapewnia nam znaczną strategiczną przewagę.

— No, a jeśli oni postanowią odbudować arsenał?

— Nie mogą. W każdym razie mieliby z tym wielkie trudności. Zatrzymali produkcję i, zgodnie z traktatem, zniszczyli oprzyrządowanie i to pod międzynarodowym nadzorem. Wznowienie produkcji zajęłoby wiele miesięcy. Zresztą dowiedzielibyśmy się o tym bardzo szybko. Następnym ważnym dla nas krokiem jest realizacja programu poważnej rozbudowy marynarki wojennej — na co już czekały stocznie Yamaty — tak aby nasz prymat na Zachodnim Pacyfiku był nie do podważenia. To, co mamy, chwilowo powinno nam wystarczyć, przy odrobinie szczęścia i przy pomocy naszych przyjaciół. Nim Rosja i USA będą zdolni nam się przeciwstawić, nasza sytuacja strategiczna tak się poprawi, że z konieczności zaakceptują nasze poczynania i uznają nas wreszcie za równych partnerów.

— A więc już teraz muszę podjąć decyzję?

— Tak, panie premierze. — Yamata z naciskiem wymówił ostatnie słowo, aby Goto zrozumiał, na czym polega owa funkcja.

Przez dłuższą chwilę Goto pocierał obie dłonie, wpatrzony w zdobne biurko, od niedawna jego biurko. Jak każdy słaby człowiek szukał ucieczki w odwlekaniu decyzji. — Czy to prawda, że moja Kimba była narkomanką?

Yamata poważnie skinął głową, chociaż wewnętrznie zatrzęsł się ze złości na „moją Kimbę” — zaślepienie Goto białą kobietą.

— Smutna sprawa, prawda? Mój własny szef ochrony, Kaneda, znalazł ją martwą i wezwał policję. Wygląda na to, że dziewczyna starannie to ukrywała i zastrzykiwała sobie małe dawki, ale któregoś dnia przedawkowała.

Goto westchnął. — Głupie dziecko. Jej ojciec jest policjantem. Chyba o tym wiesz. Ona mówiła, że był zawsze bardzo surowy. Ale jej nie rozumiał, ja ją rozumiałem. Była dobra, łagodna. Byłaby z niej wspaniała gejsza.

To przedziwne, że pośmiertnie ludzie otrzymują zupełnie inne cenzurki niż za życia. Ich wizerunek radykalnie się zmienia, rozmyślał chłodno Yamata. Ta głupia bezwstydną dziewczyna rzuciła wyzwanie rodzicom i postanowiła sama stawić czoło światu. Ale świat nie jest wyrozumiały dla ludzi nieprzygotowanych do trudów życia. Ponieważ jednak potrafiła zaszcześcić Goto złudzeniem, że

jest prawdziwym mężczyzną, on teraz uważa, że była dobra i łagodna.

— Czy pozwolimy, aby los naszego narodu zależał od takich jak on ludzi? — zapytał Yamata.

— Nie! — odparł nowy premier Japonii i podniósł słuchawkę telefonu. Musiał wyszukać odpowiedni numer z wydruku przygotowanego przez sekretarza. Gdy otrzymał połączenie, powtórzył rozkaz wydany przed ponad pięćdziesięciu laty „Wspiąć się na górę Nitaka”.

Pod wieloma względami był to samolot niezwykle, pod innymi całkiem zwyczajny. *VC-25B* był wojskową wersją szacownego cywilnego samolotu pasażerskiego *Boeing 747*, maszyny z trzydziestoletnią historią, wielokrotnie unowocześnianej doskonałej konstrukcji, nadal produkowaną w zakładach w pobliżu Seattle. Prezydencki samolot był tak pomalowany (według projektu dekoratora z klucza politycznego), by sprawiać godne wrażenie we wszystkich odwiedzanych krajach. Stał w odosobnieniu na betonowym pasie, strzeżony przez umundurowanych agentów Tajnej Służby, którzy mieli „specjalne zezwolenie”, co w żargonie wojskowym oznaczało prawo do użycia karabinów *M-16* w każdej sytuacji zagrożenia. Takiego zezwolenia nie posiadały nawet umundurowane jednostki Tajnej Służby przy większości federalnych obiektów. A w ogóle owo „specjalne zezwolenie” było jedynie grzeczniejszą formą rozkazu „najpierw strzelaj, a dopiero potem zadawaj pytania”.

Do samolotu nie prowadził zwyczajowy portowy rękaw. Trzeba było wejść po schodkach, tak jak to się robiło w latach pięćdziesiątych, ale schodki były „unowocześnione”: wyposażono je w bramkę z detektorem metalowych przedmiotów. Trzeba było także poddawać kontroli bagaż. Tym razem kontrolę przeprowadzała żandarmeria Sił Powietrznych i agenci Tajnej Służby. Każdą walizkę czy torbę prześwietlano, wiele otwierano.

— Mam nadzieję, że zostawiłaś w domu pudełko Wiktorii z jej tajemnicami. To, które ci wręczyła na przechowanie? — spytał Jack stawiając na ladzie ostatnią torbę.

— Zobaczymy, jak się rozpakujemy w Moskwie — odparła pani profesor Ryan i mrugnęła do męża. Dla Cathy była to pierwsza oficjalna wizyta za granicą. Z wielkim zaciekawieniem rozglądała się po wojskowym lotnisku Andrews.

— Witam panią doktor! Wreszcie się spotykamy! — Z wyciągniętą ręką podeszła Helene D’Agostino.

— Przedstawiam ci najładniejszą na świecie agentkę Tajnej Służby — powiedział do żony Jack.

— Nie mogłam być na ostatniej oficjalnej kolacji w Białym Domu, uczestniczyłam w seminarium na Harvardzie — wyjaśniła Cathy.

— No cóż, za to wizyta w Moskwie zapowiada się niesłychanie ciekawie — powiedziała agentka i odeszła, by dalej spełniać swoje obowiązki.

Chyba jednak nie tak ciekawie, jak moja poprzednia, pomyślał Jack przypominając sobie wydarzenia, o których nie miał prawa nikomu opowiedzieć.

— Gdzie ona nosi broń? — spytała Cathy.

— Nigdy jej nie rewidowałem, kochanie — odparł Jack.

— Czy od razu wchodzimy na pokład?

— Mam prawo wejść, kiedy zechcę. Taki jestem ważny! — Jack uśmiechnął się rozbijając i mrugnął okiem. Postanowił od razu wejść do samolotu, żeby móc pokazać wszystko Cathy. Ruszyli ku drzwiom. W swojej cywilnej wersji przeznaczony do przewożenia trzystu pasażerów prezydencki 747 (był

jeszcze drugi, rezerwowo) został tak wyposażony, by zabrać wprawdzie tylko stu, ale za to zapewnić wszystkim komfort, a nawet luksus. Jack najpierw pokazał żonie, gdzie będą siedzieć, wyjaśniając jednocześnie, że obowiązuje surowy protokół. Im kto jest ważniejszy, tym siedzi bardziej z przodu. A na samym przedzie znajdują się pomieszczenia prezydenckie z dwiema kanapami, które rozkładają się, tworząc łóżka. Ryanowie i van Dammowie zajmowali miejsca tuż za prezydentem. Znajdowało się tam osiem foteli, ale podczas tej podróży tylko pięć miało być zajętych. Wraz z obiema parami leciał jeszcze prezydencki rzecznik prasowy, zawsze rozbiegana pani o nazwisku Tish Brown. Przedtem była szefem programu w którejś ze stacji telewizyjnych. Ostatnio się rozwiodła. Pomniejsi członkowie delegacji siedzieli w ściśle wyznaczonej kolejności ku tyłowi, aż do rzędów przeznaczonych dla prasy.

— Czy to jest kuchnia? — spytała Cathy.

— W lokalnym żargonie „Chez President” — poprawił ją Jack. Pomieszczenie to robiło wielkie wrażenie, podobnie jak przygotowywane tu dania. Ze świeżych produktów, a nie podgrzewane posiłki podawane zwykłym pasażerom wszystkich linii lotniczych.

— To jest większe niż nasza kuchnia! — wykrzyknęła Cathy, co bardzo rozbawiło szefa kuchni, starszego sierżanta Sił Powietrznych.

— Większa chyba nie jest, za to szef jest lepszy, prawda, sierzancie? — odezwał się Ryan.

— Już się odwracam, proszę pani — odparł kucharz. — Może pani teraz trzepnąć męża w ucho bez żadnych świadków. Słowa nie pisnę nikomu.

Cathy roześmiała się. — Ale dlaczego prezydent nie podróżuje na górze, tam gdzie w rejsowych samolotach jest bar i salon?

— Prawie wszystko zajęte przez elektronikę. Prezydenckie centrum łączności. Prezydent lubi chodzić na górę, żeby porozmawiać z załogą, ale tam pracują i mieszkają prawie wyłącznie kryptosie.

— Kryptosie?

— Spece od elektroniki, szyfranci. — Jack odprowadził Cathy na przeznaczone dla nich miejsce.

Fotele były ekstra miękkie i ekstra szerokie, pokryte jasnobeżową skórą. Ostatnio wszystkie zostały wyposażone w telewizory na odchylanych metalowych ramionach oraz osobiste telefony. Cathy przyglądała się wszystkiemu z zainteresowaniem, zatrzymując wreszcie wzrok na prezydenckiej pieczęci wytloczonej na klamrach pasów.

— Już wiem, co to naprawdę znaczy pierwsza klasa,

— Pamiętaj, że czeka cię jednaście godzin lotu — odparł Jack, zajmując miejsce i przyglądając się wsiadającym teraz członkom moskiewskiej ekspedycji. Pomyślał, że przy odrobinie szczęścia uda mu się może przespać prawie całą drogę.

Poprzedzające odlot telewizyjne oświadczenie prezydenta miało tradycyjną oprawę. Mikrofon, jak zawsze, był umieszczany tak, aby w tle widać było prezydencki samolot, co miało przypomnieć wszystkim, kto na owym tle do nich przemawia, a jako niezbity dowód służyła replika prezydenckiej pieczęci. Roy Newton zwracał większą uwagę na długość wystąpienia, niż na treść. Takie oświadczenia przed podróżami zagranicznymi nie zawierały nigdy nic specjalnie godnego zauważenia. Tylko sieć C-SPAN nadawała wystąpienia w całości, chociaż obecne były ekipy wszystkich dzienników telewizyjnych na wypadek, gdyby samolot na przykład rozsypał się w kawałki podczas startu. Po kilkuminutowym oświadczeniu Durling ujął swą żonę Annę pod ramię i poprowadził w stronę metalowych schodków, gdzie salutował wyprężony sierżant lotnictwa. U szczytu schodów prezydent i jego żona obrócili się ku kamerom i pomachali, tak jak to się zawsze robi, wyruszając szlakiem kampanii wyborczej. W pewnym sensie ta podróż do Moskwy była częścią nigdy nie ustającego procesu wyborczego. Po spełnieniu powyższego obowiązku prezydent i Pierwsza Dama zniknęli w głębi samolotu. W tym momencie telewizja C-SPAN przełączyła kamery na salę obrad Izby Reprezentantów, gdzie najrozmaitsi co młodszy posłowie wygłaszali krótkie przemówienia. Czynili to na specjalne zamówienie, a raczej polecenie.

Newton wiedział, że prezydent będzie przebywał w samolocie przez jednaście godzin. Dłużej, niż Newton potrzebował.

Czas brać się do roboty.

Segregując notatki, pomyślał z rozbawieniem, jak wiele jest prawdy w starym powiedzeniu: jeśli o czymś wie więcej niż jedna osoba, to nie ma mowy o tajemnicy. Jeszcze trudniej jest utrzymać tajemnicę, jeśli jedna osoba zna jej połowę, a druga resztę. Wówczas ta pierwsza może się z drugą spotkać na kolacji, napomknąć, że zna tajemnicę i dać tego jakieś dowody, a ta druga pomyśli wtedy, że pierwsza wie już wszystko i wypapla resztę. Wystarczy tylko właściwie uśmiezki, mruknięcia, mądre kiwanie głową i kilka odpowiednio wybranych słów z pierwszej części tajemnicy, a niebawem stajesz się, człowieku, posiadaczem całości. Twój rozmówca będzie mówił coraz więcej, aż powie wszystko, co chciałeś wiedzieć. Newton przypuszczał, że w ten właśnie sposób postępują szpiegostwo. On sam byłby chyba dobrym szpiegiem, tylko że na tym wcale by nie zarobił lepiej, niż na kongresowej posadzie. Z

pewnością tyle by nie zarobił. A Newton już dawno temu postanowił, że swoje talenty odda takiej sprawie, na jakiej można sobie zbudować przyjemne życie.

Reszta była już łatwa. Należało jedynie wybrać odpowiednią osobę, której warto sprzedać informację. Wybór nie był trudny, wystarczyło uważnie czytać lokalną prasę. Każdy reporter miał swego konika, coś, co jego lub ją specjalnie interesowało. Pod tym względem reporterzy nie różnili się od pozostałych ludzi.

I jeśli człowiek tylko wiedział, jaki guzik nacisnąć, to mógł właściwie każdym manipulować.

Szkoda tylko, że metoda ta nie sprawdziła się wobec wyborców jego okręgu. Newton pokiwał ze smutkiem głową, podniósł słuchawkę i wystukał numer.

— Libby Holtzman — odezwał się kobiecy głos.

— Cześć, Libby. Tu Roy. Jak leci?

— Nudy. Nic się nie dzieje — odparła. Ciekawe, czy Bob, jej mąż, przywiezie coś dobrego z Moskwy, dokąd odleciał z prezydencką delegacją.

— Kolacja? — spytał wiedząc, że Bob odleciał.

— W jakiej sprawie? — Doskonale wiedziała, że nie chodzi o randkę lub coś podobnie głupiego i nieodpowiedzialnego. Newton był graczem i czasami miewał dobre karty.

— Nie pożałujesz — zachęcił. — O siódmej trzydzieści. „Jockey Club”.

— Będę — zgodziła się.

Newton uśmiechnął się. Uczciwa gra, no nie? Stracił mandat w Kongresie, oskarżony o nadużywanie swojej pozycji i sprzedawanie poparcia. Nic takiego, co zasługiwałoby na dochodzenia prokuratorskie (ktoś inny wykorzystał swoje wpływy, by dochodzenia nie było), niemniej wystarczyło, by 50,7% wyborców jego okręgu doszło do wniosku, że w połowie kadencji warto jest jednak zmienić przedstawiciela w Kongresie. Gdyby wybory prezydenckie też się odbywały w tym samym czasie, to jakoś by się precyzyjnie — tego był pewien — natomiast mandatu raz straconego już prawie nigdy się nie odzyskuje.

A wszystko mogło skończyć się znacznie gorzej. Na szczęście się udało. Życie nie jest takie okrutne, prawda? Mógł zatrzymać swój dom, nie stracił żony ani dzieci, wysłał je nawet do przyzwoitych uczelni. Zachował też karty wstępu do ekskluzywnych klubów. Zmieniło się jedynie to, że operował w zupełnie innym środowisku. Nie obowiązywały go też wydumane normy etyczne i nie burzyły spokoju sumienia. Zresztą przedtem też nie cierpiał z powodu jakichś wyrzutów. A przede wszystkim zarabiał

teraz znacznie lepiej, niż kiedy był w Izbie.

Ćwiczenia WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY rozgrywane były za pomocą komputera przekazującego dane przez stację satelitarną. Właściwie przez trzy stacje satelitarne. Cała flota japońska przekazywała sobie dane operacyjne za pośrednictwem centrum dowodzenia marynarki w Jokohamie.

Flota amerykańska robiła to samo via sztab operacji Marynarki w Pearl Harbor. Zarówno Jokohama jak i Pearl Harbor korzystały z trzeciego łącza satelitarnego, by wymieniać dane między sobą. Oficerowie obu sztabów, japońskiego i amerykańskiego, do których należało wystawianie ocen poszczególnym jednostkom biorącym udział w ćwiczeniach, mieli dostęp do wszystkich łączy, a więc i informacji.

Dowódcy taktyczni na morzu — nie. Istotnym celem ćwiczeń było danie obu stronom szansy bojowego przeszkolenia w maksymalnie realistycznych warunkach. Dlatego też ani „podpowiadanie”, ani korzystanie ze „ściągawek” nie było mile widziane. Z drugiej strony, chociaż oszukiwanie przy egzaminach jest uważane za rzecz mało honorową, oszukiwanie nieprzyjaciela jest integralną częścią wojennej strategii.

Dowódcy Floty Pacyfiku — admirałowie odpowiedzialni za okręty nawodne, lotnictwo morskie, flotę podwodną i służby logistyczne — ze swoich foteli obserwowali próby „potyczek” ciekawi, jak ich podwładni dają sobie radę.

— Sato to chytry lis — powiedział komandor Chambers.

— Niektóre posunięcia aż palce lizać — zgodził się doktor Jones. Jako poważny dostawca oprogramowań, posiadający specjalną aprobatę dowództwa floty otrzymał od admirała Mancuso zezwolenie na wstęp do centrum dowodzenia. — Ale mu to wiele nie pomoże na północy — dodał.

— Ooo? — zdziwił się dowódca okrętów podwodnych Floty Pacyfiku. — Czyżbyś wiedział coś, czego ja nie wiem?

— „Charlotte” i „Asheville” mają cholernie dobre systemy hydrolokacyjne. Moi ludzie pomagali im zainstalować nowe oprogramowanie do tropienia. Są najlepszymi łowcami dźwięków. Zresztą dobrze o tym wiesz.

— Dowódcy obu okrętów też nie są źli — dodał Mancuso.

Jones potwierdził skinieniem głowy. — Święta racja. Umieją nastawić uszu i słuchać. Tak jak ty..

— Boże drogi — odezwał się Chambers, spoglądając na cztery złote paski na epoletach jego rozmówcy i myśląc sobie, czy też mu teraz bardziej ciążyą. — Zastanawiał się pan kiedyś, admirale, jak wyglądalibyśmy bez tego tutaj naszego Jonesa?

— Mielibyśmy ze sobą Lavalą — odparł Mancuso.

— Jego syn jest teraz szefem sonarzystów na „Asheville” panie Chambers — powiedział Jones.

Dla Jonesa Mancuso nadal był „kapitanem”, a Chambers „porucznikiem”. Ani Chambers, ani

Mancuso nie protestowali. Przeszłość towarzyszyła oficerom Marynarki i tworzyła więzy między oficerami i zwykłymi (w tym wypadku byłymi) marynarzami.

— Tego nie wiedziałem — wyznał Mancuso.

— Od niedawna. Przedtem był na „Tennessee”. Bystry chłopak. Został specjalistą pierwszej klasy zaledwie w trzy lata po skończeniu morskiej szkoły.

— Wcześniej niż zostałeś nim ty, Jones — zauważył Chambers. — Jest naprawdę taki dobry?

— Cholernie dobry. Chciałbym go wziąć do siebie. W zeszłym roku się ożenił, dziecko w drodze.

Chyba mi się uda go przekupić, żeby rzucił Marynarkę w diabły i przeniósł się do cywila.

— Wielkie dzięki, Jones — odezwał się Mancuso. — Chyba powinienem cię stąd wyrzucić.

— Daj spokój, kapitanie-admirale. Kiedy to po raz ostatni porządnie się zabawiliśmy? —

Jonesowskie oprogramowanie do tropienia wielorybów znalazło ostatnio zastosowanie w systemie hydrolokacyjnym, jakim jeszcze dysponowała Flota Pacyfiku. — Najwyższy czas na poprawiny.

Fakt, że obie strony miały swoich obserwatorów w centrum dowodzenia drugiej strony, stanowił pewną komplikację. Głównie dlatego, że każda ze stron miała pewien osprzęt i pewne możliwości namierzania, którymi nie chciała się dzielić. W konkretnym wypadku odczyty systemu hydrofonów dennych *SOSUS*, które mogły być echemi japońskich okrętów podwodnych, operujących na północny zachód od Kure, były znacznie dokładniejsze niż to, co pokazywał planszet, na który naniesiono domniemane położenie wszystkich jednostek. Prawdziwe plany sytuacji otrzymali jedynie Mancuso i Chambers. Każda ze stron miała po dwa okręty podwodne. Namiary nie wykazywały jednostek amerykańskich, okręty japońskie o konwencjonalnym napędzie musiały się od czasu do czasu podnosić z głębin pod samą powierzchnię oceanu, aby przez wystawione nad wodę chrapy pozyskać tlen, konieczny do uruchomienia dieslowskich silników i podładowania akumulatorów. Chociaż okręty japońskie miały swoją wersję amerykańskiego systemu Preria-Maska, oprogramowanie Jonesa pozwalało na przebicie się przez tę osłonę i uzyskanie sygnału, wskazującego na pojawienie się przeciwnika. Mancuso i jego sztab wycofali się do centrum hydrolokacji *SOSUS*, aby przestudiować najnowsze dane.

— Dobra, Jones, powiedz, co tu widzisz? — rozkazał Mancuso, pochylając się nad wydrukiem sygnałów nasłuchu hydrofonów rozsianych po dnie Pacyfiku.

Dane można było obejrzeć na monitorach telewizyjnych lub na komputerowym wydruku składanym w harmonijkę. Do głębszej analizy potrzebny był wydruk. Właściwie były dwa. Na jednym znajdowały się już uwagi i oznaczenia, które na bieżąco robili sonarzyści sieci *SOSUS*. Ten zanalizowany już wydruk Mancuso trzymał osobno, chcąc uzyskać potwierdzenie wniosków swoich ludzi. Ciekaw był, czy Jones jeszcze potrafił takie rzeczy odczytywać.

Jones dobiegał dopiero czterdziestki, ale w jego ciemnych włosach pojawiły się już srebrne nitki.

Nie palił, żuł tylko gumę. Mancuso zauważył, że w jego oczach nadal czaiła się jakaś przedziwna intensywność. Doktor Ron Jones przerzucał harmonijkę wydruku niczym rewident księgowy poszukujący śladów bankowego oszustwa. Palcem wodził po pionowych liniach, na których rejestrowane były odbierane częstotliwości.

— Zakładamy, że mniej więcej co osiem godzin muszą podpłynąć pod powierzchnię, żeby wysunąć nos na świeże powietrze? — spytał.

— Tak powinni robić, jeśli chcą mieć zawsze naładowane akumulatory — odparł Chambers.

— Na jakim oni są czasie? — spytał Jones. Amerykańskie okręty podwodne na morzu ustawiały zegary na czas Greenwich, ostatnio zmieniony na „Czas Uniwersalny”, co ubodło nieco Królewską Marynarkę, której jeszcze niedawna potęga gwarantowała Brytyjczykom prawo do określania wzorcowego południka.

— Chyba na tokijskim — odparł Mancuso. — Nasz czas minus pięć.

— Zaczniemy więc szukać powtarzających się w tym samym układzie sygnałów. Od północy, w godzinach parzystych ich czasu. — Wydruk komputerowy miał pięć podwójnie złożonych w harmonijkę stron. Jones wziął jeden komplet i zaczął przeglądać, kartka po kartce, robiąc na marginesie notatki.

Zajęło mu to dziesięć minut.

Gdy skończył, powiedział: — Tu mamy jedno wyjście, a tu drugie. Przymuszczalnie. Tu by było również możliwe, pasuje, ale nie sędzę... Robię zakład, że tu... Na początek umiejscawiamy pierwsze chrapy tutaj. — Palcem stukał w pozornie przypadkowe zagęszczenie kresek i kropek.

— Wally?

Chambers pochylił się nad drugim stołem i zaczął przeglądać już przeanalizowany wydruk, aby trafić na wskazaną przez Jonesa godzinę. — Jones, ty cholerny czarowniku! — mruknął. Zespół

wykwalifikowanych sonarzystów ślęczał nad tym przez dwie godziny, aby wykryć to, co Jones na ich oczach znalazł w ciągu paru minut.

Ze stojącej w kącie lodówki Jones wyjął puszkę Coca-Coli i otworzył. Zasycało. Podniósł puszkę do góry niby kielich z szampanem. — Panowie! I kto jest mistrzem wszystkich czasów?

To była tylko cząstka roboty. Wydruki wskazywały jedynie zamiar na podejrzane dźwięki, ale ponieważ na dnie morskim znajdowało się wiele hydrofonów należących do sieci *SOSUS*, komputer dokonał triangulacji umieszczając źródło w kole o parunastomilowym promieniu. Nawet ze wszystkimi usprawnieniami, jakie Jones wprowadził do systemu dozoru, nadal pozostawał do



przeszukania spory kawałek oceanu.

Odezwał się telefon. Dzwonił dowódca Floty Pacyfiku. Mancuso odebrał i przekazał sugestię skierowania „Charlotte” i „Asheville” w okolice podejrzanych sygnałów. Jones przysłuchiwał się rozmowie i wiedział, że sugestia Mancuso została przyjęta.

— No i widzisz, Bart? Zawsze wiedziałeś, jak i kiedy trzeba dobrze słuchać!

Murray omawiał właśnie sprawy budżetowe z zastępcą dyrektora waszyngtońskiego biura FBI i tylko dlatego osobiście nie odebrał telefonu. Jego sekretarka włożyła tekst supertajnej wiadomości z Białego Domu do ściśle poufnych akt i zamknęła je na klucz. Następnie szkoła wezwała ją, aby zabrała dziecko, które miało gorączkę. W efekcie ręczna notatka z rozmowy z Ryanem dotarła dość późno do rąk Murraya.

— Norton! — powiedział Murray, wchodząc do gabinetu dyrektora FBI Shawa.

— Coś nie tak?

— Dziewczyna nie żyje. — Murray podał kartkę, którą Shaw szybko przeczytał.

— Psiakrew! — szepnął Shaw. — Mamy coś na ten temat? Brała narkotyki?

— Nic takiego.

— Jest coś z Tokio?

— Jeszcze nie sprawdzałem w wydziale prawnym. Nieodpowiednia pora.

Shaw skinął głową. Przemknęła mu przez głowę śmieszna myśl: zadaj pytanie jakiemukolwiek agentowi FBI, o jakiej sprawie lubi najbardziej rozmawiać, jaką się najczęściej chwali, a okaże się, że to porwania. Zresztą legenda FBI urosła w latach trzydziestych właśnie na porwaniach. Ustawa Lindbergha pozwalała FBI wspomagać lokalne policje zawsze wtedy, gdy istniało podejrzenie, iż ofiara mogła zostać przewieziona przez stanową granicę. Kiedy takie podejrzenie istniało, całym stadem rzucały się na sprawę wyszkolone ekipy superpolicji narodowej, sprawiając wrażenie gromady zgłodniałych wilków. Bardzo rzadko jednak ofiary przestępstwa były wywożone poza stan. FBI działało do końca, gdyż naczelnym zadaniem było odnaleźć ofiarę żywą. I tutaj FBI odnosiło duże sukcesy. Drugim celem było pochycenie sprawcy czy sprawców, przygotowanie oskarżenia i przekazanie sprawy prokuraturze, a następnie świadczenie podczas procesu. Statystycznie FBI odnosiło tu jeszcze większe sukcesy. Chwilowo FBI nie wiedziało jedynie, czy Kimberly Norton jest ofiarą porywacza. Wiedziało, że przekroczy granicę USA martwa. I ten fakt w mniemaniu agentów FBI oznaczał porażkę. Profesjonalną porażkę.

— Jej ojciec jest policjantem.

— Wiem o tym, Dan.

— Powiniennem tam pojechać i obgadać to z O'Keefem. — Częściowo dlatego, że kapitan Norton miał prawo dowiedzieć się o śmierci córki od swoich kolegów, a nie z prasy czy telewizji. Częściowo też dlatego, że agenci obarczeni sprawą po prostu musieli to zrobić. Powiedzieć mu w oczy, że zawiedli.

Musieli się przyznać. I był jeszcze jeden element: Murray chciał przejrzeć raz jeszcze akta całej sprawy, przekonać się, że jednak zrobiono wszystko, co w danych warunkach można było zrobić.

— Mogę ci na to dać parę dni — odparł Shaw. — Sprawa Linders z pewnością pozostanie w lodówce, póki prezydent nie wróci. Pakuj się i jedź.

— To jest lepsze niż w Concorde! — wykrzyknęła Cathy do kobiety kaprala podającej kolację.

Ryan niemalże wybuchnął śmiechem, a Karolina von Damm wyjątkowo rzadko robiła okrągłe oczy tak jak w tej chwili. Od dawna była przyzwyczajona do podobnego luksusu, zaś kolacja była rzeczywiście lepsza niż to, co podawano w kantine kadry lekarskiej szpitala Hopkins. Nawet talerze nie miały paska, co zresztą tłumaczyło, dlaczego w Siłach Powietrznych ginie rekordowa ilość talerzy i sztućców.

— Wino dla pani? — Ryan podniósł butelkę „Chardonnay Russian River” i napełnił kieliszek Cathy. W tym czasie kobieta kapral stawiała talerz przed Ryanem.

— My nie pijamy wina na naszej kurzej farmie — powiedziała Cathy do kaprala udając zakłopotanie, a może naprawdę troszkę onieśmielona komfortem podróży.

— Wszyscy tak reagują, lecąc po raz pierwszy prezydenckim samolotem. Niech pani doktor tym się nie martwi — odparła stewardesa w mundurze kaprala. — Proszę nacisnąć guzik, jeśli będzie potrzebna

— dodała i wróciła do kuchni.

— Od początku ci powtarzam, Cathy, zawsze się mnie trzymaj.

— Ciekawe, gdzieś ty się tak przyzwyczyłaś do luksusowego latania. Świeże brokuły!

— Piloci też są niezli. Patrz! — podniósł kieliszek. — Ani drgnięcia!

— Tyle że pensje są przy tym wszystkim bardzo niskie — odezwał się van Damm z przeciwległego końca przedziału. — Natomiast stołówka pracownicza wcale niezła, to trzeba przyznać.

— Łosoś jest naprawdę świetny. Wędzony i potem gotowany.

— Podobno szef kuchni skradł recepturę kucharzowi z „Jockey Clubu”. Najlepszy w całym mieście łosoś z Luizjany — wyjaśniał van Damm. — Może jednak nie skradł, może się tylko zamienił, dając w zamian swój przepis na krewetki faszerowane mięsem. Uczciwa zamiana — skomentował.

— Prawda, że nie za bardzo spieczone? Skórka jest akurat.

„Jockey Club”, jedna z niewielu naprawdę doskonałych waszyngtońskich restauracji, mieściła się na najniższym piętrze hotelu „Ritz Carlton” przy Massachusetts Avenue. Było to spokojne, dyskretnie oświetlone miejsce, gdzie od wielu już lat przychodzono na posiłki, by podczas nich podejmować takie czy inne, ale zawsze mające kapitalne znaczenie decyzje. Nazywano je posiłkami brokerskimi, a brokerami byli ludzie reprezentujący z reguły potęgę w dziedzinie polityki i finansów.

Jedzenie tu jest świetne, pomyślała Libby, zwłaszcza kiedy ktoś inny płaci rachunek. Podczas minionej godziny rozmawiali o tym i o tamtym, wymieniali drobne informacje i plotki, które miały znacznie większe znaczenie w Waszyngtonie, niż w innych miastach. Ten etap mieli za sobą. Talerze po sałacie zabrane, wino podane, na stół wjechały też talerze z głównym daniem.

— No więc, Roy, hasło wywoławcze naszego spotkania?

— Ed Kealty. — Norton spojrział prosto na oczy Libby Holtzman.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że jego żona postanowiła wreszcie opuścić tego obłudnika?

— Opuszczać to będzie chyba on. Opuszczać na stałe.

— Kto jest pechową damulką? — spytała Libby, krzywo się uśmiechając.

— To nie to, co myślisz, Libby. Ed odchodzi... — Newton uwielbiał rozpalać ciekawość rozmówców.

— Roy, jest już ósma trzydzieści. — Libby jasno dała do zrozumienia, że czekać długo nie będzie.

— FBI ma haka na Kealty’ego. Gwałt. Ściślej mówiąc, nie jeden. Jedna z ofiar popełniła samobójstwo.

— Liza Beringer? Okoliczności jej śmierci nie zostały nigdy w pełni wyjaśnione. Wiedziano tylko, że samobójstwo i rozstrój nerwowy.

— Zostawiła list. FBI ma ten list. Ma też kilka innych kobiet gotowych zeznawać.

— Ojej! — pozwoliła sobie powiedzieć Libby. Odłożyła widelec. — I mają wszystko zapięte na ostatni guzik?

— Sprawę prowadzi Dan Murray. Pies myśliwski Shawa.

— Znam Dana. I wiem, że nie piśnie ani słowa. Nie będzie chciał w ogóle rozmawiać. — Rzadko kiedy jakkolwiek agent FBI zgadzał się mówić o dochodzeniu podczas jego trwania. A w żadnym wypadku przed ujawnieniem wyników. Przeciek zawsze pochodził od adwokatów lub funkcjonariuszy sądowych. — Dan Murray nie tylko nie odstępował na krok od przepisów, ale to on je pisał. — Tym razem to nie była przenośnia. Dan Murray był współautorem wielu wewnętrznych regulaminów FBI.

— Tym razem może być inaczej. Może piśnie.

— Dlaczego miałyby to zrobić?

— Ponieważ Durling każe trzymać sprawę pod suknem. Uważa, że Kealty jest mu potrzebny na Kapitolu. Jako tuba. Może zauważyłaś, że nasz Eddie przebywa ostatnio dużo w Białym Domu? Durling mu o wszystkim opowiedział, żeby chłopaczyna miał czas na zorganizowanie obrony. — Chcąc się zabezpieczyć, Norton dodał — W każdym razie tak mi to parę osób przedstawiło. Czy nie wydaje ci się to wszystko nieco dziwne?

— Przeszkadzanie w czynnościach wymiaru sprawiedliwości?

— Technicznie rzecz biorąc, tak, być może, chociaż nie wiem, czy taką kwalifikację daby prawnicy.

— Na tym etapie rozmowy haczyk był już w wodzie i nęcił rybkę, która okazywała wielkie zainteresowanie.

— A może Durling opóźnił ujawnienie sprawy tylko dlatego, żeby to nie kolidowało z podpisaniem Ustawy o Regulacji Handlu, żeby w mediach obie sprawy nie współzawodniczyły? —

Rybka z zainteresowaniem przyglądała się robakowi, niepokoiła ją teraz tylko podejrzana błyskotka przy haczyku...

— Tu chodzi o coś więcej, Libby. W Białym Domu siedzą nad tą sprawą już dość długo. Tak w każdym razie słyszałem. Natomiast mają rzeczywiście doskonałą wymówkę. Zamieszanie z ustawą.

Bardzo wygodną wymówkę. — Robak wyglądał naprawdę smacznie.

— Oczywiście. Można uznać, że polityka to rzecz ważniejsza od sprawy o gwałt. Pytałam, czy sprawa jest dobrze przygotowana? Mają dowody?

— Jeśliby ława przysięgłych dostała to, co oni mają, to Ed Kealty spędziłby wiele lat w przybytku federalnym.

— Tak mocne dowody? — Co za wspaniały robak. Jakże kuszący!

— Sama powiedziałaś, że Murray to dobry policjant.

— Który prokurator otrzymał sprawę?

— Anna Cooper. Od wielu tygodni tylko nad tym siedzi. — Nie ma wątpliwości, że robaka trzeba będzie połknąć. Jest naprawdę wspaniały. A to, co tak błyszczy, nie jest chyba takie groźne.

Newton wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na obrusie.

— Nazwiska, daty, szczegóły, ale to wszystko dostałaś nie ode mnie, jasne? — Roy pociągnął za

haczyk i robak zatańczył w wodzie. Chyba sam robak, żadnego haczyka nie było widać.

— A jeśli mi się nie uda znaleźć potwierdzenia?

— Wtedy nie ma i sprawy, wtedy moje źródła informacji się myliły i mam nadzieję, że smakowała ci kolacja. — Była możliwość, że robak odpłynie i rybka nie zdąży go połknąć.

— Ale powiedz mi, Roy, dlaczego? Dlaczego ty, dlaczego cała ta historia? — Rybka nadal krążyła, zadając sobie pytanie, skąd w ogóle wziął się ten robak.

— Faceta nigdy nie lubiłem. Dobrze o tym wiesz. Starliśmy się dwukrotnie podczas debaty na temat ustaw melioracyjnych, a on ponadto ukatrupił szansę inwestycji dla przemysłu obronnego w moim stanie. Ale chcesz znać prawdziwy powód? Zaraz ci powiem. Mam córki. Jedna jest na trzecim roku na Uniwersytecie Pensylwania, druga zaczyna studia prawnicze na Uniwersytecie Chicago. Obie chcą iść śladem ojca, a ja za żadne skarby nie chcę, żeby moje córki pracowały na Kapitolu w towarzystwie takich bydlaków jak Ed Kealty,

W właściwie, czy to jest ważne, w jaki sposób robak znalazł się w wodzie? Libby poważnie skinęła głową, już w pełni przekonana, i wzięła kopertę. Bez otwierania schowała ją do torebki.

Zdumiewające, jak prawie nikt nigdy nie rozpoznaje haczyka, póki nie jest już za późno. A czasami nie rozpoznaje nawet wtedy. Kelner był wyraźnie rozczarowany, że para przy stoliku zignorowała wózek z deserami i poprosiła tylko o dwie kawy ekspreso przed rachunkiem.

— Słucham.

— Barbara Linders?

— Tak. Kto mówi?

— Libby Holtzman z dziennika „Post”. Jestem w tej chwili zaledwie o parę ulic od pani. Czy mogłabym do pani na chwilę wpaść, żeby porozmawiać o kilku sprawach?

— Jakich sprawach?

— O Edzie Kealtem i dlaczego postanowiono wyciszyć sprawę.

— Co zdecydowano?!

— Właśnie o tym się dowiedzieliśmy.

— Chwileczkę, chwileczkę. Ostrzegali mnie przed takimi telefonami — odparła zaniepokojona Barbara Linders, mimo woli zdradzając się tą wypowiedzią.

— Oni zawsze przed czymś przestrzegają, przeważnie nie przed tym, co potrzeba. Może sobie pani

przypomina: w ubiegłym roku to ja napisałam tę historię o kongresmenie nazwiskiem Grant i o brzydkich rzeczach, jakie działały się w biurze w jego okręgu. To ja ujawniłam wybryki tego bydlaka podsekretarza stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych, ja mam oko na takie rzeczy, Barbaro! —

mówiła siostrzanym, niby to pełnym troski głosem. I wszystko, co mówiła, było prawdą: niemalże zdobyła dziennikarską nagrodę Pulitzera za reportaże mówiące o seksualnych wybrykach szacownych polityków.

— Skąd mam wiedzieć, że to właśnie jest pani?

— Widziała mnie pani w telewizji, prawda? Niech pani mnie zaprosi, a zjawię się w ciągu pięciu minut.

— Najpierw zadzwonię do pana Murraya.

— Doskonale, niech pani dzwoni. Ale niech mi pani obieca jedno.

— Co takiego?

— Jeśli on pani potwierdzi to, co ja mówię na temat powodów przeciągania sprawy, chowania jej do szafy, zgodzi się pani na rozmowę ze mną. — Zamilkła, by po chwili dodać: — Może bym jednak mogła już teraz do pani przyjść. Jeśli Dan pani powie, że nie, to tylko wypijemy kawę i coś sobie na później przygotujemy. Zgoda?

— No dobrze... chyba... Ale ja muszę teraz zadzwonić do pana Murraya. — Barbara Linders odłożyła słuchawkę, by ją po chwili podnieść i wystukać z pamięci numer Dana.

— Tu Dan...

— Panie Murray! — niemalże krzyknęła Barbara, wstrząśnięta tym, co przed chwilą usłyszała.

— ...oraz Liz — uzupełnił głos kobiecy, chyba żony, i dalej oba głosy, nagrane na taśmę automatycznej sekretarki, stwierdziły zgodnie, że w chwili obecnej żadne z nich nie może podejść do telefonu, wobec czego proszą...

— Boże, Dan, gdzie się podziewasz, Dan, właśnie wtedy, kiedy cię potrzeba? — zadała Barbara pytanie maszynie i zrozpaczona odwiesiła słuchawkę, nim dowcipne nagranie polecilo czekać na dźwiękowy sygnał i zostawić wiadomość. Czy to możliwe? Czy to aby prawda?

Doświadczenie mówiło jej, że w Waszyngtonie wszystko może się wydarzyć.

Barbara Linders rozejrzała się po pokoju. Spędziła w Waszyngtonie jedenaście lat. I co osiągnęła?

Dwupokojowe mieszkanie z reprodukcjami starych oleodruków na ścianie, ładne meble, owszem, którymi cieszyły się tylko jej oczy. Wspomnienia, które groziły wpadnięciem w depresję I była w tym

wszystkim sama, cholernie sama, i chciałaby te wspomnienia zniszczyć, zmasać, wykreślić z pamięci, a przy okazji zniszczyć i człowieka, który tak bezwzględnie rozbił jej życie, i okazuje się, że nawet i to nie będzie jej dane. Czy to możliwe? Najgorsze ze wszystkiego było to, że Liza czuła to samo. Barbara wiedziała to z jej listu, którego fotokopię nadal trzymała w szkatułce na biurku. Zatrzymała szkatułkę i list jako pamiątki po najlepszej przyjaciółce. Właśnie odczytanie listu przed kilkoma miesiącami uświadomiło jej, że za wszelką cenę musi bronić się przed wpadnięciem w taką depresję, w jaką wpadła Liza. I jednocześnie skłoniło ją to do szczerego wyznania wszystkiego ginekologów. Ten skierował ją do Clarice Golden. W

ten oto sposób rozpoczął się cały proces, który prowadził... Właśnie! Dokąd, gdzie? Usłyszała brzęczyk przy drzwiach i poszła otworzyć.

— Cześć! Poznaje mnie pani? — Pytaniu towarzyszył ciepły i wyrażający sympatię uśmiech, Libby Holtzman była wysoka, miała gęste czarne włosy, które okalały bladą twarz, i piwne oczy.

— Proszę wejść! — powiedziała Barbara, przepuszczając gościa.

— Zadzwoń pani do Dana?

— Nie było go w domu... Albo też nie odbiera i tylko automatyczna sekretarka odpowiada...

Pani go zna?

— O tak, znam dobrze Dana — odparła Libby, idąc w stronę kanapki.

— Czy jemu można ufać? Naprawdę ufać? — spytała Barbara.

— Mam odpowiedzieć szczerze? Tak, Danowi można by całkowicie zaufać, gdyby prowadzona przez niego sprawa zależała tylko od mego. Wtedy można by mu w pełni zaufać. To porządny człowiek.

— Ale ta sprawa nie zależy od niego, tak?

Libby przecząco pokręciła głową. — To zbyt wielka sprawa. Ma zabarwienie polityczne. I jeszcze jedno, jeśli chodzi o Murraya. On jest bardzo lojalny. Robi to, co mu każą. Czy mogę usiąść, Barbaro?

— Proszę. — Usiadły obie na kanapce.

— Pani wie, czemu służy prasa? Prasa nad wszystkim czuwa. Ja bardzo lubię Dana. Nawet go podziwiam. To doskonały policjant. Uczciwy policjant. I założę się z panią, że podczas rozmów z panią zachowywał się jak starszy, twardy, ale chętny, by przyjść z pomocą, brat? Prawda?

— Przez cały czas — przyznała Barbara. — Stał się moim najlepszym przyjacielem. Jedynym, jakiego mam.

— I na pewno nie kłamał. Był szczerzy. To jeden z porządniejszych ludzi. Znam jego żonę. Ma na imię Liz. Jak pani przyjaciółka... Problem polega na tym, że nie wszyscy są tacy, jak Dan. I wówczas

wkraczać musimy my, prasa.

— Nie rozumiem? — spytała Barbara.

— Kiedy ktoś coś każe zrobić ludziom takim, jak Dan, to oni, będąc lojalnymi pracownikami, robią to. I wie pani co? Nienawidzą tego, co robią. Nienawidzą tak samo jak pani nienawidzi człowieka, który wyrządził pani krzywdę. Moim zadaniem jest pomóc takim, jak Dan. Ja potrafię sobie poradzić z łobuzami, którzy dyszą różnym Danom nad karkiem i każą im robić różne rzeczy...

— Nie mogę... to znaczy, naprawdę nie jestem w stanie... Libby wyciągnęła rękę i musnęła dłoń Barbary.

— Nie chcę, żeby mi pani dawała cokolwiek do publikacji. Nic, co mogłoby zniweczyć szansę rozprawy sądowej, pomieszać szyki prokuratorowi. Tak samo jak pani, chciałabym, aby rozprawa się odbyła i winny został ukarany. Ale chyba może pani ze mną porozmawiać nieoficjalnie, w zaufaniu.

— Chyba tak...

— Pozwoli pani, że będę nagrywała rozmowę. — Reporterka wyjęła kieszonkowy magnetofon.

— A kto będzie tego słuchał?

— Oprócz mnie tylko jedna osoba. Mój szef. Robimy to zawsze, żeby umiejscowić źródło informacji i nie pomylić się w niczym. To tak, jakby pani rozmawiała ze swoim adwokatem albo lekarzem, albo księdzem. Istnieją twarde zasady i my ich nigdy nie łamiemy.

Teoretycznie Barbara wiedziała o tych dziennikarskich zasadach, ale tutaj, w jej saloniku dziennikarska moralność wydawała się cienka, cieniutka, jak włos. Libby Holtzman odczytała to w jej oczach.

— Jeśli pani tego nie akceptuje, to wstaję i wychodzę. Albo, jeśli pani woli, możemy rozmawiać bez magnetofonu, ale... — obdarzyła Barbarę uroczym uśmiechem, wręcz rozbrajającym — strasznie nie lubię stenografować. Przy stenografii powstaje tyle błędów i nieporozumień... Jeśli chce się pani chwilę nad tym wszystkim zastanowić, to proszę się zastanowić, pomyśleć, mamy czas. Wycierpiała pani dość nacisków i popędzania. Ja to wiem i rozumiem. Wiem, jak to jest w tych sprawach.

— Dan mi to samo mówił, ale on mnie nigdy nie popędzał, nie przyduszał. Naprawdę nie!

Libby Holtzman spojrzała prosto w oczy Barbary. Zastanawiała się, czy Dan dostrzegł w tych oczach ten sam ból, który podobnie go poruszył, jak i ją obecnie. Prawdopodobnie dostrzegł, może troszkę w innej optyce, ponieważ jest mężczyzną, ale jest także dobrym policjantem. I pewno też go rozsadza złość, że sprawa jest sztucznie hamowana. Właśnie taka sama złość rozsadzała teraz Libby.

— Barbaro, jeśli chce pani ot, po prostu ze mną porozmawiać, to też chętnie posłucham, czasami



potrzebny jest nam jakiś przyjaciel, któremu można się zwierzyć. Przez pewien czas mogę przestać być reporterem. Też jestem kobietą...

— O Lizie pani wie?

— Jej śmierć właściwie nigdy nie została wyjaśniona, prawda?

— Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Dzieliliśmy wszystko. I kiedy on...

— Jest pani pewna, że Kealty miał z tym coś wspólnego?

— To ja znalazłam list Lizy.

— Jaki list? Co pani o nim wie? — Libby nie mogła pozbyć się dziennikarskiej ciekawości i obyczaju formułowania dziennikarskich, drążących pytań.

— Po co mam mówić, kiedy mogę pokazać. — Barbara wstała i na chwilę wyszła z pokoju.

Wróciła z fotokopiami, które wręczyła Libby.

Na przeczytanie listu nawet dwa razy wystarczyły Libby dwie minuty. Data, miejsce, metoda!

Informacja z za grobu, pomyślała. Raczej posłanie z za grobu. Cóż teraz mogło być bardziej niebezpiecznego dla sprawcy, niż czarny atrament na białej kartce.

— Pani wie, że za to, co tu jest napisane, on może iść do więzienia?

— Dan mi to samo powiedział. I uśmiechał się zadowolony, kiedy to mówił. On chce, żeby winny był ukarany.

— A pani też tego chce?

— Tak!

— To niech mi pani pomoże sobie pomóc...

# Pierwsze uderzenie

Nazywa się to dobrodziejstwem nowoczesnej technologii łączności jedynie dlatego, że nic nowoczesnego nie może być przecież przekleństwem. W rzeczywistości ci, którzy korzystają z owych cudów techniki czy technologii, są czasami zdruzgotani skutkami ich użycia.

Nawet jak na wysoki standard prezydenckiego samolotu, ten lot do Moskwy był nadspodziewanie gładki i spokojny. Triumfowali ci, przeważnie młodszy i głupszy członkowie prezydenckiego personelu, którzy lubili się zawsze popisywać tym, że nigdy nie zapinali pasów, lecąc prezydenckim samolotem.

Ryan uważał to za fanfaronadę, załogi były doskonałe, zawsze jednak mogło się coś zdarzyć, jak na przykład wówczas, kiedy samolot wiozący sekretarza obrony i jego żonę podchodził do lądowania w Andrews. Piorun trafił w sam czubek nosa i wszystkim zrobiło się bardzo, ale to bardzo głupio. I dlatego Ryan zakładał pas zarówno przy starcie, jak i lądowaniu, a w czasie lotu tylko go rozluźniał, podobnie jak piloci.

— Doktorze Ryan! — Jack usłyszał szept, a jednocześnie poczuł czyjeś palce na swoim ramieniu.

— Co się stało, sierzancie? — Nie było sensu warczeć na Bogu ducha winnego podoficera.

— Pan van Damm prosi pana na górę.

W drodze do schodków Jack wziął kubek kawy z rąk sierżanta. Zegar obwieszczał, dziewiątą rano, ale nie informował, gdzie jest dziewiątą rano, a Ryan zapomniał, na jaką strefę czasową ustawiono pokładowe zegary. Był to zresztą problem czysto akademicki, ileż stref czasowych może bowiem jednocześnie współistnieć w jednym samolocie?

Górny pokład VC-25C zdecydowanie kontrastował z pokładem dolnym. Miast eleganckich obić, dywanów, miękkich skórzanych foteli, wielka kabina wypełniona była wojskową aparaturą: konsolami i pulpitemi, w których indywidualne panele miały chromowane rączki, by w razie potrzeby można było je wyjąć i wymienić całe podzespoły. Przy pulpitemi siedział cały zastęp specjalistów od łączności, wsłuchanych we wszystkie możliwe źródła informacji: radia, monitory telewizyjne, faksy. Wszystkie odbierane kanały były kodowane z wyjątkiem publicznych źródeł. W środku tej elektronicznej komnaty cudów stał Arnie van Damm i podał Jackowi stronę, która zawierała faksymile ostatniego wydania

„Washington Post” — pierwszej strony dziennika, który dotarł do punktów sprzedaży sześć godzin i sześć tysięcy kilometrów temu.

Tytuł poprzez cztery szpalty obwieszczał:

WICEPREZYDENT

ZAMIESZANY

## SAMOBÓJSTWO!

Pięć kobiet oskarża Eda Kealty'ego o seksualne molestowanie.

— I po to mnie obudziłeś? — spytał Ryan. Te sprawy nie mieściły się w zakresie jego obowiązków i zainteresowań.

— Wymienione jest twoje nazwisko.

— Co takiego? — Jack zaczął czytać: „Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa Ryan jest wtajemniczony w sprawę”. — No jestem, więc co z tego?

— Czytaj dalej.

— „Przed czterema tygodniami Biały Dom polecił FBI, aby nie oddawano sprawy do senackiej komisji sprawiedliwości”. To jest nieprawda!

— Cały artykuł jest wspaniałym koktajlem półprawd i kłamstw. — Szef personelu Białego Domu był absolutnie wściekły.

— Skąd jest przeciek?

— Pojęcia nie mam. Ale pod artykułem podpisała się Libby Holtzman, jej mąż zaś śpi w ogonie naszego samolotu. On cię lubi. Idź i pogadaj z nim.

— Poczekaj chwilkę, nie pędź tak! Cała ta sprawa da się łatwo wyjaśnić. Potrzeba nam trochę czasu na szczere wyjaśnienie wszystkiego. Z tego co wiem, prezydent nie zrobił nic niewłaściwego.

— Jego polityczni wrogowie mogą to nazwać ingerowaniem w czynności wymiaru sprawiedliwości.

— Co ty wygadujesz? Takie oskarżenie można bez trudu obalić. — Jack był szczerze zdumiony.

— Coś podobnego!

— Nie chodzi o obalenie w sądzie. Rozmawiamy o różnych sprawach. To ma wymiar polityczny, chodzi o politykę, a nie o prawdę i fakty. Zbliżają się wybory. Wybory! Porozmawiaj z Bobem Holtzmanem. Teraz, od razu. — Van Damm rzadko rozkazywał. Uczynił to teraz i miał do tego prawo.

— Powiedziałaś już o tym Szefowi? — spytał Ryan, zwijając w trąbkę kopię faksu z czołówką

„Washington Post”.

— Niech sobie jeszcze pośpi. Jak będziesz na dole, to przyślij mi Tish.

— Dobrze. — Ryan zszedł na niższy pokład, obudził Tish Brown i wskazał jej palcem piętro.

Następnie poszedł do stewardów, do „personelu pokładowego” — sam się w myślach poprawił, uświadamiając sobie, że to jest rządowy, a nie rejsowy samolot.

— Proszę mi tu ściągnąć Boba Holtzmana — polecił.

Przez odsłonięte okienko widział blady świt. Może rzeczywiście była dziewiąta rano tam, dokąd lecieli? Zaraz, zaraz, lądowanie w Moskwie przewidziane było na godzinę drugą po południu, czasu lokalnego. W kuchni siedział sierżant kucharz, czytając tygodnik „Time”. Ryan podszedł i do pustego już kubka nalał kawy.

— Nie może pan spać, doktorze Ryan? — spytał kucharz.

— Już nie mogę. Wzywają obowiązki.

— Mam ciepłe bułeczki, jeśli pan ma ochotę.

— Wspaniały pomysł.

— O co chodzi? — spytał Bob Holtzman, wsadzając głowę do kuchni. Tak jak wszyscy mężczyźni w samolocie, powinien się już ogolić. Jack podał mu kopię faksu.

— Dlaczego? — spytał.

Holtzman bardzo szybko czytał. — O Jezuu, czy to prawda?

— Od dawna Libby nad tym siedzi?

— To zupełnie nowość dla mnie, cholera, bardzo mi przykro, Jack.

Ryan skinął głową i uśmiechnął się, chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty. — Rozumiem.

Mnie też dopiero co obudzono.

— Czy to prawda, Jack?

— Nieoficjalnie?

— Zgoda.

— FBI prowadzi dochodzenie już od dłuższego czasu. Daty podane przez Libby są zbliżone.

Musiałbym jednak zajrzeć do mojego kalendarza, żeby dokładnie je ustalić. Poinformowano mnie o

całej sprawie mniej więcej w okresie, kiedy wybuchła ta historia z obrotem towarowym z Japonią, ponieważ chodziło o prawo dostępu Kealty'ego do poufnych informacji. Co mu mogę powiedzieć, a czego nie.

Wiesz przecież, o co chodzi.

— To rozumiem, ale jaka jest ostateczna klasyfikacja nie tyle Kealty'ego, co sprawy?

— Przewodniczący i liderzy obu partii w komisji sprawiedliwości zostali poinformowani.

Podobnie jak Al Trent i Sam Fellows. Nikt niczego nie hamuje, nie chowa pod sukno. Z tego, co wiem, prezydent przez cały czas trzyma jeden kurs. Kealty musi odejść, a po przesłuchaniach przez komisję Senatu, o ile do nich dojdzie...

— W opinii publicznej już doszło — przerwał Holtzman.

— Nie jestem tego pewien. Jeśli Kealty znajdzie sobie dobrego adwokata, to dobije targu. Będzie to samo, co niegdyś z Agnew. Jeśli natomiast dojdzie do pełnej procedury parlamentarnej i rozprawy w senacie, to niech go potem aniołowie strzegą w wypadku karnej rozprawy przed ławą przysięgłych, która musiałaby być naturalnym następstwem.

— Rozsądnie rozumiesz — powiedział Holtzman. — A więc twoim zdaniem Libby popłatała kierunki?

— Tak uważam. Jeśli ktoś gdzieś pakuje coś w szprychy koła wymiaru sprawiedliwości, to ja naprawdę nic o tym nie wiem. A byłem dokładnie poinformowany o całej sprawie.

— Rozmawiałeś z Kealtym?

— Nie o tej sprawie. Informuję o innych rzeczach jego sekretarza do spraw bezpieczeństwa narodowego, który z kolei przekazuje to swemu szefowi. Nie byłbym dobrym partnerem do rozmowy z Kealtym w sprawach gwałtu. Mam dwie córki, jak wiesz.

— Znasz więc szczegóły?

— Nie, nie znam. I nie potrzebuję znać. Znam jednak dobrze Murraya i jeśli Murray mówi, że ma dowody, to mu wierzę. — Ryan dopił kawy i sięgnął po drugą bułeczkę. — Prezydent nie usiłuje zatuszować sprawy. Po prostu oddanie jej komisji zostało opóźnione, by nie kolidowało z innymi sprawami. I to wszystko.

— W zasadzie nie powinniście nawet tego robić. To ingerowanie w domenę wymiaru sprawiedliwości.

— Nie gadaj głupstw, Bob. Prokuratorzy też mają swój kalendarze i często muszą przesuwać sprawy na dalszy termin. Przecież tylko o to chodzi.

Holtzman bacznie przyjrzał się wyrazowi twarzy Jacka i skinął głową. — Przekażę to —

powiedział.

Było jednak już za późno, by zatkać dziury i opanować sytuację. Waszyngtońscy gracze polityczni wstają wcześnie rano. Piją kawę, czytają gazety, i to bardzo dokładnie. Zerkają na dodatkowe informacje na faksach i bardzo często odbierają wczesne telefony albo — jak to ostatnio stało się modne

— włączają komputery, żeby odczytać elektroniczne listy. A wszystko razem po to, aby opuszczając dom mieć już w palcach klimat czekającego ich dnia. Wielu członków tego szacownego klubu wpływowej elity otrzymało faksowe wydruki pierwszej strony „Washington Post” z dołączonymi notami i wyjaśnieniami, że sprawa ta może mieć dla nich osobiście poważne znaczenie. Autorzy tych aneksów używali przy tym osobistych kodów i zdań o ukrytym znaczeniu — różnych, w zależności od tego, która to była agencja prasowa wśród wielu zajmujących się dostarczaniem swoim klientom specjalnie dla nich przykrojonych zestawów informacyjnych. Niemniej wszystkie opracowania podobne były do siebie merytorycznie.

Niektórzy z tych, którzy owe osobiste analizy otrzymali, należeli do grona przeciwników Ustawy o Regulacji Handlu. Teraz uświadomili sobie, że oto nadeszła okazja politycznego odkucia. I chyba jedynie nieliczni z tej okazji nie zamierzali skorzystać.

Komentarze towarzyszące rewelacjom Libby Holtzman były głównie nieoficjalne. Zdanie powtarzane najczęściej brzmiało: „to wygląda na bardzo poważną sprawę”. Innym ulubionym zwrotem było: „to bardzo niefortunne, że prezydent uważa za celowe mieszanie się do sprawy kryminalnej”.

Poranne telefony do Williama Shawa, dyrektora FBI, spotykały się z odpowiedzią: „Bez komentarza”.

Towarzyszyło temu dodatkowe wyjaśnienie, iż jest przyjęte, że FBI nie komentuje żadnych kryminalnych spraw w toku, mogłyby bowiem zostać naruszone przepisy mówiące o tym, że osoba podejrzana ma prawo do bezstronnej oceny swojego postępku, a to mogłoby zostać zachwiane i tak dalej. Takie wyjaśnienie rzadko trafiało do prasy i do wiadomości opinii publicznej, która musiała zadowolić się słowami „bez komentarza” nabierającymi w kontekście próżni informacyjnej specyficznego znaczenia.

Gdy nieszczęsny bohater sprawy, oskarżony Ed Kealty, obudził się tego ranka w swej rezydencji na terenach Obserwatorium Morskiego przy Massachusetts Avenue, na dole czekali już jego główni doradcy.

Ed Kealty zaklął brzydko i właściwie nie miał już nic więcej do powiedzenia. Nie było sensu wypierać się. Jego ludzie znali go zbyt dobrze. Wiceprezydent miał „kochliwą” naturę, tłumaczył sobie, co nie jest rzadkim zjawiskiem wśród osobistości życia publicznego, a poza tym postępował w zasadzie bardzo dyskretnie i nigdy się nie afiszował z kobietami.

— Liza Belinger! — syknął wiceprezydent, czytając artykuł Libby Holtzman. — Czy nie mogą zostawić biednej dziewczyny w spokoju? — Pamiętał, jakiego doznał szoku, gdy dowiedział się o jej śmierci i sposobie, w jaki ją sobie zadała: odpięła pas bezpieczeństwa i z prędkością stu czterdziestu

kilometrów uderzyła w podporę mostu. Lekarz sądowy ubolewał potem nad nieskutecznością tej metody zabijania się — żyła, gdy przyjechała karetka pogotowia. Słodki, miły dzieciak. Ale po prostu nie rozumiała świata i jego porządku. Chciała otrzymać od niego zbyt wiele. Może myślała, że z nią będzie inaczej niż z innymi. Cały problem polega na tym, że każda z nich uważa, że jest inna, pomyślał Kealty.

— Chcą pana politycznie ukatrupić — zauważył pierwszy doradca. Najważniejszą przecież rzeczą jest publiczny wizerunek polityka. Jeżeli ulegnie zniszczeniu, to koniec.

— On tego chce, o tak! — Co za sukinsyn, pomyślał wiceprezydent. Po tym wszystkim, co zrobiłem.  
— No dobrze, wasza rada? — zwrócił się do ludzi swojego personelu.

— Przede wszystkim wszystkiemu zaprzeczmy. I wyrazimy nasze oburzenie... — zaczęła szefowa wiceprezydenckiej kancelarii, podając kawałek papieru. — Przygotowałam właśnie oświadczenie prasowe, a jeszcze przed południem zwołamy konferencję prasową. — Szefowa kancelarii już wytypowała kilka obecnych i byłych pracowników Kealty'ego, które podczas konferencji będą stały tuż obok wiceprezydenta. Wszystkie należały do klanu, któremu wiceprezydenckie łóżko było dobrze znane, i mile je wspominały. Wielcy ludzie zawsze mają jakąś skazę. Jednakże w wypadku Kealty'ego skaza była chyba mniej ważna, niż prawdziwe osiągnięcia w sprawach istotnych.

Kealty szybko czytał „swoje” oświadczenie: „W przypadku całkowicie fałszywych oskarżeń jedyną obroną jest prawda... Wysunięte przeciwko mnie oskarżenia są kłamliwe... Opinii publicznej dobrze są znane moje osiągnięcia, podobnie jak moje nieustające poparcie dla pełnych praw kobiet i mniejszości... Stanowczo domagam się (osobisty doradca wiceprezydenta nie sądził, by użycie słowa

«żadam» było w tym wypadku wskazane) natychmiastowego przedstawienia mi domniemyanych zarzutów po to, abym mógł bezzwłocznie je odeprzeć... nie jest przypadkowym zbiegiem okoliczności, że oskarżenie zostało wysunięte w roku wyborów... żałuję także, iż podobne bezpodstawne insynuacje mogą również zaszkodzić wizerunkowi naszego wielkiego prezydenta, Rogera Durlinga...”.

— Natychmiast mnie połączcie z tym sukinsynem!

— Niedobry czas na konfrontację, panie wiceprezencie. Przecież „oczekuje pan jego pełnego poparcia”.

— O tak, oczekuję, oczekuję! — Zacytowane przez szefa kancelarii zdanie o poparciu przez Durlinga było nie tyle ostrzegawczym strzałem, co pociskiem wycelowanym w kapitański mostek.

Durling miał do wyboru poprzeć swego wiceprezydenta albo oczekiwać poważnych trudności w prawyborach.

Co jeszcze może zdarzyć się w tym roku? Chociaż dla innych porannych gazet było już zbyt późno na sprawę Kealty'ego — zbyt późno nawet dla „USA Today” — chwyciły się jej elektroniczne media, włączając ją do dzienników, przeglądów prasy i programów publicystycznych. Dla ludzi świata

finansów i inwestycji oznaczało to słuchanie programu pod nazwą „Poranne Wydanie” publicznej sieci radiowej NPR, w którym przez dwie godziny powtarzano czterokrotnie trzydziestominutowe odcinki.

Można było tego słuchać jadąc do biurowców na Manhattanie ze swojego domu w New Jersey lub Connecticut. Miejsc, gdzie słowa takie jak „gwałt” i „samobójstwo” zawsze budziły zainteresowanie.

Po ich usłyszeniu padały przekleństwa z tysięcy ust ludzi jadących tysiącami eleganckich limuzyn. I co jeszcze może się nam wydarzyć? Częste było to pytanie w sytuacji, kiedy rynek był nieco chwiejny, nieustabilizowany, a coś takiego jak wiadomość o wyczynach wiceprezydenta mogła także na giełdzie wywołać lekki niepokój, chociaż nie było po temu żadnego ekonomicznego uzasadnienia.

Niemniej wszyscy wiedzieli, że tak być musi, ilekroć skandal dotyczy wysoko postawionej osobistości.

Dlatego też brano to pod uwagę w kalkulacjach i planach, co z kolei wywoływało przekonanie, że zaistniał poważny problem. Inżynierowie komputerowi zjawisko to określali mianem „pętli zwrotnej”.

Dojeżdżając do swych biur inwestorzy i finansiści wiedzieli już na pewno, że tego dnia notowania na giełdzie ponownie spadną, tak jak spadały przez jedenaście z minionych czternastu dni, chociaż technicznie oceniając, doskonałych okazji kupna było na giełdzie niemało. Niemniej drobni inwestorzy na wszelki wypadek zaczną sprzedawać, a następnie uczynią to wielkie domy brokerskie i fundusze powiernicze, do których zaczną wydzwaniać zaniepokojeni drobni ciułacze, co pogłębi negatywny trend, tworząc absurdalną, zupełnie sztuczną sytuację. Cały system finansowy był częścią większego systemu noszącego miano demokracji, a skoro tak, to znerwicowane stado baranów również można nazwać wytworem demokracji.

— Trudno, Arnie. — Prezydent Durling nawet nie zapytał o źródło przecieku. To nie było ważne.

Wiedział o tym, jako doświadczony gracz na politycznej arenie.

— Rozmawiałem z Bobem Holtzmanem — powiedział Ryan, rozszyfrowując spojrzenie i wyraz twarzy van Damma.

— I co?

— Myślę, że mi uwierzył. Mówiłem mu przecież prawdę. Mówiłem prawdę? — Nie było to tylko retoryczne pytanie. Ryan chciał się upewnić.

— Mówiłeś prawdę, Jack. A Ed będzie musiał sam to rozwiązać. Z mojej strony nie może oczekiwać żadnej pomocy. — Wyraz ulgi na twarzy Ryana był tak wyraźny, że prezydent aż się obruszył.

— Myślałeś może, że ja rzeczywiście chciałem schować sprawę pod sukno?



— Oczywiście że nie — odparł szybko Ryan.

— Kto o tym wie?

— Tu w samolocie? — zapytał van Damm. — Bob chyba powtórzył to innym.

— No to z miejsca ukręćmy temu łeb. Przygotuj oświadczenie, Tish — zwrócił się prezydent do rzecznika prasowego. — Komisja Departamentu Sprawiedliwości jest poinformowana, żadnych nacisków na nią nie wywierałem.

— A jak mamy wyjaśnić opóźnienie? — spytała Tish Brown.

— Wspólnie zdecydowaliśmy z przewodniczącym komisji, że sprawa wymaga... czego wymaga?

— Prezydent spojrział w sufit. — Wymaga czystego przedpola...

— ...jest na tyle poważna... nie, jest na tyle ważna, że zasługuje na skupioną uwagę Kongresu, kiedy nie odwracają tej uwagi inne poważne problemy — zaproponował Ryan i pomyślał, że to niezły pomysł.

— Jeszcze z ciebie zrobię polityka — pochwalił go Durling i obdarzył uśmiechem pełnym podziwu.

— O samej sprawie nic bezpośrednio nie wiemy. Żadnych ocen, nic — odezwał się van Damm.

Była to rada w formie nakazowej.

— Wiem, wiem. Nic nie mogę powiedzieć o faktach, ponieważ nie wolno ingerować w postępowanie dowodowe i ewentualne argumenty obrony. Mogę natomiast powiedzieć, że każdy obywatel uważany jest za niewinnego, póki inaczej nie wypowiedzą się instytucje powołane i tak dalej. I że Ameryka na tej koncepcji bazuje swoje prawo... No i co tam jeszcze potrzeba. Napisz to wszystko, Tish, ja to odczytam dziennikarzom przed lądowaniem. I może wtedy będziemy mogli się zająć tym, po co jedziemy. Jeszcze coś macie? — spytał Durling.

— Sekretarz stanu twierdzi, że wszystko jest przygotowane tak, jak miało być. Żadnych niespodzianek. — Wreszcie Ryan mógł złożyć własny meldunek. — Sekretarz skarbu ma gotowy tekst umowy o wsparciu finansowym, można go parafować. Od tej strony, panie prezydencie, wizyta zapowiada się miło, gładko i przyjemnie.

— Jestem zbudowany — odparł Durling sucho. — Dobrze, teraz mnie zostawcie, muszę zająć się sobą. — Samolot prezydencki czy nie, ale podróżowanie tylu osób w takiej bliskości zawsze stwarzało problemy. Człowiek czuł się po prostu nieswojo. Prywatne życie prezydenta w najlepszych nawet warunkach było nieustannie zagrożonym bezcennym skarbem, ale w Białym Domu mury przynajmniej oddzielały od innych. Niestety nie w samolocie. Sierżant lotnictwa wyłożył ubranie prezydenta i przybory do golenia. Poprzednie dwie godziny spędził pucując czarne półbuty, aż zaczęły jaśnieć własnym blaskiem. Prezydentowi nie wypadało wypraszać teraz człowieka, który na każdym kroku okazywał chęć pomocy i lojalność. Ludzie zawsze prześcigają się w demonstrowaniu lojalności. Wszyscy z wyjątkiem tych, których się bardzo potrzebuje. Z taką myślą Durling zamknął za

sobą drzwi malutkiej umywalki.

— Mamy ich więcej!

Sanchez wyszedł z toalety w pobliżu centrum dowodzenia i zobaczył, że wszyscy stoją skupieni wokół mapy, na której rozrysowana była sytuacja bojowa. Trzy skupiska małych szpileczek o główce w kształcie rombu oznaczały okręty nieprzyjaciela. Ponadto okręt podwodny „Charlotte” znajdował się w pobliżu znaku V, określającego japoński okręt podwodny i „Asheville” zawiadomiła, że też coś podobnego wywahała. A co najważniejsze rozciągnięty patrol samolotów ZOP *S-3 Viking*, lecący dwieście mil przed grupą bojową zidentyfikował coś, co mogło być patroliem japońskich okrętów podwodnych. I chyba było. Dwa z nich płynęły pod samą powierzchnią i wysunęły chrapy, żeby naładować akumulatory. Jeden rozpoznano za pomocą sieci *SOSUS*, drugi przez pławy hydrolokacyjne.

Kiedy zaczęto szukać między tymi namiarami, znaleziono jeszcze dwa okręty. Obliczono również przewidywalne odległości między okrętami podwodnymi i podano informację samolotom, by mogły się na nich skoncentrować.

— Jutro o zachodzie? — spytał Sanchez.

— Ponieważ oni tak bardzo lubią wschodzące słońce, to my ich złapiemy podczas kolacji.

— To mi odpowiada. — Sanchez podniósł słuchawkę telefonu, by zawiadomić szefa sztabu grupy powietrznej lotniskowca.

— Długo to trwa — mruknął Jones.

— Pamiętam czasy, kiedy siedziałeś na tyłku przez długie godziny. Miałeś dwunastogodzinną wachtę i nawet nie pisałeś — powiedział Wally Chambers.

— Byłem wtedy młody i głupi — odparł. I paliłem, przypomniał sobie. A jaka to dobra rzecz papieros, żeby zachować czujność i móc się lepiej skoncentrować. Ale na okrętach podwodnych w większości wypadków nie wolno było palić. Aż dziwne, że niektóre załogi się nie zbuntowały. Nisko upadają obyczaje w Marynarce, nawet buntować się nie chcą. — No i widzisz, czy niesłusznie chwaliłem moje oprogramowanie?

— Chcesz nam wmówić, że nawet ciebie może zastąpić komputer?

Kontraktowy dostawca oprogramowania dla komputerów Marynarki spojrzał z błyskiem w oku na oficera. — Drogi panie Chambers, kiedy przybywają latka, trzeba ograniczyć picie kawy.

— Wy dwaj znowu zaczynacie? — Admirał Mancuso, który przed chwilą ogolił się w sąsiedniej toalecie, podszedł sprawdzając gładkość policzków.

— Nasz Jonesy zamierzał dotrzeć dziś na jakąś plażę, choćby japońską. Ma już dosyć tych ćwiczeń.  
— Chambers zarechotał, a potem pociągnął łyk dekafeinizowanej kawy.

— Ćwiczenia bywają przydługie — zgodził się admirał.

— No i dzięki takim manewrom można sprawdzić jakość mojego produktu, prawda?

— Jeśli bardzo chcesz wiedzieć, co o nim sądzimy, to ci zdradzę: podpiszę wniosek zakupu.

Możesz sporządzić kontrakt. — Jednym z powodów tak łatwej aprobaty było to, że Jones okazał się o dwadzieścia procent tańszy od IBM.

— Mam już dalsze plany. Właśnie zaangażowałem dwóch speców z Woods Hole. To nigdy nie przyszło do głowy panom oficerom Marynarki.

— Co mianowicie?

— Będziemy rozszyfrowywali mowę delfinów. Teraz, skoro możemy je tak doskonale podsłuchiwać, zrozumienie mowy będzie łatwiejsze. Ale nas pokochają chłopaki z ochrony środowiska!

Zadanie dla okrętów podwodnych na następne dziesięciolecie: bezpieczne morze dla naszych kuzynów ssaków. Będziemy też mogli pogonić japońskich szubrawców, którzy za nimi latają z harpunami.

— W jaki sposób?

— Mam pewien pomysł, na który z pewnością dostaniecie pieniądze.

— Jaki to pomysł?

— Ci goście z Woods Hole twierdzą, że wyodrębnili sygnały alarmowe trzech gatunków.

Wyłapali te sygnały przez hydrofony wtedy, kiedy pływali z wielorybnikami. Mogę zaprogramować te sygnały. Mieszczą się w zakresie częstotliwości, na których pracujemy. Mogę więc takie sygnały nadawać. I teraz jak to wygląda: okręt podwodny płynie sobie w pobliżu wielorybników i nadaje sygnały spreparowane przeze mnie. I co się dzieje? Wielorybnicy znajdują figę z makiem. Żaden wieloryb o zdrowych zmysłach nie pojawił się w promieniu trzydziestu kilometrów od miejsca, z którego inny wieloryb wrzeszczy, że go właśnie napadli. W społeczności waleni nie obowiązuje zasada, żeby śpieszyć na pomoc towarzyszowi w niedoli.

— Chcesz z nas zrobić strażników przyrody? — spytał Chambers, ale było widać, że poważnie rozmyśla nad pomysłem Jonesa.

— I wystarczy, żeby admirałowie powiedzieli swoim przyjacielom w Kongresie, że Marynarka robi dobrą robotę w dziedzinie ochrony środowiska. Oni nie muszą kochać Marynarki, nie muszą przepadać za nuklearnymi okrętami podwodnymi, niech tylko do nich dotrze, że się robi dobrą robotę.

Zapewniam wam panowie, zajęcie na następne dziesięć lat. Pełne ręce roboty i w dodatku forsa. —

Mówiąc to, Jones zapewniał również robotę i pieniądze także na dziesięć lat dla swojej firmy, ale to było naturalne i w tym przypadku nieistotne. Mancuso i jego podwodna flotylla potrzebowali gwałtownie jakiegoś zajęcia. — A poza tym okropnie lubiłem słuchać wielorybów i delfinów, kiedy pływałem na

„Dallas” — dokończył.

— Sygnał z „Asheville”! — krzyknął przez drzwi technik łączności. — Trafili na swój cel.

— Nieźle — stwierdził Jones, patrząc na plan sytuacyjny. — W dalszym ciągu jesteśmy najsilniejszym chłopakiem na podwórku.

Samolot prezydencki wylądował na lotnisku Szeremietiewo, jak zwykle miękko i minutę przed czasem. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy pilot włączył rewers i ciężka maszyna zaczęła gwałtownie wytracać szybkość, tocząc się po gładkiej nawierzchni pasa. Wkrótce rozległ się szcęk klamer odpinanych pasów.

— Co cię tak wcześnie obudziło? — spytała Cathy męża.

— Wydarzenia polityczne u nas w kraju. Teraz już mogę ci powiedzieć. — W trakcie wyjaśniania Ryan przypomniał sobie, że ma w kieszeni faks z odbitką pierwszej strony „Washington Post”. Wyjął go i podał żonie, ostrzegając, że nie wszystko w artykule jest prawdą.

— Zawsze uważałam, że to śliski człowiek — powiedziała po przeczytaniu, oddając faks.

— Nie pamiętasz czasów, kiedy był sumieniem Kongresu?

— Być może i był, ale nie jestem pewna, czy sam je miał.

— Pamiętaj tylko...

— Jeśliby ktoś pytał, to jestem chirurgiem, który ma zamiar spotkać się z rosyjskimi kolegami i trochę pozwiedzać. — Była to prawda. Oficjalna wizyta i związane z nią obowiązki nie pozostawiały Ryanowi wiele wolnego czasu. Był przecież jednym z głównych doradców prezydenta. Mimo to podróż ta pod wieloma względami nie różniła się od rodzinnych wypraw wakacyjnych. Ich gusty, jeśli idzie o zwiedzanie, były bardzo podobne, choć czasami okazywało się, że są diametralnie różne. Cathy wiedziała dobrze, że Jack nienawidzi zakupów w jakiegokolwiek formie. Ta cecha występuje często u mężczyzn, a u Ryana przeszła w obsesyjną niechęć.

Wielka maszyna skręciła z głównego pasa w betonowany korytarz podjazdu. Prezydent i pani Durling opuścili swoją podniebną kwaterę, gotowi objawić się w otwartych drzwiach jako uosobienie Stanów Zjednoczonych. Jako symbol! Wszyscy inni w samolocie siedzieli onieśmieleni, zarówno agentami Tajnej Służby, jak i żandarmami Sił Powietrznych.

Zajęcie nie do pozazdroszczenia, mruknął pod nosem Ryan, widząc jak prezydent przyobleka twarz w wyraz absolutnego zachwyty. Wiedział dobrze, że głowa państwa przynajmniej po części kłamie.

Prezydent musi robić tyle rzeczy, a w trakcie wykonywania każdej musi sprawiać wrażenie, że tylko to pragnąłby robić i że na szczęście nie ma nic innego na głowie. Pochłonięty jedną sprawą rejestruje i kategoryzuje w pamięci wszystko, co go otacza i dotyczy, udając jednocześnie, że istnieje dla niego tylko ta jedna sprawa. Może jest to trochę tak, jak z Cathy i jej pacjentami? Bardzo interesujące porównanie.

Gdy otwarto drzwi samolotu, Ryan usłyszał dętą orkiestrę wykonującą rosyjską wariację na temat hymnu amerykańskiego.

— Chyba teraz już możemy wstać?

Zaczął obowiązywać protokół. Przez okna samolotu było widać, jak prezydent schodzi ze schodków, podaje rękę nowemu prezydentowi Rosji, wita się z ambasadorem amerykańskim w Republice Rosyjskiej. Wtedy ruszyła reszta oficjalnej amerykańskiej delegacji, opuszczając samolot tymi samymi schodkami, podczas gdy prasę ewakuowano schodkami bliżej ogona.

Wszystko wyglądało inaczej niż podczas poprzedniej wizyty Ryana w Moskwie. To samo lotnisko, ale inna pora dnia, pogoda, nastrój. Wystarczyło spojrzeć na jedną tylko twarz, aby to sobie uświadomić — na Siergieja Mikołajewicza Gołowko, szefa rosyjskiego wywiadu, który stał za pierwszym rzędem dygnitarzy. W tamtych czasach w ogóle nie pokazałby swojego oblicza, ale teraz jego niebieskie oczy natychmiast wyłowiły Ryana i przedziwnie wesoło rozbłysły, gdy prezydencki doradca, trzymając żonę pod ramię, schodził po schodkach.

Pierwsze objawy były bardzo niepokojące. Często tak bywało, gdy względy polityczne kolidowały z prawami ekonomii. Związki zawodowe zaczęły pokazywać zęby. I po raz pierwszy od wielu lat robiły to bardzo chytrze. Prawdopodobnie w przemyśle samochodowym i pokrewnych przemysłach uzupełniających powstanie z powrotem paręset tysięcy miejsc pracy. Wynikało to z prostego rachunku: w ubiegłym roku importowano do Stanów Zjednoczonych samochodów i części samochodowych za blisko dziewięćdziesiąt miliardów dolarów. Obecnie trzeba będzie to wszystko wyprodukować na miejscu.

Zasiadając do negocjacji z dyrekcjami koncernów i przedsiębiorstw, kierownictwa związków zawodowych doszły do kolektywnego wniosku, że Ustawa o Regulacji Handlu ma jeden poważny mankament, a mianowicie brak formalnego zapewnienia ze strony rządu, iż cały ten pakiet legislacyjny nie jest papierowym tygrysem, i że w imię międzynarodowej przyjaźni nie zostanie wrzucony wkrótce do kosza. Aby takie zapewnienie otrzymać, trzeba było podrażnić w Kongresie. Związki zawodowe rozpoczęły wielką kampanię w kongresowych kuluarach. Jednym z głównych akcentów tej kampanii było przypominanie reprezentantom narodu, że lada moment zawita wyborczy cyklon. Dawane były obietnice, podejmowane działania i zarówno obietnice, jak i działania pokazały, że w tym wypadku podziały partyjne nie odgrywały dominującej roli. Nawet środki masowego przekazu zauważyły, że wszystko dobrze się układa, i ochoczo to komentowały. Nie sądzono, aby Kongres zamierzał jedną ręką coś dawać, a drugą odbierać.

W zasadzie pozostawała tylko sprawa naboru ludzi. Zakładano poważne zwiększenie zdolności produkcyjnych. Stare zakłady oraz te, które produkowały poniżej swoich możliwości, będą musiały się poważnie przeorganizować. Dlatego też składano już wstępne zamówienia na maszyny,

oprzyrządowanie i surowce. Nawet stosunkowo krótki okres, kiedy to projekt Ustawy o Regulacji Handlu wędrował przez Kongres, a po uchwaleniu do prezydenta, zaczynał się tak wielkim skokiem aktywności, że krzywe na wielu wykresach wybiegły poza plansze. Stwierdzono też poważne zwiększenie ilości pobieranych przez zakłady produkcyjne — przeważnie związane z przemysłem samochodowym — krótkoterminowych kredytów, aby mieć czym sfinansować zakupy materiałów od poddostawców. To ożywienie miało charakter inflacyjny, a inflacją od dłuższego już czasu martwiła ekonomistów. Zwiększenie ilości udzielanych kredytów poważnie uszczuplało rezerwy i siłą rzeczy rynek kapitałowy kurczył się. Proces ten należało jak najszybciej zahamować. Prezesi banku centralnego, Banku Rezerw Federalnych, postanowili o pół punktu podnieść stopę dyskontową, zamiast ćwierć procenta, co już uzgodnili poprzednio i co przeciekło do wiadomości publicznej. Decyzję miano obwieścić pod koniec następnego dnia.

Komandor Ugaki znajdował się w centrum dowodzenia swojego okrętu podwodnego. Jak zwykle palił papierosa po papierosie i wypijał olbrzymie ilości herbaty, co zmuszało go do częstych odwiedzin własnej kabiny i przyległej doń kapitańskiej ubikacji. Poza tym miał powtarzające się ataki kaszlu i to kaszlu suchego w tym pozbawionym wilgoci powietrzu (na okrętach podwodnych powietrze maksymalnie odwilgacano, by chronić systemy elektroniczne). Ugaki wiedział, że „one” muszą tam być. Co najmniej jeden, a może nawet dwa amerykańskie okręty podwodne: „Charlotte” i „Asheville”. Tak informowały służby wywiadowcze. Nie bał się okrętów, bał się załóg. Amerykańskie siły podwodne zostały drastycznie zmniejszone, jakoś operacyjna natomiast pozostała na najwyższym poziomie. Spodziewał się już wiele godzin temu trafienia na ślad nieprzyjacielskich okrętów podwodnych. Pomyślał sobie, że być może one go wcale nie wyniuchały. Nie mógł być jednak tego pewien. Od trzydziestu sześciu godzin komandor wiedział, że to już nie są manewry pod kryptonimem WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY. O nie!

Dowiedział się tego z szyfrowanej depechy, która zawierała jedno zdanie: „Wspiąć się na górę Nitaka”.

Jakże pewny i buńczuczny był jeszcze przed tygodniem, jednakże teraz znajdował się na morzu, głęboko pod jego powierzchnią. Przejście od teorii do rzeczywistości było szokujące i dawało wiele do myślenia.

— Jest coś? — spytał oficera hydro. W odpowiedzi otrzymał przeczący ruch głową.

Normalnie podczas takich jak te manewrów amerykańskie okręty podwodne włączały jakieś źródło dźwięków, aby zwiększyć siłę sygnałów wędrujących wodą. Było to robione wówczas, gdy przeprowadzano ćwiczenia symulacyjne z wykrywaniem rosyjskich okrętów podwodnych. Z jednej strony była to amerykańska arogancja, a z drugiej bardzo chytre posunięcie. Marynarka Stanów Zjednoczonych niesłychanie rzadko mogła zademonstrować swoje pełne możliwości podczas ćwiczeń z sojusznikami czy nawet z jednostkami własnymi, przyjęto więc zasadę dawania for. Zupełnie tak, jakby strasznie pewny siebie biegacz specjalnie wkładał ciężkie bucior, nadal mając zamiar przybiec pierwszy do mety. W

efekcie załogi amerykańskie okazywały się nadzwyczajne, gdy wreszcie postanawiały grać

normalnie, nikomu nie dając żadnych for. Jednakże prawdziwy samuraj jest cierpliwy.

— To zupełnie tak, jak namierzanie wielorybów, prawda? — zauważył komandor porucznik Steve Kennedy.

— Bardzo podobne — odparł operator hydrolokatorów pierwszej klasy Jacques Yves Laval, junior. Laval mówił cicho, nie odrywając oczu od monitora. Masował sobie spocone od słuchawek uszy.

— Jesteś rozczarowany?

— Ojciec to robił poważną robotę! Kiedy dorastałem, nic innego mi nie opowiadał, jak tylko o czyhaniu na grubasków na północy, na ich własnym poletku. — „Francuz” Laval był szeroko znany w rodzinie podwodniaków, a jego nazwisko przeszło do legendy. Wspaniały sonarzysta, który wyszkolił

zastępy innych doskonałych sonarzystów. Teraz, kiedy przeszedł na emeryturę w randze starszego bosmana sztabowego, rodzinną tradycję kontynuował jego syn.

Może to kogoś zdziwi, ale namierzanie wielorybów było doskonałą drogą do zdobycia pewności siebie i opanowania rzemiosła sonarzysty. Wieloryby poruszały się niemalże bezszelestnie nie dlatego, że usiłowały się przed kimś skryć, ale po prostu potrafiły poruszać się z wielką łatwością, przy dużej ekonomii wysiłku. Załogi okrętów podwodnych stwierdzały, że chociaż liczenie z bliska wielorybich rodzin nie jest specjalnie podniecające, niemniej stanowi pewną rozrywkę. W każdym razie dla sonarzystów, pomyślał sobie Kennedy. Natomiast jeśli idzie o uzbrojonego nieprzyjaciela...

Laval wpił wzrok w obraz przypominający wielki wodospad. Poprawił się w krześle, sięgnął po tłustą kredkę i klepnął w plecy siedzącego obok marynarza.

— Dwa siedem zero — powiedział spokojnym głosem.

— Aha — odparł młodzik.

— Co tam masz? — spytał szef hydro.

— Małe pacniecie, sir. Na sześćdziesięciu hertzach. — Po pół minucie dodał: — Sygnał jest mocniejszy.

Kennedy stał za oboma dyżurnymi hydrolokatorami. Na monitorach widział dwie przerywane linie, jedną na częstotliwości sześćdziesięciu hertzów, drugą na paśmie wyższej częstotliwości. Silniki elektryczne okrętu podwodnego klasy *Haruzio* pracowały na sześćdziesięciu cyklach prądu zmiennego.

Nieregularne serie kropek — żółtych na ciemnym ekranie — spływały kaskadą wzdłuż linii wyznaczającej sześćdziesiąt cykli. Niby kropeczki skapujące w zwolnionym tempie z ciekącego

kranu.

Stąd ta często używana nazwa: „wodospad”. Laval wpatrywał się pilnie przez kilka sekund, aby się upewnić, czy nie trafił na przypadkowe odbicie. Zdecydował, że nie. Że to właśnie jest to!

— Myślę, że powinniśmy teraz rozpocząć namierzanie. Określam źródło tego dźwięku jako Sierra-Jeden, najprawdopodobniej płynie pod wodą, kurs dwa siedem cztery, słaby sygnał.

Kennedy przekazał informacje do punktu dowodzenia ogniowego o pięć metrów dalej. Inny specjalista włączył komputerowy analizator kanałów akustycznych firmy Hewlett-Packard. Do jego zadań należało ustalenie prawdopodobnych kanałów, którymi mógł przepływać zidentyfikowany sygnał

akustyczny. Chociaż wiadano powszechnie o istnieniu takiego oprogramowania, należało ono nadal do najbardziej strzeżonych sekretów Marynarki. Kennedy przypomniał sobie, że oprogramowanie to pochodzi z zakładów „Sonosystems” w Groton, a jego właścicielem jest główny protegowany Francuza Laval. Komputer przez tysiąc mikrosekund konsumował otrzymane informacje, po czym udzielił

odpowiedzi.

— Od ośmiu do dwunastu tysięcy metrów.

— Wprowadzić dane! — rozkazał podoficerowi oficer uzbrojenia.

— To nie jest wieloryb — odezwał się Laval po trzech minutach. — Mam już trzy namiary.

Sierra-Jeden to bez wątpienia okręt podwodny, płynący na silnikach elektrycznych. — Laval uświadomił

sobie, że jego ojciec zbudował swoją reputację na namierzaniu rosyjskich okrętów podwodnych klasy *Hotel*, które było równie trudno usłyszeć, jak trzęsienie ziemi. Poprawił słuchawki na uszach. — Kurs nadal dwa siedem cztery, zaczynam mieć śladowe odczyty śruby...

— Ustanowiony kierunek — zameldował oficer uzbrojenia. — Cel dla wyrzutni trzeciej na Sierra-Jeden.

— Ster w lewo dziesięć stopni — rozkazał następnie Kennedy, aby uzyskać drugie odniesienie, co by mu pozwoliło na lepszy namiar celu, a także uzyskanie danych co do kursu i szybkości nieprzyjacielskiego okrętu. — Zmniejszmy prędkość, pięć węzłów.

Najwięcej radości zawsze dawało skradanie się do zwierzyny.

— Jeśli to zrobisz, to tak jak byś podcinał własne gardło tępym nożem — powiedziała Anne Quinlan, jak zwykle nie owijając sprawy w bawełnę.



Kealty siedział za swoim biurkiem. W normalnych warunkach zastępca dzierżyłby ster, gdyby szef był nieobecny. Jednakże cud elektroniki sprawiał, że Roger Durling mógł robić wszystko, co należało robić, nawet gdyby znalazł się o północy nad biegunem. Mógł nawet wydać z Moskwy oświadczenie, w którym odcinał się od własnego wiceprezydenta, rzucając go na pożarcie prasie.

Pierwszym zamiarem Kealty'ego było obwieszczenie całemu światu, że wie, iż cieszy się poparciem prezydenta. To by wprawdzie tylko pośrednio sugerowało, że doniesienia prasowe nie są prawdziwe, ale jednocześnie zdezorientowałoby wszystkich na tyle, że Kealty zyskałby czas i przestrzeń do jakiegoś manewru. Tego właśnie najbardziej potrzebował.

— Przede wszystkim powinniśmy się dowiedzieć, Ed, kto to wszystko zaczął — zwróciła mu uwagę szef kancelarii, i to nie po raz pierwszy. Tej jednej rzeczy prasa nie podawała, a przecież dziennikarze są podobno tacy sprytni i wścibscy. Chociaż była jego najbliższą współpracownicą, nie wypadało jej pytać, ile kobiet Kealty gościł w swoim łóżku. Ściślej mówiąc, ile pracownic ze swojej kancelarii. Zresztą z pewnością już tego nie pamiętał. I byłoby bardzo trudno wyłowić i zidentyfikować owe zapomniane.

— To musiał być ktoś bliski Lizie — podsunął któryś z doradców. I nagle wszyscy się ożywili, ponieważ wszystkim przyszło jedno nazwisko do głowy.

— Barbara. Barbara Linders!

— Chyba tak! — wykrzyknęła szef kancelarii. Anne Quinlan wołała, by o niej myślano jako o szefie, a nie „szefowej”. — Najpierw musimy to potwierdzić, a potem trochę ją osadzić.

— Kobieta odrzucona... — mruknął Kealty.

— Ed, bez takiego gadania. Nie chcę tego więcej słyszeć — ostrzegła Anne Quinlan. — I kiedy wreszcie się nauczysz, że słowo „nie” oznacza „nie”, a nigdy „może później tak”, ja sama pójde porozmawiać z Barbarą i może mi się uda wyperswadować jej... Tylko niech to będzie po raz ostatni, dobrze? Przestań postępować lekkomyślnie.

# Jajko Wielkanocne

— Czy tutaj stała szafa? — spytał Ryan.

— Zapomniałem, że jesteś świetnie poinformowany — zauważył Gołowko wyłącznie w celu sprawienia przyjemności Ryanowi tym komplementem, ponieważ cała historia była dość powszechnie znana.

Jack się uśmiechnął. W dalszym ciągu czuł się jak Alicja w Krainie Czarów. Teraz były tu zupełnie zwyczajne drzwi, ale do czasów Jurija Andropowa stała w tym miejscu wielka szafa na ubrania, gdyż w latach panowania Berii i poprzedników wejście do gabinetu szefa NKWD musiało być zamaskowane. Z gabinetu nie było wyjścia na korytarz, nie było też widocznego wyjścia do sekretariatu.

Absurdalny melodramat, pomyślał z rozbawieniem Ryan, nawet jak na czasy Berii, który żył w chorobliwym lęku przed zamachem i wymyślił ten głupi sposób zabezpieczania się. Chociaż trudno się było dziwić, iż Beria bał się gwałtownej śmierci, no i w ostatecznym rozliczeniu to go właśnie spotkało.

Zginął z rąk ludzi, których nienawiść była większa niż strach przed wszechpotężnym szefem tajnej policji.

Tak czy inaczej było coś niesamowitego w obecności prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa w gabinecie szefa rosyjskiego wywiadu. Duch Berii musi wrywać sobie włosy z głowy. Ciekawe, gdzie teraz przebywa? Tu, czy w jakimś kanale, do którego spłynął wraz z wyrzuconymi tam prochami swego pana? Ryan przeniósł wzrok na Gołowkę, ale myślał o starym ozdobnym biurku i dawnej nazwie — KGB.

Właściwie szkoda, że dla tradycji nie zachowali dawnej nazwy. Wszyscy się przyzwyczaili. Komitet do spraw Bezpieczeństwa Państwowego!

— Drogi Siergieju Mikołajewiczu, czy to możliwe? Czy to możliwe, żeby świat tak się zmienił przez zaledwie dziesięć lat?

— Jeszcze nawet nie ma dziesięciu, drogi przyjacielu. — Gołowko wskazał Jackowi wygodny skórzany fotel, który pochodził jeszcze z czasów zamierzonego wcielenia budynku, kiedy znajdowało się tu towarzystwo ubezpieczeń „Rossija”. — Ale ileż jeszcze zostało nam do zrobienia!

Przechodzimy do interesów, pomyślał Ryan. No cóż, Siergiej zawsze był bardzo rzeczowy. Ryan przypomniał sobie chwilę, kiedy patrzył na otwór lufy pistoletu w rękach tego człowieka. Wszystko to jednak działo się w tak zwanych czasach końca historycznego etapu.

— Robię wszystko, co mogę, Siergieju. Uzyskaliśmy dla was pięć miliardów za rakiety. Tak na marginesie: porządnie nas wycyckaliście! — Ryan spojrzał na zegarek. Ceremoniał zniszczenia

ostatnich rakiet przewidziany był na ten właśnie wieczór. Bo tylko dwie pozostały. Jedna *Minuteman III* i jedna *SS-19*. Oczywiście jeśli nie liczyć japońskich *SS-19*, przekonstruowanych, by mogły wynosić na orbitę satelity.

— Mamy liczne problemy, Jack!

— Chyba mniej, niż w ubiegłym roku? — Ryan zastanawiał się, jakie może być następne żądanie.

— Wiem dobrze, że doradzasz prezydentowi nie tylko w sprawach swojego resortu. Nie opowiadaj, Siergiej, sprawy mają się znacznie lepiej, wiesz o tym dobrze.

— Nikt nam nigdy nie powiedział, że demokracja to taka trudna rzecz.

— I dla nas też jest trudna, kolego. Co dzień odkrywamy ją na nowo.

— Najgorsze jest to, że w zasadzie wiemy, iż posiadamy wszystko, co jest nam potrzebne, aby kraj rozkwitał. Tylko jak to zrobić? Jak to uruchomić, wzajemnie dopasować. Masz rację, doradzam prezydentowi w wielu sprawach...

— Drogi Siergieju, byłbym absolutnie zdumiony, gdybym się dowiedział, że nie jesteś w swoim kraju najlepiej poinformowaną osobą...

— Hmm, może to i prawda. Dokonujemy przeglądu surowcowego wschodniej Syberii. Za wiele bogactw. Musieliśmy do tej roboty wynająć Japończyków, ale sam diabeł wie, co oni tam znajdują...

— Do czego zmierzasz, Siergiej? O co ci chodzi?

— Podejrzewamy, że oni nam wszystkiego nie mówią. Wygrzebaliśmy starą dokumentację z lat trzydziestych w archiwach byłego NKWD. Na przykład: zasoby gadolinitu w dość nieoczekiwanym miejscu. W tamtym czasie nikt tego nie potrzebował i wszyscy o tym zapomnieli. Dopiero moi zaczęli się dogrzebywać. Gadolinit ma obecnie szerokie zastosowanie. Otóż jeden z japońskich zespołów geologicznych rozbił obozowisko zaledwie o parę kilometrów od tych pokładów. My wiemy, że te pokłady istnieją. W latach trzydziestych przywieziono nawet próbki do analizy. W raporcie Japończyków nie ma ani słowa o tym metalu.

— No i?

— No i bardzo się zdziwiłem, że nam na ten temat kłamią. — Chwilowo nic więcej nie powiedział. Przy takich rozmowach trzeba zdążać do rzeczywistego celu bardzo wolno, powolutku, etapami.

— Jak im za to płacicie?

— Umowa przewiduje, że będą współnikami przy eksploatacji wielu surowców, które odkryją.

Warunki bardzo dla nich korzystne.

— Więc dlaczego mieliby kłamać? — spytał Ryan.

Gołowko pokręcił głową. — Nie mam pojęcia. A warto by się dowiedzieć. Twoim konikiem jest historia?

Właśnie to w sobie cenili i to budziło ich wzajemny szacunek. Rozmawiając z kim innym Ryan mógłby potraktować podobne wynurzenia jako jeszcze jeden przejaw rosyjskiej paranoi. Czasami miał

nawet wrażenie, że słowo to zostało specjalnie wynalezione dla tego kraju. Jednakże w wypadku Gołowki byłoby to krzywdzące. Tak, Ryan znał historię i wiedział, że Rosja biła się z Japończykami w wojnie 1904-1905 i przegrała, zaś w trakcie jednej z morskich batalii pozwoliła odnieść Japonii historyczne, wymieniane w podręcznikach zwycięstwo pod Cuszimą. Ta wojna przyczyniła się do osłabienia tronu Romanowych i wyniosła Japonię do rzędu światowych potęg, co wciągnęło ją w dwie kolejne wojny światowe. Rana zadana Rosjanom pod Cuszimą długo krwawiła i Stalin pamiętając o tym skorzystał, by odebrać Japonii Wyspy Kurylskie. Japonia uczestniczyła także, w latach po pierwszej wojnie światowej, w próbach obalenia bolszewickiego reżimu, wysyłając swoje oddziały do Wschodniej Syberii.

Wycofywała je potem bez większego entuzjazmu. Podobne wydarzenia miały następnie miejsce w roku 1938-1939. Tym razem konsekwencje były znacznie poważniejsze. Japończycy dostali po łapach najpierw od marszałka Bluchera, a potem od jegomościa nazwiskiem Żuków. O tak, historia stosunków japońsko-rosyjskich była bogata w wydarzenia.

— Ale dziś, w obecnych czasach, Siergiej? — Ryan dobrze odgadł sens pytania Gołowki.

— Wiesz co, Jack, mimo żeś człowiek bardzo bystry, jesteś tylko Amerykaninem. Wasze doświadczenie, jeśli chodzi o najazdy i inwazje, jest bardzo skąpe. My natomiast coś o tym wiemy. Ale nie wpadamy w panikę. Niemniej to drobne kłamstwo warte jest naszej uwagi, nie sądzisz? Bo moim zdaniem, Iwanie Emmetowiczu, warte jest nawet skupionej uwagi.

Gołowko wyraźnie do czegoś zmierzał, a ponieważ szedł tak długo bocznymi ścieżkami, musiał zmierzać do czegoś poważnego. Najwyższy czas dowiedzieć się, o co tutaj chodzi.

— Drogi Siergieju Mikołajewiczu, w zasadzie rozumiem twój niepokój, twoją troskę, ale cóż ja na to wszystko mógłbym ci poradzić...

Gołowko przerwał mu jednym słowem: — OSET.

— Stara siatka Lialina? Więc co OSET?

— Ostatnio ją reaktywowaliście. — Szef rosyjskiego wywiadu stwierdził, że Ryan był na tyle przyzwoity, że ze zdziwienia zamrugał. Naprawdę błyskotliwy, poważny człowiek, ten Ryan, ale nigdy nie byłby z niego dobry agent terenowy. Zbyt otwarcie ujawniał swoje myśli i uczucia. Może Ryan powinien przeczytać jakąś dobrą książkę o Irlandii, aby lepiej zrozumieć rolę gracza w skórzanym fotelu.

Ryan miał swoje mocne strony i słabości. Ale ani jednych, ani drugich do końca nie pojął.

— A skąd ci to przyszło do głowy? — zapytał Ryan najbardziej niewinnym głosem, na jaki potrafił się zdobyć. Zdawał sobie sprawę, że dał się przyłapać staremu doświadczonemu profesjonalście.

Widział, że Gołowko uśmiecha się z wyrozumiałością z powodu jego zakłopotania. Był ciekaw, czy to liberalizacja życia w Rosji pozwoliła ludziom rozwinąć poczucie humoru. Dawniej Gołowko siedziałby z kamienną twarzą.

— Jack, obaj jesteśmy zawodowcami, prawda? Ja wiem o OŚCIE, a skąd wiem, to moja sprawa.

— Nie wiem, jakimi kartami grasz, przyjacielu, ale nim posuniemy się dalej, muszę wiedzieć, czy to jest gra przyjazna, czy nie.

— Jak jest ci wiadomo, kontrwywiad japoński wchodzi w skład ich ministerstwa sprawiedliwości.

Nazywa się Departamentem Nadzoru Bezpieczeństwa Publicznego. — Stwierdzenie było jasne i najprawdopodobniej prawdziwe. Ściśle też określało charakter rozmowy. A więc gra była przyjacielska.

Gołowko podzielił się z Ryanem może nie najistotniejszą, ale ciekawą informacją.

Należało podziwiać Rosjan. Ich doskonałość w szpiegowaniu była światowej klasy. Nawet nie tak. Ryan poprawił się: to była ekstraklasa powyżej światowego poziomu. Czyż jest lepszy sposób szpiegowania w jakimś kraju, niż umieszczenie własnych agentów w łonie kontrwywiadu tego kraju?  
W

dalszym ciągu podejrzewano, że w swoim czasie Rosjanie właściwie kontrolowali kontrwywiad brytyjski, sławne MI-5. Mieli tam swoich agentów przez dobre kilka lat. A także, że spenetrowali komórkę kontrwywiadu CIA. To ostatnie nie było nawet podejrzeniem, ostatnio okazało się faktem bardzo żenującym dla Ameryki.

— Ty otwierasz licytację — powiedział Ryan. Musimy sprawdzić, co ma w kartach, pomyślał

Ryan.

— Aktualnie macie w Japonii dwóch agentów, udających rosyjskich dziennikarzy. Ich zadaniem jest reaktywowanie siatki OSET. Doskonali agenci, bardzo ostrożni, ale jeden z ich kontaktów pracuje dla kontrwywiadu japońskiego. Każdemu to się może przydarzyć — skomentował Gołowko. Jack wiedział, że Gołowko nie zamierza triumfować. Był zbyt dobrym profesjonalistą, aby to robić, a poza tym uzgodniono, że gra jest przyjacielska. Niemniej treść między wierszami była aż nadto jasna: jednym skinięciem palca Gołowko mógł spalić Clarka i Chaveza, wywołując kolejny incydent w stosunkach między obu państwami, które miały aż nadto dużo problemów do rozwiązania. I dlatego Gołowko nie triumfował. Nie musiał.

— Dobrze, kolego, poddaję się. Powiedz mi, czego chcesz?

— Chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego Japończycy nas okłamują. I wszystko inne, co zdaniem pani Foley mogłoby nas interesować. W zamian jesteśmy gotowi otoczyć opieką waszych agentów. Mamy po temu możliwości. — Nie dodał, że opieka byłaby do czasu.

— Co oni wiedzą? — spytał Ryan, rozważając ofertę, która zakładała, że Rosjanie będą prowadzili amerykańską operację. Było to zupełnie coś nowego, bez precedensu. Bardzo im zależało na informacjach, które Clark mógłby uzyskać. Bardzo, bardzo zależało. Dlaczego?

— Wiedzą tyle, że mogliby ich wydalic. Nic więcej — odparł Gołowko. Otworzył szufladę i wyjął z niej kartkę. — To powinno Folejowej wystarczyć. — Podał kartkę Ryanowi.

Jack przeczytał i schował kawałek papieru do kieszeni. — Nie chcielibyśmy żadnego konfliktu Rosji z Japonią.

— A więc? Zgoda?

— Zgoda, Siergiej. Przekażę twoją propozycję. Z aprobatą.

— Jak zwykle dobrze robi się z tobą interesy, Iwanie Emmetowiczu.

— A dlaczego sami nie uaktywniliście tej siatki? — zapytał Ryan zastanawiając się, czy też w ogólnym rozrachunku nie został szpetnie wyrolowany.

— Lialin ukrył część informacji. Sprytny. Nie mieliśmy dość czasu, żeby go... przekonać? Tak, przekonać, żeby nam ją dał, nim go wam oddaliśmy.

Misterne zdanie. Nie przekonaliśmy go! Ha! No cóż, Gołowko był spadkiem po dawnym systemie. Trudno oczekiwać, aby mu się nagle stały obce stare metody. Jack się uśmiechnął.

— Wiesz, byliście wspaniałymi przeciwnikami — powiedział Gołowko i Jack pomyślał, że za tymi bezwzględnyimi oczami nawet teraz rodzi się coś, co zapowiada początek czegoś zupełnie innego.

Czy ten świat może być jeszcze bardziej zwariowany, niż jest teraz?

W Tokio było sześć godzin później, w Nowym Jorku osiem godzin wcześniej. Między Tokio a Nowym Jorkiem czternaście godzin różnicy, a międzynarodowa linia zmiany daty stwarzała wiele okazji do nieporozumień. Metr w prawo była sobota czternastego, metr w lewo piątek, trzynastego.

O trzeciej nad ranem Chuck Searls po raz ostatni wyszedł ze swego mieszkania. Poprzedniego dnia wynajął samochód. Podobnie jak wielu innych nowojorczyków nie posiadał własnego wozu.

Samochód był mu potrzebny, żeby udać się na lotnisko La Guardia. W terminalu Deltę oczekiwało zaskakująco wielu pasażerów na pierwszy poranny lot do Atlanty. Chuck miał zarezerwowane

miejsce przez jedno ze śródmiejskich biur podróży. Za bilet zapłacił gotówką, podając fałszywe nazwisko, jakiego miał teraz używać. Było to nazwisko w paszporcie, który załatwił sobie przed czterema miesiącami. Miał

miejsca 2-A w pierwszej klasie. Szeroki fotel pozwalał na obrócenie się na bok, wygodne oparcie głowy i sen. Spał prawie całą drogę do Atlanty, gdzie jego bagaż przekazano na samolot do Miami. Wiele ze sobą nie zabierał. Parę ubrań z tropiku, kilka koszul, trochę bielizny i przybory toaletowe oraz komputer laptop.

W Miami miał wsiąść na jeszcze inny samolot i to pod innym nazwiskiem. Kierunek południowo-wschodni, prosto do raj.

George Winston, były prezes i naczelny dyrektor holdingu Columbus nie czuł się specjalnie szczęśliwy, mimo otaczającego go luksusu willi w Aspen. Głównym powodem głębokiego niezadowolenia było kolano. Chyba wywichnięte. Chociaż wreszcie miał czas, aby oddać się nowoodkrytej pasji — nartom. Był zbyt mało doświadczonym narciarzem albo po prostu był zbyt stary, aby zjeżdżać trudnymi zboczami. Kolano cholernie bolało. Wstał z łóżka około trzeciej nad ranem i pokuśtykał do łazienki, aby zażyć jeszcze jeden przeciwbólowy proszek przepisany mu przez lekarza. W

łazience stwierdził, że jest zbyt rozbudzony, a kolano zbyt boli, by mógł liczyć na dalszy sen. Pomyślał, że w Nowym Jorku dochodzi właśnie piąta — była to pora, o której zawsze wstawał. Chciał być pierwszy przy swoim komputerze i pierwszy do zapoznania się z porannym wydaniem „Wall Street Journal” i innymi źródłami informacji, aby móc się przygotować do giełdowego dnia.

— Brakuje ci tego — powiedział własnemu odbiciu w lustrze. Nie ma się co oszukiwać. Tak jest, jak jest. Pracował przedtem zbyt wiele, zaniedbał własną rodzinę, doprowadził się do stanu, w którym był

w pełni uzależniony od pracy, jak narkoman od heroiny. Niemniej odejście było... błędem?

No, niezupełnie błędem, pomyślał kuśtykając z powrotem do gabinetu. Po prostu nie można nagle opróżnić naczynia, a potem próbować go napełnić... pustką. Prawda, że nie można? Nie mógł też przez cały czas żeglować na swoim jachcie „Cristobal”, nie wtedy, kiedy opiekował się dziećmi. Tak naprawdę to miał w życiu tylko jedną pasję, której mógł się poświęcać zawsze o każdej porze. I ta pasja go niemalże zabiła. Tak było.

Mimo to...

Cholera! Do tej zabitej dechami dziury nawet „Journal” nie dociera o przyzwoitej godzinie. I to nazywa się cywilizacją? Na szczęście istniały jeszcze telefony. W imię dawnych czasów włączył

komputer. Jego PC miał wejście do wszystkich możliwych finansowych serwisów informacyjnych.

Wybrał swój ulubiony. Żona zacznie na niego krzyżeć, gdy zobaczy, że powraca do poprzednich obyczajów. Zawsze krzyżała, kiedy go widziała przy komputerze. I dlatego Winston nie był już tak

na bieżąco w sytuacji giełdowej, jak by tego chciał, jako gracz czy też zwykły obserwator. Ale wszystko jest przecież w najlepszym porządku, przespał kilka godzin, a rano nie ma zamiaru lecieć helikopterem na szczyt góry. I w tym tygodniu żadnych nart. Doktor zakazał surowo. Co najmniej przez tydzień, powiedział, a potem ma się ograniczyć do łagodnych zjazdów z pagórków, gdzie praktykują początkujący.

No cóż, będzie udawał, że uczy dzieci, żeby się nie skompromitować we własnych i cudzych oczach.

Opuścił parkiet zbyt wcześnie. Za wcześnie, ale skąd miał o tym wiedzieć. Przez ostatnie kilka tygodni rynek aż się prosił o człowieka z jego talentem, który by paroma ruchami zgarnął sporo tu i tam.

Powinien był przed trzema tygodniami pójść na stal. Doskonale by zarobił. A następnie mógłby zainteresować się akcjami Silicon Alchemy. O tak, z akcjami Siliconu nie odwlekałby, ale zgarnął, ile się da. W Siliconie wynaleźli nowego typu ekran do przenośnych komputerów. Do laptopów. Kto tam był

głównymmacherem? Aha, ten facet Ryan. Dobra głowa do interesów, ma nosa. Marnuje teraz czas na federalnej posadzie. Marnowanie talentu! Winston poczuł bolesne strzyknięcie w kolanie. Natychmiast dodał do poprzedniej myśli drugą: że i on też marnuje tutaj swój talent. W środku nocy, w ośrodku narciarskim, gdzie i tak przez cały tydzień nie będzie mógł założyć nart.

Doszedł do wniosku, patrząc na zmieniające się na ekranie tabele, że rynek jest przedziwnie chwiejny. W myślach wybierał akcje, które wydawały się gwarantować odporność na giełdowe wahania.

To była jedna z tajemnic powodzenia w giełdowej grze: wypatrzeć trendy, zanim inni je dostrzegą.

Uprzedzić ich. Jedna z tajemnic? Skądże. Jedyna tajemnica! Trudno było kogoś nauczyć tej umiejętności.

Tak bywa w każdej dziedzinie ludzkiej działalności. Jednym się nigdy nie udaje, innym udaje się zawsze.

Należał do tych ostatnich. Inni usiłowali osiągnąć to samo: oszukując, kupując informacje, zdobywając je nieuczciwą drogą, tworząc fałszywe trendy, które później wykorzystywali w celu wzbogacenia się. To jest przecież zwykle nabieranie ludzi, prawda? Co za sens zarabiać pieniądze, oszukując innych. Jaka w tym przyjemność? Sztuka operowania na giełdzie polegała na pokonywaniu innych w uczciwej grze, dzięki własnym umiejętnościom. A co to za przyjemność słyszeć pod koniec dnia: „Ty sukiny!” No i ten ton podziwu w jakim zostało wygłoszone to zadanie.

Zastanawiała go chwiejność rynku. Nie było po temu powodów. Ot, pewno inwestorzy dobrze nie przemyśleli nowej konfiguracji na rynku.

Za pierwszą falą *Tomcatów* poleciały *Hornety*. Sanchez podprowadził swego myśliwca pod lewą



katapultę, wymacując ostrożnie punkt, w którym zapadka drążka, będącego jakby przedłużeniem goleni przedniego koła tuż pod nosem maszyny, powinna wejść we właściwy otwór. Myśliwiec zadygotał na pełnych obrotach silnika, podczas gdy personel pokładowy przeprowadzał ostatnią wzrokową kontrolę. W

pełni usatysfakcjonowany podoficer dowodzący czwórką marynarzy w żółtych kamizelkach dał sygnał.

Sanchez zdążył mu jeszcze odsalutować i oprzeć się o zagłówek. W chwilę potem sprężona para z wielką siłą wypchnęła samolot w powietrze. Po sekundzie *Hornet* gwałtownie opadł, na chwilę wywołując przedziwne uczucie, do którego piloci nigdy nie mogli się przyzwyczaić. Zaraz potem jednak ryczący silnik poniósł maszynę ku niebu. Sanchez schował podwozie i skierował się do punktu zbornego. Ciężyły mu skrzydła obładowane podwieszanymi zbiornikami paliwa i ćwiczebnymi raketami.

Japończycy byli sprytni i prawie to im się udało. Jednakże „prawie” w tej grze nie wystarczało.

Fotografie satelitarne ujawniły trzy zbliżające się nawodne grupy bojowe. Sanchez miał poprowadzić eskadrę ku największej z nich. Składało się na nią osiem okrętów. Same niszczyciele. Dwie wydzielone pary *Tomcatów* powinny przechwycić samoloty *P-3*, które Japończycy mieli w powietrzu. Po raz pierwszy wolno było polować aktywnie z włączonymi radarami namierzającymi, zamiast polegać na EMCOM, bez prawa sygnalizowania. Teraz chodziło o jedno pchnięcie szpadą. Chyba złe porównanie: trzepnięcie wielką ciężką maczugą byłoby bardziej na miejscu. Znienacka. Sporadyczne omiatanie z radarowej centrali na *E-2C*, umieszczonej na pokładzie *Hawkeye* potwierdzało, że Japończycy nie mieli żadnych myśliwców na wyspie Marcus. Tak czy inaczej, nie udałooby się przenieść tam takiej liczby maszyn, która by miała jakieś istotne znaczenie w konfrontacji z dwiema grupami powietrznymi na obu lotniskowcach.

Wyspa Marcus była bardzo mała. To nie Guam czy Saipan. I na tym Sanchez skończył abstrakcyjne myślenie. Na pewien czas. Wydał odpowiednie rozkazy przez radio krótkiego zasięgu i formacja zaczęła realizować starannie opracowany plan pozornego rozproszenia.

— *Hai!* — Admirał Sato podniósł słuchawkę telefonu na mostku „*Mutsu*”.

— Wychwyciliśmy rozmowę przez radio krótkiego zasięgu. Dwa wyraźne sygnały. Pierwszy namiar to jeden pięć siedem, drugi to jeden dziewięć pięć.

— Najwyższy czas — powiedział Sato do oficera operacyjnego grupy bojowej. — Już myślałem, że nigdy nie zaatakują — mruknął do siebie. W autentycznej sytuacji wojennej Sato zrobiłby jedno. W

obecnej uczyni zupełnie coś innego. Nie było sensu pokazywać Amerykanom, jak doskonały jest japoński sprzęt namiarowy. — Kontynuujcie jak dotychczas — rozkazał swemu telefonicznemu rozmówcy.

— Tak jest — usłyszał w odpowiedzi. — Nadal mamy w powietrzu dwa samoloty wczesnego ostrzegania.

— Dziękuję! — Sato odłożył słuchawkę i sięgnął po swoją herbatę. Jego najlepsi operatorzy siedzieli przy konsolach elektronicznego nasłuchu. Wszystkie otrzymane sygnały nagrywali na taśmy do późniejszej pełnej analizy. Była to w istocie najważniejsza faza obecnego ćwiczenia — dowiedzieć się wszystkiego, co można, o taktyce działań Marynarki Stanów Zjednoczonych.

— Alarm bojowy? — zapytał cicho kapitan „Mutsu”.

— Nie ma potrzeby — odparł admirał patrząc w zamyśleniu w horyzont. Tak jak każdy marynarz, gotujący się do walki.

Załoga samolotu *EA-6B Prowler*, o kryptonimie Szperacz Jeden, monitorowała wszystkie częstotliwości radarowe i radiowe. Odnaleziono i zidentyfikowano sześć typowych radarowych emisji z samolotów rejsowych. Żadna z nich nie pochodziła z rejonu, w którym operowały formacje japońskie.

Wszyscy doszli do wniosku, że Japończycy nie wysilają się zbytnio. Dość nudne manewry. Zwykle było bardziej wesoło.

Kapitan portu Tanapag na Saipanie wyjrzał przez okno swego biura i zobaczył, że zza południowego brzegu wyspy Managaha wypływa potężny frachtowiec do przewożenia samochodów.

Bardzo się zdziwił. Przejrzał szybko papiery na biurku, aby odszukać teleks uprzedzający o przybyciu tego statku. Ooo, jest! Musiał nadejść w nocy. „Orchid Ace” z Jokohamy. Ładunek? Toyoty Land Cruiser.

Port zastępczy. Samochody dla miejscowych japońskich właścicieli ziemskich. Najprawdopodobniej ładunek był początkowo przeznaczony na rynek amerykański. A teraz wszystko to przywożą tu, nie wiadomo po co, chyba żeby drogi były jeszcze bardziej zapchane. Kapitan mruknął coś ze złością i podniósł do oczu lornetkę, aby lepiej się przyjrzeć przybyszowi. Ze zdziwieniem zobaczył na horyzoncie jeszcze jeden transportowiec. Też wielki. Też z samochodami? Bardzo dziwne.

Szperacz Jeden utrzymywał pułap i pozycję tuż na skraju horyzontu, za którym znajdowały się „wrogie” siły, mniej więcej o sto mil na południe. „Elektroniczni wojownicy” zajmujący dwa siedzenia za pilotami trzymali dłonie na włącznikach sprzętu zagłuszającego, ale do tej chwili Japończycy nie włączyli żadnego ze swoich radarów i nie było niczego do zagłuszania. Pilot zerknął na południowy wschód i zobaczył kilka błysnięć — żółte odbłyski jakby impregnowanych złotem plastikowych kopuł, kabiny pilota powracających samolotów dywizjonu Alfa, które zmieniały kurs pod ostrym kątem, aby schować się za horyzont i, póki można, pozostawać poza radarowym namiarem, aż nadejdzie chwila wystrzelenia pierwszej salwy ćwiczebnymi raketami.

— Tango, tango, tango! — wykrzyknął Steve Kennedy przez gertrudę, podwodny telefon. Było to hasło do pozorowanego ataku torpedowego. Już od dziewięciu godzin utrzymywali kontakt z okrętem podwodnym klasy *Haruszio*, co im pozwoliło dobrze poznać przeciwnika i przyzwycząć załogę do czegoś, co wymaga znacznie więcej uwagi i sprawności, niż wsłuchiwanie się w bicie wielorybiego serca.

Wreszcie wszyscy znudzili się przekomarzaniem i należało coś zrobić. Kennedy postanowił włączyć podwodny telefon symulujący wypuszczoną torpedę i postraszyć Japońców z Sierra -Jeden, dając im, oczywiście, czas na odkrycie podwodnej wiązki dźwięków. Trzymano więc telefon włączony dość długo.

Kennedy nie chciał, żeby ktoś potem powiedział, że grał nieuczciwie. Oczywiście podobne igraszki nie musiały być konieczne takie uczciwe, ale przecież Ameryka i Japonia to zaprzyjaźnione państwa. Mimo wszystko. Mimo tych radiowych komunikatów, których pełno było od tygodnia.

— Nie śpieszył się — powiedział komandor Ugaki. Już od czterdziestu minut mieli zamiar na amerykański okręt podwodny klasy Los Angeles. Tak, Amerykanie byli dobrzy, ale nie tak dobrzy jak on.

Tak im było trudno wyniuchać „Kuruszio”, że wysłali ćwiczebną torpedę natychmiast po trafieniu na ślad.

Niech sobie raz strzelą, pomyślał Ugaki. Dowódca okrętu spojrział na oficera uzbrojenia i na cztery czerwone lampki na tablicy oznaczające poszczególne wyrzutnie torpedowe.

Podniósł słuchawkę podwodnego telefonu, aby odpowiedzieć głosem wyrażającym autentyczne zdziwienie: — Skąd tu się wzięliście?

Członkowie załogi, którzy znajdowali się w zasięgu kapitańskiego głosu — a wszyscy znali język angielski — byli zaskoczeni słowami kapitana. Ugaki widział ich spojrzenia. Wyjaśni im to później.

— Nawet nie „zatangował” w odpowiedzi. Pewno go nie było w centrali. — Kennedy ponownie włączył telefon. — Zgodnie z poprzednimi ustaleniami odrywamy się i odpływamy na napędzie głośnym.

— USS „Asheville” skręciła w prawo, zwiększając prędkość do dwudziestu węzłów. Odskoczy na jakieś dwadzieścia tysięcy metrów i następnie rozpocznie od nowa to samo ćwiczenie, pozwalając „nieprzyjacielowi” podszkolić lepiej swoje załogi.

— Hydro do centrali!

— Centrala, słucham?

— Nowy kontakt. Zamiar dwa osiem zero, dwuśrubowiec, płynie na powierzchni, typ nieznany.

Szybkość obrotów śrub sugeruje prędkość około osiemnastu węzłów. — Laval junior wyrzucił to jednym tchem.

Sanchez pomyślał, że to wszystko idzie zbyt łatwo. Grupa uderzeniowa „Enterprise” ma pewno trudniejsze zadanie na północy z niszczycielami klasy *Kongo*. Sanchez nie popisywał się, utrzymywał

pułap stu metrów nad spokojną powierzchnią morza, lecąc z prędkością około sześciuset kilometrów na godzinę. Cztery myśliwce bombardujące niosły po cztery ćwiczebne rakiety *Harpoon*. Podobnie uzbrojona była eskadra Młyn, lecąca w zwartej formacji za nimi. Sanchez spojrział na dane wyświetlane przez wskaźnik *HUD*. Zaprogramowany zaledwie przed godziną komputer podał mu przybliżone położenie formacji, a system nawigacyjny *GPS* wskazał dokładnie zaprogramowane miejsce. Najwyższy czas sprawdzić co warte są amerykańskie informacje operacyjne.

— Pocisk, tu prowadzący, idziemy w górę. Teraz! — zapowiedział formacji w ogonie.

Przyciągnął mocno drążek. — Włączyć radary!

I natychmiast pokazały się na wskaźniku *HUD*. Płynęły dostojnie, wielkie sylwetki. Sanchez wybrał sobie okręt flagowy formacji i włączył elektroniczny system celowniczy ćwiczebnych rakiet podczepionych pod skrzydłami.

— Tu prowadzący! — krzyknął do mikrofonu. — Ognia! Cztery wampiry poszły!

— Tu dwójka, poszły cztery.

— Tu trójka, poszły cztery.

— Czwórka, trzy poszły, jeden został na prowadnicy.

Prawie dobrze, pomyślał Sanchez, postanawiając jednocześnie powiedzieć parę słów zbrojmistrzowi i ludziom z obsługi.

Przy prawdziwym natarciu z powietrza samoloty natychmiast po odpaleniu rakiet spłynęłyby łukiem nad samą wodę, aby nieprzyjaciel nie zdążył ich namierzyć. Podczas ćwiczeń Sanchez zszedł

jedynie na siedemdziesiąt metrów i poleciał w stronę nieprzyjacielskich okrętów symulując własną rakietę. Komputery na pokładzie rejestrowały wiązki radarowe i inne sygnały elektroniczne z okrętów japońskich, aby móc później ocenić ich przygotowanie do działań bojowych, które jak do tej pory nie wyglądało na imponujące.

Dowództwo Marynarki zmuszone do zezwolenia kobietom na pilotowanie samolotów bojowych, a więc i na startowanie z lotniskowców, zgodziło się początkowo na kompromis: pilotki miały stanowić załogi samolotów walki elektronicznej i samolotów wczesnego ostrzegania. Pierwszą kobietą, która dowodziła dywizjonem samolotów Marynarki, była komandor Roberta Peach, przyzwisko „Zielona”.

Obecnie nie była już zielona — ze wszystkich kobiet miała najdłuższy staż na lotniskowcach. Bawiło ją, że inna pilotka używała kodowego imienia „Brzoskwinia”<sup>4</sup>. Podczas bojowych lotów komandor Peach przyjęła kryptonim „Bandyta”.

— Bandyta, mam sygnały — usłyszała w słuchawkach głos siedzącego z tyłu oficera walki elektronicznej. — Od cholery różnych emisji.

— Zagłusz je — poleciła.

— Jest ich bardzo wiele... Ustawiam *HARM* na *SPG-51*... Szukam, mam. Gotowe.

— Ognia! — powiedziała Bandyta. Do jej prerogatyw jako dowódcy należało odpalenie rakiety.

Tak długo jak radar *SPG-51* był włączony i emitował, tak długo można było mieć pewność, że antyradarowa rakietka *HARM* trafi go bez pudła.

Sanchez widział teraz okręty. Szare sylwetki w obrębie horyzontu. Niemiłe skrzeczenie w słuchawkach obwieściło mu, że opromieniowały go wiązki zarówno radaru poszukującego, jak i namierzającego. Nawet podczas manewrów nie jest to miła sytuacja, zwłaszcza że „nieprzyjaciel” używał

w konkretnym przypadku przeciwlotniczych rakiet amerykańskiej konstrukcji — *SM-2 Standard*, których walory były Sanchezowi dobrze znane. Przypominały one rakiety typu *Hatakaze*. Dwa *SPG-51C* —

radary kontroli ognia mogące równocześnie naprowadzać po dwie rakiety. *Hornet* to cel większy niż *Harpoon* i nie latał ani tak nisko, ani tak szybko jak rakietka. Z drugiej strony Sanchez miał na pokładzie zagłuszacz, który w efekcie wyrównywał szansę. Pchnął drążek w lewo. Przelatywanie nad okrętem podczas ćwiczeń było niezgodne z instrukcjami. Po paru sekundach przemknął jakieś trzysta metrów przed dziobem niszczyciela. W warunkach bojowych trafiłby go co najmniej jedną z rakiet. Niszczyciel miał jakieś pięć tysięcy ton wyporności. Najwyżej. Jeden *Harpoon* zepsułby mu cały dzień. Zwłaszcza, że po rakiecie nastąpiłby atak z jeszcze groźniejszymi w takiej sytuacji bombami kasetowymi.

— Pocisk, tu prowadzący. Formować szyk.

— Dwa...

— Trzy...

— Cztery...

Jeszcze jeden dzień w życiu lotnika Marynarki, pomyślał Sanchez. Zwyczajny dzień. Teraz czekało go lądowanie, rozmowa z admirałem, spędzenie reszty dnia na analizie ćwiczebnych nagrań. To wszystko przestało być podniecające. Już nie ma prawdziwych samolotów, w których wszystko zależało od mózgu człowieka, a nie elektronicznego. Nic już nie było takie, jak przedtem. Tylko latanie nadal pozostało lataniem.

Ryk przelatującego nad głową samolotu zawsze podniecał. Sato patrzył za oddalającymi się amerykańskimi maszynami. Podniósł do oczu lornetkę, aby widzieć, w jakim kierunku znikają stalowej barwy sylwetki. Potem wstał i zszedł na dół do centrum dowodzenia.

— No i co? — spytał.

— Kurs taki, jak przewidzieliśmy — odparł oficer operacyjny floty, pukając palcem w fotografię satelitarną, która pokazywała obie amerykańskie grupy bojowe nadal płynące na zachód, pod wiatr, aby kontynuować manewry lotnicze. Zdjęcie pochodziło sprzed dwu godzin. Radarowe namiary potwierdzały, że samoloty amerykańskie lecą do przewidzianego punktu.

— Doskonale. — I zwrócił się do oficera wachtowego: — Wyrazy szacunku dla kapitana. Kurs jeden pięć pięć, prędkość maksymalna. — Po pięciu minutach „Mutsu”, dygocąc z wysiłku, zaczął jeszcze energiczniej pruć łagodne fale Pacyfiku, udając się na spotkanie z amerykańską grupą bojową.

Najważniejsze było zgranie w czasie.

Na parkiecie NYSE — nowojorskiej giełdy papierów wartościowych — młody pracownik popełnił błąd, odnotowując kurs akcji Mercka. Była dokładnie godzina 11.43.02 czasu wschodnioamerykańskiego. Błąd powędrował dalej i na wyświetlaczu notowań Merck wykazywał 23 i 1/8, co bardzo różniło się od właściwego kursu. Po kilku sekundach pracownik ponownie wystukał zły kurs. Tym razem mocno za to oberwał. Operator komputera zaczął się tłumaczyć, że cholerna klawiatura się zacina. Wyłączył ją, po czym włączył inną. Podobne wypadki nie należały do rzadkości. Czasami klawiatury były oblewane kawą albo innymi napojami. Pracownik poprawił na nowej klawiaturze notowanie i wszystko powróciło do normy. Jednakże pod koniec tej samej minuty podobna sprawa wydarzyła się w innej sekcji, gdzie zajmowano się notowaniami akcji General Motors. Tu pracowniczka miała identyczną wymówkę. Czuli się bezpieczni. Była to zupełnie inna sekcja, mająca mało wspólnego z tą, gdzie obracano akcjami Mercka. Ani ona, ani operator odnotowujący akcje Mercka nie mieli pojęcia, czemu to służy. Po prostu zapłacono im po pięćdziesiąt tysięcy dolarów za zrobienie błędu, który i tak nie mógł mieć żadnego wpływu na cały system. Gdyby oni tego nie uczynili, to w rezerwie była jeszcze jedna para — o czym ci pierwsi nie wiedzieli — która też otrzymała po pięćdziesiąt tysięcy, aby zrobić to samo po dziesięciu minutach.

W komputerowej centrali DTC, instytucji rejestrującej wszystkie transakcje giełdowe, notowania i operacje, błędy obu pracowników zostały zarejestrowane i wprowadzone do programu. Rozpoczął się proces wykluwania Jajka Wielkanocnego.

Kamery i reflektory ustawiono w sali Świętego Włodzimierza, w wielkim kremlowskim pałacu.

W sali tej tradycyjnie podpisywano wszystkie traktaty i umowy. Jack znał to miejsce. Był tu w innej epoce i w innych okolicznościach. W osobnych pokojach charakterystyki pracowały nad twarzami prezydenta Stanów Zjednoczonych i prezydenta Rosyjskiej Republiki. Było to z pewnością cięższe przejście dla rosyjskiego męża stanu, niż dla Durlinga. Ryan nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Od rosyjskich polityków nie wymagano dotąd fotogeniczności ani gładkiej cery. Większość zaproszonych gości już zajęła miejsca, natomiast główni członkowie obu delegacji nie pozwalali sobie jeszcze na całkowite odprężenie. A przecież właściwie wszystko było już zapięte na ostatni guzik. Kryształowe kieliszki stały na tacach, zdjęto sreberka z korków na butelkach szampana i czekano tylko na sygnał.

— To mi właśnie przypomina, że nigdy mi nie przysłałeś tego gruzińskiego szampana —

powiedział Ryan do Gołowki. — A obiecałeś.

— Dziś można to wreszcie sfinalizować. I załatwię ci go po dobrej cenie.

— Gdybyś przysłał wtedy, musiałbym to oddać do rządowego magazynu. Przepisy i tak dalej.

— Owszem, wiem o tym. I wiem, że każdy amerykański funkcjonariusz jest potencjalnym przestępcą.

— Gołowko rozglądał się dokoła, by sprawdzić, czy o czymś nie zapomniano.

— Powinieneś być zostać adwokatem. — Ryan spostrzegł szefa Tajnej Służby, który wszedł na salę i zajął swoje miejsce. — Imponujące wnętrze, prawda? — zwrócił się do żony.

— Carowie wiedzieli, jak żyć — wyszeptała w chwili, gdy zapaliły się reflektory. W tym momencie w Ameryce, wszystkie stacje telewizyjne przerywają swój program. Dość niefortunna pora. Nic innego nie można było na to poradzić przy jedenastu godzinach różnicy między czasem moskiewskim, a kalifornijskim. A co dopiero w przypadku Rosji, która ma co najmniej dziesięć stref czasowych zarówno z powodu wielkości państwa, jak i bliskości Kręgu Polarnego, w wypadku Syberii? Jednakże to wydarzenie każdy będzie chciał zobaczyć.

Przy oklaskach trzystu zgromadzonych osób pojawili się obaj prezydenci. Roger Durling i Eduard Gruszawoj spotkali się przy mahoniowym stole, gorąco uścisnęli sobie prawice, jak to tylko potrafią robić byli wrogowie. Durling, były oficer spadochroniarz z doświadczeniem wietnamskim. Gruszawoj, również były żołnierz, oficer służb technicznych, jeden z pierwszych walczących w Afganistanie. W młodości jednego i drugiego uczono, że mają się nienawidzić, teraz mieli położyć kres przeszłości. Teraz, na jeden dzień, mieli zapomnieć o wewnętrznych problemach swoich krajów. Zajmowali się nimi przez wszystkie dni tygodnia. Ale nie dziś, dziś bowiem, z ich woli, świat miał się zmienić.

Gruszawoj, który pełnił obowiązki gospodarza, wskazał Durlingowi fotel, a sam podszedł do mikrofonu.

— Panie prezydencie... — zaczął po rosyjsku przez tłumacza, choć obaj mężowie stanu mogliby rozmawiać i bez tłumacza — ...z wielką radością witam pana po raz pierwszy w Moskwie.

Ryan nie słuchał powitalnego przemówienia. Znał z góry każde zdanie. Wzrok miał wlepiony w czarne plastikowe pudełko leżące na stole dokładnie między fotelami obu prezydentów. Na pudełku były dwa czerwone guziki, a spod pudełka sphywał ku ziemi kabel. Pod ścianą stały dwa monitory, a w tyle sali znajdowały się wielkoekranowe odbiorniki telewizyjne dla gości. Wszystkie telewizory pokazywały dwa miejsca, które należało obserwować.

— To będzie niezły fajerwerk — mruknął major Armii, który znajdował się w tej chwili trzydzieści kilometrów od Minot w Północnej Dakocie. Major przykręcił właśnie ostatni przewód. — W

porządku, obwody gotowe! — Wystarczyło teraz przerzucić dźwignię jednego wyłącznika, aby wszystko wyleciało w powietrze. I major właśnie trzymał rękę na tym wyłączniku. Poprzednio sam parokrotnie sprawdził każdy szczegół. Kompania żandarmerii patrolowała okolicę, ponieważ

bractwo z organizacji pod nazwą Przyjaciele Ziemi zapowiedziało demonstrację i protest czynny, grożąc umieszczeniem swoich aktywistów w pobliżu materiałów wybuchowych. Gdyby im to się udało, to major, bez względu na to, czy wysadzenie tych głupków w powietrze sprawiłoby mu przyjemność, czy nie, musiałby rozbroić raketę. I niby dlaczego protestować przeciwko zniszczeniu broni nuklearnej? Od kilku godzin usiłował

wytłumaczyć swojemu rosyjskiemu odpowiednikowi zjawisko, którego sam nie rozumiał.

— Podobnie tu jak na naszych stepach — powiedział dygoczący z zimna Rosjanin, zerkając na telewizor.

— Szkoda tylko, że ci faceci od polityki tutaj nie przyjechali. Wyprodukowaliby przynajmniej trochę gorącego powietrza. — Major zdjął rękę z wyłącznika. Dlaczego jeszcze zwlekają? — zadawał sobie pytanie.

Rosjanin znał dobrze amerykańskie idiomy i wiedział, że owo gorące powietrze polityków to po prostu czcza gadanina, więc roześmiał się obmacując się po zbyt obszernej ocieplonej kurtce, czy nie zapodział gdzieś niespodzianki, którą szykował dla Amerykanina.

— Panie prezydencie, gościnność, z jaką spotkaliśmy się w tym wspaniałym mieście, jest dla mnie oczywistym dowodem, że pomiędzy nami może zapanować i z pewnością zapanuje przyjaźń.

Przyjaźń między naszymi narodami, przyjaźń równie silna, jak silne były nasze dawne urazy, ale tym razem przyjaźń oparta na uczuciach produktywnych, twórczych. Dziś grzebiemy wojnę... — zakończył

Durling przy głośnych oklaskach. Następnie obrócił się do rosyjskiego prezydenta i raz jeszcze uściśnął

mu dłoń. Obaj prezydenci usiedli. Przez chwilę musieli być posłuszni dyrektywom amerykańskiego reżysera telewizyjnego, który przyłożył mikrofon do ust i coś szybko zaczął mówić.

— Jeśli teraz widzowie zechcą spojrzeć na ekrany swoich telewizorów... — odezwali się spikerzy w obu językach.

— Kiedy byłem zastępowym w pionierach, bardzo lubiłem wysadzać różne rzeczy w powietrze

— szepnął do Durlinga rosyjski prezydent. Aby móc to usłyszeć, Durling pochylił głowę. Potem się uśmiechnął. Tak, lepiej, żeby tego nie przechwyciły mikrofony.

— A wiesz, czym ja chciałem być? Ciekaw jestem, czy wy to tutaj macie?

— Co takiego, Roger? — spytał rosyjski prezydent.

— Takie wysokie dźwigi. Właściwie żurawie. Z wielką żelazną kulą na łańcuchu. Łańcuch trzeba rozhuścić i trzepnąć tą kulą w ścianę budynku, który ma iść do rozbioru. Chciałem być operatorem



takiego żurawia. Uważałem, że to jest chyba najcudowniejsza praca, jaką sobie można wyobrazić.

— Zwłaszcza, jeśli do takiego budynku można przedtem zaprosić całą opozycję. — Co do tego obaj prezydenci się zgadzali.

— Czas! — szepnął Durling, widząc znak dawany przez reżysera. Prezydenci położyli palce na guzikach.

— Naciskamy na trzy — rzekł Durling.

— Tak jest.

— Jeden — powiedział Durling.

— Dwa — kontynuował Gruszawoj.

— Trzy — powiedzieli obaj i nacisnęli guziki.

Guziki zamknęły obwód prowadzący do nadajnika satelitarnego, następnie w ciągu jednej trzeciej sekundy sygnał dotarł do odbiornika w Północnej Dakocie. Przez krótką chwilę wszyscy myśleli, że coś się popsło. Jednakże myśleli tak tylko przez bardzo krótką chwilę. Nic się nie popsło.

— O rany! — wykrzyknął major, gdy wybuchło pięćdziesiąt kilogramów materiału wybuchowego C-4. Huk zrobił wrażenie nawet z odległości blisko kilometra. Nim jeszcze ustał, ku niebu wzniosła się kolumna ognia — to zapaliło się stałe paliwo rakiety nośnej. Była to dość skomplikowana faza wielkiej uroczystości niszczenia ostatnich rakiet. Krytyczna faza. Chodziło o to, aby paliwo zajęło się wyłącznie od góry, w przeciwnym bowiem wypadku potężne ptaszysko mogłoby usiłować wzlecieć ze swojego silosa, a to byłoby bardzo niedyplomatyczne. W samej rzeczy całe przedsięwzięcie było niepotrzebnie skomplikowane i niebezpieczne. Zimny wiatr gnał toksyczne dymy na wschód. Nim ogień ogarnie istotne części, pozostanie tylko przykry smród. To samo zresztą można było powiedzieć o politycznym uwarunkowaniu, które doprowadziło do powstania obecnie palonej rakiety, prawda? Było coś symbolicznie wzniosłego w dzisiejszym wydarzeniu. Największe ogniska świata! Paliły się przez trzy minuty i pozostał z nich tylko dym. Sierżant włączył urządzenia gaśnicze. Ku zdziwieniu majora jeszcze funkcjonowały.

— Ciągnęliśmy losy, kto ma to zrobić. Wygrałem — powiedział major.

— Mnie kazano tylko przyjechać i patrzeć. Cieszę się, że tu jestem. Już jest wszystko zabezpieczone?

— Chyba tak. Idziemy, Walentin! Została nam jeszcze jedna robótka.

Obaj mężczyźni wsiedli do *HMMWV*, współczesnego wcielenia wojskowego dżipa. Major za kierownicą. Zapуścił silnik i pojechali w kierunku silosu od nawietrznej. Po silosie została wielka dziura, z której wydobywała się para. Za nimi przyjechała ekipa telewizji CNN, która przez cały czas przekazywała program na żywo do tysięcy domów. Wóz telewizyjny zatrzymał się dwieście metrów od dziury po silosie, tuż obok pojazdu wojskowego. Obaj wojskowi wysiedli i natychmiast na wszelki wypadek włożyli maski przeciwgazowe. Mogły tu jeszcze saczyć się trujące dymy. Szybko

okazało się, że powietrze jest czyste. Major pozwolił ekipie telewizyjnej wysiąść z wozu. Czekał cierpliwie, aż przygotowują sprzęt. Zajęło to dwie minuty.

— Gotowi? — spytał reżyser.

— Czy obaj się zgadzamy, że silos i rakieta zostały zniszczone? — zapytał przed kamerą major.

— Tak jest! — odparł rosyjski oficer salutując. Następnie z tylnej kieszeni wyciągnął dwa kryształowe kieliszki. — Zechce pan to potrzymać, towarzyszu majorze? — zwrócił się do Amerykanina.

Następnie pojawiła się butelka gruzińskiego szampana. Strzelił korek i Rosjanin z szerokim uśmiechem na twarzy napełnił kieliszki.

— Nauczę was rosyjskiego obyczaju! Pij, bracie! — Ekipie telewizyjnej strasznie się to podobało.

— Chyba znam ten obyczaj. — Amerykanin wychylił szampana. — I co teraz?

— Kieliszków tych nie wolno już nigdy używać przy żadnej pomniejszej okazji. Proszę teraz zrobić to, co ja! — Rosjanin obrócił się i stanął jak dyskobol szykujący się do pobicia rekordu.

Amerykanin roześmiał się i zrobił to samo.

— Teraz! — krzyknął Rosjanin i obaj cisnęli kieliszki do dziury po ostatnim silosie rakiety *Minuteman*. Kryształ błysnął i zniknął w kurtynie pary. Ale wyraźnie usłyszeli roztrzaskiwanie szkła na spalonym betonie.

— Na szczęście zabrałem zapasowe kieliszki — powiedział Walentin.

— Przytomny chłopak! — wykrzyknął Ryan widząc na ekranie, że amerykański oficer towarzyszący zniszczeniu rakiety rosyjskiej miał podobny pomysł i tłumaczył obecnie swemu towarzyszowi, co to znaczy „czas na Millera”. Niestety aluminiowe puszki nie rozbijają się nawet o ściany silosów.

— Trochę patetyczne — zauważyła Cathy.

— Wiem, że scenariusza nie napisał Szekspir, ale zrobiono, co miało być zrobione, kiedy przyszło do zrobienia — nieporadnie zacytował wielkiego dramaturga Jack. A potem nastąpiło generalne strzelanie korków od szampana.

— Ta historia z pięcioma miliardami dolarów, to prawda? Tyle nas kosztowało to przedstawienie?

— Prawda.

Zbliżył się Gołowko, niosąc kieliszki z szampanem. — No co, Iwanie Emmetowiczu, od tej chwili możemy zostać prawdziwymi przyjaciółmi? Aaa, wreszcie się spotykamy, droga Karolino! —

zwrócił się familiarnie do Cathy.

— Siergiej i ja znamy się od bardzo dawna — wyjaśnił Ryan, biorąc kieliszek i wznosząc toast w stronę gospodarza.

— Ostatnim razem przykładałem mu do głowy lufę pistoletu — pochwalił się Rosjanin. Ryan nie wiedział, czy to jest tylko historyczne wspomnienie, czy też toast towarzyszący niedawnej rozmowie.

— Co takiego? — Cathy niemal zakrztusiła się szampanem.

— Nigdy żonie nie opowiedziałeś? — zdziwił się Gołowko.

— Jezu drogi, Siergiej!

— O czym wy obaj mówicie?

— Pani doktor Ryan, raz bardzo dawno temu pani mąż i ja... mieliśmy drobne... hmm, profesjonalne nieporozumienie, którego finałem było przyłożenie przeze mnie pistoletu do twarzy pani męża. I nigdy ci nawet potem nie powiedziałem, Jack, że pistolet nie był naładowany.

— I tak nie miałem gdzie wtedy pójść. Nie mogłem nigdzie uciec.

— Ja naprawdę nie wiem, o czym wy mówicie? Czy to ma być jakiś żart? — domagała się odpowiedzi Cathy.

— Tak, kochanie, tak było. Jak tam Andriej Iljicz?

— Bardzo dobrze. Jeśli byś chciał się z nim spotkać, to mogę to zorganizować.

— Bardzo chętnie. — Jack skinął głową.

— Bardzo pana przepraszam, ale kim pan właściwie jest? — spytała Cathy Gołowki.

— Kochanie, to jest Siergiej Mikołajewicz Gołowko, szef rosyjskiego wywiadu.

— KGB? I wy się znacie?

— Nie KGB, madam. Jesteśmy teraz malutką organizacją. Pani mąż i ja byliśmy przez wiele lat... konkurentami.

— No i kto wygrał? — spytała Cathy.

Obaj mężczyźni mieli gotową tę samą odpowiedź, ale Gołowko wypowiedział ją pierwszy: —

Oczywiście obaj. Pozwoli pani, że przedstawię teraz pani moją żonę...

— Obrócił się w stronę kobiety, która właśnie podeszła. — Helena, lekarz pediatra. — Jack

uświadomił sobie, że w CIA nigdy nikomu nie wpadło do głowy sprawdzić, kim jest żona Gołowski.

Ryan spojrzął w kierunku obu prezydentów, którzy — mimo naporu dziennikarzy — trzymali się dobrze i nawet ich to bawiło. Po raz pierwszy w życiu uczestniczył w takim wydarzeniu, ale był pewien, że żaden z szefów państw przy innych okazjach nie okazywałby podobnego spoufalenia. I to wzajemnego.

Ale okazja była w istocie niezwykła. Być może był to rezultat nagłego ustąpienia straszliwego napięcia, jakie towarzyszyło życiu obu państw przez długie lata. Tak, to chyba to. Wreszcie się skończyło.

Roznoszono coraz to nowe tace z szampanem. I to zupełnie dobrym. Ryan postanowił, że tym razem nie będzie sobie żałować. Miał nadzieję, że ekipie CNN wkrótce znudzi się dalsze rejestrowanie, ale gościom nie szybko znudzi się przyjęcie. Ileż tu wspaniałych mundurów, polityków, szpiegów i dyplomatów. Kto to wie, być może naprawdę zaprzyjaźnimy się z nimi, pomyślał.

# Drugie uderzenie

Zbieżność w czasie była czysto przypadkowa, sam plan wykorzystania okazji był jednak znakomity. Stanowił końcowy produkt wielu lat badań, modelowania i prób symulacyjnych. Właściwym początkiem operacji było pozbycie się amerykańskich obligacji skarbowych przez sześć poważnych banków komercyjnych w Hongkongu. Obligacje owe zostały kupione parę tygodni wcześniej w ramach skomplikowanej transakcji, obejmującej przeróżne emisje w jenach. Ot, klasyczny manewr mający zabezpieczyć banki przed fluktuacjami kursów. Wszystkie te banki stały w obliczu oczekującej ich w 1997 roku nieuchronnej zmiany tytułu własności ziemi, na której stały ich budynki. I oba te czynniki całkowicie tłumaczyły sens operacji na rzeczywiście wielką skalę, mającej zarazem zmaksymalizować płynność kapitałową i łatwość przystosowania się tych instytucji finansowych do nowych warunków. Z

kolei sprzedaż dolarowych obligacji przyniosła doraźnie nawet spory zysk w wyniku relatywnej zmiany kursów dolara i jena. Konkretnie był to zysk siedemnastoprocentowy. Następnie należało kupić jeny, które, zgodnie z opinią ekspertów na całym świecie, osiągnęły najniższy kurs, a więc wkrótce zaczną piąć się w górę. Jednakże tak czy inaczej przez krótki czas na rynku walutowym pojawiło się dwieście dziewięćdziesiąt miliardów dolarów w obligacjach skarbowych i to po cenie poniżej swojej wartości.

Wkrótce jednak obligacje te zostały wykupione przez banki europejskie. Bankierzy w Hongkongu skrupulatnie zarejestrowali transakcje w swoich komputerach, a tym samym uznane one zostały za zawarte i skonsumowane. Następnie zawiadomili o tym Pekin, chcąc pokazać swoim przyszłym politycznym władcom, iż są posłuszni. Byli mimo to troszkę niespokojni. Pocieszała ich jednak myśl, że na całej operacji dobrze zarobili.

W Japonii również wiedziano o transakcji. W Tokio o czternaście godzin opóźnionym w stosunku do Nowego Jorku — który nadal stanowił światowe centrum obrotu papierami wartościowymi — było rzeczą niemalże normalną, iż maklerzy pracowali w godzinach zwykle kojarzonych z nocnymi dyżurami, zwłaszcza, że agencje informacji gospodarczych i finansowych pracowały na okrągło przez całą dobę.

Wielu byłoby jednak bardzo zdziwionych widząc, że nocni pracownicy wielu instytucji finansowych w Tokio reprezentowali w owych dniach wyższą kadre, oraz że już przez cały ubiegły tydzień w jednym z największych biurów, w pomieszczeniu na najwyższym piętrze, funkcjonował specjalny sztab. Jego członkowie określali salę, w której pracowali, mianem „Centrum bojowego”. Z owego centrum prowadziły linie telefoniczne do wszystkich miast świata, gdzie znajdowały się znaczące giełdy papierów wartościowych i walut, a wzdłuż ścian stały monitory informujące, co się na owych giełdach dzieje.

Następnie przystąpiły do operacji inne banki azjatyckie, powtarzając jota w jotę ten sam łańcuszek transakcji, których poprzednio dokonały banki Hongkongu. Przebieg operacji pilnie obserwowali zgromadzeni w „Centrum bojowym” eksperci. Parę minut po wybiciu godziny dwunastej w południe czasu nowojorskiego, w piątek, czyli o godzinie drugiej trzy w nocy czasu tokijskiego, w sobotę, trafi

na rynek trzysta miliardów dolarów w obligacjach skarbowych po cenie jeszcze atrakcyjniejszej niż niedawna oferta Hongkongu. Obligacje te zostały szybko wykupione przez banki europejskie, dla których dzień giełdowy, a wraz z nim i cały tydzień roboczy, dobiegały końca. I nadal nic nadzwyczajnego jeszcze się nie wydarzyło. Dopiero po tym ruchu banków azjatyckich do szturm przystąpili Japończycy, działając jak gdyby zza pleców tamtych. Banki tokijskie zaczęły sprzedawać swoje portfele amerykańskich obligacji skarbowych, co sprawiało wrażenie, że pragną po prostu podeprzeć jena.

Jednakże czyniąc to Japończycy spowodowali w ciągu zaledwie paru minut wyczerpanie światowych rezerw dolarowych. Można by to uznać za zwykły zbieg okoliczności, którego objawy szybko znikną, jednakże finansiści — z wyjątkiem tych, którzy akurat pałaszowali w Nowym Jorku lunch — dostrzegli niebezpieczeństwo i bezsporny fakt, że jakiegokolwiek dalsze tego typu operacje dotyczące obligacji skarbowych, mogą zachwiać rynkiem, chociaż z pozoru wydawało się to mało prawdopodobne, gdyż dolar był bardzo silny.

Oficjalny bankiet odzwierciedlał tradycyjną rosyjską gościnność, a jego uroczysty charakter był ponadto symboliczny jak rzadko: świętowano koniec epoki nuklearnego szantażu. Metropolita rosyjskiego kościoła prawosławnego zaintonował długie i godne modły dziękczynne. Metropolita był dwukrotnie więźniem politycznym i zaproszenie go na tę uroczystość przeżywali głęboko wszyscy, z wielu oczu popłynęły nawet łzy, które jednak szybko osuszyła biesiada. Podano zupę, kawior, dziczyznę i olbrzymie ilości alkoholu, od którego, przy tak wyjątkowej okazji, nikt nie stronił. Minęły troski i problemy związane z oficjalną częścią wizyty. Główny jej cel został wypełniony, i we wzajemnych stosunkach nie było już właściwie tajemnic. Następnego dnia wypadała sobota i wszyscy powinni mieć okazję dobrze się wyspać.

— Ty jeszcze pijesz, Cathy? — zdziwił się Jack. Jego żona piła w zasadzie bardzo mało, ale tego wieczoru naprawdę sobie pozwalała.

— Doskonały jest ten szampan — odparła. Cathy jeszcze nigdy nie uczestniczyła w oficjalnym bankiecie za granicą. Przedtem, w ciągu dnia, spędziła wiele godzin w towarzystwie miejscowych chirurgów okulistów i przy okazji zaprosiła dwóch najlepszych profesorów do Instytutu Wilmera, aby mogli zapoznać się z jej metodami. Cathy była ostatnio nominowana do Nagrody Laskera za osiągnięcia w dziedzinie laserowych operacji siatkówki. Od jedenastu lat prowadziła kliniczne badania i wykonywała eksperymentalne operacje i, właśnie w związku z tą pracą, odmówiła już dwukrotnie przyjęcia oferowanego jej stanowiska dziekana na Uniwersytecie Wirginii. Wkrótce w czołowym miesięczniku lekarskim miała być opublikowana jej praca na temat nowej rewelacyjnej metody operowania. Tak więc nie tylko dla jej męża, ale i dla niej ten wieczór był ukoronowaniem wielu trudów.

— Jutro będziesz żałować — pogroził Jack, który był jednym z niewielu obecnych, ograniczających spożycie alkoholu. I tak zresztą przekroczył limit, jaki sam sobie narzucił: jednego drinka dziennie. Ryan dobrze wiedział, że większość obecnych wykończą nieustannie wznoszone toasty.

Uczestniczył w przeszłości w niejednym rosyjskim bankiecie. Była to część tutejszej kultury. Rosjanie potrafili nawet pokonać Irlandczyków, zostawiając ich pod stołem. A z Irlandczykami Ryan

raz współzawodniczył z oplakany dla siebie skutkami. Większość obecnych teraz na Kremlu Amerykanów albo jeszcze nie rozumiała tego rosyjskiego obyczaju, albo też właśnie tego jednego wieczoru machnęła na to ręką. Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa zadumał się. Jutro zrozumieją, jakie głupstwo zrobili. W tym momencie podano główne danie i napełniono kieliszki rubinowym winem.

— O Boże, rozsadzę suknię — jęknęła Cathy.

— Wydarzenie dopiszemy do programu rozrywkowego wieczoru — odparł dość głośno Ryan otrzymując w zamian groźne spojrzenie, jakie padło z drugiej strony stołu.

— Jest pani zdecydowanie zbyt chuda — stwierdził siedzący obok Cathy Gołowko. Tak, Rosjanie mają jeszcze jedno skrzywienie, pomyślał Ryan, otyłość uważają za cnotę.

— Ile lat mają pani dzieci? — spytała Helena Gołowko, też chyba zbyt szczupła, jak na rosyjski gust. Była profesorem pediatrii, więc Cathy bardzo miło się z nią rozmawiało.

— Oto fotografie — odparł Ryan, wyciągając je z portfela.

— Obyczaj amerykański: zawsze nosić fotografie rodzinne. To jest Oliwia, ale wołamy na nią Sally. To jest Mały Jack, a to nasze najmłodsze.

— Syn jest podobny do pana, ale córki to skóra żywcem zdarta z matki.

— No i dobrze — odparł Jack z szerokim uśmiechem.

Wielkie instytucje finansowe są naprawdę wielkie, ale dla przeciętnego posiadacza garstki akcji pozostaje zawsze tajemnicą, jak owi wielcy kupują i sprzedają na giełdzie. Wall Street to wspaniała kolekcja nazw, które oznaczają zupełnie co innego, niż obwieszczają. Zacząć można od przykładu samej Wall Street, czyli ulicy Przy Murze. Nie ma żadnego muru, a poza tym ta wąziutka ulica zasługuje raczej na miano bocznej alejki w porównaniu z normalną szerokością ulic w jakimkolwiek ludzkim osiedlu.

Nawet chodniki Wall Street są wąziutkie, zbyt wąskie, jak na odbywający się na nich pieszy ruch. Kiedy do jakiejś poważnej firmy maklerskiej, na przykład takiej jak Merrill Lynch, przychodzi polecenie zakupu, to maklerzy nie szukają tego, kto chciałby pożądane akcje sprzedać. Nie czynią tego ani osobiście, ani przez telefon czy przez inne środki elektronicznego porozumiewania się. Dzieje się zupełnie inaczej. Pośrednicząca w zakupie (lub sprzedaży) akcji firma sama zakupuje co dzień pewne ilości akcji, które, według jej oceny mogą być w ciągu najbliższych godzin przedmiotem zainteresowania rynku. I czeka na nabywców. Ze względu na ilość, maklerzy kupują akcje z pewnym rabatem, a następnie sprzedają po nieco wyższej cenie. W ten sposób, siedząc „okrakiem”, jak to nazywają brokerzy, instytucje finansowe zarabiają na każdej transakcji około jednej ósmej punktu. Punkt to jeden dolar. Jedna ósma punktu to dwanaście i pół centa. Wydawałoby się, że jest to nic nie znacząca prowizja, zwłaszcza przy sprzedaży tylko jednej akcji, której wartość może sięgać nawet wielu setek dolarów w wypadku tak zwanych murowanych emisji. Trzeba jednak pamiętać, że owe dwanaście i pół centa powtarzane jest wielokrotnie w ciągu dnia i w miarę upływu czasu, i mnożenia

się transakcji powstaje z tych drobnych sum olbrzymi zysk. Nie zawsze jednak wszystko idzie dobrze na giełdzie i zdarzają się okresy, kiedy domy maklerskie ponoszą straty, gdy na przykład muszą sprzedać coś w ciągu dnia dużo taniej, niż rano zakupiły, nastąpiła bowiem bessa większa, niż maklerzy zdołali na ten dzień przewidzieć. W świecie finansów krąży wiele aforyzmów na temat tej czyhającej na maklerów groźby. Jeden z nich, powtarzany często na bardzo aktywnej giełdzie w Hongkongu, przypomina, że ruch cen w górę odbywa się z szybkością ruchomych schodów, a w dół z prędkością szybkiej windy. Jednakże podstawowe hasło wbijane w głowy amatorów szybkiego wzbogacenia się i tak zwanych „skoczków” — speców od skoków cen w górę — wywieszane w wielkiej sali komputerowej firmy maklerskiej Merrill Lynch, na Lower West Side na południu Manhattanu, brzmi: „Nigdy nie zakładaj z góry, że masz kupca na to, co zamierzasz sprzedać!” Niestety tak właśnie każdy zakłada, ponieważ nigdy nie powstała za ludzkiej pamięci sytuacja, w której nie było nabywcy. W każdym razie nigdy jeszcze nic podobnego nie przydarzyło się firmie Merrill Lynch, której trzon operacji dotyczył wielkich instytucji, a nie indywidualnych inwestorów. Od lat sześćdziesiątych opiekę nad indywidualnymi inwestorami objęły najrozmaitsze fundusze powiernicze, które praktycznie opanowały rynek. Nosiły miano instytucji finansowych i pod tą szumną nazwą były zaklasyfikowane do jednej rodziny wraz z bankami, towarzystwami ubezpieczeń i funduszami emerytalnymi. Owych „instytucji finansowych”, czyli funduszy powierniczych było więcej niż firm, których akcjami obracała nowojorska giełda. Powstała sytuacja, w której myśliwych było więcej niż zwierzyń. Niektóre z funduszy powierniczych stały się niebywale potężne, obracając kapitałem wprost niewyobrażalnej wielkości. Czasami mogły nawet decydować o losie poszczególnych emisji; od ich polityki zależało zdrowie całego rynku pieniężnego. W wielu wypadkach fundusze powiernicze były kontrolowane przez garstkę ludzi, w wielu też — przez jedną osobę.

Trzecia i największa fala pozbywania się dolarowych obligacji skarbowych była niespodzianką dla wszystkich, a przede wszystkim dla kierownictwa Banku Rezerw Federalnych w Waszyngtonie. Z

początku obserwowano transakcje pierwszej i drugiej fali z umiarkowanym zainteresowaniem, potem z rosnącym niepokojem. Na szczęście rynek eurodolarowy unormował sytuację, ale kosztem wyczerpania dolarowych rezerw. Rynek był praktycznie zamknięty dla dalszych podobnych obrotów. Były też banki azjatyckie i inne instytucje finansowe, które opierały swoje rezerwy nie na dolarze, ale na jenie, i których czujni kierownicy zauważyli przedziwne operacje giełdowe i pozbywanie się obligacji dolarowych.

Rozpoczęło się telefonowanie w różne strony. Bez względu na to, do kogo się zwracano o dyrektywy, pytanie zawsze trafiało do wydzielonej salki na najwyższym piętrze wielkiego biurowca w Tokio, gdzie bardzo poważni bankierzy wyjaśniali, że właśnie wyrwano ich z głębokiego snu w związku z sytuacją, która wydawała się niesłychanie poważna, wywołując kolejną falę wyzbywania się amerykańskich obligacji, i że zalecają oni ostrożne i spokojne, niemniej szybkie wyzbywanie się dolarów.

Obligacje skarbowe były głównym instrumentem rządu Stanów Zjednoczonych w procesie rozliczania ujemnych sald w obrocie handlowym, a jednocześnie osłoną wartości amerykańskiego dolara.

Przez pięćdziesiąt już lat uważano obligacje amerykańskiego skarbu za najbezpieczniejszą inwestycję



na całej kuli ziemskiej. Obligacje skarbowe były dla każdego szansą nabycia części najpotężniejszej gospodarki świata, reprezentowanej przez stabilne państwo, chronione przez najpotężniejszą armię i kontrolowane poprzez polityczny system, który konstytucyjnie gwarantował prawa ludzi. Wszystko to właśnie dzięki owej Konstytucji powszechnie podziwianej, choć nie przez wszystkich właściwie rozumianej. Mimo potknięć i błędów — dostrzeganych doskonale przez wyrobionych inwestorów zagranicznych — od 1945 roku Stany Zjednoczone były jedynym miejscem na naszej planecie, gdzie pieniądze przechowywało się bezpiecznie. Ameryka posiada jakąś przedziwną, można powiedzieć

„wrodzoną” żywotność, która pozwala na powstawanie wielkich rzeczy, choćby nie zawsze były one doskonałe. Poza tym Amerykanie są narodem najbardziej optymistycznie patrzącym w przyszłość, narodem młodym — jeśli mierzyć to standardami światowymi — posiadającym wszystkie cechy żwawego i rzutkiego młodzieńca. I w takiej to ogólnej sytuacji ludzie zamożni, zdecydowani tej zamożności strzec, ale pełni wątpliwości, jak to należy czynić, kupowali obligacje skarbowe. Zysk nie zawsze był zachęcający, ale bezpieczeństwo gwarantowane.

Jednakże nie dziś. Bankierzy na całym świecie dostrzegli niemalże natychmiast, że Hongkong i Tokio wyzbywają się na gwałt dolarowych obligacji, a wyjaśnienie przekazywane przez serwisy agencyjne, iż chodzi po prostu o wsparcie się na jenie miast na dolarze, nie było wystarczające, nie tłumaczyło wszystkiego. Zwłaszcza po otrzymaniu przez bankierów dodatkowych wyjaśnień na ich telefoniczne zapytania. Następnie przyszła wiadomość, że kolejne banki japońskie po kolei, ostrożnie, ale dość szybko wyzbywają się obligacji. Dowiedziawszy się o tym bankierzy całej Azji zaczęli czynić to samo. Trzecia fala pozbywania się amerykańskich obligacji skarbowych objęła blisko sto miliardów dolarów, a wszystko to dotyczyło emisji krótkoterminowych, którymi obecny rząd amerykański spłacał

długi wynikające z deficytu handlowego.

Dolar już spadał, a po rozpoczęciu tej trzeciej fali sprzedaży obligacji, w ciągu niespełna półtorej godziny tempo spadku notowań dolara poważnie wzrosło. W Europie wracający do domów bankierzy i maklerzy otrzymywali przez komórkowe telefony rozpaczliwe wezwania do powrotu do swoich gabinetów. Działo się coś nieprzewidzianego. Analitycy zaczęli się nawet zastanawiać, czy to ma jakiś związek ze skandalem obyczajowym w łonie amerykańskiego rządu. Europejczycy zawsze kiwali z rozbawieniem głowami, słysząc o politycznych skutkach romantycznych eskapad waszyngtońskich polityków. Pachniało to purytanizmem, było głupie i irracjonalne, ale tak właśnie prezentowała się amerykańska scena polityczna i dlatego sprawa Kealty’ego mogła mieć wpływ na zachowanie się giełdy i powinna mieć wpływ na decyzję europejskich bankierów, dotyczącą wyzbycia się czy zachowania amerykańskich obligacji. Wartość trzymiesięcznych obligacji dolarowych spadła o dziewiętnaście trzydziestych drugich punktu — w takich właśnie ułamkach określało się zawsze kursy, a właściwie ruch kursów, w górę czy w dół, obligacji skarbowych. W efekcie spadku wartości obligacji dolar spadł o cztery centy w stosunku do brytyjskiego funta i jeszcze więcej w stosunku do niemieckiej marki, a najwięcej do jena.

— Co się, do diabła, dzieje?! — wykrzyknął jeden z członków Rady Banku Federalnego. W

potocznym języku radę nazywano „Komitetem Otwartego Rynku”. Wszyscy jej członkowie-gubernatorzy siedzieli skupieni wokół jednego komputera, obserwowali rozwijający się trend

ucieczki od dolara i wszyscy jak jeden mąż kręcili głowami, nie wierząc własnym oczom. Żaden z szacownych dżentelmenów nie potrafiłby wskazać choćby jednego powodu powstającego na giełdzie chaosu. Dobrze, rozumiemy smród wokół Kealty'ego, ale Kealty jest tylko wiceprezydentem, nic nie znaczy. Zgoda, rynek był nieco niespokojny przez ostatnie tygodnie z powodu niepewności co do efektów, jakie przyniesie Ustawa o Reformie Handlu. Ale cóż za diabelskie współdziałanie obu spraw? Przecież nie ma między nimi żadnej zależności. Główny problem, zdaniem członków rady, polegał w tej chwili głównie na tym, co nawet bez przedyskutowywania sprawy wiedzieli, że być może nigdy się nie dowiedzą, jak to właściwie się stało i z jakich przyczyn. Czasami nie było wytłumaczenia pewnych zjawisk. Czasami coś się po prostu wydarzało i już. Dlaczego na przykład bez widomego przewodu stado baranów czy też stado krów wpada w panikę i pędzi przed siebie, tratując wszystko dokoła? Kiedy dolar spadł o sto tzw. Jednostkowych Punktów, czyli o jeden procent, wszyscy oderwali się od komputerowego monitora i gęsiego weszli do świątyni, czyli do sali posiedzeń, gdzie zajęli miejsca wokół długiego stołu. Dyskusja była krótka i rzeczowa, zakończona podjęciem decyzji. Ponieważ nastąpiła ucieczka od dolara, trzeba jak najszybciej ten proces zatrzymać.

Zamiast podnieść o pół punktu stopę dyskontową, co było już wcześniej uzgodnione i miało być ogłoszone pod koniec piątkowego dnia giełdowego, postanowiono ją podnieść o cały punkt. Dość zwarta mniejszość w łonie rady proponowała jeszcze więcej, ale wreszcie zgodzono się na ów kompromisowy punkt. I postanowiono ogłosić to natychmiast. Szef biura prasowego banku przygotował tekst obwieszczenia, które prezes miał odczytać tym ekipom telewizyjnym, które pojawiają się na natychmiastowe wezwanie. Jednocześnie tekst został przekazany agencjom informacyjnym.

Kiedy brokerzy wrócili z lunchu do swoich biur, zwykle spokojny piątek od dawna przestał być spokojny. W każdym biurze i gabinecie wisiała zawsze tablica, na której przypinano krótkie informacje o ogólnych wydarzeniach krajowych i zagranicznych, miało to bowiem często wpływ na zachowanie rynku.

Informacja, iż Bank Rezerw Federalnych podniósł podstawową stopę dyskontową, będąc probierzem całego systemu kredytowania, tak zaskoczyła większość instytucji finansowych, że na jakieś pół minuty zapadła wszędzie absolutna cisza, po której tu i ówdzie, usłyszano soczyste przekleństwo. Analitycy budujący na swoich komputerach kształt nowych trendów natychmiast zauważyli, że rynek zaczął już reagować na decyzję rady Banku Rezerw. Podniesienie stopy dyskontowej było zwiastunem krótkotrwałego spadku notowań akcji na giełdzie, podobnie jak czarne chmury są zwiastunem deszczu.

Może nawet przyjść burza. I to dość przykra.

Wielkie instytucje maklerskie, takie jak Merrill Lynch, Lehman Brothers, Prudential-Bache i cała reszta, były podobnie zorganizowane i w wysokim stopniu skomputeryzowane. Prawie we wszystkich tych firmach w jednej dużej sali stały na długich stołach terminale komputerowe. Wielkość sal zależała oczywiście od charakteru budynków, w których się znajdowały. Przy terminalach siedzieli wysoko płatni operatorzy komputerów, upakowani tak gęsto, jak we wszystkich japońskich

instytucjach słynących z zagęszczenia, z tą różnicą, że w Ameryce nie wolno było palić papierosów. Niektórzy z nich byli w garniturach, większość kobiet miała na nogach trampki lub inne obuwie na gumowych podszewkach.

Wszyscy ci młodzi ludzie odznaczali się wysoką inteligencją. Kierunek ich wykształcenia zdziwiłby wielu. Niegdyś byli to absolwenci Harvardu albo Szkoły Handlowej Whartona, natomiast nowa generacja to przeważnie posiadacze dyplomów nauk ścisłych, zwłaszcza matematyki i fizyki. Ostatnio rekrutowano kandydatów z Massachusetts Institute of Technology, a także z paru innych renomowanych instytutów naukowych. Głównym sprawcą tej zmiany był oczywiście komputer, który stał się nieodzownym narzędziem pracy instytucji finansowych. Komputer zaś opracowywał skomplikowane matematyczne modele do przeprowadzania analiz i prognozowania zachowań rynkowych. Modele analityczne budowano na bazie skrupulatnie wyszukiwanych danych z przeszłości obejmującej wszystkie lata istnienia nowojorskiej giełdy NYSE, która powstała niegdyś na placu w cieniu platanu. Zastępy historyków i matematyków budowały schematy wszystkich możliwych zachowań giełdy. Wszystkie przeszłe wydarzenia zostały w pełni zanalizowane i znalezione zostały wszystkie możliwe przyczyny powstania takiej, a nie innej sytuacji oraz związanego z nią zachowania ludzi. Uwzględniono wszystkie możliwe czynniki zewnętrzne, mogące rzutować na zachowanie giełdy. Stopień prawdopodobieństwa takiej, a nie innej sytuacji określono procentowo oraz wzorami matematycznymi. W efekcie powstała cała galeria niesłychanie złożonych modeli zachowań rynku. W przeszłości, obecnie i w przyszłości. Jednakże wszystkie te modele oddawały cześć fałszywemu bogowi, który uznawał, że koło fortuny ma pamięć.

Koncepcja być może ukochana przez właścicieli kasyn i szaleńców liczących na zdobycie majątku przy ruletce, niemniej fałszywa.

Trzeba być matematycznym geniuszem, aby zrozumieć, na czym te modele polegały i jak je należało stosować. Tak w każdym razie twierdzili sami matematyczni geniusze. Starsi pracownicy trzymali od tego ręce z daleka. Ci, którzy ukończyli szkoły handlowe, a nawet ci, którzy rozpoczęli pracę jako najniższej rangi urzędnicy i wspięli się na drabinę sukcesu ciężką pracą i wiedzą, musieli ustąpić miejsca nowej generacji. I tak naprawdę, to wcale nie żalowali. Długość zawodowego życia komputerowego wirtuoza w przedsiębiorstwach maklerskich mogła wynosić maksymalnie szesnaście lat.

Pierwsza najwydajniejsza połówka tego życia to osiem lat. Maksimum. Tempo pracy na parkiecie — zawrotne. Po to, aby je wytrzymać, należało być młodym głupcem, będąc skądinąd oczywiście błyskotliwym młodzieńcem. Starsi pracownicy, którzy ciężką pracą doszli do swoich stanowisk, pozwalali młodziakom porządkować ten elektroniczny chaos, ponieważ tylko młodziacy czuli się swobodnie w nowym elektronicznym świecie; starsi pełnili rolę bacznych kontrolerów, rejestratorów trendów i twórców ogólnej polityki instytucji.

W rezultacie takiego układu stosunków nikt niczym tak naprawdę nie rządził, chyba owymi elektronicznymi modelami, sporządzonymi w celu przeprowadzania głębszych analiz i zaglądania w przyszłość. I w zasadzie chodziło zawsze o jeden i ten sam model. Być może jego odmiany posiadały indywidualny smak, jako że konsultanci zatrudniani przez poszczególne instytucje otrzymywali polecenie wprowadzenia do nich czegoś mniej lub bardziej specjalnego, ale w zasadzie ostateczny

rezultat był

bardzo podobny. Korzyść z chęci posiadania nieco odmiennego modelu odnosili wyłącznie konsultanci, zarabiając krocie. Każdemu klientowi przedstawiali indywidualne rachunki za twórczą pracę, chociaż praca była w zasadzie ciągle ta sama, powtarzana w nieskończoność. Klienci byli jednak zadowoleni.

Każdy z nich bowiem uważa, że otrzymał unikatowy produkt, lepszy niż wszystkie inne na finansowym rynku.

Aby określić skutki takich poczynań, można posłużyć się tutaj terminem wojskowym: „doktryna operacyjna”. W całym handlu walutami i papierami wartościowymi istniała jedna doktryna operacyjna.

Doktryna absolutnie nieelastyczna.

Holding Columbus miał swoje własne modele i system prognozowania. Columbus zawiadywał

miliardami dolarów w trzech głównych funduszach powierniczych, Nina, Pinta i Santa Maria. Ponieważ fundusze były ogromne, kupowano jednorazowo wielkie portfele akcji. Zakup „hurtowy” pozwalał na otrzymanie rabatu. Rozmiar transakcji dokonywanych przez Columbus powodował, że holding ten miał

często wpływ na kurs konkretnych emisji. Ta potęga i prawo decydowania o losach indywidualnego przedsiębiorstwa znajdowały się w rękach trzech ludzi, którzy z kolei podlegali czwartemu, podejmującemu wszystkie istotne decyzje. Reszta pracowników firmy, łącznie z gwiazdoram przy komputerach, miała godziwe płace, otrzymywała awanse i była kategoryzowana w zależności od jakości składanych przełożonym wniosków i od ich twórczego, a przynoszącego zysk charakteru. Ale nie posiadała ani skrawka tego, co się nazywa potęgą — prawa decydowania. Najwyższym prawem było polecenie przełożonego i każdy to akceptował jako rzecz normalną. Przełożonym był przeważnie człowiek, którego majątek tkwi w funduszu powierniczym holdingu. Każdy z posiadanych przez niego dolarów miał tę samą wartość, co dolar zainwestowany przez najskromniejszego z inwestorów, a tych były tysiące. Przełożony tak samo ryzykował, osiągał te same zyski lub, czasami, ponosił takie same straty jak pozostali. Było to w istocie jedyne zabezpieczenie wbudowane w system powierniczy. Największym grzechem w brokerskim świecie jest przedkładanie własnych interesów nad interesy inwestorów.

Plasowanie własnych interesów równoległe z interesami udziałowców funduszu stanowiło pewną gwarancję. Wszyscy płynęli tą samą łodzią, a drobny ciułacz, który nie miał zielonego pojęcia, jak funkcjonuje rynek, mógł spać spokojnie wiedząc, że ci na górze baczą dobrze na jego sprawy.

Przypominało to nieco sytuację na amerykańskim Dzikim Zachodzie pod koniec ubiegłego stulecia, kiedy to właściciele małych stad powierzali je wielkim ranczerom, by razem pędzili je do przeładunkowej stacji kolejowej.

Była dokładnie godzina pierwsza minut pięćdziesiąt, kiedy Columbus uczynił pierwszy ruch.

Główny pomocnik Raizo Yamaty pokrótce przedstawił pozostałym sytuację dolara i jego spadek.

Wszyscy pokiwali głowami. Sytuacja była poważna. Pinta, średniej wielkości fundusz całej trójcy, miał w portfelu spore ilości obligacji skarbowych. Była to zawsze dobra lokata na przeczekanie, póki nie zjawi się okazja zakupu obiecujących akcji. Wartość obligacji skarbowych spadała. Pełnomocnik Yamaty obwieścił, że należy natychmiast upłynnić obligacje, zmieniając je na marki niemieckie, które ponownie stały się najpewniejszą walutą w Europie. Dyrektor funduszu Pinta podniósł słuchawkę telefonu, wydał

odpowiednie polecenie i tak oto dokonano kolejnej transakcji — pierwszej za pośrednictwem amerykańskiej instytucji finansowej.

— Nie podoba mi się to, co się dziś po południu dzieje na giełdzie — zabrał ponownie głos pierwszy wiceprezes Columbus. — Musimy trzymać się razem, wspólnie decydować o każdym posunięciu. — Wszyscy to potwierdzili. Zbliżały się burzowe chmury, trzoda była niespokojna, widząc pierwsze błyskawice. — Jakie akcje, czyje akcje są najbardziej narażone na straty z powodu słabości dolara? — padło pytanie. Sam znalazł na nie odpowiedź, ale kurtuazja nakazywała takie pytanie zadać.

— Citibanku — odparł dyrektor zawiadujący funduszem Nina. Był osobiście odpowiedzialny za portfel tak zwanych gwarantowanych emisji. — Mamy cały wagon ich akcji.

— Sprzedajemy! — polecił pierwszy wiceprezes. — Nie podobają mi się banki.

— Wszystko? — zdziwił się dyrektor funduszu. Ostatni kwartalny bilans Citibanku był raczej dobry.

— Wszystko! — Wiceprezes potwierdził polecenie twardym skinięciem głowy.

— Ale...

— Wszystko! — powtórzył wiceprezes kamiennie spokojnym głosem. — Natychmiast!

W DTC, wzmożony ruch na giełdzie był natychmiast odnotowywany przez personel, do którego obowiązków należało zapisywanie każdej zmiany tytułu własności. DTC był tym dla obrotu papierami wartościowymi, czym hipoteka jest dla nieruchomości. Pod koniec każdego dnia giełdowego było dokładnie wiadomo, kto od kogo kupił jakie akcje. Ale to był dopiero początek funkcji DTC. Następnie należało dokonać przelewów na właściwe konta. Innymi słowy DTC była jednocześnie jakby elektroniczną centralną księgowością dla całego rynku papierów wartościowych. Ekran monitorów w DTC wyraźnie pokazywały przyśpieszone tempo dokonywania operacji na giełdach. Komputery pracowały na oprogramowaniu Electra-Clerk 2.4.0 opracowanym przez Chucka Searlsa. Stratusy potrafiły wszystko wchłonąć. Z każdej bazy danych wychodziły trzy przyłącza. Jedno do monitorów, drugie do aparatury nagrywającej kopię rezerwową i trzecie do drukarki produkującej wydruk — konieczny lecz kłopotliwy, jeśli idzie o wyszukiwanie w nim danych, dokument. Natura przyłączy wymagała, aby każde z nich wychodziło z innego slotu — innego układu

mikroprocesorów wewnątrz komputera — ale wszystkie trzy niosły tę samą treść i dlatego też nikt nigdy nie zatroszczył się o stworzenie dodatkowego systemu ogólnej dokumentacji. Zwłaszcza, że sześć osobnych baz danych — zestawów komputerowych

— wykonywało te same operacje w dwu różnych miejscach. Uważano to za najlepszy, jaki można stworzyć, system rejestrowania tytułów własności wszelkich papierów wartościowych.

Jednakże można było zupełnie inaczej to wszystko zorganizować. Na przykład każde polecenie kupna czy sprzedaży mogło być natychmiast wysyłane. Niestety, stwierdzono, że spowodowałoby to pewien chaos, gdyż liczba koniecznych czynności przekroczyłaby zdolność całego systemu do wykonywania ich na bieżąco. A przecież podstawowym zadaniem DTC było uporządkowanie istniejącego na parkiecie giełdy chaosu. Poszczególne firmy maklerskie dopiero pod koniec dnia były zdolne wybrnąć z sytuacji, jako tako porządkując przeprowadzone w ciągu minionych godzin transakcję, układając je według poszczególnych emisji i według klientów, tak aby można było dokonać rozliczeń wypisując minimalną ilość czeków. Transferów dokonywano elektronicznie, ale też obowiązywała ta sama zasada.

Chodziło o to, aby do każdego klienta trafiła globalna suma i aby każdemu zapisano lub odpisano globalną ilość kupionych czy sprzedanych akcji danej emisji. W ten sposób instytucje maklerskie oszczędzały na kosztach administracyjnych, a jednocześnie ułatwiały giełdowym graczom prowadzenie księgowości i opracowywanie kolejnego modelu rynkowych prognoz. Chociaż wszystko to razem było nieprawdopodobnie złożoną operacją, wykorzystanie komputerów czyniło problem równie łatwym, jak wpisanie wpłaty na indywidualną książeczkę oszczędnościową lub w rejestr bankowych depozytów.

— Słuchajcie, ktoś rzuca na rynek akcje Citibanku! — zawołał jeden z kontrolerów.

Parkiet nowojorskiej giełdy NYSE dzielił się na trzy części. Największa była niegdyś zbiorowym garażem. W tej chwili trwały prace nad budową i wyposażeniem czwartej sali operacyjnej, ale zawsze kraczący pesymiści już szeptali, że ilekroć giełda powiększa swoją siedzibę, wydarza się coś złego. Ci najbardziej racjonalni i zahartowani profesjonaliści posiadali swoje własne instytucjonalne przesady, w które święcie wierzyli. Parkiet giełdy był w istocie rzeczy obszarem dzielonym przez wiele indywidualnych firm, z których każda miała swoją specjalność i odpowiadała za pewną liczbą emisji —

akcji przedsiębiorstw o pokrewnej działalności lub pokrewnej produkcji. Jedna instytucja maklerska mogła na przykład handlować ośmioma do piętnastu emisjami farmaceutycznymi. Inna zajmowała się podobną liczbą emisji akcji banków. Zasadniczą funkcją samej NYSE było zapewnienie płynności kapitałowej i gwarantowanie rzetelności transakcji. W zasadzie ludzie mogli kupować i sprzedawać akcje z każdego miejsca, gdzie się znajdowali — z kancelarii adwokackiej czy restauracji klubowej. Większość obrotów najpoważniejszymi akcjami dokonywano w Nowym Jorku, ponieważ... to był Nowy Jork, i tylko dlatego. Nowojorska giełda, zwana w skrócie NYSE, reprezentowała najstarszy tego typu przybytek w metropolii, ale nie jedyny. Były jeszcze dwie giełdy: ASE — American Stock Exchange, nazywana popularnie Amex, oraz powstała stosunkowo niedawno giełda znana jako

NASDAQ, co było akronimem bardzo skomplikowanej nazwy mówiącej, że jest to ogólnokrajowe stowarzyszenie mające na celu obrót papierami wartościowymi branży elektronicznej. Giełda NYSE należała do najbardziej tradycyjnych instytucji i mówiono, iż niemalże siłą, przy krzykach i awanturach, zmuszono ją do wprowadzenia komputerów. NYSE była podobna do dumnego dżentelmena w ciemnym garniturze i krawacie, który patrzy z góry i z lekką pogardą na ludzi ubranych w dzinsy i koszule w kratę. NYSE w istocie uważała, że pozostałe giełdy nie należą do tej samej pierwszej ligi. Na parkiecie NYSE pełno było starszych dostojnych profesjonalistów, którzy całutki dzień spędzali w swoich „kioskach” obserwując pilnie wyświetlacze z kursami, kupując i sprzedając i, podobnie jak każdy inny dom maklerski, zarabiając na drobnej prowizji od kupującego i sprzedającego, a ich finalny zysk zależał do umiejętności przewidywania rozwoju sytuacji w ciągu dnia. Jeśliby rynek i inwestorów określić mianem stada, to ci panowie byli kowbojami, a ich rolą było baczenie na wszystko dokoła, na wszystkie zjawiska giełdowe.

Jednocześnie ustanawiali oni podstawowe wzorcowe ceny, na które wszyscy się powoływali. Innymi słowy zadaniem „kowbojów” było pilnowanie porządku w stadzie i baczenie, by krowy nie wydostały się poza ogrodzenie. W zamian za to najlepsi z nich zarabiali na bardzo dostatnie życie. Kompensowało to nieco trudne, wyczerpujące fizycznie warunki pracy w otoczeniu, które w najlepszych okolicznościach było chaotyczne i niemiłe, a w najgorszych przypominało stado na chwilę przed popłochem.

Pierwsze objawy popłochu już było widać. Wiadomość o wyzbywaniu się obligacji skarbowych natychmiast dotarła na parkiet. Ludzie wymieniali niespokojne skojarzenia, zupełnie nie rozumiejąc podobnie nieroztropnych posunięć. Następnie dowiedziano się o szybkiej reakcji Banku Rezerw Federalnych. Stanowcze oświadczenie prezesa Banku Rezerw nie ukryło pewnego zakłopotania, co zresztą w konkretnym wypadku nie miało wielkiego znaczenia. Mało kto bowiem wysłuchał całego oświadczenia. Większości wystarczył fakt, że podniesiono stopę dyskontową. To była istotna i ważna wiadomość. Reszta to tylko oprawa i bezpieczniki, które inwestorzy całkowicie ignorowali, gdyż woleli polegać na rezultatach własnych analiz sytuacji.

Zaczęły napływać polecenia sprzedaży. Makler specjalizujący się w akcjach banków był zdumiony otrzymawszy telefon z holdingu Columbus, choć jego własne odczucia nie były tu ważne.

Natychmiast też obwieścił, że ma „pięćset Citi po osiemdziesiąt trzy”, czyli że chce sprzedać pięćset tysięcy akcji Citibanku — First National City Bank of New York — po osiemdziesiąt trzy dolary, a więc o dwa punkty poniżej obwieszczonej ceny, co z kolei oznaczało, że sprzedawca chce się tych akcji szybko pozbyć. Była to dobra, atrakcyjna cena, ale rynek się zawahał, nim propozycję skonsumował nie po

„trzy”, a po „dwa i pół”.

Komputery śledziły i rejestrowały każdą transakcję, ponieważ inwestorzy i maklerzy nie byli zdolni wszystkiego dostrzec i zapamiętać, no i wszystkiego dopilnować. Ktoś mógł na przykład rozmawiać akurat przez telefon i przez ten czas coś ważnego mu umknęło. Dlatego też poważniejsze instytucje

finansowe znajdowały się właściwie nie w rękach ludzi, ale we władzy komputerów, a wyrażając się ściślej — programów, którymi komputery zostały „nakarmione”, nim przystąpiły do pracy.

Z kolei programy były tworem ludzi ustanawiających w dyskrejacji mające obowiązywać kryteria.

Komputery rozumiały rynek i giełdę na tyle, na ile rozumieli jedno i drugie ludzie piszący programy.

Niemniej komputery zawsze otrzymywały instrukcje: jeśli nastąpi A, to należy wykonać B. Programy nowej generacji określane mianem „systemów mistrzowskich” (co podobno brzmiało lepiej niż „sztuczna inteligencja”) ze względu na wysoki stopień wyrafinowania, były codziennie uzupełniane ostatnimi kursami akcji wzorcowych, ustanawiających standard poziomu cen walorów, ich wartość bowiem rzutowała na stan zdrowia poszczególnych segmentów rynku. Bilanse kwartalne, trendy akcji przemysłowych, zmiany w kierownictwach — wszystko otrzymywało swoją cyfrową ocenę i było wprowadzane do zbioru wskaźników, które następnie systemy mistrzowskie przeżuwały i brały pod uwagę, wyciągając wnioski już bez udziału i opinii żywych pracowników.

W konkretnym wypadku poważny i nagły spadek wartości akcji Citibanku oznaczał dla komputerowej inteligencji, że trzeba wydać polecenie sprzedaży akcji innych banków. Chemical Bank, który ostatnio miał trudny okres, co komputery doskonale zapamiętały, i w poprzednim tygodniu stracił

kilka punktów, poszedł na pierwszy ogień. Trzy instytucje finansowe, korzystające z tego samego programu, wystawiły elektroniczne polecenie sprzedaży, a to spowodowało natychmiastowy spadek akcji Chemical Banku o dalsze półtora punktu. Inne mistrzowskie programy natychmiast skojarzyły sytuację Citibanku i Chemical Banku. Systemy te, oparte na tym samym protokole operacyjnym, choć operujące dla zupełnie innego zestawu akcji innych banków, przeniosły niepokój, niczym infekcję, na całą strefę bankowości. Następną ofiarą padł Manufacturers Bank. Teraz inteligentne programy zaczęły gwałtownie szukać modelowego rozwiązania i odpowiedzi, co należy w takiej sytuacji zrobić, i jak się należy bronić.

Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży akcji Citibanku holding Columbus zaczął kupować złoto, zarówno w formie akcji jak i kontraktów na przyszłość po oferowanej cenie, rozpoczynając nowy trend ucieczki od waluty na rzecz szlachetnych metali. Wiadomość natychmiast dotarła poprzez agencje informacyjne do wszystkich inwestorów — zarówno do żywych ludzi jak i teoretycznie podporządkowanych im komputerów. W większości wypadków analiza była podobna: ucieczka od obligacji skarbowych plus ucieczka od dolara, plus nagły wzrost cen szlachetnych metali, a także rezerw kapitałowych, co razem wzięte zapowiadało groźną inflację. Inflacja jest zawsze zjawiskiem niekorzystnym dla rynku papierów wartościowych. Żadna sztuczna inteligencja nie jest nikomu potrzebna, aby to wiedzieć. Ani ludzie, ani komputery nie wpadały jeszcze w panikę, natomiast wszyscy czujnie obserwowali, szukając w serwisach informacji na temat rozwijających się trendów, ponieważ chcieli je wyprzedzić, a tym samym lepiej chronić własne i klientów lokaty.

Rynek był już głęboko wstrząśnięty. Pół miliarda dolarów rzucone na rynek w odpowiednim czasie, powodowało głęboki niepokój ludzi kontrolujących dalsze dziesięć miliardów. Ci z menedżerów funduszy eurodolarowych, których wezwano z powrotem do ich biur, nie byli po prostu w stanie podjąć żadnej racjonalnej decyzji. Ostatnio przez dwa tygodnie mieli trudne dni z powodu ogólnej międzynarodowej



sytuacji,  
wywołanej  
uchwaleniem  
ustawy  
o  
innych  
zasadach  
handlu

międzynarodowego. Po powrocie do swoich gabinetów menedżerowie ci rozpytywali się nawzajem, co tu się właściwie dzieje. Mogli dowiedzieć się jedynie, że obligacje dolarowe spadają i że ten trend się utrzymuje, a nawet utrwała, gdyż zaczęły się do niego przyłączać wielkie i bardzo szacowne amerykańskie instytucje finansowe. Menedżerowie siadali więc za biurkami i grzebali w serwisach prasowych, usiłując czegoś jeszcze się dowiedzieć z napływających z Ameryki komunikatów. Było marszczenie brwi, zwężanie w napięciu oczu i dużo kręcenia głowami. Nie mogąc wchłonąć całej tej masy napływających materiałów, zaczęli zwracać się do swoich mistrzowskich systemów, by te zanalizowały sytuację, gdyż nikt, absolutnie nikt nie potrafił pojąć przyczyn nagłego spadku cen, nikt nie potrafił dopatrzeć się racjonalnego powodu ucieczki od „murowanych” obligacji i akcji.

Czy to było jednak ważne? Istotne jest, że to się stało. Amerykański Bank Rezerw Federalnych właśnie ogłosił, że o jeden punkt podnosi stopę dyskontową, a to przecież nie był jedynie zbieg okoliczności, że uczynił to właśnie teraz. Menedżerowie zdecydowali wreszcie, że póki nie otrzymają jakichś wytycznych od swoich rządów czy banków centralnych, powstrzymają się od jakichkolwiek zakupów amerykańskich obligacji dolarowych. Zaczęto też pilnie przeglądać portfele posiadanych akcji, gdyż wyglądało na to, że niektóre z nich zaczną tracić na rynkowej wartości i to znacznie.

— ...między narodami rosyjskim i amerykańskim! — zakończył toast prezydent Gruszawoj, który pełnił obowiązki gospodarza, w odpowiedzi na toast gościa, prezydenta Durlinga. Tego wymagał

protokół. Podniesiono kieliszki, potem zbliżono je do ust, wypito. Ryan jedynie posmakował swoją wódkę. Parę kropel. Mimo że kieliszki kieliszki były stosunkowo małe, wódką można szybko się upić.

Zwłaszcza że za plecami czyhali kelnerzy, aby dolewać, dolewać. A toasty dopiero się zaczynały. Ryan pomyślał, że jeszcze nigdy nie czuł się podobnie odprężony podczas oficjalnego bankietu. Przy wielkim stole zasiadał cały świat dyplomatyczny. To znaczy ambasadorzy z ważnych państw. W doskonałym humorze wydawał się być ambasador japoński — wstawał, odwiedzał znajomych, wymieniał tu i tam po kilka zdań. Po Gruszawoju wstał sekretarz stanu, Brett Hanson, podniósł kieliszek i wygłosił pochwalną odę, zawczasu przygotowaną, ku chwale dalekowzrocznego

ministerstwa spraw zagranicznych Rosji, które położyło podwaliny współpracy nie tylko z Ameryką, ale i całą Europą. Jack rzucił okiem na zegarek: dziesiąta trzy czasu lokalnego. Miał już za sobą trzy i pół drinka, jednak dochodził do wniosku, że i tak jest najtrzeźwiejszą osobą na bankietowej sali. Cathy stała się chichotliwa. Podobna rzecz od bardzo dawna się nie przytrafiła. Nie miał wątpliwości, że od tej chwili przez całe lata będzie sobie z niej pokpiwał.

— Nie smakuje ci nasza wódka, Jack? — spytał Gołowko, który już sporo wypił. Ale trzymał się dość dobrze. Trening czyni mistrza.

— Nie chcę robić z siebie większego głupca, niż jestem — odparł Ryan.

— To ci się nigdy nie uda, przyjacielu — usłyszał w odpowiedzi.

— Trzeba być jego żoną, żeby wiedzieć, iż to jest możliwe — zaćwierkała Cathy z błyskiem w oku.

— Poczekaj no chwilę — powiedział do swojego komputera nowojorski sprzedawca, spec od obrotu obligacjami. Jego firma zarządzała kilkoma funduszami emerytalnymi, od których zależał byt ponad miliona członków związków zawodowych. Spec właśnie wrócił z codziennego lunchu w małej ulubionej żydowskiej knajpce za rogiem. Z gabinetów na górze otrzymał polecenie sprzedaży obligacji skarbowych po naprawdę wyjątkowo niskiej cenie. Teraz czekał na potencjalnego klienta. Dlaczego kazano mu to zrobić? I dlaczego tak długo musiał czekać? Wreszcie nieśmiało zgłosił się bank francuski, który najprawdopodobniej chciał przeciwdziałać naporowi na franka. Chodziło o miliard dolarów po wyjściowej cenie 1 7/32. Oddanie po takiej cenie można by traktować jako międzynarodowy ekwiwalent zwykłego rabunku. Najwidoczniej jednak dyrekcji nawet na tym zależało. Oferta została akceptowana, Columbus przyjął franki i niemalże natychmiast zamienił je na marki niemieckie, aby siebie z kolei zabezpieczyć. Spec od obligacji, który jeszcze kończył przyniesioną kanapkę z mieloną wołowiną, poczuł, że robi mu się zimno.

— Czy ktoś chce podciąć skrzydła dolarowi? — spytał siedzącego obok maklera.

— Na to wygląda — odparł zapytany. W ciągu jednej godziny zamówienia na przyszłe transakcje dolarowe spadły do najniższego dopuszczalnego poziomu, mimo że rano ich cena przez cały czas wzrastała.

— Kto?

— Nie wiem kto, ale wiem, że Citibank dostał tęgie lanie. Chemical też spada.

— Czy to jest jakaś korekta?

— Korekta w stosunku do czego?

— Więc co mam robić? Kupować? Sprzedawać? Uciekać, gdzie pieprz rośnie? — Musiał podjąć jakąś decyzję. Jego obowiązkiem było dbanie o życiowe oszczędności żywych ludzi, jednakże rynek nie zachowywał się w zrozumiałym sposób. Wszystko zaczęło się nagle załamywać i on nie miał pojęcia, dlaczego. Aby właściwie wykonywać swoją pracę, musiał przecież to wiedzieć.

— Płyną nadal na zachód na nasze spotkanie — obwieścił admirałowi Sato pierwszy oficer. —

Wkrótce powinniśmy mieć ich na naszych radarach.

— *Hai* — odparł Sato. W jego głosie wyrażającym dotychczas dobry nastrój zadźwięczała ostra nutka niepokoju. Ale właśnie chciał, żeby to tak odebrano. Niech ludzie wiedzą, że się przejmuje.

Amerykanie wygrali manewry, czego, niestety, należało się spodziewać. Niemniej członkowie załogi byli tym nieco przygnębieni. Po tylu przygotowaniach i ćwiczeniach, zostali „administracyjnie” zniszczeni, unicestwieni! Ich reakcje, choć niezbyt profesjonalne, były jednak bardzo ludzkie. Amerykanie jeszcze raz sprawili nam lanie, myśleli ludzie. Te nastroje bardzo w tym momencie odpowiadały dowódcy floty. W

operacji, która miała wkrótce się rozpocząć, a o której załogi jeszcze nic nie wiedziały, bardzo istotne będą właśnie nastroje.

Sytuacja zapoczątkowana sprzedażą pierwszych partii obligacji skarbowych rozciągnęła się teraz na akcje wszystkich banków, które emitowały własne akcje. Prezes Citibanku zwołał konferencję prasową, aby ostro zaprotestować przeciwko spadkowi ceny rynkowej akcji jego banku. Wskazywał na ostatni bilans i na dostrzegalne na każdym kroku dowody zdrowej sytuacji tej największej instytucji bankowej w kraju. Nikt go nie słuchał. Lepiej by zrobił, gdyby zamiast konferencji prasowej podzwonił

do kilku wybranych osób prosząc o radę, z której z pewnością też by nic nie wynikło.

Jedyny bankier, który tego dnia mógłby coś poradzić, wygłaszał właśnie przemówienie w klubie finansistów, kiedy usłyszał w kieszeni swój przywoływacz. Bankierem tym był Walter Hildebrand, prezes nowojorskiego oddziału Banku Rezerw Federalnych, a jednocześnie druga osoba w hierarchii po prezesie centrali banku w Waszyngtonie. Był to człowiek, który odziedziczył wielką fortunę i który mimo to rozpoczął pracę w bankowości od najniższych szczebli (przez cały ten czas mieszkał w luksusowym dwunastopokojowym apartamencie) i dotarł dzięki własnej pracowitości na szczyt drabiny. Hildebrand w pełni zasłużył na swoje obecne stanowisko, które traktował jako zesłaną mu z niebios łaskę, by mógł

służyć społeczeństwu. Był przebiegłym ekspertem finansowym. Opublikował także książkę na temat załamania giełdowego 19 października 1987 roku i roli, jaką wówczas odegrał jego poprzednik na stanowisku prezesa nowojorskiego oddziału Banku Rezerw Federalnych, ratując w ostatniej chwili sytuację. Właśnie zakończył odczyt na temat ewentualnych skutków Ustawy o Regulacji Handlu, kiedy odezwał się przywoływacz. Nie zdziwił się, kiedy zobaczył, że ma zadzwonić do swojego banku.

Ponieważ jednak bank znajdował się zaledwie o parę przecznic dalej, postanowił się przejść, zamiast dzwonić. Gdyby zadzwonił, dowiedziałby się, że natychmiast musi udać się na giełdę NYSE. Nie zrobiłoby to jednak żadnej różnicy.

Hildebrand wyszedł sam z budynku klubowego. Dzień był słoneczny, powietrze ostre, czyste.

Doskonały spacer po obfitym lunchu. Hildebrand nigdy nie chodził w towarzystwie goryli, tak jak to czyniło wielu bankierów. Miał jednak zezwolenie na noszenie broni i czasami ją nosił.

Ulice południowego Manhattanu są wąskie i zatłoczone. Jezdnie zakorkowane samochodami dostawczymi i żółtymi taksówkami, które przepychały się z trudem, czasami niemal objając się o wszystkie przeszkody, jak to można oglądać na torach, gdzie odbywają się zawody wraków samochodowych. Przeważnie najmniej tłoczno było na wąskim paśmie chodniku najbliższej krawężnika, choć chodniki bynajmniej nie były szerokie, natomiast bardzo zatłoczone. Próba pójścia środkiem oznaczała konieczność nieustannego omijania innych. Hildebrand szedł więc właściwie krawężnikiem, maksymalnie szybko, na ile pozwalały okoliczności. Chciał jak najszybciej dotrzeć do biura. Nie był

świadomy obecności drugiego mężczyzny, postępującego za nim w odległości najwyżej metra. Był to człowiek dobrze ubrany, o ciemnych włosach i bardzo przeciętnej twarzy. Człowiek ten czekał na właściwy moment, a tłok panujący na całej ulicy, zarówno jezdni, jak i chodniku, gwarantował, że taki moment nadejdzie. Było to bardzo pocieszające dla ciemnowłosego mężczyzny, który wolałby nie używać pistoletu podczas realizacji otrzymanego zamówienia na egzekucję. Broń palna czyni zbyt wiele hałasu.

Hałas przyciąga uwagę ludzi. Ludzie mogą wtedy coś zobaczyć, coś zapamiętać. I chociaż mężczyzna zamierzał znaleźć się w ciągu najbliższych dwu godzin w samolocie lecącym do Europy, wolał nie ryzykować. Nigdy nie jest się zbyt ostrożnym. Bystro rozglądał się więc na wszystkie strony, na ruch za sobą i przed sobą, i wreszcie wybrał właściwy moment.

Hildebrand zbliżał się właśnie do skrzyżowania ulic. Zapaliły się zielone światła, pozwalając stumetrowej kolumnie samochodów rzucić się przed siebie, by pokonać następne sto metrów i ponownie utknąć. Zmieniły się światła na skrzyżowaniu za plecami, co wyzwoliło drugą kolumnę wozów, które przez minutę powstrzymywały rozsadzającą je energię. W kolumnie przeważały taksówki, które jechały szybko, gdyż ich kierowcy uwielbiają niespodziewanie zmieniać tor jazdy, czego unikają ciężarówki.

Jedna z taksówek na czerwonym świetle skręciła w prawo. Ciemnowłosy mężczyzna podskoczył do przodu i pchnął Hildebranda. Tylko tyle. Prezes nowojorskiego oddziału centralnego banku potknął się i upadł na jezdnię. Taksówkarz dostrzegł upadek i odbił, ile tylko mógł w lewo. Nie zdążył nawet zakląć i nie zdołał ominąć leżącego. Można by powiedzieć, że zamachowiec miał szczęście. Chociaż kierowca zahamował tak szybko, jak na to pozwalały nowe klocki hamulcowe, jednak uderzając Hildebranda jechał

jeszcze z szybkością około trzydziestu kilometrów na godzinę. To wystarczyło, by cisnąć leżącym w odległy o dziesięć metrów słup latarni i złamać kręgosłup. Natychmiast zareagował policjant, znajdujący się po drugiej stronie ulicy. Przez radio wezwał karetkę pogotowia.

Ciemnowłosy mężczyzna wtopił się w tłum, idąc szybko w kierunku najbliższej stacji kolejki podziemnej. Nie miał pojęcia, czy jego ofiara żyje, czy też nie. Nic go to nie obchodziło. Powiedziano mu, że nie musi go uśmiercać. Bardzo mu to wówczas wydawało się dziwne. Hildebrand był pierwszym bankierem, którego nie miał obowiązku zabijać ani dobijać.

Wszystkie inteligentne systemy „wiedziały”, że jeśli cena akcji banku szybko spada, to natychmiast następuje publiczna utrata zaufania do tego banku. A także do banków w ogóle. Ludzie zaniepokojeni o los swoich oszczędności zaczęły myśleć o ich wycofaniu. To z kolei zmusiło banki do żądania spłaty kredytów przez pożyczkobiorców. Zmusiło ich także do żądania od swoich „mistrzowskich systemów”, aby wcześniej, niż zrobią to wszyscy inni, przedstawiły opcje rynkowe. Banki zaczęły bowiem przekształcać się w instytucje finansowe, jakby fundusze inwestycyjne, i likwidowały własne portfele, by móc spełnić żądanie klientów — tych, którzy pragnęli wycofać depozyty i zlikwidować konta.

Na rynku papierów wartościowych uważano banki za wyjątkowo ostrożnych i konserwatywnych inwestorów. Banki nie kupowały akcji zawierających choćby śladowo ryzyka. Interesowały się pewniakami i akcjami innych banków, zwłaszcza trzydziestoma emisjami „wzorcowymi”, na podstawie których obliczano średnią indeksu giełdowego Dow Jones. Jak zwykle rzeczą najważniejszą było wyiniuchanie trendu i zrobienie pierwszego ruchu. To było najbezpieczniejsze, maksymalnie chroniło majątek instytucji. Ponieważ jednak wszystkie instytucje korzystały z tego samego „mistrzowskiego systemu”, wszystkie czyniły pierwszy ruch mniej więcej w tym samym czasie.

Maklerzy na giełdowym parkiecie zdawali sobie z tego sprawę. Ludzie, którzy nieustannie zajmowali się realizowaniem wydawanych przez komputery poleceń kupna i sprzedaży, doskonale wiedzieli, czego mają się spodziewać, zanim jeszcze komputer powiedział swoje. Zaczyna się! — taki szept było słychać na całym parkiecie, we wszystkich jego trzech aneksach. A to, że ludzie mogli to przewidzieć, w dużym stopniu wyjaśniało sytuację. Jednakże „kowbojom” stojącym na uboczu było niesłuchanie trudno wejść w rozgorączkowane stado, pokierować nim, wskazać drogę, wreszcie uspokoić je i nie zostać w trakcie tego wszystkiego stratowanym. „Kowboje” byli w rozpaczliwej sytuacji. Jeśli to, co przewidywano, że ma się zacząć, zacznie się rzeczywiście, to oni wszystko stracą, gdyż dalszy gwałtowny spadek akcji zje całkowicie skromne prowizje, na jakich sprzedawali i kupowali. Pożre nawet część kapitału.

Na galerii NYSE stał jej prezes, patrzył na parkiet i zastanawiał się, gdzie, u diabła, podziwiał się Walt Hildebrand. Wyjął komórkowy telefon i jeszcze raz zadzwonił do jego biura. Tego tylko brakowało, żeby Hildebrand gdzieś się zawieruszył. Walt był potrzebny, wszyscy słuchali Walta. Znowu usłyszał od sekretarki Hildebranda, że szef jeszcze nie wrócił do gabinetu po spotkaniu w klubie. Owszem, wzywała przywoływaczem. Naprawdę wzywała!

Prezes giełdy widział, że się zaczyna. Na parkiecie zrobił się ruch. Wszyscy tam chyba byli, a ogólny hałas rozmów zaczął wprost ogłuszać. Był to zawsze zły znak, kiedy ludzie zaczynali krzyczeć. A właśnie zaczynali. Elektroniczny wyświetlacz obnażył sytuację. „Murowane” akcje, określane zawsze trzyliterowymi akronimami, znane każdemu finansiście lepiej niż imiona jego własnych dzieci, obejmowały obecnie jedną trzecią obrotów. I wszystkie notowania spadały. W ciągu zaledwie dwudziestu minut indeks Dow Jones stracił pięćdziesiąt punktów i chociaż spadek ten był okropny i karkołomny, przyjęto go z ulgą. Taki spadek oznaczał, że teraz komputery giełdowe w Nowym Jorku nie będą przyjmowały nowych komputerowych zleceń sprzedaży. Po prostu komputerowy brat odmówi drugiemu komputerowemu bratu. Pięćdziesięciopunktowy spadek określany był jako „przeszkoda na torze”.

Ustanowiono ową przeszkodę po krachu w 1987 roku, a jej celem było zwolnienie prędkości, dopasowanie jej do ludzkiego kroku, bardziej ludzkiego. Zapomniano tylko o jednym, ustanawiając owo zabezpieczenie: żywi ludzie także mogli dawać zlecenia sprzedaży. I nikt już nawet nie nazywał ich rekomendacjami. Nie, były to zdecydowane polecenia. Ludzie też mogli wykonywać to, co im nakazywały ich osobiste komputery. A nakazywały sprzedaż. Napływały więc na giełdę zlecenia telefoniczne, telexowe i pocztą elektroniczną, a owa „przeszkoda na torze” wydłużyła jedynie o trzydzieści sekund czas przeprowadzania transakcji. Tak więc po przerwie trwającej minutę, tempo ucieczki od akcji wzrosło, a kursy nadal spadały.

I w tym czasie można już było mówić o panice w kołach finansowych. We wszystkich instytucjach finansowych, we wszystkich salach operacyjnych i gabinetach toczyły się przyciszone nerwowe rozmowy. Sieć CNN wydała specjalny biuletyn ze swojego stałego stanowiska w dawnym wielkim garażu, wysoko ponad parkietem. Wymieniając główne tytuły dnia, stacje telewizyjne pokazywały ujęcie wyświetlacza, po którym przebiegały świetlnymi paskami nazwy akcji i ich aktualne ceny. Sam fakt umieszczenia wyświetlacza na ekranach mówił bardzo wiele inwestorom, ponieważ byli raczej przyzwyczajeni do papki polityczno-przestępczej w czołówkach dzienników. Inwestorów mniej interesował w tej fazie giełdowy wyświetlacz, a bardziej żywi ludzie mogący coś mądrego powiedzieć.

Byli na miejscu i żywi ludzie, którzy bez mrugnięcia okiem obwieszczali, że średnia Dow Jones spadła o pięćdziesiąt punktów, a potem jeszcze o dwadzieścia, i że spirala bessy jest taka sama, jak była. W

programie „Główne Wiadomości” telewizyjny dziennikarz zadał ze studia w Atlancie pytanie na temat przyczyn powstającej paniki, a w trakcie ożywionej spekulacji na ten temat jedna z reporterek, która najwidoczniej nie miała czasu sprawdzić swoich informacji, zaczęła „haftować” oświadczając, że dolar jest pod presją na całym świecie i że Bank Rezerw Federalnych nie zrobił nic, aby temu zapobiec. Nie mogła powiedzieć gorszej rzeczy. Teraz już wszyscy wiedzieli, co się dzieje, że źle się dzieje i hurmem rzucili się ratować, co się da.

Chociaż profesjonalni inwestorzy patrzą z pogardą na tak zwany szary tłum ciułaczy, który nie rozumie zasad procesów inwestycyjnych, ci sami profesjonalści zupełnie nie dostrzegają podobieństw między własnym zachowaniem a owych pogardzanych szarych inwestorów. Szeroka opinia publiczna po prostu na ślepo akceptowała fakt, że skoro Dow Jones pnie się w górę, to jest dobrze, a kiedy spada, to jest źle. Podobne przekonanie mieli profesjonalści, którzy byli przeświadczeni, że dobrze pojęli cały system.

Inwestycyjni profesjonalści wiedzieli dużo więcej o mechanice rynku od amatorów, ale jednocześnie tracili z oczu rzeczywistość. Zapomnieli o tym, co leży u podstaw. Zarówno dla nich, jak i dla inwestora-amatora rzeczywistością stał się trend. Akcje nie były jedynie teoretycznym wyobrażeniem jakiejś nieznannej rzeczywistości. Akcja jest zaświadczeniem o posiadaniu konkretnego wycinka jakiejś korporacji czy przedsiębiorstwa reprezentującego fizyczny byt. Istniejącego! Z biegiem czasu komputerowi geniusze w instytucjach maklerskich zupełnie o tym zapomnieli i, pomimo wspaniałego wykształcenia w dziedzinach budowy matematycznych modeli i przeprowadzania analiz trendów, istotne znaczenie i wartość tego, czym obracali, co kupowali i sprzedawali, były im zupełnie obce. Fakty stały się dla nich problemami bardziej teoretycznymi, niż

teoria, która obecnie legła w gruzach na ich oczach. Pozbawieni możliwości uwiarygodnienia tego, co teraz robili, pozbawieni opoki, na której mogli się wesprzeć, po prostu nie wiedzieli, co robić. A kilku starszych profesjonalistów, którzy nadzorowali ogólnie system, wiedzieliby, co robić, tylko że brakowało im danych i czasu, aby wyjaśnić to młodocianym mistrzom komputerowej klawiatury.

Wszystko to razem nie miało sensu. Dolar powinien był być mocny i stać wysoko po kilku drobnych zachwianiach. W ostatnim kwartale Citibank wykazał może nie spektakularne, ale całkiem dobre wyniki. Chemical Bank stał w zasadzie na mocnych nogach, zwłaszcza po ostatnich zmianach na najwyższych szczeblach kierowniczych. A mimo to akcje obu tych banków spadły nagle i niezrozumiale.

Programy komputerowe stwierdzały, że w powiązaniu parametrów nie było nic specjalnie groźnego. A sztuczna inteligencja komputerów jest niezawodna, prawda? Nigdy się nie myli. Komputery są tworcami wielkiej precyzji, umieją lepiej spoglądać w przyszłość niż ludzie. Maklerzy wierzyli swoim modelowym programom, mimo że nie potrafili zrozumieć logiki, która nakazywała komputerom proponować takie, a nie inne rozwiązania. Patrzyli na swoje monitory z podobną wiarą, z jaką zwykli ludzie spoglądają na ekrany telewizyjne w czasie nadawania dziennika informacyjnego. Ludzie widzą, kiedy dzieje się coś niedobrego, ale rzadko rozumieją dlaczego, a prawie nigdy nie wiedzą, co na to poradzić. Tak już bywa.

Tak zwani profesjonaliści byli w równie złej sytuacji jak zwykli obywatele, oglądający telewizję lub słuchający radia. Profesjonalistom tylko się wydawało, że są w takiej samej sytuacji. Głębokie zrozumienie struktury i funkcji modelowego oprogramowania, mającego pomóc w rozwiązywaniu problemów, stało się nagle ciężarem, a nie błogosławieństwem. Przeciętny obywatel przede wszystkim nie rozumiał tego, co widział lub słyszał. A ponieważ nie rozumiał, nie musiał podejmować żadnych decyzji.

Ludzie po prostu słuchali, patrzyli i czekali, a w wielu wypadkach wzruszali ramionami, gdyż nie posiadali żadnych akcji. W rzeczywistości posiadali akcje, tylko o tym nie wiedzieli. Banki, towarzystwa ubezpieczeniowe oraz fundusze emerytalne zarządzające składkami pracowniczymi posiadały grube portfele wszystkich możliwych emisji dopuszczonych do publicznego obrotu i notowanych na giełdzie.

Instytucjami tymi zawiadywali „profesjonaliści” — całe ich przygotowanie zawodowe, całe doświadczenie nakazywało im teraz poddać się panice. Więc poddawali się, zapoczątkowując proces, który już wkrótce dał się łatwo rozpoznać zwykłemu zjadaczowi chleba. I wówczas wszystkie instytucje zaczęły otrzymywać telefony od udziałowców i indywidualnych posiadaczy akcji. A równia pochyła ustawiła się od tej chwili pod znacznie ostrzejszym kątem. I wszyscy zaczęli się po niej osuwać.

To, co już było dostatecznie przerażające, stało się jeszcze gorsze. Najpierw zaczęli dzwonić ludzie starsi, którzy w ciągu dnia oglądali telewizję i rozmawiali ze znajomymi przez telefon, dzieląc się obawami i lękiem przed przyszłością. Wielu z nich powierzyło wszystkie swoje oszczędności funduszom inwestycyjnym, ponieważ płaciły one wyższy procent od banków — dlatego banki też zaczęły zajmować się inwestowaniem, aby chronić swoje zasoby. Fundusze powiernicze zaczęły dostawać cięgi, a chociaż obrywały przeważnie na tak zwanych murowanych akcjach — dotychczas!

— to od chwili fali telefonów od własnych udziałowców i klientów pragnących wycofać pieniądze, zaczęły z konieczności sprzedawać emisje jeszcze nie objęte paniką, aby odrobić straty poniesione na pewniakach, które okazały się tak mało pewne w chwili rozpętania się paniki. W dużym skrócie: instytucje zawiadujące funduszami powierniczymi zaczęły upłynniać papiery wartościowe, które od tej chwili nic jeszcze nie straciły i miały te same notowania, co poprzedniego dnia. Takie postępowanie doskonale pasowało do aforyzmu o

„wyrzucaniu dobrych pieniędzy po pozbyciu się złych”. Otóż to: wyrzucano za okno dobre pieniądze.

Efektom powyższego był ogólny spadek akcji i to bardzo poważny. Na giełdach odnotowano spadek kursów wszystkich emisji. O trzeciej po południu indeks Dow Jones stracił od rana sto siedemdziesiąt punktów. Indeks Standard i indeks Poors Five Hundred wykazywały jeszcze większy spadek. Najgorszy był jednak indeks NASDAQ. Chyba wszyscy indywidualni inwestorzy całej Ameryki zaczęli dzwonić do swoich funduszy powierniczych.

Szefowie wszystkich giełd odbywali telekonferencję z przedstawicielami federalnej komisji kontroli obrotu papierami wartościowymi, której siedziba znajdowała się w Waszyngtonie. Akronimem tej komisji, znanym wszystkim, były trzy litery: SEC. Przez pierwsze dziesięć minut telekonferencji jej uczestnicy domagali się odpowiedzi na jedno i to samo pytanie, które jednocześnie zadawali panowie w Waszyngtonie. Nie osiągnięto absolutnie nic. Przedstawiciele rządowej komisji domagali się informacji na temat sytuacji ogólnej i ostatnich transakcji na giełdach. Wyglądało na to, że najbardziej ich interesuje, jak blisko przepaści znajduje się już rozpędzone stado i z jaką szybkością do niej zdąża, natomiast ani im nawet na myśl nie przyszło, by uczestniczyć w jakiegokolwiek próbie skierowania stada w bezpiecznym kierunku. Prezes NYSE walczył z wewnętrznym głosem, który nakazywał mu wstrzymanie w ogóle obrotów giełdowych, a w każdym razie radykalne ich ograniczenie. W czasie trwania telekonferencji —

dwadzieścia minut! — indeks Dow Jones spadł o dalsze dziewięćdziesiąt punktów, pokonując barierę dwustu punktów. Po wspomnianych dwudziestu minutach panowie z SEC wyłączyli się z bankierskiej telekonferencji i rozpoczęli swoją własną w zamkniętym gronie. Prezesi giełd natomiast, gwałcąc przepisy federalne, sami zaczęli się naradzać przez telefon co do ewentualnych kroków zaradczych, ale nawet przy ich wielkiej wiedzy na temat obyczajów rynku, nic już nie można było poradzić.

W całej Ameryce indywidualni inwestorzy blokowali linie łączące ich z funduszami powierniczymi. Ci, którzy oddali swoje pieniądze do banków, dowiadywali się przy okazji bardzo niemiłej rzeczy. Owszem, ich pieniądze były na kontach, owszem, konta są gwarantowane przez rząd federalny, ale niestety fundusze powiernicze, którymi banki administrowały, aby służyć potrzebom swoich klientów, nie były gwarantowane przez żadną instytucję federalną, a na pewno nie przez FDIC, głównego ubezpieczyciela depozytów bankowych. I nie chodziło o to, że ewentualne zyski były zagrożone, zagrożony był również sam kapitał złożony w funduszach powierniczych. Kapitał pochodzący z indywidualnych kont. Po otrzymaniu takiego wyjaśnienia zapadała przeważnie wielosekundowa cisza na linii. W wielu wypadkach ludzie wyprowadzali z garaży samochody i jechali do swojego banku, aby z konta zabrać wszystkie pieniądze.

Na giełdzie NYSE natężenie „ruchu” było tak wielkie, że mimo wysoce sprawnych komputerów,



które odnotowywały natychmiast każdą zmianę nieustannie spadających kursów akcji, wyświetlacz miał

czternastominutowe opóźnienie. Pojawiła się wprawdzie garstka emisji, które w tym ogólnym chaosie zyskały na wartości, ale dotyczyło to głównie akcji kruszców. Wszystko inne spadało, spadało. Teraz już cała plejada sieci telewizyjnych nadawała na żywo z giełdowych parkietów. A więc już wszyscy wiedzieli! CCC, Cummings, Canton i Carter, firma ze studwudziestoletnią tradycją, wyczerpała wszystkie swoje rezerwy, co skłoniło jej zrozpaczonego prezesa do zatelefonowania do konkurencji — firmy maklerskiej Merrill Lynch. Prezes tej największej instytucji znalazł się w niesłychanie kłopotliwym położeniu. Był najstarszym i najsprytniejszym profesjonalistą maklerskiego świata. Przed pół godziną niemalże złamał sobie nadgarstek waląc dłonią w stół i domagając się odpowiedzi, których nikt nie potrafił mu udzielić. Tysiące inwestorów kupowało akcje przez kantory Merrill Lynch, a także akcje samej Merrill Lynch — firmy znanej z sumienności, uczciwości i głębokiej znajomości tajników rynku.

Otóż obecnie prezes mógł uczynić albo rozsądne strategicznie posunięcie, zapewniając firmie będącej niemalże symbolem systemu finansowego osłonę przed natarciem rozjuszonego stada, które pędziło bez najmniejszego powodu, albo mógł tego odmówić, mając na uwadze dobro własnych udziałowców. W tym wypadku każda decyzja była zła. Pozostawienie CCC swojemu losowi z pewnością spotęguje panikę i pograży rynek, a Merrill Lynch i tak straci — z powodu dalszego spadku kursów — pieniądze, które początkowo by zaoszczędził, nie pomagając rywalowi. Udzielenie zaś pomocy CCC może okazać się pustym gestem bez najmniejszego znaczenia — łataniem dziury w przerwanej tamie. I pożyczone pieniądze będą bezpowrotnie stracone. Pieniądze, które należały do inwestorów Merrill Lyncha.

— Jasna cholera! — mruknął pod nosem prezes i spojrzął przez okno. Jednym z symboli jego firmy był rysunek rozpędzonego stada. — Ale mi się przytrafiło — powiedział do siebie. — Aż mi uszy pękają od tętentu. — W myślach ważył stopień odpowiedzialności wobec systemu i stopień odpowiedzialności wobec udziałowców. Byt wszystkich zależał od systemu. Byt systemu zależał od udziałowców. Kwadratura koła. Jednakże wybrał. Na korzyść udziałowców. Nie widział innego wyjścia. I w ten oto sposób jeden z głównych graczy świata finansów wyrzucił za okno cały system, na jakim zbudowano wielki gmach amerykańskiego kapitalizmu.

Operacje giełdowe przerwano o godzinie trzeciej dwadzieścia trzy po południu, kiedy indeks Dow Jones osiągnął maksymalny prawnie dozwolony spadek — pięćset punktów. Ta liczba odzwierciedlała jedynie stopień utraty wartości przez trzydzieści emisji. Spadek innych akcji był jeszcze większy.

Większy od największego spadku notowań najbardziej murowanych z murowanych akcji. Opóźnienie wyświetlacza giełdowego wynosiło trzydzieści minut, stwarzając iluzję, że na parkiecie nadal dokonują się transakcje. Tymczasem obecni tam inwestorzy i maklerzy spoglądali tylko na siebie, przeważnie w milczeniu, grzęznąc po prostu w powodzi zaścielających podłogę białych świstków. Z oddali wyglądało to tak, jakby spadł śnieg. Pocieszano się, że na szczęście jest to piątek. Następnym dniem będzie sobota i wszyscy pozostaną w domach. Będą mogli zrobić kilka głębokich oddechów i

zacząć się zastanawiać.

Każdemu chyba taka myśl przemknęła przez głowę. W sobotę nic więcej się nie wydarzy. A wszystko razem było bez sensu, powtarzano w kółko. Wielu ludzi dostało po skórce, ale sytuacja rynkowa unormalizuje się. Wkrótce ci, którzy mają trochę sprytu i odwagi, żeby wytrwać, odzyskają to, co stracili.

Pod warunkiem, dodawano, że wszyscy inteligentnie wykorzystają czas, i że nic podobnie zwariowanego nie się powtórzy. I mieli rację. Ale nie do końca.

Pracownicy DTC, gdzie rejestrowano dzienne transakcje i dokonywano rozliczeń, porozluźniali krawaty. Co chwila ktoś pędził do toalety, bowiem tego dnia każdy wypił już morze kawy, a teraz nieustannie pociągał z puszki Coca-Colę lub Fantę. To popołudnie było straszne. Na szczęście wcześniej przerwano sesję i pracownicy mogli równie wcześniej przystąpić do dzieła — do rejestracji wszystkiego, co po południu zaszło. Zakończono właśnie przyjmowanie pełnych danych z giełd, komputery przełączono na zupełnie inne operacje. Wcześniejsze nagrania porównywano i zestawiano. Oczywiście nie robili tego ludzie, ale komputery. One sprawdzały, one rozdzielały. Dochodziła szósta, kiedy rozległ się dzwonek przy jednym z terminali.

— Rick, mam tutaj pewien problem! — zawołał rejestrator.

Rick Bernard, starszy kontroler systemu, podszedł, żeby zobaczyć, co też spowodowało alarmowy dzwonek. Spojrzał na monitor.

Ostatnia transakcja, jaką zobaczył, dotyczyła firmy Atlas Milacron, produkującej oprzyrządowanie elektroniczne. Transakcja ta odbyła się dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Atlas był w doskonałej kondycji, miał pełen portfel zamówień, przeważnie od fabrykantów samochodów.

Południowa transakcja: sześć tysięcy akcji zwykłych po czterdzieści osiem i pół. Od kiedy Atlas był notowany na giełdzie, posiadał tak jak i wszyscy inni trzyliterowy akronim. W konkretnym wypadku AMN. Akcje, którymi obracał NASDAQ, miały akronimy czteroliterowe.

Tuż po tej transakcji określonej jako AMN 6000 48 1/2 znajdował się kolejny wpis: AAA 4000

67 1/8. Po nim następny: AAA 9000 51 1/4. Sprawdzając całą tabelę Rick stwierdził, iż wszystkie wpisy po godzinie 12.00.01 zawierają identyczny akronim AAA, nie mający żadnego odnośnika na giełdzie.

— Przełącz na Betę — polecił Bernard. Pracownik wyjął zapasową taśmę systemu.

— Cholera!

W ciągu pięciu minut sprawdzono wszystkie sześć systemów operacyjnych, sześć odrębnych baz danych. We wszystkich bez wyjątku transakcje odnotowane były w formie niezrozumiałego bełkotu.

Nie było ani skrawka dostępnej dokumentacji jakiegokolwiek operacji giełdowej dokonanej po godzinie dwunastej w południe. Żaden makler, żaden bank, żaden prywatny inwestor, nikt nie wiedział, co kupił, co sprzedał, od kogo czy komu, za ile. I w związku z tym nikt nie wiedział, ile mu zabrakło czy pozostało pieniędzy na inne transakcje, i czy w ogóle ma jeszcze pieniądze na zakup jedzenia na weekend.

# Trzecie uderzenie

Bankiet skończył się po północy. Atrakcją wieczoru był balet „Bolszoj”. Nie stracił swojej magii.

Dzięki temu, że popisywał się w sali kremlowskiej, wszyscy mogli oglądać tancerzy bliżej, niż kiedykolwiek przedtem. Po ostatnim oklasku już poczerwieniałych dłoni, po kilkakrotnych bisach, nadeszła chwila ciężkiej pracy ochroniarzy, którzy musieli wielu gościom pomagać przy wyjściu. Prawie wszyscy lekko się kołysali lub nawet potykali. Ryan po raz drugi stwierdził, że jest najtrzeźwiejszy z obecnych. Cathy także szła na miękkich nogach.

— Co o tym sądzisz, Daga? — spytał Ryan specjalną agentkę Helen D’Agustino. Jego osobisty ochroniarz odbierał z szatni płaszcze.

— Po raz pierwszy żałowałam, że jestem zwykłą ochroniarką, a nie członkiem oficjalnej delegacji. Na ten jeden raz. — Potrząsnęła głową jak rodzic rozczarowany swą latoroślą.

— Jack, Jack, jutro będę okropnie się czuła — jęknęła Cathy. Wódka okazała się zdradziecka.

— Mówiłem ci, kochanie. Przestrzegałem. A poza tym to już jest właśnie jutro.

— Przepraszam, muszę pomóc Skoczкови. — Było to kodowe imię prezydenta, używane przez Tajną Służbę. Upamiętniające jego wojskową przeszłość. Helen D’Augustino odeszła.

Ryan zdumiony spostrzegł jakiegoś Amerykanina w zwykłym garniturze. Na bankiecie wszyscy mieli smokingi. Jeszcze jedna zmiana na rosyjskiej scenie. Amerykanin czekał tuż przed drzwiami. Ryan poprowadził żonę w jego kierunku.

— O co chodzi?

— Doktorze Ryan, muszę natychmiast widzieć się z prezydentem.

— Zostań tu na chwilę, Cathy — polecił żonie Ryan, a do przybyłego powiedział: — Niech pan idzie ze mną.

— Ooo, Jack... — jęknęła Cathy.

— Ma pan coś na piśmie? — spytał Ryan, wyciągając rękę.

— Proszę! — zapytany podał Ryanowi kilka kartek faksu. Ryan idąc przez salę czytał.

— O Jezu! Chodźmy! — warknął.

Prezydent Durling rozmawiał jeszcze z prezydentem Gruszawojem, kiedy Ryan z młodym urzędnikiem stanęli przed nimi.

— Wspaniały wieczór, prawda Jack? — odezwał się Durling, podnosząc głowę. Widząc poważną

twarz Jacka też spoważniał. — Problemy?

Ryan skinął głową. — Potrzebny jest nam Brett i Buzz. Natychmiast.

— Są! — Na ekranie radaru *SPY-ID* na pokładzie „Mutsu” widać było szpicę amerykańskiej formacji. Wiceadmirał — *Szoho* — Sato obrzucił pierwszego oficera przenikliwym spojrzeniem, które nic nie oznaczało dla obecnych na mostku członków załogi, ale coś mówiło kapitanowi — *Issa* — który wiedział, jak miały przebiegać manewry pod kryptonimem WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY. Nadszedł

czas przedyskutowania sprawy z dowódcą niszczyciela. Obie formacje znajdowały się w odległości stu czterdziestu mil morskich od siebie i miały się spotkać późnym popołudniem. Sato i pierwszy oficer ciekawi byli, jak zareaguje dowódca „Mutsu”, kiedy się wszystkiego dowie. Zresztą, nie miał wyboru.

Dziesięć minut później *Soczo*, bosman, wyszedł na pokład, żeby sprawdzić wyrzutnię torped wz.

50 na lewej burcie. Otworzył klapę kontrolną u podstawy i przeprowadził elektroniczną diagnozę systemów naprowadzających trzech torped, spoczywających w trzech tubach. Zadowolony z próby zamknął klapkę i z kolei odśrubował dalsze trzy klapki na nosie każdej z torped, wyjmując blokady śrub.

*Soczo* miał za sobą dwadzieścia lat służby w Siłach Samoobrony i wszystkie wyżej opisane czynności zajęły mu zaledwie dziesięć minut. Zebrał narzędzia i przeszedł na prawą burtę, aby powtórzyć te same czynności przy drugiej wyrzutni. Nie miał pojęcia, dlaczego kazano mu to robić, i nie pytał.

Po następnych dziesięciu minutach padł rozkaz przygotowania śmigłowca. „Mutsu” był

wyposażony w składany hangar, który pozwalał na zabranie jednego śmigłowca do walki z okrętami podwodnymi. Była to maszyna *SH-60J*, bardzo również przydatna do powietrznego dozoru. Obudzono załogę, która niezwłocznie rozpoczęła sprawdzanie wszystkich instrumentów pokładowych i sprzętu.

Zajęło to jej czterdzieści minut. Potem śmigłowiec odleciał. Najpierw zatoczył kilka razy koło nad formacją, a następnie ruszył w kierunku zbliżających się okrętów amerykańskich, podświetlając je swoim radarem. Amerykanie w dalszym ciągu płynęli z prędkością osiemnastu węzłów. Radarowy odczyt piloci przekazali elektronicznie na pokład „Mutsu”.

— Dwa lotniskowce płyną oddalone od siebie o trzy tysiące metrów — powiedział kapitan

„Mutsu”, palcem stukając w ekran.

— Otrzymał pan rozkazy, kapitanie. — Sato spojrział na dowódcę „Mutsu” twardym wzrokiem.

— *Hai!* — odparł kapitan, nie zdradzając się ze swoimi myślami.

— Co się, u diabła, stało? — zapytał Durling. Zebrali się w rogu sali. Rosyjscy i amerykańscy ochroniarze pilnowali, by nikt im nie przeszkadzał.

— Wygląda na to, że Wall Street dostała rozległego zawału — odparł Ryan, który miał najwięcej czasu, by zapoznać się z faktami. Nie była to zbytnio błyskotliwa analiza.

— Z jakiego powodu? — chciał dowiedzieć się Fiedler.

— Nie widzę żadnego — odparł Jack, rozglądając się za kawą, o którą poprosił. Bardzo mu była w tej chwili potrzebna. Pozostałym trzem jeszcze bardziej.

— Jack, ty masz najświeższe doświadczenia w tej dziedzinie — odezwał się sekretarz finansów Fiedler, zwany „Buzz”.

— Moje transakcje raczej omijały Wall Street... — Prezydencki doradca wskazał dłonią na leżące na stole faksy. — Właściwie brakuje nam tu wielu elementów. Ktoś, nie wiadomo dlaczego, przestraszył

się i zaczął sprzedawać dolarowe obligacje. Prawdopodobnie ktoś, kto chciał zarobić na zmianach kursu dolara w stosunku do jena. No i potem wszystko wyrwało się spod kontroli, zaczęło żyć własnym życiem.

— Ładnym życiem! — parsknął Buzz wyłącznie po to, aby wiadano, że i on tu jest.

— Indeks Dow Jones poleciał aż na twarde parkiet. Mają teraz dwa dni na przegrupowanie. To już zdarzało się w przeszłości. Lecimy z powrotem jutro wieczorem, tak?

— Musimy od razu coś zrobić — stwierdził Buzz Fiedler. — Trzeba wydać jakieś oświadczenie.

— Coś bardzo neutralnego i uspokajającego — podsunął Ryan. — Rynek jest podobny do samolotu. Będzie dalej sam leciał na autopilocie, jeśli nie zacznie się majstrować. To już się zdarzało.

Sekretarz skarbu Bosley Fiedler — przezwisko Buzz było pamiątką z czasów studenckich, kiedy Fiedler grał w małej lidze baseballowej — miał wykształcenie akademickie, został nawet potem profesorem. Napisał kilka książek o amerykańskim systemie finansowym, ale sam nigdy w tym życiu aktywnie nie uczestniczył.

— Po poprzednim załamaniu na giełdzie wstawiliśmy tyle barier i innych zabezpieczeń... i wszystkie poszły teraz w drzazgi. W ciągu niespełna trzech godzin. — Fiedler był rzeczywiście nieco zagubiony. Rozumował tak, jak rozumuje zawsze profesor, dlaczego doskonale teoretyczne rozwiązanie okazało się mało doskonałe w praktyce?

— To prawda. Ciekawe, dlaczego? Musimy to sprawdzić. Ale tak już parę razy było, Buzz.

— Oświadczenie! — przynaglił prezydent.

Fiedler skinął głową, ale przez kilka sekund jeszcze rozmyślał. — No dobrze. Powiemy, że system jest w zasadzie silny i zdrowy. Mamy liczne wentyle bezpieczeństwa i bariery ochronne. W

zasadzie nie ma problemu z rynkiem i z amerykańską gospodarką. Wszystko idzie naprzód. Przyrost dochodu narodowego i tak dalej. Dzięki Ustawie o Regulacji Handlu przybędzie około pół miliona miejsc pracy. Już w przyszłym roku. To jest właśnie najistotniejsze. Tyle bym chwilowo powiedział, panie prezydencie.

— Wszystkie inne elementy pozostawiamy na później, po powrocie? — spytał Durling.

— Tak bym radził — potwierdził Fiedler. Ryan przytaknął.

— Dobrze, złapcie Tish. Niech to spreparuje.

Liczba czarterów była rzeczywiście duża. Jednakże międzynarodowe lotnisko na Saipanie nie było nadmiernie obciążone. Dodatkowe samoloty oznaczały pożądane opłaty lotniskowe. Poza tym zbliżał

się weekend. Kierownik wieży kontrolnej przypuszczał, że przybywają jakieś liczne wycieczki. Pierwszy *Boeing 747* z Tokio podchodził już do lądowania. Od pewnego czasu Saipan stał się miejscem wypoczynku japońskich biznesmenów. Ulubionym miejscem. Niedawna decyzja sądu federalnego spowodowała skreślenie konstytucyjnego zakazu posiadania ziemi przez cudzoziemców. Obcy obywatele mieli prawo nabywać parcele. W niedługim czasie połowa wyspy znalazła się w obcych rękach. Było to źródłem wielkiego niezadowolenia miejscowej ludności, co nie przeszkadzało wielu sprzedawać resztę posiadanych nieruchomości i przenosić się do Stanów. Na Saipanie zaczęło się robić gęsto od obcych przybyszów. Podczas weekendów liczba japońskich turystów była większa niż liczba rodzimych mieszkańców wyspy. Traktowali oni tubylców bez mała jak dzikusów.

— Niektóre z nich lecą chyba także na Guam — poinformował siedzący przed ekranem radaru kontroler ruchu. Widział samoloty lecące bardziej na południe.

— Weekend! Golf i wędka — odparł starszy kontroler, który z niecierpliwością czekał końca swojego dyżuru. Nie lubił Japończyków. I śmiał się z nich. Już nie jeżdżą jak dawniej na amory do Tajlandii. Zbyt wielu wracało z przykrymi choróbskami. No cóż, przylatywali teraz tutaj i zostawiali sporo pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy. I za weekendową przyjemność, której lepiej było teraz nie szukać w Tajlandii, byli gotowi pędzić na lotnisko o drugiej nad ranem, żeby przyfrunąć tutaj.

Pierwszy *747* dotknął pasa o czwartej trzydzięci nad ranem lokalnego czasu. Pilot wyhamował i skręcił z pasa dość szybko, żeby dać możliwość podejścia i wylądowania następnej maszynie. Kapitan Toradžiro Sato podprowadzając swoją maszynę pod budynek dworcowy rozglądał się ciekawie dokoła.

Nie zauważył nic niezwykłego. Nie spodziewał się zresztą niczego niezwykłego, ale wykonując taką misję... Misję! Tego słowa nie używał od czasu dni spędzonych w Siłach Samoobrony. Latał wtedy na myśliwcu *F-86*. Gdyby pozostał w lotnictwie Sił Samoobrony, to byłby teraz chyba już w stopniu *Szo*, a może dowodziłby całym lotnictwem swojego kraju. Czy to nie byłoby wspaniałe? Zamiast

tego... Tak, zamiast tego opuścił lotnictwo wojskowe i wstąpił do Japońskich Linii Lotniczych JAL, które cieszyły się znacznie większym prestiżem. Lotnictwa Sił Samoobrony nikt nie szanował. Kapitan Sato nienawidził tej nazwy. Jednakże teraz wszystko się zmieni. Zmieni się i nazwa. Na zawsze, miał nadzieję. Teraz z powrotem będą Siły Powietrzne Japonii. Muszą być, nawet gdyby nimi miał dowodzić ktoś mniej godny niż on.

W sercu czuł się nadal pilotem wojskowym, pilotem myśliwskim. Na 747 nie można dokonywać wielkich wyczynów. Co prawda przed ośmiu laty miał na pokładzie bardzo poważną awarię, gdy częściowo zawiódł system hydrauliczny. Poradził sobie jednak tak dobrze, że pasażerowie niczego nawet nie zauważyli. Jego przygoda była obecnie częścią programu szkolenia kapitanów w symulatorze samolotów 747. Z wyjątkiem tej jednej, choć podniecającej, przygody pilotowanie wielkiej maszyny pasażerskiej stało się rutyną. Tyle że Sato dążył do coraz większej perfekcji. Kapitan Sato był już legendą w linii lotniczej, słynnej w świecie ze swojej niezawodności i doskonałości. Między innymi potrafił czytać mapy pogodowe tak, jak wróżka czyta czyjaś dłoń, no i wyznaczyć zawczasu konkretne miejsce na betonowym pasie, gdzie przy lądowaniu dotknie kołami. Ponadto nigdy nie miał opóźnień większego niż trzy minuty.

Nawet w tej chwili, prowadząc potężną maszynę po pasie, czynił to tak, jakby siedział za kierownicą sportowego samochodu. Prowadził tak zawsze, także i dziś, w czasie kołowania, kontrolując obroty, sterując przednim kołem, wyciskając hamulce, aby ostatecznie zatrzymać kolosa w ściśle określonym miejscu.

— Stukrotnego powodzenia, Nisa! — życzył podpułkownikowi Seidzi Sasaki, który podczas lądowania siedział na rozkładanym siedzeniu w kabinie pilotów, bystro rozglądając się dokoła za czymś niezwykłym. Nie znalazł niczego niezwykłego, podobnie jak kapitana Sato.

Dowódca specjalnej grupy operacyjnej przeszedł na tył samolotu. Jego ludzie należeli do Pierwszej Brygady Spadochronowej, normalnie skoszarowanej w Naraszino. Na pokładzie 747 kapitan Sato znajdował się batalion, trzystu osiemdziesięciu ludzi. Ich pierwszym zadaniem było opanowanie lotniska. Podpułkownik miał nadzieję, że nie będzie to trudne.

Naziemny personel linii lotniczej JAL nie został poinformowany o przybyciu czarterów.

Mechanicy, którzy weszli na płytę, byli niesłychanie zdziwieni widząc, że kabinę opuszczają wyłącznie mężczyźni, mniej więcej w jednym wieku, i każdy niesie identyczną torbę-worek. A ponadto, że pierwsza pięćdziesiątka ma rozpięte bluzy i dłonie ukryte w ich połach. Kilku „pasażerów” niosło deseczki z przypiętymi planami terminalu. Było to konieczne, ponieważ zabrakło czasu na próby symulacyjne.

Podczas kiedy bagażowi rozładowywali przedział bagażowy samolotu pełen wielkich kontenerów lotniczych, pozostali „pasażerowie” poszli prosto do terminalu, do strefy bagażowej, wchodząc do budynku przez drzwi oznaczone słowami: TYLKO DLA PERSONELU. W strefie bagażowej przygotowali się do rozładunku kontenerów z ciężką bronią. W tym czasie do sąsiedniego rękawa przysuwał się drugi identyczny samolot „czarterowy”.

Podpułkownik Sasaki stał pośrodku hali niewielkiego terminalu, rozglądając się na lewo i na prawo,



obserwując dziesięcio-i piętnastoosobowe zespoły zdążające do wyznaczonych im obowiązków.

Wszystko odbywało się sprawnie i cicho.

— Bardzo pana przepraszam — powiedział miłym głosem sierżant do zaspanego strażnika ochrony dworca lotniczego. Strażnik podniósł wzrok, zobaczył uśmiech na twarzy zwracającego się doń mężczyzny, zobaczył otwarty worek przerzucony przez ramię i na końcu zobaczył, że wysunęła się z niego dłoń trzymająca pistolet. Strażnik przekomicznie rozdziawił usta i sierżant rozbroił go bez najmniejszego trudu. W ciągu zaledwie paru minut rozbrojono w podobny sposób pozostałych sześciu strażników. Porucznik z grupą żołnierzy poszedł do biura sekcji ochrony i portu, gdzie zastał jeszcze trzech strażników, których również rozbroił i zakął w kajdanki. Radiotelefon podpułkownika skrzeczał

przez cały czas — to podwładni meldowali o wykonaniu poszczególnych zadań.

Na wieży kontrolnej kierownik posłyszał dobijanie się do drzwi. Strażnik uchylił okienko, wsadził w szparę elektronicznego zamka plastikową kartę. Karta była odpowiednia, więc drzwi się otworzyły. Do pomieszczenia wdarło się trzech ludzi uzbrojonych w pistolety maszynowe.

— Co do cholery...! — ryknął kierownik zmiany.

— Niech pan dalej robi to, co pan robił. Tylko bez żadnych kawałów. Znam dobrze angielski.

Żeby pan nie żałował — powiedział kapitan. Następnie przez mikrofon radiotelefonu powiedział coś po japońsku. Pierwsza faza operacji KABUL została zakończona dokładnie w trzydzieści sekund wcześniej, niż zakładał harmonogram, i to bez żadnych ofiar.

Inny oddział przejął dozór nad lotniskiem. Tu już żołnierze byli w mundurach. Niech wszyscy wiedzą, co się stało i o co chodzi. Obsadzono wejścia i wjazdy. Zarekwirowanymi pojazdami portowymi rozwieziono posterunki na wszystkie drogi dojazdowe. Nie potrzeba ich było wiele. Lotnisko znajdowało się na południowym cyplu wyspy i wszystkie drogi prowadziły na północ. Dowódca drugiego oddziału przejął dowództwo od podpułkownika Sasaki, który teraz miał nadzorować lądowanie pozostałych pododdziałów brygady spadochronowej, biorących udział w operacji KABUL. Czekały na nie następne zadania.

Trzy lotniskowe autobusy podjechały pod terminal. Załadowano do nich żołnierzy, a podpułkownik Sasaki osobiście sprawdził, czy wszyscy są i czy mają sprzęt. Po chwili kolumna ruszyła na północ, mijając klub golfowy „Dan” znajdujący się tuż przy lotnisku, by następnie skręcić na główną szosę, przecinającą wzdłuż całą wyspę. Żołnierze widzieli z oddali Nabrzeże Inwazyjne, gdzie wylądował

amerykański desant podczas minionej wojny. Saipan nie jest wielką wyspą, było jeszcze ciemno, tylko gdzieś tam świeciły latarnie. Sasaki był bardzo spięty. Miał do wykonania ważną misję, która musiała być zakończona o określonym czasie, w przeciwnym wypadku mogły grozić bardzo przykre komplikacje.

Po prostu katastrofa. Spojrzał na zegarek. Pierwszy samolot z desantem na pokładzie powinien

właśnie w tej chwili lądować na wyspie Guam, gdzie istniała poważna obawa napotkania zorganizowanej obrony.

Ale to już była sprawa Pierwszej Brygady. On miał tutaj swoje zadanie do wykonania jeszcze przed świtem.

Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. Rick Bernard zatelefonował przede wszystkim do prezesa giełdy NYSE, aby go poinformować o powstałym problemie, no i poprosić o radę. Prezes był

zdania, że to w żadnym wypadku nie może być sprawą przypadku czy zbiegu okoliczności, lecz rezultatem świadomego sabotażu. W związku z tym radził, by Bernard zwrócił się do FBI, co też ten zaraz uczynił. FBI miała w Nowym Jorku siedzibę blisko Wall Street, w gmachu federalnym imienia Javitsa, byłego burmistrza miasta. Zastał w biurze zastępcę dyrektora lokalnego oddziału i ten natychmiast wysłał

trzech agentów do siedziby DTC w środkowym Manhattanie.

— Co się stało? Co za problem? — spytał starszy z agentów. Odpowiedź wymagała dziesięciu minut szczegółowego wyjaśniania. Po czym agent zadzwonił natychmiast do zastępcy dyrektora FBI.

Frachtowiec „Orchid Ace” stał przy nabrzeżu już dość długo. Zdążył wyładować sto samochodów. Wszystko Toyoty Land Cruiser. Opanowanie budki strażniczej i obezwładnienie jedyne go bardzo zaspanego strażnika okazało się dziecinną zabawą. Autobusy mogły już spokojnie wjechać na ogrodzony parking obok nabrzeża. Podpułkownik Sasaki miał dość ludzi, aby do każdego Land Cruisera przydzielić trzyosobową załogę. Żołnierze wiedzieli, co robić. Pierwszymi obiektami miały być komisariaty policji w Koblerville i na Capitol Hill. Za pomocą własnego transportu dotarcie do nich nie przedstawiało żadnego problemu. Natomiast Sasaki miał osobiście udać się na Capitol Hill i objąć w posiadanie siedzibę gubernatora.

Było zwykłym zbiegiem okoliczności, iż Nomuri spędził noc w mieście. Po prostu postanowił

wziąć wolny wieczór, co zdarzało się niesłychanie rzadko. Stwierdził też, że po takim wieczorze można łatwiej odzyskać równowagę ducha i fizyczną sprawność, jeśli pójdzie się do łaźni, która była wspaniałym pomysłem jego przodków sprzed tysiąca lat. Po umyciu się, zabrał ręcznik i poszedł do gorącej kąpieli, gdzie wilgotne, prawie parzące powietrze lepiej rozjaśnia umysł niż jakakolwiek aspiryna. Był pewien, że wyjdzie z tego przybytku całkowicie odświeżony po nocnej bibce.

— Kazuo? — zdziwił się, dostrzegając poprzez parę znajomego. — Co tu robisz?

— Nadgodziny — ze znużonym uśmiechem poskarżył się pytany.

— Yamata-san musi być bardzo wymagającym szefem — zauważył agent CIA, opuszczając się powolutku w gorącą wodę. Mówiąc to nie miał nic specjalnego na myśli. Nastawił jednak uszy, gdy usłyszał odpowiedź:

— Jeszcze nigdy nie uczestniczyłem w procesie powstawania historii — powiedział przecierając

oczy Taoka. Wyprostował plecy, rozluźnił mięśnie, czuł, jak spływa z niego napięcie. Był jednak zbyt rozgorączkowany po dziesięciu godzinach spędzonych w „Centrum bojowym”, by odczuwać senność.

— Ja też minionej nocy uczestniczyłem w powstawaniu historii — obwieścił Nomuri. — Robiłem to z miłą hostessą. Uroczą. — Już nie dodał, że panna miała lat dwadzieścia jeden, była bardzo inteligentna, miała wielu pretendenta do swych uroków, ale Nomuri był od nich dużo młodszy i dziewczyna wolała kogoś takiego jak on. Chyba pieniądze stanowiły w tym wypadku rzecz drugorzędą, pomyślał z nadzieją Chet. Uśmiechnął się na jej wspomnienie i zamknął oczy.

— Ja przeżyłem znacznie bardziej ekscytującą noc — oświadczył Taoka.

— Czyżby? To miała być podobno praca? — Nomuri lekko uniósł powieki. Hm... Kazuo znalazł coś bardziej podniecającego niż seksualne igraszki?

— To była praca.

Sposób, w jaki to powiedział, zastanowił Nomurę. — Wiesz co, Kazuo, kiedy zaczyna się jakaś opowieść, to trzeba ją dokończyć.

Taoka roześmiał się i potrząsnął energicznie głową. — Właściwie nie powinienem dalej mówić, ale skoro za kilka godzin będzie to w gazetach...

— Co będzie w gazetach?

— Wczoraj wieczorem załamał się amerykański system finansowy.

— Czyżby? A co się stało?

Taoka obrócił głowę w stronę Nomuri i powiedział cichym głosem, wybijając każde słowo: — Ja w tym pomogłem.

Nomuri pomyślał, że to bardzo dziwne: siedzi sobie w wielkiej drewnianej balii z wodą o temperaturze ponad czterdzieści stopni i nagle robi mu się okropnie zimno.

— *Ukaremasen* — odparł. — Nie rozumiem.

— W ciągu najbliższych dni wszyscy to zrozumieją. Ale teraz muszę wracać. — Taoka wstał i wyszedł niesłychanie zadowolony, że mógł się podzielić wieścią o własnej roli, przynajmniej z jednym przyjacielem. Cóż to za przyjemność mieć sekret, o którego posiadaniu nie wie przynajmniej jeszcze jedna osoba? Posiadanie własnego sekretu to wspaniała rzecz, zwłaszcza posiadanie sekretu w społeczeństwie takim jak japońskie.

— Co się, do diabła, dzieje? — mruknął do siebie Nomuri.

— Są! — wskazał obserwator i admirał Sato podniósł do oczu lornetkę. W istocie. Na tle jasnego nieba widział na horyzoncie maszty i nadbudówki okrętów eskorty. Z sylwetek domyślał się, że są to

fregaty *FFG-7*. Obraz radarowy był także wyraźny: formacja płynęła klasycznym półkolem, na zewnątrz fregaty, wewnątrz niszczyciele, za nimi krążowniki *Aegis* bardzo podobne do jego własnego okrętu flagowego. Sprawdził godzinę. Na okrętach amerykańskich dopiero co nastąpiła zmiana wachty. Na każdym okręcie wojennym o każdej porze pełniła obowiązki część załogi, jednakże początek prawdziwej aktywności wypadał zawsze na wschód słońca. Właśnie w tej chwili wszyscy wstają ze swoich koi, biorą prysznic i udają się na śniadanie.

Widoczny horyzont, na którego tle odcinały się sylwetki amerykańskich okrętów, znajdował się o jakieś dwanaście mil od japońskiej formacji złożonej z czterech jednostek, płynącej z prędkością trzydziestu dwu węzłów na wschód. Była to maksymalna prędkość użytkowa na duże odległości.

Amerykanie płynęli na zachód z prędkością osiemnastu węzłów.

— Wiadomość do eskadry. Gotować okręty. Czas na galę — wydał rozkaz Sato.

Na Saipanie główna telekomunikacyjna stacja satelitarna znajdowała się w pobliżu Beach Road, blisko motelu „Sun Inn”. Była to całkowicie cywilna instalacja, pod zarządem MTC Micro Telecom, a przy jej budowie najbardziej baczono na to, by konstrukcja mogła przetrwać jesienne tajfuny, które co rok chłostały wyspę. Dziesięciu żołnierzy pod dowództwem majora podeszło pod główne drzwi, które nawet nie były zamknięte na żaden zamek czy rygiel. Jedyne strażnik był zupełnie zaskoczony nagłym najściem obcych ludzi. Nawet nie próbował sięgnąć po broń. W grupie znajdował się także młody kapitan, specjalista od elektronicznej łączności. W głównej rozdzielni, według jego wskazówek, natychmiast wyłączono satelitarne połączenie pomiędzy Saipaniem, a Stanami Zjednoczonymi. Pozostawiono natomiast łączność z Japonią. Obsługiwane były zresztą przez zupełnie innego satelitę. To, że nie przerwano ani jednej rozmowy ze Stanami Zjednoczonymi, nie było zaskakujące, gdyż o tej porze nikt żadnej rozmowy nie prowadził. W Stanach nikt się nie łączył z Saipaniem, na Saipanie nikt nie próbował

wystukać numeru w Stanach. Dodatkowo poszerzono spektrum łączności z Japonią, należało się bowiem spodziewać zwiększenia liczby rozmów na tym kierunku. I tak miało pozostać na czas dłuższy. Gwaro na trasie tokijskiej, głucho na łączach amerykańskich.

— Kim pan jest? — spytała żona gubernatora.

— Muszę natychmiast widzieć się z pani mężem — odparł Sasaki. — Stan najwyższego zagrożenia!

Sens tych ostatnich słów natychmiast stał się jasny: właśnie w tym momencie padł pierwszy strzał. Strażnik budynku miejscowego parlamentu zdążył wyciągnąć broń, nie zdołał już jednak wystrzelić. Unicestwił tę szansę czujny sierżant-spadochroniarz. Sasaki odepchnął kobietę i wszedł.

Zobaczył gubernatora w szlafroku, idącego w kierunku drzwi.

— Co tu się dzieje?

— Jest pan aresztowany — oświadczył Sasaki. Gubernator musiał zdawać sobie sprawę, że nie jest to napad bandycki, gdyż za Sasaki stało trzech żołnierzy w mundurach. Trzeba przyznać, że

podpułkownik czuł się dość głupio. Nigdy przedtem nie był w podobnej sytuacji. Od dawna nosił mundur jako zawodowy żołnierz, ale całe jego wychowanie nakazywało mu zawsze przestrzegać dobrych obyczajów. A nie należało do dobrych obyczajów wdzieranie się do czyjegoś domu, bez względu na wagę sprawę. Miał nadzieję, że strzał, który przed chwilą usłyszał, nikogo nie zabił. Jego ludzie mieli przecież precyzyjne rozkazy.

— Co takiego?! — wykrzyknął gubernator.

Sasaki wskazał na kanapkę. — Proszę siadać. Nie zrobimy nikomu żadnej krzywdy.

— Co to wszystko znaczy? — Widać było, że gubernator z ulgą przyjął informację, że ani jego żonie, ani jemu nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo.

— Ta wyspa należy od tej chwili do mojego kraju — wyjaśnił Sasaki. Nie będzie tak źle, prawda?

Gubernator miał powyżej sześćdziesiątki i musiał pamiętać czasy, kiedy rządzili tu japończycy.

— Płynie z cholernie daleka — mruknął komandor Kennedy, odbierając informację. Okazało się, że sygnalizował kuter „Muroto”, należący w zasadzie do Japońskiej Straży Przybrzeżnej, ale czasami spełniający funkcję okrętu pomocniczego floty podczas ćwiczeń, przeważnie próbnych strzelań. Ładna sylwetka, może tylko trochę zbyt przysadzista, jak wiele okrętów japońskich. Na rufie „Muroto” miał

zainstalowany bom do wyławiania ćwiczebnych torped. Wynikało z tego, że „Kuruszio” chciał wypuścić kilka torped podczas obecnych manewrów. Czy „Asheville” o tym wie?

— Pierwszy raz słyszę, kapitanie! — odparł nawigator, przerzucając gruby plik kartek, stanowiących harmonogram manewrów.

— Nie pierwszy raz kancelaryjni i sztabowi skrybowie nawalają. — Kennedy pozwolił sobie na uśmiech. — No fajno, dość już ich pozabijaliśmy. — Włączył ponownie mikrofon. — Doskonale kapitanie, raz jeszcze powtórzmy poprzedni scenariusz. Za dwadzieścia minut od chwili obecnej.

— Dziękuję panu, kapitanie — usłyszał w odpowiedzi przez linię bardzo wysokiej częstotliwości

— VHF. — Koniec!

Kennedy odłożył mikrofon. — Ster w lewo, dziesięć stopni. Jedna trzecia naprzód. Zanurzenie sto metrów.

Załoga w centrum dowodzenia potwierdziła i wykonała rozkazy. „Asheville” oddaliła się o pięć mil na wschód. Pięćdziesiąt mil na zachód okręt podwodny „Charlotte” dokonywał o tej samej porze tego samego manewru.

Najtrudniejsza część operacji KABUL przypadła jednostkom, które miały opanować wyspę Guam. Na Guam już od blisko stu lat powiewała flaga amerykańska. Guam był też największą wyspą archipelagu Marianów, miał port wojenny i liczne instalacje wojskowe. Przed dziesięciu laty zajęcie

Guam byłoby niemożliwe. Jeszcze nie tak dawno na wyspie stacjonowały jednostki podlegające już nie istniejącemu Dowództwu Lotnictwa Strategicznego — wielkie bombowce z bombami atomowymi.

Marynarka Stanów Zjednoczonych utrzymywała tu bazę nuklearnych okrętów podwodnych. Wszystkie te instalacje były pilnie strzeżone i jakakolwiek próba wdarcia się byłaby szaleństwem. Ale bomby nuklearne i bombowce zniknęły. Wojskowe lotnisko Andersen, o trzy kilometry na północ od Yigo, było w tej chwili prawie wyłącznie lotniskiem cywilnym, pozostając jedynie punktem etapowym dla wojskowych maszyn lecących przez Pacyfik. Nie stacjonowała tu żadna jednostka lotnicza, jeśli nie liczyć małego odrzutowca komendanta bazy, a właściwie jej resztek. Odrzutowiec ten był jedyną maszyną, jaka pozostała po 13. Skrzydło które stacjonowało tu przez wiele lat. W bazie przebywały dawniej lotnicze tankowce, ale i te zabrano. Pojawiały się okazjonalnie, wykonywały swoje zadania i odlatywały.

Komendantem bazy był pułkownik tuż przed emeryturą. Dysponował załogą w liczbie pięciuset mężczyzn i kobiet, przeważnie specjalistów od konserwacji i reperacji sprzętu latającego oraz elektronicznego.

Tylko pięćdziesięciu żołnierzy do ochrony obiektów. Podobna sytuacja istniała w bazie powietrznej Marynarki. Oddział piechoty morskiej, który poprzednio wykonywał funkcje ochronne, został zastąpiony przez cywilnych strażników. W porcie nie było ani jednej jednostki pływającej. Niemniej dla japońskich dowódców była to najbardziej delikatna część operacji KABUL. Od szybkiego opanowania bazy lotniczej Anderson zależało powodzenie całej akcji.

— Ładne okręty — pomyślał głośno Sanchez, przyglądając się japońskim jednostkom z wysokości fotela obserwacyjnego dowódcy grupy powietrznej. — Nieźle pilnują szyku. — Cztery niszczyciele *Kongo* płynęły niemalże równolegle w odległości jakichś ośmiu mil.

— Szyk bojowy? — zdziwił się dyspozytor, stojący obok. Zbliżające się okręty sprawiały wrażenie zjeżonych terrierów.

— Oddają nam honory wojskowe. Ładnie z ich strony. — Sanchez podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił na mostek. — Kapitanie, nasi przyjaciele wdziali fraki, żeby nas powitać.

— Dziękuję, Bud — odparł dowódca lotniskowca „Johnnie Reb” i połączył się z dowódcą grupy bojowej na „Enterprise”.

— Co? — zdziwił się Ryan.

— Odlatujemy za dwie i pół godziny — potwierdził mu przez telefon sekretarz prezydenta. —

Bądź gotów za dziewięćdziesiąt minut.

— Wall Street? — spytał Ryan.

— Tak. Prezydent uważa, że powinniśmy wrócić jak najszybciej. Zawiadomiliśmy Rosjan.

Prezydent Gruszawoj rozumie.

— Dobrze, dziękuję — odparł Ryan, chociaż był daleki od myśli o podziękowaniach. Miał nadzieję, że uda mu się jeszcze wyskoczyć, żeby porozmawiać z Narmonowem. Po chwili pojawiła się nowa przeszkoda, gdy usiłował obudzić Cathy.

— Daj mi spokój — usłyszał jęknięcie.

— Lecimy. Odeśpisz w samolocie. Mamy być spakowani i gotowi do drogi za półtorej godziny.

— Co się stało? Dlaczego?

— Wyjeżdżamy wcześniej. Mamy problemy w domu. Kryzys na Wall Street. Cathy zaczęła przecierać oczy. Dobrze, że jest jeszcze ciemno. Światło nie razi.

Spojrzała na zegarek. — Jakaś poważna choroba?

— Chyba tylko poważna niestrawność.

W mroku nie mogła odczytać godziny.

— Która jest teraz? — spytała.

— Późna. Czas wstawać.

— Potrzebujemy przestrzeni do manewru — powiedział komandor Harrison.

— Chyba on nie jest głupcem? — zadał retoryczne pytanie admirał Dubro. Poprzedniej nocy jego przeciwnik, admirał Czandraskatta, zmienił kurs na zachodni, prawdopodobnie dochodząc wreszcie do wniosku, że grupa bojowa „Eisenhower”-”Lincoln” nie znajdowała się jednak tam, gdzie przypuszczał.

Pozostawała alternatywa i dlatego popłynął za zachód, spychając Amerykanów w stronę archipelagu należącego prawie w całości do Indii. Połowa amerykańskiej Siódmej Floty reprezentowała wielką siłę, jednakże tę siłę można było zmniejszyć o połowę, jeśli znało się jej położenie. Istotą planu operacyjnego admirała Dubro było utrzymywanie przeciwnika w niepewności. Niech sobie zgaduje. No i wreszcie zgadł. Wcale sprytnie, prawda?

— Jak wyglądamy z paliwem? — spytał Dubro, mając oczywiście na myśli okręty eskorty.

Lotniskowce mogły pływać, póki nie skończyła się żywność. Paliwa nuklearnego miały na lata.

— Wszystkiego mniej więcej około dziewięćdziesięciu procent. Na najbliższe dwa dni zapowiada się dobra pogoda. Jeśli potrzeba, to możemy sobie pobiegać.

— Myślisz o tym samym, co i ja?

— Czandraskatta nie puszcza swoich samolotów zbyt blisko wybrzeży Sri Lanki. Mogłyby wylapać je radary kontroli ruchu i trzeba by było odpowiadać na kłopotliwe pytania. Jeśli popłyniemy na północny zachód, a potem na wschód, będziemy mogli przemknąć w nocy koło Dondra Head i opłynąć przylądek od południa. Robię zakład, że nikt nas nie zauważy.

Admirał nie lubił zakładów. Zwłaszcza zakładów jeden do jednego. Ktoś mógł zauważyć całą formację. Wówczas flota indyjska zmieniłaby kurs na północno-wschodni, wymuszając na Amerykanach kolejny manewr: bądź oderwanie się od brzegów, których podobno mieli chronić, bądź konfrontację.

Takie zabawy można było przeciągać tylko przez pewien czas, pomyślał Dubro. Potem ktoś każe wyłożyć karty na stół.

— Uda się nam przeżyć cały dzień bez wykrycia? Możemy przecież...

Było jasne, co można zrobić: wysłać patrolowe samoloty od południa w nadziei, że to zmyli przeciwnika, który zmieni kurs na południowy. Harrison przewidział to w planie operacyjnym dnia.

— No to do roboty! — zdecydował admirał.

Głośniki systemu nagłaśniającego *I-MC* obwieściły godzinę szesnastą — osiem uderzeń dzwonu.

Popołudniowa wachta poszła odpoczywać, zastąpiła ją wachta wieczorna. Oficerowie i załoga, zarówno mężczyźni jak i kobiety, opuszczali stanowiska, obejmowali stanowiska, załogi lotnicze odpoczywały albo ślęczały nad rezultatami zakończonych wreszcie manewrów. Połowa samolotów znajdowała się na pokładzie, druga połowa w hangarze poniżej pokładu startowego. Przy kilku maszynach kręcili się mechanicy, ale większość ekip naziemnych po prostu objadała się, korzystając z wolnego czasu. W

Marynarce nazywano to przebywaniem na „stalowej plaży”. Jakże wszystko się teraz zmieniło, rozmyślał

Sanchez patrząc na stalowe płyty pokładu pokryte przeciwpoślizgową wykładziną. Teraz na pokładzie opalały się i kobiety, co poważnie zwiększało stopień wykorzystania lornetek przez ekipy na mostku.

Stwarzało to poważny problem natury moralno-administracyjnej dla kierownictwa Marynarki: jakie kostiumy kąpielowe są dopuszczalne? Co wolno nosić marynarzom pici żeńskiej? Jedni z żalem, inni z ulgą przyjęli werdykt, że tylko jednoczęściowe. Ale warto popatrzeć sobie na kobietę nawet w jednoczęściowym kostiumie, jeśli, oczywiście, ta kobieta we właściwy sposób ów kostium wypełnia, doszedł do wniosku Sanchez, odrywając wzrok od pokładu i przenosząc go na japońską formację.

Cztery niszczyciele zbliżały się na dużej prędkości, co najmniej trzydzieści węzłów! Płynęły w doskonałym szyku. Bez wątplenia chciały zrobić dobre wrażenie na swoich sojusznikach. Na wietrze



trzepotały właściwe bandery, wzdłuż burty stali biało odziani marynarze.

— Uwaga, uwaga! — ryknęły głośniki systemu nagłaśniającego. — Ustawić się na lewej burcie, przygotować do oddania honorów. — Wszyscy marynarze w lepiej prezentujących się mundurach popędzili na lewą stronę pokładu startowego, podoficerowie zaczęli ich ustawiać sekcjami. Na lotniskowcu była to dość skomplikowana operacja przy tak wielkiej załodze, a zwłaszcza tego dnia i o tej porze, kiedy tak wielu członków załogi przebywało w negliżu na „stalowej plaży”. Na szczęście wypadło to zaraz po zmianie wachty — w zasięgu głośników znalazło się sporo w miarę przyzwoicie odzianych marynarzy, aby spełnić kurtuazyjny obowiązek, zanim udadzą się do kwater sypialnych w celu włożenia stroju plażowego.

Ostatnią czynnością admirała Sato przed przystąpieniem do wykonania zadań operacyjnych było wysłanie przez satelitę ostatecznego rozkazu z limitem czasowym. W ułamku sekundy rozkaz dotarł do centrum łączności dowództwa marynarki, skąd na innym kanale został przekazany jednostkom bojowym.

Teraz już nie było możliwości odwołania całej operacji. Kości zostały rzucone. Może niezupełnie rzucone, trzymane w dłoni, ale dłoń zamierzała je rzucić w określonym rozkazami czasie. Admirał opuścił

centrum dowodzenia „Mutsu” i udał się na mostek, pozostawiając na posterunku pierwszego oficera. Sato chciał rzucić okiem na eskadrę.

„Mutsu” znajdował się na trawersie amerykańskich lotniskowców „Enterprise” i „John Stennis”.

Dokładnie między nimi, w odległości nie większej niż dwa tysiące metrów od każdego z nich. Japoński okręt płynął z prędkością trzydziestu węzłów. Wszystkie stanowiska obsadzone z wyjątkiem wyselekcjonowanej grupki marynarzy, którzy opierali się o relingi. W chwili, kiedy mostek „Mutsu”

przecinał niewidzialną linię między oboma lotniskowcami, marynarze na lewej i na prawej burcie stanęli na baczność i oddali sprawnie honory będące stałym elementem morskich obyczajów.

Głośniki na pokładzie przekazały świst bosmańskiego gwizdka, a potem rozległ się ryk: —

Saaalutować! Raz, dwa, trzy! Koniec! — Marynarze na pokładzie „Johnnie Reba” opuścili dłonie, a trzy gwizdki wachtowego pozwoliły im się rozejść.

— No to co, teraz możemy spokojnie wracać do domu? — odezwał się dyspozytor do Sancheza.

Zaśmiał się. Ćwiczenia pod kryptonimem WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY zostały jak najoficjalniej skończone, grupa bojowa mogła spokojnie płynąć z powrotem do Pearl Harbor na tydzień konserwacji i zasłużonych przepustek, by następnie powrócić na Ocean Indyjski. Sanchez postanowił nie wstawać jeszcze z wygodnego skózanego fotela i w miłym wietrzyku przejrzeć kilka dokumentów. Relatywna prędkość obu mijających się formacji — japońskie okręty płynęły między lotniskowcami — pozwoli Amerykanom znaleźć się wkrótce w samotności oceanu.

— Uwaga! — wykrzyknął obserwator.

Wykonywany przez okręty manewr był częścią taktyki floty niemieckiej i nazywał się *Gefechtskehrtwendung* — „obrót bojowy”. Na flagowy sygnał cztery japońskie niszczyciele dokonały ostrego zwrotu w prawo, ostatni okręt jako pierwszy. Gdy tylko jego dziób zaczął przesuwać się w prawo, następny przerzucił ster, potem następny i wreszcie uczynił to okręt flagowy. Był to manewr mający wywołać podziw Amerykanów, ale wywołał także zdziwienie, gdyż odbywał się w bardzo ograniczonej przestrzeni między dwoma równoległe płynącymi lotniskowcami. Zaledwie w ciągu kilku sekund Japończycy zmienili kurs o sto osiemdziesiąt stopni i płynęli teraz na zachód z prędkością trzydziestu węzłów, wyprzedzając lotniskowce, które jeszcze przed chwilą mijali. Kilku członków załogi obecnych na mostku gwizdnęło, podziwiając perfekcję manewru. Pokłady czterech niszczycieli *Aegis* były puste, żadnego marynarza przy burcie.

— Dobra robota — skomentował Sanchez, powracając do swoich dokumentów. „John Stennis”

płynął z tą samą prędkością, jego cztery śruby utrzymywały tempo siedemdziesięciu obrotów na minutę.

Stan Trzy. Stan Trzy oznaczał, że wszystkie stanowiska były obsadzone, w zasadniczej gotowości, z wyjątkiem znajdującej się na pokładzie grupy powietrznej, której załogi przez cały tydzień wiele latały i teraz wreszcie miały spokój. Żadnych patroli. W strategicznych punktach znajdowali się na swoich stanowiskach obserwatorzy, wokół całego pokładu startowego, przeważnie obserwując to, co mieli nakazane, chociaż ci, co mogli, zerkali od czasu do czasu na japońskie okręty, choćby tylko dlatego, że były takie inne od amerykańskich. Niektórzy mieli morskie lornety 7x50, w większości produkcji japońskiej. Inni woleli używać potężniejszych szkieł 20x120 nazywanych „Wielkimi Oczami”.

Zamontowano je na metalowych stojakach rozmieszczonych gęsto na mostku.

Admirał Sato nie siedział w skórzanym fotelu dowódcy, chociaż też obserwował wielką scenę przez lornetkę. Było mu naprawdę żal. Takie wspaniałe dumne okręty! Przypomniawszy sobie, że ten po lewej to „Enterprise”, tradycyjna nazwa w Marynarce Stanów Zjednoczonych, i że jego imiennik przyczynił się do zadania okropnych ciosów jego ojczyźnie, najpierw eskortując Jimmy’ego Doolittle do brzegów Japonii, następnie uczestnicząc w bitwie o Midway, w potyczkach morskich u wybrzeży Wschodnich Salomonów, koło Santa Cruz i w wielu, wielu innych bitwach. Wielokrotnie był trafiany, ale przetrwał.

Zasłużony w boju nieprzyjaciół, niemniej nieprzyjaciół. Tego okrętu należało się strzec. Okrętu o tej nazwie. Admirał nie miał pojęcia, kim był „John Stennis”.

„Mutsu” daleko wyprzedził lotniskowce; był niemalże na wysokości amerykańskich niszczycieli straży przedniej, kiedy ponownie dokonał zmiany kursu. Teraz wydawało się, że trwa to nieskończenie długo. Sato miał wciągnięte białe rękawiczki, opuścił lornetę i przyglądał się wykonywanemu manewrowi.

— Cel pierwszy namiar trzy pięć zero. Cel drugi namiar zero jeden zero. Gotowe! — zameldował

bosman, który zastanawiał się nad tym, co tu się dzieje i dlaczego się dzieje, czy przeżyje, aby mógł o tym wszystkim kiedyś opowiedzieć. Doszedł do wniosku, że chyba nie.

— Przejmuję prowadzenie! — powiedział pierwszy oficer, wślizgując się na swój fotel. Czekał na dokończenie namiarów przez podoficera celowniczego rozmawiał do tej chwili z oficerem torpedowym, ustalając wszystkie szczegóły. Nadszedł czas. Otworzył kluczykiem blokadę, zdjął pokrywy guzików — lewego na lewą burtę, prawego na prawą. Nacisnął najpierw jeden, potem drugi. Paszce wyrzutni podniosły się pod kątem czterdziestu stopni, odpadły cylindryczne osłony pogodowe, wypchnięte sprężonym powietrzem obłe cielska poszybowały przed siebie. Trzy z pluskiem wpadły do wody po jednej stronie, trzy po drugiej w dziesięciosekundowych odstępach. Ich śruby już się obracały od chwili opuszczenia wyrzutni. Torpedy ciągnęły za sobą przewody kontrolne, które łączyły je z „Mutsu”

niby pępowina — konkretnie z centrum dowodzenia. Puste wyrzutnie opuściły swoje stalowe łby.

— O, kurwa! — wrzasnął obserwator na „Johnnie Reb”.

— Co się stało? Co jest, Cindy?

— Wystrzelili torpedę — odparła zapytana. Była praktykantką, miała tylko osiemnaście lat, a

„Johnnie Reb” był jej pierwszym okrętem, jednak nauczyła się przeklinać nie gorzej od starych wilków morskich. Wyciągnęła rękę i palcem wskazała kierunek.

— Widziałam, patrzcie, tam!

— Jesteś pewna? — spytał stojący niedaleko inny obserwator i obrócił „Wielkie Oczy” we wskazanym kierunku. Cindy miała tylko zwykłą lornetkę.

Dziewczyna zawahała się. Nigdy nic podobnego przedtem jej się nie wydarzyło i bała się, co powie bosman, kiedy okaże się, że niepotrzebnie narobiła hałasu. Podjęła męską decyzję. — Mostek, tu obserwator numer sześć, ostatni w szyku okręt japoński wypuścił torpedę — obwieściła, a jej głos rozległ

się we wszystkich głośnikach mostku.

Siedzący o jeden pokład niżej komandor Sanchez podniósł głowę. — Co takiego?

— Szóstka, powtórzyć! — rozkazał oficer wachtowy.

— Powiedziałam, że japoński niszczyciel wypuścił torpedę z prawej wyrzutni. Widziałam.

— Tutaj piątka, niczego nie widziałem, sir — odezwał się w głośniku męski głos.

— Jasna cholera, mówię wam, że widziałam pieprzoną torpedę na własne oczy! — rozkrzyczał się podniecony głos kobiety, tak że słowa dotarły do Sancheza bezpośrednio. Zerwał się z fotela,

papiery spadły mu z kolan na ziemię, popędził do wyjścia na galerijkę obserwacyjną. Po drodze potknął się o stalową drabinkę, podarł spodnie i rozkrwawił sobie kolano. Klnąc dobiegł do iluminatora.

— Powiedz mi, coś widziała! — zawołał do obserwatora numer sześć (w Marynarce nie wprowadzono dotychczas żeńskich odpowiedników wyłącznie męskich funkcji).

— Widziałam, naprawdę widziałam! — powtarzała dziewczyna nie mając nawet pojęcia, kim jest Sanchez, ale widok srebrnych orzełków na kołnierzyku koszuli czynił z niego osobę, której należało się chyba więcej bać, niż domniemanej torpedy zmierzającej w stronę lotniskowca. Jednakże dziewczyna była pewna tego, co widziała, i nie zamierzała ustąpić.

— Ja nic nie widziałem, sir! — zameldował starszy marynarz.

Sanchez skierował lornetkę na odległy najwyżej o dwa tysiące metrów japoński okręt. — Rany...!

— Odepchnął starszego marynarza od „Wielkich Oczu” i skierował je na przedni pokład flagowego okrętu. Zobaczył potrójną wyrzutnię w pozycji, w jakiej powinna się znajdować...

...tylko że przód miała czarny, a nie stalowej barwy. Osłony pogodowe były zdjęte... Nawet nie patrząc, zerwał z szyi starszego obserwatora mikrofon.

— Mostek, tu dowódca grupy. Torpedy w wodzie! Torpedy w wodzie! Idą na naszą lewą burtę.

— Spojrzał przez lornetkę na morze za plecami, bliżej rufy. Nie zauważył nic. To zresztą przestało już być ważne, gdyż nic się nie poradzi. Zaklął i cofnął się o krok, aby lepiej przyjrzeć się kadetowi Cyntii Smithers. — Miałaś czy nie miałaś racji, dziewczyno, ale zrobiłaś dobrze, bardzo dobrze! — Ledwo skończył mówić, kiedy na okręcie rozległy się dzwonki alarmowe. W sekundę potem w kierunku „Johnnie Reb” zaczął mrugać sygnalizator optyczny. Z pokładu flagowego japońskiego niszczyciela.

— Ostrzeżenie, ostrzeżenie, ostrzeżenie, mieliśmy uszkodzenie systemów uzbrojenia.

Wypuściliśmy kilka torped — sygnalizował dowódca „Mutsu”, wstydząc się swego kłamstwa.

Jednocześnie słuchał rozmów prowadzonych przez amerykańskie okręty w paśmie FM.

— „Enterprise”, tu „Mutsu”, torpedy w wodzie, powtarzam, torpedy w wodzie! — obwieścił tubalny głos.

— Torpedy, jakie torpedy? Gdzie?

— Nasze torpedy. Mieliśmy pożar w centrum dowodzenia. Torpedy mogą być uzbrojone... —

usłyszano ponownie z „Mutsu”.

„Stennis” już się obracał, usiłując zmniejszyć swój profil. Woda gotowała się pod rufą, śruby pracowały na maksymalnych obrotach. To już nie miało większego znaczenia. Było za późno.

— Co teraz zrobimy, sir? — spytała obserwator Cindy Smithers.

— Zmówimy parę zdrowasiek — odparł ponuro Sanchez. — To są torpedy ZOP. Małe główce.

Prawdę powiedziawszy, nie mogą zrobić wielkiej krzywdy takiemu kolosowi jak „Johnnie Reb”, prawda?

— Spojrzał na główny pokład. Biegali po nim tam i z powrotem ludzie, trzymając w dłoniach ręczniki plażowe. Pędzili na stanowiska bojowe.

— Czy mogę odejść, sir? W czasie alarmu mam dołączyć do zespołu kontroli uszkodzeń. W hangarze, to znaczy na pokładzie hangarowym...

— Nie, proszę zostać ze mną. Wy możecie odejść — powiedział do starszego marynarza, który nic nie widział.

John Stennis” kładł się nieco na lewą burtę. Spowodował to nagły i ostry skręt w prawo. Stalowy pokład dygotał pod stopami. Maszyny otrzymały zastrzyk pary.

Nuklearne lotniskowce mają w zapasie praktycznie dowolną liczbę koni mechanicznych. I to w każdej chwili. Tak jest, tylko że lotniskowiec ma masę ponad dziewięćdziesięciu tysięcy ton. Potrzebuje dużo czasu, aby przyśpieszyć. „Enterprise” odległy o dwie mile morskie manewrował jakoś bardziej niezdarnie, dopiero teraz zaobserwować można było zmianę kursu... O Jezu! Niech to...?

— Natychmiast *Nixie* do wody! — ryknął Sanchez.

Trzy torpedy wz. 50, przewidziane do zatapiania okrętów podwodnych, zmierzające obecnie w kierunku „Stennisa”, były niewielkie, wyposażone w elektronikę i w główce, tak opracowane, by przy uderzeniu w kadłub powstała mała, ale śmiertelna dla okrętu podwodnego dziura. Torpedy te nie mogły w istocie zatopić tak potężnego okrętu jak lotniskowiec. Mogły go tylko uszkodzić. Można jednak było tak wybrać miejsce uderzenia, by uszkodzenie okazało się poważne. Wszystkie trzy torpedy płynęły w stumetrowej odległości od siebie, sterowane z centrum dowodzenia na „Mutsu”, naprowadzane przewodowo osiągały prędkość około sześćdziesięciu węzłów, a więc były trzykrotnie szybsze niż cel, do którego zmierzały. Niewielka droga, jaka pozostawała do przebycia, gwarantowała trafienie. Próba uniku ze strony lotniskowców jedynie ułatwiała osiągnięcie celu, jakim były śruby. Tak zaprogramowano torpedy. Po przebyciu tysiąca metrów uaktywniła się główca precyzyjnego naprowadzania pierwszej torpedy. Z główicy sonarowy obraz poszukiwanego celu dotarł kablem do centrum dowodzenia „Mutsu”

jako jaskrawa żółta plama na czarnym tle. Oficer uzbrojenia wysłał odpowiednie instrukcje i

pozostałe dwie torpedy natychmiast im się podporządkowały. Automatycznie. Cel zbliżał się i na ekranie w centrum dowodzenia „Mutsu” był coraz większy. Jeszcze osiemset metrów, siedemset, sześćset...

— Mam was — powiedział japoński oficer. W chwilę potem sonarowy obraz jakby zawirował, co było rezultatem zagłuszania przez amerykański generator szumów o nazwie Nixie. Nixie emitował częstotliwości głowic naprowadzających torpedy. Nowy wzór Nixie ponadto wytwarzał potężne pola magnetyczne, aby oszukać rosyjskie torpedy, których specjalnością było wybuchanie pod kilem. Jednakże torpedy wz. 50 należały do kategorii broni bezpośredniego kontaktu, a ponieważ prowadzono je na kablu, operator uzbrojenia mógł im nakazać zignorowanie akustycznej przeszkody. To nie było sportowe zachowanie, ale czy ktoś twierdzi, że wojnę prowadzi się po dżentelmeńsku? Operator nawet zapytał o to swego przełożonego, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Japońska wersja amerykańskiej torpedy *Mark 50* miała małą głowicę, ważącą zaledwie sześćdziesiąt kilogramów, ale została uzbrojona w plastyczny materiał odkształcalny *HESH*. Pierwsza torpeda wybuchła na piąście śruby numer dwa. Siła wybuchu urwała natychmiast pięć płatów śruby, obracającej się w tym momencie z prędkością stu trzydziestu obrotów na minutę. Powstałe naprężenia były ogromne i zniszczyły łożyska i obejmy, które stabilizowały wał. W ciągu jednej chwili przednia komora ostatniej części wału została zalana, woda wdarła się w najczulsze miejsce. To, co stało się następnie, było jeszcze gorsze.

Tak jak wszystkie wielkie okręty wojenne „John Stennis” był napędzany parą. W konkretnym przypadku dwa reaktory nuklearne wytwarzały parę bezpośrednio podgrzewając wodę. Para z pierwotnego obiegu płynęła do wymiennika ciepła, w którym wytwarzała parę obiegu wtórnego. Dzięki temu para uderzająca pod dużym ciśnieniem w łopatki turbin nie była już radioaktywna. Po przejściu przez turbinę, para kierowana była do niskociśnieniowej turbiny, w celu wyprodukowania energii elektrycznej. Turbiny osiągały olbrzymie obroty, o wiele wyższe, niż te, które mogła osiągnąć śruba napotykalna opór wody. W celu zmniejszenia obrotów wału napędzanego przez turbinę, by zrównać je z maksymalnymi obrotami, jakie mogła osiągnąć śruba, stosowano redukcyjne układy zębatach kół, coś w rodzaju samochodowej skrzyni biegów. Jednakże w tym przypadku były to potężne bekwate zębate wały. Mechanizm ten był najbardziej narażonym na uszkodzenie zespołem systemu napędowego okrętu.

Wyzwolona wybuchem torpedy energia powędrowała wałem napędowym ku skrzyni owych kół redukcyjnych z siłą, której nic nie potrafiło absorbować. Cały mechanizm został po prostu permanentnie zablokowany. Ponadto asymetryczne konwulsje pozbawionego obejmy i nadal obracającego się wału, dokończyły dzieła całkowitego zniszczenia całego systemu napędu śruby numer dwa. „John Stennis”

zadygotał na ułamek sekundy przed trafieniem śruby numer trzy przez drugą torpedę.

Była to wewnętrzna śruba na sterburcie. Wybuch spowodował nie tylko całkowite zniszczenie systemu napędowego i samej śruby, ale jeszcze urwał jeden płat śrubie numer cztery. A więc system trójki został podobnie zniszczony, jak system napędowy dwójki. Obsługa turbin natychmiast włączyła

rewers.

Odblokowano zawory hamujące wały napędowe i na szczęście zatrzymano w porę wszystkie, nim przenoszona energia zdołała zniszczyć skrzynię redukcyjną wału śruby numer trzy i nim trzecia torpeda dokończyła dzieła zniszczenia, trafiając w śrubę numer cztery na sterburcie. Trzy śruby były zniszczone, ale — oprócz jednej — przekładnie reduktorów udało się uratować.

Gdy ogłoszono ogólny alarm i wydano rozkaz „maszyny stop”, załogi wszystkich czterech maszynowni zabrały się do dalszych, przewidzianych regulaminem, czynności zabezpieczających.

Ruszyły specjalne ekipy do zabezpieczania zalanych komór i sprawdzenia ewentualnych przecieków w kadłubie. W tym czasie potężny lotniskowiec sunął coraz wolniej aż do tej chwili, kiedy stanął w dryfie, ustawiony burtą do fali — jeden ze sterów był również uszkodzony.

— Co się właściwie stało, do cholery? — pytali tkwiący w czeluściach mechanicy.

— O, Boże — jęknął Sanchez, spoglądając na znajdujący się teraz o dwie mile z tyłu

„Enterprise”. Sprawiał on wrażenie jeszcze bardziej okaleczonego niż „Johnnie Reb”. Poniżej galeryjki, na której stał Sanchez, na mostku nawigacyjnym panował harmider. Oficerowie tak się przekrzykiwali, żądając informacji na temat tego, co się stało, że telefony wewnętrzne okazały się praktycznie zbędne.

Głosy rozchodziły się na milę. Okręty eskortowe dokonywały bardzo zdecydowanych manewrów, a Piątka, jeden z niszczycieli dozoru przeciwlotniczego, który już zdążył zmienić kurs o sto osiemdziesiąt stopni, umykał ile sił. Jego kapitan obawiał się z pewnością dalszych torped. Sanchez instynktownie wyczuwał, że to już jest wszystko. Wiedział o trzech torpedach, które trafiły jego lotniskowiec, widział

trzy kolejne wybuchy pod rufą „Enterprise”.

— Chodźcie ze mną, Smithers! — powiedział.

— Kiedy w czasie alarmu mam być, sir, na...

— Dadzą sobie bez was radę, a poza tym oni już nie mają prawie nic do roboty. Minie trochę czasu, zanim gdziekolwiek popłyniemy. Idziecie ze mną do kapitana.

— Jezu, sir! — mieściła się w tym prośba, aby jej oszczędzono podobnej tortury.

— Weźże, dziewczyno, głęboki oddech, i słuchaj: jesteś być może jedyną osobą na tym okręcie, która dobrze wykonała swój obowiązek w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Za mną, Smithers!

Wchodząc po minucie na mostek Sanchez i Smithers usłyszeli składany kapitanowi meldunek:

— Wały dwa i trzy urwane...

Kapitan stał pośrodku mostku, wyglądając jak całkowicie oszołomiony człowiek po przeżyciu ciężkiego wypadku samochodowego.

— Wał czwarty też jest uszkodzony... jedyńka, jak się wydaje, jest w porządku.

— Dziękuję — odparł kapitan, a potem mruknął do siebie: — Żeby mi ktoś powiedział, co to było...

— Wsadzili nam trzy torpedy, sir — odezwał się Sanchez. — Obecna tu marynarz Smithers obserwowała wypuszczenie torped.

— Naprawdę? — Kapitan spojrzał na młodą dziewczynę. — Siadajcie w moim fotelu i poczekajcie cierpliwie. Kiedy się upewnię, że w mojej balii nie ma dziur i nie utoniemy, to porozmawiamy. — Dla kapitana nadeszła teraz najgorsza chwila. Kapitan okrętu USS „John Stennis”

obrócił się w stronę swego oficera łączności i zaczął dyktować tekst depechy do Naczelnego Dowódcy Floty Pacyfiku. Pierwszym członem wiadomości miało być słowo BŁĘKIT.

— Hydro do centrali, torpeda w wodzie, namiar dwa-osiem-zero, wygląda na japońską wz. 89 — meldował Laval junior spokojnym głosem.

— Cała naprzód! — wydał rozkaz Kennedy. Manewry czy nie manewry, w wodzie była torpeda, a to nie jest nic przyjemnego. — Zanurzenie dwieście metrów.

— Jest zanurzenie dwieście — odparł szef pokładu. — Dziesięć stopni na sterach. — Sternik pchnął przed siebie ster. USS „Asheville” zaczęła sływać w głębinę, poniżej termokliny.

— Odległość do torpedy? — spytał kapitan.

— Nieco ponad dwa i pół tysiąca metrów.

— Hydro do centrali, straciliśmy ją, wchodząc pod warstwę. Wciąż pracuje w trybie aktywnym.

Przepuszczalna prędkość torpedy czterdzieści do czterdziestu pięciu węzłów.

— Przechodzimy na pędnik? — zapytał pierwszy oficer.

Kennedy miał pokusę odpowiedzieć, że tak Dobrze byłoby poznać, jak dobre są te japońskie torpedy. Nie słyszał, aby jakiś inny amerykański okręt podwodny miał okazję, uczestniczyć w grze wojennej przy użyciu japońskich torped. Podobno ta wersja amerykańskiej *Mark 48* jest równie dobra jak *ADCAP*.

— Jest! Zeszła pod warstwę. Namiar nadal dwa osiem zero, sygnał coraz silniejszy, zbliża się do strefy przechwycenia — meldował szef sonarzystów.

— Ster dwadzieścia stopni w prawo — rozkazał Kennedy. — Przygotować pozoratory!



- Prędkość przekracza trzydzieści węzłów — zameldował marynarz. „Asheville” przyspieszyła.
- Ster dwadzieścia stopni w prawo — potwierdził sternik. — Kurs bez zmian.
- Wystrzelić pozoratory! — rozkazał Kennedy. — Cob, podnieś ją na siedemdziesiąt!
- Aye aye! — odparł szef pokładu.
- Chcesz się trochę pobawić? — spytał pierwszy oficer.
- Nie ma nic za darmo — odparł Kennedy.

Sprężone powietrze wypchnęło generator szumów. Wyrzutnia znajdowała się w pomieszczeniu zwanym pięciocalową komorą, ponieważ tuba wyrzutni miała przekrój o takiej właśnie średnicy. Z

generators, który pod względem konstrukcji przypominał zwykły pojemnik z gazem, zaczęły wydobywać się strumienie bąbelków, tak jak z tabletki emskiej wrzuconej do szklanki z wodą. Powstał zupełnie nowy cel dla hydrolokatora torpedy. Wykonany równocześnie szybki zwrot stworzył wir, który także miał na celu zmylenie torpedy wz. 89.

- Przechodzimy przez granicę warstwy! — zameldował technik przy batytermografie.
- Przejście przez jeden dziewięć zero. Ster dwadzieścia w prawo.
- Ster wyrównać na sześćdziesięciu metrach.
- Jest ster zero, wyrównanie na sześćdziesięciu.
- Jedna trzecia naprzód.
- Jedna trzecia naprzód, aye! — „Asheville” wyrównała na sześćdziesięciu metrach i przeszła w dryf, powyżej termokliny, pozostawiając za sobą piękny, choć fałszywy cel.
- Świetnie — powiedział Kennedy. — Zaraz zobaczymy, jak mądra jest ta rybka.
- Hydro do centrali, torpeda przeszła przez zawirowania — meldował sonarzysta. Z pewnością Laval junior. Kennedy’emu wydawało się, że zadrżał mu głos.
- Ooo? — Kapitan Kennedy przeszedł parę kroków do wnęki sonarzystów. — Problem?
- Ta cholera przemknęła przez wir, jakby go nie było, sir.
- Mówią, że to bardzo chytry model. Sądzisz, że potrafi zignorować przynętę tak jak *ADCAP*?
- Doppler wykazuje zbliżenie, sir — odezwał się drugi sonarzysta. — Impulsy zwiększyły częstotliwość. Chyba nas złapała, sir.
- Namierzyła nas przez termoklinę? To naprawdę chytre. — Kennedy pomyślał, że wszystko dzieje

się zbyt szybko i sprawia wrażenie prawdziwych działań. Tak, Kennedy zaczynał się czuć, jakby to się działo naprawdę. Czyżby rzeczywiście Japończycy mieli takie doskonałe torpedy, które pokonują wiry, termokliny i pozoratory?

— Czy wszystko to nagrywamy? — spytał.

— Oczywiście, sir! — Laval junior poklepał magnetowid z dopiero co założoną nową kasetą, na którą wszystko było teraz nagrywane. Osobny magnetowid rejestrował obraz z monitorów. — Silnik zwiększył obroty... zmiana jakości sygnału... mają nas. Zerowy sygnał, nie słysząc śruby... — Słowa Lavala oznaczały, że wszelkie odgłosy, jakie wydaje napęd torpedy i śruba, były obecnie wygłuszone, w pełni ekranowane przez korpus torpedy. Innymi słowy: torpeda zmierzała prosto do celu, jakim był okręt podwodny „Asheville”.

— Odległość? — zapytał ostro Kennedy.

— Nieco powyżej półtora tysiąca metrów, sir, ale zbliża się szybko, oceniana prędkość torpedy sześćdziesiąt węzłów.

— Czyli dopadnie nas za dwie minuty?

— Niech pan spojrzy, sir! — Laval wskazał palcem na monitor. Widać było wyraźnie

„wodospad” szumów torpedy, widać było echo parszającej przynęty, z której nadal ulatywały pęcherzyki.

Torpeda wz. 89 nawet nie zwolniła, przepływając przez sam środek obłoku pęcherzyków powietrza.

— A cóż to znowu jest? — zapytał Laval, patrząc na ekran, na którym pojawił się nagle zarys potężnego hałasu rozniesionego pod wodą na bardzo niskiej częstotliwości. — Wygląda na potężną eksplozję, sir. To jest sygnał SK, nie bezpośredni. — Sygnał Strefy Konwergencji oznaczał, że jego źródło znajduje się bardzo daleko, co najmniej trzydzieści mil od miejsca odczytu.

Na tę wiadomość Kennedy’emu zrobiło się zimno. Wsadził głowę do centrum bojowego i spytał:

— Gdzie jest „Charlotte” i drugi japoński okręt?

— Na północny zachód od nas, sir. Jakies sześćdziesiąt, siedemdziesiąt mil.

— Cała naprzód! — rzucił Kennedy. Uczynił to niemalże odruchowo. Sam nawet nie wiedział, dlaczego wydał taki rozkaz.

— Cała naprzód, aye! — potwierdził sternik, obracając głowę ku tarczy wskaźnika obrotów.

Pomyślał, że manewry wreszcie nabrały rumieńców. Nim maszynownia potwierdziła wykonanie rozkazu, Kennedy trzymał już w ręku słuchawkę.

— Komora pięciocalowa, wystrzelić pozoratory!

Hydrolokator namierzający torpedy pracuje na zbyt wysokiej częstotliwości, aby mogło ją wyłapać ludzkie ucho, niemniej Kennedy wiedział, że właśnie w tej chwili energia zawarta w fali nośnej odbija się od stalowej skorupy.

To chyba jest niemożliwe? To chyba nie może się wydarzyć? Gdyby mogło się wydarzyć i miało się wydarzyć, to inni też by coś zauważyli, prawda? Kennedy rozejrzał się dokoła. Załoga była na swoich stanowiskach. Wszystkie wodoszczelne grodzie zostały zamknięte. I zabezpieczone tak, jak podczas prawdziwej wojny. „Kuruszio” wystrzelił prawdopodobnie ćwiczebną torpedę. Była podobna do prawdziwej w każdym szczególe z wyjątkiem głowicy. Zamiast głowicy z materiałami wybuchowymi, przykręcono z pewnością stożek zawierający instrumenty pomiarowe. Ćwiczebne torpedy były tak ustawione, by nie trafiać w sam cel, ale po zbliżeniu się do niego, zmienić kurs, gdyż nawet zwykłe uderzenie metalu o metal mogło to i owo uszkodzić, a reperacje były bardzo kosztowne.

— W dalszym ciągu trzyma się nas, sir! — obwieścił Laval.

Torpeda przepłynęła tuż obok pozoratora numer dwa, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi...

— Schodzimy! — rozkazał Kennedy, zdając sobie w pełni sprawę, że jest już za późno. USS

„Asheville” opuścił nisko dziób i pod kątem dwudziestu dwóch stopni zaczął obsuwać się w głąbinę z prędkością trzydziestu węzłów. Z pięciocalowej komory wystrzelono jeszcze jedną tryskającą bąbelkami przynętę. Zwiększona prędkość wpłynęła na pogorszenie odczytów hydrolokacyjnych, niemniej było jasne, z tego, co Laval zdołał odczytać, że torpeda wz. 89 przemknęła przez bąbelki, jakby ich w ogóle nie było, i wciąż się zbliżała...

— Odległość pięćset metrów — poinformował marynarz namierzający. Ktoś z załogi zauważył, że kapitan jest błydy jak ściana, i zaczął się zastanawiać, dlaczego. No tak, wyjaśnił sobie, nikt nie lubi przegrywać. Nawet podczas zwykłych manewrów.

Okręt opuścił się już sporo poniżej termokliny. Kennedy zamierzał wykonać jeszcze kilka uników. Zamierzał, ale zrezygnował. Torpeda była zbyt blisko, aby mógł zrobić jakikolwiek manewr.

Najwyżej ułatwiłby jej zadanie. Wszystkie próby wyprowadzenia hydrolokacyjnej inteligencji w pole zawiodły. Zabrakło czasu na przemyślenie wszystkiego. Tak, za mało miał czasu.

— Jezu! — Laval zerwał z głowy słuchawki. Torpeda płynęła w tej chwili równolegle z ciągniętym przez „Asheville” na linie hydrolokatorem. Lavalowi niemalże popękały bębenki. — Za chwilę to cholerstwo musi skrócić...

Kapitan stał jak słup soli. Rozglądał się jedynie po twarzach. Czyżby zwariował? Czyż jest jedynym, który sądził, że...

W ostatniej sekundzie sonarzysta pierwszej klasy, Laval junior spojrział na swego kapitana i krzyknął: — *Skipper*, to cholerstwo nie skreśliło!

## Błękit

Air Force One wystartował kilka minut wcześniej, niż zaplanowano. Zanim *VC-25B* wszedł na pułap, dziennikarze zdążyli zgromadzić się w przodzie kabiny, oczekując na oświadczenie prezydenta odnośnie przedwczesnego odlotu. Tak nagle przerwanie oficjalnej wizyty państwowej nie było czymś zwyczajnym, prawda? Dziennikarzy powstrzymała Tish Brown, tłumacząc ten nieoczekiwany powrót poważnymi zakłóceniami na Wall Street — prezydent chciał w ten sposób uspokoić współobywateli... i tak dalej. Na razie poradziła wszystkim zebranym, aby zdrzemnęli się przez kilka godzin, zważywszy, że czekał ich czternastogodzinny lot pod wiatr do Waszyngtonu, a poza tym prezydent musi wypocząć przed jutrzejszym dniem. Luminarze prasy nie nalegali zbytnio na dostarczenie dodatkowych szczegółów —

niebagatelną rolę w tym momencie odegrała domieszka wódki w krwioobiegu zebranych, oraz brak snu.

Tyczyło się to zresztą wszystkich na pokładzie, poza załogą — taką przynajmniej nadzieję żywili pasażerowie. Argumentem, który przemówił do dziennikarzy były, stojące na drodze do apartamentu prezydenta, masywne sylwetki agentów Tajnej Służby i żandarmów Sił Powietrznych. Zwyciężył zdrowy rozsądek i wszyscy powrócili na swoje miejsca. Wkrótce na pokładzie samolotu zapanowała cisza, przerywana jedynie pochrapywaniami utrudzonych dziennikarzy.

Dowódca „Johnnie Reb”, zgodnie z prawem federalnym, był lotnikiem Marynarki. Taki stan rzeczy wywodził się jeszcze z lat trzydziestych, kiedy to Departament Obrony postanowił odsunąć od dowodzenia lotniskowcami ludzi wychowanych na pancernikach. W związku z tym jego wiedza odnośnie działania systemów okrętowych ograniczała się w dużej mierze do pokładu startowego. Na szczęście główny mechanik był marynarzem z krwi i kości — całą dotychczasową służbę odbył na niszczycielach

— i wiedział co dolega jednostce. Mimo swojej niewiedzy, dowódca zdawał sobie jednak sprawę z faktu, że woda powinna być na zewnątrz kadłuba, a nie przeciwnie.

— Jak to wygląda?

— Fatalnie, sir. — Główny mechanik wskazał ręką na pokład maszynowni, wciąż pokryty kilkucentymetrową warstwą wody. Przynajmniej dziury w kadłubie zostały załatwane, co zajęło bite trzy godziny. — Śruby numer dwa i trzy poszły w cholerę. Łożyska wałów napędowych, sprzęgła i końcówki wałów nadają się jedynie do wymiany. Przekładnie redukcyjne spalone — to one przyjęły na siebie całą energię wybuchów. Turbinom nic się nie stało. Śruba numer jeden jest w porządku, tylko kilka łożysk do wymiany, załatwimy to na miejscu. Uszkodzeniu uległa śruba numer cztery, nie mamy pojęcia w jakim stopniu — wolimy jej nie uruchamiać, bo mogą pójść łożyska. Lewoburtowy ster jest zablokowany, ale sobie z tym poradzimy — za godzinę powinien stać w osi okrętu. Może trzeba będzie go wymienić, jeszcze nie wiemy. Na razie dysponujemy jedną śrubą i od biedy możemy sterować okrętem.

— Ile czasu zajmie naprawa?

— Miesiące. Najmarniej cztery, albo i pięć. — Główny mechanik zdawał sobie sprawę z tego, że przez te kilka miesięcy będzie musiał mieszkać w suchym doku i nie spuszczać z oka stoczniovców.

Praktycznie czeka go wymiana trzech zespołów napędowych — wciąż nie miał pojęcia w jakim stopniu uszkodzona jest śruba numer cztery.

W tym właśnie momencie dowódcę trafił szlag. Najwyższa pora, pomyślał główny mechanik.

— Gdybym mógł wysłać w powietrze kilka Tomcatów, posłałbym tych skurwieli na dno. — Obaj jednak wiedzieli, że — przy jednej sprawnej śrubie — lotniskowiec nie zapewni startującym samolotom odpowiedniej prędkości względem wiatru. A poza tym to był przecież wypadek.

— Z przyjemnością pomógłbym facetom z pokładu podwieszać rakiety — zapewnił go mechanik, ale po chwili dodał: — Może Japońce przynajmniej zwrócą koszty naprawy.

— Kiedy możemy ruszać?

— Musimy jeszcze tylko sprawdzić dokładnie łożyska pierwszej śruby, ale z tym nie będzie problemu.

— Okay. W takim razie zabieram tę barkę do Pearl Harbor.

— Aye aye, sir.

Admirał Mancuso wrócił do swojego gabinetu i zajął się przeglądaniem założeń programowych ćwiczeń, kiedy wszedł bosmanmat z łączności, trzymając w dłoni depeszę.

— Panie admirale, chyba nasze dwa lotniskowce mają kłopoty.

— Co im się przytrafiło? Zderzyły się? — zapytał Jones.

— Gorzej.

COMSUBPAC przeczytał depeszę. — Tego tylko brakowało. — W tym momencie zadzwonił

telefon na bezpiecznej linii z wydziału operacyjnego Floty Pacyfiku. — Admirał Mancuso, słucham.

— Panie admirale, tu porucznik Copps z łączności Floty. Odebraliśmy sygnał ratunkowy okrętu podwodnego. Pozycja 31 stopni szerokości północnej i 175 stopni długości wschodniej. Dokładniejszy namiar powinien nadejść lada chwila. Numer kodowy odpowiada „Asheville”. Nie ma przekazu głosowego, tylko sygnał boi ratunkowej. Przed chwilą ogłosiłem alarm OKRZAG/OKRZAT. Najbliższy samolot ratunkowy Marynarki bazuje na lotniskowcu...

— A niech to szlag — przerwał mu Mancuso. Od czasów zatonięcia „Scorpiona” Marynarka nie straciła okrętu podwodnego, a admirał chodził wtedy jeszcze do liceum. Mancuso potrząsnął głową. Miał

pracę do wykonania. — Słuchajcie, poruczniku, na tamte dwa gołębniki możecie nie liczyć.

— Słucham, panie admirale?

— Zadzwońcie do dywizjonu *P-3*. Nie mam teraz czasu.

— Aye aye, sir.

Mancuso nawet nie musiał patrzeć na mapę. W tej części Oceanu Spokojnego dno dzieliło od powierzchni pięć kilometrów wody, i jeszcze żadnemu okrętowi podwodnemu nie udało się zanurzyć na jedną trzecią tej głębokości. Gdyby nawet przeżyli jacyś rozbitkowie, pomoc nadejdzie dopiero za kilka godzin, a do tej pory zimna woda i tak ich zabije.

— Ron, właśnie odebrałem wiadomość. Wygląda na to, że „Asheville” poszła w dół.

— W dół? — Takiego określenia nie lubił żaden podwodniak, ale i tak w jego uszach brzmiało lepiej niż „poszła na dno”. — Syn Frenchy’ego...

— I dwustu dwudziestu innych.

— Jak mogę ci pomóc, *skipper*?

— Idź do ludzi z *SOSUS* i zobacz, co mają na odczytach.

— Aye aye, sir. — Jones wypadł z gabinetu, a admirał podniósł słuchawkę i zaczął naciskać klawisze aparatu. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego poczynania nie mają większego sensu. Wszystkie okręty podwodne Floty Pacyfiku wyposażone zostały w boje ratunkowe *AN/BTS-3*, które automatycznie wypływały na powierzchnię, jeżeli okręt zszedł poniżej maksymalnego bezpiecznego zanurzenia lub szef pokładu zapomniał nakręcić mechanizm zegarowy. Ta druga możliwość była niezmiernie mało prawdopodobna. Zanim mechanizm zwalniający boję został uruchomiony, *BTS* wydawała z siebie tak przenikliwy pisk, że obudziłby on nawet najbardziej niefrasobliwego marynarza... Prawie na pewno

„Asheville” zatonała, jednak Mancuso musiał stosować się do procedury alarmowej. Może komuś udało się wydostać na powierzchnię...

Po otrzymaniu sygnału z centrum łączności floty, fregata USS „Gary” ruszyła na maksymalnej prędkości na północ, w stronę namierzonej pozycji boi ratunkowej „Asheville”. Po dziewięćdziesięciu minutach zbliży się na tyle, by wypuścić śmigłowiec, który zbada powierzchnię oceanu. W tym czasie jej lądowisko może przyjmować kolejne maszyny. „John Stennis” powoli ustawił się pod wiatr i z pokładu startowego z trudem wzbił się w powietrze samolot ZOP *S-3*

*Viking*. Samolot znalazł się nad rejonem poszukiwań po czterdziestu pięciu minutach. Na monitorach radaru nie było widać niczego poza japońskim kutrem Straży Przybrzeżnej, też zmierzającym w stronę boi ratunkowej. Natychmiast nawiązano łączność radiową i kuter potwierdził odbiór sygnałów. *Viking* rozpoczął zataczanie kręgów nad boją i jeden z obserwatorów dostrzegł plamę oleju napędowego, znaczącą grób „Asheville”. Zauważono też jakieś szczątki wyposażenia, ale zarówno piloci jak i obserwatorzy nie dostrzegli żadnego rozbitka.

Przedrostek BŁĘKIT w depeszy oznaczał, że wiadomość dotyczy całej floty: dwa spośród czterech lotniskowców Floty Pacyfiku na długi czas zostały wyłączone ze służby. Dwa pozostałe:

„Eisenhower” i „Lincoln” pełniły służbę patrolową na Oceanie Indyjskim. Na okrętach rzadko udaje się zachować jakikolwiek sekret w tajemnicy, i zanim jeszcze admirał Dubro znalazł na swoim biurku kopię depeszy, cała jednostka flagowa huczała od plotek. Najgorszy zupak czułby się teraz w gabinecie admirała jak na swoim ukochanym placu musztry, wysłuchując piętrowych wiązańek przekleństw. Z podobnym słownictwem spotkał się personel łączności, który miał pecha przekazać tę wiadomość oficerowi dyżurnemu Pentagonu.

Podobnie jak większość agentów terenowych, działających w obcym kraju, Clark i Chavez nie mieli pojęcia co się dzieje. Gdyby mieli, prawdopodobnie złapaliby pierwszy samolot w dowolnym kierunku. Szpiegdy nigdy nie cieszyli się popularnością i bynajmniej nie chroniła ich Konwencja Genewska, niedwuznacznie zalecając podczas wojny pluton egzekucyjny.

Podczas pokoju podejście do szpiegów nie było może tak stanowcze, ale z reguły sprawa kończyła się w ten sam sposób. Ten aspekt służby w CIA jakoś nie zajmował pierwszego miejsca podczas rozmów kwalifikacyjnych. Z reguły Firma starała się jak największej liczbie pracowników nadać status

„legalnego agenta”, poprzez uzyskanie statusu dyplomatycznego. Clark i Chavez byli jednak „nielegalni”

i nie chroniły ich jakiegokolwiek paszporty dyplomatyczne, tak naprawdę Clark nigdy nie miał statusu

„legalnego”. Z tej istotnej różnicy jasno zdali sobie sprawę, gdy wychodzili ze swojego podrzędnego hoteliku, wybierając się na spotkanie z Isamu Kimurą.

Mimo że pogoda dopisała, popołudniowa przechadzka nie okazała się zbytnio przyjemna.

Wszyscy przechodnie rzucali im teraz spojrzenia, w których zamiast zwyczajowej mieszanki niechęci i zdziwienia na widok *gaidzin*, kryła się wyraźna wrogość. Oczywiście personel hotelu traktował ich przyjaźnie, ze względu na fakt, że byli „Rosjanami”, ale żadnemu z nich nie przychodził do głowy pomysł, jak w jednoznaczny sposób zaakcentować swoją narodowość wobec przechodniów. Jako że nie mogli nałożyć mundurów *Sowieckoj Armii*, a cywilne ubrania, mimo wszystko, nie wskazywały wyraźnie na moskiewskie pochodzenie, przez cały czas spaceru czuli się niczym bogaci biali Amerykanie spacerujący w Harlemie.

Kimura czekał na nich w umówionym miejscu: podrzędnym barze. Widać już było, że wypił kilka

głębszych.

— Dzień dobry — przywitał się Clark po angielsku. Przez chwilę panowała cisza. — Coś się stało?

— Nie wiem — odparł Kimura, zamawiając drinki dla wszystkich. Tym dwóm słowom Japończycy potrafią nadać wiele znaczeń. W tym przypadku intonacja głosu Kimury wskazywała, że jednak coś wie. — Goto zwołał dziś gabinet. Obrady trwają już od rana. Mój znajomy w Ministerstwie Obrony nie wrócił z pracy od czwartku.

— *Da?*

— Słyszeliście przemówienie Goto? I co mówił o Ameryce? — Urzędnik MHZiP przechylił

kolejnego drinka i niezwłocznie zamówił następnego. Obsługa, jak zwykle, była szybka.

— I co o tym sądzisz?

— Trudno powiedzieć. — Jednak z wyrazu twarzy Kimury widać było wyraźnie, że ma na ten temat wyrobione zdanie. — Nigdy jeszcze nie spotkałem się z czymś takim. Nie spotkałem takiej... jak to się nazywa? O, retoryki. Od tygodnia w ministerstwie czekamy na instrukcje od rządu. Powinniśmy już dawno rozpocząć negocjacje z Amerykanami, żeby znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, ale wciąż nie ma instrukcji. Nasi ludzie w Waszyngtonie nic nie robią. Goto przez cały czas naradza się z ludźmi z Obrony i *zaibatsu*. To się tu zdarza po raz pierwszy.

— Przyjacielu — powiedział z uśmiechem „Klark” — mówisz tak, jakby coś wisiało w powietrzu.

— Nie rozumiecie. W Japonii dosłownie nic się nie dzieje bez udziału mojego ministerstwa.

Minister jest na obradach gabinetu, ale nic nam nie przekazał. — Kimura przerwał na chwilę. Czy te kacapy niczego nie pojmują? — Jak myślicie, kto odpowiada za politykę międzynarodową? Te pajace w MSZ? To nam składają sprawozdania. I kogo obchodzi, co myślą wojskowi? To moje ministerstwo rządzi krajem. To my współpracujemy z *zaibatsu*, my reprezentujemy biznes w kontaktach międzynarodowych.

Tylko dlatego zacząłem pracować w ministerstwie.

— Ale teraz jest inaczej?

— Goto siedzi przez cały czas z ludźmi, którzy się nie liczą. Mojego szefa zaprosili na posiedzenie dopiero wczoraj. I siedzi tam przez cały czas.

Gość bardzo się przejął kompetencyjnymi sporami biurokratów, pomyślał Chavez. Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Przemysłu zostało wysłane na boczny tor. I co z tego?

— Denerwuje cię, że przemysłowcy spotykają się teraz bezpośrednio z premierem? — zapytał.

— Zawsze to my byliśmy pośrednikiem. — Kimura wzruszył ramionami. — Może Goto i *zaibatsu*



chcą teraz dogadywać się sami? Ale jak to może im się udać bez nas?

Chciałeś powiedzieć: beze mnie, pomyślał z uśmiechem Chavez. Biurokratyczny dupek. W CIA też ich nie brakowało.

Większość turystów na Saipanie była Japończykami, ale nie wszyscy. Wyspa na Pacyfiku oferowała wiele atrakcji. Jedną z nich stanowiło łowienie wielkich ryb, a okoliczne wody nie były tak zatłoczone jak na Florydzie, czy w Zatoce Kalifornijskiej.

Pete Burroughs był wykończony, spalony przez słońce i absolutnie zachwycony dniem, który spędził na morzu. Nie ma nic piękniejszego na świecie, pomyślał przypasany do krzesła wędkarskiego inżynier elektroniki, popijając piwo z puszki. Przez cztery godziny walczył z największym w swoim życiu tuńczykiem albacore. Problem w tym jak przekona swoich kumpli z zakładów, że nie buja. Ten potwór był zbyt wielki, żeby zawiesić go nad kominkiem, a poza tym jego była żona dostała po rozwodzie kominek wraz z całym domem. Pamiątkowe zdjęcie będzie musiało wystarczyć, a wszyscy wiedzieli, co w dzisiejszych czasach można zrobić z negatywem. Zaawansowana technologia dotarła nawet do środowiska wędkarzy. Za dwadzieścia dolarów można sobie było wybrać dowolny rodzaj i rozmiar ryby wiszącej w tle. Gdyby Pete złapał rekina, mógłby zabrać do domu wygotowane szczęki z imponującym garniturem zębów, ale albacore — nawet tak imponujący — był tylko tuńczykiem. Z drugiej strony, była żona nie chciała wierzyć w jego wieczorną pracę po godzinach w biurze, dlatego więc miałby starać się ją przekonać do swoich umiejętności wędkarskich. Co za suka. Trzeba przyznać jednak, że w każdej sytuacji można dostrzec dobrą stronę: nienawidziła wędkowania, a teraz on mógł spędzać na morzu tyle czasu, ile chciał. Może nawet rozejrzy się za nową dziewczyną. Pete otworzył kolejne piwo.

W basenie jachtowym praktycznie nie było ruchu, czego nie dało powiedzieć się o porcie. Przy pirsie cumowały trzy olbrzymie, niezgrabne frachtowce. Pete pomyślał, że ta wyprawa jest ukoronowaniem jego dotychczasowego życia; jutro może zapoluje na coś innego. Jeszcze raz spojrzął na albacore — co najmniej trzysta kilogramów. Do rekordu brakowało jeszcze ze dwieście kilo, ale i tak nie było porównania z łososiem, którego złowił w zeszłym roku za pomocą zardzewiałego spinningu Teda Williama. Nagły ryk silników nad głową przerwał te rozmyślenia o wędkarskich przewagach: kolejny cholerny 747 wystartował z lotniska. Jeszcze parę lat i ten raj na ziemi zacznie przypominać Florydę. I tak już było tu tłoczno od Japońców. Całe szczęście, że przyjeżdżali tu tylko się wyszaleć i przelecieć parę filipińskich dziewczyn z barów nocnych — wędkowaniem w ogóle się nie interesowali.

Kuter prowadzony wprawną ręką szypra pewnie wpływał do przystani jachtowej. Szyprem był emerytowany starszy bosman sztabowy ze Straży Przybrzeżnej. Borroughs odpiął się z krzesła i wszedł na pomost.

— Zmęczył się pan gadaniem do ryby?

— To też, a poza tym ona nie lubi piwa.

Oreza pokręcił głową. — Nie prowadzę po alkoholu.

— Nałóg z przeszłości?

Szyper skinął głową. — Raczej tak. Ale postawię panu jednego w klubie. Dobra robota z tą rybą.

Naprawdę pierwszy raz łowił pan na morzu?

— Pierwszy — z dumą obwieścił Borroughs.

— Nigdy bym nie przypuszczał, panie Borroughs.

— Proszę mi mówić Pete — zaproponował inżynier.

— Mnie nazywają Dniówka — przedstawił się Oreza.

— Chyba nie pochodzisz stąd.

— New Bedford, Massachusetts. Ale tamte zimy już nie dla mnie. Kawał czasu temu służyłem na Saipanie. Kiedyś była tu baza Straży Przybrzeżnej w Punta Arenas. Zamknęli ją jakiś czas temu. Mojej żonie też podobał się tutejszy klimat i ludzie, a poza tym w Stanach w tego rodzaju biznesie konkurencja jest trochę za ostra jak na mój gust. Kiedy dzieciaki podrosły, postanowiliśmy przenieść się tutaj.

— Widać, że zna się pan na pływaniu.

Dniówka tylko skinął głową. — Nic innego nie robiłem od trzydziestu pięciu lat, jeżeli nie liczyć czasów, kiedy pływałem z ojcem na jego łodzi. — Skierował kuter w lewo, omijając łagodnym łukiem wyspę Managaha. — Teraz już niczego się nie wyłowi w New Bedford. Za dużo ludzi i woda już nie tak czysta jak kiedyś.

— Co to za statki? — zapytał Borroughs, wskazując na port.

— Przewożą samochody. Jak przyszedłem rano na przystań, wyładowywali dzipy. — Szyper wzruszył ramionami. — Coraz więcej tych cholernych samochodów. Wiesz, kiedy tu się sprowadziłem, Saipan przypominał Cape Cod w sezonie zimowym. Teraz raczej wygląda tu na szczyt sezonu turystycznego na Bahamach. — Dniówka ponownie wzruszył ramionami. Napływ turystów zwiększał

zatrucie środowiska, ale bez turystów nie dało się tu wyżyć.

Ponad ich głowami przeleciał kolejny 747.

— Dziwne — powiedział Oreza.

— Co takiego?

— Ten nie wystartował z lotniska.

— Jak to?

— Wystartował z Kobler. To stara baza Strategicznych Sił Powietrznych, gdzie stacjonowały WBTS.

— WBTS?

— Wielki Brzydki Tłusty Sukinsyn — wyjaśnił Dniówka. — *B-52*. Na wyspie jest pięć albo sześć pasów startowych, które mogą przyjmować wielkie samoloty. W dawnych czasach zimnej wojny stanowiły coś w rodzaju dispersalu. Baza Kobler jest zaraz obok mojej starej stacji nawigacyjnej LORAN.

Myślałem, że jest już opuszczona.

— Nie rozumiem.

— Na Guam mieściło się dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych. Wiesz — atomówki.

Jakby Ruskim odbiło, *B-52* miały wystartować z bazy Sił Powietrznych Andersen, tak żeby ich nie załatwiła jedna rakietą z głowicą atomową. W tym celu zbudowali dwa wielkie pasy startowe na Saipanie

— jeden z nich wchodzi teraz w skład lotniska cywilnego, drugi to Kobler — dwa są na wyspie Tinian i dwa na Guam.

— Wciąż mogą przyjmować samoloty?

— Nie widzę przeszkód. Tutaj zimy są raczej łagodne.

Z lotniska Saipan International wystartował kolejny Jumbo-Jet. W kryształowo czystym wieczornym powietrzu dostrzegli jeszcze jeden zmierzający do wyspy ze wschodu.

— Zawsze tu taki ruch w powietrzu?

— Nie. Pierwszy raz coś takiego widzę. Te cholerne hotele muszą pękać w szwach. — Dniówka po raz trzeci wzruszył ramionami. — Wygląda na to, że któraś z restauracji hotelowych chętnie kupi tego twojego tuńczyka.

— Ile mogą dać?

— Na pewno starczy ci na pokrycie rachunku za moje usługi. Dzisiaj złowiłeś tylko jedną rybę.

Jutro może będziesz miał więcej szczęścia. Trzymaj tak dalej, a zwróci ci się wycieczka na Saipan.

— Znajdź mi tylko jutro równie dużą sztukę i nie martw się o pieniądze.

— Uwielbiam kiedy klient mówi w ten sposób. — Oreza cofnął nieco manetkę gazu; powoli dobijali do nabrzeża basenu jachtowego, tuż obok małego dźwigu do slipowania łódek: o własnych siłach nie daliby rady wyciągnąć tuńczyka. Albacore był trzecią co do wielkości rybą, którą przywiózł do portu, a ten Barroughs okazał się fajnym gościem.

— Wynajmowanie tej łódki daje jakieś rozsądne pieniądze? — zapytał Borroughs. Dniówka skinął głową. — Razem z emeryturą pozwala na niezłe życie. Ponad trzydzieści lat prowadziłem kutry patrolowe Wuja Sama. Teraz dalej to robię, a w dodatku ktoś jeszcze za to płaci.

Borroughs zaczął przyglądać się olbrzymim transportowcom. Wziął do ręki lornetkę Orezy. —

Można? — zapytał.

— Tylko przelóż ramię przez szyję. — To zadziwiające, że ludzie uważali paski od lornetek za coś w rodzaju ozdoby.

— Jasne. — Po chwili Borroughs ustawiał już ostrość, skupiając uwagę na „Orchid Ace”. — Co za brzydactwo...

— Nie robili go po to, żeby wygrywał konkursy piękności. Ma tylko przewozić samochody. —

Oreza, delikatnie manewrując obrotami śrub i kołem sterowym, zaczął podchodzić do nabrzeża udekorowanego girlandami opon samochodowych.

— Ale on nie przewozi samochodów. To coś, co zjeżdża z rampy przypomina raczej buldożer, albo...

— Tak? — Dniówka zawołał na pomocnika, żeby zaczął podawać cumy. Niezły chłopak. Miał piętnaście lat i nada się za jakiś czas do Straży Przybrzeżnej. Tam nauczy się marynarskiego fachu.

— Armia ma tu jakąś bazę? — zapytał Borroughs.

— Nie. Tylko parę oddziałów zostało na Guam.

Oreza zredukował obroty i „Springer” delikatnie przysunął się do kei. Zawsze sprawiało mu przyjemność prawidłowe wykonanie manewru łodzią. Po sprawdzeniu, że cumy zostały dobrze założone, Dniówka usiadł na swoim krześle, wyłączył silnik i przelotnie pomyślał o wieczornym piwie.

— Rzuć na to okiem. — Borroughs podał mu lornetkę.

Dniówka obrócił się w krześle i poprawił rozstaw okularów, zanim spojrzął na statek. Doskonale

znał ten typ frachtowca: wiele razy przeprowadzał na nich inspekcje, kiedy jeszcze służył w Straży Przybrzeżnej. Przypomniawszy sobie, że przeprowadzał inspekcje na tym konkretnym statku — jednej z pierwszych jednostek, które zostały skonstruowane specjalnie z myślą o przewożeniu samochodów.

— A to co takiego? — zapytał przeciągle Oreza.

— Co znowu?

— Wiesz, co to jest?

— Nie mam pojęcia.

Oreza patrzył na dziwaczny pojazd gaśnicowy, pomalowany w barwy maskujące. Z tyłu miał coś na kształt wielkiej skrzyni. Nagle zrozumiał: ruchoma wyrzutnia rakiet. Przypomniawszy sobie, że widział

takie podczas „transmisji” z wojny w Zatoce, tuż przed przejściem w stan spoczynku. Wstał, żeby uzyskać lepszy kąt widzenia. Na parkingu obok rampy stały dwa podobne...

— W porządku, wszystko już rozumiem. To jakieś ćwiczenia — powiedział Borroughs, schodząc z pomostu na pokład. — Widzisz te myśliwce? Mój bratanek na nich latał, zanim nie zaczął pracować w American Airlines. To *F-15 Eagle* z Sił Powietrznych.

Oreza podniósł nieco lornetkę i złapał biały kształt samolotu. Nie było wątpliwości: klucz myśliwców w ciasnej formacji. *F-15* krążyły w powietrzu nad środkiem wyspy najwyraźniej „chroniąc”

port... Jedno tylko się nie zgadzało: na skrzydłach samolotów Oreza dostrzegł czerwone kręgi — godło japońskich Sił Samoobrony.

Jones wolał wydruki od monitora. Ten ostatni wprawdzie lepiej się sprawdzał podczas wachty, ale przy przewijaniu podczas analizy, zbyt szybko męczyły się oczy, a w tej robocie pomyłki są niedopuszczalne. Od tego może zależeć życie załogi „Asheville”, powiedział w duchu, zdając sobie sprawę, że to wierutne kłamstwo. Obok niego stało dwóch starszych podoficerów Marynarki z sekcji hydrolokacji oceanograficznej. Analizę wydruków rozpoczęli od północy poprzedniego dnia. Akwen ćwiczeń jednostek podwodnych został umiejscowiony w pobliżu atolu Kure, ze względu na bliskie sąsiedztwo sieci hydrofonów dennych, należących do systemu *SOSUS*. Terminal sieci — jeden z najnowocześniejszych — miał rozmiary garażu lub małego domu, i był podłączony kablem do następnej stacji *SOSUS*, odległej o pięćdziesiąt mil morskich, skąd elektroniczne łącze biegło przez Kure do Midway. Z Midway informacje uzyskane przez hydrofony przekazywane były za pośrednictwem satelity do Pearl Harbor. Tak naprawdę to całe dno Pacyfiku usłane zostało kablami łączącymi rozsiane hydrofony denne. Podczas lat sześćdziesiątych Marynarka kładła na dnie morskim tyle samo kabli co Bell Telephone. Zdarzało się nawet, że czarterowała specjalistyczne statki tej firmy.

— Okay, tutaj „Kurushio” doładowuje akumulatory przez chrapy — powiedział Jones,

przeprowadzając czerwonym flamastrem obwódkę wokół czarnej nieregularnej sinusoidy.

— Podobno kiedyś udało się panu przechytryć system Preria-Maska? — zapytał jeden z sonarzystów.

— Trzeba przyznać, że to niezły system, ale czy kiedyś naprawdę mu się przysłuchałeś?

— Od dziesięciu lat nie byłem na morzu.

— Kiedy służyłem na „Dallas”, podczas ćwiczeń AUTEK na Bahamach, bawiliśmy się przez tydzień z „Moosbrugger”.

— Mówią, że „Moose” to cholernie dobra łajba.

— I mają rację. Nie mogliśmy jej namierzyć, ani ona nas. — Jones poczuł się nagle nie jak cywilny pracownik kontraktowy Marynarki z dyplomem doktora, ale jak dumny z siebie sonarzysta, którym kiedyś był. Uświadomił sobie nagle, że chyba wciąż nim jest. — Współpracował z nimi też śmigłowiec ZOP, który dał nam nieźle popalić. Ale — Jones przewrócił kolejną stronę wydruku — wtedy właśnie wpadłem na pomysł jak ich załatwić. Maska przypomina szum deszczu padającego na powierzchnię wody, taki wiosenny kapuśniaczek. Nawet nie jest zbyt głośny, ale zawiera się w rzadko spotykanych częstotliwościach, które pięknie widać na monitorze. Doszedłem do wniosku, że wystarczy spojrzeć jaką pogodę mamy na górze. Jeśli niebo było czyste, a ty masz w słuchawkach szum deszczu na namiarze zero dwa zero, to gość jest już twój. Wczoraj na północny zachód od Kure nie padał deszcz.

Sprawdziłem to w meteo floty.

Sonarzysta skinął głową i uśmiechnął się. — Zapamiętam to sobie.

— Okay, a więc Japoniec był tu o północy. Zobaczmy, co da się z tego jeszcze wyciągnąć. —

Jones przewrócił kilka stron wydruku. — To musi być „Asheville”, prawdopodobnie idzie sprintem, żeby przejść na nową pozycję podczas ćwiczeń. Poznajecie jej śrubę?

— Nie.

— A ja tak. Wątpię, by *SOSUS* namierzył ją tyle razy, gdyby szła na pędniku. Zobaczmy jak to wygląda na planszecie.

— Wszystko naniesione — zameldował drugi sonarzysta. Planszet nie miał już — jak w czasach Jonesa-sonarzysty — formy płyty z pleksiglasu. Dziś całością skomplikowanego procesu zawiadywał komputer. W czasach „Czerwonego Października” była to niemal sztuka czarnoksiężska.

— Jaka pozycja? — zapytał Jones.

— Niszczyciel idzie tu, namiar jest prawie taki sam jak boi ratunkowej. Akcja ratunkowa...

— Nie będzie żadnej akcji ratunkowej. — Jones zabrał papierosa przechodzącemu marynarzowi.

Ktoś musiał to powiedzieć.

— Tu nie wolno palić — zauważył jeden z sonarzystów. — Trzeba wyjść na korytarz...

— Lepiej daj mi ognia i przyjrzyj się tym wydrukom — rozkazał Jones. Przewrócił stronę i sprawdził oscylację w paśmie 60 Hz. — Nic... dosłownie nic. Te spalinówki są naprawdę dobre... ale jeśli płyną po cichu, to nie korzystają z chrap, a jeśli nie korzystają z chrap, to daleko nie popłyną...

„Asheville” poszła tu całą naprzód, a tu wykonała zwrot... — Kolejna strona.

— Nie będzie akcji ratunkowej? — Sformułowanie tego pytania zajęło sonarzyście całe trzydzieści sekund.

— Jak głębokie są tam wody?

— Wiem, że nie jest tam płytko, ale... Są przecież włazy awaryjne. O ile pamiętam to trzy.

Jones nawet nie podniósł wzroku. Po raz pierwszy od dziesięciu lat zaciągnął się papierosem. —

Jasne, Właz Mamusi. Tak to nazywaliśmy na „Dallas”. „Widzisz ten właz, mamó? jak coś pójdzie nie tak, zawsze możemy tędy wyjść.” — Jones odwrócił się do sonarzysty. — Przez te włazy nikt nie wyjdzie, okay? Przez nie się nie wychodzi. Ten okręt jest martwy, tak samo jak i jego załoga. Chcę się tylko dowiedzieć, jak do tego doszło.

— Mamy już przecież nagrane odgłosy implozji.

— Jasne. Wiem też, że nasze dwa lotniskowce miały dziś małą przygodę. — System *SOSUS* również to zarejestrował.

— Co pan chce powiedzieć?

— Nic. — Kolejna strona. Na jej dole krzyczała wielka czarna plama, zapis katastrofy

„Asheville” i coś jeszcze... — Do kurwy nędzy, a to co?

— Doszliśmy do wniosku, że to bliskie echo. Namiar jest prawie identyczny. Chyba komputer...

— Do diabła, przesunięcie w czasie wynosi cztery minuty! — Jones cofnął się trzy strony. —

Patrzcie, tu jest jeszcze ktoś inny.

„Charlotte”?

Jonesa przeszły ciarki. Od papierosa trochę kręciło mu się w głowie. Patrzył na taki sam wykres częstotliwości na wydruku: okręt podwodny o napędzie spalinowo-elektrycznym wystawia chrapy i w chwilę później okręt klasy Los Angeles gwałtownie przyspiesza. Dwa wychwycone przez Jonesa odgłosy były tak bliskie, prawie identyczne, a w dodatku ten sam namiar...

— Zadzwoń do admirała Mancuso i dowiedz się, czy „Charlotte” zgłosiła się do bazy.

— Ale...

— Żadne ale! Dzwoń!

Dr Ron Jones wstał od pulpitu i rozejrzał się po pomieszczeniu sonarzystów. Ludzie wyglądali tak samo, wykonywali tę samą pracę, odebrali takie samo wykształcenie, ale czegoś brakowało. Co się zmieniło od czasów Jonesa? Na ścianie wisiała wielka mapa Pacyfiku. Jeszcze kilka lat temu upstrzona była czerwonymi symbolami radzieckich okrętów podwodnych z raketami balistycznymi na pokładzie i tych, które polowały na inne okręty podwodne. Prawie przy każdej czerwonej sylwetce widniała czarna, oznaczająca „opiekę” ze strony USA w postaci podwodnych okrętów myśliwskich lub samolotów ZOP P-3C Orion. W tamtych czasach nikt nie miał wątpliwości, kto rządzi na morzach świata. Teraz na mapie Jones też dostrzegł przychepione sylwetki, ale były to sylwetki... wielorybów. Niektóre miały nawet imiona, tak jak niegdyś rosyjskie okręty podwodne. Były to jednak imiona w rodzaju Moby czy Mabel, a nie „Tajfun II” czy „Magnitogorski Komsomolec”. Dziś nie było już wroga. Ludzie z Marynarki zmienili sposób myślenia, już nie wybierali się jak „Dallas” — „na północ”, by tropić okręty, które mogły w każdej chwili wystrzelić torpedę. Ci ludzie myśleli już w zupełnie inny sposób. Jones podszedł do pulpitu łączności i odebrał słuchawkę z ręki sonarzysty.

— Bart, tu Ron. Czy „Charlotte” już się zgłosiła?

— Mamy zamiar nawiązać z nią łączność na ELF.

— Raczej ci się to nie uda, *skipper* — ponuro stwierdził Jones.

— Co masz na myśli? — Z tonu pytania Mancuso Jones wywnioskował, że admirał doskonale wie co były sonarzysta „Dallas” ma na myśli. Ci ludzie prawie zawsze porozumiewali się bez słów.

— Lepiej będzie jak tu wpadniesz, Bart. To nie żarty, *skipper*.

— Za dziesięć minut — obiecał Mancuso.

Jones zgasił niedopałek papierosa w metalowym koszu na śmieci i wrócił do wydruków. Po lewej stronie płachty papieru, umocowane na metalowych ramionach pisaki wyznaczały przebiegi niskich częstotliwości, a po prawej wysokich. Różnice amplitud obu wykresów wskazywały kurs jednostki. Dla niewprawnego oka nieregularne oscylacje przypominały wykonane z powietrza zdjęcia wydym na pustyni, ale dla fachowca każde drgnięcie na wykresie miało olbrzymie znaczenie. Jones zabrał się do systematycznej analizy, porównując starannie lewy i prawy margines wydruku, przez cały czas zaznaczając uwagi odnośnie zmieniających się namiarów. Sonarzyści odsunęli się mimowolnie od



pulpitu, nie chcąc przeszkadzać mistrzowi, który dostrzegł rzeczy przez nich niezauważone. Zrozumieli teraz dlaczego ten, w końcu młodszy od nich, człowiek mówił admirałowi po imieniu.

— Powstań, baczność! — padł nagle rozkaz. Do pomieszczenia sonarzystów wszedł szef okrętów podwodnych Floty Pacyfiku w towarzystwie komandora Chambersa i adiutanta, który przezornie trzymał

się z tyłu. Admirał nic nie powiedział — spojrzał tylko w twarz Jonesowi.

— Nawiązałeś łączność z „Charlotte”? — zapytał sonarzysta z „Dallas”.

— Nie.

— Podejdź tu.

— Co masz mi do powiedzenia, Jonesy?

Jones przesunął czerwony flamaster w stronę dolnej części wydruku. — Tu mamy implozję, kadłub zaczyna puszczać.

Mancuso westchnął i skinął głową. — Wiem, Ron.

— Teraz spójrz tu. Okręt gwałtownie przyśpiesza...

— Na pewno zorientowali się, że coś jest nie tak i chcieli jak najszybciej wypłynąć na powierzchnię — wtrącił komandor Chambers. Jeszcze tego nie widzi, pomyślał Jones. Albo nie chce zobaczyć.

— „Asheville” wcale się nie wynurza, panie Chambers. Niech pan zwróci uwagę na zmiany — tu i tu. — Jones przesunął flamastrem po wydruku, „cofając się” w czasie. — Tu wykonuje klasyczny manewr uniku na maksymalnej prędkości. A tu wystrzeliwuje generator szumów. A tu — ręka Jonesa powędrowała na prawy margines wydruku — mamy torpedę. Idzie bardzo cicho, ale można ją dostrzec na wydruku. Popatrzcie na jej manewry. Ona ściga „Asheville”, począwszy od tego momentu. — Flamaster powędrował w górę wydruku i zakreślił niemal identyczne linie pozostawione przez pisaki. Chociaż rozdzielała je prawie cała szerokość wydruku, ponad czterdzieści centymetrów, nie było wątpliwości, że oba obiekty wykonują te same manewry. Po chwili Jones wskazał punkt na samej górze strony. — W tym miejscu torpeda została wystrzelona.

— O, kurwa — westchnął Chambers.

Mancuso pochylił się nad wydrukiem i powoli prześledził przebieg linii. — A to?

— To prawdopodobnie „Charlotte”. Też przyśpiesza i manewruje. Wyraźnie to widać w tym miejscu. Nie mamy tu miejsca wystrzelenia torpedy — hydrofon był za daleko. Z tego też powodu nie widać drogi torpedy. — Jones wrócił do wydruku „Asheville”. — Spójrz tu. W tym miejscu japoński okręt podwodny odpalił torpedę. Tu „Asheville” bezskutecznie próbuje wykonać manewr uniku. Tu widzimy eksplozję głowicy torpedy. Tu przerywa się praca pomp reaktora i silników — wynika z tego, że dostała z tyłu. A tu widać, jak po kolei puszczaają wewnętrzne grodzie. Panie admirale,

„Asheville” została zatopiona przez torpedę, prawdopodobnie wz. 89, dokładnie w tym momencie, kiedy nasze dwa lotniskowce dostały w tyłek.

— To niemożliwe — sprzeciwił się Chambers.

— Okay, w takim razie niech pan inaczej zinterpretuje te wydruki. — Ktoś musi wreszcie sprowadzić na ziemię tego faceta, pomyślał Jones.

— Chryste, Ron!

— Uspokój się, Wally — opanowanym głosem powiedział dowódca podwodnych sił na Pacyfiku.

Przez chwilę śledził przebiegi linii na wydruku, starając się znaleźć dla nich inne wytłumaczenie. Musiał

próbować, chociaż nie miał wątpliwości, że innego wytłumaczenia nie ma.

— Marnujesz czas, *skipper*. — Jones postukał flamastrem w przebieg emisji szumów USS

„Gary”. — Niech ktoś lepiej ostrzeże tę fregatę, że nie ma tam czego szukać. W miejscu, gdzie rozpocznie akcję ratunkową, przebywają dwa spalinowo-elektryczne okręty podwodne z torpedami bojowymi w wyrzutniach. Teraz mają już o dwie mniej, ale i tak zostało im jeszcze parę. — Jones podszedł do mapy na ścianie, wziął do ręki gruby marker i zakreślił dwa kręgi obejmujące akweny o średnicy około trzydziestu mil. — Są gdzieś tu. Usłyszymy je, kiedy wynurzą się, żeby doładować akumulatory. Co to za okręt na powierzchni, który idzie w rejon akcji?

— Zgłosił się na częstotliwości ratunkowej jako kuter japońskiej Straży Przybrzeżnej — odparł Mancuso.

— Może będziemy musieli go zatopić — zasugerował Jones, zakreślając kontakt na czerwono.

Okręt, który został przed chwilą oznaczony, przestał być sojusznicą, czy nawet neutralną jednostką.

Teraz stał się wrogiem. Celem.

— Musimy pogadać z dowódcą Floty Pacyfiku — powiedział Mancuso. Jones skinął głową. —

Też tak mi się wydaje.

# Globalny wymiar

Bomba miała olbrzymią siłę. Wybuchła przed frontowym wejściem do „Trincomalee Tradewinds”, nowego luksusowego hotelu, wybudowanego głównie za pieniądze hinduskich biznesmenów. Zaledwie kilku ludzi przypomniało sobie potem mały samochód dostawczy, który okazał

się jednak na tyle duży, by pomieścić pół tony AMFO, mieszanki wybuchowej składającej się w głównej mierze z nawozu azotowego i oleju napędowego. Ta śmiertelna mieszanka łatwo mogła zostać przyrządzona w zwykłej wannie, i w tym akurat przypadku, detonowała z siłą wystarczającą do rozprucia fasady dziesięciopiętrowego hotelu. W eksplozji zginęło dwudziestu siedmiu ludzi, a rannych zostało ponad sto osób. Nie umilkły jeszcze echa wybuchu, kiedy do miejscowego korespondenta agencji informacyjnej Reuters zadzwonił telefon.

— Zaczęła się ostatnia faza wyzwolenia — w słuchawce odezwał się głos, prawdopodobnie czytający tekst zapisany na kartce. — Tamiłskie Tygrysy odzyskają ojczyznę albo w Sri Lance nigdy nie zapanuje pokój. To dopiero początek Będziemy podkładać co dzień bombę, aż do zwycięstwa.

Przez ponad sto lat Reuters cieszył się opinią najsprawniejszej agencji informacyjnej na świecie, a placówka w Colombo była równie sprawna jak wszystkie inne, nawet podczas weekendu. W ciągu dziesięciu minut wiadomość o zamachu powędrowała za pośrednictwem łączy satelitarnych do głównej kwatery w Londynie, skąd wyszła w świat jako „wiadomość dnia”

Większość amerykańskich agend rządowych rutynowo zapoznaje się z przekazami agencyjnymi.

Dotyczy to przede wszystkim CIA, FBI, Tajnej Służby i Pentagonu. Z tej rutyny nie wyłamuje się też Służba Informacyjna prezydenta, tak więc dwadzieścia minut po eksplozji, sierżant Sił Powietrznych oparła dłoń na ramieniu Jacka Ryana. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego otworzył oczy.

— Pilna wiadomość, sir — wyszeptała sierżant.

Ryan niezbyt przytomnie skinął głową, rozpiął pasy i w duchu pogratulował sobie, że w Moskwie nie wypił zbyt wiele. W przyćmionym świetle kabiny reszta współpasażerów zgodnie pochrapywała, wydalając z siebie charakterystyczny zapach *Stolicznoj*. Musiał przejść przez pulpity, by nie obudzić żony.

Mało brakowało, a wywróciłby się, gdyby nie pomocna dłoń pani sierżant.

— Bardzo dziękuję.

— Żaden problem, sir — Ryan poszedł jej śladem po spiralnych schodach do centrum łączności na górnym pokładzie.

— Co się stało? — Oparł się pokusie, by zapytać która godzina. Jego pytanie pociągnęłoby za sobą kolejne czy chodzi o czas w Waszyngtonie, czas w miejscu, w którym aktualnie znajdował się samolot, czy wreszcie czas w miejscu, z którego pochodziła depesza. Jeszcze jedna oznaka postępu,

pomyślał Ryan. Ruszył w stronę drukarki, zastanawiając się do jakiego stopnia słowo „teraz” stało się relatywne. Dyżurnym oficerem łączności była przystojna, czarna porucznik Sił Powietrznych.

— Dzień dobry, doktorze Ryan. Dostaliśmy to z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Kazali od razu przekazać panu — Ryan przeczytał depezę Reutersa — była za świeża, by CIA zdążyło dołączyć jakąkolwiek wstępną analizę.

— Okay, połączcie mnie przez bezpieczny telefon.

— Właśnie coś wychodzi z drukarki — powiedziała oficer łączności Po chwili dodała —

Wygląda na to, że Marynarka miała fatalny dzień.

Ryan usiadł na fotelu i włączył małą lampkę do czytania. — O, cholera — zaklął i podniósł wzrok. — Mógłbym dostać trochę kawy, poruczniku?

— Oczywiście, steward zaraz przyniesie. Gdzie najpierw dzwoniemy?

— Ośrodek Dowodzenia Sił Zbrojnych, z oficerem dyżurnym. — Doradca do spraw bezpieczeństwa spojrział na zegarek i przeprowadził pospieszoną kalkulację. Wreszcie doszedł do wniosku, że w sumie spał przez pięć godzin. Nie zanosilo się na to, by w drodze do Waszyngtonu zdołał się zdrzemnąć.

— Trzecia linia, doktorze Ryan. Admirał Jackson.

— Mówi Miecznik — powiedział Ryan, używając terminologii Tajnej Służby. Na samym początku jego kariery doradcy prezydenta ktoś chciał mu nadać kryptonim Rewolwerowiec, uważając najwidoczniej, że Ryanowi spodoba się aluzja do dawnych czasów.

— Tu Centralka. Przyjemnie się leci, Jack? — Ryan nigdy nie mógł się nadziwić, że cyfrowe zabezpieczone łącza z taką wiernością przekazują głos Potrafił nawet wyczuć uszczypliwy ton przyjaciela.

Wyczuwał też jednak, że był on nieco wymuszony.

— Ci piloci są naprawdę niezli. Może wziąłbyś u nich kilka lekcji? Okay, co się dzieje? Dlaczego jesteś w pracy o tej porze?

— Flota Pacyfiku miała mały wypadek kilka godzin temu.

— Wiem o tym. Ale najpierw Sri Lanka.

— Mamy tylko to, co puścił Reuters. Dostaliśmy też parę zdjęć, a za pół godziny powinniśmy dostać kasetę wideo. Konsulat w Trincomalee potwierdził wybuch. Mamy jednego rannego obywatela USA, nic poważnego, ale facet chce się stamtąd natychmiast ewakuować. Z oceanu dostaliśmy też wiadomość, że indyjska grupa bojowa wykonuje podejrzane manewry. Nasi ludzie nie mogą znaleźć

ich brygady desantowej Ze zdjęć satelitarnych wynika, że akwen, w którym przeprowadzali ćwiczenia, jest pusty.

Ryan skinął głową i odsunął kurtynkę przykrywającą okno. Na zewnątrz panowały ciemności. W dole nie dostrzegł żadnych świateł. Albo lecieli wciąż nad Atlantykiem, albo było zachmurzenie.

Dostrzegał jedynie mrugające światło pozycyjne na końcu skrzydła.

— Uważasz, że mamy tam stan bezpośredniego zagrożenia?

— Jeszcze nie — odparł po chwili zastanowienia Jackson. — Ale admirał Dubro potrzebuje precyzyjnych instrukcji, jak daleko może się posunąć.

— Rozumiem. — Ryan zaczął robić notatki na firmowym bloczku Sił Powietrznych. Jakimś cudem dziennikarze jeszcze nie zdążyli go zwędzić. — Poczekaj chwilę — rzucił do słuchawki i zwrócił

się do porucznik — Kiedy siadamy w Andrews?

— Za jakieś siedem i pół godziny, proszę pana. Właśnie podchodzimy do brzegów Islandii.

Jack skinął głową. — Robby, jesteśmy na miejscu za jakieś siedem i pół godziny. Zanim wylądujemy, pogadam z Szefem. Zwołaj naradę jakieś dwie godziny po naszym lądowaniu.

— Jasne.

— Dobra, a teraz co do cholery stało się z tymi lotniskowcami?

— Z tego co wiemy, jeden z japońskich niszczycieli miał zwarcie w układzie sterowania i przypadkowo wystrzelił torpedy wz. 50, które trafiły dwa nasze gołębniki w dupę. „Enterprise” ma załatwione wszystkie śruby napędowe, a „Stennis” może płynąć tylko na jednej. Nie mamy strat w ludziach, kilku niegroźnie...

— Robby, jak do cholery...?

— Hej, Miecznik, ja jestem w Waszyngtonie, a nie na morzu.

— Ile potrwa naprawa?

— Od czterech do sześciu miesięcy. Poczekaj chwilę, Jack. Coś właśnie przyszło.

— Czekam. — Ryan upił łyk kawy, w słuchawce słyszał szelest papierów, a po chwili odezwał się głos Robby'ego: — Jack, zła wiadomość. Flota Pacyfiku ogłosiła OKRZAG/OKRZAT.

— Co się dzieje?

— USS „Asheville”, nasz nowy okręt podwodny klasy *Los Angeles*, właśnie wypuścił na powierzchnię boję ratunkową *BST-3*. „Stennis” wysłał w ten rejon samolot. Płynie też tam fregata. Nie wygląda to dobrze.

— Ilu ludzi? Setka?

— Więcej. Około stu trzydziestu. Niech to szlag! Kiedy ostatni raz nam się to przytrafiło, byłem jeszcze w szkole.

— Mamy tam wspólne ćwiczenia z Japończykami, tak?

— Zgadza się. Kryptonim WYPRÓBOWANI WSPÓLNICY. Wczoraj się skończyły. Jeszcze kilka godzin temu wydawało się, że to były udane manewry. Wszystko wydarzyło się błyskawicznie.

Poczekaj chwilę... Mam wiadomość ze „Stennisa”. Czterdzieści minut temu wysłali w rejon katastrofy Odkurzacz...

— Wysłali co?

— *P-3 Viking*. Samolot ZOP z czteroosobową załogą. Nie znaleźli żadnych rozbitków. Niech to szlag. Jack, posłuchaj, mam tu od cholery roboty...

— Rozumiem. Odezwij się, jak będziesz coś wiedział.

— Jasne. Bez odbioru. — W słuchawce zapadła cisza.

Przypadek zrządził, że Oreza jeździł białą Toyota Land Cruiser. Model ten nie należał bynajmniej do rzadkości na wyspie. Szli właśnie niespiesznie w stronę parkingu, kiedy wjechały nań dwie identyczne Toyoty. Wysiadło z nich sześciu ludzi i ruszyło w stronę Dniówki i Borroughsa. Starszy bosman sztabowy w stanie spoczynku zatrzymał się jak wryty. Wypłynęli jeszcze przed świtem, żeby przyłapać tuńczyka podczas porannego żerowania. Wtedy świat wydawał się normalny.

Ale nie teraz. Teraz nad Saipanem krążyły japońskie myśliwce, a w jego stronę zmierzało sześciu żołnierzy w polowych mundurach japońskich Sił Samoobrony.

Wszyscy mieli pistolety w kaburach. Orezie wydawało się, że uczestniczy w kręceniu jakiegoś kretyńskiego serialu z czasów kiedy Ruskich należało się bać.

— Witam panów. Jak udał się połów? — Był w stopniu kapitana i na jego lewej piersi Oreza dostrzegł odznakę spadochroniarzy. Japończyk uśmiechał się promiennie.

— Złowiłem cholernie wielkiego tuńczyka albacore — pochwalił się Pete Borroughs. Jego zrozumiałą dumę wyraźnie powiększały wypite cztery piwa.

O ile to możliwe, Japończyk uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Naprawdę? Mógłbym rzucić okiem?

— Jasne! — Borroughs obrócił się na pięcie i zaprowadził ich do basenu jachtowego, gdzie jego zdobycz wisiała głową w dół z dźwigu.

— To pańska łódź, kapitanie Oreza? — zapytał oficer. Tylko jeden z jego żołnierzy stał obok, reszta rozstawiła się w półkolu. Dniówkę zastanowiło też, że oficer zadał sobie trud, by dowiedzieć się jego nazwiska.

— Zgadza się. Chciałby wybrać się pan na połów? — zapytał z niewinnym uśmiechem.

— Mój dziadek był rybakiem — odparł Iszi.

Dniówka skinął głową. — Mój też. To taka rodzinna tradycja.

— Długa?

— Od ponad stu lat moja rodzina trudni się rybołówstwem.

— Piękny kuter. Mogę się rozejrzeć?

— Jasne. Proszę wejść na pokład. — Oreza wszedł pierwszy. Zauważył, że sierżant, który przyszedł ze swoim kapitanem, pozostał na nabrzeżu z Borroughsem, zachowując od niego dystans dwóch metrów. W kaburze Japończyka spoczywał *SIG P220*, standardowa broń boczna Sił Samoobrony. W głowie Orezy zapaliły się wszystkie światełka alarmowe.

— Co oznacza słowo Springer?

— Rodzaj spaniela do połowu kaczek.

— Bardzo ładna nazwa. — Oficer rozejrzał się po pokładzie. — Jakiej radiostacji pan używa?

— Pokażę panu. — Oreza zaprowadził go do kabiny. — Zrobiono ją w pańskim kraju. NEC, standardowa radiostacja VHF. To jest system nawigacji *GPS*, tutaj mamy echosondę i radar.

— Ma pan na pokładzie jakąś broń?

Niedobrze. — Broń? Po co?

— Słyszałem, że wielu ludzi na Saipanie ma broń.

— Nic mi o tym nie wiadomo. — Oreza pokręcił głową. — Jeszcze mi się nie zdarzyło być zaatakowanym przez rybę. Nie, nie mam żadnej broni. W domu też.

Oficer wydawał się być wyraźnie zadowolony z odpowiedzi. — Od dawna pan tu mieszka?

— Od pięciu lat.

— Pańskie radio ma duży zasięg?

— Raczej nie. VHF nadaje się do łączności w promieniu kilkunastu kilometrów.

— Bardzo panu dziękuję. Ma pan piękną łódź. Musi być pan z niej dumny.

— Jestem.

— Dziękuję za pokazanie kabiny. Może pan już iść — powiedział Japończyk, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, jak zabrzmiało jego ostatnie zdanie. Oreza zszedł z nim na nabrzeże i odprowadził go wzrokiem. Kapitan Sił Samoobrony podszedł do swoich ludzi i cała szóstka bez słowa ruszyła w stronę parkingu.

— Co, u diabła...?

— Pete, możesz przez chwilę siedzieć cicho? — Pytanie zostało zadane tonem właściwym podoficerom, więc odniosło spodziewany efekt. Borroughs bez słowa podążył za Orezą do samochodu.

Dniówka nie spuszczał wzroku z maszerujących Japończyków. Szli jak przystało na zawodowych żołnierzy: dokładnie sto dwadzieścia kroków na minutę, sierżant z lewej strony dowódcy, dokładnie o pół

kroku z tyłu. Kiedy Oreza wsiadł do samochodu, u wyjazdu z parkingu pojawiła się trzecia Toyota z trzema umundurowanymi ludźmi w środku.

— To jakieś ćwiczenia? Gry wojenne? Co się dzieje? — zapytał Borroughs, kiedy już obaj siedzieli wewnątrz samochodu.

— Za cholerę nie wiem, Pete — odparł Oreza, uruchomił silnik i wyjechał z parkingu na Beach Road, kierując się na południe. Po kilku minutach przejeżdżali już obok doków. Oreza nie śpieszył się i dokładnie przyjrzał się rozładunkowi. Tym razem z rampy nie zjeżdżały już białe Toyoty, lecz wojskowe samochody w oliwkowym malowaniu ochronnym. Na nabrzeżu kręcili się żołnierze w połowych mundurach o tej samej barwie.

— Co to są te pojazdy gaśnicowe z dużą skrzynią z tyłu?

— Nazywają je *MLRS* — wieloprowadnicowe wyrzutnie raketowe. — Oreza zauważył ich sześć.

— Do czego służą? — zapytał Borroughs.

— Do zabijania ludzi — odparł Oreza.

Podbiegł do nich żołnierz i machnięciem ręki kazał jechać dalej. W porcie było co najmniej sześciuset żołnierzy. Podczas jazdy na południe na każdym skrzyżowaniu zauważyli białą Toyotę z trzema żołnierzami w środku. Większość uzbrojona była w pistolety, zaledwie kilku trzymało w dłoniach karabiny. Dopiero po kilku minutach zauważyli, że nigdzie nie widać samochodów policyjnych. Dniówka skręcił w lewo, w stronę Wallace Highway.



— Nie jedziemy do hotelu? — zdziwił się Borroughs.

— Co byś powiedział na kolację w moim domu? — Oreza jechał teraz w stronę wzgórz, skąd roztaczał się wspaniały widok na południową stronę wyspy. Mieszkał w niewielkim domu, którego szerokie okna wychodziły na południe. Jego żona, Isabel, pracowała jako administrator w szpitalu, który zbudowano tuż obok. Jeżeli Isabel była w nastroju, szła na piechotę do pracy. Dzisiaj zdecydowanie nie była w nastroju.

— Co się dzieje, Mani? — Jej smagła twarz wyraźnie pobladła.

— Może wejdźmy do środka, kochanie. To jest Pete Borroughs. Dzisiaj razem łowiliśmy. —

Mówił opanowanym głosem, ale jego oczy nawet na chwilę nie przestały czujnie rozglądać się dookoła.

Na niebie, od wschodniej strony, dostrzegł cztery samoloty transportowe, podchodzące w kilkukilometrowych odstępach do pasów startowych bazy Kobler.

— Telefon nie działa — oznajmiła Isabel Oreza, kiedy już wszyscy znaleźli się w środku. —

Próbowałam dodzwonić się do Rachel i głos z taśmy powiedział mi, że połączenia międzynarodowe są przerwane. Pojechałam do centrum i zobaczyłam...

— Żołnierzy? — zapytał Dniówka.

— I to ilu! A najdziwniejsze, że wszyscy to...

— Żółtki — dokończył Oreza.

— To chyba nie było najgrzeczniejsze określenie Japończyków, Mani — zaprotestował Borroughs.

— Dokonanie inwazji też nie jest zajęciem grzecznych chłopców, Pete.

— Co?!

Oreza podniósł słuchawkę telefonu i wcisnął przycisk automatycznego wybierania, pod który wprowadził do pamięci telefonu numer swojej córki w Massachusetts.

— Bardzo nam przykro, ale połączenie kablowe z kontynentem zostało uszkodzone. Nasi technicy dołożą wszelkich starań, by zostało jak najszybciej przywrócone. Dziękujemy za okazaną cierpliwość...

— Pocałuj się w dupę! — oznajmił taśmie Oreza. — Kabel, też coś! Nie słyszeliście o satelitach?

— Nie ma połączenia ze Stanami? — Borroughs najwyraźniej wolno łapał, ale łączność przynajmniej mieściła się w jego specjalności.

— Nie.

— Spróbuj tego. — Inżynier sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon komórkowy.

— My też taki mamy — powiedziała Isabel. — I też nie działa. Znaczący połączenia lokalne są w porządku, ale...

— Jaki numer?

— Kierunkowy do Massachusetts: 617 — odparł Dniówka, podając resztę numeru córki.

— Najpierw muszę wybrać kierunkowy Stanów.

— Ja już naprawdę próbowałam, komórką nie można się połączyć — upierała się pani Oreza.

— Nie widzieliście jeszcze komórki satelitarnej, co? — zapytał z uśmiechem Borroughs. — Moja firma parę tygodni temu dała je w prezencie wszystkim pracownikom. To cudnieko pracuje też jako modem komputerowy albo faks, co tylko klient chce. — Podał słuchawkę Orezie. — Jest sygnał.

System komórkowych połączeń satelitarnych rzeczywiście był nowością. Na Saipanie aparaty te nie znajdowały się jeszcze w sprzedaży — Japończycy upewnili się co do tego. Sygnał z aparatu był odbierany przez jeden z trzydziestu satelitów geostacjonarnych i przekazywany do najbliższej stacji naziemnej. W przypadku Saipanu była nią Manila, która znajdowała się jedynie o czterdzieści pięć kilometrów bliżej niż Tokio. Gdyby nawet różnica wynosiła jeden kilometr na korzyść Manili, i tak program nadzorujący rozmowy dokonałby połączenia przez tę właśnie stację przekaźnikową. Po niespełna sekundzie sygnał powędrował do kolejnego satelity, tym razem wiszącego na niskiej orbicie nad Pacyfikiem, by stamtąd trafić do stacji naziemnej w Kalifornii i wreszcie łączami światłowodowymi do Cambridge, Massachusetts.

— Słucham — odezwał się słuchawce niezbyt przyjaźnie nastawiony głos; na Wschodnim Wybrzeżu Ameryki była dopiero piąta rano.

— Rachel?

— Tato?

— Tak, kochanie.

— Wszystko w porządku? — zapytała zaniepokojonym głosem córka.

— Dlaczego miałyby być inaczej?

— Próbowałam dodzwonić się do mamy, ale taśma powiedziała mi, że łącza zostały przerwane ze

względu na sztorm.

— Nie było żadnego sztormu, Rach — odparł Oreza.

— W takim razie, co się dzieje? Cholera, od czego zacząć?

— Słuchaj, Dniówka — odezwał się Borroughs.

— Co jest? — zapytał go Oreza.

— Tato, co się dzieje? — zapytała też oczywiście córka.

— Poczekaj chwilę, kochanie. O co chodzi, Pete? — Oreza położył dłoń na mikrofonie.

— Mówiłeś poważnie o tej inwazji? Wojna, coś w tym stylu? Dniówka skinął głową. — Na to wygląda.

— Przerwij połączenie, natychmiast!

— Kochanie, zadzwonię jeszcze. U nas wszystko w porządku. Cześć. — Oreza nacisnął guzik KONIEC. — O co chodzi, Pete?

— To nie żaden żart, co? Nie próbujesz chyba zabawić się kosztem turysty ze Stanów?

— Jezu, muszę napić się piwa. — Oreza otworzył lodówkę i wyciągnął dwie puszki. Jedną z nich rzucił Borroughsowi. To że było to japońskie piwo, niezbyt w tej chwili się liczyło. — Pete, to nie żarty.

Może nie zauważyłeś, ale w porcie widzieliśmy przynajmniej batalion piechoty zmechanizowanej, a nad wyspą krążą myśliwce. A ten żółtek w basenie jachtowym bardzo interesował się moim radiem.

— Okay. — Borroughs otworzył puszkę i pociągnął długi łyk. — W taki razie trzeba założyć, że ci chłopcy znają się na radiopelengacji.

Główna kwatera dowódcy Floty Pacyfiku przypominała mrowisko. W tłumie kręcących się ludzi z rzadka jedynie widziało się cywilne ubranie — kontraktowi pracownicy Marynarki z reguły odpoczywali w weekendy. Mancuso bez trudu wyczuwał panujący nastrój przygnębienia.

— Gdzie jest admirał Seaton? — zapytał przechodzącego bosmana. Zapytany wskazał bez słowa na drzwi gabinetu.

— Gdzie się, u diabła, podziewałeś? — zapytał CINCPAC5, kiedy Mancuso wraz z Jonesem i Chambersem weszli do środka.

— W centrali *SOSUS*, panie admirale. Zna już pan komandora Chambersa. A to jest doktor Jones...

— Ten sonarzysta, którego wszędzie za sobą ciągniesz? — Admirał David Seaton pozwolił sobie na,

rzadki tego dnia, żartobliwy ton.

— Tak jest. Sprawdzaliśmy właśnie w *SOSUS* nasłuchy...

— Nikt się nie uratował, Bart. Przykro mi, ale załoga *S-3*...

— Panie admirale, oni zostali zabici — przerwał mu Jones, który miał już dość wstępów i kurtuazji. W gabinecie zapadła martwa cisza.

— Co ma pan na myśli? — zapytał po jakiejś sekundzie CINCPAC.

— Mam na myśli to, że „Asheville” i „Charlotte” zostały storpedowane przez japońskie okręty podwodne.

— Chwileczkę. Mówi pan, że „Charlotte” zatonała? — Seaton odwrócił głowę w stronę Mancuso.

— Bart, co się tu dzieje? — Dowódca okrętów podwodnych na Pacyfiku nie zdążył odpowiedzieć.

— Mogę to udowodnić, panie admirale. — Jones wyjął spod pachy plik wydruków.

— Potrzebny mi tylko stół i lampa.

— Panie admirale, wygląda na to, że Jonesy ma rację — z ponurym wyrazem twarzy powiedział

Mancuso. — To nie były wypadki.

— Panowie, w sąsiednim pokoju mam piętnastu oficerów japońskich, którzy właśnie tłumaczą moim ludziom, jak działa system zabezpieczeń wyrzutni torpedowych na ich niszczycielach...

— Ma pan też piechotę morską, prawda? — zapytał bez uśmiechu Jones. — Mam nadzieję, że są uzbrojeni.

— Pokaż pan te wydruki.

Jones jeszcze raz zinterpretował przebiegi zapisów akustycznych. Przy dokładniejszym badaniu widać było nawet oscylacje szumów okrętów na powierzchni i odgłosy torped *wz. 50*, które wyłączyły ze służby połowę lotniskowców Floty Pacyfiku. Ta nowa sieć hydrofonów wokół Kure, to naprawdę coś, pomyślał Jones.

— Niech pan zwróci uwagę na czas. Wszystko to rozegrało się w odstępie dwudziestu minut. Tam na dnie spoczywa dwustu pięćdziesięciu naszych marynarzy i to nie był żaden wypadek.

— Chwileczkę, panie Jones — powiedział Seaton. — Nic nie wskazuje na wrogą działalność, nie mieliśmy żadnych doniesień...

— Teraz ma pan już dowody, panie admirale. — Jones nie miał zamiaru dawać za wygraną.

— Ale...

— Żadne ale, admirale! — wrzasnął Jones. — Ma pan tu wszystko: czarno na białym. Ma pan te wydruki z *SOSUS*, nagrania na taśmach, a w dodatku mogę to panu pokazać na cholernym monitorze!

Jeżeli chce pan pokazać to wszystko swoim ekspertom, to chyba do kurwy nędzy ma pan ich tu na miejscu! Zostaliśmy zaatakowani!

— Czy jest jakaś szansa, że to może być pomyłka? — zapytał niepewnie Seaton.

— W okolicach zera, panie admirale. Jeżeli chce pan jeszcze innego potwierdzenia, to złotki musieliby chyba wykupić płatne ogłoszenie w „The New York Times”. — Dyplomacja nigdy nie była mocną stroną Jonesa.

— Wolnego, panie... — zaczął Seaton, ale przerwał i spojrzał pytająco na Mancuso.

— Bart?

— Nie mogę spierać się z faktami, panie admirale. Gdyby istniało jakieś inne wytłumaczenie tych wypadków, zarówno Wally jak i ja znaleźlibyśmy je. Ludzie z *SOSUS* też się z nami zgadzają. „Charlotte”

nie zgłosiła się.

— Dlaczego nie wypuściła boi ratunkowej? — zapytał CINCPAC.

— Pomieszczenie boi znajduje się w części rufowej. Niektórzy z dowódców każą przyspawać boję, żeby nikomu do głowy nie przyszło jej używać. Pamięta pan, jak w zeszłym roku odmawiali w ogóle jej instalowania? Możliwe też, że torpeda zniszczyła boję. Mamy nagranie szumów „Charlotte” z akwenu, w którym zginęła „Asheville” Mimo wezwań na ELF, nie zgłosiła się. Wszystko wskazuje na to, że zatonała.

— Chcesz powiedzieć, że znajdujemy się w stanie wojny? — zapytał niespodziewanie spokojnie CINCPAC. Mancuso skinął głową.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, panie admirale.

— Nie dostaliśmy od Japończyków żadnej noty — zauważył Seaton.

— Jedno trzeba im przyznać, panie admirale. Kochają tradycję — odpowiedział Jones.

Pete Borroughs nie dokończył tej nocy swojego piątego piwa. Niebo było bezchmurne i wraz z Orezą obserwowali jak od wschodu bez przerwy nadpływają w powietrzu światła pozycyjne

transportowców. Każdy z Jumbo -Jetów przynosił na pokładzie co najmniej dwustu żołnierzy. Z domu Dniówki mieli widok na dwa pasy startowe. Lornetka Orezy w zupełności wystarczała na dokładne przyjrzenie się każdemu z kołujących samolotów, które zaledwie po kilkunastu minutach, potrzebnych na zatankowanie, ponownie wzbijały się w powietrze. Nikomu nie przyszło na myśl liczenie samolotów, zanim było już kilka godzin za późno.

— Jedzie do nas jakiś samochód — ostrzegł Orezę Borroughs. Obaj natychmiast ukryli się w cieniu domu. Na ich uliczkę powoli wjechała Toyota Land Cruiser. Najwyraźniej pasażerowie zadali sobie jedynie trud policzenia samochodów parkujących przed domami, bo po niespełna minucie Toyota zawróciła i odjechała w stronę portu.

— Co teraz powinniśmy robić? — zapytał Borroughs.

— Za cholere nie mam pojęcia. Służyłem w Straży Przybrzeżnej. To robota dla Marynarki. Albo raczej dla Piechoty Morskiej.

— Czy w Stanach ktoś wie, co tu się dzieje?

— Ktoś musi — Oreza ruszył do domku. — Możemy obserwować pasy startowe z okna sypialni.

Zawsze zostawiamy je otwarte na noc. — Po chwili zapytał — Czym konkretnie się zajmujesz, Pete?

— Przemysł komputerowy. Mój zespół badawczy specjalizuje się w procesie porozumiewania się komputerów. Ostatnio pracowaliśmy trochę dla rządu.

— Wspominałeś o radiopelengacji.

— Może mam atak paranoi, ale moja firma robi mikroprocesory, których Armia używa w tych właśnie celach.

Oreza usiadł przy stole i zabrał się do jedzenia. — Nic już nie wydaje mi się paranoidalne.

— Chyba masz rację, *skipper* — Po chwili Borroughs z aprobatą spojrział na kolację przyrządzoną przez panią Oreza i też zasiadł za stołem. — Chcesz zrzucić parę kilo?

— Oboje walczymy z nadwagą — odparł Dniówka. — Izzy ukończyła kurs dietetycznego gotowania.

Borroughs rozejrzał się po kuchni. Wprawdzie w domu była jadalnia, ale — podobnie jak większość ludzi na emeryturze — Orezowie jadali w kuchni przy małym stole. Zlew i blat kuchenny błyszcząły nienagannie ustawionymi stalowymi misami.

— Chwileczkę — powiedział, wpatrując się w błyszczące stalowe naczynia. Wstał, podszedł do półki i sięgnął po największą misę. Miała przynajmniej czterdzieści centymetrów średnicy i dwadzieścia głębokości. Dno było płaskie, ale reszta przypominała w kształcie półkulę. Wyciągnął z kieszeni satelitarny telefon komórkowy. Antena miała nie więcej niż dwaście centymetrów

długości. Spojrzał na Orezę. — Masz wiertarkę?

— Tak. Po co ci?

— Już wiem, jak uniknąć namierzenia.

— Nie rozumiem.

— Wywiercimy dziurę w dnie tej misy i przełożymy przez nią antenę. Misa zrobiona jest ze stali nierdzewnej i odbija fale radiowe, podobnie jak antena mikrofalowa. Cała emisja idzie w górę. Właściwie to nawet ten garnek powinien poprawić odbiór.

— Coś jak telefon E.T.?

— Mniej więcej.

— Słucham.

— Rachel, tu tata.

— Co tam się u was dzieje? Naprawili kabel?

— Kochanie, nic nam nie jest, ale mamy tu pewien problem. — Jak jej to wytłumaczyć? —

zastanawiał się przez chwilę. Rachel Oreza Chandler była prawnikiem w Bostonie i właśnie szykowałą się do otworzenia własnej kancelarii. Zbliżała się do trzydziestki, czyli wieku, w którym dzieci zaczynają martwić się o swoich rodziców. Nie ma powodu jej niepokoić, pomyślał Dniówka.

— Mogłabyś wyszukać dla mnie pewien numer?

— Jasne.

— Chodzi o główną kwaterę Straży Przybrzeżnej. Mieści się w Buzzard's Point, w Dystrykcie Columbia. Potrzebuję numer do oficera dyżurnego.

Rachel połączyła się na drugiej linii z informacją i po chwili przekazała ojcu numer — Naprawdę wszystko w porządku? Wydaje mi się, że jesteś nieco zdenerwowany.

— Nie ma się czym przejmować, dziecinko. — Nie cierpiała, kiedy tak do nie mówił, ale było już prawdopodobnie za późno, by go zmienić.

— Słyszałam, że ten sztorm był bardzo silny. Macie już prąd? — zapytała, zapominając, że nie było żadnego sztormu.

— Jeszcze nie — skłamał — Ale wkrótce mają naprawić linie.

— Centrala Straży Przybrzeżnej, bosman Obrecki, ta linia nie jest zabezpieczona — wyrecytował

formułkę oficer dyżurny.

— Chcesz mi powiedzieć, że ten nieopierzony szczeniak, który pływał ze mną na „Panache” dostał bosmana?

— Tu bosman Obrecki. Kto mówi?

— Starszy bosman sztabowy Oreza — padła odpowiedź.

— Hej, Dniówka, co u ciebie słyszać? Słyszałem, że przeszedłeś na emeryturę. — Oficer dyżurny odchylił się w krześle. Od kiedy został bosmanem, mógł już zwracać się w ten sposób do mężczyzny po drugiej stronie drutu.

— Mieszkam teraz na Saipanie. Dobra, dzieciaku, posłuchaj: muszę rozmawiać natychmiast z szefem Centrali.

— Co się dzieje, bosmanie?

— Nie mam czasu, okay? Daj mi dowódcę.

— Jasne. — Obrecki nacisnął guzik interkomu. — Pani komandor, rozmowa na jedyńce.

— Ośrodek Dowodzenia Sił Zbrojnych, kontradmirał Jackson — powiedział do słuchawki Robby.

Był zmęczony i w paskudnym nastroju.

— Panie admirale, tu porucznik komandor Powers, Straż Przybrzeżna w Buzzard’s Point. Mam na linii Saipan. Dzwoni starszy bosman sztabowy w stanie spoczynku. Jeden z naszych ludzi.

Jasna cholera, ja tu się bawię z rozwalonymi lotniskowcami, a ona opowiada mi jakieś pierdoły, pomyślał bliski furii Jackson. — To bardzo miło, pani komandor. Może pani przejść od razu do rzeczy?

Mamy tu trochę pilnej roboty.

— Panie admirale, bosman melduje, że Saipan został zajęty przez wojska japońskie. Jackson wyprostował się gwałtownie na krześle. — Co?

— Łączę pana z bosmanem.

— Dobrze — ostrożnie zgodził się Jackson.

— Z kim mówię? — zapytał w słuchawce głos należący najwyraźniej do starszego i nieco szorstkiego mężczyzny.



— Kontradmirał Jackson. Ośrodek Dowodzenia Sił Zbrojnych USA. — Nie musiał wydawać polecenia, by rozmowę nagrywano: wszystkie były nagrywane.

— Panie admirale, mówi starszy bosman sztabowy Straży Przybrzeżnej, w stanie spoczynku, numer identyfikacyjny trzy-dwa-osiem-sześć-jeden-cztery-zero-trzy-zero. Pięć lat temu przeszedłem na emeryturę i przeprowadziłem się na Saipan. Zajmuję się teraz organizowaniem połowów dużych ryb dla turystów. Chciałem zameldować, że na naszej wyspie wylądowało cholernie dużo żołnierzy japońskich.

Wszyscy są w mundurach polowych i uzbrojeni.

Jackson gestem nakazał stojącemu obok oficerowi, by podniósł drugą słuchawkę. — Bosmanie, chyba zdaje pan sobie sprawę, że to brzmi mało wiarygodnie?

— Zdaję sobie sprawę. Szkoda tylko, że pana tu nie ma. Właśnie wyglądam przez okno w sypialni. Widzę stąd lotnisko i starą bazę Sił Powietrznych w Kobler. Na pasach startowych stoi lub kołuje razem sześć samolotów 747, cztery na lotnisku i dwa w Kobler. Kilka godzin temu widziałem dwa myśliwce *F-15 Eagle* z czerwonymi kręgami na statecznikach. Czy mamy właśnie jakieś wspólne ćwiczenia z Japończykami? — Na pewno jest trzeźwy, pomyślał Jackson. A jego sposób mówienia do złudzenia przypomina pewnych siebie starszych bosmanów sztabowych.

Major Sił Powietrznych, słuchający rozmowy z drugiego telefonu, pośpiesznie robił notatki.

Pomyślał przy tym, że zaproszenie do Jurassic Park wydawałoby się bardziej realistyczne, niż to co właśnie słyszy.

— Zakończyliśmy kilka godzin temu wspólne ćwiczenia, ale Saipan nie miał z nimi nic wspólnego.

— W takim razie, panie admirale, chciałbym dodać, że w porcie stoją trzy frachtowce do przewozu samochodów. Jeden z nich nazywa się „Orchid Ace”. Na własne oczy widziałem jak z rampy zjeżdżają wyrzutnie rakietowe na podwoziu gąsienicowym *MLRS*, przeliteruję: Mikę Lima Romeo Sierra.

Naliczyłem sześć sztuk. Panie admirale, niech pan sprawdzi w archiwum Straży Przybrzeżnej moją teczkę personalną. Pływałem w Straży trzydzieści lat i nie mam czasu na jakieś kawały. Niech pan spróbuje też dodzwonić się na Saipan. Dowie się pan z taśmy, że w pobliżu był huragan, który zerwał łącza. Nie było żadnego huraganu. Niech pan zapyta o to swoich chłopaków od pogody. Jeszcze raz powtarzam, na wyspie wylądowali uzbrojeni po zęby Japończycy.

— Policzył pan lądujące samoloty?

Najlepszym potwierdzeniem tej niesamowitej historii był, według Jacksona, nieco zawstydzony ton bosmana. — Nie, panie admirale. Sądzę, że ląduje łącznie około sześciu maszyn na godzinę. Pierwsze zauważyłem jakieś sześć godzin temu. Chwileczkę... właśnie startuje 747 z Kobler. Z tej odległości nie mogę odczytać napisów na kadłubie.

— Jeszcze jedno. Jeżeli łącza są przerwane, to jakim cudem rozmawiamy ze sobą? — Oreza

pokrótce wyjaśnił zasadę działania satelitarnego telefonu komórkowego i podał swój numer. — W

porządku, bosmanie. Muszę jeszcze posprawdzać tu parę rzeczy. Zadzwoń do pana za niecałą niż godzinę. Okay?

— Tak jest, panie admirale. Myślę, że zrobiłem to co do mnie należało. — W słuchawce zapadła cisza.

— Majorze! — wrzasnął Jackson, nie podnosząc wzroku znad biurka. Po niecałej sekundzie jego adiutant stał już przed nim.

— Panie admirale, zdaję sobie sprawę, że ten bosman mówił bardzo rozsądnie, ale...

— Ale zadzwońcie natychmiast do Bazy Sił Powietrznych Andersen.

— Tak jest. — Młody lotnik podszedł do swojego biurka i otworzył książkę telefoniczną Sił

Zbrojnych. Trzydzieści sekund później podniósł wzrok i pokręcił przecząco głową. Na jego twarzy malował się wyraz zdziwienia.

— Czy chcecie mi powiedzieć — zapytał sufitu Jackson — że została zerwana łączność z bazą Sił Powietrznych USA i nikt nawet tego nie zauważył?

— Admirale, CINCPAC na *STU*. Rozmowa ma status KRYZYS. — KRYZYS był oznaczeniem łączności o pierwszeństwie absolutnym. Co mi szkodzi, pomyślał Jackson. Można przecież zadać głupie pytanie.

— Panie admirale, mówi Robby Jackson. Czy mamy wojnę?

— Proszę państwa — z głośnika telewizora dobiegł głos spikera. — Za dziesięć minut zostanie wyemitowane specjalne obwieszczenie. Proszę nie wyłączać odbiorników.

— Manni, słyszałeś?

— Tak, Izzy.

— Macie jakąś czystą taśmę wideo? — zapytał Borroughs.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

1 ZOP — Zwalczanie okrętów podwodnych (przyp. red.)

2 Zwodowany w 1906 roku brytyjski okręt liniowy. Pojawienie się dreadnotów (tak zaczęto nazywać nowoczesne pancerniki) zburzyło równowagę między ówczesnymi mocarstwami, odsyłając do lamusa wielkie okręty marynarek wojennych konkurujących z Royal Navy (przyp. red.) 3 (dosł.) Jaś Buntownik — obiegowa nazwa żołnierza Konfederacji podczas wojny secesyjnej (przyp. red.) 4 Peach to po angielsku brzoskwinia (przyp. tłum.)

5 Commander in Chief Pacific — Dowódca Marynarki na Pacyfiku (przyp. red.)